



MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER



PIĘKNO
TO BOLESNA RANA

EKA KURNIAWAN

PIĘKNO
TO BOLESNA RANA
EKA KURNIAWAN

Z języka angielskiego przełożył
Jędrzej Polak

Wydawnictwo Literackie

Cantik Itu Luka © by Eka Kurniawan, 2002
By Agreement with Pontas Literary & Film Agency
© Copyright for the Polish translation by Jędrzej Polak
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2016

TYTUŁ ORYGINAŁU: "Cantik Itu Luka"

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Maithili Doshi Aphale; opracowanie okładki na podstawie oryginału:
Robert Kleemann
REDAKTOR PROWADZĄCY: Paweł Ciemniwski
REDAKCJA: Aneta Tkaczyk
KOREKTA: Kamil Bogusiewicz, Lidia Timofiejczyk, Anna Rudnicka

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96 tel.: (+48-12) 619 27 70

ISBN: 978-83-08-05914-2

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Tak tedy wyszorowawszy należycie zbroicę, z nagłówka wysztukowawszy sobie hełm przyzwoity, rumaka ochrzciwszy wspaniale, a siebie znamienicie, mniemał, że teraz nie brakuje mu już nic więcej, jak tylko damy, w której by był zakochanym; bo rycerz błędny bez miłości to tak samo jak drzewo bez liścia i owocu, a nawet, po prawdzie, jak ciało bez duszy.

Miguel de Cervantes Saavedra, *Don Kichot z La Manchy* [1](#)

1. Przełożył Walenty Zakrzewski. [↵](#)

PEWNEGO NIEDZIELNEGO POPOŁUDNIA, w marcu, Dewi Ayu wstała z grobu, w którym przeleżała dwadzieścia jeden lat. Pasterz drzemiący pod drzewem plumerii wrzasnął i posikał się w gatki, a jego cztery owce rozbiegły się na łeb na szyję pomiędzy kamienie nagrobne i nagrobne drewniane tablice, jakby wrzucono pomiędzy nie tygrysa. Wszystko zaczęło się od rumoru, dobiegającego ze starego grobu porośniętego trawą sięgającą kolan, z nagrobkiem bez imienia i nazwiska. Wszyscy wiedzieli, że w grobie tym leży Dewi Ayu. Umarła jako pięćdziesięciodwulatka, wstała z martwych po dwudziestu jeden latach, więc od tamtej pory nikt nie miał pojęcia, jak liczyć jej wiek.

Ludzie z okolicy zbiegli się do grobu, kiedy pasterz powiedział im, co się dzieje. Podwinawszy poły sarongów, nieśli dzieci, ściskali kije od mioteł lub przybiegli ubłoceni z pól i zebrali się za krzewami wiśni, drzewami obrzydłca oraz na pobliskich plantacjach bananów. Nikt nie ośmielił się podejść bliżej, wsłuchiwali się tylko w łoskot ze starej mogiły, niczym w okrzyki przekupnia zielarza zachwalającego w każdy poniedziałek cudowne medykamenty na targu. Tłum sycił oczy przerażającym widowiskiem, nie przejmując się tym, że każdy z osobna wpadłby w popłoch na widok czegoś takiego. Niektórzy spodziewali się nawet jakiegoś cudu, a nie tylko starego rozwalającego się grobu, a to dlatego, że kobieta pochowana na tym spłachetku ziemi prostytutowała się w czasach wojny z Japończykami, a *kyai* ¹ zawsze powtarzał, że ludzie naznaczeni grzechem poniosą karę nawet po śmierci. Rumor brał się pewnie ze świstu bata karzącego anioła i szybko wszystkim się znudził, bo czekali na jakiś inny nieduży cud.

Kiedy się objawił, przybrał najbardziej niewyobrażalną formę. Grób zadygotał i pękł, a grunt eksplodował, jakby wysadzono go od spodu w powietrze, co wywołało małe trzęsienie ziemi i wichurę, która zmiotła nagrobki i trawę, a z spadającej z nieba błotnej kurtyny wyłoniła się stara kobieta. Stała sztywno, była poirytowana i spowita w całun, jakby pochowano ją wczoraj. Ludzie dostali hysterii i rozbiegli się w jeszcze większej panice niż owce, a ich wrzaski unisono odbijały się echem od ścian odległych wzgórz. Matka rzuciła dziecko w krzaki, a ojciec tego dziecka przytulił do piersi kiść bananów. Dwaj mężczyźni zanurkowali do rowu, inni padli bez czucia na poboczu drogi, a jeszcze inni popędzili przed siebie nieprzytomnie i przebiegli piętnaście kilometrów bez ustanku.

Widząc to wszystko, Dewi Ayu zakasłała tylko i odchrząknęła, zafascynowana tym, że znalazła się na środku cmentarza. Zdołała już rozplątać dwa najwyższe węzły pogrzebowego całunu, a potem zabrała się do dwóch najniższych, żeby uwolnić stopy. Cudownie urosły jej włosy, więc kiedy kręceniem głowy wyplątała

je z perkalowego turbanu, rozwiały się w popołudniowym wietrze i omiotły ziemię, pobłyskując niczym czarne porosty na dnie rzeki. Miała pomarszczoną skórę, ale jaśniejące kredowo oblicze. Jej oczy rozbłysły w oczodołach, gdy spozierała na wychodzących z kryjówek za krzakami gapiów: połowa z nich uciekła, a reszta omdlała. Poskarżyła się nie wiadomo komu, że ludzie są źli, skoro pochowali ją za życia.

Pierwszą rzeczą, o której pomyślała, było dziecko, które — ma się rozumieć — nie było już dzieckiem. Przed dwudziestu jeden laty umarła dwanaście dni po połogu, urodziwszy ohydny dziewczynkę — tak brzydką, że akuszerka obecna przy porodzie nie była pewna, czy to dziewczynka, i miała wrażenie, że patrzy na kupkę gnoju, gdyż otwór, z którego wychodzi dziecko, od otworu, z którego wydobywa się kał, oddzielają zaledwie dwa centymetry. Ale mała wierciła się i uśmiechała, więc akuszerka uwierzyła w końcu, że to ludzka istota, i powiedziała leżącej na łóżku osłabionej matce, która wcale nie chciała zobaczyć noworodka, że dziecko ma się dobrze i wydaje się miłe.

— To dziewczynka, prawda? — zapytała Dewi Ayu.

— Owszem — odpowiedziała akuszerka — tak samo jak te trzy przed nią.

— Cztery córki, a jedna piękniejsza od drugiej — odezwała się bardzo poirytowana Dewi Ayu. — Powinnam otworzyć własny burdel. Powiedz mi, czy ta jest ładna?

Dziecko wiło się skrępowane w powijakach i zapłakało w ramionach akuszerki. Po izbie kręciła się kobieta wynosząca zakrwawione płótna i łożysko, więc akuszerka przez chwilę milczała, bo za nic w świecie nie powiedziałaaby, że dziecko, które wygląda jak kupka gnoju, jest ładne. By zmienić temat, zauważyła:

— Jesteś już starą kobietą, pewnie nie będziesz mogła karmić.

— To prawda. Wyszłam przez te trzy wcześniejsze córki.

— I setki mężczyzn.

— Stu siedemdziesięciu dwóch mężczyzn. Najstarszy miał dziewięćdziesiąt lat, a najmłodszy dwanaście i przyszedł do mnie tydzień po obrzezaniu. Dobrze ich wszystkich pamiętam.

Dziecko znów zapłakało. Akuszerka mruknęła, że poszuka mamki. Jeśli jej nie znajdzie, musi rozejrzeć się za krowim mlekiem albo suczym, a choćby nawet i szczurzym.

— Dobra, idź — odrzekła Dewi Ayu.

— Biedna nieszczęsna dziewczynka — rzuciła akuszerka na odchodne, zerkając na przygnębiająco szkaradną buzię dziecka. Nie byłaby w stanie jej opisać, ale uważała, że przypomina przekłętego potwora z piekła rodem. Całe ciało noworodka było czarne jak smoła, jakby go spalili żywcem, i miało przedziwne, nierozpoznawalne rysy. Nie była na przykład pewna, czy widzi nosek dziewczynki, bo bardziej przywodził na myśl gniazdko elektryczne niż jakikolwiek nos. Usta

dziecka wyglądały jak szpara w świnie skarbonce, a uszy jak ucha garnka. Była przekonana, że na całym świecie nie ma ohydniejszej istoty niż ta mała brzydula, i gdyby była Bogiem, prawdopodobnie od razu uśmierciłaby dziecko, zamiast pozwolić mu żyć, bo bezlitosny świat urządzi tej małej piekło na ziemi.

— Biedna dziewczynka — powtórzyła raz jeszcze akuszerka, zanim wyszła rozejrzeć się za mamką.

— Właśnie, biedne dziecko — zgodziła się Dewi Ayu, rzucając się i obracając na łóżku. — Zrobiłam już wszystko, żeby cię zabić. Powinnam była połączyć granat i zdetonować go w brzuchu. Och, mała pokrako... pokraki, jak wszyscy winowajcy, nie umierają tak łatwo.

Na początku akuszerka ukrywała buzię dziewczynki przed przybyłymi sąsiadkami. Ale kiedy oznajmiła im, że potrzebuje mleka dla dziecka, wepchnęły się, żeby zobaczyć noworodka, bo ci, którzy znali Dewi Ayu, zawsze zachwycali się jej rozkosznymi dziewczynkami. Akuszerka nie zdołała powstrzymać naporu ciał szturmujących kołyskę i sięgających po gazę przesłaniającą małą twarzyczkę, a kiedy w końcu sąsiadki ją odłoniły, wrzasnęły przeraźliwie, bo nigdy dotąd czegoś takiego nie widziały, lecz akuszerka uśmiechnęła się tylko i przypomniała im, że robiła, co mogła, żeby oszczędzić im widoku piekielnego oblicza.

Później akuszerka pośpiesznie wyszła, a sąsiadki stały przez chwilę z głupimi minami, jakby odebrano im i pamięć, i rozum.

— Powinno się je zabić — powiedziała sąsiadka, która jako pierwsza odzyskała pamięć.

— Już próbowałam — odrzekła Dewi Ayu, która podniosła się z łoża w pogniecionej podomce, owinięta w pasie ręcznikiem. Włosy miała w nieładzie i poruszała się tak, jakby schodziła chwiejnym krokiem z areny po walce z bykiem.

Kobiety przyglądały się jej ze współczuciem.

— Jest ładna, prawda? — zapytała.

— Hm, tak.

— Nie ma gorszego przekleństwa od rodzenia ładnych kobiet w świecie mężczyzn zajadłych jak goniące się psy.

Nikt jej nie odpowiedział, sąsiadki wpatrywały się w nią dalej ze współczuciem, wiedząc, że ją okłamują. Rosina, góralka niemowa, która od lat służyła u Dewi Ayu, zaprowadziła ją do łazienki, gdzie w wannie czekała gorąca kąpiel. Dewi Ayu namydliła się pachnącym siarką mydłem, a niemowa umyła jej włosy olejkim aloesu. Rosina pozostała niewzruszona, choć na pewno widziała już szkaradną dziewczynkę, bo jako jedyna pomagała akuszerce przy porodzie. Wyszorowała plecy pani pumeksem, owinęła ją w ręcznik i posprzątała łazienkę po wyjściu Dewi Ayu.

Któraś z sąsiadek, by poprawić smętny nastrój, zwróciła się do Dewi Ayu:

— Musisz dać jej ładne imię.

— Owszem — odparła. — Dam jej na imię Piękna.

— Ach! — westchnęły zawstydzone sąsiadki i jedna przez drugą zaczęły ją od tego odwodzić.

— Lepiej by było Cierpiąca!

— Albo Zbolała.

— Na Boga, nie nazywaj jej Piękna!

— Doskonale, zatem dam jej na imię Piękna.

Przyglądały się bezradnie, gdy odwróciła się na pięcie i poszła się ubrać. Popatrywały bezsilnie jedna na drugą, wyobrażając sobie czarną jak sadza dziewczynkę z gniazdkiem elektrycznym zamiast nosa, noszącą imię Piękna. Co za okropieństwo!

Prawdą było jednak i to, że Dewi Ayu chciała zabić dziecko, kiedy zdała sobie sprawę, że choć przeżyła już pół wieku, znów jest ciężarna. Tak jak w przypadku poprzednich córek, nie miała pojęcia, kim był ojciec, ale inaczej niż wcześniej, wcale nie chciała, żeby dziecko przeżyło. Zażyła zatem pięć mocnych tabletek paracetamolu, które dostała od wiejskiego doktora, i popiła je pół litrem gazowanej wody, co o mało nie doprowadziło jej do śmierci, ale, jak się okazało, nie wystarczyło do zabicia dziecka. Przyszedł jej do głowy inny sposób i wezwała akuszerkę gotową zabić i wyjąć z jej łona dziecko za pomocą krótkiego, drewnianego, wkładanego do brzucha patyka. Przez dwa dni i dwie noce obficie krwawiła, a potem wyrzuciła z siebie patyk w drzazgach, a dziecko dalej w niej rośło. Próbowwała sześciu innych sposobów, żeby się go pozbyć, ale wszystkie zawiodły, więc w końcu poddała się i poskarżyła:

— Ta to prawdziwa awanturnica i pokona matkę w tej walce.

Pozwoliła zatem rosnąć brzuchowi coraz bardziej, a w siódmym miesiącu wydała uroczystą *selamatan* ² i pozwoliła dziecku przyjść na świat, choć nie chciała na nie spojrzeć. Miała już trzy dziewczynki, a wszystkie były przepiękne, niczym rodzące się jedna po drugiej trojaczki. Znudziły się jej takie dzieci, które zdaniem Dewi Ayu przypominały manekiny na sklepowej wystawie, więc nie chciała przyjrzeć się najmłodszemu, pewna, że nie będzie się niczym różnić od trzech starszych sióstr. Pomyliła się, rzecz jasna, lecz jeszcze nie wiedziała, jak bardzo odpychająca jest jej najmłodsza córka. Nawet kiedy sąsiadki szeptały ukradkowo, że dziecko jest owocem przypadkowego związku małpy z ropuchą i waranem, nie przypuszczała, że mówią o jej córce. A kiedy dodały, że poprzedniej nocy w lesie wyły dzikie psy i zleciały się sowy, nie potraktowała tego w najmniejszym stopniu jako złowróżbnych znaków.

Przebrawszy się, znów się położyła, czując w kościach nagłe wyczerpanie rodzeniem czworga dzieci i życiem przez ponad pół wieku. I wtedy przyszła jej do głowy przygnębiająca myśl, że skoro nie chciało umrzeć dziecko, to pewnie powinna odejść matka, która nigdy nie ujrzy córki jako młodej kobiety. Wstała

i pokuściła ku drzwiom, patrząc na zgromadzone za nimi sąsiadki, ciągle plotkujące o niemowlęciu. Z łazienki wyszła Rosina, która stanęła u boku Dewi Ayu, wyczuwając, że pani wyda jej jakieś polecenie.

— Idź kup mi całun pogrzebowy — zwróciła się do niej Dewi Ayu. — Sprowadziłam już cztery dziewczynki na ten przeklęty świat. Nadszedł czas, żeby odprowadził mnie z niego kondukt pogrzebowy.

Sąsiadki wrzasnęły i patrzyły na Dewi Ayu wybałuszonymi oczami. Urodzenie takiego szkaradzieństwa było sporym nietaktem, ale porzucanie go na łaskę losu to już coś naprawdę oburzonego. Nie podeszły jednak do niej, żeby to powiedzieć, próbowały za to odwieść ją od myśli o umieraniu w tak głupi sposób, twierdząc, że niektórzy dożywają ponad stu lat, zatem Dewi Ayu jest wciąż o wiele za młoda, żeby umrzeć.

— Gdybym dożyła stu lat — odpowiedziała z udawanym spokojem — musiałabym urodzić ośmioro dzieci, a to o wiele za dużo.

Rosina poszła i kupiła czysty biały perkal, którym Dewi Ayu natychmiast się owinięła, choć to było za mało, żeby od razu umrzeć. Tak więc kiedy akuszerka przemierzała okolicę w poszukiwaniu mamki (jak się okazało, na próżno, i musiała nakarmić dziecko wodą, którą płukano ryż), owinięta w całun Dewi Ayu położyła się na łóżku, czekając z zadziwiającą cierpliwością na zjawienie się anioła śmierci.

Kiedy skończyła się ryżowa woda i Rosina zaczęła karmić dziecko krowim mlekiem (sprzedawanym w sklepie jako „mleko niedźwiedzie”), Dewi Ayu wciąż leżała w łóżku, nie pozwalając nikomu na przyniesienie do izby dziewczynki o imieniu Piękna. Ale wieść o szkaradnym dziecku i jego spowitej w całun matce rozniosła się jak zaraza, ściągając nie tylko mieszkańców miasta, lecz i przybyszów z najdalszych okolic. Ludzie zjeżdżali, jak mówiono, na narodziny prorokini i porównywali wycie dzikich psów do Gwiazdy Betlejemskiej widzianej przez Mędrców po narodzinach Jezusa; sprzyjał temu widok matki owiniętej w całun, która przypominała podobno wyczerpaną Najświętszą Panienkę, choć było to zbyt daleko idące porównanie.

Przyjezdni prosili wędrownego fotografa, by zrobił im zdjęcia z małym szkaradzieństwem, a ich przerażone twarze przypominały dziewczynki pozujące podczas głaskania małego tygrysa w zoo. Z takimi samymi minami ustawiali się obok Dewi Ayu, która leżała owładnięta przedziwnym spokojem ducha, nie zwracając najmniejszej uwagi na Nielitościwy zgiełk. Paru przybyszów cierpiących na śmiertelne i nieuleczalne choroby chciało dotknąć dziewczynkę, ale Rosina szybko tego zakazała, obawiając się, że zarazki przejdą na niemowlę, i wystawiała na dwór wiadra z wodą po kąpieli Pięknej. Inni zjeżdżali się z nadzieją na wygraną w zakładach albo korzystny interes. Dla nich niema Rosina — która szybko stała się opiekunką dziewczynki — wystawiała pudełka na datki, a te wkrótce napełniły się rupiami. Młoda góralka, całkiem rozsądnie biorąc pod uwagę możliwość odejścia

Dewi Ayu, postanowiła zarobić trochę pieniędzy przy tak niezwykłej okazji, żeby nie martwić się o zapasy niedźwiedziego mleka czy ich wspólną z Piękną przyszłość w pustym domu, w którym raczej nie pojawią się trzy starsze siostry dziewczynki.

Ale poruszenie szybko dobiegło końca, bo nadszedła policja wraz z *kyaiem*, który uznał to wszystko za herezję. Ten *kyai* aż kipiał ze złości i polecił Dewi Ayu skończyć z sianiem zgorszenia, a nawet zdjąć pogrzebowy całun.

— Prosisz kurwę, żeby się rozebrała — stwierdziła Dewi Ayu z przyganą w głosie. — Lepiej więc wyjmij pieniądze i zapłać mi.

Kyai szybko pomodlił się o zmiłowanie i poszedł dalej, żeby już nigdy nie wrócić.

I w domu została tylko Rosina, której nigdy nie przeszkadzały szaleństwa Dewi Ayu bez względu na to, jaką przybierały formę, co po raz kolejny dowiodło, że góralka jest jedyną osobą, która naprawdę rozumie tę kobietę. Zanim Dewi Ayu zabrała się do zabijania dziecka w swoim łonie, oznajmiła, że znudziło się jej rodzenie, dzięki czemu Rosina domyśliła się, że pani jest w ciąży. Gdyby Dewi Ayu powiedziała coś takiego tej czy innej z sąsiadek, których upodobanie do plotek biło na głowę zamiłowanie psów do wycia, sąsiadka taka uśmiechnęłaby się pogardliwie i mruknęła, że to tylko puste gadanie: przestań się kurwić, powiedziałyby, a nie będziesz się musiała martwić, że ktoś zmastruje ci dziecko. Między nami mówiąc, coś takiego można by powiedzieć każdej lafiryndzie, ale nie Dewi Ayu. Nigdy nie myślała o swoich trzech (obecnie czterech) córkach jak o przekleństwie nierządu, a jeśli dziewczynki nie miały ojców, mówiła, oznaczało to, że naprawdę ich nie miały, a nie że nie wiedziały, kim są ich ojcowie, bo z całą pewnością nie z tej przyczyny, że stanęła obok jakiegoś wiejskiego głupka przed naczelnikiem wioski. Uważała, że jej córki są dziećmi demonów.

— Szatan lubi się zabawić tak samo jak Pan Bóg albo inni bogowie — mówiła. — Maria porodziła Bożego Syna, a dwie żony Pandu ³ zrodziły mu boskie dzieci, za to moje łono jest tygłem, w którym nasienie składają demony, żebym rodziła im diabelski pomiot. I mam już tego dosyć, Rosina.

Rosina, jak zwykle, tylko się uśmiechnęła. Nie umiała mówić, wydawała z siebie jedynie niezrozumiały bełkot, ale potrafiła i lubiła się uśmiechać. Dewi Ayu miała do niej słabość z powodu tego uśmiechu. Mawiała o niej niegdyś, że jest małym słońciem, bo słońce, choć mogą być wściekłe, ciągle się uśmiechają, tak jak te, które widzi się w cyrku przyjeżdżającym do miasta pod koniec niemal każdego roku. Rosina odpowiedziała Dewi Ayu za pomocą rąk i języka, którego nie można przyswoić w żadnej szkole i trzeba uczyć się go od Rosiny: odpowiedziała jej, że nie powinna mieć dość, bo nie urodziła dwadzieściora dzieci, a tymczasem Gandari zrodziła aż s t u Kuru ⁴. Usłyszawszy to, a raczej zobaczywszy, Dewi Ayu roześmiała się głośno. Lubiała naiwne poczucie humoru Rosiny i wciąż się śmiejąc,

odrzekła, że Gandari nie rodziła setki dzieci jedno po drugim, ale wydała na świat wielki połec mięsa, który potem zamienił się w stu Kuru.

Taka właśnie była Rosina i tak pracowała — radośnie, nie przejmując się niczym. Opiekowała się dzieckiem, dwa razy w ciągu dnia znikwała w kuchni, a każdego ranka robiła pranie, podczas gdy Dewi Ayu leżała niemal bez ruchu, faktycznie przypominając trupa, czekającego, aż wykopią mu grób. Kiedy była głodna, wstawiała rzecz jasna i jadła, chodziła do łazienki każdego ranka i popołudnia. Ale wróciwszy stamtąd, znów spowijała się w całun i kładła się sztywno wyprostowana, splatając dłonie na brzuchu, zamykając oczy i przywołując na usta lekki uśmiech. Niektóre z sąsiadek podglądały ją przez otwarte okno. Rosina raz po raz je przeganiała, ale nigdy nie zdołała przegonić ich do końca, wskutek czego pytały Dewi Ayu, dlaczego się zwyczajnie nie zabije. Dewi Ayu nie odpowiadała: milczała, leżała nieruchomo i nie uciekała się do zwykłego dla siebie sarkazmu.

Długo oczekiwana śmierć nadeszła wreszcie po południu dwunastego dnia po narodzinach szkaradnej Pięknej — tak przynajmniej wierzyli ludzie. Znakiem, że śmierć jest bliska, było wydane przez Dewi Ayu rankiem tamtego dnia polecenie, aby Rosina dopilnowała, żeby nikt nie umieszczał jej imienia i nazwiska na nagrobnej tablicy. Zamiast tego chciała, aby na tablicy znalazła się jako epitafium jednozdaniowa inskrypcja: „Urodziłam czworo dzieci i umarłam”. Rosina nie była głucha, słyszała doskonale, umiała także czytać i pisać, zapisała więc epitafium w całości, ale polecenie pani natychmiast odrzucił imam z meczetu, który miał prowadzić pogrzeb. Uznał, że cała ta sytuacja sieje jeszcze większe zgorszenie, i zdecydował, iż na nagrobku kobiety nie będzie żadnego napisu.

Martwą Dewi Ayu znalazła po południu jedna z sąsiadek, która podglądała ją przez okno; kobieta była pogrążona w spokojnym śnie, który widuje się tylko w ostatnich godzinach życia. Ale było coś jeszcze: w powietrzu unosił się zapach boraksu. Rosina kupiła boraks w piekarni, a Dewi Ayu osobiście posypała się środkiem mumifikującym, którego inni używają do pulpetów *mie bakso*. Rosina pozwalała ogarniętej obsesją śmierci Dewi Ayu na wszystko i nawet gdyby ta kazała jej wykopać grób i pochować się w nim żywcem, posłuchałaby, przypisując to wyjątkowemu poczuciu humoru pani. Inaczej rzecz się miała z głupią podglądaczką. Sąsiadka wskoczyła bowiem przez okno do izby, święcie przekonana, że tym razem Dewi Ayu posunęła się za daleko.

— Posłuchaj mnie, ty kurwo, która spałaś z naszymi mężami! — zawołała z urazą. — Jeśli chcesz zdechnąć, zdychaj, ale nie mumifikuj ciała, bo to tylko ścierwo, na które nikt nie spojrzy!

Pchnęła Dewi Ayu: ciało przewróciło się na bok, nie otwierając oczu.

Rosina wpadła do izby i pokazała sąsiadce, że pani pewnie umarła.

— Ta kurwa zdechła?

Rosina kiwnęła głową.

— Zdechła?!

Wtedy babsko nieoczekiwanie zalało się łzami, jakby umarła jej własna matka, i między gardłowymi szlochami wyrzucało z siebie chaotycznie:

— Ósmy stycznia zeszłego roku był najpiękniejszym dniem w naszym życiu, całej naszej rodziny. Tamtego dnia mój mąż znalazł przypadkowo pod mostem trochę pieniędzy i poszedł do burdelu Mamy Kalong, i spał z tą kurwą, która teraz leży martwa przede mną. Kiedy wrócił do domu, był łagodny jak baranek. A ósmy stycznia był jedynym dniem, kiedy nikogo z nas nie zlał!

Rosina zerknęła na nią pogardliwie, jakby chciała powiedzieć, że trudno winić męża, że tłucze taką jędzę, a potem pozbyła się krzykaczki, każąc jej rozgłosić nowinę o śmierci Dewi Ayu. Nie trzeba było szykować pogrzebowego całunu, bo kupiła go przed dwunastoma dniami. Nie trzeba było kąpać Dewi Ayu, bo pani wykąpała się sama i sama zmumifikowała ciało.

Gdyby mogła — Rosina pokazywała rękami imamowi najbliższego meczetu — zmówiłaby za siebie modlitwy.

Imam obrzucił dziewczynę nienawistnym spojrzeniem i odrzekł, że nie ma zamiaru zmawiać modlitw za to truchło prostytutki ani tym bardziej chować go w ziemi.

Ponieważ umarła — pokazała Rosina — nie jest już prostytutką.

Kyai Jahro, ten imam z meczetu, poddał się w końcu i poprowadził pogrzeb Dewi Ayu.

A ona aż do śmierci, w której szybkie nadejście wierzyło tak niewielu, nie widziała swojego ostatniego dziecka. Mówiono, że miała niebywałe szczęście, bo żadna matka nie przeżyłaby widoku tak obmierzłego niemowlęcia. Nie zaznałaby spokojnej śmierci ani wiecznego odpoczynku. Tylko Rosina powątpiewała, czy aby na pewno Dewi Ayu nie przeżyłaby widoku córki, bo pani za życia niczego nienawidziła tak bardzo jak ładnych małych dziewczynek. Byłaby uradowana, widząc, jak bardzo różni się jej najmłodsze dziecko od swych starszych sióstr. Ale zobaczyć tego już nie mogła. Ponieważ niema góralka była zawsze posłuszna swej pani, przez wszystkie dni oczekiwania na śmierć nie przystawiała dziecka matce, choć gdyby Dewi Ayu ujrzała córeczkę, mogłaby odłożyć zgon przynajmniej o parę lat.

— To bzdury — oburzał się *kyai Jahro*. — Gdyż chwila śmierci jest w rękach Boga.

Pani chciała umrzeć przez dwanaście dni i umarła — pokazała rękami Rosina, uparta jak Dewi.

Wedle ostatniej woli zmarłej Rosina stała się teraz opiekunką szkaradnego dziecka. I to ona wzięła na siebie niedorzeczny obowiązek wysłania telegramów do trzech córek Dewi Ayu, informując je, że ich matka umarła i zostanie pochowana na komunalnym cmentarzu Budi Dharmy. Żadna z nich oczywiście nie przyjechała, ale

pogrzeb odbył się następnego dnia, poprzedzony eksportacją, jakiej nigdy tam nie widziano i jakiej nie będzie się widzieć przez wiele kolejnych lat. A stało się tak dlatego, że niemal wszyscy mężczyźni, którzy spali z tą ladacznicą, przyszli ją pożegnać czułym pocałunkiem, składanym w bukiety jaśminu, płatki rzucali następnie na drogę, którą przemierzała trumna. Żony i kochanki tych mężczyzn też stłoczyły się wzdłuż całej drogi, wpychając się na plecy żałobników i zerkając zazdrośnie na kondukt, wiedząc, że ich podochoceni mężowie i kochankowie nadal biliby się między sobą o szansę spółkowania z Dewi Ayu, zupełnie nie troszcząc się o to, że ich wybranka jest już tylko trupem.

Rosina szła za trumną niesioną przez czterech sąsiadów. Dziecko szybko usnęło w jej ramionach, osłonięte czarnym welonem, który miała na głowie. Obok niej szła sąsiadka, ta krzykaczka, i niosła kosz pełen płatków kwiatów. Rosina sięgała po nie raz po raz i wyrzucała je wysoko w powietrze razem z monetami, o które walczyły dzieci, biegnące specjalnie w tym celu pod trumną, ryzykując, że zostaną wepchnięte do rowu albo zdeptane przez żałobników, wznoszących błogosławieństwa dla Proroka.

Dewi Ayu pochowano w odległym kącie cmentarza wśród innych złoczyńców, bowiem tak postanowili *kyai* Jahro oraz grabarz. W kącie tym leżeli niepoprawny złodziej z epoki kolonialnej, szalony morderca oraz komuniści, a teraz dołączyła do nich nierządnicą. Wierzono, że wszyscy ci nieszczęśnicy są poddawani w grobach nieustannym ordaliom, zatem roztropnie jest trzymać ich z dala od grobów pobożnych, którzy chcą spoczywać w pokoju, gnić w pokoju i zostać zjedzeni w pokoju przez robaki, a także bez zbędnego zamieszania kochać się z boskimi hurysami.

Kiedy tylko zakończyły się uroczystości pogrzebowe, wszyscy natychmiast zapomnieli o Dewi Ayu. Od tamtej pory nikt nie nawiedzał jej grobu, nawet Rosina z Piękną. Jego ruiny były smagane przez oceaniczne wichry, pokrywały je warstwy gnijących liści plumerii, wyrastał na nich dziki chiński miskant. Jedynie Rosina miała przekonujący powód, dla którego nie dbała o grób Dewi Ayu:

Dbamy tylko o groby zmarłych śmiercią naturalną — powiedziała małej szkaradnej dziewczynce (własnym językiem migowym, którego dziecko oczywiście nie rozumiało).

Być może prawdą było i to, że Rosina miała dar przepowiadania przyszłości — skromny, odziedziczony po mądrych przodkach talent. Przyjechała do miasta po raz pierwszy przed pięciu laty, wraz z ojcem, który przez całe życie kopał w górach piach, a teraz był już stary i cierpiał na dotkliwy reumatyzm. Miała wtedy zaledwie czternaście lat. Oboje pojawili się w pawilonie Dewi Ayu w burdelu Mamy Kalong. Ladacznica początkowo w ogóle nie była zainteresowana dziewczynką ani jej ojcem — starcem z nosem jak papuzi dziób, ze srebrzystymi kręconymi włosami,

pomarszczoną śniadą jak miedź skórą i nade wszystko z tym jego przesadnie ostrożnym sposobem chodzenia, który wyglądał tak, jakby mężczyzna miał się rozpaść, gdyby pchnęła go leciusieńko. Poznała jednak starca i powiedziała w końcu:

— Uzależniłeś się, staruszk. Kochaliśmy się zaledwie przed dwoma dniami.

Starzec uśmiechnął się nieśmiało, niczym chłopak na pierwszym spotkaniu z dziewczyną, i kiwnął głową.

— Chcę umrzeć w twoich ramionach — powiedział. — Nie mogę ci zapłacić, ale oddam ci to nieme dziecko, moją córkę.

Dewi Ayu popatrzyła niepewnie na dziewczynkę. Rosina stała nieopodal i uśmiechała się miło. Była wtedy bardzo chuda i miała na sobie haftowaną sukienkę o wiele na nią za dużą. Przyszła boso, a pofalowane włosy ściągnęła gumką. Miała gładką skórę jak większość góralek, okrągłą buzię, inteligentne wejrzenie, spłaszczony nosek i szerokie usta, którymi obdarzała świat tym przemiłym uśmiechem. Dewi Ayu nie miała pojęcia, do czego mogłaby się jej przydać taka dziewczyna, i spojrzała pytająco na starca.

— Mam już trzy własne córki, więc co miałabym zrobić z tym dzieckiem?

— Umie czytać i pisać, choć nie umie mówić — odrzekł ojciec Rosiny.

— Wszystkie moje dzieci potrafią czytać i pisać oraz mówią — rzuciła Dewi Ayu z drwiącym uśmieszkiem. Ale starzec już wbił sobie do głowy, że pójdzie z nią do łóżka i umrze w jej ramionach, płacąc za to niemą córkę.

— Możesz zrobić z niej, co ci się żywnie podoba, nawet dziwkę i brać od niej pieniądze, które będzie zarabiać do końca życia — stwierdził. — A jeśli żaden mężczyzna nie zechce się z nią położyć, porąbiesz ją na kawałki i sprzedasz jej mięso na targu.

— Nie jestem pewna, czy ktoś chciałby zjeść mięso z tego dziecka — odparła Dewi Ayu.

Starzec nie chciał dać za wygraną i po pewnym czasie zaczął przypominać chłopczyka, któremu bardzo chce się sikać. Nie chodzi o to, że Dewi Ayu nie była wspaniałomyślna i nie chciała ofiarować starcowi kilku pięknych ostatnich godzin na swoim materacu, ale o to, że wpadła w konsternację na myśl o tej dziwnej transakcji i nie wiedziała, co począć, więc przenosiła raz po raz wzrok ze starca na niemą dziewczynkę, aż w końcu ta poprosiła o papier i ołówek i napisała:

„Wyświadczy mi tę łaskę i prześpij się z nim, bo za chwilę umrze”.

Więc przespała się ze starcem, nie dlatego, że przystała na transakcję, ale dlatego, że córka wstawiła się za kończącym żywot ojcem. Zmagali się i kotłowali na łóżku, a niema dziewczynka siedziała na krześle przed drzwiami izby i czekała, ściskając torbę wypełnioną odzieniem, którą wcześniej niósł ojciec. Jak się okazało, Dewi Ayu nie potrzebowała zbyt wiele czasu i przyznała później, że mało co wtedy poczuła: ledwie słabe łaskotanie pośrodku krocza.

— Jakby ważka usiadła mi na pępku — powiedziała.

Starzec bez zbędnych wstępów zaatakował ją wściekle, niczym batalion holenderskich żołnierzy siejących śmierć i pożogę. Poruszał się przy tym całkiem swobodnie, jakby zapomniał o reumatyzmie. Jego pośpiech szybko przyniósł owoce, bo wydał z siebie zduszony jęk, a jego ciałem wstrząsnął spazm. Dewi Ayu sądziła początkowo, że to spazm męczyzny opróżniającego zawartość jąder, ale wyszło na to, że było w tym coś więcej, gdyż starzec wyzionął ducha. Umarł w jej ramionach z ciągle sztywną i moką dzidą.

Pochowali go po cichu w tym samym kącie cmentarza, w którym później złożono Dewi Ayu. Choć Rosina nie dbała o grób swojej pani, odwiedzała grób ojca pod koniec każdego miesiąca postu, wrywając chwasty i modląc się bez przekonania. Dewi Ayu zabrała niemowę do domu, lecz nie jako zapłatę za smutny wieczór, ale dlatego, że mała niemowa nie miała już ani ojca, ani matki, ani nikogo innego z rodziny. Dotrzyma mi przynajmniej towarzystwa, myślała wówczas o dziewczynce, będzie iskała mi wszy każdego popołudnia i pilnowała domu, kiedy ja będę w burdelu.

Rosina spodziewała się, że znajdzie się w jakimś rozpustnym domostwie, ale dom Dewi Ayu był cichy i spokojny. Ściany miały kremowy kolor i wyglądały, jakby nie malowano ich od lat, na lustrze pojawił się kurz, a w oknach wisiały pokryte pleśnią zasłony. Nawet kuchnia sprawiała wrażenie, jakby nikt z niej nie korzystał, a jeśli już, to tylko parzył kawę. Zadbane były tylko łazienka z dużą wanną w japońskim stylu oraz należąca do pani sypialnia. Po kilku dniach spędzonych w nowym domu Rosina okazała się dziewczyną wartą każdych pieniędzy i z nawiązką zarobiła na swoje utrzymanie. W czasie kiedy Dewi Ayu kładła się na popołudniową drzemkę, niemowa odmalowała ściany, wyszorowała podłogę, umyła szyby w oknach i wypolerowała je trocinami od stolarza, zmieniła zasłony i zaczęła sprzątać podwórko, które wkrótce rozkwitło kwiatkami.

Pewnego popołudnia Dewi Ayu obudził po raz pierwszy od bardzo dawna dobiegający z kuchni aromat ziół i przypraw; zjadły razem obiad, zanim pani wyszła do pracy. Rosina nie miała nic przeciwko panującym wcześniej w domu opłakanym warunkom, ale nie miała też nic przeciwko sprzątanu, choć zaintrygowało ją to, że mieszkają tylko we dwie. Dewi Ayu nie znała jeszcze języka znaków niemej dziewczyny, więc Rosina sięgnęła po kartkę.

„Mówiła pani, że ma troje dzieci?”

— Owszem — odpowiedziała Dewi Ayu. — Wyprowadziły się, kiedy tylko nauczyły się rozpinać męskie rozporki.

Rosina przypomniała sobie te słowa, kiedy kilka lat później Dewi Ayu stwierdziła, że nie chce znów zająć w ciążę (choć była już ciężarna) i ma dość rodzenia dzieci. Często gawędziły ze sobą popołudniami, siedząc w kuchennych drzwiach i przyglądając się, jak hodowane przez Rosinę kury grzebią w ziemi.

Dewi Ayu opowiadała wówczas niczym Szeherazada przeróżne fantastyczne historie, najczęściej o swoich pięknych córkach. Tak zrodziła się ich pełna zrozumienia przyjaźń. Dlatego kiedy Dewi Ayu wzięła się do zabijania ostatniego dziecka w brzuchu na różne najprzemysłniejsze sposoby, Rosina nie próbowała jej powstrzymać. Dewi Ayu wpadła w rozpacz, ale Rosina okazała się mądrą dziewczyną i pokazała ladczyńskie ręce:

Niech się pani modli, żeby była brzydka.

Dewi Ayu spojrzała na nią i powiedziała:

— Minęło wiele lat, odkąd się modliłam.

Wszystko zależy od tego, do kogo się pani modli. — Rosina się uśmiechnęła. — Niektórzy bogowie są, mówiąc szczerze, skąpi.

Więc Dewi Ayu zaczęła się modlić niezobowiązująco. Modliła się, kiedy przyszła jej na to ochota: w łazience, w kuchni, na ulicy, a nawet wtedy, kiedy jakiś tłuścioch wiosłował na jej ciele, a ona nagle sobie o tym przypominała; mówiła wtedy: o wy, którzy słuchacie mej modlitwy, bogowie czy demony, aniołowie czy ifryty ⁵ — sprawcie, żeby moje dziecko było paskudne. Zaczęła nawet wyobrazać sobie przeróżne brzydkie rzeczy. Na przykład diabła z rogami, z wystającymi jak u dzika kłami, i dziecko w takiej upragnionej postaci. Któregoś dnia zobaczyła gniazdko elektryczne i pomyślała, że tak mógłby wyglądać jego nos. Wyobraziła sobie także jego uszy jak ucha garnka i usta jak szparka w świnie skarbonce, i włosy jak różgi miotły. Skakała nawet z radości, kiedy ujrzała w klozecie jakieś szczególnie obrzydliwe gówienko i prosiła bogów o właśnie takie dziecko: o skórze warana z Komodo i nogach żółwia. Dewi Ayu żyła tymi wyobrażeniami, które z dnia na dzień stawały się coraz bardziej szalone, a tymczasem w jej brzuchu rościło dziecko.

Zwieńczeniem tego wszystkiego był pewien wieczór po siódmym pełnym księżycu ciąży, kiedy kąpała się w różanej wodzie w towarzystwie Rosiny. Tego dnia ciężarne wypowiadają życzenia skierowane do dziecka i rysują jego twarz w łupinie kokosowego orzecha. Większość przyszłych matek narysowałaby oblicza Draupadi, Szinty czy Kunti ⁶, czy też innej przesłicznej bohaterki teatru lalek *wayang*, a gdyby liczyły na syna, narysowałyby Judistirę, Arjuna albo Bimę ⁷. Natomiast Dewi Ayu — jako zapewne pierwsza matka na świecie, która nie była pewna efektu zaklęć aż do samej śmierci — narysowała węglem drzewnym dziecko najszkaradniejsze z możliwych. Miała nadzieję, że nie będzie przypominało nikogo ani niczego, co do tej pory widziała, z wyjątkiem, być może, dzikiej świni albo małpy. Narysowała więc postać przerażającego potwora — takiego, jakiego jeszcze nie spotkała i nie spotka do czasu, aż ją pochowają.

Ale w końcu go ujrzała — po dwudziestu jeden latach, w dniu, w którym zmartwychwstała.

Dzień zamieniał się już w noc, a cyklony sprowadziły ulewny deszcz, który

oznaczał zmianę pór roku. Na wzgórzach dzikie psy, *ajaki*, wyły przeszywająco, zagłuszając nawet muezina, który wzywał wiernych do przedwieczornej modlitwy *Al-Maghrib* w meczecie. Miał niewątpliwie utrudnione zadanie, bo większość ludzi nie lubiła wychodzić w ulewie o zmroku, w dodatku kiedy ujadły psy, a po drogach przechadzał się biadolący duch w pogrzebowym całunie i dosyć opłakanym stanie.

Odległość dzieląca cmentarz komunalny od domu Dewi Ayu nie była mała, ale większość kierowców *ojek* wolała rzucić motocykle do rowu i uciec najszybciej jak się dało, niż ją podwieźć. Nie zatrzymał się też żaden minibus. Stożące wzdłuż drogi stragany i sklepy pospiesznie pozamykano, barykadując wejścia i okna. Na ulicy nie było nikogo — nawet bezdomnych czy szalonych — oprócz starej kobiety, która zmartwychwstała. Nad jej głową fruwały zmagające się z cyklonem nietoperze, a tu i ówdzie rozsuwała się w oknie zasłona, za którą ukazywały się pobielające ze strachu twarze.

Dewi Ayu trzęsa się z zimna i była głodna. Kilka razy usiłowała zapukać do drzwi tych, którzy mogli ją jeszcze pamiętać, ale ukryci za drzwiami ludzie woleli nie odpowiadać, o ile nie padli jeszcze trupem. Uradowała się ogromnie, kiedy wreszcie ujrzała z daleka dom, który wyglądał tak samo jak przed złożeniem jej w grobie. Przez całą długość ogrodu zwieszały się bugenwille, a chryzantemy okalające posiadłość nie przejmowały się strugami deszczu; na werandzie świeciło łagodne światło lampy. Okropnie stęskniła się za Rosiną i miała wielką nadzieję, że czeka na nią talerz ciepłej stawy. Wyobrazenie to dodało jej skrzydeł, jak ludziom wysiadającym z pociągów czy autobusów, przez co rozwiązał się jej pogrzebowy całun, którym targał wiatr, ukazując jej nagie ciało; chwyciła szybko połę perkalu i owinęła się nim niczym dziewczyna ręcznikiem po kąpieli. Tęskniła za dzieckiem, tym czwartym, i chciała zobaczyć, co z niego wyrosło. To prawda, co mówią ludzie: długi, głęboki sen zmienia nastawienie, szczególnie gdy trwa dwadzieścia jeden lat.

Na werandzie pod upiornym nimbem gołej żarówki — tam gdzie popołudniami Rosina i Dewi Ayu iskały się nawzajem — siedziała dziewczyna. Siedziała tak, jakby na kogoś czekała. Dewi Ayu uznała na początku, że to Rosina, ale kiedy przed nią stanęła, zdała sobie sprawę, że nie zna tego stworzenia. O mało nie wrzasnęła, widząc przerażającą postać, która wyglądała jak ciężko poparzona, a złośliwy głos w głowie Dewi Ayu szepnął jej, że nie wróciła na ziemię, ale wędruje po kręgach piekielnych. Była jednak na tyle rozsądna, żeby uznać, że ten odrażający potwór jest nikim więcej jak tylko przekłętą przez los młodą dziewczyną. Poczła nawet wdzięczność, że wreszcie spotkała kogoś, kto nie ucieka na widok spacerującej w deszczu staruszki owiniętej pogrzebowym całunem. Oczywiście nie wiedziała, że patrzy na córkę, bo nie zdawała sobie sprawy, że od jej śmierci upłynęło już dwadzieścia jeden lat, więc chcąc ukryć zmieszanie, przywitała się.

— To jest mój dom — powiedziała tytułem wyjaśnienia. — A ty jak masz na imię?

— Piękna.

Dewi Ayu zanosła się szyderczym śmiechem, ale szybko się opamiętała i wszystko pojęła. Usiadła na krześle po przeciwnej stronie przykrytego żółtym obrusem stołu. Przed dziewczyną stała filiżanka kawy.

— Jestem jak krowa, która widzi, że nowo narodzone cielę umie biegać — stwierdziła zmieszana, a potem poprosiła uprzejmie o kawę ze stołu, którą po chwili wypła. — Jestem twoją matką — dodała, bardzo dumna z tego, że jej córka jest dokładnie taka, jaką sobie wymarzyła. Gdyby nie lało, gdyby nie była głodna, gdyby świecił jasno księżyc, wspięłyby się na dach i zatańczyła na nim z radości.

Dziewczyna nie podniosła głowy i nie odezwała się ani słowem.

— Dlaczego siedzisz na werandzie w środku nocy? — zapytała córkę Dewi Ayu.

— Czekam na księcia z bajki — odpowiedziała w końcu, nie patrząc na matkę. — Żeby uwolnił mnie od tej szpetnej twarzy.

Marzyła o księciu z bajki, odkąd zdała sobie sprawę, że ludzie nie są tak brzydcy jak ona. Rosina zabierała ją do domów sąsiadek, kiedy jeszcze nie umiała chodzić, ale nikt nie chciał ich przyjąć, bo dzieci wrzeszczały na jej widok i płakały przez resztę popołudnia, a starcy dostawali gorączki i umierali po dwóch dniach. I nic się nie zmieniło, kiedy musiała pójść do szkoły. Nikt jej tam nie chciał. Rosina poszła nawet do dyrektora, ale ten bardziej zainteresował się niemą dziewczyną niż szkaradną siedmiolatką i zamknąwszy drzwi, grubiańsko się do niej dobierał. Mądra Rosina pomyślała, że chcieć to móc, a jeśli ma stracić dziewictwo, żeby Piękna chodziła do szkoły, to ona nie ma nic przeciwko temu. Więc tamtego ranka znalazła się naga na obrotowym fotelu dyrektora, z którym kochała się w szumie wentylatora przez dwadzieścia trzy minuty, ale to i tak nic nie dało, bo nie przyjęto Pięknej do szkoły, gdyż wypisałyby się z niej pozostałe dzieci.

Rosina się nie poddała i postanowiła ostatecznie, że sama zajmie się edukacją dziewczynki, przynajmniej jeśli chodzi o liczenie, czytanie i pisanie. Lecz zanim zdołała ją czegokolwiek nauczyć, stwierdziła ze zdumieniem, że Piękna umie bez problemu policzyć nawoływania waranów. Jej konsternacja jeszcze wzrosła, kiedy pewnego popołudnia dziewczynka wyciągnęła stertę książek zostawionych przez mamę i przeczytała je na głos, choć nikt nie uczył jej liter. W tych zdumiewających wydarzeniach było coś nadprzyrodzonego, a wszystko zaczęło się wiele lat wcześniej, kiedy ku zaskoczeniu Rosiny dziecko nagle zaczęło mówić, samo z siebie, bo nikt go tego nie uczył. Rosina próbowała szpiegować małą, ale dziewczynka nigdy nie oddalała się bardziej niż do ogrodu i nikt do niej nie przychodził, nikogo też jeszcze nie spotkała, poza niemą służącą, która rozmawiała z nią rękami. Mimo to znała określenia na wszystkie rzeczy widzialne i niewidzialne, wiedziała, że kot to kot, waran to waran, kura to kura, a kaczki to te

niezdarne ptaki, które chodzą wokół domu.

Pominąwszy jednak te cuda, nadal była nieszczęsną, brzydką i godną pożałowania dziewczynką. Rosina często przyłapywała ją ukrytą za wiszącą w oknie zasłoną, gdy przyglądała się chodzącym po ulicy ludziom, a kiedy Rosina wychodziła na zakupy, Piękna wpatrywała się w nią błagalnie. Rosina nie miała oczywiście nic przeciwko temu, żeby ją ze sobą zabrać, ale Piękna nie chciała, tłumacząc smutnym głosem:

— Nie, lepiej zostanę w domu, bo ludzie stracą apetyt na resztę życia.

Wychodziła z domu wcześniej rano, kiedy wszyscy jeszcze spali, z wyjątkiem śpieszących na targ sprzedawców warzyw, rolników idących na pola czy rybaków ciągnących po nocnym połowie do domów pieszo lub na rowerach. Ci nie zwracali na nią uwagi w szarówce przed świtem. Właśnie wtedy mogła poznać świat: pełen nietoperzy wracających do gniazd, wróbli siadających na pąkach migdałowców, gdaczących głośno kur, wykluwających się z poczwerek motyli, które opadały na płatki hibiskusa, kotów przeciągających się na matach, zapachów dobiegających z kuchni sąsiadów, warczących w oddali silników, nadawanych skądś radiowych kazań, a nade wszystko jaśniejącą na wschodzie Wenus. Świat ten poznawała radośnie, siedząc na wiszącej na karamboli huśtawce. Rosina nie miała pojęcia, że jaśniejący na wschodnim niebie punkcik nazywa się Wenus, a Piękna wiedziała o tym doskonale, tak jak o znakach zodiaku na niebie.

Ale kiedy tylko zaczynało świtać, znikła w głębi domu, niczym żółw uciekający przed tymi, którzy go niepokoją, a robiła tak dlatego, że przed bramą przystawały idące do szkoły dzieci, które z zaciekawieniem wpatrywały się w drzwi i okna, mając nadzieję, że ją zobaczą. Starsi opowiadali im przerażające historie o mieszkającej w tym domu Pięknej, gotowej odgryźć im głowy przy najdrobniejszej zniewadze albo pożreć ich żywcem przy najcichszej skardze. Wszystkie te opowieści prześladowały dzieci, a jednocześnie wzmagaly pragnienie spotkania potwora, żeby rozstrzygnąć raz na zawsze, czy takie koszarne monstrum w ogóle istnieje. Ale nigdy jej nie ujrzały, bo najczęściej w drzwiach pojawiała się Rosina z miotłą w ręku, a dzieci na jej widok odwracały się i uciekały, wyrzaskując obelgi pod adresem niemej dziewczyny. Prawdę mówiąc, nie tylko dzieci przystawały przed bramą, żeby ujrzyć Piękna, głowy odwracały także kobiety mijające dom w rykszach *becak*, podobnie jak ludzie śpieszący do pracy czy pasterze pędzący owce.

Piękna opuszczała dom nocą, kiedy dzieci nie mogły już wychodzić na zewnątrz, rodzice byli zajęci ich wychowywaniem, a jedynymi ludźmi na ulicy byli rybacy, idący szybkim krokiem nad morze z wiosłami i sieciami na plecach. Siadała wówczas na werandzie przy filiżance kawy. Kiedy Rosina pytała ją, co robi tak późno na dworze, Piękna odpowiadała jej tak, jak odpowiedziała matce:

— Czekam na księcia z bajki, żeby uwolnił mnie od tej szpetnej twarzy.

— Nieszczęsna dziewczyno! — odpowiedziała jej matka tamtej nocy, kiedy spotkały się po raz pierwszy. — Powinnaś tańczyć z radości i dziękować Bogu za takie błogosławieństwo. Wejdźmy do środka.

Dewi Ayu po raz kolejny doświadczyła, co znaczy dobroć Rosiny, gdyż ta niema niemal natychmiast przygotowała jej ciepłą kąpiel w starej wannie, dodając do niej siarki, drewna sandałowego i liści betelu oraz wykładając pumeks, dzięki czemu zmarła pojawiła się odświeżona przy jadalnym stole. Rosina i Piękna nie mogły wyjść z podziwu, widząc jej wilczy apetyt — pochłaniała potrawy, jakby chciała nadrobić te wszystkie długie lata, przez które obywatła się bez pożywienia. Zjadła dwa tuńczyki w całości razem z ośmi i kręgosłupem, do tego miskę zupy i dwa talerze ryżu. Popijała to czystym bulionem z pływającymi w nim resztkami ptasich gniazd. Jadła szybciej od dwóch towarzyszących jej kobiet. Potem nieustannie burczało jej w brzuchu, a wydawszy z dupy grzmot, z rodzaju tych, których nie da się utrzymać w środku, otarła usta serwetką i zapytała:

— Więc jak długo leżałam w grobie?

— Dwadzieścia jeden lat — odpowiedziała Piękna.

— Wybaczcie, to o wiele za długo — stwierdziła z żalem w głosie. — Ale pod ziemią nie ma budzików.

— Następnym razem nie zapomnij zabrać ze sobą budzika — napomniała ją troskliwie Piękna. — I moskitiery — dodała.

Dewi Ayu nie zważała na jej słowa, wypowiedziane cichym, piskliwym, melodyjnym sopranem, i mówiła dalej:

— To z pewnością dezorientujące, że zmartwychwstałam dopiero po dwudziestu jeden latach, zważywszy, że ten długowłosy, który umarł na krzyżu, leżał w grobie tylko trzy dni, zanim powstał.

— To b a r d z o dezorientujące — zgodziła się Piękna. — Następnym razem przyślij, proszę, telegram przed zmartwychwstaniem.

Tym razem Dewi Ayu nie mogła zignorować tego głosu. Zastanowiwszy się nad tym przez chwilę, doszła do wniosku, że w komentarzach dziewczyny wyczuwa wrogi ton. Spojrzała na nią, ale szkaradzieństwo tylko uśmiechnęło się do niej, jakby na znak upomnienia, że nie powinna postępować tak lekkomyślnie. Dewi Ayu przeniosła wzrok na Rosinę, być może szukając u niej wskazówki, ale ona tylko się uśmiechnęła, nie mając nic do ukrycia.

— Ni z tego, ni z owego, Rosino, masz już czterdzieści lat. Za krótką chwilę będziesz stara i pomarszczona. — Wypowiadając te słowa, Dewi Ayu zachichotała cicho, jakby chciała rozładować atmosferę przy jadalnym stole.

Jak żaba — odpowiedziała Rosina na migi.

— Jak komodo — zażartowała Dewi Ayu.

Spojrzały obie na Piękną, czekając, aż coś doda, i nie musiały czekać długo:

— Jak ja — powiedziała. Krótko i przerażająco.

Przez kilka dni Dewi Ayu, zajęta przyjmowaniem wizyt starych przyjaciół, którzy chcieli usłyszeć opowieści o świecie zmarłych, mogła nie zwracać uwagi na irytującą obecność potwora w domu. Nawet *kyai*, który przed wielu laty z wielkim ociąganiem poprowadził jej pogrzeb i zawsze spoglądał na nią z niesmakiem, z jakim młode dziewczę patrzy na dżdżownicę, złożył jej teraz wizytę z cnotliwą gorliwością pobożnego męża, który staje przed świętą, i stwierdził szczerze, że jej zmartwychwstanie jest cudem i z pewnością nie dostąpiłaby takiej łaski, gdyby nie była przeczysta.

— Oczywiście, że jestem przeczysta — odrzekła na to lekko Dewi Ayu. — Gdyż przez dwadzieścia jeden lat nie dotknął mnie ani jeden człowiek.

— Jak to jest być martwą? — zapytał *kyai* Jahro.

— W gruncie rzeczy to dosyć zabawne. I właśnie z tej przyczyny żaden z umarłych nie chce wrócić do życia.

— Ale ty wróciłaś — zauważył *kyai*.

— Wróciłam po to, żeby ci to powiedzieć.

To nadawało się idealnie do piątkowego kazania w południe i *kyai* wyszedł rozpromieniony. Nie musiał się wstydzić odwiedzać Dewi Ayu (choć przed wielu laty wykrzykiwał głośno, że chodzenie do tej ladacznicy jest grzechem i każdy, kto przestąpi próg jej domu, będzie się smażył w piekle), bo jak sama powiedziała, po dwudziestu jeden latach niedotkania przez żywą duszę nie była już prostytutką, a można wierzyć, że ani teraz, ani już nigdy nikt nie zechce jej dotknąć.

Na tym zamieszaniu związanym z powrotem starej kobiety do świata żywych najbardziej ucierpiała Piękna, która musiała zamykać się u siebie w pokoju. Na szczęście nikt nie zostawał u nich dłużej niż przez kilka minut, bowiem goście wyczuwali szybko przeraźliwy strach, wydobywający się zza zamkniętych drzwi sypialni Pięknej. Owiewał ich dziwnie mdlący zapach, złowrogi powiew, czarny i szkaradny, wydostający się przez szparę pod drzwiami i dziurkę od klucza — przenikliwy chłód, który przeszywał ich do szpiku kości. Większość z nich widziała Piękną tylko po urodzeniu, kiedy akuszerka chodziła po wsi, szukając mamki. Ale sama myśl o niej wystarczała, żeby włosy stawały im dęba na karkach, a ciała przechodził dreszcz od samego patrzenia na drzwi potwora, spod których wydobywał się złowrogi zapach niesiony powiewem do ich nozdrzy, a otaczała je cisza, od której dzwoniło w uszach. Wtedy to zaczęli paplać bez ładu i składu jakieś brednie i zapomniawszy, że przyszli tu wysłuchać cudownych opowieści Dewi Ayu, dopijali szybko gorzką herbatę i wracali do domów, by podzielić się nowinami.

— Bez względu na to, jak bardzo chciałbyś zobaczyć Dewi Ayu, która wstała z martwych — napominali każdego, kto pytał o te przerażające odwiedziny —

radzę ci nie wchodzić do tego domu.

— Dlaczego?

— Bo wystraszysz się na śmierć.

Dlatego kiedy ludzie przestali składać wizyty, Dewi Ayu zaczęła dostrzegać inne dziwactwa Pięknej, poza znanym jej już nawykiem siadania na werandzie i czekania na księcia z bajki oraz wróżenia z gwiazd. W środku nocy usłyszała odgłosy szamotaniny dochodzące z sypialni Pięknej, więc wstała z łóżka, poszła i stanęła w ciemności przed drzwiami dziewczyny, nadstawiając ucha, czując coraz większe pomieszanie z powodu tego, co słyszała i co wydobywało się z gardła tego szkaradzieństwa. Nie była w stanie się poruszyć, kiedy pojawiła się Rosina z latarką, którą oświetliła twarz pani.

— Znam te dźwięki — szepnęła półgłosem Dewi Ayu. — Z burdelu.

Rosina kiwnęła głową.

— To odgłosy kochających się ludzi — ciągnęła Dewi Ayu.

Rosina znów przytaknęła.

— Pytanie brzmi: z kim ona się kocha albo kto chciałby kochać się z nią?

Rosina pokręciła głową. Z nikim się nie kochała. A raczej z kimś się kochała, ale nie wiadomo z kim, bo nie można go było z o b a c z y ć.

Dewi Ayu spojrzała z podziwem na opanowaną niemą dziewczynę. Przypomniała sobie własne szaleństwa i czas, kiedy tylko Rosina ją rozumiała. Usiadły nocą w kuchni przed tym samym starym piecem, na którym zawsze wstawiały wodę na kawę i czekały, aż się zagotuje. Gawędziły, tak jak miały to w zwyczaju w poświacie płomieni, liżących krawędzie suchych nadpalonych drzazg z połamanych gałązek kakaowca, łodyg palmy i włókien z kokosowych skorup.

— Nauczyłaś ją jak? — zapytała Dewi Ayu.

Jak co? — zapytała Rosina, bezdźwięcznie poruszając ustami.

— Jak się samogwałcić.

Rosina pokręciła przecząco głową.

Piękna się nie samogwałci, kocha się z kimś, tylko nie wiadomo z kim.

— Dlaczego?

Dlatego, że ja też nie wiem. Rosina pokręciła głową.

Opowiedziała Dewi Ayu o tych wszystkich cudach, które się wydarzyły: o tym, że kiedy Piękna była jeszcze małym dzieckiem, nauczyła się mówić bez niczyjej pomocy, a potem, kiedy miała sześć lat, bez niczyjej pomocy nauczyła się czytać i pisać, i jeszcze o tym, że Rosina nie musiała jej niczego uczyć, bo dziewczyna umie robić takie rzeczy, o których Rosina nie ma zielonego pojęcia. Haftowała już jako dziewięciolatka, szyła, kiedy miała lat jedenaście, i... lepiej niech pani nie pyta... umie ugotować wszystko, co tylko dusza zapragnie.

— Ktoś musiał ją tego nauczyć — stwierdziła skonfundowana Dewi Ayu.

Ale nikt nie przychodzi do tego domu — pokazała rękami Rosina.

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to, jak przychodzi i jak to robi, że nikt o tym nie wie. Ale przychodzić musi i musiał ją wszystkiego nauczyć, nawet jak się kochać.

Tak, to prawda, przychodzi i kocha się z nią.

— Ten dom jest nawiedzony.

Rosina nigdy nie chciała uwierzyć, że dom jest nawiedzony, ale Dewi Ayu znała się na tym lepiej. Była jeszcze jedna sprawa, ale Dewi Ayu nie chciała o niej mówić Rosinie, a przynajmniej nie tej nocy. Wstała i wróciła szybko do łóżka, zapominając o wrzającej wodzie i filiżance kawy.

Przez kolejne dni stara usiłowała podglądać brzydką młodą dziewczynę, żeby znaleźć najsensowniejsze wytłumaczenie wszystkich tych cudów, bowiem coś nie mogła uwierzyć w sprawstwo ducha, nawet jeśli w domu mieszkał jakiś.

Pewnego ranka Dewi Ayu i Rosina zastały przed rozpalonym piecem starca, który drżał z porannego chłodu. Wyglądał jak partyzant z potarganymi brudnymi włosami, związanymi z tyłu żółtym zwiędłym liściem. Wrażenie to pogłębiały zapadnięta twarz, jakby głodował od lat, oraz ciemny ubiór, pokryty plamami błota i krwi. Na jego biodrze, na skórzanym pasku, wisiał krótki sztylet. Na nogach miał wojskowe kamasze, takie jakie nosili Gurkhowie podczas wojny, a buty te były na niego o wiele za duże.

— Kim jesteś? — zapytała Dewi Ayu.

— Mów do mnie Szodanczo — odrzekł starzec. — Umieram z zimna, pozwól mi się ogrzać przez chwilę przy piecu.

Rosina chciała podejść do tego racjonalnie. Może w przeszłości rzeczywiście dowodził *szodanem*, może służył w batalionie w Halimundzie i wystąpił przeciw Japończykom, po czym zniknął w dżungli. Może ukrywał się w niej latami, nie wiedząc, że Holendrzy i Japończycy już dawno sobie poszli, że mamy obecnie republikę z własną flagą i własnym hymnem narodowym. Rosina poczęstowała go śniadaniem, spoglądając na niego wyrozumiale i okazując mu nieco na wyrost szacunek.

Natomiast Dewi Ayu patrzyła na niego podejrzliwie, zastanawiając się, czy nie jest przypadkiem tym księciem, na którego czekała każdego wieczoru jej córka, i czy to przypadkiem nie on ją nauczył, jak się kochać. Ale partyzant wyglądał na ponad siedemdziesiąt lat, więc od dawna powinien być impotentem, co uspokoiło Dewi Ayu i odeгнаło nieprzyjemne myśli. Zaproponowała mu nawet, żeby z nimi zamieszkał, bo miały wolny pokój, a starzec wyglądał na kogoś, kto zupełnie stracił kontakt z otaczającym go światem.

Szodanczo, który rzeczywiście był w opłakanym stanie, a umysł miał kompletnie pomieszany, przyjął zaproszenie. Był wtorek, trzy miesiące od zmartwychwstania Dewi Ayu. Tego samego dnia znaleźli Piękną rozciągniętą na podłodze sypialni w budzącej litość pozie. Matka pomogła jej wstać, a Rosina położyła ją na łóżku.

Nagle za ich plecami wyrósł Szodanczo, który powiedział:

— Spójrzcie na jej brzuch. Ona jest w ciąży. Przynajmniej od trzech miesięcy.

Dewi Ayu spojrzała z niedowierzaniem na Piękną, a w jej spojrzeniu nie było już konsternacji, tylko gniew, którego wcale nie łagodziła niewiedza.

— Jak zaszłaś w ciążę? — zapytała stanowczo.

— Tak samo jak ty, c z t e r y r a z y — odpowiedziała Piękna. — Rozebrałam się do naga i kochałam z mężczyzną.

1. Na Jawie muzułmański teolog i uczonec [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza]. ↵
2. Jawajska uczta. ↵
3. W *Mahabharacie* król Hastinapur i ojciec pięciu braci Pandawa. ↵
4. W *Mahabharacie* mężem Gandari był ślepy Dritarasztra z dynastii Kuru. ↵
5. W wierzeniach arabskich: zły duch, najpotężniejszy z dżinów. ↵
6. W *Mahabharacie* odpowiednio: żona braci Pandawów; żona Ramy; matka trzech najstarszych Pandawów. ↵
7. W *Mahabharacie*: bracia Pandawowie. ↵

COŚ DZIWNEGO MUSIAŁO SIĘ WYDARZYĆ, bo pewnego wieczoru stary został zmuszony do poślubienia nastoletniej Dewi Ayu. Spał w najlepsze i chrapał, kiedy przed domem stanęło auto marki Colibri, a ze snu wyrwały go strzały z gaźnika w samym środku ciemnej nocy. Starzec, Ma Gedik, nie otrząsnął się jeszcze z osłupienia, kiedy osłupiał po raz kolejny z szybkością huraganu: z auta wysiadł zbir z maczetą u boku i kopnął śpiącego przed drzwiami kundla starego. Pies zaszczekał ostro i zerwał się na cztery łapy, gotów do walki, ale wszystko na nic, bo kierowca colibri z miejsca położył go trupem, strzelając do niego ze strzelby. Pies zawył przed śmiercią i dokładnie w tej samej chwili zbir kopnął w drzwi ze sklejki, prowadzące do chaty Ma Gedika, wrywając je z jednego zawiasu.

W chacie panowały ciemności, jakby mieszkały w niej nietoperze i jaszczurki, a nie ludzie. Dwie małe izdebki były ledwo widoczne w słabej księżycowej poświacie: sypialnia, w której na krawędzi pryczy siedział starzec, oraz kuchnia, gdzie stał wypełniony popiołem piec. Wszędzie wisały pajęczyny, z wyjątkiem dróżki, którą stary pokonywał z łóżka do kuchni i drzwi. Zbir, krztusząc się od smrodu szczyń, gorszego niż w jakimkolwiek chlewie, chwycił ze sterty przy piecu garść suchych palmowych liści, zwinął je i podpalił, zamieniając liście w pochodnię. Izbę natychmiast zaludniły kołyszące się i drżące cienie we wszystkich rozmiarach i kształtach. Nietoperze wyleciały na dwór. Stary ciągle siedział na krawędzi pryczy, patrząc na nieproszonego gościa w wielkim pomieszaniu.

Kolejna niespodzianka: zbir pokazał mu glinianą tabliczkę, zapisaną równymi literkami pisma młodej dziewczyny. Stary nie umiał czytać, podobnie jak zbir, ale ten wiedział przynajmniej, co było tam napisane.

— Dewi Ayu chce wyjść za ciebie za mąż — powiedział.

To chyba żart. Znał swoje miejsce, był stary, przeżył już ponad pół wieku, i nawet wdowy, których mężowie pomarli w sułtanacie Deli czy zostali zesłani do Boven-Digoel ¹, wolały zbierać pobożne uczynki na życie wieczne, niż wychodzić za mąż za takiego starego kulisa jak on. Byłoby dobrze, gdyby pamiętał, jak się utrzymuje kobietę, bo zapomniał już, jak się z nią śpi. Po raz ostatni odwiedził burdel przed bardzo wielu laty, a robił to sobie sam, ręką, mniej więcej w tym samym czasie. Odezwał się więc do zbira z naiwnością wiejskiego głupka:

— Nie jestem pewny, czy z d o ł a m ją poślubić.

— Nieważne, czy to ty ją rozdziewiczysz, czy zrobi to chuj twojego psa, bo ona chce wyjść za ciebie za mąż i już — warknął zbir. — A jak będziesz się stawiał, pan Stammler przerobi cię na mięso dla *ajaków*.

Zadrzał na samą myśl o czymś takim. Wielu Holendrów hodowało dzikie psy do polowania na dzikie świnie i wszyscy wiedzieli, że jeśli ktoś im się nie spodobał, wrzucali go do zagrody *ajaków*, żeby walczył z nimi o życie. Lecz nawet jeśli ta groźba była prawdziwa, ożenek z Dewi Ayu nie był prostą sprawą, tym bardziej że nie rozumiał, dlaczego musi ją poślubić. A poza tym złożył ślub, że nigdy nie ożeni się z żadną kobietą, bo kocha tylko Ma Iyang, dziewczynę, która pewnego dnia uleciała do nieba i zniknęła.

Ta dziewczyna to zupełnie inna historia, podobnie jak ta miłość — zbyt piękna, by trwać. Ma Gedik i Ma Iyang wychowywali się razem w rybackiej osadzie i spotykali każdego dnia. Pływali w tej samej zatoce i jedli te same ryby, a jedyną rzeczą, która nie pozwalała im z miejsca wziąć ze sobą ślubu, był ich wiek, bo nie całkiem nadawali się jeszcze na młodą parę. Ma Gedik, inaczej niż większość chłopców, nosił wszędzie ze sobą bambusowy dzban z matczynym mlekiem, choć od dawna umiał chodzić i zostawił matkę. Któregoś dnia Ma Iyang zapytała go z ciekawości, dlaczego, choć ma już dziewiętnaście lat, wciąż pije to mleko, nie przejmując się tym, że już dawno sfermentowało.

— Bo mój ojciec pił mleko matki aż do późnej starości.

Ma Iyang zrozumiała. Zdjęła bluzkę za krzakiem pandana i powiedziała chłopcu, żeby ssał jej cudownie zadarty mały sutek. Nie miała jeszcze pokarmu, ale Ma Gedik przestał w końcu pić mleko matki i zakochał się w tej młodej dziewczynie na całe życie. I tak to trwało, aż któregoś dnia Ma Iyang wsiadła do zaprzęgniętego w konia powozu, wystrojona jak tancerka *sintren* — bardzo pięknie i bardzo boleśnie. Ma Gedik, który zawsze dowiadywał się o wszystkim ostatni, biegł plażą za tym powozem, a kiedy zrównał się z woźnicą, wykrzyknął do dziewczyny:

— Dokąd jedziesz?!

— Do domu holenderskiego pana.

— Dlaczego? Nie musisz służyć Holendrom!

— Nie będę im służyć — odpowiedziała. — Zostanę konkubina pana. Od dziś nazywam się Nyai Iyang.

— Kurwa! — wrzasnął Ma Gedik. — Dlaczego chcesz być czyjąś konkubina?

— Bo jeśli nią nie zostanę, pan nakarmi *ajaki* mamą i tatą.

— Ale wiesz przecież, że cię kocham!

— Tak, wiem.

Wciąż biegł przy powozie i tak to wyglądało: młody chłopak i młoda dziewczyna zapłakani z powodu bolesnego rozstania. Ich łzy widział tylko woźnica, który starał się ich nieco pocieszyć, mówiąc:

— Nie musicie do siebie należeć, żeby się kochać.

Ale to nie było dla nich żadnym pocieszeniem i Ma Gedik przewrócił się na piach na poboczu drogi, wyjąc i lamentując nad swoim nieszczęściem. Dziewczyna

kazała woźnicy się zatrzymać i wysiadła z powozu, by stanąć nad chłopcem. I wtedy, przy starym woźnicy, przy koniu, przy rechoczących żabach, przy sowach, komarach i ćmach, których wzięła na świadków, złożyła przysięgę.

— Za szesnaście lat od dziś Holender się mną znudzi. Czekać na mnie na skalistym wzgórzu, jeśli wciąż będziesz mnie kochał, jeśli wciąż będziesz chciał resztki z holenderskiego stołu.

Potem już nigdy o sobie nie usłyszeli i nigdy się nie zobaczyli. Ma Gedik nie wiedział nawet, kim jest ten holenderski pan, pan tak jurny, że musiał mieć na własność kochankę — rozkwitłe z pąku piętnastoletnie dziewczę. Ma Gedik, który miał wówczas dziewiętnaście lat, poprzysiągł sobie, że zawsze będzie ją kochał, nawet gdyby wróciła do domu porąbana na kawałki.

Ale strata ukochanej nie jest prostą sprawą. Zmarnotrawił lata oczekiwania, stając się najbardziej szalonym, największym z idiotów i boleśniej zboląłym od pogrążonych w najgłębszym żalu żałobników. Jego przyjaciele kulisi i riksarze z portu starali się go pocieszyć, namawiając do ślubu z inną kobietą, lecz on wołał mitrzyć czas i pieniądze na hazard i upijanie się arakiem. Przyjaciele przekonywali go wówczas, by poszedł do burdelu, w nadziei, że inne kobiece ciało wyzwoli go z beznadziejnej żądy. W tamtym czasie działał tylko jeden zamtuz, na końcu nabrzeża. Zbudowano go dla holenderskich żołnierzy, zakwaterowanych w koszarach, ale po epidemii syfilisu większość z nich przestała tam chodzić, decydując się na własne utrzymanki. Wtedy to do burdelu trafili robotnicy portowi.

— Wizyta w takim miejscu byłaby taką samą zdradą jak ożenek z inną kobietą — upierał się Ma Gedik.

Ale po tygodniu przyjaciele zaciągnęli go pijanego i na pół przytomnego do burdelu, w którym wydał dniówkę na łóżko i tłustą kurwę o pochwie wielkości mysiej dziury. Pełen podziwu dla kobiecych uroków, szybko zmienił zdanie:

— Z dziwką to wcale nie jest zdrada, bo dziwkom płaci się pieniędzmi, a nie miłością.

Po tamtym dniu był stałym klientem burdelu na końcu nabrzeża, sypiając z kurwami i szepcząc im do ucha imię Ma Iyang. Robił to w każdą niedzielę wraz z grupą przyjaciół, którzy wciąż byli dla niego dobrzy. Kiedy mieli dużo gotówki, każdy z nich brał sobie własną dziwkę, a kiedy brakowało im pieniędzy i musieli oszczędzać, pięciu z nich dzieliło się jedną kobietą. Trwało to latami, aż w końcu każdy z nich się ożenił. Nie było to łatwe dla Ma Gedika, bo przyjaciele nie mieli już czasu na takie rozrywki, a poza tym mieli żony, z którymi mogli sypiać z miłości, wcale im nie płacąc, a nie ma nic bardziej przygnębiającego na świecie niż samotne wyprawy do domu publicznego. Kiedy Ma Gedik czuł się porzucony, zaczął sobie pomagać ręką, ale po pewnym czasie stało się to nieznośnie rozczarowujące i musiał znów przekradać się po nocy i korzystać z usług prostytutek, wracając do domu przed powrotem rybaków z morza.

W końcu zdziwaczał i stał się wrogiem ludzi. Raz po raz w jakiejś oborze w okolicy wybuchał rwetes i sąsiedzi przyłapywali Ma Gedika gwałcącego krowę, a nawet kurę, aż flaki wyłaziły jej dziobem. Czasem strzelał w pysk pasterza, łapał owcę i dosiadał ją na środku pola, co — zdarzało się — widywały kobiety w średnim wieku, wracające do domów z koszami pełnymi liści pochrzynu. Przebiegały przez ryżowe pola, wrzeszcząc z histerycznego strachu na widok tak zupełnie niepohamowanej żądzy. Ludzie zaczęli się od niego odsuwać, a on przestał się myć i jeść ryż i cokolwiek innego, poza własnymi odchodami, które zbierał w bananowym sadzie. Rodzina i przyjaciele bardzo się tym martwili i posłali po *dukuna* z odległej krainy — mistyka i uzdrowiciela, który słynął z tego, że leczył przeróżne choroby. Przybył ubrany w białe szaty, z długą siwą brodą, przez co przypominał mądrego apostoła. Zbadał Ma Gedika w zagrodzie dla kóz, gdzie go przywiązywano przez dziewięć ostatnich miesięcy i gdzie żywił się kozimi bobkami. *Dukun* spojrzął na zmartwionych krewnych i oznajmił spokojnym głosem:

— Tylko miłość może uleczyć takiego szaleńca.

Ale sprawa nie była łatwa, bo nikt nie potrafił mu zwrócić Ma Iyang, więc wszyscy się w końcu poddali i zostawili Ma Gedika w okowach na resztę długiego oczekiwania.

— Obiecali sobie czekać przez szesnaście lat — powiedziała matka Ma Gedika łamiącym się głosem. — Ale on pierwiej szejnie, niż dożyje tego dnia. — To ona kazała go spętać po dorznięciu sześciu kur, które znalazła w agonii z flakami wystającymi z tyłków.

Ale nie szczeł. W gruncie rzeczy polepszało mu się, a wraz z upływem dni jego policzki nabierały kolorów. Dzień, na który czekał, zbliżał się wielkimi krokami. Wokół zagrody dla kóz zbierali się popołudniami bosci chłopcy, wracający do domów ze stadami. Żartował sobie z nimi i uczył ich, jak dotykać genitaliów, jak pluć w garść i je masować. Nauczyciele ze szkoły zabronili więc uczniom zbliżać się do zagrody. Ale chłopcy musieli popróbować tego, czego ich nauczył, bo zakradali się nocami do niego i zwierzali się szeptem, że odkryli nowy sposób na sikanie — znacznie lepszy od zwykłego.

— Będzie jeszcze lepszy, jak spróbujecie sikać do środka dziewczynek.

Kiedy pewnego popołudnia rolnik nakrył parę dziewięciolatków, kochających się w krzakach pandanu, okrutni wieśniacy zabili deskami zagrodę dla kóz. Ma Gedik siedział w niej sam bez światła, nie mając do kogo otworzyć ust.

Ale nie podupadał na duchu, mimo kary. Związany w zabitej deskami klatce, zaczął układać i śpiewać sprośne piosenki, od których czerwieniły się policzki *kyaia*, a ludzie rzucali się przez sen, targani rozpaczą. Trwało to tygodniami, lecz gdy wieśniacy postanowili zakneblować go młodym kokosem, w mgnieniu oka wydarzył się cud. Tamtego ranka przestał śpiewać sprośne piosenki, a wyśpiewywał

zupełnie inne: rzewne miłosne ballady, które doprowadzały wielu do łez. W całej okolicy przerywano pracę, a wieśniacy stali zauroczeni, jakby z nieba miały sfrunąć nimfy. W końcu ktoś się domyślił, że nadszedł ostatni dzień oczekiwania Ma Gedika. Tego dnia spotka ukochaną na skalistym wzgórzu.

Wszyscy, którzy go znali, pobiegli do zagrody, żeby zerwać z niej deski. Kiedy promienie słońca wpadły do śmierdzącej jak gniazdo szczurów zagrody, Ma Gedik wciąż leżał związany, ale z pieśnią na ustach. Zdjęto mu więzy i zaprowadzono go do rowu, gdzie go wykąpano od stóp do głów jak nowo narodzone dziecko albo zwłoki starca. Skropiono go zapachami, olejkiem różanym i lawendą, odziano w mocne ciepłe szaty, w tym marynarkę i pantalony wyrzucone przez Holendra, przez co wyglądał jak chrześcijański zmarły, którego kładą do trumny. Kiedy przygotowania dobiegły końca, jeden z jego starych przyjaciół aż zapał z podziwu:

— Jesteś taki przystojny, że aż boję się pokazywać cię żonie! Jeszcze się w tobie zakocha!

— Oczywiście, że tak — puszył się Ma Gedik. — Kochają się we mnie nawet owce i krokodyle.

Było więc prawdą to, co mówił *dukun*: tę chorobę mogła uleczyć tylko miłość, podobnie jak każdą inną. Nikt się już o niego nie martwił i wszyscy zapomnieli jego dawne uczynki. Otaczały go nawet młode dziewczęta, bez obawy, że zaczną je obmacywać, a ludzie pobożni witali się z nim bez strachu, że narazi ich uszy na obscena. Matka wydała przyjęcie, ciesząc się z nagłego ozdrowienia syna i stawiając na stole stożek ryżu *tumpengan* oraz kurę, zarżniętą w normalny sposób, bez flaków wystających jej z dzioba czy z innej części ciała. Zaproszony *kyai* recytował modlitewne błogosławieństwa i dziękczynienia. Był to wspaniały poranek w osadzie rybaków w odległym zakątku okrytego jeszcze mgłą miasta Halimunda, poranek, który będzie wspominany przez następne lata, gdy dorośli opowiedzą swym dzieciom i wnukom historię o namiętności kochanków — niesioną przez pokolenia opowieść o prawdziwej wiecznej miłości.

Ale to długie szesnastoletnie oczekiwanie skończyło się tragicznie. Kiedy przygrzało słońce, pojawili się ludzie goniący samochodami i konno zbiegłą konkubinę, uciekającą na skaliste wzgórze — niewątpliwie Ma Iyang. Ma Gedik puścił się za Holendrami i ukochaną na pożyczonym osle, za nim biegli rzędem długim jak ogon węża ludzie z całej okolicy. Dotarli do doliny. Holendrzy przystanęli, a Ma Gedik zawył, wzywając imienia ukochanej.

Ma Iyang wydawała się tak mała na szczycie skalistego wzgórza, na które nie mogły się dostać ani samochody, ani konie, ani nawet osioł. Holendrzy wykrzykiwali gniewnie, że wrzucą ją do klatki z *ajakami*, kiedy tylko ją dopadną. Ma Gedik zaczął się wspinać na skaliste wzgórze, ale było to tak niewyobrażalnie trudne, że wszyscy się zastanawiali, jakim cudem kobieta zdołała tam wejść. Wreszcie, po morderczej wspinaczkę, Ma Gedik stanął u boku drżącej z tęsknoty

ukochanej.

— Chcesz mnie jeszcze? — zapytała Ma Iyang. — Całe moje ciało jest pokryte holenderską śliną od lizania, a Holender przeszył mnie tysiąc sto dziewięćdziesiąt dwa razy.

— Ja przeszyłem dwadzieścia osiem kobiet czterysta sześćdziesiąt dwa razy, sam przeszywałem się dłonią tyle razy, że nie potrafię zliczyć, a i to nie wszystko, bo przeszywałem też rozmaite zwierzęta, więc nie ma między nami różnicy.

Opętało ich chyba jakieś lubieżne bóstwo, bo przywarli do siebie w pocałunku w lejącym się z tropikalnego nieba żarze. Chcąc ulżyć narastającej od tyłu lat namiętności, zrzucili z siebie przywierające do ciała odzienie: ubrania pofrunęły nad doliną, obracając się i obracając jak rozwiewane przez wiatr kwiaty mahoniowca. Ludzie nie mogli uwierzyć własnym oczom, niektórzy aż krzyknęli, a Holendrzy poczerwienieli na twarzach. A oni bez wahania kochali się na płaskiej skale na oczach wszystkich. Ludzie w dolinie przyglądali się im, jakby byli na filmie w kinie. Cnotliwe niewiasty zasłaniały oczy woalkami, a mężczyźni stwardniali i bali się na siebie spojrzeć. Któryś z Holendrów powiedział:

— Zawsze to powtarzamy, że ci tubylcy są jak małpy.

Prawdziwa tragedia rozegrała się, kiedy skończyli spółkować, a Ma Gedik poprosił ukochaną, żeby zeszli ze skalistego wzgórza i wróciła razem z nim do domu, tak by mogli wziąć ślub, zamieszkać razem i kochać się już zawsze. To niemożliwe, odpowiedziała Ma Iyang. Zanim staną na dole, Holendrzy wrzucą ich do klatki z *ajakami*.

— Więc wolę ulecieć.

— Nie możesz — sprzeciwił się Ma Gedik. — Nie masz skrzydeł.

— Jeśli wierzysz, że umiesz latać, polecisz.

By udowodnić, że ma rację, naga Ma Iyang, pokryta kropelkami potu odbijającymi promienie słońca jak paciorki pereł, zeskoczyła ze skały i poleciała ku dolinie, znikając w tumanie opadającej mgły. Ludzie usłyszeli tylko żałosne wrzaski Ma Gedika, który zbiegał po stoku za ukochaną. Wszyscy jej szukali, nawet Holendrzy z dzikimi psami. Przetrzęsnęli każdy zakątek doliny, ale nigdzie nie znaleźli Ma Iyang, ani żywej, ani martwej, i w końcu uwierzyli, że naprawdę uleciała ku niebu. Uwierzyli w to nawet Holendrzy, więc i Ma Gedik uwierzył. Jedyne, co mu zostało, to skaliste wzgórze, nazwane na cześć kobiety, która uleciała z niego do nieba: Wzgórze Ma Iyang.

Tamtego dnia Ma Gedik zaszył się na bagnach, gdzie w porze mokrej nie zapuszczali się Holendrzy z obawy przed malarią, i wybudował tam chatę. Za dnia ciągnął za sobą do portu wózek wypełniony kawą, ziarnem kakaowym, a czasem koprą i pochrzynem, a wyjąwszy krótkie rozmowy z innymi kulisami gadał tylko ze sobą i otaczającymi go duchami. Ludzie myśleli, że znów oszalał, choć nie gwałcił już krów ani nie jadł gówien.

Niemal natychmiast po postawieniu chaty przez Ma Gedika na bagna przybyli następni — wznosili własne chaty, zamieniając moczary w osadę. Jedynym Holendrem, który tam się zapuszczał, był rewident, bo akurat przeprowadzał spis, ale tydzień po jego przybyciu na bagna znaleziono go martwego w wynajętej izbie; umarł wskutek malarycznej gorączki. Był ostatnią i jedyną osobą, która pojawiła się u Ma Gedika przez wiele lat, do czasu przyjazdu colibri, którego kierowca zastrzelił psa, a towarzyszący mu zbir kopnął i zniszczył drzwi domu, przynosząc wstrząsającą nowinę, że Dewi Ayu pragnie go poślubić. Ma Gedik nie miał pojęcia, dlaczego chce to zrobić, więc jego przeczucia były jak najgorsze. Trzęsąc się na całym ciele, zapytał zbira:

— Czy ona jest w ciąży? — Pewnie zmuszają ją do ślubu, żeby ukryć hańbę przed rodziną Holendra.

— Kto niby?

— Dewi Ayu.

— Jeśli życzy sobie wyjść za ciebie za mąż — odpowiedział zbir — to właśnie dlatego, że n i e c h c e zejść w ciążę.

Dewi Ayu powitała narzeczonego z radością. Kazała mu się wykąpać i dała mu ładne ubranie, bo — jak powiedziała — wkrótce przybędzie naczelnik wioski. Ale to nie napawało Ma Gedika optymizmem — wręcz przeciwnie. Miał wrażenie, że wszystko skończy się zupełną katastrofą, a im bardziej zbliżał się dzień ślubu, tym posępniejsze nachodziły go myśli.

— Uśmiechnij się, ukochany — namawiała go Dewi Ayu. — Jeśli tego nie zrobisz, pożre cię *ajak*.

— Powiedz mi, dlaczego chcesz wyjść za mnie za mąż?

— Przez cały ranek pytasz mnie o to samo — odpowiedziała lekko poirytowana. — Myślisz, że inni ludzie mają lepsze powody, żeby brać ślub?

— Zazwyczaj biorą ślub z miłości.

— A my akurat na odwrót, bo wcale się nie kochamy — mruknęła. — To też jest dobry powód, prawda?

Zaledwie szesnastoletnia, była piękna jak większość młodych Indo półkrewi. Miała lśniące czarne włosy i niebieskawe oczy. Chodziła w tiulowej sukni ślubnej z małą tiarą na głowie, przez co wyglądała jak wróżka z bajki. Była teraz jedyną gospodynią w domostwie Stammlerów, jako że reszta rodziny spakowała walizki i uciekła do portu wraz z innymi Holendrami, żeby popłynąć do Australii, póki jeszcze było można. Armia japońska zajęła Singapur, a choć wciąż nie zdołała dotrzeć do Halimundy, rozgościła się już zapewne w Batawii ².

Wieści o wojnie nadchodziły od dobrych kilku miesięcy, kiedy usłyszeli w radiu o walkach, które wybuchły w Europie. W tamtym czasie Dewi Ayu uczyła się we franciszkańskiej szkole — tej samej, którą później przemianowano na gimnazjum,

gdzie jej wnuczka, Piękna Rengganis, została zgwałcona przez psa w damskiej toalecie. Dewi Ayu zamierzała zostać nauczycielką z tej prostej przyczyny, że nie chciała być pielęgniarką. Wyjeżdżała do szkoły z prowadzącą przedszkole ciotką Hanneke tym samym colibri, które wkrótce miało pojechać po Ma Gedika z kierowcą, który zastrzelił mu psa.

Miała najlepsze nauczycielki w Halimundzie: zakonnice, które uczyły ją muzyki, historii, języka i psychologii. Czasem do szkoły zjeżdżali z seminarium jezuici, żeby wykładać religię, dzieje Kościoła i teologię. Zrobiła na nich wrażenie wrodzoną inteligencją, ale martwiła ich jej uroda, więc zakonnice usiłowały ją przekonać do złożenia ślubów ubóstwa i czystości.

— Nie da rady — odpowiadała. — Gdyby każda kobieta złożyła taki ślub, ludzie wyginęliby jak dinozaury.

Jej dosadny sposób wystawiania się był jeszcze bardziej niepokojący niż uroda. Tak czy inaczej, jedyne, co podobało się jej z religii, to fantastyczne historie, a jedyne, co lubiła w kościele, to melodyjne tony dzwonu na Anioł Pański.

Wojna w Europie wybuchła podczas jej pierwszego roku nauki u franciszek. W radiu, które siostra Maria postawiła przed klasą, donoszono z zaniepokojeniem, że wojska niemieckie najechały Holandię i potrzebowały zaledwie czterech dni, żeby zająć ją w całości. Dzieci były oczarowane i zdumione tym, że wojna toczy się naprawdę i nie jest tylko jakimś wymysłem z podręczników historii. Co więcej, wybuchła w ojczyźnie ich przodków, a Holandia przegrała.

— Najpierw Francja, a teraz zajęły ją Niemcy?! — dopytywała Dewi Ayu. — To doprawdy jakiś żałosny kraj.

— A cóż to, Dewi Ayu, chodzi ci po głowie? — zwróciła się do niej siostra Maria.

— A to, że mamy za dużo kupców i za mało żołnierzy.

Została ukarana na niestosowną uwagę i jako pokutę musiała czytać psalmy. Była ponadto jedyną spośród uczennic, która cieszyła się z wybuchu wojny i posunęła się nawet do przerażającej przepowiedni: wojna dotrze do Indii Wschodnich i w końcu do Halimundy. Choć nadal uczestniczyła w prowadzonych przez zakonnice modlitwach o bezpieczeństwo ich rodzin w Europie, wcale jej to już nie obchodziło.

Niepokój z powodu wojny ogarnął również jej dom, szczególnie dlatego, że dziadkowie — Ted i Marietje Stammlerowie — mieli mnóstwo krewnych w Niderlandach. Bez przerwy pytali o listy z Holandii, które nie nadchodziły. Nade wszystko martwili się o los taty i mamy Dewi Ayu, Henriego i Aneu Stammlerów, którzy uciekli stąd dawno temu. Wyjechali nagle pewnego ranka przed szesnastoma laty, z nikiem się nie pożegnawszy, zostawiając za sobą niemowlę płci żeńskiej, Dewi Ayu. Fakt ten doprowadził resztę rodziny do wrzenia, ale w gruncie rzeczy nadal się o nich martwili.

— Bez względu na to, gdzie są, mam nadzieję, że są szczęśliwi — mówił Ted

Stammler.

— A jeśli Niemcy ich zabiją, może nadal będą szczęśliwi w niebie — dodawała Dewi Ayu i kończyła: — Amen.

— Po upływie szesnastu lat już się na nich nie złoszczę — mówiła babcia Marietje. — Powinnaś się modlić o to, żeby ich spotkać.

— Oczywiście, że się modlę, Oma. Są mi winni szesnaście prezentów na Boże Narodzenie i szesnaście prezentów na urodziny, nie licząc już szesnastu wielkanocnych zajaczków.

Wiedziała już wszystko o swoich rodzicach, Henrim i Aneu. Kuchenne posługaczki opowiedziały jej ich historię szeptem, bo gdyby Ted czy Marietje Stammlerowie dowiedzieli się, że puściły parę z gęby, czekałoby je chłosta. Ale po jakimś czasie Ted i Marietje przyjęli do wiadomości, że wnuczka wszystkiego się dowiedziała, również tego, że pewnego ranka znaleźli ją w koszyku na progu. Spała smacznie, zawinięta w becik, do którego przypięty był krótki list z jej imieniem oraz wiadomością, że rodzice wypłynęli do Europy na pokładzie statku Aurora.

Zawsze była zdumiona, że nie ma rodziców, a tylko dziadków i ciotkę. Ale kiedy dowiedziała się, że tata i mama zniknęli pewnego ranka, wcale nie była zła, przeciwnie, zaczęła żywić dla nich podziw.

— Są prawdziwymi zuchami — powiedziała Tedowi Stammlerowi.

— Czytasz za dużo bajek, moje dziecko — odrzekł dziadek.

— Na pewno są religijni. W Piśmie Świętym mówi się o matce, która zostawiła dziecko w koszyku na brzegu Nilu.

— Wtedy było inaczej.

— Tak, oczywiście, bo mnie zostawiono na progu.

Henri i Aneu byli oboje dziećmi Teda Stammlera. Mieszkali w tym samym domu od wczesnego dzieciństwa, ale nikt nie zdawał sobie sprawy, że się w sobie zakochali, co było doprawdy wstydlivym skandalem. Henri zrodził się z łona Marietje i był o dwa lata starszy od Aneu, córki Teda i jego tubylczej konkubiny o imieniu Ma Iyang. Choć Ma Iyang mieszkała w innym domu, strzeżonym przez zbirów, po narodzinach Aneu Ted postanowił sprowadzić córkę do siebie. Początkowo Marietje bardzo się temu sprzeciwiała, ale cóż mogła zrobić — przecież większość mężczyzn miała utrzymanki i nieślubne potomstwo. Ostatecznie zgodziła się na to, by dziewczynka zamieszkała w ich domu i nadano jej nazwisko ojca, żeby uniknąć plotek w klubie.

Henri i Aneu wychowywali się razem, mieli więc mnóstwo czasu, żeby się w sobie zakochać. Henri był miłym chłopcem, wykazywał się dużym sprytem podczas polowań na świnie z borzojami (sprowadzonymi prosto z Rosji), grał dobrze w piłkę nożną, świetnie pływał i tańczył. Natomiast Aneu wyrosła na piękną młodą dziewczynę, grała na fortepianie i śpiewała słodkim sopranem. Ted

i Marietje pozwolili im kiedyś wybrać się do wesołego miasteczka i na tańce, teraz bowiem nadeszła ich kolej w radowaniu się życiem i rozglądaniu za dobrą partią. I tak się właśnie zaczęła cała katastrofa: po tańcach do północy i picciu lemoniady w uroczej restauracji nie wrócili do domu. Ted bardzo się zaniepokoił, dlatego wziął dwóch zbirów i poszli szukać dzieci w wesołym miasteczku. Znaleźli tylko nieruchome, pogrążone w mroku karuzele, zamknięty na kłódkę nawiedzony dom, pusty taneczny parkiet, opuszczone stragany z jedzeniem i śpiących przed nimi wyczerpanych przekupniów. Nigdzie ani śladu dwojga nastolatków, więc Ted zaczął wypytywać ich młodych przyjaciół, dokąd mogli pójść. Jeden z nich powiedział:

— Henri i Aneu poszli nad zatokę.

W nocy nad zatoką nie było nikogo, a nad morzem stało kilka pensjonatów. Ted kazał przeszukać wszystkie i w końcu znalazł młodych w wynajętym pokoju — gołych i zaskoczonych. Nie odezwał się ani słowem, a oni nigdy nie wrócili do domu. Nikt nie wiedział, dokąd później pojechali. Może zatrzymali się w którymś z pensjonatów, mając się dorywczych prac albo pożyczając pieniądze i żyjąc na łasce przyjaciół. Niewykluczone również, że zamieszkali w dżungli, gdzie żywili się owocami i mięsem dzikich świń. Ktoś inny rozpowszechniał wiadomość, że wynieśli się do Batawii i pracowali w firmie kolejowej. Ted i Marietje nigdy nie poznali ich miejsca pobytu ani dalszego losu, póki któregoś ranka nie znaleźli dziecka w koszyku przed drzwiami.

— A tym dzieckiem byłaś ty — oznajmił Ted. — I dali ci na imię Dewi Ayu.

— A potem płodzili dzieci na Aurorze... I teraz przed każdym domem w Europie stoi koszyk ze znajdą — dodała dziewczynka.

— Kiedy twoja babka dowiedziała się o tym, wpadła w histerię. Wybiegła z domu jak oszalała i nie można jej było dogonić ani samochodami, ani końmi. Znaleźliśmy ją na szczycie skalistego wzgórza, ale nie zeszła z niego. Odleciała.

— Babcia Marietje odleciała? — zapytała z niedowierzaniem Dewi Ayu.

— Nie, Ma Iyang.

Konkubina Teda, jej druga babka. Dziadek powiedział jej jeszcze, że jeśli usiądzie na tylnej werandzie i spojrzy na północ, ujrzy dwa nieduże skaliste wzgórza. Ma Iyang wybrała to od zachodniej strony, żeby odlecieć i zniknąć w przestworzach, a miejscowi nazwali to wzgórze jej imieniem: Ma Iyang. Opowieść ta zrobiła na Dewi Ayu ogromne wrażenie i zasmuciła ją. Popołudniami często siadywała samotnie na werandzie i wpatrywała się we wzgórze, mając nadzieję, że ujrzy nad nim babkę, unoszącą się w powietrzu jak ważka. Dopiero wojna odwróciła jej uwagę od wzgórza i zaczęła wysiadywać przed radiem, słuchając wiadomości z linii frontu.

Choć wojna wciąż była daleko, jej skutki dały się odczuć w Halimundzie. Ted Stammler był współwłaścicielem — wraz z kilkoma innymi Holendrami — plantacji kakao i kokosów, największej w całym okręgu. Wskutek wybuchu wojny

światowy handel upadł. Dochody z plantacji gwałtownie zmalały i wyglądało na to, że całe przedsięwzięcie jest skazane na porażkę. Zaczęto oszczędzać. Marietje kupowała żywność tylko od wędrownych, jeżdżących od domu do domu handlarzy. Hanneke ograniczyła wyjścia do kina i kupowanie płyt. Nawet pan Willie, Indo, który pracował dla nich jako strażnik i mechanik, musiał ograniczyć zakupy naboju do strzelby i benzyny do colibri. Natomiast Dewi Ayu musiała się przenieść do internatu przy szkole.

W ten właśnie sposób franciszkanki pomagały mieszkańcom podczas wojny: otwierały drzwi internatu bez żadnych opłat. Teraz wszystkie lekcje w szkole poświęcone były pełnym lęku opowieściom o wojnie, która ostatecznie dotarła na ich podwórko. Dewi Ayu niecierpliwiły niekończące się wykłady, wstała więc kiedyś i zapytała głośno:

— Czy zamiast tutaj siedzieć i głądzić, nie mogłybyśmy się nauczyć strzelać z karabinów i armat?

Siostry wyrzuciły ją ze szkoły na tydzień, a dziadek nie ukarał jej dodatkowo tylko dlatego, że toczyła się wojna. Wróciła do szkoły tuż po zrzuceniu bomb na Pearl Harbor, a siostra Maria, która zazwyczaj uczyła historii z radosnym obliczem, oznajmiła uroczyście:

— Czas na interwencję Ameryki.

Zdały sobie sprawę, że wojna jest już bardzo blisko, pełza jak jaszczurka w trawie — powoli, ale pewnie pokrywa oblicze ziemi krwią i łuskami. Przepowiednia Dewi Ayu sprawdzała się, choć to nie Niemcy, ale Japończycy zbliżali się do Halimundy. Flaga wschodzącego słońca, niczym tygrys obszczywający coraz bardziej rozległe terytorium, zawisła na Filipinach, a potem ni z tego, ni z owego w samym Singapurze.

Wywołało to wielkie zamieszanie w domu. Ted Stammler, jak wszyscy dorośli mężczyźni do pewnego wieku, dostał powołanie do wojska. Sytuacja okazała się jeszcze bardziej skomplikowana i nie chodziło już tylko o ograniczanie wydatków. Hanneke ze łzami w oczach dała ojcu jakiś ochronny amulet, a Dewi Ayu podzieliła się z dziadkiem dobrą radą:

— Niewola u wroga jest znacznie lepsza od jego kuli.

Ted wyjechał i nikt nie wiedział, gdzie zostanie rzucony, choć najprawdopodobniej na Sumatrę, by stawić czoło błyskawicznie zbliżającym się do Jawy Japończykom. Jak większość mężczyzn z plantatorskich rodów opuścił Halimundę i bliskich.

— Przysięgam na Boga, że nigdy nie ustrzelił nawet dzika, takiego ma zeza — łkała Marietje, rozstając się z mężem na miejskim placu. Teraz to ona była głową domu, lecz wyglądała na tak zrozpaczoną, że córka i wnuczka musiały ją bez przerwy pocieszać.

Pan Willie pojawiał się niemal każdego dnia; nie został wcielony do wojska, bo

był mieszańcem, Indo, i nigdy nie miał holenderskiego obywatelstwa, a poza tym był kulawy po ataku dzika.

— Bądź spokojna, babciu, Japończycy mają za bardzo skośne oczy, żeby dostrzec Halimundę na mapie — pocieszała babkę Dewi Ayu. Chciała tylko, żeby Marietje poczuła się lepiej, lecz nigdy się przy tym nie uśmiechała.

W mieście szerzyło się przygnębienie. Zamknięto nocny targ i nikt nie chodził już do klubu. Nie odbywały się tańce, a biura plantacji strzegli, zamiast zbirów, jacyś stojący nad grobem starcy. Znajomi spotykali się tylko na basenie, w którym pływali w milczeniu. Mniej więcej w tym samym czasie z miasta znikli wszyscy Japończycy, którzy mieszkali w Halimundzie. Niektórzy z nich byli rolnikami, inni kupcami, jeden był fotografem, a kilku występowało w cyrku jako akrobaci, ale kiedy wszyscy przepadli, ludzie uświadomili sobie, że przez cały czas żyli wśród nich szpiedzy wroga.

Tylko tubylcy nie przejmowali się tym ani trochę i wciąż robili to, co robili od zawsze. Kulisi nadal biegali do portu stadami, bo handel całkiem nie ustał, a frachtowce pływały. Rolnicy ciągle pracowali na polach, a rybacy wypływali na morze każdej nocy.

Do portu w Halimundzie — największego obecnie portu na całym południowym wybrzeżu Jawy i prawdopodobnej drogi masowej ewakuacji do Australii — przybyły regularne oddziały wojska. Halimunda była początkowo zwykłym portem rybackim u szerokiego ujścia rzeki Rengganis i nie miała wielkich morskich tradycji. Zjeżdżali do niej ludzie z wybrzeża i z głębi lądu, żeby wymieniać się towarami — rybacy dawali ryby, sól i pastę z krewetek za ryż, warzywa i przyprawę.

A jeszcze wcześniej Halimunda nie była niczym więcej tylko połączeniem bagnistej dżungli, zasnutym mgłami kawałkiem ziemi, nienależącym do nikogo. Na ten kawałek ziemi zbiegła księżniczka z ostatniego pokolenia dynastii Pajajaranów i nadała mu swoje imię. Jej potomkowie założyli tu osady i miasteczka. Królestwo Mataram zsyłało do Halimundy nieposłusznych notabli, a Holendrzy na początku w ogóle nie zwracali uwagi na ten rejon — moczary oznaczały malarię, rzeka występowała z brzegów, a drogi były w opłakanym stanie. Pierwszy duży statek przypłynął tu w połowie osiemnastego wieku: był to angielski żaglowiec The Royal George, który zawinął do portu po zapas słodkiej wody, a nie żeby handlować. Fakt ten zirytował jednak odrobinę administrację holenderską, która podejrzewała, że Anglicy kupowali na lądzie kawę i indygo, może nawet perły, i szmuglowali przez Halimundę broń dla zbuntowanego księcia Diponegoro. Do Halimundy przybyła więc holenderska ekspedycja, żeby rozejrzeć się po okolicy i sporządzić mapę.

Pierwszymi Holendrami, którzy tu zamieszkali, byli: porucznik, dwóch sierżantów, dwóch kaprali i prawie sześćdziesięciu uzbrojonych żołnierzy. Ten niewielki garnizon stworzył oficjalną placówkę w Halimundzie. Było to już po

zakończeniu wojny z księciem Diponegoro i po wprowadzeniu Przymusowych Upraw. Przed powstaniem garnizonu i przed zasadzeniem przez Holendrów własnych kakaowców zbiory kawy i indygo, plonujących obficie wokół Halimundy, dostarczano jawańskimi drogami do Batawii. Ten szlak handlowy był dosyć ryzykowny: towary psuły się po drodze, a w dżungli nie brakowało rozbójników. Lecz odkąd w Halimundzie powstały garnizon i port morski, zbiory ładowano prosto na statki i wysyłano od razu do Europy na sprzedaż. Wytyczono szersze ulice, by mogły po nich jeździć wozy i wózki. Wykopano kanały, by przeciwdziałać powodziom, a wokół portu stanęły magazyny. Choć Halimunda nigdy nie miała takiego znaczenia jak porty na północy wyspy, władze kolonialne już teraz o niej pamiętały, a port udostępniono prywatnym inwestorom.

Oczywiście pierwszym przedsiębiorstwem, które otworzyło podwoje w mieście, był armator *Nederlandsch Indisch Stoomvaartmaatschappij*, dysponujący kilkoma statkami. Zakładano też pierwsze hurtownie, szczególnie po doprowadzeniu kolei, przecinającej wyspę ze wschodu na zachód. Jak się jednak okazało, tamtejszy handel miał nigdy nie przeżyć swego złotego wieku, ale rząd kolonialny, po założeniu pierwszego garnizonu, przekształcił Halimundę w fortecę. Kryła się za tym pewna myśl strategiczna: Halimunda, jako jedyny duży port na południowym wybrzeżu, mogła odgrywać rolę tylnej furty, przez którą Holendrzy — w razie wojny — zamierzali ewakuować się do Australii bez potrzeby pokonywania Cieśniny Sundajskiej czy Balijskiej.

Zaczęli wznosić fortyfikacje i rozlokowywać armaty na plażach, żeby broniły portu i miasta. Na tym samym przylądku, na którym przed wiekami mieszkała księżniczka z rodu Pajajaran, stawiano na wzgórzach w dżungli strażnice. Do miasta sprowadzono stu artylerzystów. Dwadzieścia lat później w fortecy rozlokowano dwadzieścia pięć potężnych dział Armstronga, a na początku dwudziestego wieku plany obronne były całkiem gotowe i uzupełniane budową coraz większej liczby wojskowych koszar. Dały one początek kilku zjawiskom w Halimundzie: burdelom, prywatnym klubom, szpitalom, wysiłkom na rzecz pozbycia się malarii oraz najazdowi holenderskich przedsiębiorców, którzy zalali miasto, zakładając w okolicy plantacje kakao i zostając tu na wiele lat.

Kiedy wybuchła wojna i Niemcy zajęły Holandię, zmodernizowano wojskowe umocnienia, a do miasta sprowadzono jeszcze więcej żołnierzy. Potem radio podało, że dwa angielskie okręty wojenne, *The Prince of Wales* i *Repulse*, zostały zatopione przez Japończyków, a Półwysep Malajski wpadł w ręce wroga. Lecz zwycięscy Japończycy bynajmniej na tym nie poprzestali. Tuż po zdobyciu Półwyspu Malajskiego generał broni Arthur Percival, dowódca obrony angielskiej, podpisał kapitulację Singapuru, od dawna uważanego za najsilniejszy brytyjski bastion. Sprawy przyjmowały niekorzystny obrót, aż któregoś ranka w domach mieszkańców Halimundy zjawił się rewident, który przekazał im mrozącą krew

w żyłach wiadomość: „Surabaja została zbombardowana przez Japończyków”. Tubylczy robotnicy odeszli od pracy, ustał cały handel. „Musi się pani ewakuować”, mówiono Marietje Stammler, która milczała wraz z Hanneke i Dewi Ayu.

Do miasta zjeżdżali uchodźcy, przybywający pociągami i samochodami. Kolejka aut ciągnęła się aż poza granice Halimundy, samochody parkowały w rowach, a ich właściciele czekali noc po nocy na wejście na pokład statku. Do portu zawinęło aż pięćdziesiąt okrętów marynarki, aby pomóc w ewakuacji. Cały kraj pogrążał się w chaosie, a porażka Indii Wschodnich była więcej niż pewna. Uzyskawszy zapewnienie co do terminu wyjazdu, pozostali w mieście członkowie rodziny Stammlerów rozpoczęli w pośpiechu pakowanie, przerwane nagłym i zaskakującym oświadczeniem Dewi Ayu:

— Nigdzie nie jadę.

— Nie bądź niemądra, dziecko — zwróciła się do niej Hanneke. — Japończycy nie ominą cię szerokim łukiem.

— Cokolwiek się stanie, jakiś Stammler musi tu zostać — odpowiedziała uparcie. — Wiesz równie dobrze jak ja, na kogo musimy czekać.

Marietje, doprowadzona do łez trzeźwym osądem wnuczki, zawyła:

— Zostaniesz jeńcem wojennym!

— Babciu, nazywam się Dewi Ayu, a wszyscy wiedzą, że to tubylcze imię.

Po zbombardowaniu Surabai Japończycy parli dalej ku portowi Tanjung Priok w Batawii, który był ich celem. Wśród pierwszych, którzy się ewakuowali, byli wysocy urzędnicy rządu kolonialnego. Marietje i Hanneke Stammler wsiadły ostatecznie na pokład wielkiego parowca Zaandam, nie znając losów Teda na polach bitewnych i zostawiając w domu Dewi Ayu, tak jak sobie życzyła. Zaandam wiele razy kursował z pasażerami w tę i z powrotem, lecz ten rejs miał być jego ostatnim: wraz z innym statkiem pasażerskim znalazł się na kursie japońskiego krążownika. Oba pasażerskie statki poszły na dno bez walki. Dewi Ayu, pan Willie, służba i zbiry rozpoczęli żałobę.

Po bitwie w Bataan na Filipinach w Kragan na Jawie wylądowała czterdziesta ósma dywizja japońskiej piechoty. Połowa wojsk ruszyła na Malang przez Surabaję, a druga połowa, jako brygada Sakaguchi, najechała Halimundę. Japońskie samoloty latały po niebie, zrzucając bomby na należące do Bataafse Petroleum Maatschappij rafinerie Mexolie Olvado, na domy robotników, na biura plantacji kakao i kokosów. Brygada Sakaguchi toczyła boje z holenderskimi wojskami KNIL ³, które broniły miasta zaledwie przez dwa dni, gdyż generał P. Meijer otrzymał wiadomość, że Holandia skapitulowała w Kalijati. Obalono i zajęto całe Indie Wschodnie. Generał P. Meijer przekazał w ratuszu Japończykom kontrolę nad Halimundą.

Dewi Ayu słyszała i widziała te wydarzenia na własne uszy i oczy, ale podczas żałoby nie odzywała się do nikogo, siedziała tylko na werandzie za domem i wpatrywała się we wzgórze, które, jak mówił Ted, nosiło imię Ma Iyang.

Któregoś popołudnia na dziedzińcu pojawił się pan Willie, prowadząc na smyczy borzoja, który należał podobno do jej ojca, Henriego. Przemówiła po raz pierwszy od rozpoczęcia żałoby:

— Jedna odleciała, druga się utopiła.

— Co się stało, panienko? — zapytał pan Willie.

— Och, nic, wspominam tylko babki — odpowiedziała.

— Musi panienka coś zrobić, bo służba nie wie, co począć. Czy panienka nie jest teraz głową rodziny?

Przytaknęła. Tego wieczoru, kiedy zaszło słońce, poleciła panu Williemu, żeby zebrał całą służbę: kucharki, pokojówki, ogrodników i strażników. Oznajmiła im, że jest teraz jedyną panią domu. Muszą wykonywać jej polecenia i nie mogą jej niczego odmówić. Nie ma zamiaru poddawać nikogo chłóście, ale kiedy Ted Stammler wróci do domu, każe wychłostać wszystkich nieposłusznych, a później wrzuci ich do klatki z *ajakami*. Jej pierwsze polecenie nikomu nie przeszkadzało, ale zaskoczyło i skonfundowało wielu:

— Tej nocy ktoś musi porwać z osady na bagnach starca o imieniu Ma Gedik — oznajmiła. — Ponieważ jutro rano mam zamiar wyjść za niego za mąż.

— Niech panienka sobie nie żartuje — napomniał ją pan Willie.

— Idź się pośmiej, jeśli uważasz, że żartuję.

— Ale ksiądz zniknął, a bomby zrównały kościół z ziemią.

— Jest jeszcze naczelnik wioski.

— Ale panienka nie jest muzulmanką, prawda?

— Nie, ale od bardzo dawna nie jestem też katoliczką.

Tak wyglądał początek małżeństwa Dewi Ayu z Ma Gedikiem. Pożalowania godny starzec poślubił piękną dziewczynę: wieść o tym dotarła do każdego zakątka miasta, nawet do nowo przybyłych Japończyków, którym opowiadano najświeższe plotki. Ci spośród Holendrów, którzy nie zdołali uciec, ślali przez służących listy z pytaniem, czy to prawda, a niektórzy z nich wyciągali z zakamarków pamięci ten wstydlivy skandal z jej matką i ojcem w roli głównej.

— Co się stanie, jeśli się z tobą nie ożenię? — zapytał wreszcie Ma Gedik zaraz po przybyciu naczelnika.

— *Ajaki* zjedzą cię na kolację.

— Więc rzuć mnie im na pożarcie od razu.

— Wzgórze Ma Iyang zostanie zrównane z ziemią.

Po tej przerażającej groźbie nie miał już wyboru i poślubił Dewi Ayu około dziewiątej rano, w tym samym czasie, kiedy japońscy żołnierze uroczyście rozpoczęli okupację miasta. Na wesele nie zaproszono nikogo oprócz służby i strażników. Pan Willie został świadkiem, a Ma Gedik trząśł się i jękał przez cały czas, nie mogąc złożyć ślubów. Wreszcie padł nieprzytomny na ziemię, a naczelnik ogłosił, że związek został zawarty.

— Biedny człowiek — odezwała się Dewi Ayu. — Byłby moim dziadkiem, gdyby Ted nie zniewolił Ma Iyang.

Kiedy Ma Gedik odzyskał przytomność późnym popołudniem, stwierdził, że został mężem Dewi Ayu, nawet nie wiedząc, jak do tego doszło. Gapił się na nią jak na wcieloną diabolicę. Nie chciał jej dotknąć i piszczał, kiedy się do niego zbliżała, i rzucał w nią wszystkim, co mu wpadło w ręce. Gdy Dewi Ayu dała za wygraną, zwinął się w kącie pokoju, drżąc i płacząc jak dziecko w kołysce. Dewi Ayu czekała cierpliwie, siedząc w pobliżu w sukni ślubnej. Od czasu do czasu usiłowała zachęcić go do pieśczoć, a nawet do kochania, gdyż była już jego żoną. Ale gdy tylko Ma Gedik zaczynał wrzeszczeć, przerywała zaloty i siadała bez słowa, uśmiechając się do niego niekiedy, wyrozumiale.

— Dlaczego się mnie boisz? Chcę tylko, żebyś mnie dotknął i spał ze mną, bo jesteś moim mężem.

Ma Gedik nie odpowiadał.

— Pomyśl tylko, skoro już jesteśmy małżeństwem, a ty nie będziesz ze mną spał, nigdy nie zajdę w ciążę. I wszyscy powiedzą, że masz złamanego kutasa.

— Jesteś uwodzicielską diabolicą — wyjąkał w końcu Ma Gedik.

— Jestem piękną kusicielką — dodała Dewi Ayu.

— Nie jesteś dziewicą.

— To nieprawda — zaprzeczyła nieśmiało Dewi Ayu. — Prześpij się ze mną, a sam się przekonasz.

— Nie jesteś dziewicą, jesteś w ciąży i chcesz ze mnie zrobić kozła ofiarnego.

— Wcale nie.

Dyskutowali w ten sposób aż do północy, a potem dalej do rana i żadne z nich nie zmieniło zdania. Kiedy wstał nowy dzień i światło zalało ich małżeńską sypialnię, Dewi Ayu była już wyczerpana przerażającymi wrzaskami starego i dała mu spokój. Rozebrała się, zdjęła ślubną suknię i tiarę, i rzuciła wszystko na łóżko. Goła jak ją Pan Bóg stworzył stanęła przed rozhisteryzowanym starcem i powiedziała mu głośno do ucha:

— Zrób to, a przekonasz się, że jestem dziewicą!

— Klnę się na szatana, że tego nie zrobię, bo wiem, że nie jesteś!

Wówczas Dewi Ayu wsunęła środkowy palec do pochwy, głęboko, najgłębiej jak mogła, tuż przed nosem Ma Gedika. Jęknęła cicho z bólu i drżąc na całym ciele, poruszała palcem między nogami, a kiedy wyjęła go z siebie, pokazała Ma Gedikowi. Na opuszku wisiała kropelka krwi, którą namalowała linię prostą od czubka czoła męża do samego końca jego trzęsącej się brody.

— Chyba masz rację — stwierdziła. — Nie jestem już dziewicą.

Poszła się wykapać, a kiedy wróciła, po prostu usnęła na małżeńskim łóżu, nie zwracając już uwagi na starca, który wciąż drżał w kącie pokoju. Nie spała przez całą dobę, więc zasnęła głęboko, tak że nawet nie słyszała służących, którzy budzili

ją na lunch. Obudziła się po południu i nie przejmując się Ma Gedikiem, ruszyła prosto do stołu, przy którym jadła ze smakiem i nie odzywała się wcale do służących, którzy wpatrywali się w nią, czekając na rozkazy. Kiedy wróciła do sypialni, stwierdziła, że starca nie ma. Szukała go w łazience, na podwórku, w kuchni, ale go nie znalazła. W końcu zapytała o męża jednego ze strażników strzegących domu.

— Wybiegł z wrzaskiem, jakby zobaczył diabła, panienko.

— Nie złapaliście go?

— Biegł tak szybko jak Ma Iyang przed szesnastoma laty — odpowiedział strażnik. — A pan Willie gonił go samochodem.

— I złapał go?

— Nie.

Pobiegła do stajni i przyłączyła się do pościgu konno. Domyślała się, choć nie całkiem słusznie, że Ma Gedik biegnie na szczyt skalistego wzgórza, z którego uleciała i zagubiła się we mgle Ma Iyang. Okazało się jednak, że jej mąż nie pobiegł na to wzgórze, ale na drugie, wznoszące się nieco dalej na wschód. Wypytawszy jakichś ludzi przy drodze, odnaleźli na piachu ślady opon colibri, które zaprowadziły ich do stóp drugiego wzgórza. Dewi Ayu natknęła się tam na pana Williego, który siedział na tylnym zderzaku auta i wyglądał tak, jakby już nie mógł jechać dalej.

— Śpiewa na szczycie wzgórza — powiedział.

Dewi Ayu zadarła głowę i ujrzała Ma Gedika, stojącego na głazie i śpiewającego jak operowy gwiazdor na scenie. Ledwie go słyszała, lecz nie wiedziała, że jest to ta sama pieśń, którą wyśpiewywał przed laty ostatniego dnia szesnastoletniego oczekiwania na Ma Iyang.

— Z całą pewnością skoczy jak jego ukochana — dodał pan Willie. — I wzniesie się do nieba, i zniknie we mgle.

— Nie — odpowiedziała Dewi Ayu. — Rozbije się o skały i będzie wyglądał jak wołowa bitka.

I tak właśnie się stało: po zakończeniu pieśni Ma Gedik rzucił się ze skały. Wydawało się, że leci rozradowany jak nigdy. Machał rękoma jak ptak skrzydłami, ale nie wznosił się wyżej, tylko spadał z coraz większą prędkością. Choć wiedział, co go czeka na końcu, uśmiechał się i pokrzykiwał radośnie. Rozbił się o skały, a jego ciało przypominało krwawą bitkę, dokładnie tak jak przewidziała Dewi Ayu.

Przynieśli jego szczątki, które przypominały bardziej bulion czy ciasto niż ludzkie zwłoki. Zawieźli je do domu i wyprawili pogrzeb. Wzgórze obok Wzgórza Ma Iyang Dewi Ayu nazwała Ma Gedik i postanowiła pograć się na tydzień w żałobie. Pod koniec tej żałoby nadeszła wiadomość, że Ted Stammler poległ, broniąc Batawii w ostatniej bitwie przed holenderską kapitulacją. Jego ciała nie przywieziono, ale Dewi Ayu postanowiła trwać w żałobie przez kolejny tydzień.

Pod koniec drugiego tygodnia, uradowana, że nie nadeszła następna smutna wiadomość, wyrzuciła strój żałobny. Włożyła kolorową sukienkę, pomalowała się ładnie i poszła na targ, jakby nic się nie stało. Ale po powrocie do domu usłyszała coś o wiele bardziej zaskakującego niż wiadomość o kolejnej śmierci.

Podszedł do niej pan Willie, ubrany w marynarkę, krawat i wyglansowane buty, po czym zakomunikował, że ma z nią do omówienia ważne sprawy. Dewi Ayu przypuszczała, że chce odejść, pojechać do Batawii i szukać nowej pracy albo nawet przyłączyć się do Japończyków. Ale żadne z tych przypuszczeń nie okazało się prawdziwe. Twarz pana Williego, czerwona z zażenowania, niczego nie zdradzała, póki się nie odezwał. Wypowiedział tylko kilka słów, które zaparły jej dech w piersiach.

— Panienko, wyjdź za mnie.

1. Holenderska kolonia karna na Nowej Gwinei, gdzie w latach 1928–1942 przetrzymywano indonezyjskich nacjonalistów i komunistów. [↵](#)
2. Obecnie Dżakarta, stolica Indonezji. [↵](#)
3. Koninklijk Nederlandsch-Indisch Leger — Królewska Niderlandzka Armia Indii Wschodnich. [↵](#)

DEWI AYU ZAPOMNIAŁA, że Japończycy nie wygraliby wojny, gdyby nic nie wiedzieli, na przykład o tym, że jest córką Holendrów. Zdradzały ją nie tylko rysy i kolor skóry, ale także publiczne archiwa, przejęte w całości przez Japończyków, którzy nie mieli zamiaru uwierzyć, że jest rdzenną mieszkanką wyspy, bez względu na to, czy nazywa się Dewi Ayu, czy nie.

— Tak to bywa — mówiła. — Wszyscy wiedzą, że ten Multatuli ¹ jest pijakiem i nie-Jawajczykiem.

Była sama, w melancholijnym nastroju, słuchała z gramofonu płyty z ulubionymi utworami dziadka: *Niedokończoną symfonią* Schuberta i *Szeherezadą* Rimskiego-Korsakowa, zastanawiając się przy tym, jak odpowiedzieć na oświadczyzny pana Williego. Wiedziała, że pan Willie to dobry człowiek, kiedyś miała nawet nadzieję, że ożeni się z ciotką Hanneke. Odrzucenie oświadczyzny dobrego człowieka jest równie trudne jak lekkomyślne wyjście za niego za mąż, ale postanowiła, że bez względu na okoliczności po burzliwym małżeństwie z Ma Gedikiem już nigdy nie poślubi innego mężczyzny.

Pan Willie przybył do Halimundy, kiedy dziadek zamówił w Velodrome w Batawii nowe colibri, które miało zastąpić starego fiata. Firma Velodrome należała do przedsiębiorcy Bresta van Kempena, dobrego człowieka, który pozwalał ludziom kupować samochody na raty. Dziadek nie musiał kupować auta na raty, ale znajomi powiedzieli mu o wielkiej promocji oferowanej przez Velodrome — darmowym ubezpieczeniu, dostępie do najlepszego warsztatu oraz kierowcy z doświadczeniem w obsłudze silników. Dziadek wrócił do domu z panem Williem, który został ich kierowcą i mechanikiem i stał się bardzo przydatny, ponieważ potrzebowali kogoś do obsługi maszyn na plantacji. Pan Willie był średniej budowy i miał nieco ponad trzydzieści lat. Chodził zawsze w rozpiętej kamizelce, w zatłuszczonym smarem ubraniu i nosił pistolet na szczury i świnie. Dewi Ayu miała wtedy jedenaście lat, a po pięciu latach pan Willie poprosił ją o rękę.

— Niech pan pomyśli — zaczęła — jestem stuknięta.

— Kiedy na ciebie patrzę, nie widzę żadnych oznak szaleństwa — odpowiedział pan Willie.

— Kiedy zginął Ma Gedik, zdałam sobie sprawę, że wyszłam za niego za mąż tylko dlatego, że byłam wściekła na Teda, który zniszczył jego miłość. Więc bez wątpienia jestem stuknięta.

— Jesteś nieco irracjonalna.

— To znaczy, proszę pana, to samo, co stuknięta.

Ale oto pojawiło się wybawienie: będzie mogła uciec i nie odpowiadać na

oświadczyły. Było jeszcze wcześniej, płyta się nie skończyła, kiedy ujrzała na plaży wojskowe ciężarówki, gotowe do załadowania pozostałych w mieście Holendrów, żeby wywieźć ich do obozu. Poprzedniego dnia japońscy żołnierze chodzili po domach i kazali im się pakować. W nocy Dewi Ayu, nic nikomu nie mówiąc, a już na pewno nie panu Williemu, zebrała swój dobytek. Nie było tego wiele, tylko jedna walizka z ubraniami, kołdrą, cienką matą do spania i dokumentami potwierdzającymi własność jej rodzinnego majątku. Nie zabierała ze sobą żadnych pieniędzy ani biżuterii, bo wiedziała, że wszystko to jej odbiorą. Wyjęła z kasetek naszyjniki i bransoletki należące do babci i spuściła je w toalecie do oczekującego na nie gówna. Pozostałe kosztowności podzieliła na małe części i wsunęła do kopert, żeby dać je służącym, by mieli za co żyć, rozglądając się za inną pracą. Jeśli zaś o nią chodzi, to połknęła sześć pierścionków wysadzanych jadem, turkusami i brylantami. Będą bezpieczne w jej brzuchu, wydali je razem z gównem, a potem znów połknie i tak w kółko, dopóki będzie uwięziona. Nadeszła pora, żeby się zbierać — jedna z ciężarówek stanęła przed domem, wysiadło z niej dwóch żołnierzy z bagnietami na karabinach i wspięło się po schodkach na werandę, na której na nich czekała.

— Znam was — powitała ich Dewi Ayu. — Byliście fotografami i mieliście zakład przy zakręcie drogi!

— Ta, to był niezły podstęp. Zrobiliśmy zdjęcia wszystkim Holendrom z Halimundy — odpowiedział jeden z żołnierzy.

A drugi dodał:

— Przygotuj się, panienko.

— Jestem już panią — odpowiedziała Dewi Ayu. — Niedawno zostałam wdową.

Poprosiła, żeby pozwolili jej się pożegnać ze służbą. Chyba wiedzieli, że pani opuszcza dom. Jedna z kucharek, Ina, płakała. Ina niepodzielnie panowała w kuchni, a babka Dewi Ayu powierzała jej przygotowywanie wszystkich posiłków dla gości. Dewi Ayu już nigdy nie zje jej pysznego *rijsttafel* — może nawet przez całą wieczność. Dobra kucharka jest ważną częścią majątku rodziny, ale teraz rodziny już nie było, a ona sama opuszczała dom, by trafić do obozu jenieckiego. Oddając Inie złoty naszyjnik, Dewi Ayu pogrążyła się we wspomnieniach. Kiedy była mała, Ina nauczyła ją gotować, pozwalała jej tłuc przyprawy i rozdmuchiwać ogień. Poczowała przypływ wielkiego smutku, większego niż wtedy, kiedy dowiedziała się o śmierci babki i dziadka.

Obok Iny stał posługacz, jej syn. Miał na imię Muin. Zawsze nosił się bardziej kolorowo od innych, a jego nakrycie głowy, tradycyjny *blangkon*, robiło wrażenie nawet na Holendrach. Do jego obowiązków należało bieganie po domu i załatwianie najpilniejszych spraw, ale najbardziej zajęty był podczas posiłków, kiedy nakrywał i podawał do stołu. Ted Stammler nauczył go obsługiwać gramofon i często polecał mu zmienić płytę albo puścić konkretny utwór. Muin był

uszcęśliwiony, kiedy mógł nastawiać muzykę, obracać płytę i przesuwac igłę, jakby był jedynym człowiekiem na ziemi, który umie to robić. Znał na pamięć wiele utworów muzyki klasycznej i wydawał się jej koneserem.

— Weź sobie to wszystko — powiedziała Dewi Ayu, wskazując Muinowi gramofon i półkę z płytami.

— Nie mógłbym! — odpowiedział Muin. — To należy do pana!

— Umarli, wierz mi, nie słuchają muzyki.

Wiele lat później, po zakończeniu wojny i powstaniu republiki, znów spotkała Muina. W tamtym czasie wyspę opuścili już Holendrzy i nikogo nie było stać na służbę. Wiedziała, że Muin nie zna się właściwie na niczym, poza nakrywaniem do stołu i obsługiwaniem gramofonu. Spotkała go przed targiem, stał i puszczał płyty odziedziczone po jej dziadku, w towarzystwie sprytnej wytresowanej małpki, która pchała w tę i z powrotem mały wózek, chodziła z parasolką i tańczyła w rytm *IX Symfonii d-moll*, a ludzie wrzucali drobne do odwróconego do góry nogami blangkonu Muina. Dewi Ayu przyglądała mu się z daleka, uśmiechając się pod nosem z tego, jak mu się poszczęściło.

Do innego obowiązku Muina należało roznoszenie listów. W tamtym czasie nikt jeszcze nie miał telefonu w domu, a „list” był niczym innym jak obustronną glinianą tabliczką, na której pisało się kredą. Dewi Ayu często plotkowała z koleżankami ze szkoły, pisząc do nich na jednej stronie tabliczki. Muin zanosił ją do domu przyjaciółki i czekał na odpowiedź na drugiej stronie. Podczas oczekiwania częstowano go zimnymi napojami i ciasteczkami, które jadł ze smakiem; wracał do domu z tabliczką oraz plotkami od służących z domu, który odwiedził. Lubił tę pracę i Dewi Ayu wysyłała go z listami niemal codziennie.

Jedyny list na tabliczce, którego mu nie powierzyła, był ostatnim takim listem, jaki kiedykolwiek wysyłała, skierowanym do Ma Gedika i dostarczonym mu do chaty przez pana Williiego i zbira.

— Ta tabliczka także jest dla ciebie — powiedziała.

Potem zwróciła się do Supi, pomywaczki, królowej pompy i mydła. Kiedy była mała, stara Supi czuwała przy niej przed zaśnięciem, śpiewała jej kołysankę *Nina Bobo* i opowiadała bajkę *Lutung Kasarung*. Jej mąż był ogrodnikiem. Zawsze nosił maczetę u boku i sierp w ręku, i często przychodził do domu z niespodziewanymi prezentami: czarnym kotkiem, jajami węża, waranem, a także z bardzo smaczными prezentami, jak kiść królewskich bananów, nie całkiem dojrzała graviola czy worek mango.

Były też zbiry — strażnicy domu, strażnicy ogrodu i strażnicy zagrody dla kóz. Uściskała ich wszystkich. Po raz pierwszy od wielu lat Dewi Ayu płakała. Odchodząc, czuła się tak, jakby traciła jakąś część siebie. W końcu stanęła przed panem Williem.

— Jestem stuknięta i tylko ktoś stuknięty chciałby ożenić się ze stukniętą —

zwróciła się do niego. — A ja nie zamierzam wychodzić za mąż za stukniętego. — Pocałowała go i wyszła z dwoma japońskimi żołnierzami, którzy nie chcieli już dłużej czekać.

— Opiekujcie się moim domem — poprosiła po raz ostatni służbę. — Chyba że ci tutaj go zabiorą.

Wspięła się na tył ciężarówki, stojącej na jałowym biegu przed domem. Ledwo się zmieściła, bo cały tył wypełniały kobiety i ich płaczące cicho albo wrzeszczące dzieci. Pomachała na pożegnanie służącym, którzy stali na werandzie. Mieszkała w tym domu przez szesnaście lat, niemal go nie opuszczała, jeśli nie liczyć krótkich wakacji w Bandung czy Batawii. Zobaczyła, że z za domu wybiegają borzoje, które rozszczękały się na podwórku porośniętym japońską trawą, w której uwielbiały się tarzać tuż obok wspinających się na dom jaśminów i rosnących pod płotem słoneczników. To było ich królestwo i Dewi Ayu miała nadzieję, że pan Willie dobrze się nimi zajmie. Ciężarówka ruszyła, a Dewi Ayu ledwie oddychała, ściśnięta między pozostałymi kobietami. Ciągłe machała szczekającym borzozom.

— Nie mogę uwierzyć, że wyrzucają nas z naszych własnych domów — odezwała się stojąca obok kobieta. — Mam nadzieję, że nie na długo.

— A ja mam nadzieję, że nasza armia pokona Japończyków — odpowiedziała Dewi Ayu. — W przeciwnym razie sprzedadzą nas jak cukier czy ryż.

Przy drodze siedzieli w kucki tubylcy, przyglądając się obojętnie ludziom stłoczonym na ciężarówce. Kilku z nich płakało, rozpoznając Holenderki, które znali. Machali im na pożegnanie chusteczkami. Dewi Ayu otarła łzy i uśmiechnęła się do siebie na ten dziwny widok. Tubylcy zawsze byli uprzejmi i niewinni, posłuszni i trochę leniwi. Dewi Ayu rozpoznawała niektórych: pracowali na plantacji kakao dziadka, a ona często wymykała się do ich chat. Lubiała ich, bo opowiadali jej niestworzone historie z teatrzyków marionetek *wayang* i *buta* i uwielbiali się śmiać, a kobiety przebierały ją w obcisłe sarongi i koronkowe bluzki *kebaya* i spinały jej włosy z tyłu głowy w kok. Wszyscy oni byli bardzo biedni, oglądali w kinie filmy z tyłu ekranu, więc wszystko widzieli na odwrót, i nigdy nie chodzili do klubów czy na tańce, jeśli nie kazano im tam zamiatać.

— Spójrzcie — zwróciła się do innej towarzyszki niedoli. — Chyba nic nie rozumiem z tej wojny, którą toczą na ich ziemi dwa zwaśnione narody.

Podróż ciężarówką trwała w nieskończoność, bo jechali do obozu na zachodnim brzegu niedużej delty Rengganis. Do niedawna mieściło się tam więzienie przeznaczone dla ciężkich przestępców: morderców i gwałcicieli oraz więźniów politycznych rządu kolonialnego, w większości komunistów, których trzymano tam tymczasowo przed przetrzuceniem ich do Boven-Digoel. Kobiety na ciężarówce smażyły się w palącym tropikalnym słońcu bez parasolek czy czegokolwiek do picia. W połowie drogi auto stanęło, do chłodnicy dolano wody, a kobiety nie dostały ani kropli.

Dewi Ayu, zmęczona kucaniem przy burcie i wyglądaniami na drogę, odwróciła się, oparła o burzę i spojrzawszy na pozostałe przymusowe pasażerki, zdała sobie sprawę, że zna część z nich całkiem dobrze — były to jej sąsiadki i przyjaciółki ze szkoły. Holendrzy z wyspy byli ze sobą zżyci i prowadzili bogate życie towarzyskie. Jako dzieci spotykali się niemal każdego popołudnia nad zatoką, żeby pływać. Jako nastolatki chodzili wspólnie na tańce, do kina czy na rewie. Jako dorośli spotykali się w klubie. Dewi Ayu widziała na ciężarówce wiele znajomych. Uśmiechały się do siebie gorzko, a jedna z nich zapytała w żartach:

— I co słyhać?

Dewi Ayu odpowiedziała szczerze:

— Czuję się strasznie. Jedziemy do obozu.

To wystarczyło, żeby reszta się roześmiała.

Dziewczyna, która zażartowała, miała na imię Jenny. Chodziły razem na plażę i pływały na dętkę, którą Dewi Ayu trzymała w samochodzie. To były dawne czasy, sprzed wojny. Na plaży młodzi mężczyźni stali nad wodą, a starzy siadali na piasku pod parasolami i palili fajki, a wszystko po to, żeby gapić się na dziewczyny w kostiumach kąpielowych. Wiedziała, co działo się w przebieralni. To, co nazywano „przebieralnią”, było w gruncie rzeczy źródłem na końcu plaży. Męska i żeńska część przebieralni były odgródzone bambusowym płotem, ale Dewi Ayu często widziała oczy przyklejone do szpar między bambusami. Odwzajemniała się panom tym samym — podglądała ich i komentowała:

— O mój Boże, ale masz małego!

Mężczyźni uciekali zazwyczaj przerażeni.

Od czasu do czasu na linii wody pojawiała się płetwa rekina, a na plaży wpadano w panikę, choć nikt nigdy nie został zaatakowany. Przy plaży w Halimundzie była mielizna, więc rekiny odpływały z powrotem na otwarte morze. Czasem małe rekiny wplątywały się w rybackie sieci, a rybacy zawsze puszczały je wolno, uważając, że zabicie rekina przynosi pecha. Rekiny nie były jedynymi zwierzętami, których należało się bać: u ujścia rzeki mieszkaly krokodyle, które także zjadały ludzi.

Teraz w delikatnie pofalowanej zatoce kąpią się pewnie tylko mali tubylcy, którzy zawsze biegają boso i są ubłoceni; przedtem odsuwali się na bok, kiedy na plażę przychodziły młode damy i młodzi dżentelmeni. Dewi Ayu zastanawiała się, czy w więzieniu będą mogli się kąpać.

— Módlmy się, żebyśmy nie spotkały krokodyla — odezwała się kobieta w średnim wieku z dzieckiem na kolanach.

Powiedziała to nie bez powodu. Żeby dostać się do więzienia na środku delty, będą musiały pokonać rozlewisko. Po paskudnej podróży ciężarówką zatrzymały się nad rzeką. Wzdłuż brzegu biegali japońscy żołnierze, krzyżąc na kobiety w swoim języku, którego nikt nie rozumiał.

Wepchnięto je na prom, który był o wiele bardziej przerażający od ciężarówki, bo teraz groziło im utonięcie, a jak wspomniała kobieta, w wodzie mógł się pojawić krokodyl, a żadna z nich nie zdołałaby się wymknąć takiej bestii. Prom płynął potwornie wolno, krążąc po rozlewiskach, by ominąć główny nurt rzeki. Dewi Ayu lepiła się od sadzy z dymu, który walił prosto w niebo z komina. Motor spłoszył czaple, które zerwały się do lotu, po czym opadły na płyciźnie, ale ten widok nie był dla nich żadnym pocieszeniem, kiedy przybyły do starego budynku, stojącego za jakimiś krzakami, opróżnionego prawdopodobnie specjalnie dla jeńców. Tak wyglądało Bloedenkamp — więzienie o krwawej historii, siejące postrach nawet wśród kryminalistów. Po wejściu do środka nie dało się stąd uciec, chyba że ktoś umiał przepłynąć milę wpraw szybciej od krokodyla.

Kiedy prom zacumował, japońscy żołnierze znów podnieśli krzyk, a kobiety w pośpiechu zeskakiwały z pokładu. Dzieci zaczęły płakać, wszczął się rwetes, kiedy walizka wpadła do wody, a za nią jej właścicielka; na błoto spadła mata do spania; jakąś matkę rozdzielono od dziecka, które stratowano w tłumie. Szły ku więzieniu, mijając po drodze trzy żeliwne bramy strzeżone przez żołnierzy. Następnie ustawiały się przed stołem, za którym siedziało dwóch Japończyków z jakąś listą. Obok nich stał kosz na pieniądze i kosztowności. Kilka kobiet zdejmowało już biżuterię i wrzucało ją do środka.

— Zróbcie to, zanim was zrewidujemy — odezwał się po malajsku jeden z żołnierzy.

Zróbcie mi przyjemność i zrewidujcie moje gówna, pomyślała Dewi Ayu.

Więzienie było gorsze od chlewu. Dach przeciekał, na ścianach widniały zaskorupiałe plamy krwi, w szparach rosły mech i chwasty, a posadzka była brudna i roiło się na niej od wszy, karaluchów i pijawek. Wszędzie biegały wodne szczury grube jak udo dziecka. Spłoszone przez nowo przybyłe, biegały między ich nogami, a one podskakiwały z wraskiem. Ale kobiety nade wszystko starały się wyznaczyć własne terytoria za pomocą walizek, sprzątały zajęte przez siebie miejsca i pochlipywały nieustannie. Dewi Ayu znalazła sobie placyk na środku sali, rozwinęła matę i położyła się wyczerpana z walizką pod głową. Miała szczęście, że była sama i nie musiała opiekować się matką czy dzieckiem, i nie zapomniała o chininie i innych lekarstwach, bo w więzieniu nie działały toalety i istniała realna groźba złapania malarii i dyzenterii.

Tego dnia nie dano im jeść. To, co kobiety zabrały ze sobą z domów, skończyło się w porze lunchu. Któraś z nich zapytała Japończyków o jedzenie, na co odpowiedzieli, że może jutro albo pojutrze. Tej nocy pójdą spać głodne. Dewi Ayu wyszła z sali i skierowała się ku polom. Trzy więzienne bramy stały otworem i można było wyjść i chodzić wokół fortu. Kiedy tu przybyły, Dewi Ayu wypatrzyła krowy. Może należały do tubylczych strażników albo rolników z delty? Sprzątając

w więziennej sali swoje miejsce do spania, zgarnęła wszystkie pijawki, które ukryła w blaszanej puszcze po margarynie Blue Band. Znalazła jedną z pasących się krów, najtłustszą, i przystawiła jej pijawki do skóry. Krowa uniosła na chwilę łeb ani trochę nie zaniepokojona, a Dewi Ayu usiadła na kamieniu i czekała. Wiedziała, że pijawki piją krowią krew, a kiedy się nią opiją, odpadną jak dojrzałe jabłka. Podnosiła je z ziemi i wsadzała na powrót do puszek. Były opite i grube.

Rozpaliła ognisko i ugotowała je w puszcze w wodzie z rzeki. Nie dodała do nich żadnych przypraw i szybko zaniósła zupę do więziennej sali, która była jej nowym domem.

— Podano obiad — powiedziała do kobiet, które teraz mieszkały obok niej i były jej nowymi sąsiadkami. Żadna z nich nie chciała jeść pijawek, a jedna w zasadzie zwymiotowała na samą myśl o takim posiłku.

— Nie jemy pijawek, tylko krowią krew — wytłumaczyła im Dewi Ayu. Przecięła pijawkę scyzorykiem, wyjęła z niej ostrzem skrzepniętą krowią krew i połknęła. Nikt nie przyłączył się do tego dzikiego posiłku, lecz kiedy zapadła noc i kobiety zrobiły się głodne, spróbowały. Krew okazała się może trochę mdła, ale całkiem niezła.

— Nie umrzemy z głodu — powiedziała Dewi Ayu. — Oprócz pijawek są tu gekony, jaszczurki i myszy.

— Wspaniale — odpowiedziały z przekąsem kobiety. — Wielkie dzięki.

Ta pierwsza noc była naprawdę straszna. Szybko zrobiło się ciemno, jak to w tropikach. W więzieniu nie było elektryczności, ale niemal wszystkie kobiety zabrały świece — ich płomyki rzucały na ściany drżące cienie, których bały się małe dzieci. Leżały zmordowane na matach i żadna nie mogła zasnąć. Myszy przemykały pomiędzy nimi w ciemnościach, komary bzycały, a nad ich głowami śmigały nietoperze. Jeszcze gorsze były niespodziewane rewizje przeprowadzane przez japońskich żołnierzy, szukających pieniędzy i kosztowności. Nadszedł poranek, który nie obiecywał niczego dobrego.

W Bloedenkamp przebywało pięć tysięcy kobiet i dzieci, zwiezionych nie wiadomo skąd. Jediną nadzieję dawała im wróżka, której karty mówiły, że amerykańscy piloci bombardują japońskie koszary. Dewi Ayu pobiegła szybko do toalety, ale stała przed nią bardzo długa kolejka, więc nałała trochę wody do pojemnika po margarynie i poszła na pole. Wykopała płytki dołek między pochrzynami i załatwiła się do niego jak kot. Podmyła się, lecz zostawiła trochę wody, a potem zaczęła grzebać we własnych ekskrementach, szukając sześciu pierścionków. Kilka innych kobiet poszło jej śladem w bezpiecznej odległości, ale nie wiedziały, że Dewi Ayu strzeże skarbu. Znalazszy pierścionki, przepłukała je wodą i połknęła na nowo. Nie wiedziała, co się wydarzy po wojnie. Może straci dom i plantację, ale poprzysięgła sobie, że nigdy nie odda pierścionków. Wróciła pod dach, nie wiedząc, czy będzie jej dane umyć się tego dnia.

Następnego ranka wszystkie nowo przybyłe wypędzono na spalone słońcem pole. Dzieci płakały, kobiety mdlały z żaru, a wszyscy czekali na komendanta obozu i jego sztab. Japończyk, który był komendantem, miał gęste wąsy i samurajski miecz przy boku, a w jego oficerkach odbijało się oślepiające słońce. Powiedział więźniarkom, że muszą się kłaniać głęboko, do samej ziemi przed japońskimi żołnierzami, kiedy tylko usłyszą komendę *Keirei!*, i mogą unieść głowy dopiero wtedy, gdy padnie komenda *Naore!*

— To oznaka szacunku dla Cesarstwa Japonii — wyjaśnił przez tłumacza. Te, które nie zastosują się do rozkazu, zostaną surowo ukarane: dodatkową pracą, chłostą, a nawet śmiercią.

Po powrocie do sali kilka kobiet, obawiając się przypadkowych błędów, szybko nauczyło dzieci rozkazów. Ich krzyki *Keirei!* i *Naore!* rozbawiły Dewi Ayu do łez.

— Jesteście gorsze od Japończyków! — zawołała w ich stronę.

One też się roześmiały.

Ale na co dzień nie było im do śmiechu. W Dewi Ayu — byłej uczennicy seminarium nauczycielskiego — rozbudził się pedagogiczny instynkt. Zebrała grupę dzieci i urządziła szkołę w pustym kącie sali, ucząc je czytania, pisania, arytmetyki, historii i geografii. Wieczorami opowiadała im ludowe baśnie i przypowieści z Biblii, odgrywała jak w teatrzyku *wayang* sceny z *Ramajany* i *Mahabharaty*, które poznała od tubylców, oraz fabuły wielu książek, które przeczytała. Dzieci lubiły ją, bo jej historie nigdy nie były nudne i przewidywalne. Bawiła je, aż do czasu powrotu do matek i spoczynku.

Japończycy zażądali, aby więzienne cele były utrzymywane w czystości, więc kobiety podzieliły się na brygady, wyznaczyły w każdej z nich brygadzkę i przygotowały rotacyjny plan zadań, które należało wykonać. Zmieniały się przy gotowaniu we wspólnej kuchni, napełnianiu koryt wodą, myciu narzędzi i sprzętu, pieleniu dziedzińca oraz noszeniu worków z ryżem, ziemniakami, węglem drzewnym i innymi towarami z ciężarówek do magazynów. Dewi Ayu, choć była młoda i niedoświadczona, została wybrana na brygadzkę. Okazała się już na tyle dojrzała, żeby przewodzić innym, tym bardziej że nikt się jej nie sprzeciwiał. Znalazła wśród więźniarek lekarkę i razem założyły szpitalik bez łóżek i lekarstw, a Dewi Ayu nie zaniedbywała przy tym swojej szkoły. Kilka kobiet domagało się pastora, ale mężczyźni byli w innym obozie, więc Dewi Ayu znalazła im zakonnice, która, jej zdaniem, była równie dobra.

— Dopóki nie będziecie chciały brać ślubów, pastor nie jest konieczny — rzuciła z przekonaniem. — Potrzebujemy tylko kogoś do głoszenia kazań i prowadzenia modlitwy.

Ale nie wszystko szło jak po maśle. Mali chłopcy szaleli, zakładali bandy z kolegami z tego samego baraku i obrzucali się nawzajem obelgami. Bójki dzieci były częstsze od ataków wściekłych żołnierzów. Matki czuły się w obowiązku, by

podchodzić do tego z japońską surowością i tłukły chłopców, choć nie przynosiło to żadnych rezultatów. Japończycy nie zajmowali się rozstrzyganiem sporów czy powstrzymywaniem bójek, przeciwnie: nawet do nich zachęcali, jakby to była zabawa.

Kolejnym problemem była aprowizacja. Racje żywnościowe nie wystarczały dla tysięcy jeńców. Wszyscy głodowali: na śniadanie dostawali porcję słonej ryżowej zupy, a drugi posiłek przygotowywali z tego, co sami zebrali, lub też — później — z tego, co zasadzili za barakami. Na kolację była kromka białego pieczywa. Nie dawano im mięsa, toteż wybili już wszystkie zwierzęta w Bloedenkamp. Najpierw myszy, a choć początkowo nikt nie chciał ich jeść, wkrótce w delcie nie było po nich śladu; potem jaszczurki i gekony. Zniknęły też żaby. Dzieciaki szły czasem łowić ryby, ale ponieważ nie mogły odchodzić zbyt daleko, zadowalały się rybami wielkości małego palca albo kijankami. Największym luksusem były zerwane gdzieś banany, które dawano najmniejszym dzieciom; kobiety walczyły między sobą o skórki.

Najpierw zaczęły umierać niemowlęta, potem najstarsze kobiety. Choroby zabijały także młode matki i dzieci — każdy mógł umrzeć o każdej porze. Pole za barakami zamieniło się w cmentarz.

Dewi Ayu przyjaźniła się z młodą Olą van Rijk. Znały się od dawna. Ojciec Oli także był właścicielem plantacji kakao i często odwiedzały się w domach. Ola była o dwa lata od niej młodsza, a do obozu trafiła razem z matką i młodszą siostrą. Któregoś popołudnia Dewi Ayu spotkała ją zapłakaną.

— Mama umiera — powiedziała.

Dewi Ayu poszła sprawdzić, co się dzieje. Pani van Rijk miała wysoką gorączkę, była blada i wstrząsały nią dreszcze. Wyglądało na to, że już nic nie da się zrobić, ale Dewi Ayu powiedziała Oli, żeby poszła poszukać komendanta i poprosiła go o lekarstwa i jedzenie z żołnierskich racji. Ola zadrżała ze strachu na myśl o zwracaniu się z czymkolwiek do Japończyków.

— Idź, bo twoja mama umrze — nalegała Dewi Ayu.

W końcu poszła, a Dewi Ayu przyłożyła chłodny kompres do czoła chorej i próbowała zająć czymś młodszą siostrę Oli, która wróciła po dziesięciu minutach, bez lekarstw, jeszcze bardziej zapłakana.

— Pozwól jej umrzeć — załkała.

— Co im powiedziałaś? — zapytała Dewi Ayu.

Ola kręciła głową, ocierając rękawem łzy.

— Wszystko na nic — rzekła krótko. — Komendant powiedział, że da lekarstwa, jak pójdę z nim do łóżka.

— Ja z nim porozmawiam — rzuciła gniewnie Dewi Ayu.

Komendant był u siebie, siedział w fotelu i wpatrywał się nieobecny wzrokiem w mrożoną kawę na stole, słuchając trzasków dobiegających z radia. Wpadła do

niego bez pukania. Odwrócił się gwałtownie, zaskoczony jej tupetem, i zrobił groźną minę. Ale zanim zdążył wybuchnąć, Dewi Ayu stanęła przed nim po drugiej stronie stołu.

— Zastąpię tę dziewczynę, komendancie. Może się pan ze mną przespać, ale proszę dać lekarstwa dla jej matki i wezwać doktora. **W e z w a ć d o k t o r a!**

— Lekarstwa i doktora? — Znał już kilka malajskich słów. Ta dziewczyna była bardzo ładna, nie miała więcej niż siedemnaście, osiemnaście lat, może wciąż jest dziewczicą i chce mu się oddać za lekarstwa na gorączkę i doktora. Gniew szybko mu minął, nie spodziewał się takiego obrotu sprawy tego nudnego popołudnia. Uśmiechnął się jak stary lubieżnik, któremu się poszczęściło. Obszedł stół, a Dewi Ayu czekała opanowana jak zawsze. Podniósł ręce, a jego palce niczym jaszczurki popęzły po jej nosie i ustach, zatrzymały się na brodzie, by wyżej unieść głowę. Potem ruszyły dalej w dół szyi.

Miał szorstkie dłonie przywykłe do samurajskiego miecza. Przesunął nimi po obojczyku, dotknął kołnierza sukienki i wepchnął je pod materiał. Dewi Ayu była nieco zaskoczona, a komendant chwycił już jej lewą pierś, a potem zabrał się szybko do rzeczy. Rozpiął sukienkę z taką wprawą, z jaką dokonywał przeglądu żołnierzy, ścisnął ją, całował pożądliwie w szyję, przesuwał rękami po całym jej ciele, jakby żałował, że urodził się tylko z dwiema.

— Niech się pan pośpieszy, panie komendancie, bo inaczej ta kobieta umrze.

Najwyraźniej zgadzał się z tą oceną sytuacji, bo szarpnął Dewi Ayu, uniósł i odsunawszy kawę i tranzystorowe radio, położył ją na stole. Szybko zdarł z niej sukienkę, rozebrał się sam i rzucił się na nagą dziewczynę jak kot na rybę.

— Nie zapomnij, lekarstwo i doktor — powtórzyła dla pewności.

— Ta, ta, lekarstwo i doktor — odpowiedział i nie marnując czasu, wszedł w nią gwałtownie. Dewi Ayu zamknęła oczy, gdyż bez względu na okoliczności po raz pierwszy brał ją mężczyzna. Drżała lekko, ale jakoś udało jej się wytrzymać. Potem już nie mogła zaciskać oczu, bo trząsał nią jak workiem bez ustanku i kołysał się na boki. Chciał ją pocałować w usta, ale odwróciła głowę. Wszystko skończyło się eksplozją, a komendant zsunął się z niej i leżał rozciągnięty na podłodze, oddychając ciężko.

— I jak było, komendancie? — zapytała Dewi Ayu.

— Zdumiewająco, jak podczas trzęsienia ziemi.

— Zatem lekarstwo i doktor.

Po pięciu minutach Dewi Ayu wracała już do obozu w towarzystwie tubylczego lekarza w okrągłych okularach i o miłym obejściu. Dziękowała Bogu, że przynajmniej chwilowo nie będzie miała do czynienia z Japończykami. Zaprowadziła go do celi, gdzie mieszkała rodzina van Rijk. W progu spotkała Olę, która od razu zapytała:

— Zrobiłaś to?

— Tak.

— O mój Boże! — krzyknęła dziewczyna i wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Doktor podszedł do chorej, a Dewi Ayu pocieszała przyjaciółkę.

— To nic wielkiego. Myśl o tym tak, jakbym się wysrała przez przednią dziurkę.

Doktor spojrział na nie i oznajmił:

— Ta kobieta nie żyje.

Od tamtej pory trzymały się razem niczym rodzina: Dewi Ayu, Ola i mała Gerda, która miała dziewięć lat. Ojciec Gerdy i Oli został powołany do wojska i poszedł na wojnę jak Ted, ale córki nie miały o nim żadnych wiadomości i nie wiedziały, czy żyje, czy trafił do niewoli.

Pierwsza Wielkanoc i pierwsze Boże Narodzenie w obozie minęły bez pisanek i choinek, nawet bez świeczek, które już się skończyły. Usiłowały jakoś przetrwać, pocieszając się nawzajem i mierząc z chorobami i śmiercią. Dewi Ayu zabroniła Gerdzie okradać innych, tak jak robiły to pozostałe dzieci. Codziennie zachodziła w głowę, co będą jeść. W delcie nie pasły się już krowy, a pijawki zniknęły.

Któregoś dnia Dewi Ayu wypatrzyła na brzegu rzeki małego krokodyla i wiedząc, że jedyną bronią tego gada na lądzie jest ogon, chwyciła duży kamień i roztrzaskała mu łeb. Ogłuszyła go, ale nie zabiła. Krokodyl walił ogonem na boki i ruszył ku rzece. Dewi Ayu chwyciła zaostrzony bambusowy kołek, używany do cumowania promu, i jednym pchnięciem — za słabym, jak jej się wydawało — wbiła bambus w oko krokodyla, a potem przebiła mu brzuch. Gad zdychał w męczarniach. Później Dewi Ayu zaciągnęła truchło za ogon do obozu. Urządziły sobie święto z zupą z mięsa krokodyla! Wiele kobiet wychwalało jej odwagę i dziękowało za poczęstunek.

— Jeśli macie ochotę na dokładkę — mruknęła od niechcienia Dewi Ayu — pełno ich pływa w rzece.

Od dzieciństwa uczono ją, żeby niczego się nie bała. Dziadek wielokrotnie zabierał ją na polowanie na dziki ze zbirami. Stała obok pana Williego, kiedy zwierzę kłami okaleczyło mu nogę na całe życie. Wiedziała, jak się ucieka przed dzikami: zygzakiem, nigdy prosto, bo rozwścieczone, szarżując, nie potrafią skręcać. Nauczyły ją tego zbiry, tak jak nauczyły walki z krokodylem czy oplatającym ją nagle pytonem. Pokazały, jak radzić sobie z ukąszeniem żmii, w jaki sposób stawić czoło *ajakowi* i co zrobić, kiedy obleżą ją pijawki. Nigdy nie musiała mierzyć się z żadnym z tych stworzeń, dopóki nie trafiła do Bloedenkamp, ale nauki zbirów zawsze przechowywała w pamięci.

Ci sami mężczyźni nauczyli ją mantr, żeby pozbyć się złych duchów i strzec własnego bezpieczeństwa. Nigdy ich nie recytowała, ale była szczęśliwa, że je umie. Znała pewną jawańską wieśniaczkę, która mieszkała w górach i pokonywała pieszo ponad sto kilometrów, żeby sprzedawać Holendrom owoce ze swojego ogródka.

Wyprawa zajmowała jej cztery dni. Nocowała u nich w szopie, a babka Dewi Ayu częstowała ją obiadem i gorącą kawą. Następnego dnia wieśniaczka wyruszyła w czterodniową drogę powrotną do domu. Oprócz pieniędzy zabierała też stare ubrania. Nie bała się dzikich zwierząt z dżungli, a Dewi Ayu wiedziała dlaczego: wędrując, recytowała mantry.

Z drugiej strony, Dewi Ayu nie bardzo wierzyła w zaklęcia, tak jak i w sens jakiegokolwiek modlitwy. Lecz choć wątpiła w sprawczą moc wszelkich modłów i sama nigdy nie zwracała się do Boga, powtarzała Gerdzie:

— Módl się, żeby Ameryka wygrała wojnę.

Wieść o amerykańskich zwycięstwach i porażce Niemiec rozchodziła się z ust do ust po obozie. Niosła im pewne pocieszenie i marną, bo marną, ale zawsze nadzieję, gdy mijały dzień za dniem, tydzień za tygodniem i miesiąc za miesiącem. W końcu nadeszło drugie Boże Narodzenie i Dewi Ayu wyprawiła święta, żeby rozweselić Gerdę. Zerwała gałąź figowca, rosnącego przed bramą obozu, udekorowała ją papierkami i odśpiewała kolędę. Była szczęśliwa, mając przy sobie Olę i Gerdę, i przez chwilę udało im się zapomnieć, w jak żałosnym znajdowały się położeniu.

Rozmawiały o swoich planach, kiedy skończy się wojna, a one — bez względu na jej rezultat — będą nareszcie wolne. Dewi Ayu miała zamiar wrócić do domu, doprowadzić wszystko do porządku i żyć tak jak do tej pory. No dobra, może nie do końca tak samo, bo tubylcy prawdopodobnie stworzą własną republikę i nie pozwolą, żeby było tak samo, ale z całą pewnością wróci do domu i w nim zamieszka. Byłaby najszczęśliwsza na świecie, gdyby Ola i Gerda zamieszkały razem z nią. Ola zauważyła całkiem rozsądnie, że Japończycy mogli zarekwirować dom i sprzedać komuś. Albo to samo zrobili tubylcy i dom należy teraz do nich.

— Odkupimy go — odpowiedziała Dewi Ayu. Zdradziła im w sekrecie, że ukryła skarb, choć nie powiedziała gdzie. — Nawet jeśli Japończycy wszystko zbombardowali i została tylko kupa gruzu, odkupimy.

Gerda z radością słuchała tej bajki. Miała już jedenaście lat, ale bardzo zmizerniała i jej ciało nie rozwijało się przez ostatnie lata tak jak powinno. Ale wszystkie jechały na tym samym wózku, były wychudzone i marniały. Dewi Ayu była pewna, że schudła z dziesięć albo piętnaście kilo.

— Wystarczyłoby na pięćdziesiąt misek zupy — powiedziała ze śmiechem, mając na myśli swój ukryty skarb.

Po niemal dwóch latach w obozie rozpoczęło się prawdziwe szaleństwo, kiedy Japończycy zaczęli sporządzać listy kobiet między siedemnastym a dwudziestym ósmym rokiem życia. Dewi Ayu miała już osiemnaście, niemal dziewiętnaście lat. Ola siedemnaście. Początkowo wydawało im się, że listy będą potrzebne Japończykom do przydzielania ich do cięższej przymusowej pracy, aż pewnego dnia na drugim brzegu rzeki stanęły ciężarówki wojskowe, z których wysiedli

oficerowie i przeprawili się promem do Bloedenkamp. Przypływali do obozu już wcześniej, by dokonywać inspekcji i wydawać nowe rozporządzenia i rozkazy. Tym razem polecili zebrać w jednym miejscu wszystkie spisane kobiety między siedemnastym a dwudziestym ósmym rokiem życia. Natychmiast wybuchł rwetes, bo uwięzieni zdali sobie sprawę, że młode kobiety zostaną oddzielone od rodzin i przyjaciół.

Kilka dziewczyn, w tym Ola, zaczęło udawać staruszki, ale ten podstęp nie mógł się powieść. Inne uciekły, chowając się w latrynach, wspinając na dachy baraków i kładąc się na nich, ale Japończycy je znaleźli. Starsza kobieta, która bała się, że straci córkę, próbowała się sprzeciwić i tłumaczyć, że jeśli zabierają młode, powinni zabrać wszystkie. W odpowiedzi dwaj żołnierze pobili ją do nieprzytomności.

W końcu wszystkie młode kobiety stanęły w szeregu na środku placu. Trzęsły się ze strachu, a ich matki zebrały się razem w pewnej odległości. Dewi Ayu widziała Gerdę, która trzymała się słupa i łykała łzy. Stojąca obok Dewi Ayu Ola wbiła wzrok w stare zniszczone pantofle. Inne dziewczyny płakały albo odmawiały modlitwy. Nadeszli oficerowie i oglądali je, jedną po drugiej. Zatrzymywali się przed każdą z kobiet i uśmiechali pod nosem, mierząc je wzrokiem od stóp do głów. Czasem — żeby przyrzeć się jakiejś twarzy — unosili im brody palcami.

Potem była selekcja. Część kobiet oddzielono od innych i ustawiono z boku, a za każdym razem, kiedy uwalniano jakąś dziewczynę, ta pędziła jak strzała do grupy matek. Na placu została połowa dziewcząt, w tym Dewi Ayu i Ola. Po drugim odstrzale wciąż tkwiły na środku — bezsilne pionki w absurdalnej japońskiej grze. Wywoływano je jedną po drugiej i stawały przed jakimś urzędnikiem, który, mrużąc małe oczy, przyglądał im się dokładnie. Po tej ostatniej selekcji na środku placu było już tylko dwadzieścia ściśniętych razem dziewczyn, które bały się na siebie nawet spojrzeć. Wyselekcjonowane — młode, ładne, zdrowe i silne — dostały rozkaz natychmiastowego spakowania dobytku i stawienia się w komendanturze. Ciężarówka już na nie czekała.

— Muszę zabrać Gerdę — powiedziała Ola.

— Nie — odpowiedziała Dewi Ayu. — Jeśli my mamy umrzeć, przynajmniej ona przeżyje.

— Albo odwrotnie?

— Albo odwrotnie.

Powierzyły Gerdę rodzinie, którą Dewi Ayu znała od dawna. Ale Ola wciąż nie mogła się pogodzić z rozstaniem z siostrą i długo siedziała z nią w kącie, przytulając ją do siebie. Dewi Ayu spakowała ich rzeczy i odłożyła wszystko to, co będzie potrzebne Gerdzie.

A potem zwróciła się do dziewczynki:

— W porządku, już wystarczy. Po dwóch latach nudy wyjeżdżamy na trochę. Jak

wrócimy, przywiozę ci prezenty.

— Nie zapomnij o przewodniku — poprosiła Gerda.

— Jesteś niesamowita, siostrzyczko — odpowiedziała Dewi Ayu.

Dwadzieścia młodych kobiet zgromadziło się przy bramie. Wyglądało na to, że Dewi Ayu jako jedyna za bardzo się tym wszystkim nie przejmuje. Pozostałe dziewczyny były zdezorientowane i przestraszone, obracały się przez ramię i patrzyły na tych, których zostawiły za bramą. Oficerowie poszli przodem, a żołnierze zapędzili je siłą na prom. Kiedy wsiadły na pokład, widziały jeszcze obozowe bramy i tłum więźniarek przyglądający się, jak odpływają. Machały chusteczkami, co przypomniało im pierwsze aresztowania w domach. Teraz czekała je kolejna podróż. Kiedy prom odbił od brzegu, straciły z oczu bliskich. I wtedy zaczął się płacz tak głośny, że zagłuszał motor promu, a nawet poszczekiwanie rozgniewanych ich wyciem żołnierzy.

Na drugim brzegu kazano im wsiąść na ciężarówkę. Wszystkie dziewczyny przykucnęły przy burtach, z wyjątkiem Dewi Ayu, która stała obok uzbrojonych strażników, oparta o szoferkę, i przyglądała się znajomej okolicy po drodze do Halimundy.

Po dwóch spędzonych w obozie latach niemal wszystkie młode kobiety dobrze się znały, ale teraz nie rozmawiały ze sobą i wydawały się zdumione spokojem Dewi Ayu. Nawet Ola nie wiedziała, o czym Dewi Ayu myśli, i doszła do krzywdzącego dla przyjaciółki wniosku, że ta nie musi się o nikogo martwić, bo też nie zostawia nikogo w obozie.

— Dokąd nas zabieracie, panie oficerze? — zapytała żołnierza Dewi Ayu, choć dobrze wiedziała, że ciężarówka zmierza ku zachodniemu krańcowi miasta, a może nawet dalej.

Strażnicy najwyraźniej musieli otrzymać rozkaz, żeby nie rozmawiać z więźniarkami, bo żołnierz nie odpowiedział i dalej gawędził ze swoim towarzyszem po japońsku.

Przywieziono je do obszernego domu z wielkim dziedzińcem, pełnym drzew i krzewów. Na środku rósł ogromny figowiec, a wzdłuż ogrodzenia na przemian posadzono palmy i chińskie palmy kokosowe. Kiedy ciężarówka wjechała na plac, Dewi Ayu domyśliła się, że w dwupiętrowym domu musi być ponad dwadzieścia pokoi. Dziewczęta opuszczały samochód oniemiałe: z podłego i ponurego obozu trafiły prosto do wygodnej, a nawet luksusowej posiadłości. Było to bardzo dziwne, ktoś musiał pomylić rozkazy albo coś w tym rodzaju.

Oprócz dwóch pilnujących je strażników cały rozległy teren patrolowali żołnierze, a inni siedzieli i grali w karty. Z wnętrza domu wyszła tubylcza kobieta w średnim wieku, była uczesana w kok i miała na sobie luźną suknię z rozpiętym paskiem. Uśmiechnęła się do dziewcząt stojących na dziedzińcu, które były przestraszone jak chłopki przed królewskim pałacem.

— Czy to pani dom, proszę pani? — zapytała ją uprzejmie Dewi Ayu.

— Mów do mnie Mama Kalong — odpowiedziała niewiasta. — Bo żyję jak *kalong*, nietoperz żywiący się owocami. Częściej można spotkać mnie w nocy niż za dnia. — Zeszła z ganku i zbliżyła się do młodych kobiet, próbując żartem i uśmiechem rozwiać ich ponure miny. — Kiedyś była tu letnia rezydencja holenderskiego fabrykanta lemoniady z Batawii. Zapomniałam, jak się nazywał, ale to bez znaczenia, bo teraz ten dom należy do was.

— Za co? — zapytała Dewi Ayu.

— Chyba wiesz za co. Jesteście tu, by pomagać chorym żołnierzom.

— Jak Czerwony Krzyż?

— Mądra jesteś, dziewczynko. Jak masz na imię?

— Ola.

— Dobrze, Ola. Zaproś przyjaciółki do środka.

Wnętrze domu okazało się jeszcze bardziej zdumiewające. Na ścianach wisały obrazy, głównie w stylu Mooi Indie. Cała rezydencja była w doskonałym stanie i wypełniały ją snycerskie ozdoby. Dewi Ayu ujrzała na ścianie rodzinny portret — grupę ludzi, trzy pokolenia, siedzieli razem ściśnięci na sofie. Może udało im się uciec, może siedzieli w Bloedenkamp albo — co bardziej prawdopodobne — już nie żyli. W jednym z rogów stał duży portret królowej Wilhelminy — Japończycy pewnie zdjęli go ze ściany. To wszystko kazało Dewi Ayu przypuszczać, że ona sama nie ma już zapewne domu. Należy on teraz do Japończyków albo został zrównany z ziemią jakimś odłamkiem pocisku. Tutaj natomiast wszystko pozostało idealne jak dawniej, pewnie dzięki dbałości Mamy Kalong, a kiedy Dewi Ayu weszła do którejś z sypialni, poczuła się jak w pokoju państwa młodych. Na wielkim łożu leżał gruby miękki materac, nad nim wisała moskitiera koloru czerwonego jabłka, a powietrze było przesycone zapachem róż. W szafach nadal wisały ubrania, niektóre dla młodych dam, a Mama Kalong pozwoliła im je włożyć. Ola powiedziała, że po dwóch latach w obozie to wszystko wygląda jak sen.

— A nie mówiłam? — roześmiała się Dewi Ayu. — Jesteśmy na wycieczce.

Każda z dziewcząt dostała własny pokój, a luksusy na tym się nie skończyły. Mama Kalong wraz z dwiema służącymi podała im *rijsttafel* na obiad, co po miesiącach głodowania było najlepszym posiłkiem na ziemi. Ale pamięć o tych, które zostały w obozie, nie pozwalała większości dziewcząt cieszyć się zbyt długo.

— Szkoda, że nie ma z nami Gerdy — rozżaliła się Ola.

Dewi Ayu usiłowała ją pocieszyć:

— Jeśli nie wyślą nas do przymusowej pracy w fabryce uzbrojenia, będziemy mogły po nią pojechać.

— Ta kobieta powiedziała, że będziemy sanitariuszkami Czerwonego Krzyża.

— I co w takim razie? Zresztą to bez różnicy. Nie wiesz nawet, jak opatruje się rany, więc co miałyby tu robić Gerda?

To prawda. Ale wszystkie były już oczarowane myślą, że zostaną sanitariuszkami Czerwonego Krzyża, nawet jeśli to oznaczało pracę dla wroga. Tak czy inaczej, lepsze to niż umieranie z głodu w obozie. Rozgadały się, omawiając kwestie niesienia pierwszej pomocy. Jedna z dziewcząt powiedziała, że należała do skautów i wie, jak się tamuje krew z rany, ale też jak leczy się ziołami poważne przypadłości, takie jak biegunka, gorączka czy zatrucie pokarmowe.

— Problem polega na tym — mruknęła Dewi Ayu — że japońscy żołnierze nie potrzebują lekarstwa na biegunkę. Potrzebują, żeby ktoś skrócił ich o głowę.

Dewi Ayu odeszła od grupki dziewcząt i zamknęła się w swoim pokoju. Ponieważ była najspokojniejsza, choć wcale nie najstarsza, uważały ją za przywódczynię. Dlatego dziewiętnaście dziewczyn nie dało jej pobyć tylko we własnym towarzystwie. Poszły za nią i zebrały się w jej sypialni, niektóre usiadły na łóżku, inne kontynuowały dyskusję o sposobach skutecznej dekapitacji japońskich żołnierzy, w razie gdyby zostali ranni w głowę i głowa do niczego się już nie nadawała. Dewi Ayu nie zwracała uwagi na tę paplaninę i postanowiła wypróbować łóżko, zupełnie jak dziecko, które cieszy się nową zabawką. Nacisnęła materac, pogłaskała kołdrę, przewróciła się z boku na bok, a nawet podskoczyła, żeby materac się zatrzęsł i zakołysał przyjaciółkami.

— Co robisz? — zapytała jedna z nich.

— Chcę tylko sprawdzić, czy to łóżko się zarwie, kiedy porządnie się nim wstrząśnie — odpowiedziała, nie przerywając skakania.

— Nie będzie trzęsienia ziemi — zauważyła inna.

— Kto wie... — odpowiedziała Dewi Ayu. — Jeśli mam spać z łóżka we śnie, wolę od razu kłaść się na podłodze.

— Dziwna dziewczyna — mówiły między sobą i odeszły do swoich pokojów.

Po ich wyjściu Dewi Ayu podeszła do okna i otworzyła je. Za szybą były grube żeliwne kraty, a ona mruknęła pod nosem:

— Nie można stąd uciec.

Zamknęła okno, wskoczyła do łóżka w ubraniu i się przykryła. Zanim usnęła, zmówiła modlitwę:

— Niech cię diabli, dobrze wiesz, że tak wygląda wojna.

Kiedy nadszedł ranek, śniadanie już na nie czekało: smażony ryż z sadzonymi jajkami. Wszystkie dziewczęta wykapały się, ale nie przebrały w nowe ubrania (ich stare rzeczy przypominały brudne ścierki, których używano za długo, ciągle je prano i suszono). Podkrążone oczy wskazywały, że przepłakały całą noc. Tylko Dewi Ayu odważyła się wybrać sobie sukienkę z szafy: kremową w białe kropki, z krótkim rękawem i paskiem z okrągłą sprzączką. Przypudrowała policzki, pomalowała usta cienką warstwą szminki, a wokół niej unosił się delikatny zapach lawendowych perfum. Znalazła wszystko w szufladach toaletki. Wyglądała

elegancko i uroczyście, jak na urodzinach, i zupełnie nie pasowała do otaczających ją wymiętych dziewczyn. Rzuciły oskarżycielskie spojrzenia, jakby przyłapały ją na jawnej zdradzie, ale po śniadaniu pobiegły do swoich pokoi i szybko przebrały się w nowe rzeczy, by podziwiać się nawzajem.

Było już prawie południe, kiedy przybyli Japończycy, cały dom wypełnił stukot ich butów. Dziewczęta przypomniały sobie od razu, że nadal są więźniarkami, i poczuły wyrzuty sumienia, bo przez chwilę były naprawdę szczęśliwe. Cofnęły się pod ścianę i znów stały się posępne. Z wyjątkiem Dewi Ayu, która szybko powitała pierwszego z gości:

— Jak się pan miewa?

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem i nie zadał sobie trudu, by jej odpowiedzieć, idąc prosto do Mamy Kalong. Rozmawiali przez chwilę, po czym Japończyk wrócił, przeliczył nowo przybyłe i znów wyszedł.

W domu zapadła cisza, zostały w nim tylko dziewczęta, Mama Kalong i wartownicy na zewnątrz.

— Liczył nas jak żołnierzy! — poskarżyła się któraś.

— To obowiązek komendanta — odpowiedziała Mama Kalong.

Tego dnia nie robiły nic innego, tylko siedziały znudzone w salonie lub którejś z sypialni. Gdy już się wymieniły nostalgicznymi wspomnieniami szczęśliwego dzieciństwa przed wojną, zabrakło im tematów do rozmów. Nie gadały już o Czerwonym Krzyżu, bo nic nie wskazywało na to, żeby naprawdę miały zostać sanitariuszkami. Japończycy w ogóle o tym nie mówili, ale oni nigdy o niczym nie mówili. Dziewczęta uważały, że powinny przejść jakieś szkolenie, ale wyglądało na to, że będą tylko gnić w tym domu pośród absurdalnego luksusu. Co więcej, zauważyła jedna z nich, front, jeśli się dobrze nad tym zastanowić, jest bardzo daleko stąd, nie wiadomo dokładnie gdzie, może na Pacyfiku, może w Indiach, ale z pewnością nie w Halimundzie. W mieście nie było rannych żołnierzy i nikt nie potrzebował Czerwonego Krzyża.

— Ale nadal trzeba skracać ich o głowę — mruknęła Dewi Ayu.

Ten żart nie wydawał im się już śmieszny, tym bardziej że osoba, która go stale powtarzała, wyglądała na taką, która niczym się nie przejmuje. Wszystko sprawiało jej radość — jedzenie wystawionych jabłek, a potem równie łapczywe objadanie się bananami i papają.

— Umierasz z głodu czy jesteś po prostu łakoma? — zapytała Ola.

— I to, i to.

Do następnego dnia nic się nie wydarzyło, przez co czuły się coraz bardziej dezorientowane. Ola pocieszała się myślą, że być może zostaną wymienione na innych jeńców wojennych i dlatego dobrze je karmią, goszczą w rezydencji i ładnie ubierają, żeby nie wyglądały jak ofiary prześladowań. Inne dziewczęta w to nie wierzyły. Możliwość zadawania pytań pojawiła się wraz z przybyciem do domu

grupy Japończyków, którym towarzyszył fotograf. Tyle tylko, że żaden z nich nie mówił po angielsku, holendersku czy malajsku. Pokazali dziewczętom na migi, żeby się wystroiły, bo mają zostać sfotografowane. Z ociąganiem ustawiały się przed obiektywem, zmuszały do uśmiechu, bo wciąż chciały wierzyć, że Ola miała rację, a ich portrety staną się elementem kampanii propagandowej o dobrych warunkach, w jakich żyją jeńcy wojenni, i że później dojdzie do wymiany.

— Dlaczego nie zapytacie Mamy Kalong, o co im chodzi? — zasugerowała Dewi Ayu.

Odnalazły niewiastę i zasypały ją pytaniami.

— Mówiła pani, że będziemy sanitariuszkami Czerwonego Krzyża!

— W pewnym sensie sanitariuszkami — odpowiedziała Mama Kalong — ale nie Czerwonego Krzyża.

— I co?

Spojrzała na dziewczyny, które wpatrywały się w nią wyczekująco. Czekały z niewinnymi, prawie anielskimi buziami, a Mama Kalong pokręciła lekko głową. Zostawiła je, a one nie dały za wygraną, szły za nią szybkim krokiem i wypytywały.

— Niech pani coś powie!

— Wiem tyle co wy: że jesteście więźniarkami.

— Dlaczego nas tak karmią?

— Żebyście nie umarły — rzuciła na odchodnym i zniknęła z tyłu domu.

Dziewczęta nie wiedziały, dokąd poszła, lecz nie mogły iść za nią, bo drogę zagrodzili im japońscy wartownicy.

Ich irytacja wzrosła, kiedy wróciwszy, zastały Dewi Ayu w bujanym fotelu, nucącą pod nosem i opychającą się jabłkami. Spojrzała na nie i uśmiechnęła się do siebie, widząc, że kipią od źle skrywanej złości.

— Zabawnie wyglądacie — rzuciła. — Jak szmaciane lalki.

Stały wokół niej, ale Dewi Ayu milczała. W końcu odezwała się któraś z dziewcząt:

— Nie uważasz, że dzieje się tu coś dziwnego? Niczym się nie przejmujesz?

— Zmartwienia biorą się z niewiedzy.

— Więc wiesz, co się z nami stanie? — zapytała Ola.

— Owszem — odpowiedziała. — Zrobią z nas prostytutki.

Wszystkie to przeczuwały, ale tylko Dewi Ayu zdobyła się na to, żeby powiedzieć głośno.

1. Eduard Douwes Dekker (Multatuli) — XIX-wieczny pisarz niderlandzki, autor powieści *Maks Havelaar, czyli Aukcje kawy Holenderskiego Towarzystwa Handlowego*. ↵

BURDEL MAMY KALONG działał od czasów otwarcia potężnych holenderskich koszar sił kolonialnych. Przedtem Mama była zwykłą dziewczyną, która pomagała w gospodzie prowadzonej przez jej złą ciotkę. Sprzedawały wino z ryżu i *tuak* z trzciny cukrowej, a żołnierze byli ich regularnymi klientami. Choć napływ wojska do miasta sprawił, że w gospodzie ciągle było pełno, dziewczyna nie zarabiała na tyle dużo, by przeżyć. Musiała pracować od piątej rano do jedenastej w nocy w zamian za dwa posiłki dziennie. Ale odkryła sposób na wykorzystanie krótkich chwil wolnych od pracy i zarobienie własnych pieniędzy.

Po zamknięciu gospody szła pod koszary. Wiedziała, czego potrzebują żołnierze, a oni wiedzieli, czego jej trzeba. Płacili jej za bujanie się nago na ich kolanach. Dosiadała w ten sposób trzech albo czterech, a potem wracała z pieniędzmi do domu. Po jakimś czasie zarabiała o wiele więcej od ciotki. Miała nos do interesów. Któregoś dnia, po awanturze z ciotką, która zrugowała ją za przysypianie w pracy, zostawiła gospodę i otworzyła własny przybytek na końcu nabrzeża. Sprzedawała wino z ryżu i *tuak* z trzciny cukrowej, a oprócz tego własne ciało. Już nie chodziła do koszar, to żołnierze przychodzili do jej gospody. Pod koniec pierwszego miesiąca znalazła dwie dziewczynki — dwunasto- czy trzynastoletnie — do pomocy w gospodzie w roli kelnerek i kurew. Rozpoczęła karierę jako burdelmama.

Po trzech miesiącach miała już sześć dziwek, nie licząc siebie — wystarczająco dużo, żeby rozbudować gospodę, czyli dodać kilka izb ze ścianami z plecionego bambusa.

Któregoś dnia na inspekcję do jednostki wojskowej przyjechał pułkownik. Zajrzał też do burdelu, choć nie po to, żeby wziąć sobie dziewczynę, ale żeby sprawdzić, czy gospoda jest dosyć dobra dla żołnierzy.

— Tu jest jak w chlewie — oznajmił. — Zdechną z brudu, zanim zobaczą wroga.

Mama Kalong, pełna szacunku dla rangi pułkownika, odpowiedziała szybko:

— Ale jeśli przyjdzie im czekać na lepszy burdel, to zdechną z tęsknoty za kobietą.

Pułkownik uwierzył, jak się zdaje, że dom publiczny dobrze oddziałuje na morale żołnierzy i podnosi bojowego ducha, napisał więc korzystny raport z inspekcji, a po upływie półtora miesiąca od jego wizyty dowództwo wojskowe postanowiło zbudować solidniejszą siedzibę zamtuza. Zburzono bambusowe ściany i dachy kryte palmowymi liśćmi, wylano betonowe podłogi i wzniesiono mury grube jak w twierdzy obronnej. Łóżka wykonano z drewna tekowego, a materace wypchano płåtami najlepszej bawełny. Mama Kalong, która za nic nie musiała płacić, przyjęła to z zadowoleniem, a na powitanie każdego żołnierza mówiła:

— Kochaj się, jakbyś był u siebie w domu.

— To niemożliwe — odpowiedział jej kiedyś jakiś żołnierz. — Bo w domu mam tylko mamę i starą babcię.

Od tamtej pory wszyscy klienci, którzy przychodzili do burdelu, byli rozpieszczani i hołubieni. Kurwy ubierały się lepiej i lepiej malowały od najszacowniejszych Holenderek, a były śliczne jak królowe.

Kiedy zaczęła się epidemia syfilisu, Mama Kalong i żołnierze zażądali budowy szpitala. Był to szpital wojskowy, ale przyjmowano do niego również cywilów. Burdelowi groziło w tym czasie bankructwo, ale Mama Kalong szybko wpadła na pomysłowe rozwiązania. Przekonywała żołnierzy, by brali sobie utrzymanki, które podsuwała im za pewną opłatą. Wędrowała po wioskach i zapuszczała się nawet w góry, żeby znaleźć dziewczęta chętne do pracy jako utrzymanki holenderskich żołnierzy.

Nadal opiekowała się nimi w burdelu, ale każda kurtyzana obsługiwała tylko jednego żołnierza. Mama Kalong szybko się wzbogaciła, gwarantując, że żadna z jej kobiet nie roznosi wstydlivej choroby. Jeśli któryś z żołnierzy — niezadowolonych z wysokich taryf Mamy Kalong — decydował się poślubić konkubinę, Mama żądała jeszcze wyższego odszkodowania. Jednocześnie nadal wynajmowała stare prostytutki wszystkim zainteresowanym. Kurwom tym narażała w miejsce żołnierzy całkiem nową klientelę: marynarzy i pracowników portowych.

W ostatnich latach panowania kolonialnego była z całą pewnością najbogatszą kobietą w Halimundzie. Skupowała ziemię przegraną przez rolników przy hazardowym stole i dzierżawiła ją z powrotem tym samym ludziom, a jej latyfundia ciągnęły się aż do samych gór. Większe od nich były tylko holenderskie plantacje.

Była w mieście kimś w rodzaju samozwańczej królowej: wszyscy ją szanowali, zarówno tubylcy, jak i Holendrzy. Jeździła zaprzęgniętym w konie powozem, a najważniejszym z jej interesów nadal pozostawały sprzedające swe intymne części ciała kobiety. Publicznie nosiła się w sposób godny — w opiętym sarongu, bluzce *kebaya* i z włosami zebranymi w kok. Oczywiście nie była już tak chuda jak niegdyś i właśnie dlatego ludzie — idąc śladem młodych prostitutek — nazywali ją „Mamą”. Nikt już nie pamiętał, kto je wymyślił, ale przywilej Mamy wydłużyło się o nazwę nietoperza i brzmiało teraz Mama Kalong. Spodobał jej się ten przydomek i wkrótce wszyscy, nawet ona sama, zapomnieli, jak się nazywała naprawdę.

— Teraz, po upadku innych królestw, w Halimundzie zostało ostatnie — powiedział kiedyś w gospodzie jakiś pijany żołnierz. — I to jest królestwo Mamy Kalong.

Choć była, rzecz jasna, chciwa, nigdy nie przysparzała prostytutkom cierpień. Przeciwnie, zajmowała się nimi, a nawet je rozpieszczała, niczym babcia opiekująca się hordą wnuczek. Zatrudniała służące, które grzały im wodę, żeby

mogły się wykąpać po wyczerpującej pracy. Wyznaczała im dni wolne i zabierała na wycieczki do pobliskiego wodospadu. Sprowadzała najlepsze krawcowe, żeby szyły im suknie, a najbardziej dbała o ich zdrowie.

— Bo — jak mawiała — największą przyjemność daje zdrowe ciało.

Potem Holendrzy uciekli i nadeszli Japończycy. Ale mimo tych zmian burdel Mamy Kalong pozostał tym, czym był zawsze. Służył japońskim żołnierzom z takim samym wdziękiem jak ich poprzednikom i znalazły się w nim nawet nowe, młodsze dziewczęta. Któregoś dnia Mama Kalong dostała wezwanie na przesłuchanie przez władze cywilne i wojskowe. Nie było w tym nic niepokojącego, chodziło o to, że kilku japońskich wojskowych wysokiej rangi życzyło sobie mieć w mieście własne kurwy, inne niż te, które obsługiwały niższych rangą oficerów, a szczególnie niż te, które pracowały z robotnikami portowymi i rybakami. Chcieli nowych prostytutek, zadbanych, o nieposzlakowanej opinii, i Mama Kalong została zobowiązana do znalezienia takich dziewcząt najszybciej jak to możliwe, gdyż — jak sama kiedyś powiedziała — wysocy rangą oficerowie zdychali z tęsknoty za kobietami.

— To nie problem, panie oficerze — odpowiedziała — znaleźć takie dziewczęta.

— Gdzie? Powiedz gdzie.

— W obozie jenieckim — rzuciła lakonicznie Mama Kalong.

Kiedy nadeszło popołudnie i do rezydencji zaczęli zjeżdżać Japończycy, dziewczęta rozbiegły się gorączkowo po domu. Szukały jakiejś szczeliny, przez którą mogłyby się wymknąć, ale drogi ucieczki były pilnie strzeżone. Stosunkowo duży dziedziniec otaczał wysoki mur z jedną bramą od frontu i małą furtką z tyłu, a żadnego z tych przejść nie dało się sforsować. Część dziewcząt usiłowała wspiąć się na dach, jakby wierzyły, że zdołają z niego odfrunąć albo znajdą na nim linę, po której będą się mogły wspiąć do nieba.

— Sprawdziłam już wszystko — mówiła im Dewi Ayu. — Nie ma stąd jak uciec.

— Zostaniemy wszetecznicami! — zawołała Ola, po czym padła bez sił na ziemię i zaszlochała.

— A nawet kimś gorszym — mruknęła Dewi Ayu. — Bo zdaje się, że nie będą nam płacić.

Jedna z dziewcząt, o imieniu Helena, podeszła natychmiast do przybyłych japońskich oficerów i oskarżyła ich o naruszenie praw przysługujących jeńcom na mocy konwencji genewskiej. Nie tylko Japończycy, ale i Dewi Ayu, roześmieli się w głos.

— Podczas wojny nie ma żadnych konwencji, kwiatuszku — stwierdziła Dewi Ayu.

Z wszystkich dziewcząt Helena wydawała się najbardziej poruszona myślą, że będzie musiała zostać kurwą. Przed wojną postanowiła złożyć śluby zakonne, ale

nadejście Japończyków zniweczyło jej plany. Jako jedyna zabrała ze sobą książeczkę do nabożeństwa, a teraz zaczęła głośno recytować psalmy przed Japończykami; być może łudziła się, że oficerowie rozbiegną się, wyjąc ze strachu, niczym złe duchy podczas egzorcyzmów. Japończycy nieoczekiwanie okazali się dla niej wyrozumiali, a pod koniec każdej modlitwy dopowiadali „Amen”, śmiejąc się, rzecz jasna.

— Amen — odpowiedziała machinalnie Helena i opadła ciężko na krzesło.

Któryś z oficerów przyniósł i rozdał dziewczętom kartki. Były na nich wypisane po malajsku nazwy kwiatów.

— To wasze nowe imiona — oznajmił.

Dewi Ayu stwierdziła podeksycytowana, że od teraz będzie miała na imię Róża.

— Uważajcie — syknęła — nie ma róży bez kolców.

Inna z dziewcząt miała się nazywać Orchidea, jeszcze inna Dalia, a Ola — Alamanda.

Polecono im wrócić do pokojów. Japończycy ustawili się przy stole na werandzie, żeby kupić wejściówki. Pierwszego wieczoru ceny były niebotyczne, gdyż uważano, że wszystkie są dziewicami. Nikt nie miał pojęcia, że Dewi Ayu straciła już dziewictwo. Dziewczęta, zamiast pójść do siebie, zgromadziły się w sypialni Dewi Ayu, która znów sprawdzała wytrzymałość materaca.

— Okazuje się, że ktoś jednak zrobi tu trzęsienie ziemi.

Oficerowie zaczęli w końcu wyłapywać dziewczyny jedną po drugiej, tocząc z nimi bitwy, które z łatwością wygrywali, chwytając je za ręce jak chore kocięta, rzucające się na próżno, kiedy się je wywozi. Tej nocy Dewi Ayu słyszała histeryczne krzyki dobiegające z sąsiednich pokoi, gdzie dalej toczyły się walki. Kilku dziewczynom udało się nawet uciec nago na korytarz, zanim oficerowie pojмали je ponownie i rzucili na łóżka. Biedne wyły podczas tych straszliwych stosunków, a Helena wykrzykiwała psalmy, kiedy otwierali siłą jej pochwę. W tym samym czasie inni Japończycy tarzali się ze śmiechu na werandzie, słysząc cały ten rwetes.

Tylko Dewi Ayu nie narzekała, nie pisnęła nawet. Trafił się jej wysoki i duży oficer, zbudowany jak zapaśnik sumo, z samurajskim mieczem przy pasie. Położyła się na materacu i zapatrzyła w sufit z kamienną twarzą, zupełnie nie zwracając na niego uwagi. Była bardziej zainteresowana tym, co działo się w sąsiednich pokojach, niż tym, co dzieje się z nią. Leżała jak trup przygotowany do pochówku. Kiedy Japończyk szczechnął, żeby się rozebrała, nawet się nie poruszyła, jakby przestała oddychać.

Poirytowany zalotnik wyciągnął samurajski miecz i zaczął nim wymachiwać, zatrzymując ostrze płasko tuż przy policzku Dewi Ayu, po czym powtórzył rozkaz. Ale Dewi Ayu trwała w bezruchu, nawet kiedy poczuła ukłucie ostrza na policzku. Wznosiła oczy ku niebu i była zasłuchana w jakby pozaziemską ciszę. Japończyk

rozzłościł się nie na żarty, rzucił miecz i dwukrotnie spoliczkował Dewi Ayu, zostawiając jej na twarzy czerwone pręgi i szarpiąc jej ciałem na boki. A ona dalej trwała w doprowadzającej go do szału obojętności.

Poddając się własnemu parszywemu szczęściu, potężny Japończyk zdarł ubranie z leżącej przed nim młodej kobiety i rzucił je na podłogę. Rozłożył jej ramiona i nogi. Nasyciwszy się widokiem nieruchomego nagiego ciała, rozebrał się szybko, wskoczył na łóżko i położył się na Dewi Ayu, wdzierając się w nią. Podczas stosunku Dewi Ayu nie zmieniła pozycji, w której ją ułożył, nie reagowała na nic najmniejszym gestem, nie walczyła też niepotrzebnie. Nie zamknęła oczu, nie uśmiechała się, wznosiła wzrok ku niebu.

Jej chłód przyniósł nadzwyczajny efekt: Japończyk nie wytrzymał nawet trzech minut. Zajął mu to dokładnie dwie minuty i dwadzieścia trzy sekundy, według obliczeń Dewi Ayu, która zerkała na wiszący w rogu sypialni szafkowy zegar. Mężczyzna przekręcił się na bok, a potem szybko wstał, gderając pod nosem. Ubrał się pospiesznie i wyszedł bez słowa, trzaskając przy tym drzwiami. Dopiero wtedy Dewi Ayu poruszyła się i uśmiechnęła słodko pod nosem. Przeciągnęła się i powiedziała do siebie:

— Cóż za nudny wieczór.

Ubrała się i poszła do łazienki. Spotkała w niej inne podmywające się dziewczęta, które przy okazji pospiesznej ablucji starały się zmyć z siebie zarazem brud, wstyd i grzech. Nie rozmawiały ze sobą. Bo nic się jeszcze nie skończyło, noc dopiero się zaczęła, a na dole czekała kolejna grupa Japończyków. Po kąpeli musiały wrócić do pokojów, gdzie znów toczyły się walki i rozlegały szlochy, z wyjątkiem pokoju Dewi Ayu, która i tym razem przyjęła postawę oziębłej kobiety.

Tej nocy każda z nich musiała się oddać czterem, a nawet pięciu mężczyznom. Dewi Ayu nie cierpiała z powodu oszalałego niestrudzonego pieprzenia, które mroziło jej ciało w nieruchomym tajemniczym paraliżu, ale z powodu krzyków i szlochów przyjaciółek. Nieszczęsne kobiety, myślała. Walka z tym, co nieuniknione, boli bardziej niż cokolwiek innego. Nadszedł nowy dzień.

Rano czekała ją praca. Zrozpaczona Helena powyrywała sobie włosy z głowy całymi garściami i Dewi Ayu musiała ją schludnie ostrzyc i doprowadzić do porządku. Trzeciej nocy znalazły Olę nieprzytomną i przemoczoną w łazience z ranami ciętymi na nadgarstkach. Dewi Ayu zaniósła ją szybko do sypialni, a Mama Kalong poszła szukać doktora. Nie umarła, ale Dewi Ayu zdała sobie sprawę, że to, co przeżywa, jest jeszcze bardziej potworne i złowrogie, niż początkowo myślała. Kiedy Ola doszła do siebie, Dewi Ayu zwróciła się do niej:

— Olę zgwałcono i umarła. To nie jest wiadomość, którą chcę zawieźć Gerdzie.

Choć ich życie w oficerskim lupanarze przebiegało w wiadomy sposób już od kilku dni, wiele z nich nadal nie godziło się ze swym opłakany losem, a Dewi Ayu wciąż słyszała krzyki w środku nocy. Dwie dziewczyny często ukrywały się

w korytarzu lub wdrapywały na pigwicę za domem. Doradziła im, żeby robiły to samo, co ona każdej nocy.

— Leżcie i udawajcie trupa, aż im się znudzi — powiedziała.

Ale dziewczęta uznały, że to jeszcze gorsze. Leżeć bez ruchu i zgadzać się, by ktoś penetrował ich ciało... żadna nie mogła sobie tego wyobrazić.

— Więc znajdźcie pośród nich jakiegoś ulubionego mężczyznę i oddawajcie mu się namiętnie, żeby się w was zakochał i wracał każdego wieczora, i płacił za całą noc. Obsługiwanie jednego mężczyzny jest o wiele lepsze niż spanie z tuzinami.

To wydało im się sensowniejszym pomysłem, choć równie trudnym do wprowadzenia w życie.

— Opowiadajcie im bajki jak Szeherezada — poradziła Dewi Ayu.

Żadna z nich nie umiała opowiadać bajek.

— Grajcie z nimi w karty.

Żadna z nich nie umiała grać w karty.

— W tej sytuacji nie pozostaje wam nic innego, jak tylko zamienić się z nimi rolami — mruknęła Dewi Ayu, poddając się. — Wy ich gwałćcie!

Z upływem czasu za dnia potrafiły mimo wszystko czuć się choć trochę szczęśliwe i nie zadręczać się potwornościami, które je wkrótce czekały. Przez pierwszy tydzień bardzo się siebie wstydziły i nie rozmawiały ze sobą, zamykały się w pokojach i płakały samotnie. Ale gdy minął tydzień, zbierały się po śniadaniu i pocieszały jedna drugą, znajdowały rozrywki i rozmawiały o sprawach zupełnie niezwiązanych z tym, co działo się wieczorami.

Dewi Ayu spędzała trochę czasu z Mamą Kalong i zawiązała się między nimi dziwna przyjaźń, która była możliwa tylko dlatego, że dziewczyna zachowywała spokój, nie sprzeciwiała się niczemu i nie robiła starszej kobiecie wyrzutów z powodu relacji z Japończykami. Mama Kalong przyznała się Dewi Ayu, że tak naprawdę jest właścicielką burdelu na końcu nabrzeża. Teraz wiele kobiet trafia tam siłą, żeby obsługiwać niższych rangą japońskich oficerów. Wszystkie jej kobiety były rdzennymi mieszkankami tego kraju, z wyjątkiem tych w rezydencji.

— Macie szczęście, że nie robicie tego dzień i noc — stwierdziła Mama Kalong. — A poza tym podoficerowie to większe kutasy.

— Nie ma różnicy między podoficerem a cesarzem Japonii — powiedziała Dewi Ayu. — Wszyscy oni celują w kobiece genitalia.

Mama Kalong sprowadziła niedowidzącą starszą kobietę, która miała im robić masaże. Robiła je każdego ranka, a dziewczęta wierzyły Mamie Kalong, że to doskonały sposób na uniknięcie ciąży. Jedyne wyjątkiem była Dewi Ayu, która zazwyczaj spała do śniadania i brała masaż tylko co jakiś czas, kiedy czuła się wyjątkowo zmęczona.

— W ciążę zachodzi się od pieprzenia, a nie od n i e b r a n i a masażu — komentowała lekko.

Podjęła ryzyko i po miesiącu w burdelu jako pierwsza z dziewcząt zaszła w ciążę. Mama Kalong doradzała skrobankę.

— Pomyśl o swojej rodzinie — mówiła.

— Właśnie to robię, Mamo — odpowiedziała jej Dewi Ayu. — M y ś l ę o swojej rodzinie i jedyną rodziną, jaką mam, jest to dziecko we mnie.

W ten sposób brzuch Dewi Ayu rósł, napinał się i stawał większy każdego kolejnego dnia. Bycie brzemienną miało swoje zalety: Mama Kalong pozwoliła jej przenieść się na tył domu i ogłosiła Japończykom, że ponieważ jest w ciąży, nikt nie będzie z nią spał. Ale też żaden Japończyk nie chciał sypiać z kobietą w takim stanie. Dewi Ayu doradziła pozostałym dziewczynom, żeby poszły za jej przykładem, ale one nie ośmieliły się ryzykować.

— To prawda, co mówią. Każde dziecko przynosi szczęście na świat.

Po upływie trzech miesięcy żadna z dziewcząt nie opuściła ani jednego porannego masażu i nie zaszła w ciążę. Każdej nocy musiały stawić czoło tym samym przerażającym aktom, ale wołały to niż powrót do matek z brzuchami.

— Co ja bym powiedziała Gerdzie? — pytała Ola.

— Powiedziałybyś: Gerdo, mam dla ciebie prezent w brzuchu.

Jak zawsze w środku dnia miały dużo wolnego czasu. Plotkowały, paplały, niektóre grały w karty, inne pomagały Dewi Ayu szyć ubranka dla dziecka. Były podekscytowane tym, że jedna z nich urodzi — że pojawi się nowe życie na tym wstrętnym świecie.

Czasem rozmawiały też o wojnie. Krążyły plotki o alianckich atakach na japońskie umocnienia wojskowe i dziewczęta łudziły się, że Halimunda będzie jednym z nich.

— Mam nadzieję, że wymordują i wybebeszą wszystkich Japończyków — mówiła Helena.

— Nie bądź taka wulgarna, dziecko cię usłyszy — napominała ją Dewi Ayu.

— I co z tego?

— Ojciec tego dziecka jest Japończykiem.

Śmiały się z jej uszczypliwych uwag. Ale nadzieja na przybycie aliantów podnosiła je na duchu. Więc kiedy w domu zabłąkał się gołąb pocztowy, schwytały go i przesłały za jego pomocą wiadomość dla alianckich żołnierzy. „Pomóżcie nam. Zmuszają nas do prostytucji. Dwadzieścia kobiet wyczekuje dzielnych wybawicieli”. Sam pomysł był dosyć idiotyczny i trudno było sobie wyobrazić, że gołąb dotrze do aliantów. Mimo to wypuściły go następnego popołudnia.

Po jakimś czasie znów się pojawił, i to bez ich listu, więc wierzyły, że ktoś, Bóg wie gdzie, go przeczytał. W podnieceniu wysłały kolejną wiadomość. I kolejną. Wysyłały takie wiadomości przez niemal trzy tygodnie bez przerwy.

Nie przybyli do nich alianci. Przybył natomiast japoński generał, którego nigdy przedtem nie widziały. Jego wizyta była tak niespodziewana, że wartownicy

strzegący wejścia nie chcieli go przepuścić. Ale zadrżeli, gdy wydał im komendę i strzelili obcasami.

— Co to za miejsce? — zapytał generał.

— Dom publiczny! — zawołała Dewi Ayu, zanim generałowi odpowiedział któryś z żołnierzy.

Generał, niski i mocno zbudowany, prawdopodobnie był potomkiem starego rodu samurajów, bo miał miecze przy każdym biodrze. Jego poważną twarz porastały krzaczaste bokobrody.

— Jesteście prostytutkami? — zapytał.

Dewi Ayu kiwnęła głową.

— Dbamy o dusze chorych żołnierzy — odpowiedziała. — W taki sposób zrobiono z nas kurwy, siłą i bez zapłaty.

— Jesteś w ciąży?

— Uważa pan, że japoński żołnierz nie może zostać ojcem, generale?

Zignorował uszczypliwy komentarz Dewi Ayu i wziął się za besztanie wszystkich mężczyzn w domu, a kiedy nadszedł zmrok i pojawili się zwykli klienci, jego gniew sięgnął zenitu. Zwołał oficerów i odbył z nimi rozmowę w jednym z pokoi. Było jasne, że nikt nie odważy mu się sprzeciwić.

Dziewczęta widziały w nim wybawiciela i spoglądały na niego z wdzięcznością, jakby odniosły wspaniałe zwycięstwo za pomocą listów, które niestrudzenie wysyłały.

— Nie mogę uwierzyć, że anioł może mieć twarz Japończyka — mówiła Helena.

Przed powrotem do swojej kwatery generał zwołał pensjonariuszki domu do sali jadalnej. Stał przed nimi, zdjął czapkę i uklonił się nisko.

— *Naore!* — zawołała Dewi Ayu.

Generał wyprostował się i po raz pierwszy ujrzały, jak się uśmiecha.

— Przyślijcie mi list, gdyby któryś z tych zboczeńców tknął was jeszcze raz choćby palcem.

— Dlaczego tak długo pan nie przyjeżdżał, generale?

— Gdybym przyjechał za szybko — odpowiedział głębokim, łagodnym głosem — zastałbym tylko pusty dom.

— Czy mogę poznać pańskie imię, generale? — zapytała Dewi Ayu.

— Musashi.

— Jeśli urodzę chłopca, dam mu na imię Musashi.

— Módl się, żebyś urodziła dziewczynkę — odpowiedział generał. — Nigdy nie słyszałem o kobiecie gwałcącej mężczyznę.

Wyszedł i wszedł do stojącego przed domem samochodu, a dziewczęta machały mu na pożegnanie. Kiedy odjechał, oficerowie, którzy wcześniej stali jak wmurowani, ocierając tylko zimny pot z czoła chusteczkami, pośpieszyli za nim. Tej nocy nikt nie przyszedł ich gwałcić. Miały spokój i ucziły to małym

przyjęciem. Mama Kalong dała im trzy butelki wina, a Helena rozlała je do małych kieliszków niczym kapłan na ołtarzu.

— Za zdrowie generała — wzniosła toast. — Jest taki przystojny!

— Gdyby chciał mnie zgwałcić, nie opierałabym się — powiedziała Ola.

— Jeśli urodzę córkę, dam jej na imię Alamanda na cześć Oli — stwierdziła Dewi Ayu.

Wszystko nagle dobiegło końca, nie było już z kim się kurwić, bo japońscy oficerowie przestali przyjeżdżać wieczorami, by kupować ich ciała. Dziewczęta martwiły się teraz tym, że spotkają matki i będą musiały im opowiedzieć o tym, czego doświadczyły. Niektóre stawały nawet przed lustrem, zbierały się na odwagę i mówiły do własnych odbić:

— Mamo, jestem teraz kurwą.

Oczywiście nie byłoby to zgodne z prawdą, więc próbowały jeszcze raz:

— Mamo, byłam kurwą.

Ale to nie brzmiało dobrze, więc siliły się na:

— Mamo, zostałam zmuszona do prostytucji.

Wiedziały, że przyznanie się do tego przed matkami będzie o wiele trudniejsze od wyznania przed lustrem. Jedyłą w miarę szczęśliwą okolicznością było to, że Japończycy nie kwapili się z odsyłaniem ich z powrotem do Bloedenkamp, a zamiast tego trzymali je w domu. Już nie jako prostytutki, ale jako jeńców wojennych, jak wcześniej. Wartownicy nadal czujnie ich pilnowali, a Mama Kalong ciągle ofiarowywała im swoją bezcenną opiekę.

— Traktuję moje kurwy jak królowe — szczyciła się. — Nawet po przejściu na emeryturę.

Spędzały dni, tygodnie i miesiące na rozmowach z Dewi Ayu, która przygotowywała wyprawkę dla dziecka. Dzięki pomocy przyjaciółek uzbierała już niemal pełen kosz ubranek, uszytych z materiałów, które znalazły w domowych szafach. Nie nudziły się przynajmniej, czekając na koniec wojny, a pewnego dnia Mama Kalong przyprowadziła akuszerkę.

— Wszystkie moje dziewczyny, które kiedykolwiek zaszły w ciążę, rodziły z pomocą akuszerki — wyjaśniła.

— Mam tylko nadzieję, że dziwki nie były jedynymi kobietami, którym pomagała rodzić — powiedziała Dewi Ayu.

We wtorek tego samego roku, który zaczął się od wyjazdu z Bloedenkamp i przyjazdu do burdelu, urodziła dziewczynkę, której dała na imię Alamanda, tak jak obiecała. Mała była śliczna, odziedziczyła urodę po matce. Jedyłą oznaką jej w połowie japońskiego pochodzenia były małe oczka.

— Biała dziewczynka o skośnych oczach — stwierdziła Ola. — Tylko w Holenderskich Indiach Wschodnich.

— Szkoda, że nie jest córką generała — powiedziała Helena.

Noworodek stał się wspaniałą rozrywką dla mieszkanek domu i nawet japońscy żołnierze kupowali Alamandzie lalki i wydali przyjęcie, aby dobrze się jej darzyło.

— Muszą ją szanować — powiedziała Ola — bo bez względu na wszystko jest córką któregoś z ich przełożonych.

Dewi Ayu cieszyła się, że Ola zapomina powoli o smutnej przeszłości i znów jest jak dawniej szczęśliwa. Spędzała całe dni, zajmując się niemowlęciem wraz z innymi, które kazały nazywać się ciociami.

Któregoś wczesnego ranka do pokoju Heleny wszedł japoński żołnierz i chciał ją zgwałcić. Helena wrzeszczała tak głośno, że postawiła na nogi cały dom, a napastnik uciekł w popłochu. Nie wiedziały, kto okazał się takim niegodziwcem, ale rano przyjechał generał. Chwycił jakiegoś żołnierza za kłapy, wyciągnął go na środek dziedzińca i dał mu pistolet. Mężczyzna strzelił sobie w usta, z potylicy eksplodował mu mózg. Po tym zdarzeniu już nikt nie ośmielił się zbliżyć do dziewcząt.

Ale to jeszcze nie był koniec wojny. Krążyły pogłoski — od Mamy Kalong i od służących — że Japończycy skończyli budowę wałów obronnych wzdłuż południowego wybrzeża. Mama Kalong przyniosła im potajemnie radio, i wtedy usłyszały, że na Japonię zrzucono dwie bomby, a trzecia czeka w gotowości. To wystarczyło, żeby zaalarmować cały dom. Bo wyglądało na to, że Japończycy także się o tym dowiedzieli. Przez następne dni siedzieli niespokojnie pod drzewami, a potem zaczęli znikać jeden po drugim, wysyłani Bóg wie gdzie. Kiedy nad Halimundą pojawiły się alianckie samoloty, z których zrzucano ulotki zapowiadające rychłe zakończenie wojny, przy domu zostało tylko dwóch japońskich wartowników.

Dziewczęta nie próbowały uciekać, choć pilnowało ich tylko tych dwóch żołnierzy, a nie próbowały dlatego, że sytuacja była nieprzewidywalna. Co więcej, słyszały w radiu, że miasta znalazły się już pod kontrolą wojsk brytyjskich, więc pozostawanie w domu było znacznie bezpieczniejsze od włóczenia się po ulicach. Japonia przegrała, czekały teraz na aliantów, żeby je wyzwolili. Ale, jak się okazało, alianckim wojskom wcale się nie śpieszyło do Halimundy, jakby zupełnie zapomniały o mieście. Wreszcie znów nadleciały samoloty, zrzucając suchary i penicylinę, a w końcu nadeszła piechota. Jako pierwszy pojawił się drugi rzut Królewskiej Niderlandzkiej Armii Indii Wschodnich, stworzony z holenderskich brygad. Wojska te nazywały siebie Koninklijk Nederlands-Indisch Leger (KNIL) i szybko wywiesiły przed domem własną flagę, zamiast japońskiej. Dwaj ostatni Japończycy poddali się bez walki.

Ale Dewi Ayu najbardziej zaskoczyło to, że w jednej z niderlandzkich brygad służył pan Willie we własnej osobie.

— Wstąpiłem do KNIL — pochwalił się.

— To lepsze od przyłączenia się do Japończyków — odpowiedziała Dewi Ayu.

Pokazała mu dziecko.

— Tylko tyle po nich zostało — oznajmiła, śmiejąc się cicho.

Z Bloedenkamp wypuszczono rodziny dwudziestu zamkniętych w burdelu dziewcząt. Gerda była straszliwie wychudzona, a kiedy zapytała, co się z nimi działo, kiedy je zabrano, Ola odrzekła wykrętnie:

— Byłyśmy na wycieczce.

Ale Gerda domyśliła się, czego doświadczyły, kiedy tylko ujrzała małą Alamandę. Mieszkały dalej w rezydencji z holenderskimi żołnierzami, którzy teraz ich strzegli. Dla Dewi Ayu nadeszły ciężkie czasy, bo pan Willie znów wyznał jej dozgonną miłość, a choć raz dostał już od niej kosza, był, zdaje się, gotów zaryzykować raz jeszcze.

I znów ocaliło ją nieszczęście.

Któregoś wieczoru pan Willie i trzech innych żołnierzy pełnili na zmianę wartę wokół domu, kiedy zaatakował ich tubylczy oddział partyzancki, uzbrojony w oręż skradziony Japończykom oraz maczety, noże i granaty. Niespodziewany atak zakończył się powodzeniem, zginęło czterech żołnierzy holenderskich. Pan Willie, który rozmawiał z Dewi Ayu w salonie, stracił głowę — kat zaszedł go od tyłu i mu ją obciął. Głowa spadła na stół, spryskując krwią małą Alamandę. Innego żołnierza zastrzelono w ubikacji, kiedy się załatwiał, dwóch pozostałych zabito na dziedzińcu.

Partyzanci, których było ponad dziesięciu, zwołali wszystkich do domu. Kiedy się przekonali, że mają do czynienia z samymi kobietami, w dodatku Holenderkami, stali się brutalni. Część kobiet związali w kuchni, inne zaciągnęli do sypialni, żeby je zgwałcić. Krzyki były jeszcze bardziej rozdzierające niż wtedy, kiedy Japończycy robili z nich kurwy. Nawet Dewi Ayu musiała się bronić i walczyć z partyzantem, który odebrał jej dziecko i przeciął rękę maczetą.

Na szczęście wkrótce nadeszła pomoc i partyzanci zniknęli. Kobiety pochowały czterech martwych żołnierzy na dziedzińcu.

— Gdybyś wstąpił do partyzantki — powiedziała Dewi Ayu, składając kwiaty na grobie pana Williego — przynajmniej mógłbyś mnie zgwałcić. — I zapłakała.

Do podobnych incydentów dochodziło coraz częściej. Czterej żołnierze wyznaczeni do pilnowania domu nie byli w stanie odpierać ataków partyzantów, którzy pojawiali się w pełnym rynsztunku bojowym. Komendant miasta nie mógł przydzielić im większej eskorty, bo brakowało mu wojska. Kobiety poczuły się bezpieczne dopiero wtedy, kiedy przybyli Anglicy i wzmocnili obronę całego miasta. Brytyjczycy należeli do Dwudziestej Trzeciej Dywizji Indyjskiej, która zajęła Jawę, a część z nich była Gurkhami. Wszędzie rozstawiali karabiny maszynowe i założyli posterunek na tyłach domu. Kiedy partyzanci znów zaatakowali, spotkali się z wściekłą odprawą, nie udało im się wejść na dziedzińiec, a jeden z nich zginął. Po tym wydarzeniu już nigdy nie szturmowali dawnego burdelu.

Dopóki rezydencji strzegli Anglicy, życie biegło spokojnie, a nawet przyjemnie. Dziewczeta wydawały małe przyjęcia, żeby zapomnieć o smutnych czasach. Czasem jeździły na plażę wojskowym dżipem, pilnowane przez kilku oficerów z bronią. Oficerowie ci zakochiwali się w nich, a one zakochiwały się w oficerach. Trudno było im mówić o tym, co je spotkało, ale kiedy o wszystkim opowiedziały, było już tylko lepiej. Zaproszono tubylczy zespół muzyczny i znów odbyło się przyjęcie przy winie i cieście.

Trwała akcja łączenia rodzin: zjawił się Międzynarodowy Czerwony Krzyż i wszystkie więźniarki wyznaczono do natychmiastowego transportu do Europy. Ten kraj nie był bezpieczny dla cywili, szczególnie dla takich, którzy spędzili trzy lata wojny w obozie jenieckim. Tubylcy ogłosili niepodległość, wszędzie panoszyły się uzbrojone bojówki. Część z nich obwołała się Armią Narodową, inne Armią Ludową, a we wszystkich służyli partyzanci spoza miasta. Większość z tych oddziałów przechodziła szkolenie u Japończyków za ich okupacji i walczyły one z tubylcami, którzy służyli w holenderskim wojsku i wstąpili do KNIL podczas tej chaotycznej wojny. Bo wojna jeszcze się nie skończyła, przeciwnie, dopiero się zaczęła, a tubylcy nazywali ją teraz wojną rewolucyjną.

Młode kobiety i ich rodziny z jenieckiej rezydencji przygotowywały się do podróży na pokładzie samolotów Czerwonego Krzyża; wszystkie, z wyjątkiem jednej z dziewcząt, która zawsze musiała postawić na swoim: Dewi Ayu.

— Nie mam nikogo w Europie — oznajmiła. — Mam tylko Alamandę i to drugie dziecko, które rośnie mi w brzuchu.

— Masz Gerdę i mnie — przekonywała ją Ola.

— Ale tu jest mój dom.

Powiedziała już Mamie Kalong, że nie chce wyjeżdżać z Halimundy. Zostanie w mieście, nawet jeśli to oznacza, że będzie musiała pracować jako prostytutka. Mama Kalong odpowiedziała jej:

— Mieszkaj w tym domu tak jak do tej pory. Rezydencja należy teraz do mnie i dawni holenderscy właściciele na pewno jej nie odzyskają.

Więc kiedy wszyscy przygotowywali się do wyjazdu, Dewi Ayu została w domu z Mamą Kalong i kilkoma służącymi. Czekąca na narodziny drugiego dziecka, którego ojcem, była niemal pewna, musiał zostać któryś z partyzantów. Czytała *Maksa Havelaara* zostawionego przez Olę. Znała już tę książkę, ale zajrzała do niej ponownie, bo nie miała nic innego do roboty, a poza tym Mama Kalong zakazała jej brania się do czegokolwiek. Druga córka Dewi Ayu urodziła się, kiedy Alamanda miała prawie dwa lata, a matka dała jej na imię Adinda po bohaterce powieści, którą czytała.

Mieszkały w domu Mamy Kalong przez kilka miesięcy, kiedy Dewi Ayu przypomniała sobie o skarbie ukrytym w rurach kanalizacyjnych i o tym, że

nadeszła pora, żeby odzyskać własny dom. Dom, w którym obecnie mieszkała, znów stał się burdelem, pełnym kobiet, które podczas wojny niosły pocieszenie Japończykom. Mama Kalong znalazła mnóstwo dziewcząt, które bały się wracać do domów i postanowiły z nią zostać, zajmując pokoje niczym księżniczki z jej królestwa. Żołnierze KNIL byli ich wiernymi klientami. Mama pozwoliła Dewi Ayu zostać w jednym z pokoiów z dwiema córkami tak długo, jak tylko będzie chciała, nie oczekując w zamian, że będzie się kurwiła. Dewi Ayu przyjęła tę uprzejmość z wdzięcznością, choć uważała, że dom publiczny nie jest najlepszym miejscem do wychowywania córek, i miała zamiar wrócić do siebie.

Nie musiała się prostytuować, gdyż nadal miała sześć pierścionków, które połykała przez cały czas trwania wojny. Sprzedała jeden, wysadzany jadem, Mamie Kalong i przez pewien czas żyła z uzyskanych w ten sposób pieniędzy. Kupiła używany wózek dla dziecka w sklepie ze starzyzną i po raz pierwszy wybrała się z córeczkami na spacer ulicą prowadzącą do Halimundy. Mała Adinda leżała pod budką wózka, a Alamanda siedziała za siostrzyczką w sweterku i czepku. Dewi Ayu spięła włosy w kok na czubku głowy, związała długą suknię w talii i wypełniła kieszenie ścierczkami, pieluchami i butelkami z mlekiem. Spokojnie pchała przed sobą wózek.

Droga była zniszczona i pusta. Słyszała, że większość mężczyzn trafiła do dżungli i przyłączyła się do partyzantki. Spotkała na rogu tylko starego fryzjera, który umierał z nudów, czekając na klienta. Innymi mężczyznami, których widziała, byli żołnierze KNIL, strzegący miasta i urozmaicający sobie senną i nudną służbę czytaniem starych gazet. Niektórzy z nich siedzieli w kabinach ciężarówek lub dżipów, inni na czołgu. Kiedy zobaczyli, że jest biała, powitali ją ciepło i zaproponowali eskortę, bo Holenderki nie powinny spacerować samotnie po mieście.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała. — Szukam skarbów i nie chcę się dzielić.

Poszła dalej drogą, wypaloną na zawsze w jej pamięci, prowadzącą do dzielnicy zamieszkiwanej niegdyś przez holenderskich plantatorów. Stojące tutaj domy wciskały się na plażę, a ich frontowe ganki wychodziły na wąską ulicę, która biegła przez całą długość wybrzeża. Tylne werandy miały za sobą dwa wzgórza, wznoszące się w pewnej odległości i oddzielone od miasta bujną roślinnością plantacji i farm. Dotarła tu bez przeszkód, podążając drogą wzdłuż plaży, nie obawiając się, że jakiś partyzant wychynie nagle z morza. Wszystko wyglądało tak jak kiedyś. Ogrodzenie nadal porastały chryzantemy, obok domu wciąż rosła carambola z huśtawką przywiązaną do najniższej gałęzi. Wzdłuż werandy stały doniczki, ustawione tam przez babcię, choć aloes całkiem usechł, a kolokazje zbiły się w dżunglę. Najwyraźniej nikt nie zajmował się trawnikami ani orchideami rosnącymi przed altaną, które zwieszały się z niej do samej ziemi. Zdała sobie sprawę, że służba i strażnicy opuścili dom, gdzie nie zostały nawet rosyjskie charty.

Wprowadziła wózek na frontowy dziedziniec i spojrzała zdezorientowana na niedawno zamiecioną werandę. Ktoś tutaj sprząta, pomyślała. Kiedy nacisnęła klamkę, drzwi się otworzyły. Weszła do środka, pchając przed sobą wózek z coraz bardziej zaniepokojonymi dziewczynkami. W salonie panował półmrok, więc włączyła światło. Elektryczność nadal działała, w jednej sekundzie salon zalała jasność. Wszystko było na swoim miejscu: stoły, krzesła, kredensy. Brakowało tylko gramofonu, który Muin musiał zabrać ze sobą. Na ścianie nadal wisiał jej portret — młodziutkiej piętnastoletniej dziewczynki, rozpoczynającej naukę w szkole franciszkanek.

— Spójrz, to mamusia — powiedziała do Alamandy. — Sfotografowana przez Japończyka, a zaraz potem zgwałcona przez innego Japończyka, który pewnie jest twoim tatusiem.

Zwiedziły razem cały dom i weszły na piętro. Dewi Ayu dzieliła się z córkami wspomnieniami, pokazywała im, gdzie spali babcia i dziadek, oglądały fotografie Henriego i Aneu Stammmerów wykonane, gdy byli jeszcze dziećmi i nie zdążyli się w sobie zakochać. Oczywiście córki niczego nie rozumiały, ale Dewi Ayu cieszyła się, odgrywając dla nich przewodniczkę po domu, dopóki nie przypomniała sobie o skarbie w rurach kanalizacyjnych. Zaprosiła dzieci do odwiedzin w toalecie, czując ulgę, że ta nadal istniała. Wystarczyło odkręcić rury i wyjąć skarb.

— Holenderka szwenda mi się po domu za nowej republiki! — usłyszała za plecami czyjś głos. — Co ty tu robisz, panienko?

Odwróciła się i ujrzała właścicielkę głosu: starszą miejscową kobietę z gniewnym wyrazem twarzy. Miała na sobie sarong, wystrzępioną *kebayę* i podpierała się laską. Żuła betel. Wpatrywała się nienawistnie w nieproszonego gościa, jakby miała ochotę połamać na nim laskę jak na kundlu przybłądzie.

— Spójrz na ten portret wiszący na ścianie: to ja! — Dewi Ayu wskazała fotografię piętnastoletniej dziewczynki. — Ten dom należy do mnie!

— Nie miałam czasu, żeby go zamienić na swój.

Starsza kobieta kazała jej szybko wyjść, choć Dewi Ayu upierała się, że pokaże jej prawo własności. Tamta roześmiała się w odpowiedzi i machnęła ręką.

— Twój dom skonfiskowano, panienko — powiedziała.

Wszystko było jasne, stara wytłumaczyła jej to, odprowadzając nieproszonych gości do drzwi. Dom najpierw zajęli Japończycy, a pod koniec wojny odebrała go im rodzina partyzanta. Rodzina tej starej: jej mąż stracił połowę ręki, obcięta samurajskim mieczem, a potem, wraz z pięcioma synami, trafił do dżungli. Zginął od kuli żołnierza KNIL, podobnie jak dwóch jej synów.

— A ja odziedziczyłam po nim ten dom. Możesz sobie zabrać swoje fotografie, nie wezmę za nie pieniędzy.

Dewi Ayu zrozumiała, że walka na słowa nie ma sensu. Wyszła szybko, pchając przed sobą wózek, ale nie zamierzała tak po prostu odpuścić. Udała się do siedziby

tymczasowej administracji cywilnej i kwatery głównej wojska, widziała się z dowódcą KNIL i zapytała go o radę. Tu spotkało ją rozczarowanie: powiedział, żeby w najbliższym czasie zapomniała o jakichkolwiek próbach odzyskania domu. Sytuacja jeszcze na to nie pozwala, stwierdził, gdyż w okolicy wciąż działają oddziały partyzanckie. Jeśli ten dom należy do rodziny partyzanta, lepiej go zostawić w spokoju, chyba że ma dosyć pieniędzy, by go odkupić.

Ale Dewi Ayu nie miała tylu pieniędzy. Pięć pierścionków, jakie jej zostały, to za mało, żeby odkupić dom. Jej jedyną nadzieją był skarb, wciąż schowany w rurach w toalecie, ale nigdy się tam nie dostanie, jeśli najpierw nie kupi domu. Poszła więc prosto do Mamy Kalong, wiedząc, że kobieta zawsze pomaga ludziom w potrzebie, i powiedziała jej prosto z mostu:

— Mamo, pożycz mi trochę pieniędzy. Chcę odkupić swój dom.

Mama Kalong zawsze potrafiła zwęszyć dobry interes.

— A jak mi oddasz?

— Mam rodzinny skarb — odpowiedziała Dewi Ayu. — Przed wojną ukryłam całą biżuterię babki w sekretnym miejscu, o którym nikt nie wie, oprócz mnie i Pana Boga.

— A jeśli Pan Bóg ją ukradł?

— Wtedy wrócę i będę się dla ciebie kurwić, żeby spłacić dług.

Obie przystały na to najlepsze z możliwych rozwiązanie. Mama Kalong zgodziła się nawet pośredniczyć w odkupieniu domu, na wypadek, gdyby stara nie chciała go odsprzedać Dewi Ayu. Tubylcy zawsze będą wobec niej nieufni ze względu na jej holenderski wygląd, a poza tym Mama Kalong miała wielkie doświadczenie w kupowaniu nieruchomości od ludzi, którzy potrzebują pieniędzy. Obiecała Dewi Ayu, że wytarguje jak najniższą cenę.

Cała transakcja ciągnęła się przez tydzień. Mama Kalong jeździła w tę i z powrotem, żeby targować się z wściekłą staruchą. Partyzancka babcia zgodziła się sprzedać dom, jeśli zdoła za uzyskane w ten sposób pieniądze kupić inny, tańszy, tak żeby zostały jej wolne środki. Mama Kalong załatwiła wszystko pomyślnie i Dewi Ayu mogła wreszcie powiedzieć starej, żeby się wynosiła i żeby jej noga nigdy więcej nie powstała w jej progu. Szybko przeniosła się do dawnego domu z dwójką dzieci, korzystając z pomocy Mamy Kalong oraz wojskowego dżipa należącego do oficera KNIL, odwiedzającego burdel. Jakże była szczęśliwa, wróciwszy do siebie! Szczególnie że miała pewność, iż dom należy znowu do niej!

— Więc kiedy mi oddasz pieniądze? — zapytała wreszcie Mama Kalong.

— Daj mi miesiąc.

— Tak, to wystarczy na wykopaliska — odpowiedziała Mama. — Gdyby ktoś cię tutaj nachodził, daj mi znać. Mam dobrych znajomych wśród partyzantów i, rzecz jasna, wśród żołnierzy KNIL. Wszyscy są moimi klientami.

Dewi Ayu nie od razu zajęła się skarbem. Najpierw poszukała opiekunki dla

córek. Znalazła ją w osadzie u stóp wzgórz. Była to starsza kobieta o imieniu Mira, która przed wojną służyła u Holendrów. Dewi Ayu powiedziała jej stanowczo, że nie jest Holenderką, że urodziła się tutaj i nazywa się Dewi Ayu. Mira pomogła jej też znaleźć ogrodnika, który miał doprowadzić do porządku zaniedbaną posiadłość. Minął tydzień, kiedy mogła w końcu odetchnąć, patrząc, jak wszystko wraca powoli do normalności na wysprzątanym dziedzińcu i w uporządkowanym z grubsza ogrodzie.

— Mamy szczęście, że ani Japończycy, ani alianci niczego tu nie zniszczyli — mruknęła do siebie.

I wtedy nadszedł list od Oli i Gerdy. Spotkały się z babcią i dziadkiem, okazało się także, że ich ojciec przeżył wojnę w obozie jenieckim na Sumatrze. Ola zaręczyła się z angielskim żołnierzem i mają zamiar wziąć ślub siedemnastego marca tego roku w kościele Marii Panny. Dewi Ayu nie mogła pojechać na wesele, ale wysłała im fotografię córek, otrzymując w zamian ślubne zdjęcie młodej pary. Powiesiła je na ścianie, żeby Ola mogła je zobaczyć, gdyby przyjechała z wizytą.

Po wykonaniu wszystkich najpilniejszych prac w domu i gospodarstwie zaczęła się zastanawiać nad wykopaniem skarbu. Zdążyła już zaufać ogrodnikowi, który miał na imię Sapri, więc wezwała go do siebie i opowiedziała mu o swoim zamiarze wykopania rur kanalizacyjnych. Dodała, że jeśli tego nie zrobi, nie będzie mogła płacić mu pensji. Ogrodnik przyniósł łom i motykę, a Dewi Ayu zakasała rękawy, włożyła pantalonek dziadka i pomogła Sapriemu zerwać podłogę i wykopać ziemię wzdłuż rury kanalizacyjnej prowadzącej do szamba. Ich praca była łatwiejsza, ponieważ nikt nie używał toalety od rozpoczęcia wojny. W rurach nie było ciepłych śmierdzących gównien, tylko pokruszone błoto rojące się od robactwa.

Pracowali przez cały dzień, a Mira pilnowała dzieci; przerwali tylko na posiłek i krótki odpoczynek, a potem zabrali się do rozbijania betonowego szamba i mieszania tego, co zostało z gównien, które zamieniły się już w wyschnięte błoto. Nic nie znaleźli. Dewi Ayu była pewna, że usunęli z rur wszystkie ekskrementy i ziemię, ale nigdzie nie było biżuterii, którą schowała przed wojną. Ani śladu naszyjników czy złotych bransoletek, tylko kupa gnijącej ziemi, brązowej i wilgotnej. Nie wierzyła, że biżuteria rozpuściła się w gównie, więc zarzuciła dalsze poszukiwania i poddała się, gderając:

— Pan Bóg ją ukradł.

W epoce rewolucyjnej ludzie odważnie wykrzykiwali chwytliwe slogany i wypisywali je na murach wzdłuż ulicy, wymachiwali nimi na transparentach, a nawet bazgrali w szkolnych zeszytach. Mama Kalong poszła z duchem czasu i postanowiła przemianować swój burdel, nadając mu nazwę, która dotykałaby istoty rzeczy. Wykorzystała już „Kochaj albo Umieraj”, a potem „Kochasz się Raz,

Kochasz się Zawsze”, a w końcu zdecydowała się na „Kochaj do Śmierci”.

Slogan ten niestety stał się prawdą, kiedy żołnierz KNIL zginął podczas stosunku z poderżniętym przez partyzanta gardłem; kiedy partyzant padł przy kurwie, zastrzelony przez żołnierza KNIL; kiedy wreszcie umarła prostytutka, całowana tak długo, że nie mogła oddychać.

W Kochaj do Śmierci Dewi Ayu została kurwą. Nie mieszkała w lupanarze. Chodziła do pracy, kiedy zapadał zmrok, i wracała do domu nad ranem. Miała już trzy córki: Alamandę, Adindę i Mayę Dewi, która urodziła się trzy lata po Adindzie. Nocami dziećmi opiekowała się Mira, ale za dnia Dewi Ayu zajmowała się nimi jak każda matka. Posyłała je do najlepszych szkół oraz do meczetu, żeby recytowały modlitwy z *kyaiem* Jahro.

— Nie zostaną prostytutkami — powiedziała Mirze. — Oczywiście jeśli same tak nie postanowią.

Dewi Ayu nigdy szczerze nie przyznała sama przed sobą, że jest kurwą, bo tego chce, wprost przeciwnie: zawsze powtarzała, że do prostytucji zmusiły ją okoliczności.

— Takie okoliczności, które z jednych czynią proroków, a z innych władców — powtarzała trzem córkom.

Była faworytą całego miasta. Niemal każdy mężczyzna, który był kiedykolwiek w burdelu, spał z nią przynajmniej raz, nie dbając o to, ile musi zapłacić. Nie wynikało to z tego, że mieli jakąś zapiekłą obsesję na punkcie Holenderek, ale z tego, że — jak wiedzieli — Dewi Ayu kochała się najlepiej na świecie. Nikt nie obchodził się z nią brutalnie tak jak z innymi kurwami, bo gdyby się poważył, inni mężczyźni wpadliby w taką wściekłość, jakby ktoś wyrządził krzywdę ich żonom. Nie było nocy, żeby nie miała klienta, ale przestrzegała reguły — każdej nocy przyjmuje tylko jednego mężczyznę. Za tę ekskluzywność Mama Kalong pobierała wysoką opłatę, a do jej kieszeni trafiał dodatkowy zysk. Taka już była ta królowa nietoperzy, która nigdy nie sypiała w nocy.

Tak, Mama Kalong była królową miasta, a Dewi Ayu księżniczką. Miały taki sam gust i należały do tego rodzaju kobiet, które umieją o sobie zadbać, ubierając się przy tym skromniej od cnotliwych dam. Mama Kalong lubiła ręcznie tkany batik, który kupowała prosto z Solo, Yogyakarta i Pekalonganu, a do tego *kebaya* i włosy uczesane w tradycyjny kok. Ubierała się tak nawet do pracy w burdelu i dopiero kiedy odpoczywała, wkładała luźną podomkę. Natomiast Dewi Ayu szyła wszystko, co chciała, prosto z najmodniejszych żurnali, a wzorowały się na niej ukradkiem nawet najczcigodniejsze niewiasty.

Obie panie należały do miejscowej śmietanki i przysparzały miastu nieustannej radości. Nie mogło się bez nich obejść żadne ważniejsze wydarzenie — na wszystkie je zapraszano. Podczas obchodów każdego Dnia Niepodległości Mama Kalong i Dewi Ayu siadały obok burmistrza Sadry, regentów ¹ i oczywiście

Szodanczo, kiedy ten wyszedł w końcu z dżungli. Choć cnotliwe i dobrze wychowane damy nienawidziły obu, wiedząc, że ich mężowie znikają w środku nocy, by cudzołożyć w Kochaj do Śmierci, oficjalnie traktowały je z uprzedzającą grzecznością (pomstowały na nie za ich plecami).

Aż kiedyś pewien mężczyzna ubzdurał sobie, że musi mieć księżniczkę tylko dla siebie — chciał się z nią nawet ożenić. Nikt nie śmiał mu się sprzeciwić, bo był niezwyciężony. A nazywał się Szalony Maman, czyli Maman Gendeng.

Tak więc szczęśliwe noce mężczyzn z Halimundy dobiegły końca, a na twarzach ich żon i narzeczonych pojawiły się szerokie uśmiechy.

1. Regencjami (*kabupaten*) nazywa się w Indonezji średnie okręgi administracyjne. Większe to prowincje (*propinsi*), a mniejsze dystrykty (*kecamatan*). ↩

LUDZIE DO DZIŚ DOBRZE PAMIĘTAJĄ, jak ten człowiek zjawił się na plaży pewnego burzliwego poranka, kiedy Dewi Ayu jeszcze żyła, i stoczył bój z rybakami. Zaprawdę, mieszkańcy Halimundy znają jego wyczyny na pamięć, tak jak wszystkie przypowieści z Pisma Świętego.

Maman Gendeng został wojownikiem jako mały chłopiec i był ostatnim z pokolenia wielkich mistrzów jako jedyny uczeń Mistrza Dłuto z Wielkiej Góry. Pod koniec epoki kolonialnej zszedł z góry, by szukać szczęścia, ale nie napotkał nikogo, ani przyjaciela, ani wroga, dopóki nie zjawili się Japończycy. Wtedy walczył w Armii Ludowej, a podczas wojny rewolucyjnej obwołał się pułkownikiem. W trakcie przebudowy wojska znalazł się jednak wśród tysięcy wyrzuconych z armii żołnierzy i nie zostało mu nic oprócz wojennej chwały. Ale Maman Gendeng wcale się tym nie zmartwił. Znow rozpoczął wędrówkę i przez resztę wojny zdobył nową sławę: rabusia i bandyty.

Skłonność do rabowania wzięła się z nienawiści do bogatych, a jego nienawiść do bogatych była zupełnie zrozumiała. Urodził się jako nieślubny syn regenta. Matka pracowała w domu regenta jako pomoc kuchenna, podobnie jak całe pokolenie jej przodków. Nikt nie wiedział, kiedy regent uwiódł nieszczęsną, ale wszyscy znali jego nienasyconą żądzę, która sprawiała, że żona, konkubiny i kochanki nigdy mu nie wystarczały. Co pewien czas musiał w nocy wciągać do sypialni którąś ze służących. Matka Maman Gendenga była jedną z ofiar tego potwora i ostatecznie zaszła w ciążę. O wszystkim dowiedziała się żona regenta i by ratować dobre imię rodu, wyгнаła skrzywdzoną dziewczynę. Nie obchodziło jej to, że matka i ojciec relegowanej, obie babki oraz matka i ojcowie babek służyli w tym domu. Nie mając nic więcej poza dzieckiem w brzuchu, nieszczęsna dziewczka przedzierała się przez dżunglę i wkrótce zgubiła się na stokach Wielkiej Góry. Znalazł ją Mistrz Dłuto, stary guru, który pomógł jej urodzić pod winodanią.

Umierając w połogu, powiedziała:

— Daj mu na imię Maman po ojcu. Jest bękartem regenta.

Zakończyła życie, nim spojrzała drugi raz na syna. Stary mistrz, bardzo zasmucony, zabrał niemowlę do domu.

— Zostaniesz największym wojownikiem — powiedział chłopcu.

Dobrze się nim opiekował, karmił go najlepiej jak mógł i jął go szkolić i hartować, zanim chłopczyk zaczął chodzić. Zanurzał niemowlę w lodowatej wodzie i piekł je w południowym słońcu. Kiedy Maman nauczył się chodzić, starzec wrzucił go do rzeki, żeby pływał. Zanim skończył pięć lat, stał się — możecie wierzyć lub nie — najsilniejszym dzieckiem na ziemi. Maman Gendeng,

bo tak go już nazywano, umiał gołymi rękami zetrzeć każdy kamień na piach. Mistrz Dłuto, inaczej niż inni guru, nauczył chłopca wszystkiego, co sam umiał, niczego przed nim nie ukrywając. Nauczył go sztuki walki, wszystkich chwytów, oddał mu swoje talizmany i amulety, a do tego nauczył go czytać i pisać w starosundajskim, po niderlandzku, malajsku i po łacinie. Nauczył go medytować i, z tą samą powagą, jak się gotuje.

Kiedy Maman Gendeng miał dwanaście lat, Mistrz Dłuto umarł. Chłopak pochował starego i odbył tygodniową żałobę, zszedł z gór i rozpoczął poszukiwania prawdziwego ojca, żeby wziąć na nim odwet. To wydarzyło się w czasie, kiedy na wyspę przybyli Japończycy, więc nie znalazł ojca w domu, bo dom leżał w ruinie, zniszczony przez wojnę. Regent, jako holenderski urzędnik, uciekł, a Maman Gendeng przez trzy lata szukał tego, który wygnał matkę i doprowadził ją do śmierci. Lecz nawet po upływie owych trzech lat nie zdołał się zemścić, bowiem znalazł ojca w chwili, gdy ten zginął przed plutonem egzekucyjnym. Widział jego trupa, ale nie zechciał go pochować.

Po odejściu Japończyków, ogłoszeniu niepodległości i rozpoczęciu wojny rewolucyjnej wstąpił do partyzantki. Jego oddział obozował za dnia w rybackich chatach na północnym wybrzeżu, a nocami walczył, ale żołnierze KNIL wygrywali zazwyczaj potyczki. W tym okresie nie wydarzyło się nic ciekawego, oprócz tego, że zakochał się w bardzo młodej córce rybaka, której na imię było Nasia. Była to śliczna dziewczyna z dołkami w policzkach i cudowną sніadą skórą. Maman Gendeng widywał ją, spacerując po plaży i łapiąc ryby na popołudniowy posiłek. Była uprzejma, wymykała się z domu, żeby podzielić się z partyzantami jedzeniem, i uśmiechała się przy tym najcudowniej na świecie.

Niewiele o niej wiedział, znał tylko jej imię. Ale czuł się przy niej tak wspaniale, że poprzysiągł sobie, że rzuci włóczęgę i zrobi wszystko, żeby mogli być razem. Przyjaciele dowiedzieli się o jego skrywanej namiętności i zachęcali go, żeby poprosił, jak wymaga tradycja, o rękę dziewczyny. Maman Gendeng nigdy nie rozmawiał w cztery oczy z kobietą, wyjąwszy prostytutki w czasach japońskiej okupacji, i nagle uświadomił sobie, że ma stanąć twarzą w twarz z prześliczną młodą Nasią, co będzie gorsze od spojrzenia w lufy holenderskiemu plutonowi egzekucyjnemu. Ale oto nadarzyła się okazja: ujrzał Nasię wracającą samotnie do domu, przyciskającą do piersi kosz ze świeżymi rybami, więc do niej podszedł. Widząc jej słodki uśmiech i dołki w policzkach, zebrał się na odwagę i zapytał, czy zechce zostać jego żoną.

Nasia skończyła niedawno trzynaście lat. Być może z powodu młodego wieku, albo z jakiegoś innego powodu, wciągnęła gwałtownie powietrze, zakrztusiła się, upuściła kosz z rybami i pobiegła bez pożegnania do domu, niczym dziecko przestraszone przez szaleńca. Maman Gendeng stał wśród latających ryb, patrzył za

nią i żałował, że nie padł trupem. Ale nie zrezygnował z zamiaru. Miłość dodawała mu odwagi jak nic innego. Zebrał ryby i z koszem pod pachą ruszył do domu dziewczyny. Oświadczy się jej jak Pan Bóg przykazał i poprosi ojca o jej rękę.

Zastał Nasię przed domem, stała obok wymizerowanego młodzieńca z urwaną nogą. Wiedział, że dwaj starsi bracia dziewczyny zginęli w partyzantce, a jej ojciec jest starym rybakim. Nigdy zaś nie słyszał o żadnym zagłodzonym kuternodze. Stał przed nimi i siląc się na uśmiech, postawił kosz u stóp Nasi. Łomotało mu poruszone, płonące z zazdrości serce. Tylko odwaga albo głupota podyktowały mu ponowienie oświadczyn.

— Nasia, czy zostaniesz moją żoną? — zapytał z błagalną miną. — Poślubię cię, kiedy skończy się wojna.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową i natychmiast się rozplakała.

— Panie partyzancie — wyjąkała. — Czy nie widzi pan mężczyzny u mojego boku? Jest słabowity, to prawda. Nigdy nie wypłynie w morze, by łowić ryby, i nigdy nie stanie do walki jak ty, panie. Wiem, że z łatwością mógłbyś go zabić, a potem złapać mnie jak latającą rybę. Lecz jeśli chcesz to uczynić, pozwól mi umrzeć u jego boku, bo kochamy się i nie możemy żyć bez siebie.

Chudy młodzieniec milczał, siedział z opuszczoną głową i ani razu nie spojrzał mu w oczy. Serce Maman Gendenga pękło w jednej chwili. Odszedł powoli bez słowa pożegnania, nie oglądając się za siebie. Widział to na własne oczy: byli w sobie bardzo zakochani. Nie chciał zniszczyć ich szczęścia, choć będzie musiał leczyć zranione serce przez bardzo długi czas.

Przez resztę wojny prześladowały go straszliwe halucynacje, wywoływane przez tragiczną niespełnioną miłość. Czasem celowo zostawał na ziemi niczyjej, chcąc umrzeć z ręki wroga. Wystawiał się na ostrzał z karabinów i armat, ale los chciał, żeby przeżył. Unikał przypadkowych spotkań z Nasią i nie ujrzał jej więcej na plaży. Gdy wojna dobiegła końca, dotarła do niego wieść o jej małżeństwie z ukochanym. W prezencie ślubnym wysłał jej przepiękną czerwoną szarfę utkaną przez miejscowego tkacza.

Oddział partyzancki rozwiązano, a Maman Gendeng był z tego powodu bardziej zadowolony niż smutny: znów mógł wyruszyć w drogę, choć nosił w sercu ranę. Przeszedł całe północne wybrzeże, podążając starymi partyzanckimi szlakami, a utrzymywał się z najazdów na domy bogaczy, którym mówił:

— Jeśli nie pracowaliście dla Holendrów, musieliście wysługiwać się Japończykom, bo tylko kolaboranci bogacą się podczas rewolucji.

Na czele tuzina rozbójników terroryzował miasta wzdłuż wybrzeża, czując na karku gorący oddech wojska i policji. Żył ze swoją bandą jak Robin Hood, okradał bogatych i dzielił się łupami z biednymi, opiekował się wdowami i sierotami, których mężowie i ojcowie zginęli podczas wojny. Ale sława — budząca grozę zarówno przyjaciół, jak i wrogów — nie przyniosła mu szczęścia. Ciągłe nosił

w sercu dawną ranę, której nie mogły uleczyć ani ładne dziewczęta, które spotykał, ani tym bardziej prostytutki, które brał w szalasach, pijąc palmowe wino. Gdy zapadała noc, ogarniało go szaleństwo: rozkazywał swoim ludziom, żeby szukali ślicznych młodych dziewcząt o pociągającej ciemnej karnacji, z dołkami w policzkach. Opisywał im Nasię szczegółowo, a dziewczęta, które sprowadzano do jego kryjówki, wyglądały jak jej sobowtóry i były bardzo do siebie podobne. Kochał się z nimi noc po nocy, ale żadna nie zdołała zastąpić mu Nasi.

Chęć do życia wróciła mu po bardzo długim czasie, kiedy usłyszał często opowiadaną przez dzieci rybaków legendę o księżniczce Rengganis — tak pięknej, że wszyscy byli gotowi dla niej umrzeć. Maman Gendeng obudził się pewnej nocy, zdolny stanąć do walki z każdym, żeby zdobyć taką kobietę; budził po kolei przyjaciół i wypytywał ich, gdzie mieszka księżniczka Rengganis. Odpowiadali mu, że oczywiście w Halimundzie. Maman Gendeng nigdy nie słyszał o tym mieście, ale ktoś powiedział mu, że jeśli popłynie wzdłuż wybrzeża na zachód, trafi do Halimundy. Pełen determinacji, pragnąc uleczyć starą ranę, oddał swoim ludziom kontrolowane przez bandę terytoria i powiedział im, że wypływa w dłubance w daleki rejs, żeby odnaleźć miłość. Bo zakochał się w końcu po raz drugi, choć wszystko, co wiedział o Rengganis, zaczerpnął z bajan dzieci rybaków.

Mówiły, że księżniczka, niewiarygodnie piękna, była ostatnią z królewskiego rodu Pajajaranów; odziedziczyła urodę po wszystkich księżniczkach z królestwa Pakuan. Ludzie starsi zaś powiadali, że doskonale wiedziała, iż jej uroda sprowadza nieszczęścia. Kiedy była jeszcze dzieckiem i mogła swobodnie chodzić poza murami pałacu, wywoływała poruszenie i zbiegowiska. Gdziekolwiek poszła, wszyscy gapili się idiotycznie na jej twarz, powleczoną mgiełką melancholii. Zamierali jak słupy soli i tylko śledzili oczami każdy jej krok. Pojawienie się księżniczki sprawiało, że urzędnicy zaczynali śnić na jawie, zapominając o państwowych obowiązkach, przez co całe państwo królestwa trafiły w ręce band rabusiów i trzeba je było odbijać wielkim wysiłkiem i kosztem, poświęcając na to połowę królewskiej armii.

— Dla takiej kobiety — powtarzał Maman Gendeng — warto wyrzec się wszystkiego.

— Mam tylko nadzieję, że nie złamie ci serca po raz drugi — przestrzegał go przyjaciel.

Nawet ojciec księżniczki — który, jak mówią, był ostatnim monarchą z rodu przed najazdem Demaku na królestwo — postarzał się przedwcześnie za sprawą obsesji na punkcie urody własnej córki. Choć nikt nie sypia z własną córką, zakochanie pozostaje zakochaniem. Z jednej strony pożądanie, z drugiej świadomość niestosowności tego uczucia walczyły w nim i rozszarpały mu wnętrze, aż zrozumiał, że tylko śmierć go uwolni od cierpienia. A królowa, która oczywiście była bardzo zazdrosna, doszła do wniosku, że jedynym wyjściem z tej

sytuacji jest zabicie dziewczynki. Często więc wymykała się do kuchni, chowała za pazuchę nóż i wracała na palcach do pokoju dziecięcego, gotowa przeszyć nim serce córki. Ale gdy tylko na nią spojrzała, nawet ona ulegała czarowi i zakochiwała się w niej na nowo, zapominając o swoim morderczym zamiarze. Nóż wypadł jej z ręki, podchodziła do dziecka, głaskała je i całowała, aż wracały jej zmysły. Wstydząc się samej siebie, zostawiała dziewczynkę w spokoju, by cierpieć dalej bez słowa.

Maman Gendeng wiosłował na zachód w małej dłubance, a kiedy zapadał zmrok, podpływał do rybackich osad. Pytał, jak daleko stąd do Halimundy, a ludzie mówili mu, by płynął dalej na zachód, potem skręcił na południe i wreszcie zawrócił na wschód. Doradzali też, żeby zachował ostrożność na wodach Mórz Południowych. Podczas morskiej wyprawy rybacy opowiadali mu o księżniczce Rengganis, przez co samotny żeglarz zakochiwał się coraz bardziej.

— Poślubię ją — przysięgał.

Sama księżniczka Rengganis wiele wycierpiała przez coraz bardziej olśniewającą urodę i postanowiła zamknąć się w pokoju. Jedynym oknem na świat stała się dla niej wąska szpara pod drzwiami, przez którą służące podawały jej szaty i posiłki. Przysięgła sobie, że już nigdy nie pokaże się nikomu, i miała nadzieję, że poślubi człowieka, który zakocha się w niej z innych powodów niż powab jej ciała. Dlatego szyjąc suknię ślubną i ślubną wyprawę, przebywała nieustannie w zamknięciu, ale nie dało się ukryć opowieści o jej urodzie, które przekazywali sobie bazarze i błądzący po świecie wędrowcy.

Jej gnębiony zbrodniczymi uczuciami ojciec i zaślepiona przez zazdrość matka postanowili wydać ją za mąż. Rozesłali dziewięćdziesięciu dziewięciu posłańców w najdalsze zakątki królestwa, a nawet do sąsiednich krajów, żeby rozgłaszali wieść o turnieju dla książąt i rycerzy, i wszystkich innych śmiałków. Zwycięzca turnieju zdobędzie rękę najpiękniejszej białogłowy na świecie, księżniczki Rengganis.

Do stolicy królestwa zjechali najprzystojniejsi i najszlachetniejsi panowie. W turnieju nie chodziło o zawody łucznicze, takie jak te, w których Ardżuna zdobył Drupadi. Każdy ze stających w szranki miał bowiem jedynie opisać idealną kobietę — jej wzrost, wagę, ulubione potrawy, sposób czesania włosów, kolor jej szat, zapach ciała, wszystko — a potem usiąść przed sypialnią księżniczki Rengganis i odpowiedzieć na jej pytania. Król obiecał, że jeśli okaże się, iż kawaler pragnie dokładnie kogoś takiego jak księżniczka, a księżniczka zapagnie dokładnie kogoś takiego jak kawaler pod jej drzwiami, będą mogli się pobrać. Szukanie męża w tak niezwykle sposób zadziwiło wielu, tym bardziej że turniej nie przyniósł żadnego rozstrzygnięcia.

Bo w gruncie rzeczy zdobycie takiej kobiety nie jest łatwą sprawą. Kiedy Maman Gendeng przepłynął Cieśninę Sundajską, banda piratów usiłowała ograbić go

z majętności, więc dał upust narastającej żądzy i wszystkich ich pozabijał. Piraci nie byli wszakże jedyną przeszkodą na jego drodze. Kiedy wpłynął na Morza Południowe, musiał zmierzyć się nie tylko z gwałtownymi sztormami, ale i parą rekinów, która niestrudzenie krążyła wokół dłubanki. Z konieczności przybił do bagnistego brzegu i upolował jelenia, żeby nakarmić nim rekiny, które od tamtej pory stały się jego wiernymi towarzyszami.

A wszystko to, żeby zdobyć ten najrzadszy okaz o imieniu Rengganis.

Po nieudanym turnieju królestwo znów pogrążyło się w dawnej rozpacz z powodu tego samego przerażającego piękna. Aż któregoś dnia pewien rozczarowany książę uknuł podstępny spisek i postanowił uprowadzić księżniczkę siłą, stojąc na czele trzystu jeźdźców. Choć król był prawdziwie uradowany na samą myśl, że ktoś porwie i poślubi jego córkę, z rycerskiego obowiązku musiał wysłać żołnierzy na wojnę z porywaczami. Na pomoc przybył mu inny książę, na czele trzystu jeźdźców, liczący na to, że w podzięce otrzyma rękę księżniczki, i w ten sposób wybuchła wielka wojna. Ogarniała kolejne księstwa i włączała w wir walki rzesze coraz to nowych rycerzy, a pod koniec roku nie było już wiadomo, kto z kim walczy, choć wciąż pamiętano, że bój toczy się o kobietę, która obecnie stała się boginią Halimundy. Przekłęte piękno zbierało śmiertelne żniwo: poległy tysiące żołnierzy, kolejne tysiące odniosły rany, cały kraj popadał w coraz większą ruinę, nękany przez głód i choroby, a wszystko to przez tę piekielną urodę.

— To był najstraszniejszy czas — mówił stary rybak w gospodzie, w której Maman Gendeng zatrzymał się na noc. — Gorszy niż podczas bitwy pod Bubat, kiedy tak podstępnie najechało nas Majapahit, a przecież, jak wiesz, brzydzimy się wojną.

— Ja jestem weteranem wojny rewolucyjnej — odrzekł Maman Gendeng.

— Och, to drobiazg w porównaniu z wojną o księżniczkę Rengganis.

Dwórki przynosiły księżniczce wieści szeptane przez dziurkę od klucza, więc wiedziała o tym wszystkim jak ślepy król Destarata podczas bitwy pod Kuruserta o losie swych synów. Mała piękność bardzo cierpiała, nie mogła jeść, nie mogła spać, nękana świadomością, że to ona jest przyczyną tych nieszczęść. Nie mogła się uspokoić i ciągle płakała, bo oto nawet śmierć nie przyniosłaby jej ukojenia, więc postanowiła, że jedynym sposobem na uwolnienie się od tego ciężaru jest natychmiastowe zamążpójście — wówczas wojna i wszystkie plagi, jakie spadły na jej kraj, dobiegną końca.

Od lat siedziała zamknięta w ciemnym pokoju, mając za towarzystwo tylko oliwną lampkę i suknię ślubną. Uszyła ją całą własnymi rękami, a jej biegłość w posługiwaniu się igłą sprawiła, że suknia ta była najpiękniejsza na całej ziemi i nie mogły się z nią równać żadne dzieła krawcowych czy krawców. Pewnego ranka jej praca dobiegła końca. Księżniczka nie wiedziała, kogo powinna poślubić,

więc postanowiła, że otworzy okno, a ten, którego przez nie zobaczy, zostanie jej mężem na całe życie.

Lecz nim wypełniła ślub, przez sto nocy kąpała się w wodzie o zapachu kwiatów. Potem pewnego niezapomnianego ranka włożyła suknię ślubną. Nie należała do dziewcząt, które wycofują się ze swoich obietnic, miała zamiar dotrzymać słowa. Otworzy okno, a tego nie robiła od wielu lat, i poślubi mężczyznę, którego przez nie zobaczy. Jeśli ujrzy więcej niż jednego, poślubi pierwszego z brzegu. Przysięgła sobie tylko, że nie wyjdzie za męża innej kobiety ani za takiego, który ma kochankę, bo nie chciała nikogo ranić.

W sukni ślubnej była piękniejsza niż kiedykolwiek. Jej uroda jaśniała nawet w półmroku komnaty, oczarowując podglądające ją przez dziurkę od klucza dwórki, które zachodziły w głowę, co też księżniczka ma zamiar uczynić. Księżniczka Rengganis z wdziękiem podeszła do okna, stała przed nim przez chwilę i wzięła głęboki wdech. Złożyła ślub, musi go wypełnić. Ręce drżały jej gwałtownie, gdy dotykała okiennic, i nagle zapłakała z wielkiego smutku i równie wielkiej radości. Musnęła zasuwkę przy okiennicach opuszką palca. Okiennice zaskrzypiały. Rzekła:

— Ten, kto tam stoi, poślubi mnie.

— Szkoda, że mnie tam nie było — rzucił Maman Gendeng do jednego z rybaków innego dnia. — Powiedz mi, jak daleko stąd do Halimundy?

— Niezbyt daleko.

Ciągle słyszał od wszystkich, że to już „niezbyt daleko”, ale słowa te od dawna nie niosły żadnego pocieszenia, bo wcale nie zbliżał się do celu. Płynął dalej, zatrzymując się przy każdej rybackiej osadzie i w każdym porcie, żeby zapytać: „Czy to Halimunda?”. „O, nie, płyn dalej na wschód”. Ludzie mówili to samo, więc przestawał im ufać. Nagle poczuł, że cała ta wyprawa to nic innego jak jeden wielki spisek, że wszyscy go okłamują i Halimunda jest tylko fantasmagorią. Postanowił, że kiedy następnym razem zapyta o Halimundę, a pytany odpowie mu, żeby płynął dalej na wschód, trzaśnie go w głowę, żeby skończyć z tymi głupimi żartami i drwinami.

Właśnie wtedy ujrzał port i rząd rybackich osad. Skręcił szybko w stronę lądu, żegnając się po cichu z parą rekinów, które dotrzymywały mu towarzystwa przez całą drogę i z którymi nawiązał nadzwyczajną przyjaźń. Trząśnięcie ze zmęczenia i poczucia klęski, tracił nadzieję, że kiedykolwiek zobaczy zdumiewającą księżniczkę Rengganis. Wysiadł z łódki i spotkał na plaży rybaka, ciągnącego po piasku sieć. Zacisnął pięści i zapytał:

— Czy to Halimunda?

— Tak, to Halimunda.

Rybak miał szczęście, bo gdyby Maman Gendeng, którego mistrz nazwał

największym wojownikiem, skierował przeciw niemu swój gniew, nikt nie zdołałby go ocalić. Ale Maman Gendeng był prawdziwie uradowany po tak długiej podróży. Halimunda nie jest fantasmagorią! W końcu do niej dotarł, wciągał w płuca cuchnące rybami powietrze i rozmawiał z jednym z jej mieszkańców. Padł na kolana z wielkiej wdzięczności, a rybak patrzył na niego zakłopotany.

— Wszystko tu jest takie piękne — mruknął Maman Gendeng.

— Owszem. — Rybak zbierał się do odejścia. — Nawet gówna wychodzą tu piękne.

Maman Gendeng zastąpił mu drogę.

— Gdzie znajdę Rengganis? — zapytał.

— Którą Rengganis? Bo tu Rengganis na kopy. Nawet ulice i rzeki nazywają się Rengganis.

— Księżniczkę Rengganis, rzecz jasna.

— Ona nie żyje już od setek lat.

— Co powiedziałaś?

— Że umarła wieleset lat temu.

Nagle wszystko się skończyło. To nie może być prawda, pomyślał Maman Gendeng. Ale ta myśl nie przyniosła mu ukojenia i wybuchnął straszliwym gniewem. Ryknął na nieszczęsnego rybaka, że jest wierutnym kłamcą, i zaczął mu grozić. Zbiegło się wówczas wielu innych rybaków z wiosłami w dłoniach. Maman Gendeng połamał im wiosła, a rybaków zostawił rozciągniętych bez zmysłów na piasku. Wtedy nadeszło trzech mężczyzn, trzech *premanów*, trzech zbirów. Kazali mu odejść, bo plaża należy do nich, ale Maman Gendeng natarł na nich bezlitośnie, pokonując wszystkich trzech za jednym zamachem i rzucając ich ledwie żywych na stertę nieprzytomnych rybaków.

Dzień, w którym Maman Gendeng przypłynął do Halimundy i wywołał taką awanturę, nie mógł być zwykłym dniem. Tych pięciu rybaków i trzech *premanów* było jego pierwszymi ofiarami. Następną stał się stary weteran, który przybiegł na plażę z karabinem i strzelił do niego z daleka. Nie wiedział, że przybysz jest odporny na kule. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, zaczął uciekać, ale Maman Gendeng dopadł go, wyrwał mu karabin z ręki i strzelił mu w łydkę, a stary wiarus padł na ulicę.

— Kto jeszcze chce ze mną walczyć? — zapytał.

Musi ukarać także innych mieszkańców tego miasta, które oszukało go liczącą wieleset lat bajką. Tego dnia doszło jeszcze do kilku innych starć, a Maman Gendeng pokonał wszystkich i nikt z obecnych na plaży nie chciał mu już stawić czoła. Poczul zmęczenie. Pobladł i podszedł do straganu z jedzeniem, a przekupień oddał mu wszystko, co miał. Ludzie częstowali go arakiem, w nadziei, że się upije i nie zrobi już nikomu krzywdy. Najedzony i zmęczony, Maman Gendeng poczuł senność. Wrócił chwiejnym krokiem na plażę i umościł się wygodnie w łódce,

którą wcześniej wyciągnął na piasek. Obracał w myślach całą podróż i wszystkie rozczarowania, a zanim zasnął, powiedział głośno i wyraźnie:

— Jeśli będę miał córkę, dam jej na imię Rengganis.

Potem zasnął.

To prawda, że księżniczka Rengganis umarła przed setkami lat, ale zdążyła wyjść za mąż i udać się na wygnanie do Halimundy. Kiedy otworzyła zamknięte od wielu lat okno i okiennice, do komnaty wpadły ciepłe promienie porannego słońca i przez chwilę nic nie widziała. Wyglądało to tak, jakby wszystko wokół zamarło z podziwu na widok jej urody, wracającej do świata z ciemności. Ptaki przestały śpiewać, ustał wiatr, a księżniczka stała w oknie jak malowanie, a okno było jak rama obrazu. Potrzebowała długiej chwili, nim jej wzrok przywykł do światła, ale zaraz potem zaczęła się rozglądać wokół. Miała rozbiegane spojrzenie i zaczerwienione policzki, bo oto dane jej będzie ujrzeć osobę, która zostanie jej wybrankiem. Ale daleko jak okiem sięgnąć nie było nikogo, z wyjątkiem psa, który obejrzał się za siebie, słysząc trzask otwieranego okna. Księżniczka stała oszołomiona, ale pamiętajcie, nigdy nie złamała danego słowa i w głębi serca obiecała sobie, że wyjdzie za tego psa.

Nikt nie przystał na takie małżeństwo, więc tych dwoje uciekło do zamglonych lasów na krawędzi Mórz Południowych. Sama księżniczka nazwała to miejsce Halimundą, Krainą Mgieł. Żyła z psem przez wiele lat i miała z nim, rzecz jasna, potomstwo. Większość mieszkańców Halimundy, uważała, że pochodzi wprost od księżniczki i tego psa, którego imienia nikt nie znał. Nawet księżniczka go nie znała, bo nigdy nie dała psu żadnego imienia. Kiedy go ujrzała po raz pierwszy, wiedziała tylko, że musi zejść szybko na dół, żeby poznać pana młodego, nie dbając o to, co powiedzą ludzie.

— Bo pies — oznajmiła — zupełnie nie dba o to, czy jestem piękna, czy nie.

Wieść o przybyciu Maman Gendenga do Halimundy rozeszła się lotem błyskawicy. Po krótkiej drzemce postanowił, że zamieszka w tym mieście wśród potomków księżniczki Rengganis. Widok pełnych życia osad rybackich sprawił mu wielką radość i przypomniał dawne czasy, wielką radość sprawiały mu też stragany i tawerny stojące wzdłuż plaży, sklepy przy Jalan Merdeka oraz oczywiście burdel Mamy Kalong, najlepszy w mieście.

Zaszedł tam za radą jednego z przechodniów. Pomyślał, że jeśli chce zamieszkać w tym mieście, musi je sobie podporządkować, a najlepiej zawsze zacząć od burdelu. Wszedł do rzeczzonego przybytku, gdzie czekali już na niego starsza pani — do której uszu doszła wieść o jego wyczynach od przybicia do plaży — kilka kurew oraz *premani*. Mama Kalong osobiście podała mu szklanekę piwa. Gdy wypił, zapytał, kto jest najsilniejszym mężczyzną w mieście. *Premani*, pracujący u Mamy Kalong jako ochroniarze, wpadli w irytację, słysząc to pytanie i na dziedzińcu

wybuchła któraś z kolei bójka. Maman Gendeng zupełnie się nie przejął maczetami, sierpami i pozostałymi po Japończykach samurajskimi mieczami i po krótkiej chwili wszyscy *premani* mocno posinieli.

Otrzeptał z zadowoleniem dłonie i znów wszedł do środka, mając nadzieję, że spotka następnych śmiałków, którym porachuje kości, ale zamiast tego ujrzał przepiękną kobietę siedzącą w rogu z papierosem w ustach.

— Chcę z nią spać, bez względu na to, czy jest prostytutką, czy nie — szepnął do Mamy Kalong.

— To Dewi Ayu, najlepsza kurwa w tym domu — odpowiedziała Mama Kalong.

— Taka maskotka? — zapytał Maman Gendeng.

— Taka maskotka.

— Mam zamiar zamieszkać w tym mieście — oznajmił Maman Gendeng. — I mam zamiar obszczać jej cipę jak znaczący terytorium tygrys.

Dewi Ayu siedziała w rogu z obojętną miną. W świetle lampy jej skóra lśniła przejrzystą bielą, zdradzającą jej holenderskie pochodzenie. Miała ciemnoniebieskie oczy i kruczoczarne włosy zebrane w długi francuski zawój, trzymała papierosa wysmukłymi palcami z pomalowanymi na krwistoczerwono paznokciami. Włożyła suknię koloru kości słoniowej, ściągniętą paskiem w gibkiej talii. Słyszała, co Maman Gendeng powiedział o niej Mamie Kalong, i spojrzała na niego. Mierzyli się wzrokiem przez chwilę, a potem Dewi Ayu uśmiechnęła się kusząco, nawet nie mrugnawszy.

— Pośpiesz się zatem, mój drogi, zanim zeszczasz się w gacie — mruknęła.

Dewi Ayu powiedziała mu, że przyjmuje w osobnym pawilonie za burdelem i nigdy nie musiała do niego wchodzić, gdyż każdy mężczyzna, który chciał ją mieć, zanosił ją tam jak pannę młodą. Maman Gendeng nie miał absolutnie nic przeciwko temu, więc podszedł, stanął przed tą przepiękną kurwą i pochylił się. Kiedy ją podniósł, oszacował, że waży jakieś sześćdziesiąt kilogramów. Przeszedł na tyły domu, przestąpił przez próg i powędrował przez pachnący pomarańczowy zagajnik, zmierzając ku niewielkiemu, słabo oświetlonemu pawilonowi, stojącemu pomiędzy innymi zabudowaniami. Odezwał się do niej:

— Przybyłem tu, żeby poślubić księżniczkę Rengganis, ale spóźniłem się o wieśset lat. Czy zechcesz zająć jej miejsce?

Dewi Ayu pocałowała w policzek tego kawalera i odpowiedziała:

— Żona daje mężowi dobrowolnie, a prostytutka, dając, zarabia na życie. Chodzi o to, że nie lubię dawać, kiedy mi za to nie płacą.

Kochali się niemal przez całą noc namiętnie i gorąco, niczym kochankowie, którzy spotkali się po długiej rozłące. Kiedy nadszedł ranek, byli nadal nadzy, i otuleni kołdrą, usiedli razem przed pawilonem, delektując się rześkim porannym powietrzem. Hałaśliwe wróble skakały po gałązkach drzew pomarańczowych i przelatywały na krawędź dachu. Słońce weszło między wzgórzami Ma Iyang

i Ma Gedik i natychmiast zrobiło się ciepło.

Halimunda budziła się do życia. Kochankowie przygotowywali się do rozpoczęcia dnia, zrzucili z siebie kołdrę, wzięli gorącą kąpiel w wielkiej wannie zostawionej przez Japończyków, po czym się ubrali. Dewi Ayu, jak każdego ranka, wsiadła do rikszy *becak* i wróciła do córek. Maman Gendeng zaczął życie w nowym mieście.

Mama Kalong podała mu śniadanie: żółty ryż z pochwiakami i przepiórczymi jajkami, które zamówiła wcześniej na targu. Maman Gendeng znów zapytał o najsilniejszego, najpotężniejszego człowieka w mieście.

— Bo nie może być dwóch takich w jednym miejscu — dodał.

To prawda, odrzekła Mama Kalong. Wspomniała o Edim Idiocie, siejącym postrach *premanie* z dworca autobusowego. A wspomniała o nim dlatego, że boją się go żołnierze i policjanci, bo zabił więcej ludzi niż jakikolwiek legendarny wojownik, a wszyscy bandyci, złodzieje i piraci z miasta są u niego na służbie. Co więcej, jest bardzo prawdopodobne, że Edi dowiedział się już o Maman Gendengu, bo zameldowali mu o nim pobici *premani* z burdelu.

Kiedy nadeszło południe, Maman Gendeng wybrał się na dworzec i znalazł Ediego, kołyszącego się w mahoniowym bujanym fotelu.

— Oddaj mi miasto — zwrócił się do niego Maman Gendeng — albo będziemy walczyć na śmierć i życie.

Edi Idiota spodziewał się tego gościa. Przyjął wyzwanie, a wiadomość o tym w mgnieniu oka obiegła całą Halimundę. Mieszkańcy od wielu lat nie mieli żadnej prawdziwej rozrywki, więc hordy entuzjastów podążyły na plażę, gdzie postanowili spotkać się dwaj mocarze. Nikt nie mógł przewidzieć, który z nich wygra i zabije drugiego. Wojskowy komendant miasta wysłał kompanię żołnierzy pod dowództwem chudego Szodanczo, ale nie wierzono, że wojsko zdoła zapobiec walce.

Szodanczo kontrolował małą część miasta ze swej kwatery głównej, na której wisiała tabliczka z napisem: „Komendantura Okręgu Wojskowego Halimunda”. Ponieważ brutalny pojedynek miał się rozegrać w jego okręgu, zgłosił się na ochotnika do dowódcy, obiecując, że wszystkim się zajmie. W gruncie rzeczy kompania wojska niewiele mogła zdziałać poza utrzymywaniem porządku wśród gapiów. Szodanczo miał nadzieję, że ci dwaj się pozabijają, bo nie ma sposobu, żeby trzech dowodziło w jednym regionie, a Szodanczo chciał to robić w pojedynkę. Ale czekał wraz z innymi, bo nie był w stanie przewidzieć, jak to wszystko się skończy.

Okazało się, że musieli czekać przez cały tydzień na zakończenie walki. Trwała nieprzerwanie przez siedem dni i siedem nocy, kiedy to Szodanczo powiedział do któregoś z żołnierzy:

— Nie ulega wątpliwości, że Edi Idiota umrze.

— Dla nas to bez różnicy — odrzekł żałośnie żołnierz. — W tym mieście jest pełno bandytów i rabusiów, partyzantów i żołnierzy rewolucji oraz komunistycznych niedobitków. Do nas należy tylko sprzątanie po ich ruchawkach, którym nigdy nie położymy kresu.

Szodanczo kiwnął głową.

— Zamieniamy Ediego Idiotę na Maman Gendenga.

Żołnierz uśmiechnął się gorzko i szepnął:

— Miejmy nadzieję, że nie będzie wsadzał nosa w wojskowe sprawy.

Choć Szodanczo dowodził lokalnym okręgiem wojskowym w jednym zakątku Halimundy, był szanowany w całym mieście. Szanowali go nawet przełożeni, bo wszyscy wiedzieli, że w czasach japońskiej okupacji stał na czele batalionu *daidan* w powstaniu w Halimundzie i nie było odważniejszego od niego powstańca. Mieszkańcy Halimundy byli pewni, że gdyby Sukarno i Hatta nie proklamowali niepodległości, uczyniłby to osobiście Szodanczo. Ludzie naprawdę go lubili, choć wiedzieli, że nie jest wzorem żołnierskich cnót. Jego okręg wojskowy zajmował się głównie szmuglowaniem tekstyliów do Australii i sprowadzaniem stamtąd pojazdów oraz elektroniki na czarny rynek. W tamtych latach był to złoty interes, a żaden z przełożonych Szodanczo nie miał zamiaru ingerować w wymianę handlową, przynoszącą tyle pieniędzy generałom. Zajmowanie się jakimiś potyczkami było ich najmniejszym zmartwieniem.

Wyczerpany do granic Edi Idiota rzeczywiście umarł, a raczej został utopiony na oceanicznej płyciźnie. Jego przeciwnik rzucił ciało do morza, gdzie zajęły się nim rekiny, dobrzy znajomi Maman Gendenga, uradowani niespodziewanym popołudniowym posiłkiem. Maman Gendeng wrócił na plażę i popatrzył po obliczach mieszkańców miasta. Wyglądał tak świeżo, jakby z miejsca mógł stoczyć podobny pojedynek z siedmioma innymi przeciwnikami.

— Teraz — oznajmił — cała władza należy do mnie. I nikt — dodał — nie będzie więcej spał z Dewi Ayu.

Dewi Ayu, zaskoczona edyktem Maman Gendenga, postanowiła działać ostrożnie i wysłała do nowego *premana* posłańca z oficjalnym zaproszeniem. Maman Gendeng uprzejmie przyjął zaproszenie i obiecał, że zjawi się najszybciej, jak będzie mógł.

Nadal była najlepszą kurwą w mieście, nadal była bardzo piękną, zaledwie trzydziestopięcioletnią kobietą. Co rano myła się siarkowym mydłem, a raz na miesiąc moczyła w gorącej ziołowej kąpieli. Legendy o jej urodzie dorównywały tym o założycielce miasta, a jedynym powodem, dla którego nie wybuchła jeszcze wojna o jej względy, było to, że się kurwiła i mógł z nią spać każdy, kto miał pieniądze. Ogłoszony przez Maman Gendenga monopol należało jeszcze omówić.

Teraz już rzadko pokazywała się publicznie, a ci, którzy chcieli ją ujrzeć, musieli czekać na jej przejazd riksą do Mamy Kalong o zmroku i rano do domu. Oprócz

tęgo widywano ją z córkami w kinie, w wesołym miasteczku i podczas odwożenia ich do szkoły. Czasem wybierała się sama na targ, ale były to wyjątkowe sytuacje. Obcy w mieście nigdy by się nie domyślili, że widzą przed sobą kurwę, bo nosiła się skromniej niż reszta kobiet i poruszała z wdziękiem pałacowej dwórki, trzymając w jednej ręce koszyk na zakupy, a w drugiej parasolkę. Nawet po burdelu chodziła otulona grubym, ciepłym, zakrywającym wszystko szlafrokiem i najczęściej siadywała w kącie, czytając spokojnie książkę. Nigdy nie podrywała mężczyzny publicznie — takie miała zasady.

Jej stary rodzinny dom stał w kolonialnej części miasta u stóp niewielkiego wychodzącego na morze wzgórza, za pozostałościami kakaowych i kokosowych plantacji. Odkupiła go z tęsknoty za przeszłością, ale teraz męczyła ją nostalgia. Nad brzegiem rzeki Rengganis budowano nowe osiedle i Dewi Ayu zarezerwowała już dla siebie dom, mając nadzieję, że przeniesie się tam w kolejnym roku.

Tęgo popołudnia, kiedy z wizytą zjawił się *preman*, pani domu obudziła się i wykąpała, a gościa powitała mała dziewczynka, mniej więcej jedenastoletnia. Przedstawiła się jako Maya Dewi i poprosiła Maman Gendenga, by usiadł w salonie, bo mama suszy włosy. Dziewczynka będzie tak piękna jak jej matka, to było już widać. Przyniosła gościowi szklankę lemoniady z lodem, a kiedy *preman* wyjął papierosa, pospiesznie postawiła przed nim na stole popielniczkę. Maman Gendeng doszedł do wniosku, że panujące w domu czystość i porządek są zasługą tej małej. Słyszał od Mamy Kalong, że Dewi Ayu ma trzy córki, i był ciekaw, jak piękne są siostry dziewczynki. Okazało się jednak, że Alamandy i Adindy nie ma w domu.

Dewi Ayu wyłoniła się z rozpuszczonymi włosami, które lśniły w popołudniowym słońcu. Kazała córce odejść, obudziła kotka, który spał zwinięty na fotelu, i usiadła. Poruszała się wolno, z wdziękiem i opanowaniem. Oparła się i skrzyżowała nogi pod długą suknią z dużymi kieszeniami po bokach i wstążką związaną pod szyją. Maman Gendeng czuł zapach lawendy i aloesu, unoszący się nad jej głową. Choć spał z nią i widział ją nagą, jej upajająca uroda zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Szczupła dłoń, sięgająca po ukrytą w kieszeni paczkę papierosów, była biała jak mleko. Zapaliła jak on. Maman Gendeng nie potrafił przez chwilę wymamrotać ani słowa, wpatrywał się tylko w jej stopy i ciemnozielony aksamitny pantofelek, który kołysała na palcach.

— Dziękuję, że przyjąłeś moje zaproszenie — odezwała się Dewi Ayu. — Witaj w moim domu.

Preman wiedział już, dlaczego został zaproszony, a przynajmniej się tego domyślał. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zdoła tego wyjaśnić, ale zakochał się w tej kobiecie. Wreszcie pozbył się bólu, zapomniał o Nasi, o księżniczce Rengganis, zachwycony tą niewiarygodnie piękną kurwą. Nie chciał znów zostać zraniony, więc jeśli nie zgodzi się go poślubić, będzie jedynym mężczyzną,

z którym przyjdzie jej sypiać.

Opanowanie tej kurwy, wynikające bez wątpienia z jej inteligencji, było doprawdy nadzwyczajne. Oddychała miarowo, a jej wzrok podążał za kłębiącym się dymem, niczym wzrok myśliciela rozsupłującego problem. Jej importowany papieros pachniał rześko i lekko, nie było w nim goździków. Przyszła z własną szklanką lemoniady, a po wypaleniu papierosa upiła łyk i wskazała zbirowi stojącą przed nim, przyniesioną przez córkę szklankę, którą chwycił niezdarnie. W odległym meczecie chłopiec bił w bęben, więc musiało być koło trzeciej po południu.

— To smutne — odezwała się kurwa. — W samej rzeczy jesteś trzydziestym drugim mężczyzną, który chce mnie na własność.

Słowa te nie zaskoczyły *premana*, bo wiedział już, co odpowie.

— Albo za mnie wyjdiesz — rzucił — albo będę ci płacił codziennie za wyłączność.

— Problem polega na tym, że nie mogę się kochać codziennie, więc często będziesz mi płacił za nic. — Roześmiała się filuternie. — Ale podoba mi się to, bo przynajmniej będę wiedziała, kto jest ojcem mojego dziecka, jeśli zajdę w ciążę.

— Więc zgadzasz się zostać moją prywatną kurwą do końca życia?

Dewi Ayu pokręciła głową.

— Nie aż tak długo — odpowiedziała. — Ale dopóki twój kutas i twoje finanse pozwolą.

— Jeśli nie będziesz zadowolona, użyję palca albo krowiego kopyta.

— Jestem pewna, że palec wystarczy, jeśli wiesz, jak się go używa — zachichotała Dewi Ayu. Umilkła na chwilę, a potem mruknęła: — A więc to koniec mojej kariery jako publicznej prostytutki.

Powiedziała to niemal z żalem. Przez te wszystkie lata zaznała wielu smutków, ale bywała też szczęśliwa.

— Doprawdy, każda kobieta jest kurwą, bo nawet najcnotliwsza żona sprzedaje się za wiano i drobne na zakupy... albo za miłość, jeśli ta w ogóle istnieje — powiedziała. — Nie chodzi o to, że nie wierzę w miłość, wprost przeciwnie, robię to wszystko z największą miłością. Urodziłam się w holenderskiej rodzinie i byłam katoliczką, dopóki nie wyrecytowałam *syhadat* w dniu ślubu, by stać się muzulmanką. Wysłałam za mąż tylko raz i kiedyś byłam religijna. Ale choć straciłam to wszystko, nie straciłam miłości. Mam wrażenie, że stałam się sufim i świętą. Żeby być kurwą, trzeba kochać wszystkich i wszystko: członki, palce, a nawet krowie kopyta.

— Miłość sprawiła mi tylko niewysłowiony ból — wyznał *preman*.

— Cóż, możesz mnie kochać — odrzekła Dewi Ayu — ale nie oczekuj za wiele w zamian, bo liczenie na wzajemność ma niewiele wspólnego z miłością.

— Ale jak można kogoś kochać, nie licząc na wzajemność?

— Nauczysz się, twardzielu.

By przypieczętować umowę, Dewi Ayu wyciągnęła rękę, a Maman Gendeng pocałował ją w koniuszki palców. Taki układ satysfakcjonował ich oboje, bo choć nie mieszkali pod jednym dachem, zachowywali się jak młodzi małżonkowie. Maman Gendeng poznał dwie pozostałe córki prostytutki, które odziedziczyły urodę po matce. Alamanda miała szesnaście lat, a Adinda czternaście.

Oznajmił wówczas wszem wobec:

— Zabiję każdego, kto ośmieli się niepokoić te dziewczęta.

Coraz częściej traktowano ich jak rodzinę, bo chodzili razem do kina, spędzali niedziele na plaży, łowili ryby, pływali. *Preman* spotykał się z Dewi Ayu nocami w pawilonie za przybytkiem Mamy Kalong. Kiedy nadchodził ranek, nie uciekała już tak szybko do domu, odpoczywali razem w pomarańczowym zagajniku, gawędząc.

Ale pewnej nocy, wiele tygodni po przybyciu Maman Gendenga do miasta, zbir nie pojawił się w burdelu Mamy Kalong. Żaden inny klient nie ośmielił się nawet spojrzeć na Dewi Ayu, więc zabijała czas, czytając turystyczny przewodnik, gdy nagle stanął przed nią Szodanco z dwoma przybocznymi.

Przyszedł do burdelu po raz pierwszy. Rozradowana Mama Kalong osobiście wybiegła mu na spotkanie, gotowa podać mu wszystko, czego zażąda. Szodanco nie chciał niczego, poza najpiękniejszą kurwą. Odwrócił się w stronę Dewi Ayu i bez wahania wskazał ją palcem. Wszyscy zadrżeli na ten wybór, ale nikt nie śmiał się odezwać, dopóki Dewi Ayu nie pokręciła głową, mówiąc „nie”. Po raz pierwszy odmówiła klientowi, ale Szodanco nie należał do mężczyzn, którym odmawia się kręceniem głowy. Wyciągnął pistolet i podszedł do prostytutki, polecił jej odłożyć przewodnik turystyczny i iść z nim do łóżka. Po raz pierwszy została zmuszona, by udać się do pawilonu na własnych nogach, nikt jej nie niósł ani nie przytulał, co napełniło ją oburzeniem. Szodanco poszedł za nią, a jego ochrona została w burdelu.

— Celujesz we mnie z tego pistoletu jak tchórz.

— To zły nawyk, wybac mi — mruknął Szodanco. — Bo chcę cię zapytać: czy mogę poślubić twoją najstarszą córkę, Alamandę?

Dewi Ayu parsknęła szyderczo. I najpierw przypomniała mu, że sposób, w jaki ją potraktował, z pewnością nie zwiększa jego szans, po czym dodała rozsądnie:

— Alamanda jest panią swojej głowy i ciała, więc dlaczego jej nie zapytasz, czy chce cię poślubić? — I pomyślała, że ten chudy jak patyk żołnierz jest żałosny, oświadczając się w taki sposób.

— Wszyscy w mieście wiedzą, że dała już kosza wielu mężczyznom, więc boję się, że to samo może spotkać i mnie.

Dewi Ayu wiedziała, że za Alamandą szaleją zarówno starzy, jak i młodzi. Wszyscy chcieli zdobyć jej miłość i niczego nie wskórali, bo — co dla matki nie

było tajemnicą — Alamanda kochała tylko jednego mężczyznę. Nie było go, wyjechał, lecz Alamanda czekała na jego powrót.

— Mimo to musisz ją o to zapytać — upierała się Dewi Ayu. — Jeśli się zgodzi, wyprawię wam wspaniałe przyjęcie. Jeśli się nie zgodzi, moim zdaniem powinieneś popełnić samobójstwo.

W pomarańczowym zagajniku pohukiwała sowa, która spłynęła z drzewa, by schwytać susła. Dewi Ayu grała na czas, w nadziei, że jej zbir wróci i panowie załatwią wszystko między sobą. Szodanczo podszedł do niej i ujawszy ją za gładką jak wosk brodę, zapytał:

— A co twoim zdaniem, pani, powinienem zrobić teraz?

— Pójść i znaleźć sobie inną dziewczynę — poradziła mu Dewi Ayu.

W mieście było mnóstwo ślicznych młodych kobiet, wywodzących się w prostej linii od księżniczki Rengganis. Ale Szodanczo nie wyszedł, pchnął brutalnie Dewi Ayu do sypialni, gdzie zdarł z niej odzienie. Wziął ją z pośpiechem, a kiedy skończył, odpoczął chwilę i oddalił się bez słowa.

Dewi Ayu leżała bez ruchu. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. I nie chodziło tylko o to, że ten człowiek poważył się ją wziąć, mimo że Maman Gendeng wszystkim tego zabronił, ale i o to, że wziął ją tak brutalnie — po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Mężczyźni z Halimundy traktowali ją lepiej niż własne żony. Spojrzała na suknię, przy której brakowało dwóch oberwanych guzików, i modliła się, żeby trafił go szlag. Jej gniew narastał stopniowo, kiedy uświadamiała sobie, że wziął ją jak kawałek mięsa, jak dziurę w kiblu, którą posuwał przez kilka minut, jakby nie była kimś, kogo podziwiała całe miasto. Przeklinała go, a nawet zapłakała cichutko, ale szybko wróciła do domu.

Maman Gendeng dowiedział się o wszystkim wraz z nadejściem nowego dnia. Nie znał Szodanczo, ale wiedział, gdzie go szukać. Opuścił dworzec autobusowy, na którym mieszkał, i pomaszerował do wojskowej kwatery głównej w Halimundzie. Przy bramie, w budce, stał wartownik, który zastąpił mu drogę. Maman Gendeng powiedział mu, że chce się spotkać z Szodanczo. Żołnierz nie miał broni, tylko kordzik i pałkę, więc zasalutował i wskazał mu drzwi, a Maman Gendeng poszedł dalej.

Wpadł do gabinetu Szodanczo bez pukania, w dzinsach i podkoszulku, spod którego wyzierał na bicepsie tatuaż smoka, pochodzący z czasów, kiedy służył w partyzantce. Komendant prowadził właśnie konferencję radiową z naczelnym dowództwem i podniósł zaskoczony głowę. Kiedy rozpoznał w nieproszonym gościu wojownika z plaży, zakończył szybko rozmowę i zerwał się na równe nogi z wściekłym błyskiem w oku. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, Maman Gendeng powiedział:

— Słuchaj! Nikt nie sypia z Dewi Ayu oprócz mnie, i jeśli kiedykolwiek ośmielisz się wrócić do jej łóżka, nie okażę ci litości.

Szodanczo był purpurowy ze złości, słysząc tego rodzaju groźby we własnym gabinecie. Zapytał, czy Maman Gendeng zdaje sobie sprawę, że może zostać powieszony, skazany na śmierć przez państwo, jeśli tylko on, Szodanczo, zechce. Co więcej, wszyscy wiedzą, że Dewi Ayu jest kurwą, więc jeśli problem polega na tym, że zapomniał jej zapłacić, wynagrodzi ją jak nikt do tej pory. Rozwścieczony jeszcze bardziej wyniosłą miną zbira, który nic sobie nie robił z jego wrzasków, sięgnął do kabury po pistolet, wyciągnął go, odbezpieczył i wymierzył w Maman Gendenga, jakby chciał mu powiedzieć: nie boję się twoich groźb, a ty lepiej stąd znikaj, zanim stanie ci się krzywda.

— Wygląda na to — powiedział *preman* — że nie wiesz, kim jestem.

Szodanczo nie chciał strzelać, miał zamiar tylko postraszyć intruza. Ale kiedy ujrzał nóż w ręku Maman Gendenga, jedyne, co mu pozostało, to pociągnąć za spust. Pistolet wypalił, a zbira szarpnęło do tyłu, ale po chwili wstrząśnięty Szodanczo przekonał się, że napastnikowi nic się nie stało. Nabój toczył się po podłodze.

Szodanczo był pewny, że nie spudłował nawet o milimetr, a jego zdumieniu nie było końca, kiedy ujrzał uśmiech na twarzy Maman Gendenga.

— Posłuchaj mnie, Szodanczo. Wyjąłem nóż nie po to, żeby ci poderznąć gardło, ale żeby pokazać, że się ciebie nie boję. Jestem niezwyciężony. Twoje kule nic mi nie mogą zrobić, podobnie jak to ostrze — powiedział Maman Gendeng, wbijając z całej siły nóż we własny brzuch. Ostrze pękło, a jego czubek spadł na podłogę, nie czyniąc mu najmniejszej szkody. Maman Gendeng podniósł kulę i ostrze z podłogi i pokazał je Szodanczo.

Komendant, który stał nieruchomo jak słup soli, z pistoletem zwisającym w bezwładnej dłoni i poszarzałą twarzą, słyszał o takich ludziach, ale po raz pierwszy widział kogoś takiego na własne oczy.

Przed wyjściem Maman Gendeng powiedział:

— Ostrzegam cię po raz ostatni, Szodanczo, nie waż się tknąć Dewi Ayu. Jeśli to zrobisz, zetrę to miejsce z powierzchni ziemi, a ciebie tylko zabiję.

SZODANCZO MEDYTOWAŁ ZAKOPANY w gorącym piasku, z którego wystawała mu tylko głowa, kiedy podszedł do niego jeden z żołnierzy. Nazywał się Tino Sidiq i nie ośmieliłby się niepokoić przełożonego, gdyby miał pewność, że da się to w ogóle zrobić. Bo choć Szodanczo miał szeroko otwarte oczy, niczym głowa odcięta od ciała, jego dusza wędrowała przez królestwo światła — tak przynajmniej opisywał swoje ekstatyczne doświadczenia. „Medytacja pozwala mi nie patrzeć na ten zepsuty świat — mawiał często i dodawał: — A przynajmniej na wasze obrzydliwe gęby”.

Po jakimś czasie głowa zamrugała, a ciało zaczęło się poruszać, co — jak wiedział Tino Sidiq — oznaczało koniec medytacji. Szodanczo wysunął się z piasku jednym płynnym ruchem, strzepnął go z siebie i przysiadł obok żołnierza niczym kura na grzędzie. Jego nagie ciało było chude ze względu na ścisły post *Daud* stosowany co drugi dzień, choć wszyscy wiedzieli, że nie jest osobą religijną.

— Oto pański mundur — powiedział Tino Sidiq, podając mu ciemnozielony uniform.

— Każdy strój to nowa rola klauna — odrzekł Szodanczo, zakładając mundur. — Zamieniam się teraz w Szodanczo, łowcę świń.

Tino Sidiq wiedział, że Szodanczo nie lubi tej roli, ale jednocześnie zgadza się ją grać. Przed kilkoma dniami dostali bezpośredni rozkaz od majora Sadraha, komendanta całego miasta Halimunda, by wyjść z dzungli i pomóc mieszkańcom w zabijaniu świń. Szodanczo brzydził się wypełnianiem rozkazów tego idioty Sadraha, jak go zawsze nazywał. Ale ten rozkaz był pełen szacunku i pochwał: Sadrah pisał, że tylko Szodanczo zna Halimundę ak własną kieszeń i jest jedynym oficerem, któremu ludzie ufają na tyle, by pozwolić mu łapać świnię.

— Tak się dzieje, kiedy nie ma wojny: żołnierze są zmuszani do łapania świń — ciągnął Szodanczo. — Sadrah jest taki głupi, że nie wie nawet, czym sra.

Znajdowali się na tej samej plaży, na której przed wiekami schroniła się zbiegła księżniczka Rengganis: był to szeroki przylądek w kształcie ucha słonia, otoczony łuskami po pociskach, plażami i stromymi jarami z kilkoma piaszczystymi wydmami. Obszar ten był niemal nietknięty ręką człowieka, bo od czasów kolonialnych znajdował się tu rezerwat przyrody z lampartami i *ajakami*. Właśnie tutaj mieszkał Szodanczo od ponad dziesięciu lat: w małej chacie, takiej samej, jaką zbudował sobie w czasach partyzantki. Dowodził trzydziestoma dwoma żołnierzami, których czasem wspomagali cywile. Jego ludzie jeździli na zmianę ciężarówką do miasta po zapasy, ale nie Szodanczo. Przez te dziesięć lat wyprawiał się najdalej do jaskiń, gdzie medytował, i wracał do chaty, żeby łowić ryby,

gotować dla żołnierzy i zajmować się udomowionymi *ajakami*. Ten spokojny żywot przerwała mu wiadomość od Sadraha. W dżungli nie było świń, zwierzęta te żyły na wzgórzach na północ od Halimundy, więc będzie musiał pojechać do miasta. Wypełnienie rozkazu równało się zdradzie tak pieczołowicie pielęgnowanej samotności.

— Co za żałosny kraj — powiedział. — Nawet żołnierze na jego służbie nie wiedzą, jak polować na świnie.

Po raz ostatni był w mieście przed jedenastoma laty. Oddziały KNIL miały zostać rozwiązane, a on pojechał, by nadzorować ich wyjazd.

— Sayonara — mówił rozczarowany. — Jestem jak rybak, który czeka cierpliwie na połów, gdy nagle ktoś przynosi mu kosz pełen ryb.

Potem wrócił do dżungli razem z trzydziestoma dwoma wiernymi żołnierzami, rozpoczynając w ten sposób nudną służbę, która miała trwać przez ponad dziesięć lat. Żeby czymś się zająć, chronili ciężarówki z przemytem prowadzonym przez kupca, którego Szodanco poznał, gdy walczyli razem przeciwko Japończykom. Oczywiście Szodanco nie chronił niczego osobiście, bo zajmowało się tym jego trzydziestu dwóch żołnierzy. On sam albo włóczył się po dżungli w poszukiwaniu jaskiń do medytacji, albo łowił papugoryby, albo też ćwiczył chwyt bojowy. Potrafił zapaść się nagle pod ziemię, stosując opracowaną przez siebie technikę partyzancką, po czym pojawiał się znienacka.

Opracował tę technikę w czasach, w których był prawdziwym *shodancho* w *daidan* w Halimundzie, gdy Jawę okupowała Szesnasta Armia Japońska. Miał dwadzieścia lat, kiedy doznał olśnienia: powstanie. Pierwszą osobą, z którą podzielił się tym pomysłem, był Sadrah, jego przyjaciel z dzieciństwa i *shodancho* w tym samym *daidanie*. Razem rozpoczęli służbę wojskową w *Seinendan*, młodzieżowym regimencie założonym przez Japończyków. Razem byli w Bogor na szkoleniu wojskowym przed powstaniem PETA ¹ i awansowali do stopnia *shodancho*, po czym wrócili do Halimundy, by dowodzić własnymi *shodanami*. Miał nadzieję, że przyjaciel przyłączy się do powstania.

— Prosisz się o kulę — powiedziała Sadrah.

— Tak, Japończycy przybyli z bardzo, bardzo daleka, żeby mnie pochować — odrzekł ze śmiechem. — Będą o tym opowiadać moje dzieci i wnuki.

Był najmłodszym *shodancho* w Halimundzie i przy okazji najdrobniejszym. Ale tylko on zdobył przydomek Szodanco, a kiedy plany powstania były już gotowe, osobiście stanął na jego czele. W skład sił powstańczych wchodziło ośmiu *shodancho*, każdy z własnym *budancho*, którzy mieli się przyłączyć, i dwoma *chudancho* w roli doradców partyzantów. *Daidancho* dowiedział się o planie, ale postanowił nie mieszać się do powstania i umył ręce.

— Nie jestem grabarzem — powiedział. — Szczególnie przy własnym grobie.

— Nie martw się, sam wykopię ci grób, Daidanco — odparł Szodanco,

a potem wyprowadził go z konspiracyjnego spotkania.

Kiedy Daidanczo odszedł, Szodanczo zwrócił się do pozostałych:

— Woli zgnić za biurkiem.

Rozłożył prymitywną mapę Halimundy z zaznaczonymi symbolem Kurawów pozycjami wojsk japońskich i symbolem Pandawów pozycjami własnych sił, po czym przypomniał swoim ludziom:

— Nie ma takiego Bhismy, który by nie umarł, i takiego Yudistiry ², który by nie kłamał. Wszyscy mogą umrzeć i wszyscy muszą walczyć, żeby przetrwać, nawet kłamiąc.

Kiedy był mały, dziadek opowiadał mu o wojownikach z *Mahabharaty*, a on sam był tak zafascynowany wojną, że ludzie często mówili: „Powinien być dowódcą Szesnastej Armii”.

Konspiracyjne spotkania ciągnęły się przez pół roku, zanim wszyscy zdobyli pewność, że da się wzniecić powstanie. Policzyli broń i amunicję, przyswoili sobie plany ucieczki w razie niepowodzenia i wyznaczili dalsze cele, jeśli uda im się zdobyć Halimundę. Wysłali kurierów, żeby uzyskać bardzo potrzebne wsparcie innych daidanów. Na początku lutego wszystko było wreszcie gotowe: powstanie miało wybuchnąć czternastego.

— Może już nigdy nie wrócę — zęgnął się Szodanczo z dziadkiem. — A może wrócę do domu jako trup.

Gdy zbliżał się dzień wybuchu powstania, zabrał pistolet i amunicję i sprawdził po raz drugi, czy każdy żołnierz miał apteczkę, w razie gdyby zaszła konieczność ucieczki. Skontaktował się z kupcem o imieniu Bendo, który szmugłował drewno tekowe, i poprosił go o zapewnienie dostaw żywności dla partyzantów. Spotkał się także bezpośrednio z regentem, burmistrzem i szefem policji, informując ich, że czternastego lutego dojdzie do „manewrów”, w których wezmą udział wszyscy żołnierze PETA w Halimundzie i nikt nie powinien im przeszkadzać. „Manewry” były kryptonimem powstania. Obawiał się zdrady.

— Dziś — powiedział o wpół do trzeciej w dniu wybuchu powstania — grabarze będą mieli co robić.

Powstanie rozpoczęło się od ostrzału kwatery głównej, Kempeitai, armii japońskiej w hotelu Sakura. Na boisku piłkarskim rozstrzelano trzydziestu mężczyzn: dwudziestu jeden żołnierzy i urzędników japońskich, pięciu holenderskich Indonezyjczyków półkrwi i czterech chińskich kolaborantów. Ich ciała szybko zaciągnięto na cmentarz i rzucono bezceremonialnie przed domem grabarza.

Mieszkańcy miasta nie wsparli powstania. Pozamykali się w domach, pewni, że teraz nastanie jeszcze większy terror: Japończycy przyślą do miasta posiłki i nikogo nie oszczędzą. Natomiast powstańcy byli jak natchnieni. Zdarli *Hinomaru*, japońską flagę, i powiesili w jej miejsce własną. Jeździli po mieście ciężarówką,

wykrzykując hasła o wolności i niepodległości oraz śpiewając pieśni bojowe. Kiedy zapadł zmrok, zniknęli, jakby połknęła ich noc. Wiedzieli, że Japończycy dowiedzą się o powstaniu — może dowie się o nim cała Jawa — i gdy tylko nadejdzie ranek, przyślą posiłki.

— Po tym, co się wydarzyło — powiedział Szodanco — musimy opuścić Halimundę i pozostać w ukryciu aż do klęski Japonii.

Stali się teraz prawdziwymi partyzantami.

Podzielili siły powstańcze na trzy grupy i się rozdzielili. Pierwsza grupa, pod dowództwem *shodancho* Bagonga i jego doradcy *chodancho*, wyruszyła na zachód, by stawić czoło Japończykom podążającym do Halimundy z tamtej strony. Zajęła ziemię niczyją na granicy dystryktu, gdzie roiło się od wędrownych rabusiów. Druga grupa, pod dowództwem *shodancho* Sadraha i jego doradcy *chodancho*, wyruszyła do gęstej dżungli na ciągnących się od północy wzgórzach. Ostatnia grupa ruszyła na wschód, zajmując ujście rzeki. Dowodził nią Szodanco. Jego ludzie byli gotowi walczyć w bagnach i znosić ataki malarii i dyzenterii. Od południa chroniła ich przyroda w postaci złowrogich Mórz Południowych. Wszystkie grupy wyruszyły przed północą, kiedy rozległo się odległe wycie *ajaka*.

Tak to się zaczęło. Była radość i był strach. Dwaj żołnierze popłakali się z tęsknoty za matkami, ale kiedy dowódca zagroził, że odeśle ich do domu, wróciła im odwaga i przysięgli, że wygrają każdą bitwę albo zginą. Oddział zajął wyznaczoną pozycję, uzbrojony w krótkolufowe pistolety maszynowe i karabiny Steyer odebrane KNIL oraz niewielką armatę i ośmiomilimetrowy moździerz skradzione z *daidan*. Tylko *shodancho* i *budancho* nosili broń palną, reszta żołnierzy — których Japończycy nazywali *giyukei* — miała bagnety albo proste zaostrzone bambusowe dzidy. Przed oddziałem szli dwaj zwiadowcy, pochód zamykała straż tylna. Z takim orężem chcieli pokonać największe mocarstwo w Azji, armię, która zwyciężyła Rosję i Chiny i przepędziła Francuzów, Anglików i Holendrów z kolonii; armię, która walczyła teraz z połową świata i nauczyła ich, jak trzyma się broń.

— Bohater zawsze wygrywa — mówił Szodanco podwładnym, żeby dodać im otuchy. — Nawet jeśli to chwilę potrwa.

Pierwszego dnia wojny partyzanckiej oddział Szodanco zaatakował ciężarówkę, która jechała do położonego w delcie obozu Bloedenkamp. Zdetonowali minę tuż pod autem, wybuchł zbiornik z paliwem, zabijając wszystkich Japończyków, którzy siedzieli w środku. Kurier donosił, że oddział, który wyruszył na zachód, prowadził otwartą walkę z Japończykami na obrzeżach dżungli i po gwałtownym starciu Bagong i jego żołnierze zdołali się wymknąć, a Japończycy nie mieli zamiaru ich ścigać. Oddział, który wyruszył na północ, zaatakował pozycje japońskie przy głównej drodze, ale wpadł w zasadzkę zastawioną przez japoński batalion. Partyzanci dostali rozkaz powrotu do *daidanu* i *shodancho* Sadrah oraz

jego żołnierze wrócili pokonani do miasta.

— Nawet osioł pamięta, żeby zapomnieć drogę powrotną do domu — stwierdził Szodanczo. — Sadrah jest głupszy od osła.

Drugiego dnia namierzył ich oddział japoński, z którym prowadzili potyczki wzdłuż brzegu rzeki. Zabili dwóch japońskich żołnierzy, ale zapłacili za to zbyt wysoką cenę — zginęło pięciu powstańców, a potem znaleźli się w okrążeniu. Próbując ocalić życie, wskoczyli do rzeki, gdzie jednak stali się celem ostrzału wroga. Podczas operacji ratunkowej śmierć ponieśli kolejni żołnierze, ale Szodanczo i reszta uciekli.

Dowódca szybko zmienił trasę przemarszu i plany. Wróca, ale nie po to, żeby się poddać — był to najsprytniejszy manewr taktyczny, o jakim słyszeli żołnierze. Na południe od miasta leżał chroniony las, więc okrążyli Halimundę przez porośnięte mangowcami bagna i wspięli się na urwiska z zasypanej łuskami pocisków plaży, by wkroczyć do dżungli. Ścigający ich Japończycy i żołnierze PETA dali się nabrać — sądzili, że powstańcy pomaszerują na wschód, by dołączyć do towarzyszy z innego *daidanu*, tak jak początkowo planowali. Szodanczo szybko kalkulował: powstanie się nie powiodło, wróg znał położenie oddziału, inny *daidan* im nie pomógł, więc najlepszym rozwiązaniem jest ucieczka do lasu najbliższej miasta, gdzie można się przygotować do p r a w d z i w e j wojny partyzanckiej.

Przez kilka dni ukrywali się w jaskini, żeby nie wypatrzyli ich rybacy z łodzi na morzu. Wysłali zwiadowcę, który miał się dowiedzieć, co się stało z zachodnim batalionem i w ogóle z miastem. Zwiadowca wrócił, przynosząc złe wieści: Japończycy i PETA przetrząsnęli las, w którym ukrywał się zachodni batalion. Bandytom i złodziejom pozwolono uciec, ale żołnierzy chwymano żywcem. Walczyli tylko bagnietami i bambusowymi dzidami, nie poddali się, więc sześćdziesięciu ludzi, których schwytano, w tym *shodancho* Bagonga i jego doradca *chudancho*, zostanie rozstrzelanych dwudziestego czwartego lutego na placu przed *daidanem*.

Szodanczo zszedł z gór przebrany za chudego, pokrytego świerzbem włóczęgę w poszarpanym odzieniu. Przebranie to nie odbiegało za bardzo od jego rzeczywistego wyglądu, bo po dziesięciu dniach partyzantki nie dało się go właściwie odróżnić od prawdziwego żebraka. Wszedł do miasta ze sztywnymi od brudu włosami i nie poznała go żywa dusza. Kuśtykał chodnikiem, ściskając metalową puszkę z kamieniem w środku, którą potrząsał od czasu do czasu. Przystanął pod koralodrzewem, rosnącym na poboczu przy kwaterze głównej *daidan*, i był świadkiem egzekucji. Rozstrzeliwano po kolei sześćdziesięciu mężczyzn, których ciała wrzucano na ciężarówkę i wywieziono przed dom grabarza.

— Nawet nie macie co marzyć o tym, że ktoś was zapamięta po śmierci — powiedział swoim żołnierzom, kiedy na znak żałoby opuszczali flagę do połowy

masztu w partyzanckiej twierdzy. — Wierzcie mi, większość ludzi nie pamięta o niczym, co ich nie dotyczy.

Zaplanował odwet. Pewnej nocy zaatakował posterunek wojskowy, ukradł amunicję i zabił sześciu japońskich żołnierzy, a ich ciała wyrzucił na ulicę. Potem wysadził ciężarówkę i uciekł przed pierwszym paniem koguta. Kiedy wstał dzień, sześć japońskich trupów wywołało rwetes i wszyscy zachodzili w głowę, kto mógł się dopuścić podobnego czynu. Sami Japończycy i *daidan*, w tym Sadrah, szybko się domyślili: Szodanco ciągle żył i wypowiedział im wieczną wojnę.

Japończycy z Kempeitai uderzyli na oślep i szybko zgubili trop. Plądrowali domy, szukając Szodanco i jego żołnierzy, ale nic nie znaleźli. Trzeciego dnia po zabiciu sześciu Japończyków okradziono magazyn z zapasami żywności i uprowadzono ciężarówkę; zginęli dwaj japońscy wartownicy. Ciężarówkę odnaleziono — wepchnięto ją do rzeki, kradnąc z niej żywność. Japończycy przeczesałi brzeg, ale i tym razem bezskutecznie.

Dwa dni później do partyzanckiej chaty Szodanco dotarł kurier, który poinformował dowódcę, że wieść o powstaniu rozeszła się po całej Jawie i wywołała dużo mniejszych powstań w wielu *daidanach*, a choć wszystkie zakończyły się niepowodzeniem, Japończycy bardzo się tym przejęli i krążą pogłoski, że chcą rozwiązać PETA i pozbawić tubylców broni.

— Sporo się ryzykuje, kiedy trzyma się w domu wygłodniałego tygrysa — stwierdził Szodanco.

Cztery dni później wysadził w powietrze most, przez który przejeżdżało pięć japońskich ciężarówek wypełnionych żołnierzami. Halimunda na całe miesiące została odcięta od świata, a partyzanci mogli czuć się bezpieczni w swoich kryjówkach.

Był piękny, przejrzysty poranek, a Szodanco właśnie skończył srać na rafie koralowej, kiedy natknął się na wyrzucone przez fale ciało. Trup — napęczniały tak bardzo, jakby miał zaraz wybuchnąć — miał na sobie tylko przepaskę biodrową. Szodanco i jego ludzie wyciągnęli go na brzeg i przyjrzeni mu się uważnie. Miał dziurę w brzuchu.

— To od bagnetu — stwierdził Szodanco. — Zabili go Japończycy.

— To powstaniec z innego *daidanu* — dodał żołnierz.

— Albo kochanek kochanki cesarza Hirohito.

Szodanco umilkł nagle, przyglądając się trupowi. Był to bez wątpienia tubylec. Miał szczupłą i gładką twarz, bez zarostu, jakby głodował jak większość tubylców. Ale nie to zwróciło uwagę Szodanco, tylko dziwny kształt ust mężczyzny. W końcu zrozumiał, w czym tkwi problem.

— On ma coś w ustach.

Nie bez wysiłku, przy pomocy innego żołnierza, otworzył palcami zaciśniętą

żuchwę.

— Nic tam nie ma — oznajmił żołnierz.

— Nieprawda — stwierdził Szodanczo i wsunął palce do ust trupa, by po chwili wyjąć z nich niemal rozpuszczony kawałek papieru.

— Za to go zabito — powiedział.

Rozłożył kartkę na nagrzanym przez słońce koralowcu. Wyglądało to jak ulotka z powielacza. Morska woda, która dostała się do ust trupa, rozmyła i rozpuściła druk, ale Szodanczo rozróżniał litery. Wszystkim łomotały serca, spodziewali się ważnej wiadomości, bo przecież nikt nie dałby się zabić za jakąś bezsensowną ulotkę. Szodanczo trzymał ją w drżącej dłoni (drżącej nie od chłodu ani z głodu), a po jego twarzy płynęły łzy. Zanim zdezorientowani żołnierze zapytali, o co chodzi, odezwał się do nich:

— Którego dzisiaj mamy?

— Dwudziestego trzeciego września.

— Więc spóźniliśmy się o miesiąc.

— Na co?

— Na wielkie święto. — I przez ściśnięte wzruszeniem gardło odczytał im to, co było napisane na ulotce: — PROKLAMACJA: NINIEJSZYM MY, LUD INDONEZJI, OGŁASZAMY NASZĄ NIEPODLEGŁOŚĆ... SIEDEMNASTEGO SIERPNIĄ TYSIĄC DZIEWIĘĆSET CZTERDZIESTEGO PIĄTEGO ROKU. W IMIENIU LUDU INDONEZJI: SUKARNO I HATTA.

Zapadła cisza, po której rozległa się dzika kakofonia okrzyków radości i wrzasków. Wszyscy — z wyjątkiem Szodanczo — rozbiegli się jak opętani do swoich partyzanckich chat, przed którymi tańczyli, śpiewając pieśni zwycięstwa. Bez jednego rozkazu zaczęli zbierać i pakować dobytek, jakby wszystko nagle się skończyło. Byli gotowi wybiec z dżungli i wpaść do miasta, by zanieść jego mieszkańcom radosną wieść, ale Szodanczo szybko przywołał ich do porządku, nim oszaleli do reszty.

— Musimy odbyć naradę — powiedział.

Zgodzili się i zebrali przed jedną z chat.

— W Halimundzie wciąż są Japończycy — powiedział Szodanczo. — I na pewno wiedzą już o proklamacji niepodległości, ale postanowili siedzieć cicho.

I szybko obmyślił plan. Połowa oddziału przeprowadzi błyskawiczny atak na pocztę, biorąc zakładników, jeśli zajdzie taka potrzeba, co nie będzie zbyt niebezpieczne i trudne, bo na poczcie pracują tylko tubylcy. Poza tym jest tam powielacz, na którym wykonają odbitki proklamacji trupa i rozkolportują ją po całym mieście najszybciej jak się da.

— Użyjemy do tego listonoszy! — powiedział z wielką pewnością siebie.

Druga połowa oddziału zinfiltrowuje *daidan* i powie tubylczym żołnierzom, co się stało, rozbroi Japończyków, zmobilizuje masy i zwoła wiec na boisku piłkarskim.

Po tej szybkiej i zwięzłej naradzie wyszli z dżungli.

Już samo ich przybycie do miasta wywołało wśród mieszkańców gorączkę, jeszcze zanim rozprowadzili powieloną na poczcie ulotkę. Szodanczo zdobył ciężarówkę i jeździł po mieście, wykrzykując:

— Indonezja ogłosiła niepodległość siedemnastego sierpnia, a Halimunda zrobiła to samo dwudziestego trzeciego września!

Ludzie stojący przy poboczu dróg zamierali, jakby skamieniali. Fryzjer o mało nie obciął ucha klientowi, a chiński sprzedawca *bakpao* stracił panowanie nad rowerem i potoczył się po drodze razem ze swoimi gorącymi bułeczkami. Wszyscy wpatrywali się w przejeżdżającą ciężarówkę z niedowierzaniem, zbierali rozrzucone ulotki i czytali je. Wybuchła wielka radość, szkolna dziatwa tańczyła przy krawężnikach i jeden po drugim dołączali do niej dorośli.

Japończycy wybiegli z urzędów, wybiegł też wojskowy komendant Sidokan. Byli bezradni, bo wszystko to wydarzyło się nad ich głowami, i nie protestowali, kiedy żołnierze PETA z *daidanu* zaczęli ich rozbierać. Powstańcy bez żadnych ceregieli opuścili z masztu *Hinomaru*, krzycząc Japończykom prosto w twarz: „Zeżryjcie tę przekłętą flagę!”. Na jej miejsce wciągnęli uroczyście flagę czerwono-białą, śpiewając hymn *Indonesia Raya*.

Na boisku piłkarskim zaczął zbierać się tłum, ludzie byli wychudzeni, ubrani w szmaty, ale rozpromienieni. Nigdy dotąd — za ich życia, ani za życia ich dziadków czy pradziadków — nie było czegoś takiego: niepodległości! Ale tego dnia usłyszeli o tym na własne uszy: Indonezja była wolna, a wraz z nią Halimunda. Po południu Szodanczo dowodził kolejną ceremonią wciągania flagi na maszt i odczytywania proklamacji niepodległości. Mieszkańcy miasta siedzieli po turecku na trawie, a wojskowi stali na baczność, wysocy i sztywni. Od tamtego roku i przez wszystkie kolejne lata tylko wojsko i dziatwa szkolna obchodzili Dzień Niepodległości siedemnastego sierpnia. Mieszkańcy miasta świętowali wspólnie dwudziestego trzeciego września, a dołączali do nich szkolna dziatwa i wojsko. Tego dnia nie tylko oddawano cześć fladze, czytano proklamację czy śpiewano *Indonesia Raya*, ale też wysyłano sobie kosze z prezentami i organizowano uliczny jarmark. A kiedy jakiś obcy albo nauczyciel na lekcji zapytał, kiedy Indonezja uzyskała niepodległość, wszyscy odpowiadali: „Dwudziestego trzeciego września”. Rząd z Dżakarty robił co mógł, żeby wyprostować to małe przekłamanie między sierpniem a wrześniem 1945 roku, ale obywatele Halimundy poprzysięgli sobie, że już zawsze i do śmierci będą obchodzić Dzień Niepodległości dwudziestego trzeciego września. Po jakimś czasie nikt się już temu nie dziwił.

Wybuchło zamieszanie, kiedy nadeszli ludzie ciągnący ze sobą *daidancha*, którego chcieli ukarać za zdradę podczas powstania. Byli gotowi powiesić go na migdałeczniku, który rósł w rogu boiska piłkarskiego, ale Szodanczo ich powstrzymał. Uwolnił *daidancha* i zaprowadził go na środek boiska. Wiedział

o jego zdradzie i podał mu rewolwer. Ludzie stojący w pobliżu usłyszeli jego słowa:

— Wyszkolili nas obu Japończycy, więc wiesz równie dobrze jak ja, co musi zrobić zdrajca.

Daidancho przyłożył pistolet do głowy i odebrał sobie życie. Mimo to Szodanco rozkazał pochować go z wojskowymi honorami. Trupa owinięto we flagę i złożono w ziemi nieopodal miejskiego szpitala, gdzie wkrótce powstał wojskowy cmentarz. Tego dnia nikt więcej nie zginął. Szodanco przejął władzę nad *daidanem*, rozesłał kurierów, by zebrali więcej informacji, i zwołał ludzi do naprawy mostu, który sam wysadził niegdyś w powietrze. Kurierzy wrócili po dwóch dniach, donosząc, że rozwiązano PETA, a wszelkie prerogatywy *daidanów* przekazano Agencji Bezpieczeństwa Publicznego.

Założono więc w mieście taką agencję. Ale po dwóch dniach przybył kolejny kurier z wiadomością, że Agencja Bezpieczeństwa Publicznego została rozwiązana, a w jej miejsce powstała Armia Bezpieczeństwa Publicznego.

— Jeśli zmienią to raz jeszcze — oznajmił poirytowany Szodanco — Halimunda wypowie wojnę Indonezji.

Rząd centralny podjął decyzję o przyznaniu stopni wojskowych. Szodanco, który przewyższał doświadczeniem dowódców innych *shodanów*, otrzymał stopień podpułkownika, a jego głupi przyjaciel Sadrah musiał się zadowolić stopniem majora. Ale Szodanco nie przywiązywał zbyt dużej wagi do takich spraw i powiedział wszystkim:

— Wolę pozostać Szodanczem.

Po kilku tygodniach do miasta przybył trzeci kurier z pakietem dokumentów zawierającym list, który — jak się wydawało — został napisany przed wieloma miesiącami, ale dopiero teraz trafił do adresata. Autorem wiadomości był prezydent Republiki Indonezji, a adresatem Szodanco. Wkrótce całe miasto dowiedziało się, co było w niej napisane: prezydent mianował Szodanco głównodowodzącym Armią Bezpieczeństwa Publicznego w randze generała w uznaniu jego bohaterstwa podczas powstania lutowego.

Kiedy mieszkańcy miasta świętowali jego awans, Szodanco zaszył się w starej partyzanckiej kryjówce. Tamtego dnia łowił ryby i pływał sam w oceanie, medytując na powierzchni wody i zastanawiając się, czy nie jest przypadkiem topielcem i trupem. Nie chciał myśleć o całym tym koszmarze, jakim było dla niego przyjęcie stanowiska szefa Armii Bezpieczeństwa Publicznego. Przed ucieczką z miasta powiedział do majora Sadraha:

— Jakież to smutne, że jako pierwszy wznieciłem powstanie i z tej tylko przyczyny awansowano mnie na głównodowodzącego. Zastanawiam się, jaką mamy armię, skoro dowódcą mianuje się żołnierza, który nigdy nie widział z bliska cipy.

Kiedy nadeszła noc, odnaleźli go przyjaciele i sprowadzili do domu.

Jakiś czas potem nadjechał kolejny kurier z wiadomością, która sprawiła Szodanczo wielką ulgę. Dowódca dywizji, biorąc pod uwagę fakt, że Szodanczo ani razu nie wystąpił w roli głównodowodzącego, zwołał wraz z komendantem wysp Jawa i Sumatra naradę na najwyższym szczeblu, by wyznaczyć następcę Szodanczo. „Prezydent Republiki podpisał nominację pułkownika Sudirmana na dowódcę Armii Bezpieczeństwa Publicznego w randze generała”. Tak oznajmił kurier.

— Chwała Bogu — odetchnął Szodanczo. — To stanowisko nadaje się tylko dla tych, którzy go naprawdę pragną.

Choć mieszkańców Halimundy zasmuciła wieść o mianowaniu następcy, Szodanczo nie posiadał się z radości.

Armia Bezpieczeństwa Publicznego została przemianowana na Armię Ocalenia Publicznego. Właśnie zdążyli zmienić tabliczki na budynkach, kiedy gruchnęła wieść, że Armia Ocalenia Publicznego będzie się teraz nazywała Armią Republiki Indonezji.

— Wypowiemy Indonezji wojnę? — zapytał major Sadrah.

Szodanczo roześmiał się i pokręcił głową.

— Nie ma takiej potrzeby — odrzekł pocieszająco. — Jako nowy kraj uczymy się dopiero, jak wszystko nazywać.

Armia japońska nie zdążyła jeszcze opuścić wyspy, a ludzie nie nacieszyli się pokojem, kiedy na niebie nad Halimundą pojawiły się samoloty alianckie. Po kilku dniach przybyli żołnierze angielscy i holenderscy. Uwolnili jeńców wojennych KNIL, którzy się uzbroili, pozbawiając indonezyjską armię oręza. Szodanczo natychmiast podjął odpowiednie kroki wycofał żołnierzy z powrotem do dżungli. Tym razem podzielił ich na cztery grupy i wysłał w cztery strony świata, samemu obejmując dowództwo nad oddziałem, który ufortyfikował się w dżungli na południu. Postanowił toczyć kolejną wojnę partyzancką, tym razem przeciwko aliantom, a szczególnie przeciwko NACI, Niderlandzkiej Administracji Cywilnej Indii. Ale nie tylko partyzanci uciekli do dżungli, poszli za nimi także cywile, w większości młodzi mężczyźni, którzy złożyli przysięgę na wierność Szodanczo. Rozdzielił swoich ludzi na mniejsze oddziały partyzanckie, składające się głównie z cywilów — byli to ci, którzy zgwałcili Dewi Ayu i jej przyjaciółki przed przybyciem angielskich żołnierzy.

Nowa wojna partyzancka trwała dwa lata, a partyzanci częściej doświadczali goryczy porażki niż zwycięstw. Ale choć wojska KNIL wiedziały, że Szodanczo przebywa na przylądku w dżungli, nigdy nie zdołały go dopaść. Dżungla była pełna partyzantów, którzy znali ten rejon lepiej od kogokolwiek i chronili się w starych japońskich fortach więziennych. Żołnierze KNIL, wspomagani przez Anglików, nigdy nie mieli dość odwagi, by zagłębić się w dżunglę, dlatego utrzymywali tylko pozycje w mieście. Z kolei partyzanci bali się wchodzić otwarcie do Halimundy.

Wojska KNIL kontrolowały przepływ żywności i broni, co nie miało większego sensu, bo partyzanci uprawiali własne pola ryżowe w środku dżungli i potrafili prowadzić wojnę bez amunicji. KNIL podjął ataki z powietrza, ale Japończycy nauczyli partyzantów, jak ich unikać.

Szodanczo dalej rozwijał taktykę wojny partyzanckiej, odkrywając najlepsze sposoby kamuflażu i infiltracji. Umiał pojawiać się znikąd i równie szybko zniknąć, a kiedy się przebrał i zamaskował, nie potrafili go odnaleźć nawet jego ludzie.

— To coś zupełnie innego od zabawy w chowanego — mawiał. — Bo kiedy znajdą partyzanta, on ginie.

Trwało to do czasu, kiedy nadeszła wiadomość, która położyła kres wszelkim potyczkom: Niderlandy uznały suwerenność Republiki Indonezji przy stole negocjacyjnym. Szodanczo był tym mocno poirytowany, bo republika ogłosiła niepodległość cztery lata wcześniej, a Niderlandy dopiero teraz przyjęły to do wiadomości, za co ich ludziom pozwolono tak po prostu odejść.

— Jakby ta wojna była zupełnie pozbawiona sensu — stwierdził niezadowolony.

Mimo to wyłonił się z lasu z jądrem oddziału partyzanckiego. Ludzie z Halimundy powitali go radośnie, bo nadal był ich bohaterem. Kiedy Szodanczo jechał na mule, machali kolorowymi chorągiewkami z pobocza, ale on nie zwracał na to uwagi i skierował się prosto do portu. Port wypełniali holenderscy żołnierze i cywile, przygotowujący się do wejścia na pokład statku, który miał ich zabrać do domu. Szodanczo podjechał do dowódcy KNIL, który ucieszył się, spotkawszy wreszcie swego przeciwnika. Uścisnęli sobie przyjaźnie ręce, a nawet pokleпали się po plecach.

— Kiedyś znów urządzimy sobie wojnę — powiedział dowódca.

— Owszem, jeśli zechcą tego królowa Niderlandów i prezydent Republiki Indonezji.

Rozstali się przy trapie. Szodanczo stał na nabrzeżu, kiedy odcumowano statek, a dowódca KNIL przy relingu na pokładzie. Kiedy maszyny poszły w ruch, a statek się zakołysał, pomachali sobie na pożegnanie.

— Sayonara — powiedział Szodanczo.

Koniec wojny sprowadził dziwny spokój, taki, który czują ludzie na emeryturze. Przez kilka dni Szodanczo zabijał czas w kwaterze dawnego *shodanu* na plaży w Halimundzie. Za dnia kosił trawę i karmił nią muła albo łowił ryby w pobliskim strumieniu, aż w końcu zebrał swoich towarzyszy i powiedział im, że wraca do dżungli, tym razem na zawsze.

— Co tam będziesz robił? — zapytał go major Sadrah, który stał teraz na czele garnizonu. — Nikt już nie potrzebuje żadnych partyzantów.

— W czasach pokoju żołnierze nie mają nic do roboty — odpowiedział nieporuszony Szodanczo. — W dżungli mam zamiar prowadzić interesy.

I właśnie tak zrobił. Skontaktował się z Bendo, kupcem, który szmugłował drewno tekowe pod jego osłoną w zamian za logistyczne wsparcie partyzantów. Bendo przyprowadził pewnego chińskiego handlarza i wraz z nimi Szodanco zaczął szmugłować towary przez wyspę. Kiedy doszli do porozumienia, był gotów wrócić do dżungli, wybrawszy najpierw trzydziestu dwóch najwierniejszych partyzantów, żeby towarzyszyli mu w nowym przedsięwzięciu.

— Teraz naszymi jedynymi wrogami są złodzieje — powiedział im.

Całe miasto wiedziało o przemyśle, wiedzieli o nim cywile i żołnierze. Wszystkie towary przechodziły przez niewielki zbudowany na cyplu przylądka port: telewizory, zegarki, kopro, a nawet klapki. Ludzie nie narzekali, bo Szodanco był ich bohaterem, a poza tym nadmiar towarów sprzedawano w Halimundzie po bardzo niskich cenach, zanim dostawy wysłano do innych miast. Dowódcy wojskowi także milczeli, po trosze dlatego, że major Sadrah był starym przyjacielem Szodanco, ale przede wszystkim z tej przyczyny, że Szodanco odkładał połowę zysków dla generała w stolicy. Wszyscy niebawem się przekonali, że oprócz wrodzonego talentu dowódczego Szodanco ma nadzwyczajną smykałkę do interesów.

— Między wojną a prowadzeniem interesów nie ma żadnej różnicy — mawiał. — W obu przydaje się niebawoły spryt.

W rzeczywistości Szodanco nie parął się prowadzeniem interesów na co dzień, bo wszystkim zajmowali się jego żołnierze. Spędził ponad dziesięć lat w partyzanckiej chacie, łowiąc ryby, medytując i udomawiając *ajaki*. Rozkazał nawet swoim żołnierzom, żeby się poženili, zbudowali domy, zamieszkali w mieście i towarzyszyli mu na zmiany w opuszczonym zakątku dżungli. Żołnierze z czasem stracili instynkt walki, tyjąc z przejedzenia i od wesołego życia, które obecnie prowadzili, ale Szodanco zachował dawny ascetyczny wygląd: był jak zawsze szczupły, jak zawsze gibki i wcale się nie postarzał. Wynajdował sobie zajęcia, jak choćby gotowanie dla swoich ludzi, choć sam jadł niewiele. Podobał mu się ten pokojowy styl życia — do czasu, aż major Sadrah rozkazał mu wyjść z dżungli i wybić świnie na stokach wzgórz Ma Iyang i Ma Gedik.

— Nie wiem, czy żołnierze dadzą się przekonać do polowania na świnie — powiedział Tino Sidiq do Szodanco. — Siedzą za kierownicami ciężarówek od dziesięciu lat.

— Nic nie szkodzi, zwerbowałem już nowych, chętnych do walki żołnierzy — odrzekł Szodanco. Następnie wydał z siebie przeciągły i przeszywający gwizd, a z krzaków wypadła sfora *ajaków*: szarych, zwinnych i gotowych na wszystko. Była ich prawie setka i wszystkie przypadły do jego stóp.

— To z pewnością wystarczy, żeby pokonać inwazję świń — powiedział ze śmiechem Tino Sidiq, poklepując psy.

— W przyszłym tygodniu ruszamy na front.

Eksterminacja świń rozpoczęła się cztery czy pięć lat wcześniej, a podjął ją rolnik o imieniu Sahudi wraz z pięcioma towarzyszami. Dzikie świnie pustoszyły przez miesiąc ich pola ryżowe i inne uprawy położone u stóp Wzgórza Ma Iyang. Kiedy zbliżały się zbiory, siedmioletni zaledwie synek Sahudiego zauważył dziką świnie za domem. Sahudi miał dość. Szybko zebrał towarzyszy i przygotował zasadzkę.

Wybrali noc pełni księżyca. Sześciu mężczyzn z wiatrówkami w rękach ukryło się parami na drzewach gujawy, pigwicy i śliwca w rogach pola. Czekali cierpliwie, a ogniki ich papierosów jarzyły się w ciemności. Mieli zamiar zastrzelić każdą świnie, która się napatoczy. Tuż przed świtem usłyszeli wreszcie pochrząkiwanie. Po kilku minutach w świetle księżyca pojawiło się zwierzę: i to nie jedno, ale dwa, które ruszyły na żyzne pole fasoli i kukurydzy.

Sahudi podniósł szybko wiatrówkę i wymierzył w świnie, którą miał jak na widelcu dzięki księżycowi. Wystrzelił, a razem z nim w to samo zwierzę wypaliły trzy inne strzelby. Świnia padła na ziemię z trzema dziurami w skroni. Pozostali rolnicy chcieli ustrzelić drugą, ale ta uciekła, spłoszona hukami wystrzałów i widokiem padającego na ziemię towarzysza. Czmychnęła, oczywiście tratując wszystko na swej drodze.

Sześciu mężczyzn zeskoczyło z drzew. Sahudi, widząc, że ustrzelona świnia jeszcze nie skończyła, wbił jej z całej siły w serce zaostrowany kołek, uwalniając jej duszę na zawsze. Ale coś dziwnego działo się ze ścierwem świni w świetle księżyca: sześciu chłopów nie wierzyło własnym oczom, gdy czarne, pokryte szczecina i błotem ciało przybrało nagle ludzką postać z trzema dziurami od kul w głowie i kołkiem wbitym w serce.

— Kurwa mać! — zaklął Sahudi. — Ta świnia zamieniła się w człowieka!

Wieść o tym niosła się od wioski do wioski, aż w końcu dotarła do miasta. Nikt nie rozpoznał trupa i nikt się po niego nie zgłosił, więc gnił w miejskiej kostnicy, aż w końcu zakopano go na cmentarzu komunalnym. Od tamtej pory nikt nie odważył się zabić żadnej świni, bo wszyscy byli przerażeni klątwą, która spadła na Sahudiego i jego pięciu towarzyszy: oszaleli jak jeden mąż.

Minęły cztery lata bez polowań na świnie, które rozbawiły się przez to okrutnie. Jediną nadzieją rolników było wojsko. Major Sadrah wysłał do lasu żołnierzy, ale ci wrócili do domów z ustrzelonym na kolację ptactwem i królikami, żaden nie zabił świni. Major Sadrah nie miał wyboru i zwrócił się o pomoc do Szodanczo, wiedząc, że tylko na niego może liczyć.

Ludzie czekali na przybycie Szodanczo. Tak jak przed dziesięcioma laty ustawili się przy poboczach drogi, machając chusteczkami i chorągiewkami, bo na własne oczy chcieli ujrzeć dawno niewidzianego bohatera. Na przód wysforowała się

dziatwa, zafascynowana postacią, o której bez przerwy opowiadali ojcowie i matki, dziadkowie i babki. Przyszli też weterani wojny rewolucyjnej w galowych mundurach jak na Dzień Niepodległości. Regularne wojsko oddało na cześć Szodanco salwę honorową z armat na plaży, a przy ulicy bębniła orkiestra szkolna.

W końcu pojawił się Szodanco, pieszo, nie na mule. Miał na sobie luźne szaty, a do tego wygoloną głowę. Był chudy jak zawsze i przypominał mnicha buddyjskiego. Strzegło go trzydziestu dwóch żołnierzy, którzy pozostali mu wierni, choć przez tydzień katował ich wyczerpującym fizycznie szkoleniem wojskowym, żeby stracili kilka niepotrzebnych kilogramów. Oprócz tego towarzyszyło im dziewięćdziesięciu sześciu ochotników: szarych, białych i rudych. *Ajaki* szły posłusznie za swym panem, zachwycone niezwykłym powitaniem w mieście. Major Sadrah wyszedł osobiście na spotkanie przyjaciela.

Uściskawszy Sadraha, który dorobił się pokaźnego brzucha, przez co wyglądał jak ciężarna kobieta, Szodanco zażartował okrutnie w stronę tłumy:

— Zdaje się, że już upolowałem prosię! Wierście mi, te psy będą miały co robić.

Oddział zatrzymał się w starej kwaterze głównej Szodanco, która pozostała wolna od czasów japońskiej okupacji, co było wyrazem szacunku dla bohatera. Następnego dnia, tak jak obiecał Szodanco, bez zbędnego hałasu i odpoczynku rozpoczęło się spektakularne polowanie. Każdy żołnierz zajmował się trzema psami, a Szodanco prowadził wszystkich z karabinem i kordem w rękę. Nie zasadzali się na świnię, tak jak zrobił to Sahudi z kolegami, tylko weszli w największą gęstwinę dżungli, w której gnieździły się dziki. Obudzone ze snu tłuste zwierzęta rozbiegły się w podskokach we wszystkie strony.

Tego dnia schwytali dwadzieścia sześć świń, następnego dwadzieścia jeden, a trzeciego dnia siedemnaście, co poważnie nadszarpięło liczebność świńskiej populacji. Niektóre dziki zastrzelono, inne zagoniono do przygotowanej naprędce zagrody na boisku piłkarskim w pobliżu kwatery głównej *shodanu*. Dziwne było to, że żadna z zabitych świń nie zamieniła się w człowieka. Były to zwykłe stare wieprze z kłami, ryjami i czarną szczeciną porastającą pokrytą błotem skórę. To ośmieliło rolników do wzięcia udziału w polowaniu czwartego dnia i od tamtej pory łowienie świń od czasu zbiorów do czasu sadzenia stało się coroczną tradycją.

Ludzie Szodanco rzucili zabite zwierzęta do chińskich restauracji, a te, które zachowano przy życiu, przysposobiono do walk na cześć triumfalnego zwycięstwa człowieka nad wieprzem. Świnie wystawiano w ringu przeciwko *ajakom*, a spragnieni rozrywki mieszkańcy Halimundy ochoczo uczestniczyli w widowisku. Szodanco kazał żołnierzom wybudować ring na boisku piłkarskim. Był to okrąg odgradzony długimi na trzy metry deskami. Na wysokości dwóch metrów wzniesiono także mocną trybunę ze skrzyżowanych pali bambusa. Na niej miała stanąć publiczność. Żeby wspiąć się na trybunę, ludzie używali drabiny strzeżonej przez dwóch żołnierzy, którzy sprawdzali bilety, kupowane u ślicznej dziewczyny

stojącej w pobliżu za stołem.

Walki świń zaczęły się w niedzielę po południu dwa tygodnie po powrocie Szodanco do miasta. Trwały przez sześć dni, aż zginęła ostatnia świnia. Wieprzowinę oddawano do chińskich restauracji. Widzowie schodzili się z najdalszych zakątków miasta i ustawiali w kolejce przed śliczną bileterką. Ci, którzy chcieli oglądać walki, lecz nie mieli pieniędzy na bilet, wdrapywali się na kokosowe palmy rosnące wokół boiska i obserwowali zmagania z góry. Ich kolorowe ubrania dziwnie się prezentowały na palmach, jakby kokosy nie rosły już w dobrze znanych odcieniach zieleni i brązu.

Walki świń były porywające. *Ajaki*, których Szodanco nie udomowił do końca, wykazywały się dziką zjadłością w osaczaniu wieprzy. Jedna świnia musiała stawić czoło pięciu albo sześciu *ajakom*, co było, rzecz jasna, niesprawiedliwe, ale wszyscy chcieli mieć pewność, że zwierzę padnie — nie chcieli równej walki, tylko masakry. Kiedy świnia rzucała się na jednego psa, reszta sfory atakowała, wgrzyzając się w świńskie ciało i rozrywając je na strzępy. Kiedy ofiara zaczynała tracić przytomność, żołnierz cucił ją wiadrem zimnej wody, by zmusić do dalszej walki. Wynik każdego spotkania był oczywisty: świnia zdychała, a jeden czy dwa *ajaki* lizały niezbyt poważne rany. Potem na ring wpuszczano kolejnego wieprza i sześć wypoczętych *ajaków*, gotowych rozerwać go na strzępy. Wszyscy widzowie wydawali się usatysfakcjonowani tym okrucieństwem, z wyjątkiem Szodanco, który niespodziewanie zachwyił się czymś zupełnie innym.

Wśród widzów na trybunie wypatrzył piękną młodą dziewczynę, która wydawała się zupełnie nieporuszona tym, że stoi w towarzystwie samych mężczyzn. Miała może z szesnaście lat i wyglądała jak anioł, który zstąpił na ziemię. Włosy upinała z tyłu głowy i przewiązywała ciemnozieloną wstążką, a Szodanco nawet z daleka widział cudownie przenikliwe spojrzenie jej oczu, kształtny nos i dosyć okrutny uśmiech. Jej skóra jaśniała bielą, jakby lśniła, a dziewczyna miała na sobie suknię koloru kości słoniowej, rozwiewaną przez popołudniowy wiatr. Wyjęła z kieszeni papierosa i zapaliła z nadzwyczajnym opanowaniem, przypatrując się przez cały czas walce. Szodanco przyglądał się jej, odkąd tylko wspięła się po drabinie, i wyglądało na to, że przyszła sama. Zaintrygowany, zwrócił się do stojącego obok majora Sadraha:

— Kim jest ta dziewczyna?

Podążywszy za jego wzrokiem, major Sadrah odpowiedział:

— Ma na imię Alamanda. Jest córką kurwy Dewi Ayu.

Po zakończeniu łowów na świnie Szodanco rozdzielił dziewięćdziesiąt sześć *ajaków* między mieszkańców Halimundy. Większość trafiła do rolników, by strzec ryżowych pól, a reszta w przypadkowe ręce. Tym, którzy nie dostali psów, Szodanco powiedział, żeby czekali cierpliwie, bo *ajaki* wkrótce się rozmnożą.

Halimunda będzie się roiła od psów — potomków tych pierwszych *ajaków*.

Szodanczo powinien był teraz wrócić do dżungli, tak jak pierwotnie zamierzał. Po przybyciu do miasta poinformował bowiem majora Sadraha, że zostanie w Halimundzie tylko do czasu zakończenia sprawy ze świniami. Ale odkąd ujrzał Alamandę na świńskiej arenie, nie mógł zmrużyć oka.

— To chyba miłość — tłumaczył sobie.

To właśnie miłość sprawiała, że drżał i zastanawiał się nad powodami, dla których mógłby zostać w mieście dłużej, a może już nigdy z niego nie wyjeżdżać.

Rozwiązanie pojawiło się samo, kiedy major Sadrah powiedział:

— Nie wyjeżdżaj, urządzamy kolejne festyny, żeby uświetnić nasze zwycięstwo.

Orkes melayu ³.

— Zostanę trochę dłużej z miłości do miasta — zgodził się szybko Szodanczo.

Ujrzał ją znów, tę dziewczynę, podczas występu *orkes melayu*, który odbywał się na tym samym boisku piłkarskim, choć tym razem nie sprzedawano biletów, toteż przyszło więcej ludzi. Zespół muzyczny przyjechał ze stolicy, przywożąc ze sobą śpiewaczki, których jednak nikt nie słyszał, ale nikogo to nie obeszło, bo muzyka i tak nadawała się do tańczenia. Młodzież z Halimundy kołysała się i wirowała dzięki malajskim rytmom i zapewne — w równej mierze — dzięki gorzałce.

Piosenki miały ckliwe teksty o złamanym sercu, nieodwzajemnionej miłości, która jest jak jedna klaszcząca dłoń, czy o mężowskich zdradach; ale choćby nie wiem jak tragiczna byłaby wymowa utworów, śpiewaczki nie płakały, przeciwnie, uśmiechały się, a nawet rechotały w seksownym makijażu, po czym odwracały się tyłem do publiczności i potrząsały tyłkami. Po oklaskach dla tyłków znów stawały przodem, przykucając nieco, a ludzie bili brawo jeszcze mocniej, bo śpiewaczki miały krótkie spódniczki i zebrani mogli ujrzeć to, co mieli zobaczyć. Ta szczególnie mieszanina muzyki, sentymentalizmu i zmysłowości sprawiła, że wszyscy byli nad wyraz uradowani z występu i wieczoru.

Szodanczo znów ujrzał przechadzającą się samotnie Alamandę. Tym razem miała na sobie dzinsy i skórzaną kurtkę, no i oczywiście papierosa między najśłodszyimi wargami. Szodanczo dziękował z całego serca Opatrzności, że wyszedł z dżungli i spotkał prawdziwego żywego anioła w swoim ukochanym mieście. Alamanda nie kołysała się przed sceną. Stała między straganami z jedzeniem, rozrzuconymi po całym boisku, i przyglądała się wszystkiemu. Nie mogąc się oprzeć jej urodzie, Szodanczo postanowił podejść do dziewczyny. Jego sława sprawiła, że nie było to łatwe, po drodze musiał bowiem odpowiadać na niezliczone przyjacielskie powitania, ale w końcu znalazła się przed nim, albo to on znalazł się przed nią, i mógł podziwiać z bliska jej oszałamiającą urodę. Spróbował się uśmiechnąć, lecz Alamanda obrzuciła go tylko obojętnym spojrzeniem.

— Nie jest dobrze — zagaił Szodanczo towarzyską pogawędkę — kiedy młoda kobieta spaceruje sama po nocy.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie bądź głupi, Szodanczo, włóczę się tu z setkami innych ludzi.

I w tym momencie okręciła się na pięcie i odeszła bez słowa. Szodanczo zamarł z niedowierzania. Ta nedorzeczna wymiana zdań była straszniejsza od jakiegokolwiek bitwy, w której brał udział. Odwrócił się i ruszył przed siebie, a jego ciało i dusza cierpiały z bezsilności.

Czy istnieje jakaś partyzancka strategia na zdobycie miłości? — pytał sam siebie w krótkim lamencie.

Usiłował o niej zapomnieć, ale im bardziej się starał, tym częściej prześladowała go ta po trosze japońska, po trosze holenderska i po trosze indonezyjska twarz. Próbował znaleźć powody, dla których nie powinien jej kochać. Pomyśl tylko — mówił do siebie tuż przed zaśnięciem (choć doskonale wiedział, że już nigdy nie zaśnie spokojnie) — ta dziewczyna urodziła się zapewne w tym samym roku, w którym zostałeś *shodancho* i zawiązałeś powstańczy spisek. Jesteś od niej starszy o dwadzieścia lat, a teraz ty, żołnierz, który został mianowany głównodowodzącym i awansowany do stopnia generała przez pierwszego prezydenta Republiki Indonezji, ulegasz szesnastolatce... Czuł coraz większy ból i coraz bardziej się zapadał w tę beznadziejną miłość.

Obudziwszy się pewnego ranka, poprzysiągł sobie, że na zawsze zostanie w Halimundzie, a Alamanda będzie jego żoną.

Ale nie powiedział tego swoim trzydziestu dwóm wiernym żołnierzom, którzy czekali na jego rozkazy, aż w końcu Tino Sidiq zapytał:

— Kiedy wracamy, Szodanczo?

— Dokąd?

— Do dżungli, gdzie mieszkaliśmy przez dziesięć ostatnich lat.

— Powrót do dżungli nie jest żadnym powrotem — oznajmił Szodanczo. — Ty, ja i wszyscy inni urodziliśmy się tutaj, w tym mieście, w Halimundzie. I tu wróciliśmy.

— Więc nie planujesz wracać do dżungli, Szodanczo?

— Nie.

Udowodnił to, zawieszając na starej kwaterze *shodanu* tablicę z napisem: „Okręg Wojskowy Halimunda”. Majorowi Sadrahowi, który pojawił się natychmiast, jak tylko usłyszał o decyzji Szodanczo o pozostaniu w mieście oraz o spontanicznym powołaniu do życia Okręgu Wojskowego, powiedział krótko:

— Melduję się na rozkaz, dowódca Okręgu Wojskowego, wierny przysiędze żołnierskiej i podwładnym. Oczekuję dalszych rozkazów.

— Nie bądź głupi. Jesteś generałem i twoje miejsce jest przy prezydencie.

— Dopóki mogę zostać w tym mieście obok dziewczyny, której imię poznałem dzięki tobie — odpowiedział łamiącym się głosem — będę kimkolwiek lub czymkolwiek zechcesz, nawet jeśli musiałbym zamienić się w psa.

Sadrah spojrział na przyjaciela litościwie. Po krótkim wahaniu powiedział:
— Ta dziewczyna ma już narzeczonego. — Nie mógł patrzeć na twarz Szodanczo, więc odwrócił głowę. — To młodzieniec o imieniu Kliwon.
Wiedział, że jego słowa przebiją Szodanczo serce.

1. Indonezyjskie siły zbrojne w czasie II wojny światowej. [↵](#)
2. Postacie z *Mahabharaty*. [↵](#)
3. „Malajska orkiestra”, gatunek muzyki ludowej z Sumatry. [↵](#)

NIKT NIE WIEDZIAŁ, w jaki sposób towarzysz Kliwon został młodym komunistą, bo choć nigdy nie należał do bogaczy, zawsze był hedonistą. Prawdziwym komunistą i wielkim agitorem był natomiast jego ojciec. Zdołał uniknąć zesłania do Boven-Digoel przez władze kolonialne i pozostawał na wolności przez pewien czas, aż w końcu rozstrzelali go Japończycy, bo mieszał się nieustannie do ich spraw i pisał ulotki, co uświadomiło Kempeitai, że ma do czynienia z komunistycznym wywrotowcem. Mimo to nic nie wskazywało, że Kliwon pójdzie w ślady ojca. Co prawda był dobrym uczniem i nawet przeskoczył dwie klasy, ale mógł zostać kimkolwiek, zamiast komunistą.

W gruncie rzeczy sprawiał wrażenie syna marnotrawnego, a nie zdyscyplinowanego młodego działacza. Stał na czele grasującego w dzielnicy gangu, który dla draki kradł wszystko, co wpadło im w ręce: kokosy, drewno na opał czy garście ziaren kakao, pożerane na miejscu. W wigilię Eid ¹ kradli i piekli kurczaka, a następnego dnia błagali właściciela drobiu o wybaczenie. Zazwyczaj nie wyrządzali zbyt wielkich szkód, więc pozwalano im hulać dalej, choć parę osób chodziło na skargę. Kiedy puściły im się wasy, wszyscy wiedzieli, że poszli do burdelu. Żeby na to zarobić, wypływali w morze albo pomagali rybakom wciągać sieci i kiedy tylko uciuli jakiś grosz, biegli szukać kurwy. Czasem jednak nie mieli pieniędzy, a przez odwiedziny w burdelu odwykli od panowania nad żądzą.

Kliwon był sprytny, a czasem jego sposób myślenia bywał naprawdę zaskakujący, jeśli nie zgoła szalony. Pewnego razu zaprowadził do burdelu trzech przyjaciół i na zmianę szli z prostytutką do łóżka. Kurwa zachęcała ich, żeby wchodzili do łóżka parami, bo — jak mówiła — ma dziurę z przodu i z tyłu. Ale żaden z nich nie chciał korzystać z otworu z tyłu, więc spali z nią pojedynczo. Kliwon okazał się niesamolubnym przywódcą, bo pozwolił przyjaciołom najpierw skorzystać z kobiety i wziął ją jako ostatni. Kiedy seks dobiegł końca, prostytutka przekonała się z przykrością, że żaden z tych chłopaków nie ma zamiaru jej zapłacić. Wybiegli przez drzwi i zniknęli.

— Zapytałem ją, czy seks z nami sprawił jej przyjemność — opowiadał o tym Kliwon w piwnym ogródku kilka dni później. — Odpowiedziała, że tak. Więc jeśli było jej tak samo przyjemnie jak nam, to za co mielibyśmy jej płacić?

Ludziom często podobały się opowiadane przez niego historie.

Jego matka, Mina, bojąc się, że spotka go taki sam los jak ojca, próbowała go odseparować od pomyślonych marksistowskich pomysłów i wszystkiego, co się z nimi wiąże. Nie przejmowała się tym, co robi syn, pod warunkiem że nie zajmuje się komunizmem. Wysyłała go do kina i na koncerty muzyczne, pozwalała mu się

upijać w piwnym ogródku i kupować płyty, i była najszcześliwsza, kiedy spotykał się z wieloma dziewczętami. Wiedziała, że syn sypia z większością z nich, a pozostałe błagają o to, ale tym też się nie przejmowała. Z jej punktu widzenia wszystko było lepsze od przyglądania się, jak staje przed plutonem egzekucyjnym za komunizm.

— A jeśli nawet zostanie komunistą — mawiała — wolę, żeby był szczęśliwym komunistą.

Jej długoletnie małżeństwo oraz znajomość z towarzyszami męża doprowadziły ją do przekonania, że komuniści są zawsze posępni, zamyśleni i nie potrafią się bawić. Zatem przez cały ten trudny okres — japońską okupację i wojnę rewolucyjną — pozwalała Kliwonowi na nieustanną zabawę.

W siedemnastej wiosnie życia ten ulubieniec miasta miał przed sobą znakomitą przyszłość. Chodził w poszerzanych spodniach, ciemnej marynarce i lśniących od pasty lakierkach. Dziewczęta wychodziły z domów, by sunąć za nim krok w krok niczym ślubny welon, a młodzi mężczyźni ciągnęli za dziewczętami miarowym krokiem. Dziewczęta zakochiwały się w nim i zasypywały go prezentami, gromadzącymi się w domu jak na śmietniku. Nie mając innych zmartwień, młodzi wydawali przyjęcia niemal każdego dnia. Przyjaciele uwielbiali go, bo nigdy nie trzymał dziewczyn tylko dla siebie. I tak właśnie żyli. W tamtych latach Kliwon i jego banda wiedli zapewne najszcześliwsze życie z wszystkich ludzi w mieście.

Kliwon słyszał o sławnej prostytutce Dewi Ayu i jeśli cokolwiek zakłócało jego szczęście, to fakt, że do siedemnastego roku życia nie spał jeszcze z kurwą, o której wszyscy mówili. Próbował parę razy, ale Dewi Ayu każdej nocy sypiała tylko z jednym mężczyzną, a on zawsze się spóźniał i zastawał kolejkę chętnych. Lub też, jeśli zjawił się akurat o czasie, wypychano go z kolejki, bo inni mieli więcej pieniędzy: Mama Kalong zawsze wybierała takiego, który mógł płacić hojnie. Przez cały ten czas Kliwon nie myślał o niczym innym, tylko o wejściu do jej sypialni, a obraz ten dręczył go tak piekielnie, że sypiając z innymi dziewczynami, wyobrażał sobie, że bierze Dewi Ayu, którą widział zaledwie kilka razy w mieście.

Dewi Ayu uświadomiła mu mimowiednie, że nie każda kobieta na tym świecie musi za nim szaleć. Bo do tej pory zerkały na niego pożądliwie wszystkie, nawet mężatki i wdowy, które — choć nie tak otwarcie jak młode pannice, podążające za nim krok w krok — marzyły o tym, żeby sprowadzić go do swojej sypialni. Spał z niektórymi, więc wydawało mu się, że będzie mógł spać z każdą, z którą zechce. Z wyjątkiem Dewi Ayu. Był przekonany, że tylko ona nie jest w nim zadurzona, wręcz przeciwnie — to on będzie musiał płacić, jeśli go zechce. Zaczął się zastanawiać nad sposobem, w jaki mógłby się dostać do jej łóżka — nie na długo, nawet mniej niż pięć minut w zupełności by mu wystarczyło. Tak właściwie to usatysfakcjonowałoby go nawet muśnięcie jej ciała. Postanowił więc, że odwiedzi ją w domu, na co — był pewny — nie zdobył się żaden inny mężczyzna.

Kliwon lubił muzykę i nieźle grał na gitarze — miał w każdym razie spory repertuar *keroncong* i innych ckliwych piosenek miłosnych, którymi bawił przyjaciół. Pewnej niedzieli wyruszył sam pod dom Dewi Ayu przebrany za ulicznego grajka, z gitarą pod pachą. Robił tak już wiele razy, a młode dziewczęta szalały, gdy śpiewał im piosenki pod oknami sypialni. Teraz stanął pod drzwiami domu Dewi Ayu i szarpnął struny gitary, po czym zaśpiewał charakterystycznym falsetem.

Na kurwie najwyraźniej nie zrobiło to żadnego wrażenia, bo wykonał, stojąc pod drzwiami, aż pięć piosenek i nikt mu nie otworzył. Słyszał, jak ludzie mówili, że Dewi Ayu mieszka z trzema nastoletnimi córkami oraz dwojgiem służących, i wszyscy oni są dosyć uprzejmi. Zapamiętawszy sobie tę uprzejmość, stał pod drzwiami jak przymurowany i odśpiewał dziesięć całych piosenek, aż zaschło mu gardle. Potem, a minęła pełna godzina, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł krople potu z czoła i karku. Rozbolały go już nogi, ale nic nie wskazywało na to, że pani domu ma zamiar podejść do drzwi. Położył więc gitarę na ogrodowym stole i usiadł na chwilę na krześle, z gorąca miał przed oczami gwiazdy, ale nie chciał dać za wygraną.

Okazało się, że przerwa w recitalu była dla pani domu bardziej interesująca niż sama muzyka. Nieoczekiwanie otworzyły się drzwi i wyszła przez nie dziewczynka, może ośmioletnia, która przyniosła mu szklanekę zimnej lemoniady. Postawiła ją na stole obok gitary.

— Możesz śpiewać na naszym podwórku tak długo, jak ci się spodoba — powiedziała. — Ale pewnie chce ci się pić.

Kliwon zerwał się gwałtownie i stał, nie wiedząc, co z sobą począć. Nie z powodu słów dziewczynki, ani nawet zimnej lemoniady, ale na widok tak uroczej małej nimfy, która się przed nim zjawiała. Nigdy nie widział równie pięknego dziecka, choć zobaczył przecież jego matkę. Nie miał pojęcia, z jakiego materiału Bóg stworzył tę istotkę, bo wydawało mu się, że widzi promieniujące z jej ciała światło. Widok ten sprawił, że zadrżał o wiele gwałtowniej niż przez całą godzinę stania i śpiewania pod drzwiami, zza których nie doczekał się żadnej reakcji. Drżącymi wargami wyjąkał:

— Jak masz na imię?

— Alamanda. Jestem córką Dewi Ayu.

To imię uderzyło go jak młotem. Odszedł, niosąc gitarę, ogłuszony i zdezorientowany. Oglądał się parę razy za siebie, żeby spojrzeć na to zjawisko, ale zaraz odwracał wzrok, jakby nie mógł znieść widoku takiego piękna. Doszedł do furtki w bramie, kiedy dziewczynka zawołała do niego:

— Wypij, zanim odejdziesz! Na pewno jesteś spragniony.

Kliwon, jak zahipnotyzowany, odwrócił się posłusznie i podążył z powrotem ku werandzie, na której podniósł szklanekę zimnej lemoniady, a dziewczynka

uśmiechnęła się do niego ciepło.

— Wypiję, ponieważ to ty ją dla mnie przyrządziłaś, mała panienko — powiedział.

— Mylisz się. To nie ja. Przyrządziła ją dla ciebie nasza służąca.

Od tamtej pory Kliwon nie pamiętał już o pragnieniu przespania się z kurwą Dewi Ayu. Ta mała piękność przesłoniła wszystko inne, niszcząc jego codzienne życie i zapewne przyszłość. W dniach po tym krótkim spotkaniu wszystko uległo zmianie. Przeganiał każdą dziewczynę, która chciała się do niego zbliżyć, odmawiał uczestnictwa w przyjęciach, wolał siedzieć w domu i rozmyślać nad żalonym losem, jaki stał się jego udziałem: był Don Juanem, który padł na kolana przed ośmioletnim dzieckiem. Tak to właśnie wyglądało, choć nikt nie wiedział, co mu się stało. Żaden z jego przyjaciół nie usłyszał o niedzielnej wizycie pod domem Dewi Ayu, więc nikt nie ośmielił się zgadywać przyczyny wycofania się Kliwona z życia. Zaniepokoiła się tym jego matka, która nigdy dotąd nie widziała syna tak przygnębionego.

— Zostałeś komunistą? — zapytała go niemal z rozpaczą w głosie. — Tylko komuniści są tacy posępni.

— Zakochałem się — odpowiedział matce Kliwon.

— To jeszcze gorzej! — Usiadła obok syna i pogłaskała go po kręcących się, coraz dłuższych włosach. — Idź i zagraj na gitarze pod jej oknem, tak jak zwykleś to robić.

— Zagrałem już, żeby uwieść jej matkę — odparł Kliwon, niemal zalewając się łzami. — Nie uwiodłem matki, ale ni z tego, ni z owego zakochałem się w córce, której nigdy nie będę miał.

— Dlaczego nie? Chcesz mi powiedzieć, że jest jakaś dziewczyna, która cię nie chce?

— Może tylko ta jedna — odrzekł Kliwon, rzucając się na kolana matki jak mały chłopiec. — Ma na imię Alamanda. I jeśli, żeby ją zdobyć, przyjdzie mi zostać komunistą, wzniecić rewolucję i stanąć przed plutonem egzekucyjnym jak tata i towarzysz Salim, zrobię to.

— Opowiedz mi o niej — poprosiła go Mina, przerażona determinacją syna.

— W tym mieście, a może i w całym wszechświecie nie ma nikogo piękniejszego. Jest piękniejsza od księżniczki Rengganis, która poślubiła psa, tak mi się przynajmniej wydaje. Jest piękniejsza od królowej Mórz Południowych. Jest piękniejsza od Heleny, z której powodu wybuchła wojna trojańska. Jest piękniejsza od Dii Pitaloka, z której powodu wybuchła wojna między Majapahitami a Pajajaranami. Jest piękniejsza od Julii, dla której zabił się Romeo. Jest piękniejsza niż ktokolwiek. Całe jej ciało lśni, włosy świecą jak świeżo wypolerowane lakierki, twarz ma miękką i gładką jak z wosku, a jej uśmiech magnetyzuje wszystko wokół.

— Byłbyś doskonałym kawalerem dla takiej dziewczyny — powiedziała

pocieszająco matka.

— Problem w tym, że jeszcze nie urosły jej piersi ani włosy łonowe. Ma dopiero osiem lat, mamó.

Owładnięty cierpieniem Kliwon znajdował pocieszenie w pisaniu listów do ukochanej, których nigdy nie wysyłał. Przez wiele dni starał się ułożyć miłosne wyznanie odpowiednie, jego zdaniem, dla ośmiolatki, ale wszystkie próby łądowały podarte w koszu, gdyż pisząc do dziecka, nie mógł odpowiednio wyrazić swej namiętności. Potem próbował przelać na papier całą zawartość serca, ale nie wiedział, czy dziewczynka zdoła pojąć to, co do niej napisał. W końcu się poddał.

W tamtym czasie Kliwon skończył szkołę, dwa lata przed równolatkami. Dlatego gdy pozostali wyjeżdżali do kolejnych szkół lub szli do pracy, Kliwon podążył za miłością. Każdego ranka wymykał się z domu i stał pod bramą Dewi Ayu, ale nigdy jej nie przekroczył. Czekał, aż w drzwiach domu pojawi się Alamanda w szkolnym mundurku, z tornistrem na plecach, a za nią jej młodsza siostra Adinda. Wtedy zbliżał się do nich i proponował, że odprowadzi je obie do szkoły.

— Jak chcesz — mówiła Alamanda. — Ale nie wiń mnie, jeśli się zmęczysz.

Robił tak każdego ranka. Podczas przerwy w lekcjach stał pod pigwicą przed jej klasą, żeby przyglądać się, jak się bawi z przyjaciółkami. Gdy lekcje dobiegały końca, czekał już na nią przy bramie i odprowadzał ją z powrotem do domu. Kiedy siedziała w szkole albo wróciła z niej wcześniej do domu, Kliwon znów wpadał w przygnębiecie. Całe jego ciało kurczyło się i chodził bez celu po ulicach.

— Nie masz nic lepszego do roboty, oprócz chodzenia z nami? — zapytała go kiedyś Alamanda.

— Mówisz tak, bo nie wiesz jeszcze, co to znaczy zakochać się w kimś — odpowiedział.

— Sprzedawcy zabawek też włóczę się wszędzie za dziećmi — mruknęła Alamanda. — Chyba nie wiedziałam, że są zakochani.

To dziecko terroryzowało go i przyprawiało o dreszcze, jakby spotkał na swej drodze demona. Nocami śnił o niej, ale jego sny były koszmarami, bo zrywał się z nich zeszywniały, pokryty potem, chwytając łapczywie powietrze. Po pewnym czasie ich dosyć chłodny związek, ograniczający się do spacerów do szkoły i ze szkoły, dotknął kryzys. Kliwon nie mógł spędzić tak reszty życia i któregoś dnia jego tknięty gorączką organizm nie wytrzymał. Po raz pierwszy nie zdołał odprowadzić dziewczynki do szkoły, choć bardzo się starał. Ale nie doszedł dalej niż do własnych drzwi frontowych. Mina zaciągnęła syna z powrotem do łóżka i przyłożyła mu chłodny kompres do czoła, śpiewając przy tym kojące kołysanki, jak wtedy, kiedy chorował w dzieciństwie.

— Bądź cierpliwy — poradziła. — Za siedem lat będzie na tyle duża, żeby cię pokochać.

— Problem w tym — odpowiedział Kliwon słabym głosem — że zanim

nadejście ten dzień, umrę z nieodwzajemnionej miłości.

Matka poszła porozmawiać z kilkoma *dukunami*, którzy przepisali zaklęcia i mantry na ślepą miłość. Mina nie chciała takich zaklęć ani mantr — Kliwon oszalałby do reszty, dowiedziawszy się, że dziewczynka go pokochała za sprawą *dukuna* — szukała czegoś, co ukołoby namiętność wyniszczającą syna.

— Nie ma takich zaklęć, nigdy nie było — powiedział jej ostatni *dukun*, choć wszyscy *dukuni* przed nim mówili dokładnie to samo.

— Więc co mam zrobić?

— Zaczekaj, aż wszystko się wyjaśni: albo zdobędzie jej miłość, albo pęknie mu serce.

Kiedy Kliwon doszedł trochę do siebie, Mina spróbowała innego tradycyjnego remedium, aby go rozweselić: zabrała go na spacer na plażę, po którym usiedli w pobliskim parku, karmiąc małpy i jelenie. Rozpieszczała Kliwona jak sześciolatek i zmuszała do rozmowy o wszystkim, tylko nie o Alamandzie.

Wcześniej opowiedziała o tragedii syna jego przyjaciółom, w nadziei, że mu pomogą. Zapraszano go znów na przyjęcia i zachęcano, by zabrał ze sobą gitarę i śpiewał. Koledzy wyciągali chłopaka na ulice, żeby kraść kury z kurników i ryby z cudzych stawów; zabierali w góry na nocne ogniska. Dziewczyny zaczęły go ponownie uwodzić, a jedna z nich zaciągnęła nawet do namiotu, rozebrała do naga i zmusiła jego kutasa, żeby stanął. Chciał się z nią kochać, ale to nie przywołało dawnego Kliwona. Stracił poczucie humoru, zawadiacką minę, stracił nawet popęd, który wcześniej gnał go na każdy dostępny materac.

Nic nie pomagało i dobrze o tym wiedział. Został przeklęty, by cierpieć, i tylko miłość tej małej dziewczynki mogła go uleczyć. Żałował, że nie może jej porwać i wywieźć hen daleko do jakiegoś sekretnego miejsca, może nawet w samym środku dżungli. Mogliby mieszkać tam razem w jaskini albo w dolinie i hodować dzikie kozy. Zajmowałby się nią, opiekował i spełniał jej zachcianki. Wychowałby ją na młodą damę i z czasem zasłużył na jej miłość.

Opuścił przyjaciół i znów zaczął na nią czekać przed domem każdego ranka. Dziewczynka była zaskoczona, widząc go ponownie po tak długim czasie.

— Jak się miewasz? — zapytała. — Słyszałam, że byłeś chory.

— Ta. Chory z miłości.

— Czy miłość jest jak malaria?

— Gorzej.

Alamanda zadrżała, a potem podała rękę siostrzyczce i obie ruszyły do szkoły. Kliwon poszedł za nimi, dogonił ją i szedł obok przybity, aż w końcu zapytał:

— Słuchaj, moja mała, czy ty mnie pokochasz?

Alamanda przystanęła, spojrzała na niego i pokręciła głową.

— Dlaczego nie? — dociekał zrozpaczony Kliwon.

— Bo sam przed chwilą powiedziałeś, że miłość jest gorsza od malarii.

Dziewczynki poszły dalej, trzymając się za ręce. Alamanda zostawiła Kliwona po raz drugi, a on natychmiast zapadł na kolejną gorączkę.

Kiedy Kliwon miał trzynaście lat, w ich domu zjawił się pewien starzec, który wygłosił przedziwne życzenie:

— Pozwólcie mi tutaj umrzeć.

Matka nie mogła odmówić takiej prośbie, więc zaprosiła mężczyznę do domu i dała mu pić. Kliwon nie miał pojęcia, dlaczego stary chce dokonać żywota w ich domu, może miał zamiar umrzeć z głodu, bo wyglądał tak, jakby od dawna nic nie jadł. Kiedy Mina poczęstowała go czymś ciepłym, jadł tak łapczywie, jakby wcale nie chciał trwać w swoim postanowieniu. Pochłonał wszystko, co mu podano, przeżuł nawet rybie ości i niczego nie zostawił. Beknął ukontentowany, a potem otworzył usta i zapytał:

— Gdzie jest towarzysz?

— Rozstrzelali go Japończycy — odpowiedziała sucho matka.

— A ten chłopak? — zapytał gość. — To syn, którego z nim miałaś?

— Oczywiście — mruknęła lakonicznie mama. — Z pewnością nie miałam go z dziką świnią.

Gość miał na imię Salim. Mina najwyraźniej nie była uradowana z jego przyścia, ale on upierał się, że z nimi zostanie.

— Mogę mieszkać w wychodku i jeść otręby dla kur, ale proszę, pozwól mi tu umrzeć.

Kliwon próbował przekonać matkę, że lepiej będzie, jeśli stary umrze u nich niż w przydrożnym rowie. W końcu matka oddała Salimowi nieużywany przez nikogo gościnny pokój od frontu, a Kliwon obiecał, że będzie przynosił mu jedzenie, póki nie umrze.

Nie był włóczęgą. Kiedy zdjął buty, Kliwon ujrzał jego poranione stopy.

— Jesteś zbiegiem? — zapytał.

— Tak. Jutro przyjdą mnie zabić.

— Dlaczego? Ukradłeś coś komuś?

— Okradłem Republikę Indonezji.

Ta rozmowa była początkiem ich przyjaźni. Salim dał chłopcu kaszkiet, który dostał w Rosji. Wyjaśnił Kliwonowi, że wszyscy rosyjscy robotnicy noszą takie kaszkiety. Salim odwiedził wiele krajów, jak mówił, od roku 1926.

— Ale nie byłeś tam na wakacjach? — dopytywał się Kliwon.

— Masz rację. Wszędzie byłem zbiegiem.

— Kogo wtedy okradłeś?

— Holenderskie Indie Wschodnie.

Salim był komunistą starej daty i wywrotowcem, jednym z niewielu uczniów holenderskiego komunisty Sneevlieta, i miał przydomek towarzysz Salim.

Przyznał, że znał dobrze Semauna ² i był członkiem Komunistycznej Partii Indonezji od chwili jej powstania. W Semarang każdego ranka przynosił ciepłe mleko chorującemu na gruźlicę Tan Malace ³. Partai Komunis Indonesia (PKI) była pierwszą organizacją używającą nazwy „Indonezja”, mówił z dumą. I jako pierwsza, dodał, przeciwstawiła się rządowi kolonialnemu. Administracja Holenderskich Indii Wschodnich nie znosiła komunistów, na długo zanim podjęli jakiekolwiek działania wywrotowe. Sneevliet został deportowany w roku 1919, jego rodaka Semauna wygnano cztery lata później, rok po Tan Malace. Inni działacze, w tym towarzysz Salim, spakowali dobytek i czekali na deportację lub pobyt w więzieniu.

Jak się okazało, rząd kolonialny postanowił pojmać go w styczniu 1926 roku. Niewątpliwie dowiedziano się o działaniach rewolucyjnych, o których dyskutowano miesiąc wcześniej w Prambananie. Salim nie trafił do więzienia, bo zdołał zbiec do Singapuru wraz z kilkoma innymi. Wtedy po raz pierwszy wyruszył w drogę, choć nie był wędrowcem.

— Jeśli ktoś ci mówi, że jest komunistą, ale nie chce rewolucji — tłumaczył Kliwonowi — nie wierz mu, że jest prawdziwym komunistą.

Leżał na łóżku w bardzo dziwny sposób: całkiem nagi. Zdjął z siebie wszystkie brudne, cuchnące zgnilizną rzeczy, a choć Kliwon proponował mu wspaniałomyślnie stare odzienie ojca, Salim odmówił. Początkowo Kliwon czuł się niezręcznie, ale w końcu usiadł na krześle pod drzwiami i patrzył na starego gołego mężczyznę najspokojniejszym w świecie wzrokiem.

— Chcę umrzeć bez niczego — tłumaczył towarzysz Salim. — Boję się, że mnie zastrzelą, zanim się obudzę.

— Jeśli tak, to staraj się nie zasnąć — odrzekł Kliwon. — Kiedy umrzesz, będziesz spał do woli. Przez wieczność.

Miał rację, więc Salim usiłował nie zamykać oczu, choć, jak domyślał się Kliwon, był wyczerpany. Żeby mieć pewność, że nie uśnie, towarzysz Salim mówił nieustannie, czasem perorował bez sensu, a po chwili brzmiał tak, jakby deklamował mowę pogrzebową. Kliwon uznał, że majączy. Stary powiedział, że jest bardzo blisko z prezydentem republiki. Mieszkali w tej samej dzielnicy w Surabai, uczyli się u tego samego nauczyciela i czasem zakochiwali w tej samej kobiecie. Później, kiedy Salim wrócił do domu po pierwszej ucieczce z kraju i długim pobycie w Moskwie, znów zaprzyjaźnił się z prezydentem. Padli sobie w ramiona, a do oczu napłynęły im łzy radości.

— Możesz mi nie wierzyć, ale kiedyś przeczytasz o tym wszystkim w gazetach — mówił. — Teraz ten sam człowiek nasyła wojsko, żeby mnie zabiło.

— Dlaczego? — zapytał Kliwon.

— Tak się dzieje, kiedy kradniesz coś, co należy do kogoś innego — odparł towarzysz Salim.

— Kogo jeszcze okradłeś?

— Już ci mówiłem: Republikę Indonezji.

Wahanie, ciągnął, było źródłem niepowodzenia rewolucji komunistycznej z roku 1926. Spotkał się z Tanem Malaką w Singapurze po pierwszej ucieczce, żeby omówić strategię. Tan Malaka stanowczo sprzeciwiał się idei rewolucji, bo, jak uważał, komuniści nie byli na nią gotowi. Pojechał więc do Moskwy, żeby poznać stanowisko Kominternu, ale Komintern zakazał wywoływania rewolucji jeszcze bardziej stanowczo.

— Towarzysz Stalin trzymał mnie przez trzy miesiące — mówił — żeby mnie doindoktrynować.

Ale myśl o rewolucji nie opuszczała go. Gdy pozwolono mu wyjechać z Moskwy, wrócił do Singapuru z zamiarem wzniesienia rewolucji, nawet gdyby nikt go nie poparł, nawet gdyby musiał to zrobić po partyzancku. Okazało się jednak, że rewolucja już wybuchła i zakończyła się niepowodzeniem. Rząd kolonialny doprowadził do rozwiązania partii i zakazał jej wszelkiej działalności. Większość działaczy trafiła do więzienia albo do Boven-Digoel. Jak na ironię, Komintern poparł wtedy ideę rewolucji, ale ten żart pojawił się zbyt późno.

— Ściągnęli mnie z powrotem do Moskwy — powiedział. — Do szkoły.

Wyjaśnił, że był jeszcze czas na kolejną rewolucję przy następnej okazji, zapewniającej większe powodzenie. Doszły do niego złe wieści: niektórzy komuniści po zesłaniu do Boven-Digoel poddali się i poszli na kolaborację z rządem kolonialnym. Ci, którzy trwali przy swoich przekonaniach, byli zsyłani jeszcze dalej, do miejsc, w których bezlitośnie dziesiątkowała ich malaria.

Wstał, bo musiał iść do toalety, a Kliwon pospiesznie okrył go sarongiem, mówiąc:

— Matka będzie krzyczeć wniebogłosy, jeśli zobaczy, że chodzisz goły po domu.

Towarzysz Salim pozwolił się okryć, ale odpowiedział:

— Co za różnica, jutro zobaczy mnie gołego i martwego.

Kontynuowali pogawędkę na werandzie, na której towarzysz Salim siedział w samym sarongu. Z werandy widać było połać czarnego oceanu nakrapianego światełkami rybackich latarni, słyszeli szum spokojnych fal. Chłopak zapytał, o co walczą komuniści, a towarzysz Salim odpowiedział:

— O niebo.

Kiedy wybiła północ, zobaczyli przejeżdżającą obok domu ciężarówkę wypełnioną żołnierzami KNIL, ale żołnierze nie zauważyli chłopca i starca rozmawiających na nieoświetlonej werandzie.

— Świat się zmienia — powiedział towarzysz Salim. — Przez setki lat ponad połowę globu kontrolowały kraje europejskie, a świat pełen był kolonii. Europejczycy wysysali z kolonii wszystko, co wpadło im w ręce, zawozili do domu i robili się coraz bogatsi. Tylko Niemcy i Japonia nie miały kolonii i nic nie dostały. Ale stały się potęgami jak większość rozwiniętych krajów i zażywały

udziałów. To leży u podstaw wojny, każdej wojny między chciwymi narodami. — Towarzysz Salim poprosił o papierosa, a Kliwon pobiegł do swojego pokoju po tytoń. — Tubylcy to najżałośniejszy lud, najnędnieszy ze wszystkich. Po tylu wiekach pod panowaniem radzów, okłamywania przez królów, pojawili się Europejczycy, którzy nie rozumieli nawet rozbudowanej do granic szaleństwa hierarchii godności i poważania wciąż żywej na Jawie. Rolnicy, których zaprzężono do pracy i zmuszono do oddawania większości zbiorów rządowi kolonialnemu, nadal kłaniają się na ulicach młodym Holenderkom. Komunizm zrodził się z pięknego marzenia — takiego, jakiego nie będzie już na tej ziemi: przepadną napełniające własne kałduny nieroby; napełniające je kosztem innych, tych, którzy ciężko pracują i głodują.

Kliwon zapytał, czy rewolucja to jedyny sposób na spełnienie tego pięknego marzenia.

— Prawdą jest — odrzekł towarzysz Salim — że prześladowani mają tylko jeden instrument oporu: wpaść w szal. Jeśli mam być szczery, rewolucja to nic innego jak kolektywny szal, organizowany przez jedną partię. Jedynym powodem rewolucji komunistycznej jest to, że burżuazja nigdy się nie zgodzi na pokojowe negocjacje. Nigdy nie odda władzy bez walki, nigdy nie pozbędzie się dobrowolnie bogactw i nigdy sama z siebie nie wyrzeknie się wygodnego życia. Nie chcą się dzielić, bo wówczas nikt nie przygotowałby i nie podał im kawy, nikt nie uprałby im ubrań, nikt nie naprawiłby ich maszyn, nikt nie zebrałby ich ziaren kakao. W komunizmie wszyscy będą mieli prawo nic nie robić i możliwość, żeby pracować. Burżuazja tego nie chce, więc jedynym wyjściem jest rewolucja.

Salim wrócił do kraju kilka dni przed świętem Dnia Niepodległości. Republika istniała już od trzech lat, ale Holendrzy nadal byli wszędzie. Co gorsza, republika przegrała każdą wojnę i negocjacje, więc kontrolowała jedynie niewielki obszar w środku wyspy. Spotkał się z prezydentem, starym druhem, który natychmiast go poprosił:

— Pomóż nam umocnić ten kraj i wznieć rewolucję.

— To rzeczywiście należy do mnie. *Ik kom hier om orde te scheppen*. Przybyłem tu, żeby zaprowadzić porządek — odrzekł.

Uznał, że przyczyną wszelkiego zła byli: sam prezydent republiki, jego zastępca, urzędnicy i działacze partyjni.

— Podczas okupacji japońskiej sprzedawali ludzi jak niewolników, teraz sprzedawali ziemię Holendrom — powiedział.

Wierzył tylko członkom Komunistycznej Partii Indonezji. Partia przyjęła go z otwartymi ramionami, choć szybko się przekonał, że KPI popełniła istotne błędy w orientacji rewolucyjnej. Chciał wprowadzić partię na właściwe tory, zresztą oddano mu całą władzę jako wybawcy, który właśnie wrócił z Moskwy. Miesiąc po jego powrocie w Madiun wybuchła wreszcie rewolucja — wzniecona oczywiście

przez komunistów. Nie było go na miejscu, kiedy doszło do wybuchu, ale zaraz zjawił się w Madiun, żeby udzielić rewolucjonistom moralnego wsparcia. Rewolucja przetrwała tydzień, a potem Salin znów został zbiegiem.

— I oto jestem, czekam, aż wykopią mi grób.

— Ale przebyłeś daleką drogę — zaprotestował Kliwon. — Masz czas na ucieczkę.

— Brałem udział w dwóch rewolucjach, obu nieudanych, to wystarczy, by wiedzieć, ile jestem wart — odrzekł stary pełnym smutku głosem. — Nadeszła pora, abym umarł, więc nawet gdybym znowu uciekł, nie przegonię przeznaczenia.

Kliwon w ogóle nie rozumiał jego toku myślenia.

— Ale jeśli umrzesz, wszystko dobiegnie końca.

Towarzysz Salim przymknął powieki przed nocnym wiatrem, który omiatał jego twarz.

— Teraz twoja kolej, towarzyszu.

Towarzysz Salim przyznał, że nie jest dobrym marksistą, nie rozumie jeszcze tej całej teorii klas, ale miał pewność, że trzeba walczyć z niesprawiedliwością w każdy możliwy sposób. W tym kraju nie ma marksistów, mówił, ale jest pełno głodujących mas, które pracują właściwie za nic, zginają kolana przed każdym autorytetem, które nic nie wiedzą, oprócz tego, że jedynym sposobem na wyzwolenie jest bunt.

— Pomyśl o tym — powiedział — na plantacjach trzciny cukrowej i w cukrowniach są tysiące robotników. Pracują przez cały rok, a właściciele plantacji mają wolne weekendy i letnie domy u stóp wzgórz. Robotnicy zarabiają tyle, by nie umrzeć od wypłaty do wypłaty, a właściciele plantacji zgarniają gigantyczne zyski. To samo dzieje się na plantacjach herbaty. To jedyny powód, dla którego musi wybuchnąć rewolucja, a najważniejsze marksistowskie hasło, które powinniśmy pamiętać, brzmi: „Robotnicy wszystkich krajów łączcie się!”.

Gdzieś w oddali rozległo się pianie koguta, a ich rozmowa dobiegła końca, jakby wyczuli powiew śmierci. Towarzysz Salim siedział w milczeniu na krześle, niczym przedwcześnie zmarły. Trup. Nie spał, przeciwnie — był bardzo czujny i czekał cierpliwie na rozpoczęcie ostatniego poranka.

— Jak pobożny, który wierzy, że pójdzie do nieba, jestem komunistą i nie boję się śmierci — powiedział cichym, niemal niesłyszalnym głosem.

— Wierzysz w Boga? — zapytał ostrożnie Kliwon.

— To nieważne — odrzekł Salim. — Zastanawianie się nad tym, czy Bóg istnieje, czy nie, to nie jest robota dla mężczyzny, szczególnie dla takiego, który widzi, jak jeden człowiek staje nogą na szyi drugiego.

— Więc pójdiesz do piekła.

— W o l ę iść do piekła, bo przez całe życie walczyłem z dominacją jednych nad drugimi. — Przerwał i po chwili dodał: — Jeśli chcesz poznać moje zdanie, to ten

świat jest piekłem, a naszym celem jest stworzenie własnego nieba.

Nadszedł jego ostatni ranek i zgodnie z przewidywaniami towarzysza Salima nagle zjawił się republikański pluton, dowodzony przez kapitana. Ich zadaniem było wykonanie wyroku śmierci. Nadjechali cicho w cywilnych ubraniach, bo Halimunda znajdowała się na obszarze okupowanym przez KNIL. Otoczyli Salima, który wciąż siedział spokojnie z Kliwonem na werandzie.

— Chce umrzeć nago, tak jak przyszedł na świat — powiedział Kliwon.

— To niemożliwe — odparł kapitan. — Nikt nie chce patrzeć na jego obwisłe jaja, tym bardziej że jest komunistą.

— Ale to jego ostatnie życzenie.

— Nie możemy go spełnić.

— Jeśli tak pan uważa, to wykonajcie wyrok w wychodku — zaproponował Kliwon. — Pozwólcie mu zostać nago. Może chce się najpierw wysrać, potem go zastrzelicie.

— Komunista numer jeden zastrzelony w wychodku! — wykrzyknął kapitan, kręcąc z podziwu głową. — To wspaniały materiał do podręczników historii!

I tak to się skończyło. Towarzysz Salim zrzucił sarong i natarł całe ciało ziemią, oddychając przy tym głęboko, jakby chciał się pożegnać ze światem. Kliwon, kapitan i żołnierze poszli za nim do wychodka. Kliwon miał nadzieję, że to poranne zamieszanie nie obudzi matki. W wychodku, przed rozstrzelaniem, towarzysz Salim zaintonował *Krew ludu*, a potem *Międzynarodówkę*, doprowadzając Kliwona do łez. Kiedy druga pieśń dobiegła końca, kapitan wycelował z pistoletu w uchylone lekko drzwi i oddał trzy strzały, jeden po drugim. Towarzysz Salim zginął nagi w wychodku: urodził się z niczym i z niczym umarł. Strzały obudziły Minę, która przybiegła sprawdzić, co się stało, i ujrzała dwóch żołnierzy wyciągających trupa z wychodka na oczach jej syna.

— Widziałeś śmierć swojego ojca z rąk Japończyków — powiedziała. — Teraz patrzysz na trupa zastrzelonego przez armię republikańską. Zapamiętaj ten widok i niech ci nigdy nie przyjdzie do głowy, żeby zostać komunistą.

— Wielu królów trafiło na szafot — odpowiedział Kliwon — ale to nikomu nie przeszkadza, żeby zostać królem.

— Indoktrynował cię przez całą noc? — zapytała zmartwiona Mina.

— Trochę się zaziębiłem od nocnego powietrza.

Żołnierze wynieśli zabitego na rozstaje. Nie przejmowali się patrolami KNIL, bo o tak wczesnej porze żołnierze KNIL jeszcze spali. Kliwon poszedł za nimi i widział zwłoki towarzysza Salima rozpostarte na środku ulicy. Stał pośród tłumu, oglądającego trupa z trzema dziurami po kulach, miał na głowie kaszkiet, który nosił przez wiele lat, i będzie miał go w dniu, w którym przyjdzie go rozstrzelać wojsko. Krew Salima spływała na ziemię. Jakiś żołnierz polał trupa benzyną, inny rzucił zapaloną zapałkę. Trup palił się i śmierdział jak pieczony wieprz.

— Kto to jest? — zapytał jakiś człowiek.

— Z pewnością nie dzika świnia — odrzekł Kliwon.

Dzieciaki zostały przy trupie, póki nie wypalił się ogień. Żołnierze odeszli. Kliwon zebrał prochy, wsypał je do małego pudełka i zaniósł do domu. Matka, zatroskana tym przesadnym gestem, powiedziała, że prochy sprowadzą nieszczęście.

— I zdejmij to z głowy.

Zdjął kaszkiet, położył go na stole, a potem zwałił się na łóżko.

— Chwała Bogu — ucieszyła się matka. — Jesteś dobrym chłopcem.

— Nie zrozum mnie źle, mamó — powiedział Kliwon. — Zdjąłem kaszkiet tylko dlatego, że długo nie spałem i muszę trochę odpocząć.

Siedział na chodniku przed zamkniętym sklepem i darł na drobne kawałki plakaty reklamujące papierosy. Zdarł je wcześniej przypadkowo ze ścian. Rozmyślał o swojej żenującej miłości, wpatrując się w przejeżdżające samochody. Zadawał sobie pytanie, czy jest na świecie ktoś bardziej pożałowania godny od niego. Matka i przyjaciele przykazali mu, że ma wyzdrowieć, ale sprzeciwił się, mówiąc, że wyzdrowieje tylko wtedy, kiedy posiadzie tę małą na własność.

— Idź poszukaj kogoś, kto jest bardziej nieszczęśliwy od ciebie — poradziła mu w końcu Mina. — Może poczujesz się lepiej.

Pierwsi ludzie, o których pomyślał, to ojciec i towarzysz Salim. Obaj rozstrzelani. Lekkomyślna Mina nie przewidziała, że jej rada przypomni Kliwonowi tych dwóch. Przez cały tydzień siedział na chodniku i przyglądał się nieszczęśnikom, o których mówił towarzysz Salim, tym samym ubogim ludziom, o których opowiadał mu ojciec, kiedy był mały. Chciał popatrzeć na bogaczy, rozbijających się niemieckimi czy amerykańskimi samochodami, ale tuż obok niego siedział pokryty wrzodami i czyrakami żebrak. Chciał przyjrzeć się młodej dziewczynie idącej na targ, ale otaczała ją służba, niosąca jej kosze, a nawet parasolkę, pod którą się kryła. Chciał doświadczyć społecznej niesprawiedliwości, przede wszystkim po to, żeby już nie cierpieć i zdać sobie sprawę, że to przygnębiające umierać z miłości, kiedy inni umierają z głodu albo z przepracowania.

Nie było go w domu przez ponad miesiąc i mieszkał z żebrakami. Jego ciało, niegdyś silne i piękne, wkrótce wychudło, tak że zostały z niego sama skóra i kości. Włosy Kliwona zmatowiały i zrudziały, i były tak sztywne jak włosie szczotki. Wcale się nie zgrywał, starał się raczej zabić jedno cierpienie drugim. Jadł to, czym się z nim podzielili inni, a jeśli nikt mu nic nie dał, przekopywał się przez kubły na śmieci, odganiając krążących tam żebraków, bezpańskie kundły i szczury.

Nie chodziły już za nim żadne dziewczyny. Wręcz przeciwnie, kiedy spotykał jakąś, ta — nie zdając sobie sprawy, że ma przed sobą Kliwona, który kiedyś

doprowadzał ją do szaleństwa, a nawet brał do łóżka — zatykała nos, krztusiła się, zasłaniała oczy i przyśpieszała kroku. Małe dzieci rzucały w niego kamieniami, często był poraniony; goniły go bezpańskie kundle, jakby był jeżem, którego chciały pożreć. Kiedy poszedł do domu, Mina go nie poznała. I poprosiła:

— Jak spotkasz żebraka o imieniu Kliwon, powiedz mu, żeby wrócił do domu. Jego matka umiera i chce go zobaczyć ostatni raz przed śmiercią.

Kliwon przyjął od niej talerz ryżu i powiedział:

— Nie wyglądasz na umierającą.

— Czasem trzeba trochę skłamać.

Minęło sporo czasu, a ten sposób życia wydał mu się normalny. Zaczął zapominać o ludziach i sprawach: o matce i domu, o przyjaciółach i wszystkich dziewczynach, a szczególnie o Alamandzie (choć jej wspomnienie nadal go prześladowało). Wszystko zatarło się w codziennej włóczędze. Bo zamiast myśleć o przeszłości, martwił się o garść ryżu do jedzenia i miejsce do spania, co wydawało się o wiele ważniejsze. Kiedy uwolnił się od natrętnych myśli, stał się szczęśliwym włóczęgą, i ten stan trwał do dnia, w którym dopadło go nieszczęście w postaci młodej żebraczki o imieniu Isa Betina.

Widział ją dwa razy. Po raz pierwszy, kiedy przy śmietniku gwałciło ją pięciu oszalałych przybłędów, a on nic nie mógł zrobić, żeby temu zapobiec. Wcześniej widział, jak szła, zanim ją dopadli. Była ładna, ale śmierdziała pod niebiosa, bo nie myła się od tygodni. Od jej zbolałego wycia pękało mu serce, więc przerwał popołudniową drzemkę w budzie z kartonów i wyszedł z niej z maczetą w rękę. Dwóch przybłędów uśmiechnęło się od ucha do ucha, wycierając połamami koszul genitalia. Trzeci wpychał w dziewczynę dzidę w tę i z powrotem, a ona już nie walczyła. Czwarty miętosił jej cycki, a piąty czekał niecierpliwie, gmerając przy kutasie.

— Oddajcie mi ją! — powiedział Kliwon głośno i stanowczo.

Jeden z nich, ten, który już skończył pieprzyć i wyglądał na ich przywódcę, podwinął rękawy i stanął naprzeciw Kliwona.

— Oddajcie mi tę dziewczynę — powtórzył Kliwon.

— Dostaniesz ją po moim trupie.

— W porządku.

I zanim którykolwiek z nich się zorientował, co się dzieje, Kliwon uniósł ukrytą za plecami maczetę i odrąbał głowę przybłędzie. Krew tryskała na wszystkie strony, głowa opadła, trzymając się tylko na kręgach, a po kilku sekundach gość zwałił się na ziemię, niewątpliwie martwy. Kliwon kopnął trupa i podszedł do pozostałych czterech.

— Powiedział, że dostanę ją po jego trupie, więc oddajcie mi dziewczynę.

Ten, który ją pieprzył, wyciągnął z niej szybko kutasa z obrzydliwym plaskiem

i uciekł z twarzą pobladłą jak spleśniały chleb. Pozostali trzej poszli w jego ślady. Zostawili swoją ofiarę, leżała na plecach na blacie stołu bez nóg, nieprzytomna i goła. Otuliwszy ją własną koszulą, Kliwon zaniósł dziewczynę do szałasu i ułożył na posłaniu na starej sofie. Popatrzył na nią przez chwilę, a potem sam położył się na stercie gazet i usnął.

Kiedy się obudził, zapadła już noc, a dziewczyna siedziała na sofie, obejmując kolana i drżąc z głodu. Wciąż była goła — tak jak ją znalazł — i tylko na ramionach miała jego koszulę. Podzielił się z nią rozgotowaną kukurydzą prosto z garnka, zimnymi, niemal zepsutymi resztkami ze śniadania, ale zjadła je ze smakiem. Kliwon siedział przy niej przez cały czas, obserwując ją z natarczywością dziecka. Jadła, nie zwracając na niego uwagi. Nie wyglądała na zbolaną, a może zapomniała już, co ją spotkało. Patrzył na jej jasne włosy, przenikliwe oczy, wąski nos i cienkie wargi.

— Jak masz na imię? — zapytał.

Nie odpowiedziała, odstawiła garnek z jedzeniem pod starą sofę i siedziała, patrząc na Kliwona nieśmiało jak pensjonarka. Dotknęła jego dłoni z czułością kochanki. Zadrżał, lecz zanim się zorientował, co się dzieje, dziewczyna wskoczyła na niego, obejmując go mocno i całując gwałtownie. Początkowo odpychał ją z całej siły, potem zawahał się i znieruchomiał z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia jak przed plutonem egzekucyjnym. Kiedy ściągnęła z ramion koszulę, którą ją otulił, poczuł na piersi jej jędrne cycki i wszystko rozpląnęło się w hipnotycznym cieple. Znów wróciła namiętność, krew pulsowała w żyłach, odwzajemnił uścisk, odwzajemniał jej pocałunki i w końcu zdjął spodnie.

Po brutalnym gwałcie, którego padła ofiarą, okazała się namiętną kochanką. Kliwon zapomniał o tym, co się stało, tuląc do siebie dziewczynę i zmieniając pozycję, kładąc ją pod sobą, nagą i podnieconą. Kochali się na ciasnej sofie powtarzającymi się od wieków ruchami, pełnymi pożądania, wstrząsów, szarpaniny i drżenia, rozkołysanymi jak łódź smagana przez sztorm.

Kiedy skończyli, Kliwon szybko sobie przypomniał, że w ogóle nie zna tej dziewczyny, a ona nie zna jego. Wciąż leżeli na sofie wyczerpani, trzymając się w objęciach. Zapytał ją ponownie:

— Jak masz na imię?

A ona, tak jak wcześniej, nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko, wymamrotała coś niezrozumiale, jakby majacząc, a potem zamknęła oczy i zapadła w głęboki sen, pochrapując lekko.

— Nazywa się Isa Betina — powiedział mu wkrótce pewien żebrak — bo tak wszyscy na nią mówią.

— Skąd pochodzi? — pytał dalej Kliwon.

— Znaleźli ją przed tygodniem na poboczu drogi i gwałcili ją w pięciu codziennie, zanim któregoś nie zabiłeś — odpowiedział żebrak. — Ta dziewczyna

ma nierówno pod sufitem.

I tak właśnie było. Kliwon nie potrafił sobie wyobrazić, co powiedzieliby jego przyjaciele, gdyby się dowiedzieli, że spał z wariatką. Ale pozbywając się własnej zdrowej logiki, a może kierowany jakimś innym pragnieniem, zaprowadził od razu dziewczynę na plażę i gruntownie ją wykąpał, po czym odział w lepsze rzeczy, które ukradł ze sznura z praniem matki. Mieszkali w budzie z kartonów, siadając i odpoczywając na starej sofie, zajadając się orzechami, które rozłupywali kamieniem. O innych porach spali na sofie albo się na niej kochali, tuż obok paleniska z cegieł i garnka do gotowania. Nie dowiedzieli się, co się stało z przybłędami, którzy gwałcili Isę Betinę, choć Kliwon martwił się przez pewien czas, że wrócą, żeby się zemścić. A ponieważ Isa Betina zamieszkała z Kliwonem, wszyscy doszli do wniosku, że są oficjalnie parą, i nikt już nie prześladował wariatki.

Kliwon zapomniał o przyczynie, dla której stał się wędrownym żebrakiem. Nie szukał już ludzi bardziej nieszczęśliwych od siebie, żeby zapomnieć o cierpieniu, i nie torturował się już, by pozbyć się bólu odrzucenia przez małą Alamandę. Przekonał się, że najlepszym sposobem na wyleczenie się z miłości do dziewczyny jest inna dziewczyna. A jego nieuporządkowane życie, brak jedzenia czy dachu nad głową nie przysparzały mu już cierpienia; prawdę mówiąc, był zachwycony swoim obecnym położeniem. Odkrył na nowo gorączkę świeżo rozkwitłej miłości, przede wszystkim dlatego, że Isa Betina odwzajemniała jego uczucie równie żarliwie, co pozwalało im obojgu zapomnieć o skrajnym ubóstwie. Po odurzonej miłością dziewczynie wcale nie było widać, że jest nienormalna. A Kliwon nie dbał o to, że nie wie, skąd pochodzi, i obiecywał jej:

— Kiedyś się z tobą ożenię.

Całymi dniami i nocami nie robili nic innego, tylko pieścili się nawzajem z przerwami na posiłki, kiedy byli głodni, i na sen, kiedy dopadło ich zmęczenie. Uwielbiali kochać się na sofie, a ich miłosne jęki budziły i podniecały sąsiadów w środku nocy. Ich zachowanie drażniło wielu, ale większość rozumiała, że przeżywają miodowy miesiąc swej miłości.

Pewnej nocy, kiedy kochali się jak zawsze, ze sterty śmieci wypełzła żmija i trafiła prosto do szalasu Kliwona. Stopa Isy Betiny zagradzała jej drogę, więc ukąsiła ją w czubek palca. Ogarnięta namiętnością dziewczyna nawet nie pisnęła, póki oboje nie przeżyli największego z dotychczasowych uniesień. Ale to niezwykle szczęście nie trwało długo. Po ejakulacji Kliwon opadł na swoją stronę sofy i usłyszał bolesny jęk ukochanej. Myślał, że wciąż jest w upojeniu i nadal go pragnie, ale ujrzał jej nogę, która cała zsiniała, i zdał sobie sprawę, co się stało. Ale było już za późno. Isę Betinę ukąsiła bowiem jadowita kobra, i dziewczyna umarła na sofie, na której leżała naga i lśniącą od miłosnego potu.

Sąsiedzi, którzy mieli dosyć conocnych krzyków, uznali tę tragedię za srogą karę

za ich przypadkowy grzeszny związek, który według nich wyglądał jak zwykły wygłup. Kliwon zaniósł ciało dziewczyny do grabarza Kamino i poprosił go o porządny pochówek, taki jak dla pobożnych. Tylko on szedł za grabarzem w kondukcje w schludnym garniturze, który ukradł z jakiegoś domu.

— Żyła tylko po to, żeby mnie uszczęśliwić — zapłakał nad jej grobem.

Zwariował siódmego dnia żałoby, podpalił budę, w której mieszkali, o mało nie wywołując wielkiego pożaru w sąsiednich kartonowych chatkach, których właściciele gasili je wodą z rynsztoków, przynoszoną najszybciej jak się dało. Zwariował i obrzucał ludzi psimi gównami, tłukł kamieniami uliczne lampy. Nie potrafił zapanować nad rozpaczą. We wszystkich piekarniach wzdłuż Jalan Merdeka powybił szyby kamieniami wielkimi jak jego pięści, a sprzedawczynie piszcząły, ogarnięte paniką. Zrzucił listonosza z roweru, wysypując na ulicy pocztę, a rower ukradł. Zabił trzy psy, które wybiegły z podwórek bogaczy, przeciął opony w samochodach zaparkowanych przed kinem i spalił stróżówkę. Wszystko to wywołało natychmiastową reakcję policji, która pojmała go szybko bez walki, gdy burzył mur wytyczający granicę miasta.

Kiedy go zatrzymano, nikt się nie przejął tym, że trzeba by go postawić przed jakimś sądem. Siedząc w pojedynczej celi, poczuł, że wraca mu spokój, jego dawna powaga, która teraz wyłaniała się powoli i zbierała siły. Jedyne szaleństwa, jakich się teraz dopuszczał, następowały w nocy, kiedy gadał przez sen i mającąc, przywoływał rozdzierająco Isę Betinę, głośniejsze od ujadania psów i miauczenia marcujących kotów. Wiadomość o uwięzieniu człowieka cierpiącego z powodu straconej miłości dotarła do matki Kliwona. Spędził jednak w areszcie kilka miesięcy, póki Mina nie wpłaciła za niego kaucji. Zaciągnęła go do domu, rozgniewana jak matka, która znajduje syna zabawiającego się w oborze.

— Czy nie ma dla ciebie niczego ważniejszego od miłości kobiety? — zapytała zrzędlawie, kąpiąc go, pomimo że był już dorosłym mężczyzną.

Dom wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy go opuścił. Wszystkie meble i rzeczy stały tam, gdzie je zostawił. Czytał podrzucane mu przez dziewczęta tandetne powieści i romanse, które zawsze miały szczęśliwe zakończenia, próbując poczuć się lepiej. Oczywiście bezskutecznie. Czytał także w tę i z powrotem kolekcję listów miłosnych, które dostał od tych samych dziewcząt, ale i od tej lektury czuł się, rzecz jasna, coraz gorzej i gorzej. Wyglądało to tak, jakby cofał się ku początkom wszystkiego, ku temu samemu smutkowi i temu samemu miłosnemu cierpieniu. Usiłował odszukać dawnych przyjaciół, z których większość miała już żony i dzieci; prosił o odrobinę ich szczęścia. Odwiedził także kilka dawnych przyjaciółek, z których część była zamężna, a część już rozwiedziona; przespał się z trzema czy czterema, żeby poczuć jeszcze raz ciepło miłości. Ale wszystko to sprawiało, że jeszcze bardziej tęsknił za Isą Betiną.

— Wróć na ulicę i żyj tam — powiedziała w końcu matka. — Może znajdziesz inną miłość.

— Tak zrobię — odrzekł.

Spakował już wszystkie rzeczy z nadzieją, że jeśli kiedyś wróci, będą na niego czekać schludnie i ładnie ułożone. Zebrał książki rozrzucone na łóżku, stole i podłodze, i umieścił je w kartonach, które ustawił w kącie pokoju. Uporządkował ubrania w szafie, schował starą gitarę i kolekcję płyt. Włożył do szuflady brzytwę i szczotkę do zębów. Została mu jeszcze tylko jedna rzecz, leżąca na blacie stołu, ale nie chciał jej chować, bo akurat ją miał zamiar założyć: kaszkiet, który dostał od towarzysza Salima. Stał przed lustrem, patrząc na swoje odbicie. Zeszczupłał po latach cierpień, miał wychudzoną twarz i mętne oczy. Włosy sięgały mu prawie do ramion, opadając w długich na cal lokach. Stał tak przez jakiś czas, przyglądając się kaszkietowi i zastanawiając się, czy to, co powiedział mu komunista, jest prawdą: że wszyscy robotnicy w Rosji noszą takie nakrycia głowy.

— Spójrz na tego smutasa — powiedział do swojego odbicia. — Jest wystarczająco ponury, żeby chodzić w takiej czapce.

W progu stanęła Mina. Spojrzała na przeglądającego się w lustrze syna. Zachodziła w głowę, dokąd wybiera się Kliwon w porządnie wyprasowanych spodniach, bawełnianej koszuli i w czapce.

— Nie wyglądasz na żebraka, synu.

— Od teraz, od tego dnia, mam — powiedział, odwracając się do niej — mów do mnie towarzyszu Kliwon.

1. Id al-Adha — Święto Ofiarowania, najważniejsze święto muzułmańskie. ↵
2. Pierwszy (chronologicznie) sekretarz Komunistycznej Partii Indonezji. ↵
3. Drugi (chronologicznie) sekretarz Komunistycznej Partii Indonezji. ↵

PEWNEGO MGLISTEGO PORANKA tłum ludzi na peronie dworca w Halimundzie przyglądał się ze zdumieniem szokującej w owych czasach scenie. Przed kasą biletową pod drzewem migdałowym stało dwoje kochanków, całujących się tak namiętnie, jakby nie wiedzieli, gdzie są i która jest godzina. Ich pocałunki były tak żarliwe, że ludzie, którzy je widzieli, opowiadali o nich przez wszystkie następne lata i przysięgali, że ujrzeni płomień buchający między ustami tych dwojga. Wydarzenie to przeszło do legendy, bo kochankami byli Kliwon i Alamanda. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni wspominali to pożegnanie z piekącą zazdrością.

Prowokacyjne zachowanie tej pary było w istocie wszystkim dobrze znane już od kilku tygodni, jakie poprzedzały wyjazd Kliwona do stolicy kraju, Dżakarty, gdzie miał rozpocząć studia na uniwersytecie.

Alamanda i Kliwon spotykali się od jakiegoś czasu i wszyscy uważali, że są najpiękniejszą parą na ziemi — wszyscy z wyjątkiem Adindy. Ale Alamanda zatykała uszy palcami, kiedy Adinda mówiła, że jest tanią dziwką, uwielbiającą łamać mężczyznom serca, więc lepiej, żeby natychmiast przestała, przynajmniej w przypadku tego jednego człowieka. Być może Adinda pamiętała, jak bardzo zakochał się Kliwon w jej starszej siostrze, gdy ta miała zaledwie osiem lat; być może uznała, że celowe zniszczenie tak niewiarygodnej miłości byłoby czynem wołającym o pomstę do nieba. Adinda przysięgła nawet, że jeśli Alamanda ośmieli się skrzywdzić Kliwona, zabije ją. Według niej zwykłe odrzucenie jego miłości byłoby o wiele lepsze niż przyjęcie jej tylko po to, by zaraz wyrzucić ją na śmietnik. Alamanda w ogóle nie przejmowała się tymi perorami i stawało się coraz bardziej jasne, że jest upartą młodą kobietą, której nikt nie będzie mówił, co ma robić.

— Przyznaj zwyczajnie, że jesteś zazdrosna, siostrzyczko — mówiła.

— Gdybym miała być o kogokolwiek zazdrosna, to raczej o mamę, która spała już z s e t k a m i mężczyzn — odpowiadała Adinda.

— Myślisz, że ja nie mogę się przespać z mężczyzną?

— Jestem pewna, że byłabyś w stanie przespać się z każdym mężczyzną w tym mieście i być tak godna podziwu jak mama — odpowiedziała Adinda — ale nie ma sposobu, żebyś pokochała prawdziwie każdego z nich.

W przeciwieństwie do siostry, która uwielbiała siedzieć w domu, Alamanda spędzała czas, chodząc ze swoim ukochanym i jego przyjaciółmi na koncerty lub przesiadując z nimi w pierwszym lepszym miejscu, gdzie śpiewali i grali na gitarze. Lubili zabawić się na mieście albo pójść do kina, więc zdarzało się, że Alamanda wracała do domu bladym świtem. Choć dwie młodsze siostry wypatrywały jej powrotu w oknie z przejętymi minami, szła bez słowa prosto do swojego pokoju,

nucąc pod nosem takty ckliwych piosenek popularnych w tamtym czasie.

— Jesteś gorsza od dziwki — zrzędziła Adinda. — Dzwki przynajmniej przynoszą do domu pieniądze.

— Przyznaj sama, mała sekutnico — wołała Alamanda z głębi pokoju. — A może ja mam to za ciebie zrobić? Zakochałaś się w Kliwonie.

— Nawet gdyby tak było, nigdy bym się do tego nie przyznała, bo musiałabyś popełnić samobójstwo.

To nie były tylko plotki, młody Kliwon cieszył się dużym wzięciem wśród pań, nie tylko w tym domu, ale w całej Halimundzie. Cieszył się takim wzięciem, odkąd był małym chłopcem, a wszyscy podziwiali jego bystrość, bo umiał rozwiązywać zadania z szóstej klasy, choć był w klasie piątej, i dyrektor postanowił go przenieść o rok wyżej. W szkole średniej wygrywał wszystkie olimpiady matematyczne, a oprócz tego grał jeszcze na gitarze, śpiewał, był przystojny i ujmujący, a kiedy wieczorami spacerował po mieście, ciągnęła za nim chmara dziewcząt, które się w nim kochały.

Umawiał się z każdą, z którą chciał, zanim zakochał się w zaledwie ośmioletniej wówczas Alamandzie, potem został bezdomnym i żył z wariatką o imieniu Isa Betina. Teraz wszyscy mówili, że Kliwon i Alamanda są nadzwyczajną parą — błyskotliwy przystojny młodzieniec i piękna młoda dziewczyna, potomkini najbardziej szanowanej prostytutki w mieście. Wszyscy z wyjątkiem Adindy, która uważała, że ich związek jest kompletną katastrofą. Do tej pory Alamanda była z wieloma mężczyznami i rzucała ich jednego po drugim. Miała złą reputację, o czym wiedzieli wszyscy, w tym Adinda.

Alamanda rzuciła wielu kolegów ze szkoły, których prowokowała urodą, urzekającym uśmiechem, kokieteryjnymi zerknięciami spod oka, eleganckim chodem i innymi olśniewającymi atrybutami swego ciała, które wywoływały bezsenność wśród jej rówieśników. Niektórzy z tych chłopców bywali w swych zalotach niezwykle uparci, i wtedy się zmieniała, stając się na wpół dziką turkawką, która ucieka, gdy chce się ją schwytać.

Ale konkurenci nie dawali tak łatwo za wygraną, wiązali ją czarującym flirtem, zalewali obietnicami i obsypywali prezentami, pustymi słowy, kwiatami, kartkami, listami, wierszami i piosenkami. Przyjmowała to wszystko i obdarzała ich w zamian jeszcze bardziej ujmującym uśmiechem, odpłacała im jeszcze bardziej kokietującymi zerknięciami, jeszcze wdzięczniejszym stukotem obcasów, dorzucając do tego premię w postaci przelotnej pochwały, jak na przykład, że jest pan uprzejmy, mądry i przystojny, ma pan wspaniałą fryzurę, czym czuli się tak zaszczytzeni, że zaczęli lewitować.

Każdy z nich czuł się wtedy bardziej męski, właściwie to czuł się jak najprzystojniejszy facet na ziemi, jak najmilszy mężczyzna we wszechświecie z najlepszą fryzurą na planecie, dlatego zawsze od nich słyszała: „Alamando,

kocham cię”. I to była najlepsza pora, żeby takiego delikwenta zniszczyć, wstrząsnąć nim, rozedrzeć mu serce na strzępy — była to najlepsza pora do okazania kobiecej wyższości, więc Alamanda odpowiadała: „Ale ja cię nie kocham”.

— Lubię mężczyzn — powiedziała kiedyś — ale jeszcze bardziej lubię, jak płaczą z rozpaczy.

Grała w tę grę wiele razy i zawsze bardzo się nią ekscytowała od pierwszej rundy do następnej, choć koniec był przewidywalny i wciąż ten sam: to ona okazywała się zwyciężczynią, a oni przegranymi. I śmiała się serdecznie, kiedy starego konkurenta zastępował nowy.

Wyobraźcie sobie, że robiła to, odkąd przed dwoma laty skończyła trzynaście lat. Nie można zaprzeczyć, że odziedziczyła po Dewi Ayu niemal idealną urodę, a także przenikliwe spojrzenie Japończyka, który przeleciał jej matkę. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z potęgi własnej urody, kiedy zakochał się w niej Kliwon, gdy miała zaledwie osiem lat. A potem, kiedy miała lat trzynaście, dwaj chłopcy wdali się w bójkę, która miała rozstrzygnąć, jaki kolor mają jej majtki. Pierwszy przysięgał, że widział Alamandę w czerwonych majtkach, drugi upierał się, że w białych. Bili się z tyłu klasy i stłukli się obaj na kwaśne jabłko, bo nikt ich nie rozdzielił — w istocie wszyscy świetnie się bawili, dopóki nie wkroczyła nauczycielka. Kiedy chłopcy po bójce ociekali krwią, puchły im podbite oczy i obrzmiewały wargi, Alamanda stanęła pomiędzy nimi i oznajmiła:

— Mam białe majtki, ale są one również czerwone, bo dostałam miesiączki.

Od tamtej pory rozumiała już, że jej uroda jest nie tylko mieczem, od którego giną mężczyźni, ale i instrumentem sprawowania nad nimi kontroli. Matka była tym bardzo zmartwiona i przestrzegała ją:

— Czy wiesz, co mężczyźni robili kobietom podczas wojny?

— Wiem to, co mi zawsze powtarzałaś — odpowiedziała Alamanda. — Ale teraz przekonasz się, co kobiety mogą robić mężczyznom w czasie pokoju.

— Co chcesz przez to powiedzieć, dziecko?

— W czasie pokoju mężczyźni ustawiają się w kolejce i płacą, żeby się z tobą przespać, a ja sprawiam, że chłopcy płaczą z rozpaczy.

Dewi Ayu od dawna martwiła się upartą naturą córki i pilnowała jej z daleka, wsłuchując się w plotki znoszone przez mężczyzn do jej łóżka o coraz większej liczbie chłopców doprowadzonych do szaleństwa jej urodą.

— Powinnam dziękować Bogu, że nie została prostytutką — mówiła klientom. — Bo gdyby tak się stało, nie leżałbyś teraz w moim łóżku.

Taka była Alamanda. Zdobyła nawet serce Kliwona, idola wszystkich dziewcząt w Halimundzie. Ale tym, co różniło go od innych chłopców, było to, że pod koniec gry nie wyrzuciła jego miłości na śmietnik, stało się bowiem tak, że sama się w nim zakochała. Alamanda słyszała o sławie, jaką się cieszył, bo starsze, mieszkające po

sąsiedzku dziewczęta zawsze o nim szeptały, o tym najprzystojniejszym chłopcu pod słońcem.

Słyszała też bezsensowne plotki, że nie był naprawdę synem wdowy Miny i jej nieżyjącego męża komunisty, którego rozstrzelali Japończycy po stłumieniu komunistycznej rewolucji w Madiun, gdy większość ludzi nie chciała mieć nic wspólnego z komunizmem. Jedna z dziewcząt wymyśliła historię o tym, że Mina i jej mąż znaleźli małego Kliwona, zwiniętego we wnętrzu arbuza, który leżał na brzegu rzeki; że był synem nimfy, która zlitowała się nad ich nieszczęściem i powierzyła im dziecko na pewien czas, żeby zmazać z nich piętno pierwotnego grzechu. Inna dziewczyna mówiła, że zszedł z nieba po tęczy, kiedy był niemowlęciem, a jeszcze inna twierdziła, że znaleziono go w gigantycznym stożkowym kwiatku, choć prawdę mówiąc, żadnej z nich nie było jeszcze na świecie, kiedy urodził się Kliwon.

Takie opowieści były rozpowszechniane nie tylko przez kochające się potajemnie w Kliwonie dziewczyny, ale i przez starszych, którzy przysięgali, że kiedy przyszedł na świat, na niebie rozjaśniły się wszystkie gwiazdy, jakby na powitanie narodzin kolejnego proroka, a Holendrzy, panujący wówczas w Halimundzie, wzięli to za zły omen.

Ale bez względu na to, czy wszystkie te opowieści były prawdziwe, czy wysane z palca, Alamanda była pod wrażeniem tego młodego mężczyzny, odkąd wyznał jej miłość, gdy miała osiem lat. Przez lata słyszała o nim różne plotki, choć mówiło się, że zniknął. Kiedy był bezdomny, większość ludzi nie wiedziała, co się z nim stało, a młode dziewczęta wciąż o nim opowiadały i tęskniły za nim straszliwie. Wiele z nich wierzyło, że porwała go banda rabusiów — Bóg wie dlaczego — wywiozła i zabiła. Inne uważały, że sam się gdzieś ukrył, bo uznał, że jego dusza narażona jest na niebezpieczeństwo. Obojętnie w co wierzyły, Kliwon stał się w ich oczach mitycznym bohaterem, którego sława dorównywała w mieście sławie Szodanco.

Alamanda miała już piętnaście lat, kiedy Kliwon pojawił się ponownie. Był teraz dwudziestoczterolatkiem i kazał się tytułować „towarzysz Kliwon”. Po powrocie z wędrówki został krawcem, pracującym obok matki w domu, ale to niewiele znaczyło, bo jak zawsze brał pieniądze od matki, do których dodawał nieco z tego, co sam zarabiał, szyjąc nowe sukienki dziewczętom, które chciały zwrócić na siebie jego uwagę. Wkrótce jednak porzucił skromny zawód krawca i przyłączył się do jednego z przyjaciół, zajmującego się sztuknictwem. W tamtym czasie włókno szklane było bardzo drogie, więc smołowali drewniane łodzie i na tym polegała jego praca w warsztacie sztukniczym. Oprócz tego malował od czasu do czasu wykończenia na łódkach. Potem przeniósł się na farmę Starego Kuwu, który uprawiał grzyby. Jego głównym zadaniem było pilnowanie temperatury w szklarni i podsypywanie siewki. Zajmował się też rozprowadzaniem drożdży, zbieraniem

grzybów, owijaniem ich, wożeniem i wszystkim, co mu kazano robić. W tamtym czasie było już wiadomo, że jest kadrowym działaczem Partii Komunistycznej, która cztery lata wcześniej brała udział w wyborach w mieście jako jedno z trzech głównych ugrupowań (wyglądało na to, że mogłaby wygrać wówczas wybory, gdyby nie szkody, jakie ponieśli mieszkańcy Halimundy podczas rewolucji). Był najmłodszym członkiem partii widywanym w jej kwaterze głównej, która mieściła się przy rogu Jalan Belanda.

Partia Komunistyczna wykorzystywała sławę Kliwona do wabienia młodych dziewcząt, by wstępowały w jej szeregi, kiedy stało się oczywiste, że wszędzie tam, gdzie przemawiał towarzysz Kliwon, wśród słuchaczy przeważały właśnie młode, wznoszące histeryczne okrzyki dziewczęta. Towarzysz Kliwon był rzeczywiście dosyć przystojny, a co więcej — okazał się utalentowanym mówcą. Alamanda poszła raz go posłuchać w dniu Święta Pracy, zaintrygowana histerią przyjaciółek. Wielu ludzi uważało, że jeśli w najbliższych wyborach Partia Komunistyczna uzyska w mieście większość głosów, będzie to zasługa towarzysza Kliwona.

Kiedy Alamanda powzięła myśl, by podbić na nowo serce najprzystojniejszego mężczyzny w mieście, cieszyła się już sławą jedynej dziewczyny, która dała kosza dwudziestu trzem rozkochanym w niej mężczyznom, natomiast Kliwon chodził już z dwunastoma dziewczętami w stosunkowo krótkim czasie, a resztę zbył. Zapowiadał się turniej między dwojgiem najwspanialszych zawodników, a na jego wynik oczekiwali nie tylko robotnicy z farmy Kliwona, ale i członkowie Partii Komunistycznej oraz wszyscy mieszkańcy miasta, których serca były szybciej w oczekiwaniu na to, co się stanie. Ludzie zakładali się nawet o to, kto spławi kogo, a młodzi mężczyźni i młode kobiety wpadali w przedwczesną rozpacz.

Kiedy w szkole polecono uczniom odbyć praktyki zawodowe, Alamanda przekonała przyjaciółki, by zgłosiły się na staż na hodującej grzyby farmie Starego Kuwu. I tak się spotkali: na grzybowej farmie w środku gorącej szklarni, otoczeni plastikowymi plandekami. Alamanda przychodziła do szklarni, udając, że potrzebuje pomocy przy codziennych porannych zbiorach grzybów, i tam spotykała młodzieńca, którego kusiała uśmiechem albo celowo odsłoniętym dekoltem sukienki. Kliwon przyglądał się jej ze stelaża na czwartym poziomie szklarni, stała poniżej i dalej nękała go jakąś nieistotną prośbą. Stawał naprzeciw niej z wyćwiczonym opanowaniem, bezczelnie podziwiając jej urodę, jakby w ogóle nie pamiętał, że przed kilkoma laty o mało nie oszalał z powodu tej samej raniącej boleśnie piękności.

W tamtym czasie spotykali się każdego dnia, podkładając razem sieczkę, dyskutując nad wysokością temperatury, omawiając wielkość grzybów przed ich zebraniem i kłócąc się o to, czy drożdże należy wysiewać na sieczkę, czy pod sieczkę.

Kliwon, stojąc naprzeciw niej pośród bambusowych tyczek podtrzymujących

piętrowe uprawy, powiedział wreszcie:

— Panienko, jesteś ładna, ale jesteś też kłótniwa.

Następnie zostawił Alamandę samą i przyłączył się do odpoczywających po pracy robotników.

Kutas, pomyślała Alamanda. Żaden chłopak nie zostawił jej i nie odszedł w tak bezceremonialny sposób, powinien uwodzić ją jeszcze bardziej gorączkowo, chodzić za nią, by mogła go jak zawsze spławić. Stała w drzwiach szklarni i przyglądała się, jak roześmiany odpoczywa z przyjaciółmi, siedząc przy miedzy pola, częstując ich papierosami, podając ogień i paląc na świeżym powietrzu.

Właśnie wtedy straciła kontrolę nad sytuacją i po raz pierwszy w życiu dopadła ją miłosna bezsenność: każdej nocy czekała na nadejście ranka, żeby mogła wrócić do szklarni z grzybami i być z ukochanym, zastanawiając się przy tym, czy trawi go jeszcze miłosna gorączka. Kiedy zdała sobie sprawę, że naprawdę się zakochała, wpadła w przerażenie, że w końcu ktoś podbił jej serce, i starała się zniszczyć w sobie tę miłość, przypominając sobie najobrzydliwsze sposoby zmuszania mężczyzn, żeby pełzali u jej stóp. Nieważne, czy go kocha, czy nie, wyrzuci go na śmietnik tak czy siak, za karę, że ją w sobie rozkochał. Ale zawsze kiedy się spotykali, przyjmował jako coś najwycyzajniejszego w świecie to błogosławieństwo obecności tak zjawiskowej istoty w szklarni i o nic więcej nie zabiegał, jakby wystarczało mu to, że dotrzymuje jej towarzystwa.

Alamanda zakochiwała się coraz bardziej i coraz bardziej się pogrążała, zachwycona odkryciem tak niezwykłego mężczyzny, który patrzył na nią z podziwem, który wpatrywał się pożądliwie w każdą wypukłość jej ciała, ale który wciąż nie dawał się oderwać od drożdży i grzybów. Śniła, że ją uwodzi, że przysyła jej kwiaty i miłosne listy. Chciała, żeby znów robił te wszystkie zawstydzające rzeczy, które robił, kiedy miała osiem lat, lecz w końcu pogodziła się z myślą, że jest w nim naprawdę zakochana i że nie musi już dłużej zaprzeczać porywom własnego serca. Ale Kliwon nie zmienił swojego postępowania wobec niej ani o jotę, mimo że nieustannie dawała mu do zrozumienia, że go lubi, prosząc potulnie o wspólną przejażdżkę czy stając bardzo blisko niego, kiedy pracował, aż w końcu, w obawie, że się kompromituje jeszcze bardziej, doszła do wniosku, że ta miłość pozostanie nieodwzajemniona, więc musi się poddać i przyznać do porażki.

Dobrze, powiedziała sobie, nie będę się starała zwrócić na siebie twojej uwagi. Ale kiedy się poddała i straciła nadzieję, że kiedykolwiek zdobędzie tego mężczyznę na własność, Kliwon ni z tego, ni z owego zerwał różę i przyniósł ją Alamandzie. Jej miłość znów rozkwitła.

— W niedzielę rano idziemy na plażę — powiedział. — Jeśli chcesz pójść z nami, będę czekał na ciebie za szklarnią.

Nie czekając na odpowiedź, skierował się ku grupie robotników, żeby zapalić. Alamanda wróciła do domu, postawiła różę w wazonie na stole i trzymała ją przez

wiele dni, nawet kiedy zwiędła i zgniła.

Tej niedzieli nie była pewna, czy chce towarzyszyć Kliwonowi podczas wycieczki na plażę. W jej sercu toczyła się wojna: jej ego łowczyni podpowiadało, że powinna odgrywać niełatwą do zdobycia, ale jakaś inna część Alamandy, płonąca ogniem miłości, kazała jej pójść, bo jeśli tego nie zrobi, nie ujrzy go tego dnia w ogóle. Nogi uginały się pod nią, gdy zmierzała na pole za szklarnią z grzybami, gdzie zobaczyła Kliwona pompującego dętkę roweru. Podeszła do niego i zapytała, gdzie są pozostali.

— Będziemy tylko we dwoje — odpowiedział, nie odwracając się do niej.

— Nie chcę iść na plażę, jeśli nikt się na nią nie wybiera.

Niech to szlag, zakłęta Alamanda w myślach, bo kiedy Kliwon skończył pompować, siedziała już na siodełku roweru, jakby usadził ją tam sam diabeł. Towarzysz Kliwon nic nie powiedział, tylko stanął na pedałach i pojechali razem na plażę.

Jak się okazało, miał to być naprawdę nadzwyczajny dzień. Kliwon pomógł jej przeżyć na nowo najprzyjemniejsze wspomnienia z dzieciństwa. Najpierw usiedli na piasku jak dwoje dzieci i budowali zamki tak wielkie, jak się tylko dało. Kiedy fale zmyły zamki, urządzili sobie zawody w chwytaniu dmuchawców rozwiewanych na plaży przez wiatr, potem złapali morskie ślimaki i urządzili im krótki wyścig, zagrzewając każde swojego do walki, aż w końcu zmęczeni tym wszystkim, rzucili się do morza i po prostu pływali. Leżąc na mokrym piasku i czując wokół siebie pieniaący się ocean, patrząc na różowiejące niebo, Alamanda modliła się, żeby ten dzień nigdy się nie skończył, ale zamienił w wieczny zmrok, który spędzi z najprzystojniejszą mężczyzną na świecie.

Towarzysz Kliwon zaprosił ją następnie do wyciągniętej na piasek łodzi.

— Wszystko jest w porządku — powiedział. — Ta łódź należy do przyjaciela.

A poza tym umie żeglować nawet w największy sztorm, choćby i w najbardziej wściekłą burzę. Na dnie łodzi leżały wędki i małe rybki na przynętę.

— Wygląda na to, że jesteśmy gotowi do wyprawy na ryby — oznajmił towarzysz Kliwon.

Wypłynęli więc na otwarte morze tej pięknej niedzieli, a Alamanda nawet nie pomyślała o tym, że nie wróci do domu przed zmrokiem. Towarzysz Kliwon wypłynął łodzią daleko od brzegu, aż stracili z oczu ląd, a wokół nich był tylko idealny krąg oceanu. Alamanda trochę się bała.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała.

— W miejscu, dokąd pewien mężczyzna porwał dziewczynę, którą kochał przed wielu, wielu laty — odpowiedział Kliwon.

Po tym enigmatycznym stwierdzeniu towarzysz Kliwon położył się jak gdyby nigdy nic na poprzecznej ławce, przyglądając się mewom na błękitnym niebie. Po pewnym czasie Alamanda, która jeszcze nigdy nie była na środku oceanu, zadrżała

z zimna. Jej rzeczy były jeszcze wilgotne od pływania w morzu. Towarzysz Kliwon poradził jej, żeby się rozebrała i wysuszyła ubranie na daszku łodzi, póki jest jeszcze słońce, bo będą płynęli przez długi czas.

— Nie myśl sobie, że możesz mi rozkazywać, żebym się rozebrała do naga — nadąsała się Alamanda.

— Wszystko zależy od ciebie, panienko — odrzekł towarzysz Kliwon.

Jego rzeczy też były wilgotne, więc zdjął je jedną po drugiej i rozpostarł na daszku łódki, a jego ciała nie zakrywało już nic. Towarzysz Kliwon był teraz nagi jak go Pan Bóg stworzył.

— Co ty wyprawiasz, głupolu?

— Dobrze wiesz co.

Położył się w tym samym miejscu, w którym leżał wcześniej. Członek opadł mu na udo i nic nie wskazywało na to, że jest podniecony, co zdezorientowało Alamandę. Zastanawiała się nad tym przez kilka minut i doszła do wniosku, że pewnie p o w i n n a postąpić tak jak on: rozebrać się i położyć rzeczy na daszku łódki. Będzie naga, a jeśli to sprawi, że zacznie jej poządać i położy się na niej, cóż, będzie, co ma być.

— Nie zrobię ci krzywdy — oznajmił towarzysz Kliwon, jakby czytając jej w myślach. — Porywam cię tylko.

Rozebrała się w końcu. Usiadła do niego tyłem i objęła kolana. Wysoko na niebie Bóg i aniołowie mieli z nich niezły ubaw: z głupich gołych ludzi, którzy nic nie robią, tylko siedzą w milczeniu jak najdalej od siebie. Wytrzymali tak aż do zachodu słońca, kiedy oboje poczuli głód. Towarzysz Kliwon zabrał się wtedy do łowienia ryb. Schwytał kilka latających, które mieli zjeść surowe, bo nie było jak rozpalić ognia. Towarzysz Kliwon przywykł do tego, gdy wypływał w morze z rybakami, więc przełknął surowe ryby bez trudu, natomiast Alamanda jakoś nie mogła się zmusić i wołała się przegłodzić. Ale kiedy zapadła noc, skapitulowała i krztusząc się, zjadła surową rybę.

— Czujesz, że jest surowa, kiedy trzymasz ją w ustach — powiedział towarzysz Kliwon. — Kiedy ją połkniesz, wszystko wróci do normy.

— A ty będziesz ze mną tylko tak długo, póki jestem porwana — odrzekła gniewnie Alamanda. — A jak wrócimy do domu, znów staniesz się tym samym godnym pożałowania facetem co zawsze.

— Może nie wrócimy do domu.

— To jeszcze bardziej godne pożałowania — Alamanda nie zamierzała przestać go prowokować — bo nie umiesz mnie wziąć nawet w tak cichym i spokojnym miejscu jak to, gdzie nikt nie patrzy, choć stoję przed tobą całkiem naga.

Towarzysz Kliwon roześmiał się radośnie i znów zaczął się opychać rybą. Nie była w stanie mu się przeciwstawić, więc skierowała swoją uwagę na surowiznę i zdecydowała, że nie zaszkodzi spróbować jej jeszcze raz. Opanowała mdłości

i prawie nie żuła tego, co miała w ustach, tylko od razu wszystko połykała. Jedynie w ten sposób mogła się najeść.

Dramat ten ciągnął się przez dwa tygodnie, przez które całkiem sami dryfowali po morzu. Nie spotkali innych rybackich łodzi, bo towarzysz Kliwon specjalnie popłynął tam, gdzie w dnie oceanu znajdował się głęboki rów, którego nie lubili rybacy, bo nie było w nim ryb. Pogoda była ładna przez cały czas, nic nie zwiastowało sztormu, ale w łodzi zachodziły zmiany.

Alamanda w końcu nauczyła się jeść surowe ryby i drugiego dnia przyłączyła się nawet do ich łapania. A trzeciego dnia oboje zanurkowali w oceanie i pływali wokół łodzi, parszając i śmiejąc się głośno. Po kąpeli rozebrali się i położyli rzeczy na daszku, żeby wyschły, a potem usiedli na przeciwległych końcach łodzi: wierzcie mi, nie kochali się, ale w nocy towarzysz Kliwon osłonił dziewczynę przed chłodem własnym ciałem i zasnęli razem spokojnie. Przyzwyczajali się do tego dziwnego życia, a nawet zaczęło im się ono podobać, ale czternastego dnia Kliwon postanowił pożeglować do brzegu.

— Dlaczego musimy wracać do domu? — zapytała Alamanda. — Możemy tu zostać i być szczęśliwi.

— Nie miałem zamiaru trzymać cię tu do końca życia.

Chwycił za wiosła, siedząc obok dziewczyny, ale oboje milczeli. Zastanawiali się nad czymś, obracali coś nieustannie w głowach, ale żadne z nich nie wypowiedziało tego głośno podczas drogi powrotnej na ląd. Aż w końcu, kiedy dobili do plaży, towarzysz Kliwon zaskoczył Alamandę, odzywając się do niej cichym głosem:

— Posłuchaj, panienko — powiedział. — Bardzo mi na tobie zależy, ale jeśli tobie nie zależy na mnie, nic na to nie poradzę.

O mój Boże, co to za facet! Bez przerwy zbija mnie z tropu. Niczego nie da się z nim przewidzieć, nawet w księdze losu, pomyślała Alamanda. Nie odpowiedziała mu jednak, choć z całego serca pragnęła wyznać: tak, ja też cię kocham.

W milczeniu, jadąc na rowerze. Alamandzie wydawało się, że milczenie Kliwona jest oznaką cierpienia, gdyż złamała mu serce, nic nie mówiąc; natomiast Kliwon interpretował milczenie Alamandy jako nieśmiałość i wahanie młodej dziewczyny, która nie wie, jak zareagować na miłość mężczyzny. Alamanda martwiła się o niego i chciała go zapewnić, że nie powinien wpadać w rozpacz, bo kocha go całym sercem, więc gdy dojechali do domu, otworzyła usta. Ale zanim zdołała wypowiedzieć choćby jedno słowo, Kliwon uprzedził ją, mówiąc:

— Nie odpowiadaj mi teraz, panienko. Najpierw się zastanów!

Kolejny tydzień był jednym wielkim pasmem szczęścia. Pracowali razem w szklarni, już nie dyskutując, ale rozmawiając o sprawach, które im obojgu sprawiały przyjemność. Gdziekolwiek poszedł Kliwon, Alamanda szła za nim i na odwrót, aż ludzie, którzy na nich patrzyli, pojęli, że są zakochani.

Wieść o ich miłości zelektryzowała nie tylko wszystkich na grzybowej farmie,

omawiali ją także rolnicy uprawiający ryż, ci, którzy zbierali kukurydzę, aż w końcu trafiła za mury miasta. Alamanda, która nie chciała być bohaterką złośliwych plotek, zapytała w końcu Kliwona:

— Nie wiesz, że cię kocham?

Na co towarzysz Kliwon odpowiedział z wielką pewnością siebie:

— Owszem, wszyscy o tym wiedzą.

To wystarczyło, żeby położyć kres złej sławie, jaka się za nimi ciągnęła: towarzysz Kliwon przestał być kobieciarzem, a Alamanda modliszką.

Ich miłość kwitła już mniej więcej rok, kiedy towarzysz Kliwon dostał od partii stypendium i możliwość rozpoczęcia studiów na uniwersytecie. A to oznaczało, że musiał wyjechać do Dżakarty. Rozstanie było tak bolesne, że Alamanda błagała:

— Proszę, zróbmy to, zanim wyjedziesz.

— Nie.

— Dlaczego nie? Spałeś z wszystkim dziewczętami w Halimundzie, ale nie chcesz tknąć swojej ukochanej?

— Nie, bo jesteś inna.

Towarzysz Kliwon pozostał niewzruszony i nie tknął ukochanej nawet palcem.

— Dopiero po ślubie — mówił jak pobożny młodzieniec.

Przez ten tydzień, jaki pozostał do jego wyjazdu, nie rozstawiali się nawet na chwilę, byli razem od rana do wieczora. Wreszcie nadszedł dzień rozłąki. Alamanda odprowadziła Kliwona na dworzec. Kiedy parowóz był już gotów do drogi i maszynista zagwizdał, Alamanda nie mogła oderwać ust od ukochanego. Nigdy przedtem się nie całowali, teraz natomiast przywarli do siebie żarliwie pod migdałowcem. To prawda, co mówili ludzie: że z ich warg buchał płomień. Były to pocałunki rozstania, które okazało się nie do zniesienia.

Pociąg ruszył. Oderwali się od siebie z rozpaczą, a wszyscy ludzie na stacji znieruchomieli, wpatrując się w nich jak zahipnotyzowani.

— Za pięć lat — zawołał towarzysz Kliwon — spotkamy się pod tym samym migdałowcem!

Pobiegł i wskoczył do pociągu, który nabierał już prędkości. Alamanda mu pomachała, a z jej oczu płynęły łzy. Potem stała już nieruchomo w tym samym miejscu, póki nie zniknął ostatni wagon.

Przejdźmy zatem do zawodów z najślawniejszym mężczyzną w Halimundzie w roli konkurenta i ofiary: dowódcą okręgu wojskowego, który niegdyś stał na czele najkrwawszego powstania przeciwko Japończykom — Szodanczo. Dziewczyna — podobnie jak stary rybak, który pewnego spokojnego dnia chwytła na morzu wielkiego marlina — poczuła przypływ wielkich emocji, kiedy wyobraziła sobie, że może złowić taką grubą rybę, być może największą w całym swoim życiu, dzięki czemu na zawsze zapamięta ten podbój i będzie go wspominała

w najdrobniejszych szczegółach, począwszy od pierwszej ofensywy na ringu dla walczących z *ajakami* świń. Była pewna, że Szodanco dał się skusić jej urodą tamtego wieczoru, teraz wystarczyło tylko szarpnąć wędzisko, usidlić go i pojmać.

Minął już rok, odkąd Alamanda przestała być młodą kusicielką, uwodzącą mężczyzn tylko po to, żeby ich zniszczyć, i odkąd Kliwon przestał wodzić wzrokiem za każdą dziewczyną. Kochali się, a ich miłość była coraz gorętsza z każdym mijającym dniem, aż przysięgli sobie, że nigdy nie skalają swego związku zdradą. Teraz Kliwon wyjechał do stolicy, żeby rozpocząć studia na uniwersytecie, a Alamandzie się nudziło. Nie miała zamiaru zdradzać ukochanego, bo jej miłość do niego wciąż była wielka jak góra i głęboka jak ocean, chciała się jednak trochę zabawić jak w dawnych czasach i poflirtować, tyle że bez żadnego kochania.

Nie zdawała sobie wszakże sprawy, że tym razem trafiła na mężczyznę, który był klasą sam dla siebie, który podczas wojny, po klęsce powstania, był zbiegiem ukrywającym się przed Japończykami przez wiele miesięcy, który dowodził pięcioma tysiącami żołnierzy w bitwie przeciwko Holendrom, który w czasach wojskowego najazdu zdobył doświadczenie w wielu ofensywach, przez krótki czas był głównodowodzącym armii i miał o wiele więcej odznaczeń niż jakikolwiek inny żołnierz, i wreszcie — którego postawiono na czele miasta, gdzie potajemnie trudniono się przemytem na dużą skalę. Prędzej czy później Alamanda dowie się, co to za mężczyzna, ale do czasu, aż będzie za późno, nie miała pojęcia, że Szodanco nie jest zwierzyną, z jaką miała zazwyczaj do czynienia.

Zgodnie z oczekiwaniami Alamandy kilka dni po spotkaniu na koncercie *orkes melayu* Szodanco pojawił się w jej domu. Przyjechał sam, prowadząc dzipa, a powitała go matka, dlatego sprawiał wrażenie zasmarkanego chłopaka na pierwszej w życiu randce. Wdali się w rozmowę na temat wydarzeń miejskich, lecz dziewczyna wiedziała na pewno, że nie przyjechał w tej sprawie, ponieważ przyniósł bukiet kwiatów, wręczył Alamandzie, a ona zaniósła go do swojego pokoju i wyrzuciła przez okno prosto do śmietnika za domem, po czym wróciła z czarującym uśmiechem do Szodanco i mamy.

Jego wizyty powtarzały się przez kolejne dni. Zawsze przynosił kwiaty, które natychmiast lądowały w śmieciach, choć Szodanco o tym nie wiedział. Przynosił nie tylko kwiaty: trzeciego dnia przyszedł z wypchaną pandą, którą sprowadził prosto z Chin, potem sprezentował jej ceramiczny wazon, a następnego dnia kolekcję płyt z amerykańskimi przebojami, której Alamanda postanowiła się nie pozbywać.

Okrążył rok nie grała w taką grę, a dumna z tego, że jak nikt inny potrafi wystawiać mężczyzn do wiatru i robić z nich głupców, puszczała amerykańskie płyty i tańczyła samotnie w pokoju, wyobrażając sobie, że tańczy z ukochanym. Że tańczy z Kliwonem do muzyki z płyt, które dał jej Szodanco — i t o akurat było

całkiem zabawne. Śmiała się z głupoty wielkiego bohatera, a nocą śniła, że Kliwon dowiedział się o wszystkim i tak się wściekł, że chciał ją zamordować; obudziła się bez tchu pod mokrą od zimnego potu kołdrą. Przeklinała nocne koszmary i obiecywała sobie, że nie zdradzi ukochanego, bo jej miłość wcale się nie zmieniła.

Następnego dnia dostała od niego list. Trochę się tym zdenerwowała i zastanawiała, czy nadejście wiadomości ma jakiś związek z jej koszmarem. Poszła do siebie, początkowo nie mając odwagi otworzyć koperty i zamartwiając się, że jej zły sen mógł być proroczy. W końcu postanowiła, że musi przeczytać ten list.

Okazało się, że obawy były całkowicie nieuzasadnione, w liście nie było śladu podejrzliwości. Kliwon pisał, że rozpoczął studia na uniwersytecie, że zajęcia nie są tak trudne, jak się obawiał, i wszystko układa się dobrze. Alamanda uważała, że Kliwon będzie świetny we wszystkim czymkolwiek się zajmie, i była dumna, że ma tak mądrego ukochanego. Gdy doszła do fragmentu, w którym Kliwon donosił, że został także wędrownym fotografem, a oprócz tego pracuje na pół etatu w pralni, łzy płynęły jej po policzkach i szeptała, że przyszłość przyniesie im obojgu to, co najlepsze. Wciąż zapłakana, ucałowała papier, na którym pisał Kliwon, i zasnęła z listem pod policzkiem.

Po dwóch godzinach obudziła się z pięknego snu, w którym brała ślub z ukochanym, i zdała sobie sprawę, że nie doczytała listu do końca. Między kartkami znalazła fotografię narzeczonego, który wyjaśniał, że sam sobie zrobił to zdjęcie, i prosił o wybaczenie, jeśli obraz jest nieostry, a jego twarz wyda się jej śmieszna.

Alamanda roześmiała się, widząc fotografię, i ucałowała ją namiętnie — osiem razy plus trzy dodatkowe pocałunki — a potem przytuliła do piersi i odłożyła na bok, żeby przeczytać resztę listu, która nie była za ciekawa, bo Kliwon omawiał w niej sprawy partyjne. Linia partii w ogóle nie interesowała Alamandy i była wdzięczna Kliwonowi, że poświęcił temu tylko jeden akapit, by w następnym, ostatnim, prosić ją o zdjęcie. Znów się uśmiechnęła i powiedziała na głos, jakby stał przed nią:

— Wyślę ci zdjęcie, najprzystojniejszy chłopaku na ziemi. Wyślę ci fotografię najpiękniejszej dziewczyny na świecie.

Tego popołudnia wystroiła się ślicznie i właśnie miała wychodzić, żeby zdążyć do fotografa, gdy w pokoju od frontu trafiła na gawędzącego jak zwykle z mamą Szodanco. Prędko odezwała się w niej modliszka i uśmiechnęła się słodko do bohatera. Szodanco umilkł nagle, wyobrażając sobie, że wystroiła się specjalnie dla niego i natychmiast zaczął wygłaszać dziękczynną modlitwę do króla niebios, lecz Alamanda przeprosiła, że nie będzie mogła wziąć udziału w pogawędce, gdyż właśnie wybiera się do fotografa.

Szodanco zgarbił się, rozczarowany (bo w końcu zdał sobie sprawę, że makijaż

jest dla fotografa, a nie dla niego), ale szybko nad sobą zapanował i zaproponował, że ją podwiezie. Alamandzie nie przyszło to do głowy, ale czy może być coś złego w tym, że skorzysta z uprzejmości jakiegoś frajera, żeby zrobić zdjęcie dla ukochanego? Znów się uśmiechnęła i spojrzała na mamę, która była wyraźnie zaniepokojona zachowaniem córki.

Szodanczo zawiózł zatem Alamandę do zakładu fotograficznego, który istniał od czasów kolonialnych i początkowo należał do japońskiego szpiega, a następnie do chińskiego małżeństwa. Usiadł w poczekalni naprzeciw okna wystawowego i powiedział żonie fotografa, że życzy sobie po dwie odbitki każdego zdjęcia, o czym nie wolno wspominać dziewczynie. Żona fotografa kiwnęła głową, że rozumie.

Tymczasem Alamanda weszła z fotografem do atelier. Najpierw sfotografował ją w pozycji stojącej, prężącą się wdzięcznie przed tłem, na którym było jezioro z czaplami i błękitnymi górami w dali; potem zdjął ją siedzącą na skale z papier *mâché* na tle mostu nad rzeką i kępy drzew i na jeszcze jednym tle, przedstawiającym dziwny zimowy pejzaż w Chinach. Sfotografował ją w sumie dziesięć razy, a kiedy Alamanda poszła zapłacić, przekonała się, że Szodanczo już uregulował rachunek. Czuła lekkie podniecenie na myśl o tym, że wysła ukochanemu zdjęcia, za które zapłacił ten naiwniak, a Szodanczo potraktował jej zgodę jako dobry omen.

Po czterech dniach osobiście zawiózł jej odbitki, udając, że przypadkowo przejeżdżał obok atelier. Alamanda przyjęła je z radością i szybko wróciła do siebie, żeby przyjrzeć się zdjęciom. Wybrała cztery jej zdaniem najładniejsze i zaczęła pisać list do ukochanego, w którym zdawała mu relację z naiwności Szodanczo, który, szczerze mówiąc, wydawał się nią prawdziwie zainteresowany. Zapewniła Kliwona, że sama nie jest zainteresowana Szodanczo, że kocha tylko jego i nie ma najmniejszego zamiaru go zdradzać. Jeśli pisze o tym człowieku w liście, nie robi tego po to, by wzbudzać zazdrość, ale by dowieść, że nie ma między nimi tajemnic. Alamanda była pewna, że Kliwon jej ufa, więc nie miała żadnego problemu z tym, żeby opowiedzieć mu o zalotach Szodanczo. Posypała list pudrem, tak by ukochany poczuł jej zapach, a potem pomalowała usta szminką i odcisnęła je przy podpisie niczym pieczęć. Włożyła list i zdjęcia do koperty i uśmiechnęła się, w wyobraźni widząc minę, którą zrobi, kiedy za kilka dni otrzyma tę przesyłkę.

Tymczasem Szodanczo wrócił do swojej kwatery i położył się ze zdjęciami Alamandy w rękę, świdrując je lubieżnym, sięgającym pod powierzchnię papieru wzrokiem. Odkładał fotografie jedną po drugiej na swojej nagiej piersi, a potem założył ręce za głowę.

Marzył na jawie o urodzie dziewczyny, o jej ciele, i coraz bardziej poddawał się fali wzbierającego w nim pożądania, więc znów podniósł zdjęcia i pieścił dłońmi

papier, jakby dotykał jej skóry, obrysowywał opuszką palca zarys jej postaci, od czego rozplątywał się w żądry jak podniecony pies, tęsknota zamgliła mu oczy, a wargi szeptały jej imię. Pół godziny minęło mu w tej niewygodnej pozycji, aż zdjęcia dziewczyny, które zdobył podstępem od żony fotografa, zamgliły się, pokryły smugami i wytłuściły. W końcu wstał i schował je do szuflady, włożył mundur i wyszedł z kwatery, ruszając ku żołnierzowi, który pełnił wartę w budce obok bramy wejściowej prowadzącej do Dowództwa Okręgu Wojskowego Halimundy.

— Czołem, Szodanczo — powitał go żołnierz.

— Gdzie są prostytutki w tym mieście?

Kapral zachichotał i odrzekł, że w Halimundzie jest dużo kurew, ale tylko jedna dobra i pracuje w burdelu Mamy Kalong.

— Mogę cię tam zaprowadzić wieczorem, jeśli chcesz.

Szodanczo roześmiał się, bynajmniej nie zaskoczony tym, że jego podwładny wie już wszystko o burdelach, i szybko się zgodził.

— Pójdziemy tam razem wieczorem.

— Rozkaz, Szodanczo. Oczywiście, że pójdziemy!

I właśnie wtedy odwiedził burdel Mamy Kalong i zgwałcił Dewi Ayu, a następnego dnia Maman Gendeng wpadł wściekły do jego kwatery i zaczął mu grozić.

Po wizycie przestępca Szodanczo zdał sobie sprawę, że ma teraz wroga w Halimundzie. Przez następne dni jego ludzie zbierali o nim informacje i dowiedział się o sławie, jaka otaczała tego człowieka, a także poznał jego imię: Maman Gendeng. Wydawało się zatem, że nie ma powodu, żeby wracać do burdelu, by znowu wziąć Dewi Ayu, bo nie było potrzeby wdawać się w awantury z tym człowiekiem. Poza tym chodzenie do burdelu było naprawdę głupie, jeśli chciało się zrobić wrażenie na swojej potencjalnej przyszłej żonie.

Za to jego determinacja, by pościć Alamandę, tylko wzrosła. Chodziło bowiem o kobietę dlań idealną, jakby została dla niego stworzona: byłaby ciepła w łóżku, elegancka na przyjęciach, czarująca podczas publicznych wystąpień i na tyle władczą, by towarzyszyć mu podczas ceremonii wojskowych. Ale poczuł się dosyć nieswojo, kiedy ci sami ludzie, którzy donosili mu na Maman Gendenga, przynieśli wieści o Alamandzie: młodej modliszce, pożerającej męskie serca i wyśmiewającej się z cierpień niedoszłych kochanków. Jedyńm mężczyzną, który zdobył jej wzajemność, był młody komunista o imieniu Kliwon.

— Osobnik ten wyjechał na studia do stolicy, tak więc wygląda na to, że ich związek się skończył.

Informacja ta dowodziła, że dziewczyna przynajmniej raz została zdobyta i raz się zakochała, co przyniosło mu pewną ulgę. Trudno mu było uwierzyć, że jest na

tyle nieroztropna, by prowadzić jakąś grę z człowiekiem, który ma w mieście władzę absolutną — chyba że zakochała się po raz drugi, co bardzo spodobałoby się Szodanczo.

Jego przypuszczenie potwierdziło się któregoś popołudnia podczas wizyty w jej domu.

— Pękła ci nitka na szwie munduru, Szodanczo — zauważyła Alamanda. — Jeśli to nie problem, zszyję dla ciebie ten szew.

Jej słowa sprawiły, że zrobiło mu się ciepło na sercu. Zdjął szybko kurtkę mundurową (został w samym zielonym podkoszulku) i podał ją Alamandzie, która udała się do szwalni. Ten incydent ostatecznie go przekonał, że dziewczyna odwzajemnia jego uczucia. Teraz wystarczy tylko porozmawiać z nią poważnie o ich związku. Szodanczo miał nawet nadzieję, że wyznaczą datę ślubu, i już żałował, że czas tak wolno płynie i będzie musiał czekać.

Szansa na otwarcie przed nią serca pojawiła się pewnego słonecznego popołudnia, kiedy wybrali się razem na spacer do dżungli, by odnaleźć stare partyzanckie szlaki. Szodanczo pokazał dziewczynie chatę, w której przeżył wiele lat, jaskinie, gdzie się ukrywał i medytował, składy resztek broni: min, pistoletów i prochu. Pokazał jej także wybudowany przez Japończyków obronny fort. Potem usiedli na podwórku przed partyzancką chatą na kamiennych krzesłach przed stołem, przy którym prowadził narady z żołnierzami, i patrzyli na morze. Na dworze było ciepło, wiał przyjemny wschodni wiatr.

— Napiałabyś się soku owocowego tu nad morzem? — zapytał Szodanczo, a Alamanda odpowiedziała:

— Tak, bardzo chętnie.

Wyobrażała sobie, że partyzancka kryjówka będzie o wiele straszniejsza. Szodanczo wrócił do ciężarówki, którą tu przyjechali, i przyniósł termos.

Porozrzucane na morzu kutry rybackie, które wyruszały późnym popołudniem na połów, kołysały się na falach jak kwiaty lotosu. Na każdej łodzi siedziało naprzeciw siebie dwóch albo trzech rybaków. Nie machali rękami, nie krzyczeli, siedzieli spokojnie i rozglądali się wokół albo rozmawiali. Mieli na sobie grube ubrania z długimi rękawami i sarongi związane na ramionach, na głowach stożkowe kapelusze, na dłoniach rękawice, a na stopach tenisówki — wszystko to, by chronić się przed wściekłym oceanicznym chłodem, który na starość przyniesie im reumatyzm. Szodanczo powiedział, że w przyszłości pojedynczy rybacy nie będą mieli czego szukać na morzu. Ich małe, nieodporne na sztormy łodzie zastąpią wielkie kutry rybackie, łowiące naraz tyle, co pięćdziesięciu rybaków, a kapitanowie tych statków nie będą musieli przejmować się reumatyzmem. Alamanda odpowiedziała tylko, że rybacy są na morzu od tak dawna, że nie boją się ani sztormów, ani reumatyzmu, i pewnie nie chcą łapać więcej ryb, niż potrzebują każdego dnia (usłyszała to wszystko od Kliwona).

Szodanczo zachichotał, a potem zaczął opowiadać o rybach jadalnych. Alamanda uznała, że najlepszy jest granik, a Szodanczo stwierdził, że lubi kałamarnice, na co Alamanda zaprotestowała, mówiąc, że kałamarnica nie jest rybą, ponieważ nie ma ani łusek, ani płetw. Usłyszawszy to, Szodanczo roześmiał się głośniej. Umilkli oboje na chwilę, po czym Szodanczo nalał do pustej szklanki Alamandy sok owocowy z zimnego termosu. I właśnie wtedy powiedział to, co chciał powiedzieć, a raczej zapytał o to, o co chciał zapytać:

— Alamando, czy zechciałabyś zostać moją żoną?

Alamanda wcale nie była zaskoczona. Słyszała to pytanie z ust tylu mężczyzn i w tylu różnych odmianach, że z czasem straciło ono jakąkolwiek moc — umiała nawet zgadnąć, kiedy ono padnie. Z jej doświadczenia wynikało, że zawsze pojawiają się pewne oznaki, które zdradzają gotowość adoratora do wyznania kobiecie miłości, choć oznaki te były inne dla każdego mężczyzny. Miała wrażenie, że kobiety po prostu to wiedzą, a szczególnie takie kobiety, które — jak ona — dały kosza już dwudziestu trzem mężczyznom, by przyjąć oświadczyzny dwudziestego czwartego. Teraz szukała sposobu, jak pogrążyć dwudziestego piątego w gorączce niespełnionej miłości.

Wstała i podeszła do krawędzi klifu, by przyjrzeć się dwóm wiosłującym wolno rybakom, po czym odpowiedziała, nie patrząc na Szodanczo:

— Mężczyzna i kobieta, Szodanczo, muszą się kochać, jeśli mają się pobrać.

— A ty mnie nie kochasz?

— Mam już ukochanego.

Więc po co się stroisz za każdym razem, kiedy się mamy spotykać?, zapytał Szodanczo sam siebie z lekkim oburzeniem. Po co każesz się wozić do fotografa i pozwalasz mi patrzeć na swoje zdjęcia? Po co zszywałaś popruty mundur, jeśli nie po to, żeby mi pokazać, że ci na mnie zależy?

Szodanczo odtworzył sobie w głowie całą ich znajomość i wpadł w irytację, uświadomiwszy sobie, że ona bawiła się nim przez cały czas. Przeklinał sam siebie za własną lekkomyślność, za to, że pozwolił sobie zapomnieć, iż ta dziewczyna usidliła serca tylu mężczyzn tylko po to, żeby je wyrzucić jak niepotrzebne śmieci. Był idiotą, przypuszczając, że nie ośmieli się zrobić tego samego z *shodancho*, który stał na czele powstania i był bohaterem miasta, choć w istocie właśnie się ośmieliła, czerpiąc z tego niewątpliwie prawdziwą radość.

Wpadł w jeszcze większą wściekłość, widząc, jak siedzi spokojnie za stołem i opiera się wygodniej, by wypić sok. Kiedy się do niego uśmiechnęła, był zaślepiony furją, ale przy tym bardzo opanowany. W końcu powiedział:

— Miłość jest przerażająca jak diabeł: raczej niszczy, niż daje radość. Jeśli mnie nie kochasz, trudno, ale kochaj się przynajmniej ze mną.

Ten gość jest żaloszny, pomyślała Alamanda. Spojrzała na twarz Szodanczo i przez długą chwilę zastanawiała się, dlaczego nagle to oblicze zaczęło rozpląwać

się i drzeć, jakby pękło na pół i każda z połówek unosiła się i opadała niezależnie od tej drugiej. Chciała zapytać Szodanczo, co mu się stało z twarzą, ale nie mogła, co niezrozumiałe, poruszyć wargami. Poczwała nagle, że i ona zaczyna drzeć na całym ciele, i modliła się, żeby jej ciało nie pękło na pół jak twarz Szodanczo. Ale tak właśnie się stało, kiedy spojrzała na swoją dłoń, wciąż trzymającą pełną do połowy szklankę z sokiem: dłoń ta podzieliła się na dwie, trzy, a nawet cztery części.

Nadal wszystko widziała, ale świat jakby się rozmył, kiedy Szodanczo wstał i ruszył wokół stołu w jej stronę, mówiąc coś, czego w ogóle nie słyszała. Czuła za to, kiedy stanął obok niej i dotknął delikatnie jej policzka, potem brody i koniuszka nosa. Chciała wstać i dać mu w twarz za tę bezczelność, ale straciła wszystkie siły, zachwiała się tylko i oparła słabo o niego.

Poczwała dłonie mężczyzny przytrzymujące mocno jej szczupłe ciało, a potem nagle uniosła się w powietrze, tak jej się przynajmniej wydawało, i zastanawiała się, czy już umarła i czy jej dusza zmierza do Królestwa Niebieskiego. Ale ciągle wszystko widziała, choć coraz bardziej niewyraźnie; wcale nie leciała, ale płynęła nad ziemią, bo Szodanczo ją podniósł i trzymał w silnych ramionach, żeby ją gdzieś zabrać. Hej, dokąd chcesz mnie zanieść, usiłowała zaprotestować, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Szodanczo zaniósł ją do partyzanckiej chaty i Alamanda znów pofrunęła w powietrzu, kiedy rzucił ją na łóżko.

Leżała na materacu i powoli uświadamiała sobie, co się z nią dzieje. Przerażona tym, co może ją spotkać, chciała mu się oprzeć, ale nie miała siły. Czuła się coraz słabsza, a całe ciało, dłonie i stopy przylepiły się do materaca i nie mogła ich w żaden sposób unieść.

Kiedy Szodanczo zaczął rozpinać guziki przy jej sukience, Alamanda była zupełnie bezsilna i całkiem mu się poddała, wściekła na swą bezradność. Przyglądała się, jak zdejmuje z niej sukienkę i rzuca ją na krawędź łóżka. Szodanczo uwijał się dalej z dziwnym spokojem, a kiedy była już całkiem naga, poczuła jego palce o szorstkich opuszkach od noszenia broni podczas wojny, pokryte bliznami od starych ran po szrapnelach z tej samej epoki. Sunęły wolno po jej ciele, a Alamandzie zrobiło się niedobrze.

Powiedział coś, czego nie usłyszała, a po palcach przyszła kolej na dłonie, które ścisnęły ją, jakby chciały ją rozerwać. Ugniatał wściekle jej piersi, od czego chciało się jej wyć, badał jej całe ciało, wpychał się między uda, a w końcu zaczął ją całować, obślinając jej skórę. Teraz nie tylko chciało jej się wyć, była gotowa poderżnąć sobie gardło i umrzeć, zanim ten człowiek zrobi coś więcej. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, może pół godziny, może godzinę, dzień, siedem lat albo osiem wieków, widziała tylko, że się rozebrał i stanął nagi i wyniosły obok łóżka.

Przez chwilę miętosił jeszcze jej piersi, po czym rzucił się na nią, całując ją

w usta, jakby ją obrzydliwie kąsał, po czym, nie tracąc czasu, wszedł w nią. Wciąż widziała jego twarz, która przypominała biały kleks nad jej oczami; czuła rozdieraną jego dzikością pochwę. Zaczęła płakać, ale nie wiedziała, czy z jej oczu płyną łzy. Wszystko to trwało nieskończenie długo przez kolejne osiem stuleci. Nie miała siły otworzyć oczu, czuła tylko, jak obrzydliwie traktuje jej ciało. A potem straciła przytomność, a przynajmniej tak jej się zdawało, bo już niczego nie czuła albo nie chciała czuć nic więcej. W końcu Szodanczo ją puścił i opadł przy jej boku, z prawej strony ciała, które od samego początku nie zmieniło pozycji, jakby przyklejone do łóżka.

Leżał obok niej i oddychał coraz głębiej, więc sądziła, że usnął. Przysięgała sobie, że gdyby tylko miała dość siły, nie zawahałaby się chwycić za nóż i zabić go we śnie. Albo odpalić mu minę w ustach. Albo wystrzelić go z armaty do oceanu. Ale myliła się, przypuszczając, że usnął, bo Szodanczo wstał i powiedział — a tym razem dobrze go słyszała:

— Jeśli zależy ci tylko na zdobywaniu mężczyzn i odrzucaniu ich jak najgorsze śmieci, to wielka szkoda, że mnie spotkałeś, Alamando. Wygrywam każdą wojnę, którą prowadzę, w tym wojnę przeciwko tobie.

Słyszała te pogardliwe słowa, które kłuły ją jak oset, ale nie mogła nic odpowiedzieć, więc tylko wpatrywała się w niego zamglonym wzrokiem, gdy wstawał.

Założył mundur, a potem odział w sukienkę Alamandę i powiedział, że czas opuścić dżunglę i wracać do domu. Alamanda wyglądała tak, jakby nic jej się nie stało. Ale nie była już tak czujna jak poprzednio, ciągle znajdowała się pod wpływem tajemniczej trucizny, którą dodał do napoju. Pamiętała, że wszystko zaczęło się od wypicia soku.

Znów poczuła, że leci, kiedy podniósł ją z łóżka. Tym razem nie zarzucił jej sobie na ramię, ale niósł przed sobą w silnych rękach, które w dawnych czasach nosiły działo, a nawet jednego z żołnierzy, rannego w bitwie z Holendrami. Teraz w jego ramionach spoczywała Alamanda i zmierzali od partyzanckiej chaty do ciężarówki. Posadził ją w kabinie obok siebie i pojechali gruntową drogą przez ciemną gęstą dżunglę.

Przywiózł ją do domu. Alamanda zapamiętała z tej jazdy tylko długi spowity w półmroku tunel. Szodanczo zatrzymał ciężarówkę, wysiadł z niej i wziął Alamandę na ręce. Powitała go Dewi Ayu, która pomogła mu zanieść córkę do sypialni. Położyli ją na łóżku, a Dewi Ayu zapytała, co zaszło. Szodanczo odpowiedział spokojnie, że nie musi się martwić.

— Zrobiło się jej niedobrze w samochodzie.

— Nie, zgwałciłeś ją, Szodanczo — odpowiedziała Dewi Ayu, której doświadczenie podpowiedziało, do czego doszło. — Ale nie myśl, że ci się poszczęściło, bo wygrałeś tę bitwę.

Alamanda została sama w pokoju i po raz pierwszy łzy popłynęły jej po policzkach, a potem wszystko pociemniało i naprawdę straciła przytomność.

GDY NASTĘPNEGO DNIA Alamanda odzyskała świadomość, pierwszą osobą, o której pomyślała, był Kliwon, i natychmiast zdała sobie sprawę, że wszystko się skończyło między nią a ukochanym.

Poczuła wówczas, że jest przeklęta. Może nie żałowała tego, co zrobiła, i może zgodziła się na to, co jej się przydarzyło, ale wciąż była przeklęta. Chciała napisać list do ukochanego, który odebrałby tuż po liście z fotografiami; chciała powiedzieć mu, co się stało, choć nie o tym, że straciła kontrolę i bawiła się mężczyzną, którym nie należy się bawić, i nie o tym, że Szodanczo ją zgwałcił. Powie mu tylko, że spała z Szodanczo. Wstydziła się siebie, ale jedyną rzeczą, której naprawdę żałowała, była utrata ukochanego, i choć Kliwon wzięłby ją bez względu na wszystko, ona nie chciała go więcej widzieć. Nadal go kochała, ale okłamała go i powie, że zakochała się w Szodanczo. Powie, że zostawia dawnego ukochanego, żeby poślubić nowego. I poprosi go o wybaczenie. Napisała list jeszcze tego samego popołudnia, włożyła go do ostemplowanej koperty i od razu wrzuciła do skrzynki.

Teraz musiała policzyć się z Szodanczo, zemścić się na nim i zastanowić, czym nakarmić własną wściekłość, skoro nie może go przebić sztyletem. Po wysłaniu listu do Kliwona udała się więc do kwatery dowództwa okręgu wojskowego, gdzie przy bramie przywitał ją dziwnym salutem żołnierz w budce wartownika. I tak jak Maman Gendeng poszła prosto do biura Szodanczo i przekroczyła jego próg, nawet nie pukając. Szodanczo siedział za biurkiem i wpatrywał się w dwie fotografie Alamandy, które trzymał w ręku. Osiem innych zdjęć leżało rozrzuconych na blacie. Kiedy Alamanda wpadła do jego gabinetu, był zaskoczony i próbował ukryć zdjęcia, ale dziewczyna wskazała mu machnięciem ręki, żeby nie zawracał sobie głowy. Stała przed nim, podpierając się jedną ręką o biurko, a drugą biorąc się pod bok.

— Teraz już wiem, o co wam chodziło podczas wojny partyzanckiej — stwierdziła, a Szodanczo patrzył na nią wzrokiem zbitego psa. — Teraz musisz wziąć ze mną ślub, chociaż nigdy cię nie pokocham. Jeśli tego nie zrobisz, zabiję się, ale najpierw powiem całemu miastu, co mi zrobiłeś.

— Ożenię się z tobą, Alamando.

— W porządku. Sam musisz o wszystko zadbać.

Wyszła bez słowa.

Przed upływem tygodnia ich małżeństwo stało się przedmiotem prawie wszystkich rozmów w mieście, ludzie spekulowali na ten temat, a nawet żartowali. Ale mieszkańcy Halimundy przyzwyczaili się już niemal do wszystkiego, więc nie

byli zbyt zaskoczeni tą wiadomością. Niektórzy nawet uznali, że Alamanda i Szodanco są najlepiej dobraną parą, jaką można sobie wyobrazić: piękna dziewczyna, córka powszechnie szanowanej prostytutki, i dawny powstaniec, który był kiedyś głównodowodzącym armii — nie ma na tym świecie bardziej pasujących do siebie młodych. Jeszcze inni twierdzili, że Szodanco jest w gruncie rzeczy bardziej dla niej odpowiedni od wywrotowca Kliwona, a Alamanda nie jest przecież tak głupia, żeby tego nie widzieć.

Kliwon miał w mieście wielu przyjaciół: byli to rybacy, z którymi wypływał w morze i pomagał im przy wciąganiu sieci na brzeg, otrzymując jako zapłatę plastikową torbę z rybami; pomagał im też łątać przeciekające łodzie i naprawiać zepsute silniki, kiedy pracował u szkutnika. Jego przyjaciółmi byli też robotnicy rolni z przedmieść, którzy pracowali na ziemi innych, tak jak robił to Kliwon. Towarzyszyli mu, kiedy zabawiał przyjaciół opowieściami o świecie, mówiąc o rzeczach, o których oni nigdy nie słyszeli ani nawet nie potrafili ich sobie wyobrazić. Jego przyjaciółkami pozostały również dziewczęta, które się w nim kiedyś albo wciąż kochały, choć Kliwon porzucał każdą z nich, szukając następnej. Nie żywiły do niego urazy i wielbiły go tak samo jak zawsze. Miał przyjaciół z dzieciństwa, tych, z którymi pływał i kradł kury, chodził zbierać drewno na opał i trawę, by sprzedawać je potem bogatym. Wszyscy oni bardzo przejęli się tym, że Alamanda rzuciła ich przyjaciela, żeby poślubić Szodanco. Ale byli dyskretni i nie wsadzali nosa w cudze sprawy, uznali bowiem, że to, czy Kliwonowi pęknie serce, czy nie jest wyłącznie jego problemem.

Tak więc wiadomość o weselu, które — jak mówili ludzie — będzie najhuczniejsze, jakie kiedykolwiek oglądano w mieście, przenosiła się szybko z jednego jego krańca do drugiego, po wszystkich porozrzucanych osadach Halimundy. Było pewne, że uroczystość uświetni siedem grup muzycznych *dalang*, mistrzowie teatru lalek, którzy przez siedem wieczorów wystawią całą *Mahabharatę*, i że na wesele przyjdzie całe miasto, które dostanie tyle jedzenia, że wystarczyłoby go na wykarmienie Halimundy przez siedem kolejnych pokoleń. Będą także pokazy tańca *sintren*, transu *kuda lumping*, występy *orkes melayu*, odbędą się seansy filmowe i, rzecz jasna, walki świń.

W końcu złe wieści, wraz z wysłanym przez Alamandę listem, dotarły i do Kliwona. Pewnego dnia przed weselem, kiedy przed domem Dewi Ayu wzniesiono już namioty, a Alamanda przygotowywała się do ślubu z pomocą licznych druhen, Kliwon wrócił pociągami do Halimundy, pałając słusznym gniewem, choć nie dlatego, że po raz pierwszy został zraniony czy porzucony przez kobietę, ale z tej przyczyny, że naprawdę kochał Alamandę całym sercem.

Przed stacją, w miejscu ich ostatniego spotkania i pocałunku, ściał na oczach tłumy drzewo migdałowe. Nikt nie śmiał wejść mu w drogę, po trosze dlatego, że oczy płonęły mu dziko, ale głównie przez to, że wymachiwał maczetą, więc nawet

patrolujący okolice dworca policjanci tylko patrzyli, jak rąbie pożyteczne drzewo, które dotąd służyło wszystkim, dając zbawienny cień. Kiedy migdałowiec zwałił się na ziemię, tłum odsunął się o parę kroków, żeby nie spadły nań gałęzie czy konary, zastanawiając się przy tym, dlaczego Kliwon rozładowuje furię na niewinnym migdałowcu, który nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy.

Ale Kliwon nic sobie nie robił z tłumem, który zdążył zgromadzić się przed stacją i bacznie go obserwował, i zaczął obcinać konary i gałęzie migdałowca oraz obdzierać je z liści, które zablokowały wejście na peron, a kiedy zerwał się wiatr, zawirowały niczym wściekłe tornado. Nawet zamiatacze ulic bali się otworzyć usta i co najwyżej popatrywali na niego z ukosa, starając się stwierdzić, czy oszalał do reszty.

Tylko jeden człowiek, stary przyjaciel Kliwona z dzieciństwa, odważył się zapytać, co robi. Na to Kliwon rzucił lakonicznie:

— Rąbię drzewo.

Po tej odpowiedzi już nikt nie ośmielił się go niepokoić, a on rąbał dalej.

Gdy usunął gałęzie i zdarł z nich liście, zaczął rozłupywać pień i konary na kawałki. Największe z nich podzielił na dwie albo cztery części i po kilku minutach przy drodze leżała sterta drewna. Poszedł do przechowalni bagażu, wziął stamtąd, nie pytając o pozwolenie (i nie słysząc, rzecz jasna, zakazu), gruby sznur i związał nim drewno. Kiedy skończył, nie odezwawszy się ani słowem do otaczającej go wiernie cizby, schował maczetę pod sarong, podniósł związane bierwiona i odszedł ze stacji.

Ludzie początkowo chcieli pójść za nim, ale jego przyjaciel, który go zaczepił i zrozumiał, co się dzieje, powstrzymał ich, mówiąc:

— Zostawcie go w spokoju.

Okazało się, że tak jak przypuszczał przyjaciel, Kliwon poszedł prosto do domu Alamandy i zastał dziewczynę w ferworze weselnych przygotowań. Alamanda była zaskoczona jego przybyciem, a jeszcze bardziej tym, że mężczyzna, którego wciąż kochała, ciągnie za sobą stertę drewna Bóg wie w jakim celu.

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy nie rzucić mu się w ramiona, ucałować jak kiedyś na stacji i powiedzieć, że to i c h wesele — jej i Kliwona — a jej ślub z Szodanczo to kłamstwo. Ale szybko oprzytomniała i przyjęła dumną pozę, robiąc wyniosłą minę zadowolonej z siebie przyszłej żony Szodanczo. Kliwon rzucił stertę drewna z barków na ziemię, Alamanda aż odskoczyła, żeby nie zmiażdżył jej palców u stóp, a on w końcu otworzył usta, mówiąc:

— To ten przeklęty migdałowiec, pod którym mieliśmy się spotkać. Daję ci go w prezencie jako drewno na weselny opał.

Alamanda machnęła ręką, jakby nakazywała mu odejść, więc odszedł, nie mówiąc jej, jak zmiotła go tym gestem, rzuciła w sztorc nienawiści, która wymazywała wszystko za sobą. Nie wiedział oczywiście, że gdy odszedł i zniknął

jej z oczu, Alamanda pobiegła do siebie i zapłakała, po czym spaliła na popiół resztę zdjęć, które dla niego zrobiła. Kiedy następnego ranka stanęła obok Szodanco na weselnym podeście, robiła wszystko, co mogła, by ukryć, że ma za sobą przepłakaną noc, ale bez powodzenia, więc przez następne miesiące, a nawet lata plotkowano o tym w mieście.

Kliwon zniknął na wiele miesięcy, a przynajmniej Alamanda nic o nim nie słyszała, albo nie chciała słyszeć. Wolała myśleć, że wrócił do stolicy, żeby skończyć studia, albo wstąpił do młodzieży komunistycznej, kto wie. Ale Kliwon nigdzie nie wyjechał. Został w Halimundzie, przenosząc się z jednego domu przyjaciół do drugiego lub ukrywając w domu matki. Był nawet potajemnie na ślubie Alamandy. W przebraniu złożył życzenia Szodanco i jego młodej żonie, a oni nawet się nie zorientowali, że to on. Sam za to przekonał się, że Alamanda płakała przez całą noc, co było niezaprzeczalnym dowodem, że wychodziła za mąż wbrew swej woli i wybrała mężczyznę, którego nie kocha. Kliwon nie był już zły na Alamandę, lecz zasmucony tragicznym losem, jaki spotkał ukochaną kobietę.

Ciągle zastanawiał się, co sprawiło, że Alamanda poślubiła Szodanco, którego poznała zaledwie kilka tygodni wcześniej, aż usłyszał od znajomego rybaka, że widział, jak pewnego późnego popołudnia Szodanco wywoził nieprzytomną Alamandę ciężarówką z dżungli. Inny rybak przysięgał, że widział z morza, jak Szodanco niesie przerzuconą przez ramię Alamandę prosto do partyzanckiej chaty.

— Zasmuca mnie to, co wydarzyło się między tobą a Alamandą — powiedział rybak. — Ale nie działaj pochopnie. A jeśli szukasz zemsty, przyłączmy się do ciebie, żeby cię wesprzeć.

— Nie szukam zemsty — odrzekł Kliwon. — Ten człowiek wygrywa wszystkie wojny, w których bierze udział.

Kliwon, jak niegdyś, wrócił z przyjaciółmi na morze, a Alamanda odegrała pełną napięcia farsę nocy poślubnej. Uśpiła Szodanco tabletką nasenną, więc od razu padł, chrapiąc, na małżeński materac obsypany ślicznie jasnożółtym pachnącym kwieciem. Wyczerpana dziewczyna rozwinęła matę na podłodze i położyła się na niej. Nie miała zamiaru kłaść się obok męża jak przystoi pannie młodej. Ale Szodanco nieprzewidzianie obudził się nad ranem i rozejrzawszy się wokół, stwierdził ze zdumieniem, że noc poślubna prawie minęła, a panna młoda leży na podłodze na cienkiej macie. Przeklinając sam siebie za to niewybaczalne niedopatrzenie, pochylił się, wziął żonę na ręce i położył na łóżku.

Alamanda zbudziła się, widząc uśmiechniętego Szodanco, który powiedział, że byłoby głupio stracić noc poślubną, po czym rozebrał się i stanął przed nią nago, na co Alamanda odwróciła się do niego plecami i powiedziała:

— Może zanim będziemy się kochać, opowiem ci bajkę?

Szodanco roześmiał się i przyznał, że to dobry pomysł, po czym położył się do

łóżka i przytulił do pleców żony, delektując się zapachem jej włosów.

— Opowiedz mi tę bajkę szybko, bo jestem już w nastroju.

Więc Alamanda zaczęła opowiadać najlepiej jak umiała, wymyślając na poczekaniu historię ciągnącą się bez końca i bez rozwiązania, żeby nie mieli czasu na miłość — aż do śmierci albo i do samego końca świata. Kiedy opowiadała, Szodanczo dotykał jej wszędzie, niecierpliwie wyglądając końca opowieści, choć nie wiedział, dokąd ona zmierza. Zaczął rozpinąć guziki przy sukni Alamandy, jeden po drugim, a ona starała się temu zapobiec, zwijając się w kłębek, ale silne dłonie Szodanczo z łatwością ją odwróciły i przykuły do materaca, gdy się na niej kładł. Alamanda zepchnęła go z siebie, mówiąc:

— Słuchaj, Szodanczo, będziemy się kochać, kiedy skończę opowieść.

Mężczyzna zerknął na nią nieśmiało, wyczuwając jakąś wrogość w tej grze, lecz powiedział, że będzie słuchał jej bajki i j e d n o c z e ś n i e kochał się z nią.

— Ale już się umówiliśmy, Szodanczo — stwierdziła Alamanda — że wezmę z tobą ślub, ale nigdy cię nie pokocham.

To rozgniewało Szodanczo tak bardzo, że przestał dbać o pozory i zerwał brutalnie nocną suknię z ramion panny młodej i podarł ją. Alamanda krzyknęła, ale Szodanczo zasłonił jej szybko usta, ściągając z niej resztę odzienia. I kiedy się wydawało, że Alamanda nie zdoła mu się oprzeć, bo jest prawie naga, Szodanczo krzyknął zdumiony:

— Cholera! Coś ty założyła na krocze?

Wpatrywał się z niedowierzaniem w metalowe, zamknięte na kłódkę majtki. Pas cnoty. Kłódka nie miała dziurki na klucz, żeby ją otworzyć.

— To jest bielizna przeciw gwałtom, Szodanczo — odpowiedziała z tajemniczym uśmiechem Alamanda. — Zamówiłam ją u kowala i czarownika. Można ją otworzyć wyłącznie za pomocą mantry, której nikt nie zna, oprócz mnie. Nigdy jej dla ciebie nie otworzę, choćbyś mnie przypiekał na wolnym ogniu.

Tej nocy Szodanczo próbował rozerwać kłódkę za pomocą różnych narzędzi: chciał podważyć zapadkę śrubokrętem, przebić ją gwoździem i rozbić siekierą, strzelił nawet do kłódki z pistoletu, od czego Alamanda omal nie zemdląła. Ale nic nie było w stanie otworzyć zamka metalowych majtek. Wreszcie, targany pożądaniem i gniewem, doszedł do wniosku, że może utrzymywać stosunki z żoną, ale bez penetracji. Rano przeciął sobie opuszek palca i skropił krwią prześcieradło na znak, że małżeństwo zostało skonsumowane i zgodnie z tradycją prześcieradło można oddać praczce.

Tydzień po ślubie, kiedy z wesela zostały tylko śmieci i plotki, młoda para przeniosła się do kupionego przez Szodanczo domu — posiadłości z czasów kolonialnych, w której zostały dwie służące i ogrodnik. To Dewi Ayu kazała im się wyprowadzić, sugerując przy tym, żeby odwiedzali ją jak najrzadziej, a najlepiej w ogóle.

— Kobieta zameżna nie zadaje się z kurwami — powiedziała Alamandzie.

Mama miała zawsze rację i Alamanda z ciężkim sercem wyniosła się z domu.

Przez cały czas, zgodnie z przysięgą, jaką sobie złożyła, nie zdejmowała żelaznych majtek. Zachowywała się jak średniowieczny rycerz, zawsze obawiający się wroga, który w każdej chwili może się na niego zasadzić i spróbować go przekłuć zwiotczalym, ale nadal śmiertelnie groźnym mieczem. Szodanczo stracił nadzieję, że kiedykolwiek otworzy pas cnoty, szczególnie po konsultacjach z czarownikami — wszyscy, z którymi rozmawiał, wzruszali ramionami i mówili mu, że nie ma takiej siły ani złego ducha, które byłyby w stanie pokonać mściwą moc skrzywdzonej kobiety. Zapłacił mnóstwo pieniędzy za te nieprzydatne rady — nie za same rady, ale za milczenie czarowników, żeby nie przynieśli plotkami wstydu rodzinie. Właśnie z powodu wstydu nie mógł pytać nikogo innego o rozwiązanie problemów z sypialni.

Próbował przekonać szanowną małżonkę, żeby wyrzekła się przeklętych nieodwołalnych ślubów, na co ona, nie poddając się i nie zdejmując żelaznych majtek, postanowiła nie dzielić z nim łóżka, jak żona czekająca na rozwód z mężem. To oznaczało, że Szodanczo musiał sypiać sam, ściskając w ramionach poduszkę i przewracając się z boku na bok z niezaspokojonego pożądanego. Alamanda powiedziała mu kiedyś — kto wie, może z litości, a może po to, by udowodnić mu swoją wspaniałomyślność:

— Jeśli już musisz tryskać zawartością jaj, idź prześpij się z prostytutką. Nie będę zła. Prawdę mówiąc, będę nawet zadowolona.

Ale Szodanczo nie miał zamiaru pójść za radą żony. Nie dlatego, że uznał, iż zapanuje nad pożądaniem, ani nie dlatego, że nie interesowały go kurwy, ale z tej przyczyny, że chciał jej udowodnić swą wierność, niesamolubną miłość, mając przy tym nadzieję, że z czasem, w obliczu jego ascetycznej męskiej postawy, pozbawionej choćby śladu skazy moralnej, zmięknie jej serce.

Ale Alamanda nie miała zamiaru się poddać i zdejmowała żelazny pas cnoty tylko na krótkie chwile, kiedy szła do zamykanej od środka łazienki, żeby zrobić siku albo się podmyć, po czym zatrząskiwała kłódkę sekretną mantrą, którą nosiła w pamięci.

Szodanczo łudził się, że żona wypowie przypadkiem mantrę na głos, a on ją usłyszy, ale czekał na próżno, bo Alamanda nigdy nie mówiła przez sen. Jedyne, co mu pozostało, to pogodzić się z losem i przyjąć do wiadomości fakt, że już nigdy nie będzie się kochał z tą kobietą i do końca życia przyjdzie mu tulić do siebie poduszkę i zasypiać samotnie w łóżku. Zdarzało się i tak, że kiedy nie mógł już znieść ani chwili dłużej tej obłąkanej zabawy, biegł ukradkowo do łazienki i tryskał zawartością jąder do toalety.

W tamtych czasach szukał zapomnienia, zajmując się na nowo szmuglem, który prowadził od lat ze swym przyjacielem Bendo. Teraz kupili razem duży kuter

rybacki, co było ich jedyną zgodną z prawem operacją. Wrócił również do starego hobby — udomowiał i hodował dzikie psy, które po roku pomagały rolnikom płoszyć dzikie świnie. Ale przez cały ten rok ani razu nie kochał się z żoną, a ludzie zaczęli plotkować. Mieli czelność przysięgać na zdrowie własnej matki, że Szodanczo i Alamanda nie żyją ze sobą, czego dowodził również fakt, że Alamanda do tej pory nie zaszła w ciążę.

Młodzi chłopcy zaczęli się zastanawiać, czy Szodanczo jest impotentem, a jeśli nie, to czy nie jest aby bezpłodny, a inni szli o krok dalej i twierdzili, że został wykastrowany przez Japończyków podczas wojny. Ta niedorzeczna opowieść rozniosła się między chłopakami, a wkrótce trafiła do uszu dorosłych, którzy uwierzyli w nią i przekazali dalej.

Nikomu nie przyszły do głowy żadne inne teorie, choćby ta, że to pospieszne małżeństwo wcale nie opierało się na miłości, tym bardziej że mimo sekretnych ślubów z sypialni para zawsze prezentowała się jak niezwykle zgodne stadło. Pojawiali się razem na przyjęciach, często widywano ich pod rękę na popołudniowych przechadzkach czy w kinie w sobotnie wieczory. Trudno dziwić się ludziom, że niczego nie rozumieli, patrząc na tak harmonijne pożycie. Alamanda zawsze sprawiała wrażenie rozradowanej, a Szodanczo ustępował jej we wszystkim, więc jedynym powodem bezdzietności po roku małżeństwa m u s i a ł a być bezpłodność któregoś z nich albo nawet obojga.

— Wielka szkoda. Bo mieli taki piękny ślub — zauważył ktoś wreszcie.

Jedyną osobą, która w ogóle nie przejmowała się plotkami, była Alamanda. Cała ta sprawa mało ją obchodziła, a czasem wręcz bawiła, głównie jednak, jeśli nie towarzyszyła akurat Szodanczo w oficjalnych ceremoniach, zajmowała się czytaniem powieści. Właśnie z nich dowiedziała się, jak odgrywać szczęśliwą żonę na potrzeby tłumu. Nie robiła tego tylko po to, by ocalić wizerunek męża, ale przede wszystkim własny, bo nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że nie wyszła za mąż z miłości. Nie chciała, aby ktokolwiek się nad nią litował.

Szodanczo był najwyraźniej ostatnią osobą, do której uszu dotarły niesmaczne insynuacje o jego impotencji czy ewentualnej kastracji, podsuwane przez wścibskich chłopaków i prowadzące do tego, że ci przestali się bawić w wojnę, przypuszczając błędnie, że wojna jest dla żołnierza jednoznaczna z utratą męskości. Kiedy Szodanczo usłyszał wreszcie te plotki, popadł w wielkie przygnębienie, gotując się w środku z ponizenia, gniewu i bezsilności. Pominąwszy sypialnię, uważał, że małżeństwo bardzo mu służy. Alamanda okazała się wierną i serdeczną żoną, więc nie dbał o to, czy tylko udaje. Ale nie mógł przecież bez przerwy tryskać nasieniem potomstwa do kibla i w końcu uświadomił sobie, że minął już rok, a on wciąż nie przeciął tego pierdolonego pasa cnoty.

Więc którejs nocy, po wielu miesiącach spania w oddzielnych łóżkach, wkroczył do sypialni żony i zastał Alamandę przy wkładaniu pizamy. Zamknął drzwi

i przekręcił klucz, a potem zbliżył się do Alamandy, która zerkała na niego podejrzliwie, sprawdzając jednocześnie dłonią krocze i zamknięcie pasa. Szodanczo zwrócił się do niej:

— Kochaj się ze mną, najdroższa.

Brzmiał najżałośniej.

Alamanda pokręciła głową i odwróciła się do niego plecami, żeby wejść do łóżka. Szodanczo chwycił ją od tyłu i rozerwał na niej piżamę. Zanim zdążyła zareagować, pchnął ją na łóżko, rozebrał się i rzucił na nią. Alamanda broniła się, spychając go z siebie z całej siły, ale Szodanczo trzymał ją mocno, całował szaleńczo i ścisnął jej piersi, płonąc pożądaniem.

— Gwałcisz mnie, Szodanczo! — wrzasnęła Alamanda, próbując wysunąć się spod niego. Ale Szodanczo nie dawał za wygraną i dalej brutalnie ją obmacywał.

— Szodanczo, ty przeklęty szatanie, ty diable, ty kutasie złamany, spróbuj mnie zgwałcić, a odpadnie ci dzida na mojej żelaznej tarczy!

Nie opierała się już, biernie poddając się jego daremnym pieszczotom.

Szodanczo miał większą swobodę ruchów i wyobraził sobie, że naprawdę kocha się z żoną, aż wystrzelił spermą na metalowy płaszcz chroniący jej pochwę. Opadł na bok bez tchu, krople potu spływały mu po torsie. Milczał przez chwilę, a Alamanda delectowała się jego kretynstwem. Cieszyła się zwycięstwem i zemstą. Spojrzał wściekle na jej krocze, czując ból w biodrach, które zderzały się z żelazem. Skrzywił się i usiadł na krawędzi łóżka, po czym rozplakał się rzewnie. Niczym rzeczywiście pożałowania godny, zrozpaczony mężczyzna.

— Nieważne, ile razy ci to zrobię, i tak nie zajdziesz w ciążę. Twoja pizda i łono są przeklęte.

Wstał, ubrał się i wyszedł z sypialni żony.

Ale Alamanda myliła się, uznawszy, że Szodanczo podda się i podporządkuje karze, którą mu wyznaczyła. Któregoś dnia zamknęła się w łazience i stanęła całkiem naga przed wanną, odłożywszy żelazny pas cnoty na jej krawędź, gdy nagle coś rąbnęło w drzwi ze straszliwą siłą, a przez wybitą dziurę wpadł do środka Szodanczo. Zanim Alamanda zdążyła wyciągnąć rękę po pas, Szodanczo porwał go z wanny. Ryknęła jak ranna tygrysica, ale Szodanczo zarzucił ją sobie na ramię, tak jak zrobił to w dżungli, gdzie niósł jej bezsilne ciało przez las, w którym toczył wojnę partyzancką. Wyniósł Alamandę z łazienki, a ona okładała go pięściami po plecach. Dwie służące przyglądały się tej scenie przez szparę w kuchennych drzwiach, drżąc przy tym ze strachu.

Zaniósł ją do swojego pokoju, tego, który miał być ich małżeńską sypialnią, i rzucił Alamandę na łóżko, po czym odwrócił się, żeby zamknąć drzwi na klucz.

— Szodanczo, jesteś przeklęty! — zawołała Alamanda, kuląc się pod ścianą. — Jak śmiesz gwałcić własną żonę!

Szodanczo nie odpowiedział, rozebrał się tylko i stanął naprzeciw Alamandy

z miną goniącego się psa. Widząc go w takim stanie, poczuła instynktownie, że grozi jej niebezpieczeństwo, i jeszcze bardziej się skuliła, ale Szodanczo oderwał ją od ściany i pchnął Alamandę na łóżko, a potem sam rzucił się na nią.

Przez wiele minut toczyli ze sobą zacieklą batalię: bój oszalałego z pożądania mężczyzny i kobiety drapiącej i krzyczącej, by ochronić się przed miłością, której nigdy nie chciała. Alamanda zacisnęła mocno uda, ale Szodanczo rozwarł je siłą kolanem, przerwał ostatnią linię obrony i stało się to, co miało się stać. Zgwałcił własną żonę u samego końca wyczerpującej bitwy, gdy Alamanda zawołała:

— Obyś szeszł, pierdolony szatanie!

I zemdląa.

Szodanczo na twarzy miał dwie blizny od jej paznokci, a ona strasznie obolałe krocze.

Nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna, ale kiedy się ocknęła, stwierdziła, że wciąż jest naga i leży na wznak. Ręce i nogi miała przywiązane do czterech słupków łóżka. Pociągnęła za krępujące ją sznury, ale były związane tak mocno, że przy każdym ruchu wrzynały się jej boleśnie w nadgarstki i kostki.

— Co robisz, szatański gwałcicielu?! — ryknęła gniewnie, kiedy ujrzała ubranego Szodanczo przy łóżku. — Jeśli szukasz dziury, żeby wsadzić kutasa, ma ją każda krowa i koza.

Szodanczo uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd porwał ją z łazienki.

— Teraz mogę ci wsadzać, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

Słyszając to, Alamanda obrzuciła go stekiem wyzwisk i przekleństw. Szarpała za sznury, ale Szodanczo wyszedł.

Tego dnia znalazł rzemieślnika, który wymienił zniszczone drzwi w łazience, i wyrzucił pas cnoty do studni. Z groźną miną zabronił służącym mówienia komukolwiek o tym, co widziały. Tymczasem Alamanda osłabła od szarpania sznurów, płakała nieustannie i jęczała żałośnie. Szodanczo odwiedzał raz po raz sypialnię, w której więził żonę, i kochał się z nią, jakby dopiero co wzięli ślub; wracał średnio co dwie i pół godziny i wcale się nie męczył. Cieszył się jak dziecko nową zabawką, a im dłużej to trwało, tym mniejsze znaczenie miał opór Alamandy.

— Nawet gdybym umarła — skarżyła się pokonana Alamanda — ten człowiek, wierzcie mi, wypierdoliłby mój grób.

Przez cały dzień leżała skrupowana na łóżku, a mąż gwałcił ją raz za razem. Po południu Szodanczo przyniósł miednicę, napełnił ją ciepłą wodą, zanurzył w niej myjkę i pieścił nią ciało żony czule, jakby była kosztowną i kruchą ceramiczną wazą. Potem znów ją zgwałcił i znów umył, co powtarzało się przez pewien czas. Serce Alamandy pozostało niewzruszone jego troskliwymi zabiegami, a kiedy przyniósł jej posiłek, zacisnęła usta, więc otworzył je siłą i wpakował do nich ryż, którym plunęła mu prosto w twarz.

— Jedz, bo nie mam zamiaru kochać się z trupem — powiedział Szodanczo.

— Kochanie się z takim śmierdzielem jak ty też nie przynosi radości — warknęła Alamanda.

To szaleństwo, pomyślał Szodanczo, namawiając ją do jedzenia. Ale Alamanda powiedziała, że niczego nie zje, dopóki jej nie uwolni i nie odda pasa cnoty. Szodanczo nie mógł spełnić jej prośby. By poczuć się lepiej, wmawiał sobie, że determinacja Alamandy z pewnością ma jakieś granice. Po całonocnych bolesnych skurczach pustego brzucha rano z wdzięcznością przyjmie jedzenie.

Myśląc w ten sposób, zaniósł posiłek żony z powrotem do kuchni, a sam zjadł przy stole w jadalni. Kiedy nadeszło popołudnie, usiadł na werandzie, ciesząc się wieczorną bryzą i gruchaniem turkawek, które dostali w prezencie ślubnym. Ptaki podskakiwały w klatkach wiszących pod sufitem. Cieszył go także widok zapalonych lamp oraz smak goździkowego papierosa, którego palił z wielką przyjemnością, wracając myślą do swoich miłosnych triumfów. W końcu dowiedział się, jak to jest kochać się z własną żoną, bo choć zgwałcił kiedyś Alamandę, wydarzyło się to przed ślubem.

Zazwyczaj popołudniami siedzieli razem na tarasie. Wielu sąsiadów znało to ich upodobanie, więc teraz mijający dom ludzie witali go jak zwykle: „Dobry wieczór, Szodanczo”, by zapytać zaraz: „A gdzie pani domu?”. Szodanczo odpowiadał na pozdrowienia i tłumaczył, że żona nie czuje się dobrze i leży w łóżku. Od tego mówienia o żonie zatęsknił za nią, więc nie kończąc papierosa, wyrzucił niedopałek na podwórko i poszedł sprawdzić, co u Alamandy.

Leżała na plecach przywiązana do łóżka jak przez cały dzień, ale chyba usnęła. Tylko Bóg może wiedzieć, czy Szodanczo faktycznie zamienił się na chwilę w czułego męża, bo przykrył ją kołdrą, żeby nie było jej zimno i żeby nie kąsały jej komary, tylko że w trakcie całego tego przykrywania nie zdołał się opanować i znów ją zgwałcił — dwukrotnie, najpierw o jedenastej czterdzieści, a potem o trzeciej nad ranem, przed pierwszym pianiem koguta.

Nadszedł ranek i Szodanczo wszedł do pokoju, w którym nadal leżała przykryta kołdrą żona z rękami i nogami przywiązanymi do słupków łóżka. Na śniadanie przyniósł jej smażony ryż z jajkiem sadzonym u góry, kilka plasterków pomidora i szklankę czekoladowego mleka. Alamanda obudziła się i spojrzała ponuro w jego stronę, a w jej wzroku kryło się obrzydzenie przemieszane z nienawiścią.

— Pozwól, że cię nakarmię — powiedział Szodanczo z nieudawaną uprzejmością i uśmiechnął się do niej szczerze jak mąż do żony. — Kochanie się zawsze zaostrza apetyt.

Alamanda odwzajemniła powitanie, ale było ono jedynie szyderczym uśmiechem. Patrzyła na niego jak na ucieleśnienie diabła, którego wyobrażała sobie od najmłodszych lat. Nie miał rogów ani kłów, a tylko lekko zaczerwienione z niewyspania oczy, ale i tak była święcie przekonana, że jej mąż jest szatanem.

— Idź do diabła i zabierz ze sobą to pierdolone śniadanie — warknęła.

— Chodź, kochanie, nakarmię cię. Umrzesz, jeśli nie będziesz jadła — powiedział Szodanczo.

— Tak. Tak byłoby najlepiej.

I chyba zaczęła umierać. Po południu dostała gorączki, miała śmiertelnie bladą twarz, wysoką temperaturę i dreszcze. Tego dnia Szodanczo nie zgwałcił jej ani razu, może dlatego, że był wyczerpany albo wreszcie zaspokojony, albo chciał polepszyć stosunki z żoną i przekonać ją, żeby jadła. Alamanda odmawiała wszystkiego, nie tylko ryżu, ale nawet wody, i właśnie z tej przyczyny poważnie się rozchorowała, zaczęła majaczyć, choć nie przestała rzucać przekleństw.

Szodanczo wpadł w panikę, widząc pogarszający się stan żony, i nadal przekonywał, żeby zjadła choćby miseczkę owsianki, ale ona pozostała nieubłagana. Co więcej, lekko drżącym początkowo ciałem Alamandy wstrząsały teraz gwałtowne dreszcze, jakby umierała, ale znosiła to wszystko z nadzwyczajnym spokojem, przygotowana na najgorsze. Szodanczo, by zbić temperaturę, położył jej chłodny kompres na głowie. Nad mokrą szmatką uniół się mglisty opar, ale gorączka nie zmaląła.

W końcu podjął decyzję, że ją rozwiąże, a ona, choć mogła wstać i uciec, nie podniosła się z łóżka. Nie opierała się także, gdy okrył ją i wyniósł z pokoju. Nie rozumiała już, co się z nią dzieje, więc nie zadawała żadnych pytań, wisiała tylko bezwładnie na ramieniu męża. Choć nie mogła go już usłyszeć, powiedział jej szybko:

— Naprawdę nie chcę, żebyś umarła, więc pojedziemy do szpitala.

Szodanczo myślał, że zastrzyk z witamin i jakaś kroplówka postawią ją szybko na nogi, lecz Alamanda spędziła w szpitalu całe dwa tygodnie. Każdego dnia odwiedzał ją i przeproszał za to, jak ją potraktował. Alamanda nie okazywała wrogości. Przyjmowała owsiankę, którą karmiły ją pielęgniarki (choć nie pozwalała, żeby karmił ją Szodanczo), i kiwała głową, kiedy obiecywał, że już nigdy tego nie zrobi. Nie wierzyła w ani jedno jego słowo.

Czternastego dnia zadzwonił doktor i powiedział, że Alamandę można zabrać do domu. Szodanczo spotkał lekarza na szpitalnym korytarzu. Doktor powitał go jak gdyby nigdy nic:

— Dzień dobry, Szodanczo.

— Dzień dobry, panie doktorze — odpowiedział Szodanczo.

Potem doktor zaprosił go do szpitalnej kafeterii, żeby omówić przypadek Alamandy.

— Czy moja żona jest poważnie chora, panie doktorze? — zapytał Szodanczo, kiedy lekarz zamawiał skromny lunch. Po odebraniu posiłku pokręcił głową i powiedział:

— Nie ma czegoś takiego jak poważna choroba, jeśli zna się właściwy sposób, by ją wyleczyć.

Potem zaczął jeść, jakby chciał maksymalnie przedłużyć chwilę, w której Szodanczo usłyszy dramatyczny wyrok, a ten czekał cierpliwie. Zapalił papierosa, ponieważ kafeteria była jedynym miejscem w szpitalu, gdzie wolno było palić. Martwił się o żonę i bał, że jest wszystkiemu winny, jak pierwszego dnia, kiedy doktor postawił diagnozę: odwodnienie, wrzody oraz prawdopodobnie tyfus. Doktor powiedział wtedy, żeby się nie martwił, bo wystarczy, że Alamanda wypocznie, będzie jadła owsiankę, unikała kwaśnych potraw, przyjmowała dużo płynów oraz antybiotyki; wirus, którym się zaraziła, da za wygraną po dwóch tygodniach. Ale choć doktor mówił, że nie ma się czego obawiać, Szodanczo i tak chodził jak struty, bo wiedział, że nie zniósłby śmierci Alamandy i samotności, choć nigdy go nie kochała i nie pokocha.

— Czy zapłacisz za mój lunch, Szodanczo, jeśli przekażę ci dobrą nowinę? — zapytał doktor, skończywszy posiłek.

— Powiedz mi szybko, co się dzieje z moją żoną!

— Mam duże doświadczenie w stawianiu takich diagnoz, więc zapamiętaj dobrze moje słowa: będziesz miał dziecko, Szodanczo! Twoja żona jest w ciąży.

Milczał przez chwilę. Pytanie brzmi: z kim zaszła w ciążę? Nie zadał go oczywiście.

— W którym miesiącu? — zapytał. Nie wyglądał na uszczęśliwionego, z pobielającą nagle twarzą i drżącymi na blacie stołu dłońmi. Przez głowę przemykały mu najobrzydliwsze obrazy, wyobrażał sobie Alamandę uprawiającą potajemnie seks z kimkolwiek: z dawnym ukochanym, z nowym fagasem, w zemście za ten przymusowy ślub z mężczyzną, którego nie kochała.

— Że co, Szodanczo?

— W którym miesiącu ciąży jest moja żona, doktorze?

— W drugim tygodniu.

Szodanczo opadł na krzesło, wypuszczając gwałtownie powietrze. Poczował ulgę. Wyjął chusteczkę i otarł zimny pot, który skroplił mu się na czole. Po długiej chwili milczenia uśmiechnął się, a potem prawdziwie uradował i w końcu powiedział do lekarza:

— Płacę za lunch.

Więc będzie miał dziecko, a wszystkie plotki, że nigdy się z nią nie kochał, że jest impotentem, że Japończycy go wykastrowali, zostaną uznane za nieprawdziwe. Poszli obaj na spotkanie z Alamandą, która była na tyle silna, by wrócić do domu. Lekarz powiedział jej, że może już jeść wszystko, na co ma ochotę, w tym pokarmy treściwsze od owsianki, a jej twarz rozjaśniła się powoli. Poruszyła się nawet odrobinę na łóżku.

Kiedy lekarz wyszedł, żeby przygotować wypis, Szodanczo zwrócił się do żony:

— Odzyskałaś zdrowie, kochana.

— Jestem już chyba na tyle zdrowa, żeby znów cię podniecić — odpowiedziała

Alamanda z kamienną twarzą.

Nieporuszony jej zatwardziałością, Szodanczo przysiadł na krawędzi łóżka i położył jej rękę na nodze, a ona leżała nieruchomo i wpatrywała się w sufit.

— Lekarz powiedział, że będziemy mieli dziecko. Jesteś w ciąży, najdroższa — oznajmił, mając nadzieję, że podzieli jego radość.

Ale Alamanda zupełnie go zaskoczyła odpowiedzią:

— Wiem i mam zamiar ją usunąć.

— Kochanie, nie! — zawołał błagalnie. — Oszczędź to dziecko, a ja przysięgam, że już nigdy nie wyrządę ci krzywdy.

— Dobrze, Szodanczo — odpowiedziała Alamanda. — Ale jeśli tylko mnie tkniesz, nie zawaham się go zabić.

Szybkość, z jaką cofnął dłoń z jej nogi, sprawiła, że miała ochotę się roześmiać z jego głupoty. Szodanczo powtórzył obietnicę, że już nigdy nie będzie się jej narzucał w żaden sposób, nawet jeśli nie założy żelaznego pasa cnoty. I tak się stało: Alamanda nie założyła pasa nie dlatego, że Szodanczo wyrzucił go do studni, ale dlatego, że ufała, iż nie złamie danego słowa. Dla mężczyzny o takim ego jak Szodanczo, posiadanie dziecka było ważniejsze od czegokolwiek innego, a Alamanda powtórzyła, że usunie ciążę nawet w siódmym, ósmym czy dziewiątym miesiącu, jeśli zmusi ją do zaspokojenia swoich prymitywnych potrzeb, nawet jeśli by miała przy tym umrzeć. Powinien więc pamiętać, że nie nosi pasa cnoty dlatego, że zmieniła zdanie. Przysięgła sobie kiedyś, że nigdy go nie pokocha i nigdy mu się nie odda z własnej woli. Bóg świadkiem, jak bardzo i szczerze go nie kocha.

Gdy wiadomość o ciąży Alamandy dotarła do najdalszych zakątków miasta, jej powrót do domu stał się radosnym świętem dla rodziny i przyjaciół, a Szodanczo zorganizował dziękczynną ceremonię. Mieszkańcy rozmawiali o tym w każdej kawiarni i knajpie podnieconymi głosami, jakby mówili o przyjściu na świat następcy tronu. Tylko Kliwon i rybacy milczeli.

Kliwon skwitował tę ciążę ordynarnie:

— Jest kurwą.

Jego przyjaciele byli zdumieni, słysząc takie słowa o kobiecie, którą kiedyś tak bardzo kochał, ale on ciągnął spokojnie dalej:

— Kurwa kocha się za pieniądze, więc jak inaczej nazwać kobietę, która za pieniądze i dla wyższego statusu społecznego wychodzi za mąż? Jest gorsza niż zwykła kurwa, jest księżniczką wśród kurew. — W jego głosie nie było zgorzknienia, jakby wypowiadał oczywiste prawdy.

A jeśli w sercu Kliwona kryła się jakaś złość do tej rodziny, a szczególnie do Szodanczo, to oczywiście nie dlatego, że ten bezceremonialnie odebrał mu ukochaną. Kliwon, jak każdy prawdziwy mężczyzna, był zawsze przygotowany na porzucenie przez kochaną kobietę. Prawdziwą niechęć do Szodanczo wywoływały

w nim natomiast dwa olbrzymie kutry rybackie, należące do tego mężczyzny. Statki te zmieniły wybrzeże Halimundy. Pływały po morzu i zarzucały sieci. Na ich pokładach krzżeli się robotnicy, a kulisi wieźli ich połów na targ. Dwa statki odmieniły też oblicza rybaków, które zapadły się z troski o brak ryb. Rybacy nie mogli współzawodniczyć z nowocześnie wyposażonymi statkami, a jeśli łapali jakieś ryby, ich ceny bardzo spadły z powodu nadmiernej podaży na rynku spowodowanej połowami ze statków.

I właśnie wtedy Kliwon, na polecenie partii, założył Związek Rybaków i zaczął tłumaczyć przyjacielom, co się dzieje ze statkami i ich łódkami.

— To już nie jest nawet niezdrowa konkurencja, oni kradną nasze ryby.

Przyjaciele rybacy uznali, że powinni walczyć o swoje i podpalić statki, ale towarzysz Kliwon (jak na niego mówiono) studził ich zapał, tłumacząc, że nie ma nic gorszego od działań anarchistycznych.

— Dajcie mi trochę czasu na rozmowy z Szodanczo, do którego należą te kutry — przekonywał rybaków.

Towarzysz Kliwon uznał, że najlepszym momentem na zainicjowanie rozmów będzie początek ciąży Alamandy, co stało się w mieście tajemnicą poliszynela. Miał nadzieję, że rozradowany ciążą Szodanczo będzie skłonny do negocjacji w sprawie połowów. Poszedł do niego pewnego popołudnia, składając mu wizytę w kwaterze okręgu wojskowego; celowo unikał odwiedzin w domu, gdyż nie chciał ujrzyć Alamandy, ani tym bardziej zakłócić rodzinnego szczęścia w oczekiwaniu na pierworodnego.

— Dobry wieczór, Szodanczo — przywitał się towarzysz Kliwon, kiedy się spotkali i uścisnęli sobie ręce. Szodanczo poczęstował go kawą i rzeczywiście wyglądał na uszczęśliwionego, zachowując się nadzwyczaj serdecznie.

— Dobry wieczór, towarzyszu. Słyszałem, że zostałeś przewodniczącym Związku Rybaków i że rybacy skarżą się na moje kutry.

— Owszem, tak się sprawy mają, Szodanczo — odrzekł towarzysz Kliwon, dodając, że rybacy skarżą się na nieudane połowy i spadające ceny ryb. Szodanczo wspomniał w odpowiedzi o postępie, o nowej epoce, w której połowy dużymi kutrami staną się standardem. Tylko dzięki kutrom rybacy nie będą cierpieli na starość na reumatyzm. Tylko dzięki kutrom ich żony będą pewne, że mężów nie pochłonie burzliwe morze. Tylko dzięki kutrom możliwe będą połowy zaspokajające potrzeby wszystkich obywateli, a nie jedynie mieszkańców Halimundy.

— Przez lata, Szodanczo, łowiliśmy tylko tyle ryb, ile było potrzeba na jeden dzień. To, co zostawało, odkładało się na sezon sztormowy. Przetrwaliśmy dzięki temu przez lata. Nigdy nie byliśmy bogaci, ale nie byliśmy też ubodzy. Teraz ty skazujesz rybaków na nieodwołalną nędzę. Ty i twoje kutry kradniecie ryby, a te, które jakimś cudem uda im się złowić, nie mają żadnej wartości na rynku, więc są

solone i zjadane przez samych rybaków i ich rodziny.

— Chyba zapominacie, chłopaki, o rytuale krowiego łba przed wypłynięciem w morze. To dlatego królowa Mórz Południowych nie chce dzielić się z wami rybami — zadrwił Szodanczo, pijąc kawę i paląc goździkowego papierosa.

— To prawda, Szodanczo. Pomijamy rytuał, bo nie mamy dosyć pieniędzy na zakup krowy! Nie doprowadzaj tych nieszczęśników do ostateczności, bo nikt nie wygra z głodującym, rozgniewanym ludem.

— Grozisz mi, towarzyszu — zachichotał Szodanczo. — W porządku, zapłacę za rybacki rytuał i razem wrzucimy krowi łeb do morza dla skąpej królowej na znak wdzięczności za poczęcie mojego dziecka. A jeśli chodzi o rybaków, to proponuję tylko jedno rozwiązanie: kupię jeszcze jeden statek i zatrudnię ich na pokładzie. Będę płacił im pensje i zagwarantuję, że nie dostaną reumatyzmu na starość ani nie utoną podczas sztormu. Co ty na to, towarzyszu?

— Byłoby lepiej, gdybyś zechciał postępować rozsądnie, Szodanczo — odpowiedział towarzysz Kliwon i szybko pożegnał się z rozmówcą, który nie chciał negocjować i nie miał zamiaru wycofać statków.

W siódmym miesiącu ciąży Alamandy rzeczywiście przyплыł nowy kuter, ale żaden z rybaków nie chciał wziąć udziału w ceremonii wrzucania do morza krowiego łba, którą odprawili ludzie Szodanczo. Nawet towarzysz Kliwon wpadł wtedy w irytację i powiedział Szodanczo, że nie może już zagwarantować bezpieczeństwa jego statkom przed słusznym gniewem rybaków, na co ten odpowiedział spokojnie, że nie powinni postępować pochopnie. Szodanczo nie dbał specjalnie o połowy, bo po tym wydarzeniu już z nikim się nie spotykał i zamknął się w domu w oczekiwaniu na narodziny potomka, który będzie jego dumą i radością, jego przyszłością, i dla którego, kiedy się urodzi, będzie miał wolne wszystkie popołudnia. Będzie nawet woził go do szkoły, kiedy trochę podrośnie, i da mu wszystko, o co go poprosi.

Właśnie z tego powodu w ogóle nie zajmował się strajkiem robotników na kutrach rybackich. A robotnicy zastrajkowali, bo sami byli rybakami z osad nad brzegiem morza. Znosili razy od żołnierzy i policjantów, od podwładnych Szodanczo z okręgu wojskowego, ale pozostali nieporuszeni. Szyper jednego z kutrów zaczął ich zwalniać, nie informując o tym Szodanczo, a w ich miejsce przyjmował łamistrajków gotowych przestrzegać reguł kontraktu. Związek Rybaków miał kilku działaczy na kutrach, ale teraz zostali bez pracy.

Wszystko to wzbudziło powszechny gniew rybaków, którzy, choć pokonani, planowali w najlepsze podpalenie kutrów. Jednak towarzysz Kliwon znów ich powstrzymał i obiecał ponownie porozmawiać z Szodanczo. Tym razem nie miał wyboru i musiał iść do jego domu, bo Szodanczo przestał chodzić do biura podczas dwóch ostatnich miesięcy oczekiwania na dziecko. Więc czy tego chciał, czy nie, towarzysz Kliwon będzie musiał zapewne spotkać się z Alamandą.

I tak też się stało, bo to właśnie Alamanda otworzyła mu drzwi, uginając się pod ciężarem brzucha, który wydymał się pod jej białą podomką w kwiaty. Przez chwilę posyłali sobie tęskne spojrzenia, zjednoczeni tym samym skrywanym pragnieniem, by rzucić się sobie w ramiona, całować się i płakać z rozpaczy. Nie uśmiechnęli się do siebie ani nie przywitani, stali tylko nieruchomo i patrzyli na siebie. Towarzysz Kliwon był zdumiony promiennym wyglądem Alamandy w jej stanie i miał wrażenie, że patrzy na cudowną syrenę, jedną z tych, o których mówili rybacy, albo na samą królową Mórz Południowych, która, jak głosiła wieść, była niewiarygodnie piękna.

Wbił wzrok w wielki brzuch Alamandy, jakby chciał dostrzec kryjące się w jej łonie maleństwo. Alamanda nie czuła się z tym dobrze, bo wyobrażała sobie, że Kliwon uważa, iż dziecko skulone w jej brzuchu powinno należeć do niego. Chciała prosić go o wybaczenie, powiedzieć mu, że ciągle go kocha, i to zły los ich rozdzielił. Może kiedyś, gdy zostanie wdową, wyjdę za ciebie, myślała. Ale towarzysz Kliwon zastanawiał się najwyraźniej nad czymś zupełnie innym, bo odezwał się niespodzianie:

— Twój brzuch jest jak puste naczynie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała zaskoczona Alamanda, nie mając już ochoty na mówienie mu czegokolwiek.

— Nie ma w nim ani chłopca, ani dziewczynki, tylko powietrze jak w pustym naczyniu.

Alamanda poczuła się urażona i rozzłościła się, traktując tę uwagę jak obelgę ze strony zrozpaczonego mężczyzny. Zdała sobie sprawę, że im dłużej przed nim stoi, tym dłużej naraża się na kolejne raniące słowa, więc nie dyskutując dalej, odwróciła się na pięcie i o mało nie zderzyła z Szodanczo, który pojawił się w progu i usłyszawszy Kliwona, był zaskoczony nie mniej od żony. Alamanda oddaliła się w głąb domu, a obaj mężczyźni usiedli na krzesłach na werandzie — tych samych, na których o zmroku Szodanczo siadywał z Alamandą.

W przeciwieństwie do żony Szodanczo potraktował słowa Kliwona całkiem poważnie i bardzo się nimi zmartwił: tak bardzo, że ponownie zapytał gościa, co miał na myśli, mówiąc o pustym naczyniu. Towarzysz Kliwon powtórzył to, co usłyszała od niego Alamanda: że w jej łonie nie ma dziewczynki ani chłopca, nie ma w nim nic, oprócz powietrza i wiatru. Więc jest jak puste naczynie.

— To niemożliwe. Lekarz potwierdził, że moja żona jest w ciąży. Sam widziałeś jej brzuch! — zaprotestował z oburzeniem Szodanczo.

— Owszem, widziałem jej brzuch — odrzekł towarzysz Kliwon. — Więc pewnie to czcza gadanina zazdrosnego mężczyzny.

DAWNO, DAWNO TEMU mieszkańców Halimundy poruszyło dziecko znalezione na śmietniku. Był to chłopczyk, jeszcze żywy, choć psy ciągnęły go po ziemi za nóżkę w tę i z powrotem, więc ludzie przypuszczali, że wyrośnie na silnego mężczyznę. Przez wiele dni szukano jego matki, ale ta nigdy się nie ujawniła, dlatego nikt się nie dowiedział, kto mógł być jego ojcem.

Chłopcem zajęła się stara panna o imieniu Makodża, najbardziej znienawidzony babsztyl w mieście, a przy okazji starsza pani, na której wszyscy polegali. Zarabiała na życie lichwą, tylko to umiała robić. Nie potrafiła uprawiać ziemi, bo też nikt nie chciał jej sprzedać ani piędzi, a miała tylko małą parcelę, którą odziedziczyła i na której mieszkała. Nie mogła pracować, bo nikt nie chciał jej zatrudnić. Nie mogła nawet znaleźć sobie aż do śmierci męża, choć oświadczyła się szesnastu mniej więcej mężczyznom. Wiodła samotny, pełen rozpaczony żywot, ale mściła się na wszystkich, udając wspaniałomyślność i pożyczając pieniądze tym, którzy popadli w ubóstwo, a następnie dusząc ich lichwiarskim procentem.

A zatem powtórzę: nienawidzono jej, nienawidzili jej szczególnie ci, którzy tonęli w długach. Ludzie jej unikali, trzymali się od niej z daleka i uznawali ją za gorszą od jawnogrzesznicy. Lecz kiedy nadchodziły ciężkie czasy i wszystko inne zawiodło, szli i pukali do jej drzwi, bo wiedzieli, że znajdą za nimi tymczasową pomoc. Makodża zdawała sobie sprawę, że ich uprzejme ukłony to maskarada, a wymuszone uśmiechy skrywają błagalne prośby, ale nie dbała o to, bo na tym polegał po części prowadzony przez nią interes.

Zastanawiano się czasem, co robiła z tymi wszystkimi odbieranymi od dłużników pieniędzmi, bo nigdy nie sprawiała wrażenia bogatszej. Jej dom wyglądał tak jak zawsze, jeśli nie liczyć jakiegoś malowania czy drobnych napraw. Nie żyła ekstrawagancko, nie miała żadnych krewnych i nikt nigdy nie widział jej w banku, gdzie mogłaby odkładać wyciśnięte z dłużników należności, więc zaczęto przypuszczać, że chowa majątek pod materacem.

I pewnej nocy przyszło do niej potajemnie czterech rabusiów. Sąsiedzi, którzy o tym wiedzieli, przyglądali się wszystkiemu zza firanek. Makodża patrzyła spokojnie, jak przeszukiwali jej pokoje. Zajrzeli do wszystkich zakamarków i niczego nie znaleźli — ani pod materacem, ani w piecu, ani w wiadrze z wodą. W szafie były tylko ubrania, a w kredensie kuchennym talerz ryżu i trochę marchwianki. Poddali się. Czterej zamaskowani rabusie przestali przetrząsać dom i zbliżyli się do Makodży, która od początku stała w drzwiach do sypialni.

— Gdzie masz pieniądze? — zapytał jeden z rozgniewanych włamywaczy.

— Z chęcią ci pożyczę — odpowiedziała z uśmiechem Makodża — na

czterdzieści procent, płatne w całości do końca tygodnia.

Wyszli od niej bez słowa.

Później już nikt nie chciał jej obrabować, szczególnie po tym, jak przygarnęła znajdę. Makodża czule opiekowała się chłopcem, głównie dlatego, że zawsze marzyła o dziecku, ale też z tej przyczyny, że nikt inny nie chciał go zabrać ze śmietniska. Więc chłopiec dorastał przy niej. Makodża dała mu piękne imię — Bima — po silnym księciu z *Mahabharaty*, ale inni nazywali go Idiotą ze względu na jego prawdziwie irytujące i wyzywające zachowanie. Potem wszyscy, włącznie z Makodżą, zapomnieli, że ma na imię Bima, zapomniał o tym nawet sam chłopiec. I zaczął na siebie mówić Edi Idiota.

Przewidywano, że czeka go przekłety los, bo stara lichwiarka sprowadzała na innych nieszczęścia: jej matka umarła w połogu, a kiedy Makodża miała pięć lat, ojca użądlił skorpion, który ukrył się w kuchni. Potem Makodżą zajmowała się owdowiała ciotka, która z nią zamieszkała. Ciotka zmarła, kiedy Makodża miała siedem lat — czaszkę rozłupał jej spadający z palmy kokos. Tak czy inaczej, ojciec Makodży był właścicielem lombardu i córka odziedziczyła po nim spory majątek, wystarczająco duży, by wynająć służącą, która dbała o jej codzienne potrzeby, choć służąca umarła na malaryczną gorączkę, kiedy Makodża miała dwanaście lat. Po tym wydarzeniu nikt już nie chciał z nią zamieszkać, gdyż wszyscy uznali, że przynosi pecha.

Kiedy była jeszcze młoda, uznawano ją za prawdziwą piękność. Wielu mężczyzn podkochiwało się w niej skrycie, ale wiedzieli, że każdy, kto z nią mieszkał, umierał, więc woleli zenić się z innymi dziewczętami, które co prawda nie były takie ładne, ale dawały nadzieję na długie życie po ślubie, w przeciwieństwie do Makodży, z którą ślub oznaczał wyrok śmierci. Nie wiadomo, skąd wzięło się to towarzyszące jej fatum, ale nikt nie był skłonny uznać tych wszystkich zgonów za zwykły przypadek. Wszyscy woleli najgorszą interpretację, a Makodża do końca swych dni pozostała dziewicą.

Prowadziła swój lichwiarski interes, ale zaczynała się starzeć i była pewna, że sama długo nie przetrwa. Składała propozycje małżeńskie dobrym mężczyznom, ale ci odmawiali. Zaczęła więc oświadczać się złym mężczyznom, pijakom i karciarzom, ale i oni jej nie chcieli. Próbowwała nawet oświadczać się żebrakom, jednak ci woleli żyć w nędzy, niż umierać z nią w luksusie. W końcu, kiedy miała czterdzieści dwa lata, przestała szukać męża i chciała przygarnąć dziecko, ale i to się nie udało, więc została sama do dnia, w którym wyciągnęła chłopca ze śmietniska.

Edi Idiota dorastał pod jej skrzydłami i nic mu się nie stało. Jedynym problemem było to, że żadne inne dziecko nie chciało się z nim bawić, a pretekstem była ciężąca na rodzinie klątwa. Dzieci unikały Ediego Idioty, tak jak rodzice unikali Makodży, jeśli nie potrzebowali akurat pieniędzy. Dlatego chłopiec stał się trudny

i zapalczywy, a to denerwowało innych. Dostawał ataków wściekłości za każdym razem, kiedy coś nie działo się zgodnie z jego oczekiwaniami. Ubliżał ludziom przy każdej prawdziwej czy wyobrażonej zniewadze, a to zniechęcało do niego wszystkich jeszcze bardziej.

Próbował więc — jako najsilniejszy podrostek w mieście — nawiązywać znajomości, siejąc postrach. Wreszcie znalazł prawdziwych przyjaciół wśród innych wyrzutków. Poznał dwóch kalekich chłopaków, będących w szkole obiektami drwin; zagłodzonego dzieciaka, z którego wszyscy drwili, i innego, którego odpychano, bo pochodził z rodziny kulisów i kieszonkowców. Edi Idiota zawsze stawał w ich obronie i bezlitośnie rozprawiał się z prześladowcami. Stał się obrońcą ciemieźzonych, a dzieci z jego paczki nawiązały tak bliską przyjaźń, że w całym mieście uczniowie podzielili się na dwa obozy: grzecznych i niegrzecznych, na których czele stał Edi Idiota.

Ci niegrzeczni stali się wrogami publicznymi miasta. W przeciwieństwie do innych dzieciaków — rozrabiających jak to dzieciaki — banda Ediego Idioty nie wahała się ukraść komuś wszystkich kur z kurnika na jakąś nadmorską eskapadę. Kiedy Edi miał jedenaście lat, obrabował tawernę, zranił właściciela, porwał butelki — dodajmy, araku i piwa — po czym upił się z przyjaciółmi na plantacji kakao. Zaczęli też korzystać z usług niemal wszystkich prostytutek w mieście. I mieli unikatową szansę obejrzenia więziennych cel od środka, zanim zostali nastolatkami. W tych podbramkowych sytuacjach to Makodża wyciągała ich z tarapatów, przekupując policję i nie przejmując się absolutnie niczym, co wyprawiał Edi Idiota. Wręcz przeciwnie — stara lichwiarka była z niego dumna!

— Robi krzywdę ludziom z tego miasta — powiedziała kiedyś strzegącym go policjantom — tak jak oni przez lata krzywdzili mnie.

To prawda. Gdy rodzice zagrozili, że nie posła dzieci do szkoły, dopóki szkoła nie pozbędzie się Ediego Idioty, dyrektor — który nie mógł im odmówić — wydalil w końcu dzieciaka, po czym kiedy przyszedł do pracy następnego ranka, przekonał się, że wszystkie okna w szkole są wybite, drzwi powyrywane z zawiasów, ławki i krzesła połamane, a maszt z flagą przewrócony na ziemię.

Tak właśnie dwunastoletni wówczas Edi szalał na ulicach. Wchodził do sklepów i żądał pieniędzy od właścicieli; jeśli ich nie dostał, tłukł wszystkie witryny. Chodził do burdelu i nie płacił, oglądał filmy w kinie, nie kupując biletu, a jeśli ktoś zwrócił mu uwagę, bił się i zawsze wygrywał.

Z obawy przed przeklętym dzieciakiem niektórzy właściciele sklepów najmowali *premanów*, a wtedy Edi Idiota bił się z nimi na śmierć i życie. Ponownie zamknięto go w więzieniu, ale wzniecił w nim bunt, zniszczył wszystkie cele i pobił strażników, po czym szybko go uwolniono. Wróciwszy na ulice, zabił dwóch czy trzech śmiałków, którzy chcieli się z nim mierzyć, ale policja już nie miała zamiaru go aresztować.

Znalazł więc sobie miejsce w rogu dworca autobusowego, gdzie siadywał niczym na tronie na mahoniowym bujanym fotelu zostawionym przez Japończyków. Zbierał coraz liczniejszą rzeszę zwolenników. Część z nich wywodziła się spośród tych, których pokonał w bójkach, ale większość przyłączała się do niego z własnej woli. Pobierał „podatek” od właścicieli sklepów, od wszystkich autobusów, które przyjeżdżały na dworzec, a nawet od tych, które nie przyjeżdżały; od straganów na targu, od łodzi rybackich, burdeli i piwnych ogródków, od wytwórców lodu i oleju kokosowego, a nawet od rikszy *becak* i konnych powozów.

Edi Idiota i jego fagasi sterroryzowali miasto. Gang robił, co chciał — na trzeźwo i po pijanemu: kradł kury, wybijał okna, zaczepiał dziewczyny (nieważne, czy spacerowały same, czy pilnowane przez całe rodziny), a nawet przywłaszczając sobie sandały sprzed meczetu. Starszym znikwały turkawki z klatek, bojowe koguty czy suszące się pranie.

Banda pojawiała się dosłownie wszędzie, by rabować i plądrować, stała się też poważnym zagrożeniem dla porządnych młodych mężczyzn, którym odbierała gitary, a podczas niezliczonych rewizji zmuszała ich do oddawania butów na spacerach. Już lepiej nie pytajcie, ile paczek papierosów zdobywała w ten sposób każdego dnia. Wszelki protest był doskonałą okazją do bójki. Wszyscy pojęli, że bandy nie da się pokonać, szczególnie jeśli w starciach brały udział pięści Ediego Idioty. Najbardziej irytująca była jednak bierność policji, która traktowała to wszystko jako niewinną chłopięcą łobuzerkę.

— On umrze — pocieszał się ktoś, komu Edi spuścił manto. — Bo było nie było, mieszka z Makodzą.

— To prawda. Problem w tym, k i e d y to nastąpi.

Nie umarł przez trzy kolejne lata. Umarła natomiast Makodża, zupełnie bez ostrzeżenia, podczas porannej wizyty w sraczu. To Edi Idiota ją znalazł. Obudził się o dziewiątej i spostrzegł, że na stole nie ma śniadania. Szukał jej po całym domu i nigdzie nie mógł znaleźć, lecz w końcu jego uwagę zwróciły zamknięte drzwi wychodka. Szarpnął za nie. Były zamknięte od wewnątrz. Wyłamał je i znalazł ją przykucniętą nago na klozecie, zupełnie bez życia.

— Mama, umarłaś? — zapytał Edi Idiota.

Makodża nie odpowiedziała.

Dotknął jej czoła czubkiem palca, a ciało natychmiast przewróciło się na plecy.

Ta śmierć sprawiła radość mieszkańcom miasta: większość z nich wciąż była winna Makodży pieniądze. Żaden z sąsiadów nie chciał pomóc przy pogrzebie, więc Edi Idiota osobiście zaniósł ciało do grabarza Kamino. W tamtym czasie Kamino wciąż był sam, bo żadna kobieta nie chciała zamieszkać z nim na środku cmentarza. Przygotowanie ciała do pochówku spoczęło zatem w rękach mężczyzn, nad którymi zlitował się *kyai*. Przybywszy, polecił umyć ciało, po czym odprawił nad nim wraz z grabarzem modły, a Edi Idiota stał z boku z niewyraźną miną. W ten sposób

pochowano Makodzę, kobietę, którą wszyscy znali i która zawsze była gotowa wspomóc każdego w potrzebie: jej ciało złożono w ziemi w obecności tylko trzech osób.

Makodża nie zostawiła Ediemu Idiocie żadnego spadku oprócz domu i małej parceli, na której mieszkali. Nikt nie wiedział, co zrobiła z pieniędzmi zarobionymi na lichwie. Edi Idiota w ogóle nie dbał o te pieniądze, ale ludzie z miasta dbali, bo byli przekonani, że zgodnie z prawem należą one do nich. Dlatego przez wiele kolejnych lat szukali skarbu Makodży. Mówili, że ukryła je w podziemnym skarbcu. Niektórzy zaczęli kopać tunel pod domem sąsiada. Niczego nie znaleźli, a jeden z kopaczy zmarł od wdychania siarkowych wyziewów, więc co prędzej zasypali tunel.

Radość po śmierci Makodży nie trwała długo. Ludziom wydawało się, że po pogrzebie Edi Idiota będzie dobrym chłopcem, a przynajmniej zniknie na parę miesięcy, żeby opłakiwać przybraną matkę. Ale stało się inaczej. Sprowadzał sobie do domu dziewczyny, z którymi sypiał, a ich ojcowie szukali ich po całym mieście, aż dali za wygraną. Żądał jedzenia z każdej otwartej garkuchni, siadał przy stole i zjadał wszystko, co się gotowało, zanim kucharki zdążyły spróbować potraw. Ale to jeszcze nic — dopuszczał się bowiem nawet morderstw i napadał na autobusy.

Kiedy Szodanczo skończył z partyzantką i wyszedł z dżungli, mieszkańcy Halimundy mieli nadzieję, że zajmie się nie tylko świniami, ale i wszystkimi *premanami* w mieście. Ale Szodanczo odmówił.

— Oni są jak szambo — stwierdził. — Im bardziej się w nim miesza, tym gorzej cuchnie.

Niczego więcej nie wyjaśniał, ale ludzie pojęli w lot, o co mu chodziło: jeśli ktoś zdrze z Edim Idiotą i jego bandą, miasto napyta sobie naprawdę wielkiej biedy.

W tamtym czasie mieszkańcy Halimundy siadali na werandach ze smętnymi minami. Czasem złośliwi goście pytali:

— Na co czekacie, chłopaki?

A oni odpowiadali:

— Na kondukt pogrzebowy Ediego Idioty.

Ich prośby nie zostały wysłuchane, lecz nie dlatego, że Edi Idiota nie umarł, ale dlatego, że nie miał pogrzebu i nie spoczął w ziemi. Utonął, a jego ciało rozszarpały rekiny.

Tak, pewnego dnia do Halimundy przybył obcy, Maman Gendeng, i zabił Ediego po legendarnej walce, która trwała przez siedem dni i siedem nocy. Na początku nikt nie chciał uwierzyć, że podły chłopak naprawdę nie żyje, a potem było tak, jakby wszyscy obudzili się ze złego snu: Edi Idiota okazał się śmiertelnikiem jak wszyscy inni. Mieszkańcy byli niewiarygodnie wdzięczni temu obcemu i szybko stał się on jednym z nich.

By uczcić jego zwycięstwo, miasto wydało przyjęcie, jakiego nie było nigdy

przedtem ani potem. Nawet Dzień Niepodległości Halimundy, przypadający na dwudziestego trzeciego września, nie był nigdy tak hucznie obchodzony. Przez cały miesiąc trwał jarmark, zjechał wędrowny cyrk ze słoniami, tygrysami, lwami, małpami i węzami oraz z dziewczyną gumą i karłami klaunami. W każdym zakątku miasta trwały pokazy *sintren* i transu *kuda lumping*, w dodatku za darmo. Młodzi zakochani przechadzali się swobodnie, ciesząc się miłością i nie bojąc się, że bandziory Ediego Idioty będą ich zaczepiać. Kury gdakały bez strachu na podwórkach i nikt już nie zamykał kuchennych drzwi na cztery spusty.

Więc gdy Maman Gendeng oznajmił, że tylko on będzie sypiał z kurwą Dewi Ayu, mężczyźni zmartwili się, choć nie tak znowu bardzo, tą olbrzymią stratą. Uznali, że uszanowanie tej decyzji jest odpowiednim hołdem złożonym człowiekowi, który uwolnił ich od Ediego Idioty, znieawidzonego wychowanka Makodży.

Ale któregoś dnia, gdy z nieba lał się tropikalny żar, Maman Gendeng wstał z mahoniowego bujanego fotela, który przejął po Edim Idiocie, i wyszedł z dworca autobusowego prosto do najbliższego sklepu. Szumiało mu i brzęczało w uszach. W sklepie, z powodu przekłętego upału, zażądał skrzynki zimnego piwa, ale sprzedawca podał mu tylko jedną butelkę. Maman Gendeng wpadł we wściekłość, rozbił sklepową witrynę w drobny mak, zbeształ sprzedawcę, który — jego zdaniem — był zupełnie niewychowany, i wziął sobie całą skrzynkę. Wrócił na bujany fotel i chłodził się skradzionym piwem.

Po tym wydarzeniu ludzie z Halimundy uświadomili sobie, że nic się nie zmieniło. Edi Idiota utonął, ale pojawił się nowy łajdak. I nazywał się Maman Gendeng.

Po pamiętnym weselu Alamandy jej matka, Dewi Ayu, poleciła państwu młodym, żeby wynieśli się do własnego domu. Była bardzo zaniepokojona ostatnimi wydarzeniami oraz tym, jak wpłynęły na jej najstarszą córkę. Raz po raz napominała Alamandę, że nie powinna traktować mężczyzn w tak podły sposób, ale dziewczyna odziedziczyła po Bóg wie którym przodku ośli upór, którego skutki odczuwała teraz na własnej skórze.

Dewi Ayu nigdy nie przypuszczała, że urodzi piękne, ale szalone córki, które będą uganiać się za mężczyznami tylko po to, by ich rzucić. Wiedziała o nieodpowiednim zachowaniu Alamandy, odkąd ta odkryła istnienie chłopców; teraz okazywało się znów, że Adinda szła w ślady siostry. Do tej pory była chodzącą niewinnością, wołała siedzieć w domu, niż włóczyć się po mieście, ale od czasu niespodziewanego ślubu Alamandy zniknęła z domu coraz częściej. Spójrzcie na nią! Teraz można ją zastać wszędzie tam, gdzie komuniści organizują krzykliwe wiece. Adinda zaczęła uganiać się za mężczyzną, który kiedyś należał do Alamandy: za towarzyszem Kliwonem. Dewi Ayu nie miała pojęcia, co ona sobie wyobraża, ale

przypuszczała, że w ten sposób chce się zemścić na siostrze. To wszystko mogło przyprawić matkę o prawdziwy ból głowy.

Mężczyźni uganiają się za moją cipą, myślała, a ja rodzę córki, które jak cipy uganiają się za kutasami.

Zatem tym bardziej martwiła się o najmłodszą, Maję Dewi, która miała dwanaście lat. Bała się, że trzecia córka pójdzie w ślady dwóch starszych sióstr. Na razie jednak była dobrym i posłusznym dzieckiem, dalekim od lekkomyślności. Nieustannie czymś zajęta, uprzyjemniała domownikom życie. Zrywała róże i orchidee, które układała w wazonie stawianym każdego ranka w pokoju od frontu. W sobotnie popołudnia zmiatała pajęczyny wiszące pod sufitami w całym domu. Nauczyciele ją chwalili za przykładne zachowanie, co wieczór otwierała podręczniki i odrabiała lekcje przed pójściem do łóżka. Ale to może się zmienić, tak jak w przypadku Adindy, i tym właśnie martwiła się Dewi Ayu.

— Poślubienie kogoś, kogo nie kochasz, jest znacznie gorsze od bycia kurwą — powtarzała najmłodszej córce.

Dewi Ayu miała nadzieję, że wyda Maję Dewi za mąż tak szybko jak to możliwe, zanim córka dorośnie i oszaleje. Przez lata rozwiązywała wszelkie problemy dzięki błyskawicznym reakcjom i każda pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy, natychmiast przechodziła w czyn. Nie chciała patrzeć na dorastającą Maję Dewi zmagającą się z takim samym tragicznym losem, jaki przypadł w udziale Alamandzie i może jeszcze spotkać Adinę. Nie wiedziała jednak, z kim mogłaby wyswatać dwunastolatkę, bo nie chciała jej oddawać byle komu.

Musi porozmawiać o tym ze swoim kochankiem, Maman Gendengiem. Pewnej niedzieli wybrali się we trójkę do parku. Odpoczywali tam przez cały dzień, posilali się tym, na co mieli ochotę, karmili oswojone jelonki i poszli na huśtawki. Dewi Ayu przyglądała się, jak Maman Gendeng prowadzi Maję Dewi to tu, to tam, pokazuje jej pawie kryjące się w krzakach i rzuca wraz z nią orzechy stadu małpek. Nie przejmowała się tym, że w ogóle nie zwracali na nią uwagi, jakby zapomnieli o jej obecności. Patrzyła, jak zmierzają na krawędź klifu nad morzem i próbują liczyć przelatujące mewy.

Po powrocie do domu Maja Dewi wyszła na dwór z przyjaciółkami z sąsiedztwa, a Dewi Ayu przemówiła w końcu do Maman Gendenga:

— A może byście wzięli ślub?

— Kto? — zapytał Maman Gendeng. — Ja i kto?

— Ty i Maja Dewi.

— Oszalałaś! — zawołał. — Jeśli chcę się z kimś ożenić, to tylko z tobą.

Dewi Ayu opowiedziała mu o swoich troskach nad szklanką lemoniady. Siedzieli razem na werandzie, było ciepłe popołudnie. Słyszeli fale rozbijające się o brzeg i wróble awanturujące się w gnieździe na dachu. Byli kochankami już od wielu miesięcy — ona, prostytutka, on, jej klient, który przyznał sobie na nią monopol.

Dewi Ayu upierała się, że Maję Dewi należy za kogoś wydać, a ponieważ nie miała nikogo bliskiego, jedynym mężczyzną, któremu chciała powierzyć córkę, był Maman Gendeng.

— Chcesz mi powiedzieć, że nie będziesz już ze mną sypiała?

— Nie zrozum mnie źle — odpowiedziała Dewi Ayu. — Nadal będziesz mógł mnie odwiedzać w burdelu Mamy Kalong jak każdy żonaty mężczyzna, jeśli nie sprawi ci to przykrości.

— Musiałbym przemyśleć taki krok, może przez wiele lat — wymamrotał Maman Gendeng.

— Chociaż raz pomyśl o innych! Mężczyźni z Halimundy szaleją. Snują się po mieście jak żywe trupy, bo zabroniłeś im mnie dotykać, dlatego że jesteś silniejszy! Jeśli mnie uwolnisz, zostaniesz ich bohaterem. A w zamian za to dostaniesz dziewczynę, która nigdy cię nie zawiedzie: najmłodszą córkę najpiękniejszej kurwy w mieście.

— Ma dopiero dwanaście lat.

— Psy biorą ślub, mając dwa lata, a kury po ośmiu miesiącach.

— Ale ona nie jest psem ani kurą.

— Myślisz w ten sposób, bo nigdy nie chodziłeś do szkoły. Ludzie są ssakami jak psy i chodzą na dwóch nogach jak kury.

Maman Gendeng znał już charakter tej kobiety, a przynajmniej tak mu się wydawało. Wiedział, że Dewi Ayu nie zrezygnuje z żadnego pomysłu, choćby najbardziej szalonego. Upił łyk zimnej lemoniady i poczuł, że drży, jakby musiał przejść po moście szerokim na piczy włos, widząc rozpościerające się pod nim piekło.

— Nigdy nie będę dobrym mężem — zaprotestował bez przekonania.

— Więc bądź mężem okropnym, jeśli chcesz.

— Nie wiemy, czy się zgodzi.

— Jest posłuszną córką — odpowiedziała Dewi Ayu. — Słucha mnie we wszystkim i naprawdę nie sędzę, by ślub z tobą sprawił jej przykrość.

— Nigdy w życiu nie pójde do łóżka z dzieckiem.

— Więc poczekasz jakieś pięć lat.

Wyglądało na to, że wszystko zostało już postanowione. A choć Maman Gendeng był zbirem i *premanem*, drżał na całym ciele, wyobrażając sobie plotki, jakie zaczną krążyć o tym małżeństwie. Powiedzą, że ją zgwałcił i jest zmuszony odpokutować.

— Ożeń się z nią z miłości do mnie — powiedziała w końcu Dewi Ayu — jeśli nie z innych powodów.

Dla Maman Gendenga zabrzmiało to jak wyrok. Czuł się tak, jakby miał ul pełen pszczoł pod czaszką, a w żołądku fruwały mu ważki. Dokończył lemoniadę, ale nie mógł się pozbyć owadów z wnętrza. Potem poczuł, że w piersi wyrastają mu osty i kłują go wszędzie. Jak ostatni słabeusz opadł na oparcie krzesła i przymknął oczy.

- Dlaczego zrzuciłaś mi to tak nagle na barki? — zapytał.
- Bez względu na to, kiedy bym to powiedziała, byłbyś tak samo zaskoczony.
- Pokaż mi jakieś miejsce do spania, muszę się położyć na minutę.
- Moje łóżko zawsze stoi przed tobą otworem.

Maman Gendeng spał mocno, pochrapując lekko, przez blisko cztery godziny. To był jedyny sposób, żeby przetrwać te pszczoły, ważki, osty i inne bzdury. Dewi Ayu spędziła wieczór, odświeżając się w łazience i siedząc w pokoju od frontu z papierosem i kawą. Czekala, aż Maman Gendeng się obudzi. Maja Dewi wróciła do domu i oznajmiła, że chce się wykapać, ale matka zatrzymała ją i poprosiła, aby usiadła naprzeciw.

— Dziecko, wyjdiesz niedługo za mąż jak twoja starsza siostra Alamanda — poinformowała córkę Dewi Ayu.

— Słyszałam, że zamążpójście to prosta sprawa — odpowiedziała Maja Dewi.

— Owszem, to prawda. Trudniej jest się rozwieść.

Z sypialni wyszedł Maman Gendeng blady jak lunatyk, usiadł na krześle i nie mógł spojrzeć na dziewczynę, siedzącą naprzeciw matki.

— Miałem sen — powiedział.

Ani Dewi Ayu, ani Maja Dewi nie zareagowały, czekając na dalszy ciąg.

— Śniło mi się, że ukąsił mnie wąż.

— To dobry znak — powiedziała Dewi Ayu. — Niedługo weźmiecie ślub. Pójdę poszukać naczelnika wioski.

I w ten sposób trzydziestoletni Maman Gendeng poślubił dwunastoletnią Maję Dewi, a działo się to w tym samym roku, w którym Alamanda wyszła za Szodanczo. Krótka i prosta ceremonia ślubna dała asumpt do radosnych plotek w całym mieście na temat tego, co n a p r a w d ę się stało. Ale małżeństwo to uszczęśliwiło mężczyzn z Halimundy, którzy znów mogli odwiedzać Dewi Ayu w burdelu Mamy Kalong.

Dewi Ayu zostawiła dom i dwie służące młodej parze i przeniosła się wraz z Adindą na osiedle odnowionych domów, które zostały po Japończykach. Dewi Ayu podobały się te rezydencje, bo Japończycy zamontowali w nich wielkie wanny — niemal tak duże jak baseny.

— Jeśli ty też chcesz wyjść za mąż, wystarczy, że powiesz słowo — zwróciła się do Adindy.

— Och, wcale mi się nie śpieszy — odpowiedziała średnia córka. — Do końca świata zostało jeszcze trochę czasu.

Przed wyprowadzką Dewi Ayu przygotowała luksusową sypialnię dla młodej pary: pokój, w którym unosił się zapach jaśminu i orchidei. Nowe, zamówione przez nią łóżko, najlepszy materac w mieście z najnowocześniejszymi sprężynami, przywieziono prosto ze sklepu jeszcze tego samego popołudnia i zawieszono nad nimi elegancko plecioną, różową moskitierę. Ściany sypialni udekorowano

kwiatami z krepy. Ale to wszystko było raczej bezcelowe, bo młoda para nie spędziła razem nocy poślubnej.

Maja Dewi, w piżamce, wskoczyła na łóżko z beztróską dziecka. Chciała sprawdzić sprężyny, tak jak kiedyś jej matka w burdelu dla Japończyków. Kiedy znużyły jej się zachwyty nad materacem i wspaniałościami pokoju, położyła się, przytuliła do siebie zagłówek i czekała na pana młodego. Maman Gendeng pojawił się w stanie nieopisanego pomieszania. Nie wskoczył na łóżko, nie rzucił się na żonę i nie zgwałcił jej bezlitośnie, jak czynią to młodzi lekkomyślni mężowie. Zamiast tego przysunął fotel do łóżka, usiadł na nim i spojrzał na buzię dziewczynki udręczonym wejrzeniem mężczyzny, którego ukochana właśnie żegna się z życiem. Miniaturowa uroda Mai Dewi była zaiste czarująca. Jej czarne włosy, rozłożone niczym wachlarz na poduszce, lśniły pięknie. Oczy, które spoglądały na niego, były niewinne i jasne. Nosek, usta i wszystko inne w niej było wprost cudowne. Tyle że, rozumiecie, wszystko to było jeszcze bardzo małe i wzruszające. Jej dłonie były dłońmi dziecka, podobnie jak łydki, a pod piżamką dopiero uwypuklały się piersi. Nie było sposobu, by Maman Gendeng poszedł do łóżka z takim dzieckiem.

— Dlaczego siedzisz tak cicho? — zapytała Maja Dewi.

— No a co mam robić? — odparł Maman Gendeng tonem skargi.

— Mógłbyś przynajmniej opowiedzieć mi bajkę.

Maman Gendeng nie znał zbyt wielu bajek, opowiedział jej więc tę, którą znał najlepiej: o księżniczce Rengganis.

— Jeśli będziemy mieli córkę, damy jej na imię Rengganis — powiedziała Maja Dewi.

— Ja też tak pomyślałam.

Każda kolejna noc upływała im w podobny sposób: Maja Dewi kładła się do łóżka w piżamce, a potem w sypialni zjawiał się zmieszany Maman Gendeng. Przysuwał sobie fotel i przyglądał się małej żonie z tą samą zawstydzoną miną, a Maja Dewi prosiła go o bajkę. Zawsze opowiadał jej tę samą, niemal tymi samymi słowami: o pięknej księżniczce Rengganis, która poślubiła psa. Wieczory te sprawiały im niemal taką radość jak pierwsze noce wszystkim młodym małżonkom, a na ich twarzach nie pojawiało się znużenie. Maja Dewi zazwyczaj zasypiała przed końcem opowieści. Maman Gendeng przykrywał ją kołdrą, zasuwiał moskitierę, gasił światło i zapalał nocną lampkę. Spojrzawszy po raz ostatni na śpiącą spokojnie, na jej buzię, wychodził z sypialni i zamykał ostrożnie drzwi, po czym szedł na drugie piętro do pustego pokoju, w którym spał do rana, kiedy zjawiała się u niego żona z filiżanką gorącej kawy.

Dewi Ayu i Adinda, mieszkające już w nowym domu, śmiały się z tych absurdalnych rytuałów. Maman Gendeng zapoczątkował jeszcze inny zwyczaj. Budził się rano i wypijał przyniesioną przez żonę kawę. Pół godziny później Mira

podawała śniadanie, więc siadali do niego we dwoje jak najszcześniejsza rodzina. Początkowo Maman Gendeng nie mógł się do tego przyzwyczaić, bo zwykł sypiać do późna. Ale po śniadaniu żona pozwalała mu wrócić do łóżka, a jak się okazało — sen z pełnym żołądkiem był jeszcze przyjemniejszy. Maman Gendeng budził się po raz drugi koło dziesiątej, a przy łóżku leżały schludnie wyprasowane rzeczy. Brał kąpiel, co niegdyś nie przyszłoby mu do głowy, i wkładał ubranie. Czuł się dziwnie, widząc siebie w lustrze w śnieżnobiałej koszuli i spodniach z zaprasowanymi zakładkami na przedzie. Choć robił to tylko dla Mai Dewi, codziennie ubierał się elegancko i ucałowawszy w progę żonę w czoło, wychodził do swego stałego miejsca pracy na dworcu autobusowym.

Po pewnym czasie przestał czuć się dziwnie i nic go już nie irytowało, choć jego kumple z dworca zerkali podejrzliwie na te nowe obyczaje. W pracy przez cały czas tęsknił za żoną, nieustannie chciał do niej wracać i nie przesiadywał na dworcu do późnego wieczora. Kiedy tylko zaczynało zmierzchać, wstawał z bujanego fotela i szedł do domu.

Któregoś wieczoru, po miesiącu małżeństwa, Maja Dewi zapytała męża:

— Czy mogę wrócić do szkoły?

Pytanie zaskoczyło go. Oczywiście była jeszcze w wieku szkolnym, a każda dwunastolatka spędza czas na nauce od rana do popołudnia. Ale jednocześnie była jego żoną, a Maman Gendeng nigdy nie słyszał o zamężnych kobietach siedzących w ławkach. To kazało mu się zastanowić, a po chwili doszedł do wniosku, że ich małżeństwo nie jest prawdziwym małżeństwem — takim jak inne. Nie spał jeszcze z Mają Dewi i nie miał najmniejszego zamiaru tego zmieniać. Więc może lepiej, żeby podjęła dalszą edukację.

Pojawił się wszakże inny problem. Szkoła nie zezwalała zamężnym kobietom na uczestnictwo w lekcjach, obawiając się, że mężatki mogą mieć zły wpływ na inne uczennice. Maman Gendeng został zmuszony do złożenia wizyty dyrektorowi szkoły i do przeprowadzenia z nim negocjacji w celu umożliwienia żonie powrotu do nauki. Negocjacje nie przebiegły pomyślnie: musiał ostatecznie przycisnąć dyrektora do ściany i znokautować dwóch nauczycieli, którzy przybiegli mu na pomoc. Wiele lat później cała historia powtórzyła się niemal jota w jota, kiedy odmówiono prawa do nauki jego córce, Pięknej Rengganis.

Po tej wstydlivej porażce przyjęto do szkoły Maję Dewi.

Małżeństwo nadal przebiegało tak spokojnie jak wcześniej. Rano Maja Dewi budziła jak zwykle Maman Gendenga filiżanką świeżo zmielonej kawy Lampung, choć teraz miała na sobie szkolny mundurek. Zasiadali przy stole do wspólnego śniadania, patrząc na służące jak ojciec bez żony i córka bez matki. Za kwadrans siódma Maja Dewi pakowała tornister, Maman Gendeng przed jej wyjściem całował ją w czoło, a potem wracał do łóżka.

Kiedy po południu przybiegała ze szkoły do domu, Maman Gendenga jeszcze nie

było, więc zajmowała się gospodarstwem najlepiej jak umiała. Wieczorami, po wspólnym obiedzie, Maja Dewi siadała przy biurku i odrabiała lekcje. Maman Gendeng nie mógł jej w niczym pomóc, jednak dotrzymywał jej towarzystwa z cierpliwością oddanego kochanka. Rytuał ten dobiegał końca około dziewiątej. Nadchodziła pora spoczynku, ale Maman Gendeng nie opowiadał już żonie bajki o Pięknej Rengganis, która poślubiła psa. Maja Dewi wkładała piżamkę i kładła się do łóżka. Maman Gendeng otulał ją kołdrą, zaciągał zasłony, wyłączał światło, zapalał nocną lampkę i mówił żonie „dobranoc”.

— Dobranoc — odpowiadała Maja Dewi i zamykała oczy.

Nadal się nie kochali, choć od daty ślubu upłynął już pełen rok.

Pewnego wieczoru Maman Gendeng poszedł odwiedzić Dewi Ayu w jej komnatach w burdelu Mamy Kalong — zupełnie tak jak kiedyś.

— Po co tu przyszedłeś? — zapytała Dewi Ayu.

— Nie mogę zapanować nad chucią.

— Masz żonę.

— Wielbię ją za bardzo, żeby wyrzucić jej krzywdę. Jest tak przezroczysta, że nie śmiem jej dotknąć. Chcę się przespać z teściową.

— Doprawdy, pojebany z ciebie zięć — mruknęła Dewi Ayu.

I kochali się do samego rana.

Przyjaźń między Maman Gendengiem a Szodanczo rozpoczęła się przy karcianym stole na środku targu. Przyjaźń ta była przedziwna, bowiem od czasu gwałtu na Dewi Ayu, dokonanego przez Szodanczo, i wizyty Maman Gendenga w dowództwie okręgu wojskowego między tymi dwoma zapanowała na wieki, jak się wydawało, głęboko zakorzeniona niechęć. Sytuacji nie polepszał fakt, że ludzie Maman Gendenga nieustannie mieli problemy z żołnierzami Szodanczo. Wojsko nie chciało płacić w burdelu, a *premani* byli od tego, żeby zająć się każdym, kto przespał się z kurwą i nie chciał uiścić opłaty. Wojsko nie chciało również płacić w piwnych ogródkach i gospodach — ich właściciele wprawdzie nie robili z tego wielkiej afery, bo żołnierze nigdy za dużo nie pili, ale *premani*, którzy właściwie mieszkali w piwnych ogródkach, traktowali to jak policzek. Co gorsza, żołnierze zawsze zatrzymywali jednego czy drugiego *premana* pod byle pretekstem: a to, że jest pijany, a to, że rzuca kamieniami w witryny sklepów, i tak dalej, i tym podobne. W taki razach podwładni Szodanczo niestrudzenie wyżywali się na *premanach* za kwaterą główną i puszczali ich dopiero wtedy, kiedy tamci — tak posiniaczeni, że aż czarni — słaniali się na nogach. Wszystko to doprowadzało do drobnych utarczek między żołnierzami a bandą Maman Gendenga.

Ale problemy te — do czasu — łatwo dawało się rozwiązać. Jeśli wojskowi pojмали *premana* i stłukli go na kwaśne jabłko, w odwecie banda zasadzała się na jakiegoś idącego drogą żołnierza i wciągała go na plantację kakao. Jeśli schwymano

przestępcę, Maman Gendeng uwalniał go za niewielkim okupem, żeby zamknąć żołnierzom usta. Gdzieś pomiędzy zwaśnionymi stronami szwendała się policja, ale ta wołała zamykać się w komisariatach i przymykać na wszystko oko.

Wielu miało nadzieję, że Szodanczo szybko się upora z wrogami publicznymi, ale tak jak w przypadku Ediego Idioty były to tylko pobożne życzenia, gdyż Szodanczo był zajęty problemami rodzinnymi, żądaniami Związku Rybaków i nie miał czasu zastanawiać się nad Maman Gendengiem i jego kumplami. W efekcie sława Szodanczo jako bohatera wojennego mocno wyblakła: szczerze mówiąc, ludzie przestali mu ufać i zaczęli podejrzewać, że wojsko spiskuje z *premanami* i celowo podsyca niepokoje, a to potwierdzały niejako koneksje rodzinne obu dowódców: obaj, Szodanczo i Maman Gendeng, byli zięciami Dewi Ayu.

Sprawy wymknęły się nieco spod kontroli, kiedy któregoś dnia żołnierz z kwatery dowództwa okręgu wdał się w utarczkę z ochroniarzami burdelu Mamy Kalong. Spór wynikł z powodu dziewczyny ze wsi, którą obie strony uważały za swoją własność. Doszło do ulicznej bójki, w którą włączyły się posiłki z obu stron. Osobisty zatarg przeistoczył się w prawdziwą bitwę między żołnierzami a bandą zbirów.

Trudno orzec, kto był temu winny, ale po godzinie zażartej walki na poboczu zalegało dwadzieścia powalonych drzew, a wszystkie witryny w sklepach zostały stłuczone. Na ulicy leżały kamienie, dymiły opony i dwa przewrócone auta, a w pobliżu płonął komisariat policji.

Przerażeni ludzie pochowali się w domach. Tętniąca zazwyczaj życiem Jalan Merdeka zamarła z powodu starcia. Po jednej stronie ulicy stała banda *premanów* z szablami, samurajskimi mieczami, dzidami, okutymi pałkami, maczetami, kamieniami i koktajlami Mołotowa. Oprócz tego mieli też granaty i inną broń z czasów wojny partyzanckiej. Natomiast po drugiej stronie ulicy znaleźli się nie tylko podwładni Szodanczo, ale i żołnierze z wszystkich posterunków wojskowych w mieście: stali w szyku bojowym z naładowaną bronią.

Tego dnia miasto ogarnęła głucha cisza, jakby ludzie opuścili Halimundę przed setkami lat. Ta pełna napięcia martwota pełzła przez okolicę, a wraz z nią strach, że w mieście — które od czasu wywalczenia niepodległości nie zaznało spokoju — wybuchnie nowa wojna domowa. Większość nie znosiła wszechwładzy *premanów* i obiecywała sobie, że jeśli dojdzie do wojny, opowie się po stronie żołnierzy. Ale równie wielu innych miało dość panoszenia się wojska i obiecywało sobie, że jeśli wybuchnie wojna, staną po stronie *premanów*.

Ostatecznie wszyscy powyrzynali się nawzajem, nie oszczędzając nikogo.

Przez całe popołudnie rozlegały się wybuchy granatów, koktajli Mołotowa, między sklepami a domami świszczały strzały. Nikt jeszcze nie wiedział, czy ktoś został zabity. Szodanczo, pochłonięty niekończącymi się kłopotami rodzinnymi, nie

chciał początkowo słuchać o tej napiętej sytuacji, a kiedy w końcu dowiedział się, o co chodzi, wpadł w gniew, że jakaś wiejska dziewczucha doprowadziła do zniszczenia serca miasta. Postanowił, że żołnierz, który wszczął spór, trafi do karceru na siedem dni i siedem nocy bez jedzenia i bez picia, a jeśli zdechnie, to nikt po nim nie zapłaci. Najpierw jednak musiał powstrzymać tę rozszerzającą się falę zniszczenia. Posłał więc szybko najbardziej zaufanego żołnierza, Tino Sidiqę, do Maman Gendenga z wezwaniem do zawieszenia broni i zawarcia pokoju.

Maman Gendeng, który przeżywał właśnie miodowy miesiąc swego przedziwnego małżeństwa, również dowiedział się o walkach na Jalan Merdeka, ale i on niespecjalnie się nimi przejął. Rozgniewało go tylko, że wciąż przeszkadzają mu w stworzeniu szczęśliwej rodziny i nadrobieniu tych wszystkich lat, które zmitrężył na bezcelowej samotnej wędrówce. Był pewny, że do utarczki doprowadził jakiś nieokrzesany żołnierz.

Dwunastoletnia żona przekonała go jednak, żeby zajął się trwającą bitwą, i Maman Gendeng w końcu wyszedł, umówiwszy się najpierw z Tino Sidiqiem, że spotka się z Szodanczo na neutralnym gruncie w połowie drogi między dworcem autobusowym a kwaterą dowództwa okręgu wojskowego. Miejsce to wypadło na targowisku.

Przegonili czterech mężczyzn — sprzedawcę solonych ryb, riksarza, kulisa i męża handlarki odzież — siedzących wokół stołu do kart na środku targowiska i obstawiających wygraną monetami brzęczącymi to w jednym rogu stołu, to znów w drugim. Gracze odeszli kawałek i stanęli zapatrzeni przy straganie handlarki drobiem, kiedy wreszcie nadszedł Szodanczo. Cały sprzedaż na targowisku zamarła, a handlarki, handlarze i klienci skamienieli jak słupy soli, czekając, aż dwaj wodzowie ustalą, czy tego popołudnia wybuchnie straszliwa wojna domowa, czy też wojnę tę odłoży się na lata, a może nawet na następne stulecia.

Szodanczo oznajmił, że *premani* powinni natychmiast się wycofać i oddać broń, ponieważ tylko wojsko ma prawo ją nosić. Maman Gendeng uznał to za rażącą niesprawiedliwość, bowiem wojsko używa broni bezkarnie. Więc znów odezwał się Szodanczo:

— Nie rozwiążemy tego problemu, mój drogi przyjacielu, kłócąc się jak dzieci.
— A po chwili dodał: — Zatem zgoda, przez pewien czas nie dojdzie do rozbrojenia, ale musisz zabrać swoich ludzi z ulicy i zarządzić koniec zamieszek i koniec wybijania szyb.

— Mój drogi Szodanczo — odrzekł Maman Gendeng — zgodzisz się ze mną zapewne, że uzbrojeni żołnierze nie powinni wdawać się w spory o wiejskie dziewczyny czy kogokolwiek innego. I tak jak wszyscy inni mężczyźni w tym mieście powinni płacić za każdą wizytę w burdelu, płacić w piwnych ogródkach, kiedy piją piwo, i płacić za przejazd, kiedy wsiadają do autobusu. Skończyły się złote czasy, Szodanczo.

Szodanczo wciągnął głęboko powietrze i poskarżył się, że wojsko nie otrzymuje odpowiednio wysokiego żołdu od rządu w stolicy, a jego interes, prowadzony z pomocą żołnierzy i sił miejskich, wymaga przekazywania większości zysków generałowi w Dżakarcie.

— Dlatego, mój drogi przyjacielu, złożę ci pewną propozycję, która początkowo może nie wyda ci się zbyt intratna, ale pomoże nam znaleźć rozwiązanie tego skomplikowanego problemu — zakończył Szodanczo.

— Składaj, proszę.

— Może, przyjacielu — zaczął Szodanczo — zgodzimy się, że twoje zbiry i goryle będą oddawać część swoich zarobków żołnierzom, żeby ci mogli płacić za kurwy i upijać się należycie.

Maman Gendeng zastanawiał się przez chwilę i uznał, że nie ma problemu w uszczknięciu dochodów jego ludzi pod warunkiem, że żołnierze nie będą zaczepiać *premanów* niezależnie od przewinienia i zgodzą się zawrzeć obustronnie zyskowy pokój.

Doszło więc w końcu do porozumienia, które poprzedziły szeptu niesłyszalne dla zapatrzonych w wodzów ciekawskich na rynku. Maman Gendeng i Szodanczo wysłali swych *totumfackich* z wiadomością, że dzisiaj o czwartej po południu rozpocznie się zawieszenie broni. Żołnierze wrócą do koszar, a *premani* do swoich nor. Maman Gendeng i Szodanczo zostali teraz sami na targowisku i każdy z nich odetchnął z ulgą, jakby właśnie zdołał się wydostać z paszczy tygrysa. Rozsiedli się wygodniej, a Szodanczo zapytał:

— Umiesz grać w karety?

— Często grywam w karety z przyjaciółmi na dworcu — odrzekł Maman Gendeng.

Zaprosili więc sprzedawcę solonych ryb i kulisa z powrotem do stołu i zegrali we czwórkę w karety, i tak zrodziła się ich dziwna przyjaźń przy stole karcianym. Rozstrzygali przy nim półgłosem wiele spraw dotyczących żołnierzy i *premanów*. Zgodnie z nowym zwyczajem spotykali się trzy razy w tygodniu. Dla nikogo nie było tajemnicą, że zawsze oszukiwali i zawsze chcieli wygrać, ale koszt takiego zwycięstwa nie był zbyt wysoki i wynosił zaledwie kilka monet w jedną czy drugą stronę. Czasem grywali z mężem handlarki odzieżą, a czasem z zielarzami, kulisami, rikszarzami *becak*, rzeźnikami, sprzedawcami solonych ryb czy posłańcami — z każdym, kto był akurat na targowisku i umiał grać w karety.

Kiedy Szodanczo siadał przy stole, natychmiast pojawiał się Maman Gendeng i na odwrót. Przedziwna przyjaźń, warto to powtórzyć, bo w głębi duszy żywili do siebie niechęć. Maman Gendeng wciąż czuł odrazę do Szodanczo za jego afront: wypierdolenie kurwy, którą kochał; a Szodanczo nadal był wściekły na bezczelnego siłacza za groźby składane w jego własnym gabinecie, bez cienia szacunku dla dowódczej rangi w okręgu wojskowym, a nawet w całej armii, co potwierdzał

podpisany przez samego prezydenta republiki awans na głównodowodzącego.

Ludzie nie mogli uwierzyć w tę przyjaźń. Doceniali to, że wszystkie problemy miasta da się rozwiązać z łatwością przy stole do kart, ale z drugiej strony złościли się, kiedy pojęli, że doszło do podstępnego spisku między żołnierzami a *premanami*, którzy wspólnie zaczęli wymuszać pieniądze od mieszkańców miasta. Zrozumieli także w tym nagłym olśnieniu, że nie mają już nikogo, do kogo mogliby pójść na skargę. Nie myślcie sobie, że mogli się poskarżyć policji, bo jedyną rzeczą, jaką zajmowała się policja, było dmuchanie w gwizdki na ruchliwych skrzyżowaniach.

Właśnie wtedy Partia Komunistyczna stała się jedyną instancją, do której mogli się zwrócić, więc zwracali się do niej — nade wszystko do towarzysza Kliwona. W tamtym czasie zarówno Partia Komunistyczna, jak i towarzysz Kliwon cieszyli się największym zaufaniem w całej Halimundzie.

A przyjaźń między Szodanczo a Maman Gendengiem trwała w najlepsze. Z czasem stół do kart stał się nie tylko meblem, nad którym omawiano spory między żołnierzami a *premanami* i sposoby najsprawiedliwszego dzielenia łupów, ale i konfesjonałem, w którym Szodanczo lamentował nad swym marnym losem, jakby odkrywał serce przed starym druhem. O tym właśnie prowadzili rozmowy po zakończeniu gry, kiedy kupcy i handlarki zamykali stragany i wracali do domów. Czasem rozmawiali również o towarzyszu Kliwonie. Szodanczo uważał, że Kliwon nie jest prawdziwym komunistą, ale chce się zemścić za odebranie mu ukochanej Alamandy. Słyszając o tym dramacie (o którym doskonale wiedział już wcześniej), Maman Gendeng roześmiał się i zaryzykował opinię, że nie powinno się kraść cudzych narzeczonych. Z tej właśnie przyczyny bolało go tak bardzo, gdy Szodanczo przespał się z Dewi Ayu. Usłyszawszy to, Szodanczo poczerwieniał, a do oczu napłynęły mu łzy jak chłopcu, który stracił matkę.

— Jestem, kurwa, najbardziej samotną osobą na tym pojebanym świecie — oznajmił. — Rozpocząłem szkolenie wojskowe u Japończyków w oddziale Seinendan, kiedy byłem nastolatkiem i nawet nie marzyłem, że zostanę *shodancho*. Prowadziłem wojnę partyzancką przeciw Japończykom, która ciągnęła się jeszcze przez wiele miesięcy po ich kapitulacji. Moje życie składało się z samych wojen, które wybuchały jedna po drugiej. Na końcu prowadziłem wojnę ze świniami. Mam już tego dosyć.

Maman Gendeng podał Szodanczo chusteczkę, którą Maja Dewi zawsze wkładała mu do kieszeni spodni. Szodanczo otarł łzy.

— Chcę żyć jak inni. Chcę kochać i być kochany.

— Twoi ludzie bardzo cię kochają — pocieszył go Maman Gendeng.

— Ale wiesz doskonale, że nie mogę się z nimi ożenić.

— Cóż, obaj mamy przynajmniej piękne żony.

— Co z tego, kiedy wzięłem ślub z kobietą, która kochała innego taką miłością,

co nigdy się nie kończy.

— Może to i prawda — odrzekł Maman Gendeng. — Widziałem towarzysza Kliwona na czele rybaków. Jest całkiem sympatyczny i ciężko pracuje, by pomóc innym w nieszczęściu. Chwilami mu zazdroszczę. Czasem wydaje mi się, że jest jedyną osobą w tym mieście, która z nadzieją patrzy w przyszłość.

— Właśnie tacy są komuniści — zauważył Szodanczo. — Godni politowania marzyciele, którzy nie zdają sobie sprawy, że ten świat to najpaskudniejsze miejsce pod słońcem. Z tej przyczyny Bóg obiecał udręczonym masom niebo na pocieszenie.

Ich rozmowy były tak wciągające, że nawet nie zauważali, kiedy zapadała noc. Gdy któryś z nich spojrział w końcu na zegarek, wstawali szybko od stołu, ściskali się na pożegnanie i wracali do domów w przeciwnych kierunkach. Każdy do własnego i do własnej żony. Któregoś dnia sprawy potoczyły się tak, że Mira i Sapri postanowili rzucić służbę w domu Maman Gendenga, bo zakochali się w sobie; chcieli wziąć ślub i zamieszkać w rodzinnej wiosce. Maman Gendeng zachodził w głowę, skąd weźmie nową służącą dla smarkatej jeszcze żony. Ale nie musiał się o nic martwić. Kiedy pierwszego dnia bez służby wrócił do domu po grze w karety z Szodanczo, na dworze było już ciemno, a na stole czekał na niego obiad.

— Kto to wszystko ugotował? — zapytał, zdezorientowany.

— Ja sama.

Właśnie wtedy zdał sobie sprawę z tego, jak doskonałą gospodynią jest jego żona. Nie tylko wyprasowała schludnie i skropiła perfumami jego ubrania, ale i ugotowała obiad, który okazał się znakomity — taki, jaki lubił najbardziej. Matka uczyła ją wszystkiego od najmłodszych lat, wytłumaczyła Maja Dewi. Umiała także piec i zawsze wymyślała nowe przepisy na ciasteczka i ciasta, którymi dzieliła się z sąsiadkami. Maja Dewi stała się ambasadorem rodziny: osobą utrzymującą przyjazne stosunki z mieszkańcami okolicy, gdyż Maman Gendeng nie mógł liczyć na to, że ktoś zmieni niepochlebną opinię na jego temat. Wypieki żony sprowadziły im wiele szczęścia, bo sąsiadki wkrótce zaczęły zamawiać u Mai Dewi ciasteczka i ciasta na rodzinne uroczystości, takie jak obrzezanie synów, a zamówień było coraz więcej. Maja Dewi piekła popołudniami po szkole, więc niezależnie od okoliczności nigdy nie będą musieli się martwić o biedę w domu.

Maman Gendeng wyrzucał sobie, że chodzi do burdelu Mamy Kalong, by sypiać z teściową, gdy ma pod bokiem tak wspaniałą żonę. Któregoś wieczoru, gdy trafił tam po raz kolejny, Dewi Ayu zachichotała na jego widok.

— Niech zgadnę: jeszcze nie tknąłeś żony i znów chcesz iść do łóżka z teściową?

— Przyszedłem tylko po to, żeby ci powiedzieć, że już nigdy się z tobą nie położę.

Zaskoczona Dewi Ayu zapytała:

— Dlaczego?

— Mając tak cudowną żonę jak twoja najmłodsza córka, już nigdy nie spojrzę na inną kobietę.

Wypowiedziawszy te słowa, Maman Gendeng szybko opuścił sypialnię Dewi Ayu, śpiesząc do czekającej w domu stęsknionej żony.

PO TYM JAK JUŻ ZANIÓSŁ ŚCIĘTY MIGDAŁOWIEC Alamandzie w dniu jej ślubu z Szodanczo, towarzysz Kliwon poszedł z przyjaciółmi na plażę. Od najmłodszych lat kochał morze. Mieszkał pośród rybaków i wypływał z nimi na połów niczym syn rybaka. Topił się tyle razy, ile razy syn rolnika rani się maczetą. Nie chciał wracać na grzybową farmę, która przypominała mu o Alamandzie; nie chciał pielęgnować gorzkich wspomnień.

Wraz z dwoma starymi przyjaciółmi zbudował niewielką chatę na plaży za kępą pandanów. Z Karminem i Samiranem wypływali nocami na łowisko i dzielili się rybami z właścicielem pożyczonej łodzi. W południe, po krótkiej drzemce, rozpoczynał lekturę marksistów i nauczał przyjaciół. Często zachodził do komitetu partii przy Jalan Belanda i prowadził korespondencję z działaczami w stolicy. Podczas krótkiego pobytu w Dżakarcie studiował w partyjnej szkole, w której zawarł wiele znajomości.

Działacze ze stolicy przysyłali mu czasopisma i magazyny, a partia dostarczała do chaty gazetę. W kącie chaty gromadziły się sterty książek, a Kliwon dowiadywał się z pierwszej ręki, co pisali Marks z Engelsem, Lenin z Trockim i sekretarz Mao. Czytał także broszury miejscowych towarzyszy, takich jak Semaun i Tan Malaka. Niektórzy z tych myślicieli, tacy jak Trocki i Tan Malaka, byli w istocie nieprawomyślni, ale ktoś w partii zadbał o to, by Kliwon miał do nich dostęp.

Nie był jeszcze członkiem partii, ale dopiero kandydatem. Z własnej woli studiował myśl marksistowską i pilnie uczestniczył w debatach politycznych organizowanych przez partię, ba, sam zabierał w nich głos, kiedy tylko nadarzyła się po temu okazja. Aktywizował rybaków i robotników z plantacji. Pół roku po ślubie Alamandy sekretarze komitetu partyjnego z Halimundy doszli do wniosku, że Kliwon należy do najlepszej kadry w regionie, i przyjęli go na pełnoprawnego członka partii. Otrzymał też pierwsze zadanie: miał zebrać partyzantów z armii rewolucyjnej, którzy w większości byli komunistami — towarzyszy walczących ramię w ramię z żołnierzami Szodanczo, rozproszonych obecnie po nieudanym powstaniu sprzed lat. Teraz przyłączali się do partii na nowo z tęsknoty za rewolucją.

Właśnie wtedy założono Związek Rybaków, którego pierwszymi członkami zostali Samiran i Karmin, z towarzyszem Kliwonem jako przewodniczącym. Po dwóch tygodniach do związku przystąpiło pięćdziesięciu trzech rybaków, a wkrótce niemal wszyscy łowiący na wodach Halimundy. Każdej niedzieli, kiedy nie było nic ważniejszego do roboty, rybacy zbierali się na targu rybnym tuż obok portu. Towarzysz Kliwon rozdawał partyjne ulotki i tłumaczył, jakie zagrożenie niesie ze

sobą wykorzystywanie do połowów dużych jednostek rybackich.

Związek zajmował się teraz wszystkimi rybackimi ceremoniami. Przed wrzuceniem do oceanu krowiego łba jako ofiary dla królowej Mórz Południowych towarzysz Kliwon wygłaszał krótką przemowę, w której cytował *Manifest komunistyczny*. To samo robił na pogrzebach rybaków, którzy zginęli na morzu, czy podczas ceremonii dziękczynnych, kiedy dziękowali za dobrą pogodę występami *sintren*.

Wszystkie pieśni ludowe zastąpiono *Międzynarodówką*, a końcowe modlitwy wieńczono okrzykiem: „Robotnicy wszystkich krajów, łączcie się!”.

— Czuję się jak misjonarz szerzący nową religię — chichotał z przyjaciółmi z komitetu towarzysz Kliwon. — *Manifest komunistyczny* jest naszą świętą księgą. A zbieranie zwolenników to najważniejsze zadanie zarówno dla komunisty, jak i apostoła jakiegóż religii.

Towarzysz Kliwon był w tych czasach rozchwytywany. Oprócz organizowania rybaków i prowadzenia wśród nich agitacji rozpoczął wykłady w szkole partyjnej dla nowych kadr. Nadal wypływał w morze i prowadził związek, co sprawiało mu wielką radość, więc kiedy partia zaproponowała mu dalsze studia w Moskwie, odmówił i został w Halimundzie.

Jedyne wolne chwile miał rano, kiedy wracał z morza. Siadał wtedy przed chatą i czytał trzy gazety, które szczyły się tym, że docierają do Halimundy przed śniadaniem. Czytał „Dziennik Ludowy”, czyli organ partii, następnie „Wschodnią Gwiazdę”, organ innej partii uznawanej za „sprzymierzeńca”, a na koniec zaglądał do lokalnej gazety partyjnej, wydawanej w Bandungu. Oddawał się lekturze i pił kawę, a potem szedł się wykapać w źródółku za chatą, zjadał śniadanie i kładł się, żeby spać do południa.

Kiedyś, w połowie porannych czynności, ujrzał siedem uczennic maszerujących na wschód po piasku. Zerknął na nie, choć bez zaciekawienia, gdyż po plaży zawsze włóczyły się grupki wagarujących uczniów. Niewiele sobie robiąc z ich obecności, wrócił do gazet i kawy. Nie skończył jeszcze czytać artykułu z pierwszej strony (ciąg dalszy był na stronie ósmej), kiedy usłyszał jakiś rwetes. To musiały być te dziewczęta (bo o dziewiątej rano plaża była przeważnie wyludniona). Dobiegały go przenikliwie dźwięki — nie okrzyki niesfornych dzieciaków, ale pisk strachu.

Towarzysz Kliwon odłożył gazetę i ruszył ku oddalonym od chaty dziewczętom. Biegały w tę i z powrotem, aż w końcu od grupy oderwała się jedna i zaczęła uciekać, goniona przez psa. W Halimundzie jest za dużo dzikich psów, pomyślał towarzysz Kliwon. Wszystko przez hodującego je Szodanczo.

Chciał pomóc dziewczynie, ale ta była za daleko, a pies zaledwie dziesięć stóp za nią. Obejrzała się, zauważyła Kliwona i instynktownie skręciła w jego stronę, a szczekający wściekle czworonóg za nią. Towarzysz Kliwon natychmiast ku niej ruszył. Wzywała pomocy, a jej przyjaciółki piszczwały.

Przyśpieszył kroku, nie zwracając tymczasem uwagi na coś niezwykłego, co uświadomił sobie dopiero później, a mianowicie na szybkość, z jaką poruszała się dziewczyna. Pośród pisków i poszczekiwań utrzymywała ciągle tę samą odległość od zwierzęcia i jego kłapiącej paszczy, a kiedy towarzysz Kliwon znalazł się bliżej, przekonał się na własne oczy, że pokonała dystans dwukrotnie dłuższy od tego, który sam przebiegł, mimo że biegł jej na pomoc tak szybko, jak tylko umiał. Widział przerażenie na jej twarzy, która znalazłszy się w odległości pięciu stóp, odbiła się od ziemi i rzuciła w ramiona Kliwona, łapiąc go za szyję. Pies, uznawszy, że to najlepszy moment do ataku, również wyskoczył w powietrze. Ale towarzysz Kliwon był szybszy i w odpowiednim momencie kopnął psa z całej siły w łeb, posyłając go na ziemię, gdzie leżał i skomlał przez chwilę, by znieruchomieć z pianą toczącą się z pyska. Pies był wściekły i zdechł.

W ramionach towarzysza Kliwona znajdowała się uczennica, która przyłgnęła do niego tak mocno jak Alamanda podczas szalonych pocałunków na stacji. Od tamtej pory wiele dziewcząt i młodych mężatek wzdychało do Kliwona, lecz on zerwał ze swą złą sławą kobieciarza i poświęcił się całkowicie pracy dla partii oraz rybołówstwu, nie miał czasu na flirty i uwodzenie. Ale ta dziewczyna ścisnęła go mocno i Kliwon — chcąc chronić ją przed wściekłym psem — tulił ją mimowolnie.

Byli spleceni tak ciasno, że towarzysz Kliwon czuł na sobie jej piersi, a rozwiewane przez wiatr włosy dziewczyny omiały mu twarz. Kiedy nadbiegły uradowane przyjaciółki, towarzysz Kliwon odepchnął ją delikatnie i właśnie wtedy ujrzał po raz pierwszy jej niezwykłą urodę: staromodny, delikatny, wrodzony wdzięk, dwa warkocze, przymknięte oczy z długimi rzęsami nimfy, wąski nos, drobne żłobione uszy, lekko nadąsane usta i pełne policzki, po czym zdał sobie sprawę, że dziewczyna zemdląła — straciła przytomność prawdopodobnie w chwili, w której znalazła się w jego ramionach.

Z pomocą przyjaciółek zaniósł ją do chaty i posadził omdlałą na krześle. Nie zdołał jej docucić, więc zatrzymał przypadkowy wóz zaprzęgnięty w konia, przejeżdżający akurat przez chwasty przy źródelku za chatą. Przykazał woźnicy i przyjaciółkom dziewczyny, by zawieźli nieprzytomną do domu. Dziewczęta wspięły się na furmankę.

Kiedy wóz zniknął za zakrętem i ustał ciężki stukot końskich kopyt, towarzysz Kliwon nadal czuł na sobie zapach włosów dziewczyny, dotyk jej jędrnych piersi i inne efekty jej tajemniczej urody. Próbował odgonić od siebie te wspomnienia, mówiąc sobie, że musi ciężko pracować dla przyszłości partii, ale tamto ciepło nie chciało odejść nawet wtedy, kiedy zakopywał zdechłego psa w gęstwinie i budził przyjaciół na posiłek z ryżu.

Kiedy położył się spać, cierpiał jeszcze bardziej. Prześladowały go wydarzenia tego poranka i zdał sobie sprawę, że twarz uratowanej przed wściekłym psem uczennicy nie jest mu całkiem obca i być może zna nawet jej imię. Wciąż czując na

sobie jej ciepło, usiłował przypomnieć sobie, skąd ją zna. Dziewczyna miała jakieś piętnaście lat, więc z całą pewnością nie mógł się z nią spotykać. I wtedy go olśniło, już wiedział, kim jest, lecz wiedza ta przysporzyła mu jeszcze więcej udręki: rzeczywiście z n a ł jej twarz i znał nawet jej imię, znał j ą, odkąd skończyła sześć lat. Przez rok przed wyjazdem do Dżakarty widywał ją niemal codziennie. Zaczął natychmiast odganiać wspomnienie jej ciepła, dotyku jędrnych piersi, ale był stracony.

— Och — jęknął żałośnie. — Dlaczego to akurat Adinda, młodsza siostra Alamandy?

Postanowił wstać z posłania. Rybacy wyłaniali się z chat i zabierali do pracy przy sieciach, porozrywanych miejscami przez rzucające się ryby; inni wybierali się do miasta w poszukiwaniu rozrywki. Upewniwszy się, że sieci schnące obok chaty są w dobrym stanie, towarzysz Kliwon poszedł się wykapać w źródelku. Przy źródelku był kran osłonięty kępą pandanów. Pod kranem stała duża beczka z odpływem zatykanym starym gumowym sandałem. Towarzysz Kliwon nigdy nie lubił kąpać się pod prysznicem, z którego woda sączy się jak szczyzny. Zawsze wolał nabierać wodę w garście i polewać nią całe ciało.

Okazało się, że nie zdoła się uwolnić od tej dziewczyny, której rodzina prześladowała go od samego początku. Zanim skończył kąpiel, Karmin krzyknął zza chaty, że szukają go jakieś panienki. Ubrał się i z mokrymi włosami wszedł do frontowej izby, gdzie zastał dwie dziewczyny, przypatrujące się wiszącym na ścianach portretom Marksa i Lenina oraz fladze z sierpem i młotem.

— Dziękuję, że mi pomogłeś — zwróciła się do towarzysza Kliwona Adinda, dygając z lekkim zawstydzeniem. W ogóle nie przypominała Alamandy, miała spokojną, niewinną twarz i była nieśmiała.

— Biegasz bardzo szybko — pochwalił ją towarzysz Kliwon. — Z taką szybkością zagoniłabyś tego psa na śmierć.

— Wcześniej by mnie ugryzł — odpowiedziała Adinda — bo omdlewałam.

Niepokój wywołany przez dziewczynę dał się załagodzić na pewien czas obowiązkami partyjnymi. Musiał zająć się skargami związkowców na kutry Szodanco. Następnego ranka poprowadził grupę rybaków do portu. Kiedy kutry zacumowały przy nabrzeżu nieopodal rybnego targu, żeby wyładować połów, towarzysz Kliwon i związkowcy stanęli pod dźwigami. Towarzysz Kliwon oznajmił jednemu z szyprów, że nie odejdą stąd, dopóki nie dostaną gwarancji, że duże jednostki zaprzestaną połowów na tradycyjnych łowiskach.

— Nic mnie nie obchodzi, czy wasze ryby zgniją — rzucił i zakończył, rzecz jasna: — Robotnicy wszystkich krajów, łączcie się!

Rybacy z kutrów stali spokojnie przy relingach, bo też i nie mieli zamiaru ścierać się z sąsiadami z wiosek i nie dbali o to, czy ryby z połowu zgniją, bo przecież nie

płacono im rybami. Handlarze z targu siedzieli cicho, choć czuli się oszukani, ale rybaków było zbyt wielu, a każdy z nich był silny jak mały rekin. Wściekli i zawiedzeni byli tylko szyprowie na kutrach i przedstawiciele Szodanco, ale nawet oni nie odważyli się stanąć do konfrontacji ze związkowcami. Minęła pełna napięcia godzina, trwała agitacja, a rybacy śpiewali chórem *Międzynarodówkę*, trzymając się za ręce przed kutrami i czekając na to, co się z nich wyłoni: ludzie czy ryby.

Towarzysz Kliwon był całkiem pewny zwycięstwa. A jeśli kutry nie zastosują się do jego ultimatum, przez następne dni ich ładownie wypełnią się samymi gnijącymi rybami. Lecz zanim stopiły się bloki lodu w ładowniach i ryby zaczęły gnić, na nabrzeżu pojawili się policjanci i kompania wojska. Po chwili wahania rybacy postanowili stanąć do walki, ale kiedy żołnierze oddali ostrzegawcze salwy w powietrze, rozbiegli się w popłochu. Towarzysz Kliwon zarządził wycofanie związkowców z nabrzeża.

To powinno wystarczyć, żeby zapomniał o Adindzie, ale tak się nie stało. Dziewczyna pojawiła się w porcie wśród rybaków, a on ją dostrzegł.

Chata, w której mieszkał towarzysz Kliwon wraz z Karminem i Samiranem, służyła za centralę związkową i jej podwoje były otwarte dla wszystkich. W chacie odbywały się częste zebrania związkowców, prowadzono w niej niekończące się dyskusje, więc towarzysz Kliwon nie mógł ot tak wyprosić z niej Adindy, kiedy po szkole przychodziła do centrali wraz z przyjaciółkami.

Adinda dobrze znała angielski, co w Halimundzie nie było niczym nadzwyczajnym ze względu na licznych przybywających do miasta obcokrajowców. Towarzysz Kliwon miał z kolei wspaniałą bibliotekę, która zachwycała miłośników książek. Większość zgromadzonych przezeń tomów dotyczyła filozofii i polityki, ale były wśród nich także wydane po angielsku bajki, które uwielbiała Adinda. Często zdarzało się, że kiedy budził się z popołudniowej drzemki, przy dużym stole, tuż pod portretem Lenina, siedziała zaczytana Adinda. Podnosiła głowę znad książki, uśmiechała się przepaszająco, jakby chciała powiedzieć: Wybacz, że przyszłam nieproszona, po czym podenerwowany Kliwon częstował ją herbatą, a ona ją przyjmowała, mówiąc: „Dziękuję, ale mogę zaparzyć sobie sama”, tylko że on już tego nie słyszał, bo wychodził szybko do studni, drżąc na całym ciele.

Adinda przeczytała u niego wiele książek — wszystkie powieści Gorkiego, Dostojewskiego i Tołstoja. Zostały one wydane przez Obcojęzyczną Spółdzielnię Wydawniczą w Moskwie i trafiły do Kliwona dzięki partii. Czytała też powieści indonezyjskie oraz przekłady wydawane przez Yayasan Pembaruan, wydawnictwo partii, a także książki z rządowego domu wydawniczego Balai Pustaka.

Towarzysz Kliwon nigdy nie wyprosił dziewczyny z chaty, ale unikał jej, jak tylko mógł. Kiedy była w pobliżu, cierpiał w dwojnasób: najpierw z powodu

bolesnej tęsknoty za Alamandą, a potem z powodu nie mniej bolesnej tęsknoty za ciepłym uściskiem Adindy, którym się upajał. Zajmował się jeszcze bardziej sprawami związku, omawiając ze związkowcami przyczynę porażki pierwszego wystąpienia przeciwko statkom Szodanczo. Zorganizował związkowe kadry w celu zinfiltrowania kutrów, podjęcia na nich pracy i prowadzenia agitacji związkowej wśród innych robotników. To musiało trochę potrwać, ale głęboko wierzył, że komuniści są najcierpliwszymi istotami na ziemi.

W końcu, nie bez trudności, udało mu się umieścić po dwóch związkowców na każdym kutrze. Nie była to wystarczająca liczba agitatorów, ale lepsze to niż nic. Większość rybaków niecierpliwiła się oczekiwaniem na reakcję robotników z kutrów i namawiała towarzysza Kliwona do spalenia statków. On jak zawsze ich uspokajał.

— Pozwólcie mi najpierw porozmawiać z Szodanczo — mówił.

Pierwsza tura negocjacji towarzysza Kliwona z Szodanczo nie przyniosła pomyślnych rezultatów, w dodatku Szodanczo sprowadził trzeci rybacki kuter. Rybacy znów domagali się drogi na skróty i spalenia całej flotyli. Za drugim razem towarzysz Kliwon wystąpił o spotkanie z Szodanczo i odwiedził go w domu, gdzie ujrzał brzuch Alamandy — nabrzmiały, lecz pusty. Tamtego dnia nie tylko Szodanczo uznał jego słowa za klątwę zazdrosnego mężczyzny — Adinda też je tak potraktowała.

Następnego popołudnia przybiegła do centrali i błagała go zapłakana:

— Nie rań więcej mojej starszej siostry! Już dosyć się wycierpiała, wychodząc za mąż za tego Szodanczo.

— Nic nie zrobiłem.

— Rzuciłeś na nią klątwę, żeby straciła dziecko.

— To nieprawda! — bronił się towarzysz Kliwon. — Zobaczyłem tylko brzuch twojej siostry i powiedziałem, co widzę.

Dziewczyna nie uwierzyła mu ani trochę. Usiadła przy dużym stole — tam gdzie zazwyczaj czytała — czując złość i dezorientację. Towarzysz Kliwon zostawił ją najczęściej samą, ale tym razem przysunął sobie z ociąganiem krzesło i usiadł naprzeciw. Tego popołudnia centrala związkowa była pusta, jeśli nie liczyć jaszczurek na ścianach i zwisających z sufitu pajaków, tkających sieci.

— Błagam cię, towarzyszu, zapomnij o Alamandzie.

— Zapomniałem już, że tak ma na imię.

Adinda nie zwróciła uwagi na ten kiepski żart.

— Jeśli jesteś na nią zły — powiedziała — przelej swój sprawiedliwy gniew na mnie.

— Dobrze, zatem zgniotę cię jak pomidor. — Towarzysza Kliwona nadal trzymały się żarty.

— Możesz mnie zabić albo zgwałcić, kiedy tylko chcesz, nie będę stawiała

najmniejszego oporu — odpowiedziała Adinda, nieporuszona jego czarnym humorem. — Możesz uczynić mnie swoją niewolnicą, zrób ze mną, co chcesz. — Wyjęła chusteczkę z kieszeni spódniczki i wytarła spływające po policzkach łzy. — Możesz się nawet ze mną ożenić, jeśli masz na to ochotę.

Gdzieś w oddali odezwał się siedem razy gekon — głosem samicy szukającej partnera.

Szodanczo był pewny, że jeśli dziecko zniknie z brzucha żony, winę za to będzie ponosił towarzysz Kliwon i jego klątwa — klątwa zazdrosnego kochanka. Nie da się jej zapobiec bronią ani siedmiopokoleniową wojną: jeśli chce ocalić pierworodnego, musi znaleźć inne, pokojowe rozwiązanie. Powiedział więc towarzyszowi Kliwonowi, że poleci szyprom łowić daleko od plaży i tradycyjnych miejsc połowów.

— Ale... — dodał — ...zdejmij, proszę, przekleństwo z brzucha mojej żony.

Rozpaczliwie zależało mu na dziecku, żeby udowodnić światu, że ich małżeństwo należy do najszcześniejszych. Słyszac tę prośbę, towarzysz Kliwon uśmiechnął się, choć nie dlatego, że wiedział, iż Alamanda kocha tylko jego, a nie Szodanczo, ale z tej przyczyny, że:

— Nie ma żadnego związku między pustym naczyniem a twoimi kutrami, Szodanczo.

Szodanczo, jakby nie słyszac tego, co powiedział Kliwon, przesunął statki na głębokie wody.

Rybacy nie mogli się nacieszyć tym zwycięstwem — kutry nie łowiły już na ich wodach i ludzie Szodanczo nie handlowali na miejscowym targu, cumując w większych miastach, gdzie było zapotrzebowanie na więcej ryb.

Towarzysz Kliwon usiłował wyjaśnić im najprzystępniej — tak jak nakazywali jego marksistowscy mistrzowie — to, co się stało; chciał zaplanować z nimi nowe działania w sytuacji, w której pozbyli się kutrów i mieli ryb pod dostatkiem. Okazało się jednak, że kiedy rybacy dostali trochę pieniędzy, pierwszą rzeczą, jaką zrobili, był zakup krowiego łba, który wrzucili do oceanu jako ofiarę dla królowej Mórz Południowych po uprzedniej uczcie na plaży z butelkami *tuaku*. Wciąż byli przesadni! Towarzysz Kliwon nic nie mógł na to poradzić i przekonał się, z jakim trudem przychodzi mu nauczenie rybaków choćby najprostszego logicznego myślenia, nie mówiac już o wpojeniu im marksistowskiej dialektyki, którą sam zaledwie liznął podczas krótkich studiów w stolicy. Musiał zadowolić się tym, że znaleźli w sobie dosyć odwagi, by walczyć ramię w ramię w obronie zagrożonej wspólnoty, ale raz po raz powtarzał przyjaciołom, że życie nie sprowadza się tylko do tego i nie powinni dać się ponieść chwilowemu zwycięstwu, tylko wzmacniać łączące ich więzi, tak żeby stanowili jedność, gdyż wkrótce pojawią się jeszcze większe wyzwania.

Nie tylko rybacy wyprawili radosny *syukuran* — dziękczynny rytuał. Szodanczo był tak uszczęśliwiony, że raz po raz wydawał podobne uczty. Ponieważ bardzo się przejął klątwą towarzysza Kliwona, zorganizował również tradycyjny ceremoniał zdejmowania uroków z Alamandy i rosnącego w jej brzuchu dziecka: młoda kobieta kąpała się o północy w wodzie pełnej płatków przeróżnych kwiatów, a wiejska akuszerka recytowała przy niej mantry. Akuszerka zapewniła Szodanczo, że brzuch żony pięknie się wypełnia i dziecku jest w nim bardzo dobrze, a będzie to dziewczynka, tak urodziwa jak jej matka.

Szodanczo nie martwił się płcią dziecka, wystarczała mu świadomość, że zostanie ojcem. I kiedy usłyszał zapewnienia akuszerki i jej przepowiednię o narodzinach dziewczynki, aż podskoczył z radości, wierząc głęboko, że klątwa to nic innego jak rojenia zazdrosnego mężczyzny. Z miejsca zaczął zastanawiać się nad imieniem dla córki i zdecydował się na Nurul Aini — nie dlatego bynajmniej, że imię to miało dlań jakieś znaczenie, ale z tej przyczyny, że nagle pojawiło się w jego głowie i uznał je za boskie natchnienie, któremu musi się podporządkować. W tym czasie akuszerka polewała jego żonę pełnymi garściami pachnącej kwiatami wody, a Alamanda drżała na chłodnym nocnym powietrzu, obawiając się, że następnego ranka obudzi się z przeziębieniem. A daleko na morzu towarzysz Kliwon żywił głęboką nadzieję, że się pomylił, i tej parze urodzi się zdrowe dziecko.

Ale Alamanda nigdy nie urodziła Nurul Aini, bo dziecko zniknęło, ot tak, z jej brzucha kilka dni przed przewidywaną datą narodzin.

Sama Alamanda nie wiedziała, co się stało. Kiedy tylko się obudziła, beknęła przeciągle, wypuszczając z siebie olbrzymią ilość powietrza, i nagle poczuła się jak szczupła dziewica, która nigdy nie nosiła żadnego ciężaru w łonie. Pamiętała doskonale, że towarzysz Kliwon powiedział, że jej brzuch jest jak puste naczynie, wypełnione jedynie powietrzem i wiatrem, ale była tak bardzo wstrząśnięta, że zawyła jak oszalała tego spokojnego rześkiego poranka. Szodanczo, który spał w sąsiednim pokoju, przybiegł do niej natychmiast w samych gatkach wiązanych na troczek i podkoszulku. Na twarzy miał jeszcze odciśniętą poduszkę, a ręce pogryzione przez komary. Wpadł do pokoju żony i aż go zamurowało, kiedy ujrzał jej smukłą i kształtną postać.

Uznał najpierw, że żona już urodziła i jął się rozglądać za kałużą krwi i noworodkiem na posłaniu, a nawet szukał go pod łóżkiem, ale nie znalazł dziecka i nie usłyszał jego płaczu. Wpatrywał się w żonę, która patrzyła na niego z poszarzałą twarzą. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła zamknąć ust, wargi drżały jej jak w gorączce i nie wykrztusiła choćby jednej sylaby.

Szodanczo przypomniał sobie słowa towarzysza Kliwona i tknięty narastającą paniką, potrzęsnał gwałtownie Alamandą, każąc jej wytłumaczyć, co się stało. Ale ona opadła bez słowa na łóżko. W tej samej chwili zjawiła się akuszerka.

Przyzwyczajona do niezwykłych wydarzeń kobieta ułożyła Alamandę na pościeli i powiedziała:

— Czasem tak się dzieje, Szodanczo. W brzuchu nie ma dziecka. Tylko powietrze i wiatr.

Szodanczo nie mógł w to uwierzyć i krzyknął:

— Ale sama mówiłaś, że urodzi się dziewczynka!

Jego głos był wysoki i gniewny, ale kiedy ujrzał przed sobą spokojną twarz akuszerki, usiadł na krawędzi łóżka i zapłakał szczerze i gwałtownie, nie dbając o to, że jest dorosłym mężczyzną. Stracił Nurul Aini, wyśnioną i wymarzoną córeczkę. I natychmiast pomyślał o towarzyszu Kliwonie. Już się nie zamartwiał, że jego klątwa może się spełnić, czuł natomiast wszechogarniającą wściekłość, że s i ę s p e ł n i ł a. Towarzysz Kliwon ukradł mu dziecko, a Szodanczo musi się na nim zemścić.

Niedoszli rodzice ukrywali przed światem, co się stało, i oznajmili, że dziecko umarło. Tylko towarzysz Kliwon znał prawdę. Szodanczo po tygodniowej żałobie nakazał kutrom powrót na przybrzeżne wody i sprzedaż ryb na targu, byle tylko dopiec Kliwonowi. Robotnicy z kutrów zaprotestowali, twierdząc, że rybacy niechybnie spalą statki. Szodanczo w ogóle się tym nie przejął i wyrzucił każdego, kto mu się sprzeciwiał.

Towarzysz Kliwon usiłował przemówić Szodanczo do rozumu, tłumacząc mu, że łamie obietnicę, na co Szodanczo odrzekł, że on także złamał obietnicę. Towarzysz Kliwon odparł, że nie obiecywał niczego poza ochronieniem kutrów przed słusznym gniewem rybaków, ale Szodanczo wracał bez przerwy do klątwy i do tego, że każda kobieta na świecie ma prawo wyjść za mąż za kogo tylko chce.

Towarzysz Kliwon był bardzo poruszony tym, że oskarża się go o rzucenie klątwy na nienarodzone dziecko tylko dlatego, że miałyby być zazdrosny o jego matkę, ale starał się zachować spokój i odpowiedział:

— Jest tylko jedno wytłumaczenie, Szodanczo: musiałeś spółkować z żoną bez miłości. Dzieci poczęte z takiego spółkowania nigdy się nie rodzą albo rodzą szalone, ze szczurzym ogonem wyrastającym z tyłka.

Szodanczo zamachnął się na niego, ale towarzysz Kliwon zrobił unik i zawołał:

— Zabierz te kutry, Szodanczo, zanim stracimy cierpliwość!

Szodanczo niczego takiego nie zrobił, wpuścił natomiast na pokłady kutrów żołnierzy, którzy pilnowali ich dzień i noc, patrząc z góry na piorunujących ich wzrokiem rybaków. Następnego dnia o zmroku Szodanczo przyglądał się z szyderczym uśmiechem, jak Kliwon i trzech innych podpływają do kutrów w motorówce, ciągnąc za sobą pozostałych rybaków w łodziach. Wszyscy oni szukali miejsca, w którym są jeszcze ryby — choć tyle, by mieli co włożyć do garnka.

Alamanda była wstrząśnięta nie mniej od Szodanczo, bo bez względu na to, jak

i z kim poczęła potomstwo, dziecko należało do niej. Kiedy minęła tygodniowa żałoba i mąż wrócił do pracy, Alamanda zamykała się u siebie w pokoju, rozpaczając samotnie i przywołując Nurul Aini.

Szodanczo usiłował ją przekonać, że wszystko w rękach Boga, a oni mogą mieć jeszcze drugie, trzecie, czwarte i Bóg wie które dziecko, jeśli tylko zechcą.

— Proszę cię, najdroższa — mówił — znów będziemy się kochać i spłodzimy tyle dzieci, ile będzie trzeba.

Alamanda pokręciła głową, przypominając Szodanczo o złożonej przez siebie obietnicy, że wyjdzie za niego za mąż, ale nigdy go nie pokocha. Szodanczo namawiał ją dalej, mówiąc o drugiej Nurul Aini, prawdziwej dziewczynce, która się im urodzi, ale Alamanda, wściekła, odpowiedziała mu:

— Utrata dziecka jest bardziej przerażająca od spotkania z demonem, ale obdarowanie ciebie miłością byłoby bardziej przerażające od utraty dwadzieściora dzieci.

Właśnie wtedy Szodanczo przypomniał sobie, że żona nie nosi już żelaznego pasa cnoty, a w jego mózgowicy zrodziła się wstrętna myśl, i zanim Alamanda zrozumiała, co mu chodzi po głowie, Szodanczo zamknął drzwi i przekręcił klucz. Alamanda nie wstawała z łóżka, odkąd straciła Nurul Aini, lecz pojęła, co zamierza uczynić jej mąż. Zerwała się z posłania i obrzuciła Szodanczo spojrzeniem kobiety gotowej walczyć do śmierci.

— Przypiliło cię, Szodanczo? — zapytała z nutą goryczy w głosie. — Mam małą ciasną dziurkę w uchu, jeśli chcesz.

— Nadal podoba mi się twoja cipka, kochanie — odpowiedział ze śmiechem jej mąż.

Alamanda nie miała z nim najmniejszych szans: popchnął ją z powrotem na łóżko. Próbowwała się bronić z wszystkich sił, ale rozebrał ją do naga w jednej chwili, drąc żalobną suknię na strzępy, niczym wataha wilkołaków. Rzucił się na nią.

Podczas tej kopulacji przestała mu się opierać, bo wiedziała, że to bezcelowe, ale nie pozwoliła mu się całować i kiedy tylko zbliżył do niej usta, kąsała go boleśnie. Szodanczo piłował ją niestrudzenie w niepokojącej harmonii przyjemności i bólu. Alamanda całkiem upadła na duchu, czuła się poniżona, brudna i rozżalona, bo znów nie zdołała się obronić. Kiedy skończył, skopała go z siebie na podłogę i wrzasnęła:

— Ty przebrzydły śmierdzący gwałcicielu! Gwałcisz własną żonę tak, jak gwałciłeś matkę!

Rzuciła w niego poduszką i dodała:

— Gdybyś tylko miał odpowiednio długiego chuja, zgwałciłbyś własną dupę!

Tym razem Szodanczo jej nie związał i następnego dnia, kiedy wyszedł do pracy, Alamanda zniknęła. Szodanczo wpadł w panikę. Poleciał swoim ludziom, by udali

się do domu Dewi Ayu i sprawdzili, czy się nie ukrywa u matki, ale Alamandy tam nie było. Trawiony zazdrością, posłał też do chaty Kliwona, ale i tam nie było po niej śladu. Biegano po całym mieście, odwiedzano stację i dworzec autobusowy, żeby się przekonać, czy nie wyjechała, ale nikt jej nigdzie nie widział. Szodanczo poddał się i osunął na krzesło na werandzie, zatonął w myślach nad losem mężczyzny, który poślubił ukochaną kobietę, która niestety nie odwzajemnia jego miłości; zatonął w nich tak bardzo, że nie słyszał nawet pozdrowień przechodniów.

O zmroku poczuł się jeszcze gorzej: dopadły go pustka, samotność, porzucenie, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest żałosny. Nawet jeśli Alamanda wróci, dalsze życie z nią stanie się udręką bez odwzajemnionej choćby odrobinę miłości. Może powinien zachować się jak wojownik, jak prawdziwy mężczyzna, jak wierny przysiędźca i Bogu żołnierz, i zwrócić jej wolność, rozwieść się z nią? Czy w ten sposób odzyskałaby szczęście? Ale na samą myśl o rozwodzie rozpłakał się, dlatego poprzysiągł sobie, że jeśli znajdą jego żonę, już nigdy jej nie skrzywdzi i zostanie jej niewolnikiem, byle tylko z nim była. Może zdołają adoptować dziecko...

Robiło się coraz ciemniej, trzeba zapalić lampy na werandzie. Lecz gdy na furtkę padł cień Alamandy, Szodanczo ujrzał go natychmiast, modląc się, żeby to nie była zjawą. Ale cień zbliżał się ku niemu, a on padł przed nim na kolana, błagając o wybaczenie.

Alamanda zmarszczyła brwi, widząc, co wyprawia.

— Nie musisz już mnie przeproszać, Szodanczo. Mam na sobie nowy pas cnoty, zabezpieczony jeszcze bardziej skomplikowanymi mantrami. Nie wejdiesz we mnie, nawet jeśli będę naga.

Szczerze zdumiony, Szodanczo spojrział na żonę, nie mogąc uwierzyć, że nie okazuje mu żadnej wrogości.

— Robi się chłodno przed nocą, Szodanczo. Wejdźmy do środka.

Z wielkich kutrów zwolniono następnych robotników za strajk: nie należeli do związków, ale tak bardzo bali się spalenia statków, że nie wrócili do pracy. Kutry natomiast wypłynęły na łowiska i znów dochodziło do kradzieży ryby z przybrzeżnych wód i handlowania nimi na miejskim targowisku. Rybacy podjęli decyzję:

— Nie ma już innego sposobu, towarzyszu Kliwonie. Trzeba spalić kutry Szodanczo.

Przygnębiony i zaniepokojony Kliwon był daleki od złości potrzebnej do palenia czegokolwiek. Należał bowiem do ludzi, którzy wzruszają się nawet na ckliwych filmach — tak przynajmniej twierdzili jego przyjaciele.

Potajemnie po raz któryś z rzędu rozmawiał z Szodanczo, ale ich dyskusje rozbijały się o Alamandę, więc towarzyszu Kliwon, podobnie jak rybacy, doszedł

ostatecznie do wniosku, że nie ma innej drogi, jak tylko spalenie tych pierdolonych statków. Pominąwszy już wszystko inne, nigdy nie doszłoby do rewolucji październikowej, gdyby Lenin nie kazał Stalinowi obrabować banku.

Jednakże Szodanczo rozlokował na pokładach kutrów liczny oddział żołnierzy, więc wprowadzenie w życie planu rybaków nie było łatwe. Minęło sześć długich miesięcy, które Związek Rybaków strawił na tajnych, kończących się na niczym zebraniach, bo nikt nie potrafił wymyślić sposobu na przeprowadzenie planu, a z każdym dniem rybacy stawali się coraz biedniejsi i coraz bardziej rozżaleni.

W przeszłości, gdy towarzysz Kliwon stawał przed nierozwiązywalnym problemem, od którego pękała mu głowa, jego jedynym ratunkiem były kobiety. Teraz jednak została przy nim tylko młodsza siostra Alamandy, Adinda, którą znał od lat. Dlatego opuścił własną chatę i dyskutujących w niej o trudnym życiu rybaków. Udał się do domu Dewi Ayu niczym żałosny wygnaniec wyczerpany niekończącą się walką rewolucyjną. Miał zamiar podzielić się swymi uczuciami i pragnieniami, ale partia wyraźnie dawała do zrozumienia, że kwestii tych nie należy omawiać z nikim innym, więc spędził na ganku nudną godzinę z Adindą, wymieniając z nią nic nieznaczące uwagi, co nie przyniosło mu za wielkiego ukojenia, po czym wrócił do siebie i opadł na krzesło przed chatą, wpatrując się w ciemniejące niebo nad oceanem.

— Ktoś powinien przystawić ci pistolet do głowy — powiedziała mu na pożegnanie Adinda. — Żebyś zaczął w końcu myśleć o sobie.

Miał przed sobą to samo co zwykle niebo o zmroku, ale ten wieczór wydawał mu się inny. Przypominał mu piękny zachód słońca, który oglądał z Alamandą na plaży, choć teraz niebo było zimne i milczące, niczym zwierciadło jego jałowej i wyschniętej duszy. Paląc goździkowego papierosa, zastanawiał się, czy rewolucja jest w ogóle możliwa i czy ludzie będą kiedykolwiek w stanie nie prześladować się nawzajem.

Dawno temu słyszał, jak pewien imam nauczał w meczecie o raju, o rzekach pełnych mleka płynących u stóp, o pięknych, zawsze gotowych, dziewiczych hurysach, i o tym, że w raju wszystko jest na wyciągnięcie ręki i nic nie jest zabronione. Usłyszane słowa były tak piękne, że trudno było uwierzyć w ich prawdziwość. Nie potrzebował aż takich wspaniałości, wystarczyłoby mu, żeby wszyscy dostawali tyle samo ryżu. A może to pragnienie było najniezwykłejsze ze wszystkich?

Myśli tego rodzaju zawsze przypominały mu o przeszłości, o owym błogim czasie, zanim dowiedział się o konieczności wywołania rewolucji. Od początku był ubogim człowiekiem, ale jakoś dawał sobie radę z bogatymi: kradł to, co mieli w ogrodach, uwodził ich żony, pozwalał im płacić za jedzenie i filmy, na które chodził do kina, przyjmował zaproszenia na ich przyjęcia i pił za darmo ich piwo, a żadna z tych rzeczy nie wymagała zgody partii, agitacji czy *Manifestu*

komunistycznego. Czuł się zmęczony od samego patrzenia na migoczący czerwienią zmrok, bo nie znajdował w sobie spokoju i coraz bardziej osuwał się na krześle, aż w końcu zasnął. Ten stan ducha nie opuszczał go przez całe sześć miesięcy przed podpaleniem kutrów, aż kiedyś obudzili go z drzemki na krześle rybaka.

Żołnierze od dwóch tygodni nie pilnowali kutrów. Znudziło im się najwyraźniej. Szyprowie uznali, że groźby rybaków są bez pokrycia, i postanowili odesłać żołnierzy do koszar, żeby nie aprowizować ich w papierosy, jedzenie i piwo. Zaczęli wypływać w morze bez żadnej ochrony, a kiedy cumowali w porcie i wyładowywali połów, strzegło ich zaledwie kilku uzbrojonych żołnierzy. Związek Rybaków zaplanował, że zaatakuje kutry, gdy księżyc będzie w nowiu, i właśnie wtedy obudzili towarzysza Kliwona, nadeszła bowiem pora, na którą czekali — noc wyrównywania rachunków.

— Obudź się, towarzyszu — zwrócił się do Kliwona jeden z jego przyjaciół. — Rewolucja nie wybuchnie we śnie.

Towarzysz Kliwon otrząsnął się z resztek snu i przygotował do walki, po czym stanął na czele trzydziestu małych łodzi, które wypłynęły w morze pod przejrzystym, pełnym gwiazd niebem. Ta noc stała się dlań punktem zwrotnym, uwierzył bowiem, że rewolucjonista musi mieć chłodne, nieporuszone serce, wytrwałość i śmiałość zrodzone z najgłębszego przekonania. W ciemności widział mdłe światełka w bulajach dużych kutrów, na łodziach rybackich nie było żadnych lamp, rybacy kierowali się na morzu instynktem, znając ocean tak dobrze jak wioski, w których przyszli na świat.

— Myśl o tym jak o szturmowaniu Bastylji — mówił do siebie ich przywódca, dodając sobie odwagi — dla dobra przeklętych głodujących mas.

Duże kutry płynęły w niewielkiej odległości od siebie. W każdej łódce siedziało od trzech do pięciu rybaków, a na każdy z trzech statków skierowało się po dziesięć łodzi. Sunęły powoli, niczym trzydzieści wijących się polnych węży, hipnotyzujących wzrokiem trzy głupie myszy. W migotliwej poświacie z kutrów widzieli robotników wciągających sieci i wysypujących połów do ładowni.

Towarzysz Kliwon poprowadził dziesięć łodzi pod środkowy kuter i odczekawszy, aż rybacy otoczą pozostałe jednostki, dmuchnął przenikliwie w gwizdek, a zaskoczeni pokładowi marynarze przerwali pracę. Ich zdziwienie bynajmniej nie osłabło, gdy ujrzeli trzydzieści łodzi, pełnych zapalających pochodnie rybaków. Każdy kuter był otoczony wianuszkiem płomieni, jakby wpadł w chmurę świetlików.

Towarzysz Kliwon krzyknął głośno do ludzi na pokładach:

— Przyjaciele, skaczcie do morza i płyńcie ku naszym łodziom, bo wasze kutry zostaną spalone!

Szyper zaczął wykrzykiwać gniewne rozkazy, chciał, żeby robotnicy walczyli, ale zeskoczył w panice z kutra jako pierwszy i popłynął do najbliższej łodzi. Zaczął

z niej łajać rybaków, po czym ktoś zdzielił go mocno, a on padł nieprzytomny. W tym samym czasie robotnicy z pokładów już na wyścigi wskakiwali do morza, a rybacy wyławiali ich i witali radośnie, ktoś nawet zaintonował *Międzynarodówkę* — było to ich największe święto.

W powietrzu śmigały plastikowe torby wypełnione benzyną i spadały na puste pokłady kutrów, za nimi poleciały pochodnie, podpalając benzynę. Na środku oceanu zapłonęły olbrzymie ogniska, a łodzie zaczęły odpływać w pośpiechu. Kiedy jeden po drugim wybuchały zbiorniki z paliwem, rybacy krzyczeli z radości:

— Niech żyje Związek Rybaków! Niech żyje Partia Komunistyczna! Robotnicy wszystkich krajów, łączcie się!

Szodanczo dowiedział się, że na czele ruchawki stał towarzysz Kliwon i obyło się bez ofiar, ale kutry uległy zniszczeniu.

Słyszając meldunek, zwyczajnie odetchnął. Uznał, że sprowadzi nowe kutry i wzmocni na nich ochronę. Nie złościł się wcale, co można wytłumaczyć jedynie tym, że Alamanda była w szóstym miesiącu ciąży. Czuł wdzięczność, że pojedynczy akt zespolenia z żoną znów przyniósł owoce. Nie chciał, żeby czymkolwiek zawracano mu głowę, gdy przygotowywał się do narodzin następcy lub następczyni Nurul Aini. Dwa razy woził żonę do większego szpitala w stolicy prowincji, żeby się upewnić, że w jej brzuchu jest dziecko, i opłacił potężnych czarowników, żeby chronili potomka przed klątwą.

Ale gdy Alamanda była już w dziewiątym miesiącu ciąży, drugie dziecko zniknęło nagle z jej brzucha tak jak pierwsze. Szodanczo dostał szału, chwycił pistolet i wypadł na dwór, gdzie biegał w kółko, strzelając na oślep jak opętany. Przerażeni przechodnie uciekali w popłochu, uznawszy, że do reszty postradał zmysły, gdyż darł się przy tym, że klątwa towarzysza Kliwona pozbawiła go dwójki dzieci, które wyparowały z brzucha matki przed narodzinami. Gdy Szodanczo miał już dosyć strzelania, pobiegł w kierunku plaży w jednym tylko celu: żeby znaleźć towarzysza Kliwona i położyć go trupem. Nikt nie ośmielił się stanąć mu na drodze.

TOWARZYSZ KLIWON ZANIÓSŁ FILIŻANKĘ KAWY na werandę i usiadł, czekając na gazeciarza. W przeddzień podjętej przez Szodanczo próby zgładzenia go towarzysz Kliwon wyniósł się z chaty służącej za centralę Związku Rybaków i przeniósł do komitetu Partii Komunistycznej na końcu Jalan Belanda. Szodanczo nikogo nie zastał w chacie na plaży, oszalał więc do reszty i opróżnił magazynek, strzelając w związkowy bastion, i tym samym go podpalając. W końcu — wyczerpany i zapłakany — runął twarzą na piasek i leżał tak nieprzytomny, póki go nie znaleźli przechodnie. Towarzysz Kliwon miał sporo szczęścia, również dlatego, że po latach wiernej służby partii mianowano go pierwszym sekretarzem komunistów w Halimundzie.

Był pierwszy października, a towarzysz Kliwon czuł lekki niepokój z powodu niedostarczenia do tej pory gazety. Drżąc z niecierpliwości, sięgnął po tę z poprzedniego dnia i zaczął czytać ogłoszenia, ponieważ znał już wszystkie artykuły. W ogłoszeniach nie było niczego interesującego, poza dwoma anonsami, z których pierwszy reklamował płyn na porost wąsów, a drugi niemieckie samochody na kredyt. Rzucił gazetę pod stół i upił łyk kawy. Zerknął na ulicę, w nadziei, że ujrzy na niej gazeciarza na rowerze, ale ulicą szła tylko młoda kobieta. Adinda.

— Jak się miewasz, towarzyszu? — zapytała.

— Strasznie. Jeszcze mi nie dostarczono gazety.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Nie słyszałeś o krwawych wydarzeniach w Dżakarcie?

— Jakże miałem słyszeć, skoro nie mam gazety?

Adinda usiadła obok towarzysza Kliwona i nie pytając go o pozwolenie, wypła odrobinę kawy z filiżanki, po czym powiedziała:

— W radiu mówią tylko o Partii Komunistycznej, która, jak twierdzą, przygotowała przewrót i zabiła kilku generałów.

— Dowiemy się, jak było, kiedy przywiozą gazety.

Do komitetu zaczęli schodzić się ludzie, starzy i młodzi towarzysze, weterani i partyjni kandydaci. Wielu z nich należało do kierownictwa partii. Towarzysz Yono, który był pierwszym sekretarzem w Halimundzie przed towarzyszem Kliwonem, pojawił się najwcześniej, za nim przyszedł Karmin i inni. Wszyscy mówili o tym samym: w Dżakarcie doszło do krwawej rozprawy.

— Wygląda na to, że będzie bardzo źle — stwierdził Karmin.

— Macie rację, towarzyszu — odparł towarzysz Kliwon. — Zapłaciliśmy za całą prenumeratę, a gazet wciąż nie ma. Wytargam tego gazeciarza za uszy.

— O czym wy mówicie, towarzyszu? — zapytał z niedowierzaniem towarzysz Yono. — Myślicie teraz tylko o gazetach!

Towarzysz Kliwon obrzucił go pełnym irytacji spojrzeniem.

— Bo nie przywieźli ani jednej! I co ja mam teraz zrobić?

— Posłuchajcie mnie, towarzyszu — zwróciła się do niego Adinda. — Dzisiaj nie wyszły żadne gazety!

— Niby dlaczego? Dziś nie przypada Święto Ofiarowania ani Boże Narodzenie, ani Nowy Rok.

— Wojsko zajęło wszystkie redakcje — odpowiedział Karmin. — Więc wybaczcie, towarzyszu, ale dziś nie przeczytacie żadnych gazet.

— To gorsze niż zamach stanu! — poskarżył się towarzysz Kliwon i dopił kawę jednym haustem.

Tak czy inaczej, w komitecie zjawilo się wielu ważnych działaczy, którzy zwołali nadzwyczajne zebranie. Nadchodziły meldunki z różnych miast, ale najważniejsze z Dżakarty, gdzie, jak mówiono, zatrzymano przywódców Partii Komunistycznej, z których część stracono, podobnie jak część młodszych działaczy. Ustalono, że partia zmobilizuje masy i zwoła olbrzymią demonstrację w Halimundzie, a jeśli przywódcy partii z Dżakarty rzeczywiście zostali zatrzymani, na wiecu wygłosi się apel o ich bezwarunkowe uwolnienie. Napływały przeróżne, najczęściej sprzeczne informacje: według niektórych D.N. Aidit został stracony, według innych tylko zatrzymany; mówiono też, że to wszystko nieprawda. Równie dezorientujące były doniesienia o Nyoto i kilku innych. Ale bez względu na to, co zaszło, muszą natychmiast zmobilizować kadry, sympatyków partii, rybaków, robotników z plantacji, kolejarzy, rolników i uczniów. Ten dzień i następne należały do najbardziej burzliwych w historii miasta, a lud na ulicach mierzył się z olbrzymami.

Rozdzielono zadania i towarzysze szybko rozbiegli się do komórek partyjnych, by przygotować wszystko na czas kryzysu. Drukowano plakaty i transparenty. Towarzysz Kliwon zorganizował potajemne zebranie pięciu towarzyszy i kazał im zadbać o uzbrojenie na wypadek, gdyby sprawy przyjęły zły obrót. Przeliczyli posiadany oręż: sporo sztuk broni pozostało po partyzantach rewolucjonistach, z których wielu miało doświadczenie w walkach z wojny o niepodległość. Zorganizowanie komórki bojowej powierzono Karminowi, który się szybko oddalił, natomiast towarzysz Kliwon uzbroił się w pistolet: był zbyt cenny dla partii, by ryzykować niepotrzebnie życie.

O dziesiątej wzdłuż Jalan Belanda zaczął gromadzić się tłum rybaków i robotników z plantacji. Rolnicy, kolejarze, pracownicy portowi i uczniowie byli w drodze.

— Chodźmy na ulicę — zaproponował towarzysz Yono.

— Wy idźcie — odrzekł towarzysz Kliwon. — Ja czekam na gazety.

Nikt nie zaproteutował. Uznali, że jego zachowanie wypływa z przygnębienia —

zupełnie naturalnego u przywódcy partii, który stanął w obliczu niezwykle trudnej sytuacji, i starali się go zrozumieć. Zostawili go na werandzie komitetu partii przy końcu Jalan Belanda, czekającego na gazety, które nigdy nie nadeszły. Towarzyszyła mu tylko Adinda.

Komitet był stosunkowo nowy i mieścił się w dużym piętrowym budynku, przed którym obok flagi czerwono-białej powiewała flaga partyjna. Nad wejściem wisały miedziane sierp i młot, a niemal wszystkie ściany pomalowano na jaskrawoczerwony kolor. W sali od frontu pierwszą rzeczą, na którą zwracało się uwagę, był duży olejny portret Karola Marksa oraz inne radzieckie obrazy socrealistyczne. W komitecie mieszkał towarzysz Kliwon wraz z kilkoma ochroniarzami. Mieli oczywiście radio, ale towarzysz Kliwon wolał czytać gazety, choć teraz ich redakcje zajęło wojsko, a krew komunistów zastąpiła farbę drukarską.

Towarzysz Kliwon przewodził organizacji partyjnej w mieście już od dwóch lat i nie wypływał nocami w morze, gdyż był coraz bardziej zajęty. Założył związki zawodowe wśród robotników z plantacji i rolników, zdążył już pokierować ponad dziesięcioma dużymi strajkami. Miejska organizacja partyjna miała tysiąc sześćdziesięciu aktywnych i płacących składki członków oraz kolejny tysiąc sympatyków, z których połowa pomagała przy każdym strajku, uczestniczyła w każdym wiecu na boisku piłkarskim i w organizowanych przez partię kursach.

Czasem dochodziło do starć. Towarzysz Kliwon reaktywował weteranów rewolucyjnej partyzantki z czasów wojny, którzy mieli broń i potrzebny do szkolenia wojskowego entuzjizm. Oczywiście było ich zbyt mało, żeby walczyć z wojskiem, ale bronili strajkujących przed bojówkarzami wynajmowanymi przez kolej, plantatorów, ziemiaństwo i szyprów.

Przez dwa lata pełnienia funkcji sekretarza organizacji miejskiej towarzysz Kliwon wyrzucił z partii dwóch członków, którzy zostawili żony dla kochanek — co było wzbronione pod jego kierownictwem — oraz trzech innych uznanych za trockistów. Surowe przywództwo było zwieńczeniem kariery partyjnej towarzysza Kliwona, który zostanie zapamiętany jako najbardziej charyzmatyczny sekretarz w dziejach miejskiej organizacji partyjnej.

— To pora deszczowa — odezwał się niespodziewanie towarzysz Kliwon.

Adinda zgodziła się z nim i spojrzała na przejrzyste niebo: poranek był pogodny, ale kto wie, w październiku często padało.

— Ale nie wycofają się z powodu deszczu. Myślę, że wojsko w Dżakarcie nas oszukuje.

— Samochód ciężarowy z gazetami mogła zatrzymać powódź — zastanawiał się Kliwon.

— Dzisiaj nie ukazała się żadna gazeta, towarzyszu — powtórzyła Adinda. — Mogę się założyć, że prasa nie ukaże się przynajmniej przez tydzień. Albo już

nigdy!

— Bez gazet cofniemy się do epoki kamiennej.

— Zaparzę ci kawę, może ona przywróci ci rozum.

Adinda poszła do kuchni i zaparzyła dwie filiżanki kawy, a kiedy wróciła, zastała towarzysza Kliwona w bramie, wyglądającego na ulicę. Chyba ciągle miał nadzieję, że zobaczy gazeciarza na rowerze. Adinda postawiła tacę na stole i usiadła na krześle.

— Wracaj na miejsce — zawołała do towarzysza Kliwona — jeśli już wrócił ci rozum!

— Dzień bez gazet nie ma najmniejszego sensu.

— Zapomnij o jebanych gazetach, towarzyszu! Twoja partia jest w potrzebie! Trzeba jej świątłego przywódcy!

Bez względu na to, co się stało, trudno było uwierzyć, że Partia Komunistyczna — największe niewątpliwie ugrupowanie polityczne w Halimundzie — stoi w obliczu zamachu stanu. W tamtym czasie ta organizacja cieszyła się największą sławą w dziejach miasta. Gdyby przeprowadzono wybory, komuniści wygraliby je bez trudu. Całe miasto było ozdobione czerwonymi flagami, nawet burmistrz i wojsko pozwalali członkom partii na wszystko.

Ci z kolei naciskali na szkoły, a nawet przedszkola i szkoły dla niepełnosprawnych, żeby uczyły uczniów *Międzynarodówki*. Wieszali oczywiście portrety Marksa i Lenina na ścianach klas tuż obok portretów bohaterów narodowych. A w Dniu Niepodległości — pamiętajcie, proszę, że w Halimundzie przypadał on dwudziestego trzeciego września — organizowali największe obchody i paradę, podczas których skandowali swoje komunistyczne hasła. Mieszkańcy miasta gromadzili się tłumnie na ulicach, by słuchać ustępów z traktatu *Sama Rata Sama Rasa* ¹, napisanego przed laty przez Marca Kartodikroma i głoszącego, że wszyscy powinni być traktowani jednakowo bez względu na pochodzenie czy wykonywaną pracę.

Adinda miała nadzieję, że masowe demonstracje organizowane przez komunistów na ulicach Halimundy będą miały podobny przebieg. Wiele lat później zdała sobie sprawę, że po zakazaniu działalności Partii Komunistycznej już nigdy nie widziała takich pięknych kawalkad udekorowanych aut, przejeżdżających wszystkimi drogami. Towarzysz Kliwon jechał zazwyczaj w samym środku takiej kawalkady w samochodzie z odsuwanym dachem, mając na głowie kaszkiet, który dostał od towarzysza Salima, i pozdrawiając gestem dziewczęta, które piszczwały histerycznie z poboczy na jego widok.

Inne partie były zdumione jego niewiarygodną wprost popularnością i modliły się, żeby w najbliższym czasie nie doszło do wyborów powszechnych. Bratnie partie, również uznające się za rewolucyjne, czekały, aż komuniści opuszczą gardę, żeby wbić im nóż w plecy. Warto przy tym pamiętać, że nic nie stało się samo, lecz

wymagało dwóch lat morderczej pracy. Mówiło się nawet, że towarzysz Kliwon dwukrotnie padł ofiarą — nieudanych na szczęście — zamachów. Pewnej nocy został pchnięty nożem przez napastnika, który pojawił się znikąd, po czym zniknął bez śladu. Ktoś inny wrzucił granat przez okno jego sypialni. Ale towarzysz Kliwon zachował dobre zdrowie i oznajmił na wiecu, że wybacza zamachowcom, kimkolwiek są. Dodał, że tacy ludzie zwyczajnie nie rozumieją misji komunistów, która polega na wykreśleniu z dziejów ludzkości wykorzystywania człowieka przez człowieka — stwierdzenie to przysporzyło mu jeszcze większej sławy, a partia wiele zyskała w oczach ludu i wychwalały ją nawet małe dzieci.

Cała ta gorączkowa działalność polityczna bardzo martwiła Minę, matkę towarzysza Kliwona. Kobieta wciąż pamiętała, że jej mąż został rozstrzelany przez Japończyków, i uznawała całą propagandę i komunistyczne święta za absurdalne i bezcelowe. Czasem słuchała przemówień syna przed tysięcznymi masami. Wykrzykiwał rozmaite slogany, jak na przykład: „Zgnieść ziemiaństwo!”, które powtarzał z entuzjazmem tłum. A przeklinał nie tylko ziemiaństwo, ale i lichwiarzy, fabrykantów, armatorów, plantatorów i koleje. Przeklinał również, ma się rozumieć, Amerykę, Niderlandy i neokolonializm, a robił to tak elokwentnie, jakby sam Pan Bóg szeptał mu do ucha.

Za każdym razem kiedy odwiedzał matkę, Mina powtarzała mu, że niedobrze mieć aż tylu wrogów.

— Jeden przyjaciel to za mało, ale jeden wróg to o wiele za dużo! A ty doprowadzasz do tego, że nienawidzi cię mnóstwo ludzi — mówiła zmartwiona. A towarzysz Kliwon zapewniał ją, że to, co przydarzyło się ojcu, na pewno go nie spotka, po czym uśmiechał się, dopijał podaną przez nią herbatę i szedł spać.

Pewnego dnia na polecenie Partii Komunistycznej do wojskowego aresztu wtrącono grupę nastolatków. Dzieciaki zorganizowały w szkole potańcówkę, a ich jedyną winą było to, że weszły na scenę i odśpiewały kilka rockandrollowych piosenek. Ale Szodanczo posłuchał komunistów. Usłyszawszy o tym, Mina przestała się martwić, a zamiast tego wpadła w gniew, po czym natychmiast pomaszerowała do komitetu partii i skrzyczała syna.

— Nie pozwolę na to! — wrzeszczała na samym środku wypełnionego interesantami gabinetu. — Czy nie śpiewałaś kiedyś tych samych piosenek, przygrywając sobie na gitarze? Czy nie robiliście tego wszyscy? — zwróciła się do zebranych. — A teraz za to samo wrzucacie dzieci do wojskowego więzienia!?

Ale partyjna dyscyplina sprawiła, że towarzysz Kliwon stał się nieugięty, a jego stosunek do matki wyraźnie się zmienił. Uspokoił ją, wyprowadził na główną ulicę i wezwał riksę *becak*, żeby odwiozła ją do domu.

Nie poprzestał na tym i zaczął wywierać presję na radę miasta, wojsko oraz policję, żeby konfiskowały zachodnią zgniliznę na płytach z muzyką pop i wtrącały każdego, kto ich słucha — nawet w domowym zaciszu — do więzienia.

— Zgnieciemy Amerykę i jej przeklętą kłamliwą kulturę! — krzyczał za każdym razem.

Partia zaczęła hojnie wspierać sztukę ludową, zapewniając darmowe przekąski i partyjną propagandę na występach zespołów folklorystycznych. Sztuka ludowa — uznawana za wywrotową w czasach feudalnych i kolonialnych — rozkwitała w Halimundzie. Na partyjnym jubileuszu wystawiono *sintren*, podczas którego śliczna dziewczyna zniknęła w kurniku i wyłaniała się z niego z sierpem i młotem w dłoni — jeszcze piękniejsza w pełnym makijażu (publiczność klaskała). Transowi tancerze *kuda lumping* nie połykali obecnie tylko szkła i kokosowych skorup, ale całe flagi amerykańskie. Tłukli i połykali także zakazane płyty rockandrollowe.

Po takich sukcesach w odbudowie reputacji partii działalność towarzysza Kliwona zwróciła uwagę działaczy ze stolicy. Mówiono, że ma wstąpić do Biura Politycznego i jest mocnym kandydatem do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Indonezji. Jego kariera miała oszałamiający przebieg, ale towarzysz Kliwon z niepojętym uporem odmawiał wszelkich zaszczytów, w tym dosyć szalonej propozycji wstąpienia do Kominternu. „Nie pracuję dla zdobywania coraz wyższych stanowisk — mawiał. — Pracuję, by komunizm rozkwitał na glebie Halimundy, i nie chcę opuszczać miasta”.

Do komitetu zaczęli wracać pierwsi towarzysze z meldunkami o demonstracjach w mieście. Wojsko pozostawało w najwyższej gotowości, tutejszy garnizon, dowodzony przez Szodanczo, który pałał żądzą zemsty na towarzyszu Kliwonie za domniemane osobiste krzywdy, wyszedł na ulice i zdobywał przewagę.

— D.N. Aidit został aresztowany — meldował któryś towarzysz.

— Nyoto stracony — donosił inny.

— D.N. Aidit spotkał się z prezydentem.

Kolejne informacje były ze sobą całkowicie sprzeczne, a jedyne wiadomości pochodziły z radia, któremu nie można było ufać. Przez cały ranek powtarzano jeden i ten sam komunikat, nagrany prawdopodobnie wcześniej:

„Partia Komunistyczna podjęła próbę zamachu stanu. Zamach nie powiódł się wskutek zdecydowanego działania wojska. Armia przejęła tymczasowo władzę, aby przywrócić porządek w kraju”.

Nadszedł kolejny meldunek:

„Prezydent znalazł się w areszcie domowym”.

Trudno było to wszystko ogarnąć rozumem.

— Zrób coś! — zawołała Adinda.

— A co ja mogę? — zapytał towarzysz Kliwon. — Związek Radziecki i Chiny ciągle milczą.

Towarzysze planowali przeciągnąć demonstracje i protesty do nocy, a następnie bezterminowo, ale gdy wszyscy byli zajęci przygotowywaniem publicznych garkuchni, a weterani Armii Ludowej szykowali się do prowadzenia działań

zbrojnych przeciwko wojsku, towarzysz Kliwon nadal siedział w komitecie. Adinda zostawiła go samego na krześle na werandzie: wciąż czekał na gazety.

Następnego ranka przygotowała jak zwykle śniadanie dla Dewi Ayu, która jeszcze nie wróciła z pracy u Mamy Kalong, po czym wyszła na ulicę przyjrzeć się protestom. Pomaszerowała do komitetu partii, niosąc na tacy śniadanie, i zastała towarzysza Kliwona na werandzie nad filiżanką kawy.

— Jak się miewasz, towarzyszu?

— Strasznie — odparł.

— Zjedz coś. Wczoraj nic nie jadłeś przez cały dzień.

Postawiła tacę ze śniadaniem na stole.

— Nie mogę zjeść śniadania, póki nie nadejdą gazety.

— Przysięgam ci, że nie nadejdą — powiedziała Adinda. — Wojsko zabroniło wydawania prasy.

— Ale gazety nie należą do wojska.

— Ale armia ma broń — tłumaczyła Adinda. — Powiedz mi, kiedy stałeś się takim idiotą?

— Gazety wydrukują w podziemiu — upierał się towarzysz Kliwon. — Tak się zazwyczaj dzieje.

Tego ranka organizowano kolejne nadzwyczajne zebrania. Na ulice wylegli antykomuniści i rozpoczęły się starcia. Wydawało się, że wojna domowa, której obawiano się wcześniej — między lokalnymi zbirami a żołnierzami — wybuchnie w nowej obsadzie, z komunistami po jednej stronie i antykomunistami po drugiej. Wojsko i policja patrolowały miasto, ale nie były w stanie zapobiec utarczkom i rzucaniu koktajlami Mołotowa. Ciskano także kamieniami, a partia organizowała zebrania.

— Całe to zamieszanie zaczęło się od tego, że nie dostarczono gazet — wyjaśniał towarzysz Kliwon.

— Nie bądź śmieszny — mruknął Karmin. — Przed dwoma dniami zamordowano siedmiu generałów.

— Dlaczego... — nie zdołał się opanować towarzysz Yono — ...tak bardzo zależy wam na tych gazetach?

— Bo rewolucja październikowa nigdy by się nie powiodła, gdyby bolszewicy nie mieli gazet.

Ten argument brzmiał sensowniej niż wszystko, co mówił do tej pory, więc zostawili go na werandzie pod opieką Adindy.

Gdy nadeszło południe, fale antykomunistów wezbrały na sile, a bojówkarze powtarzali doniesienia radiowe z poprzedniego dnia o podjętej przez komunistów próbie zamachu stanu.

Towarzysz Kliwon, który nie stracił do reszty poczucia humoru, skomentował to tak:

— Najpierw robią zamach, a potem cenzurują wydawaną przez siebie prasę.

Do pierwszego poważnego starcia doszło o trzynastej. Rzucanie kamieniami przerodziło się w prawdziwą bitwę, podczas której używano wszystkiego, co było pod ręką, żeby okaleczać lub zabijać. Szpital był przepełniony. Partia zorganizowała szpital polowy, Adinda pomagała sanitariuszom, a towarzysz Kliwon trwał dalej przy swoim niewzruszony.

Do komitetu znoszono rannych, w budynku zapanowała gorączkowa atmosfera. Nikt jeszcze nie zginął w Halimundzie, ani komunista, ani antykomunista, ale donoszono o masakrze w Dżakarcie. Zabito tam stu komunistów, resztę aresztowano, setki innych zamordowano we wschodniej Jawie, a w środkowej części wyspy rozpoczynały się krwawe starcia. Wszyscy obawiali się, że rozruchy dotkną także Halimundę.

W końcu i w Halimundzie kogoś zabito po południu. Pierwszym komunistą, który poległ w mieście, był weteran partyzantki rewolucyjnej o imieniu Mualimin. Był jednym z najwierniejszych członków partii, po mistrzowsku opanował ideologię, zarówno w teorii, jak i w praktyce, był prawdziwym bojownikiem sprawy od czasów kolonialnych do epoki neoliberalnej. Tak wyraził się o nim towarzysz Kliwon w krótkiej mowie pogrzebowej wygłoszonej podczas pochówku, który odbył się tego samego dnia. Mualimin, muzulmański komunista, zawsze chciał umrzeć za sprawę, która była jego dżihadem. W spisanim przed laty testamentie oznajmiał, że jeśli zginie w bitwie, chce być pochowany jak męczennik. Więc nie obmyto ciała, nie przebrano go, zmówiono nad nim modlitwę i zakopano od razu w odzieży pokrytej krwią. Został zastrzelony przez wojsko podczas potyczki na plaży, poległ jako jedyny tego popołudnia. Osierocił córkę, dwudziestoletnią dziewczynę o imieniu Farida. Byli ze sobą bardzo zżyci od śmierci matki Faridy przed wielu laty, więc kiedy tłum zaczął opuszczać cmentarz, córka została nad grobem ojca, choć wszyscy przekonywali ją, żeby wróciła do domu. W końcu zostawili ją samą.

Teraz krótki romans: historia miłosna z miasta w okowach wojny.

Grabarzem i stróżem na cmentarzu komunalnym dzielnicy rybaków był Kamino, młody jeszcze, trzydziestodwuletni mężczyzna. Pracował na cmentarzu Budi Dharma od szesnastego roku życia, gdy osierocił go ojciec, który zmarł na malarię. Ponieważ nie miał braci ani sióstr, odziedziczył po ojcu fach, który wykonywali jego przodkowie od czasów, kto wie, prapradziadka, bo nikt inny nie chciał go wykonywać, a ród Kamino był obeznany ze światem zmarłych. Kamino, przyzwyczajony od dziecka do cmentarnej ciszy, bez trudu nauczył się tajników tej roboty. Kopał groby tak szybko jak koty dołki, żeby się wysrać. Ale praca postawiła przed nim poważną życiową przeszkodę: żadna dziewczyna nie chciała wyjść za niego za mąż, bo żadna nie chciała mieszkać na środku cmentarza.

Chodzi o to, że większość ludzi w Halimundzie była przesądna. Nadal wierzyli w demony, zjawy i rozmaite nadprzyrodzone istoty, biegające po cmentarzu i żyjące pośród duchów zmarłych. Wierzyli także, że grabarz musi z racji obowiązków utrzymywać bliskie kontakty z tymi istotami. Świadom tego Kamino nigdy się nie oświadczył żadnej pannie. Do jego jedynych kontaktów z ludźmi dochodziło podczas wykonywania zawodowych obowiązków. Zazwyczaj siedział w domu — starym, wilgotnym, porośniętym mchem, betonowym domostwie ocienionym figowcami. Jedyną rozrywką w jego samotnym życiu była zabawa w *jailangkung* — wywoływanie duchów za pomocą małej lalki. Umiejętność ta była przekazywana w jego rodzie z pokolenia na pokolenie i przydawała się w samotności do rozmów ze zmarłymi o najróżniejszych sprawach.

Gdy Kamino ujrzał Faridę klęczącą z uporem nad grobem ojca, serce zabiło mu szybciej po raz pierwszy. Sam namawiał ją do odejścia, gdy nikomu się to nie powiodło, tłumacząc, że na cmentarzu po zmroku jest najzimniej w mieście i powinna wrócić do domu. Dziewczyna wcale nie bała się chłodu. Wtedy Kamino zaczął jej opowiadać o dzinach — duchach i zjawach — co nie zrobiło na Faridzie najmniejszego wrażenia. Serce mężczyzny aż podskoczyło z radości i modlił się w duchu, żeby dziewczyna była nadal nieustępliwa. Marzył, że nigdy nie pójdzie do domu, a on po latach samotności znajdzie w niej towarzyszkę życia na cmentarzu.

Cmentarz komunalny Budi Dharma zajmował jakieś dziesięć hektarów i ciągnął się wzdłuż krawędzi plaży, oddzielony od ludzkich siedzib plantacjami kakao. Założono go w czasach kolonialnych, lecz obecnie wiele kwater było pustych i zarośniętych chwastami, nad którymi wiał silny wiatr od oceanu. Kiedy zapadła noc, Kamino znów zbliżył się do dziewczyny, niosąc zapaloną latarnię, którą postawił na nagrobku.

— Jeśli naprawdę nie chcesz wracać do domu — powiedział, nie śmiąc na nią spojrzeć — możesz zatrzymać się w gościnie u mnie.

— Dziękuję, ale nie mam w zwyczaju chodzić sama do obcych domów po nocy.

Zrobiło się zimno, a dziewczyna nie ruszała się z miejsca, choć nie miała ani koca, ani poduszki i siedziała na piaszczystej ziemi. Czując, że jego obecność jej przeszkadza, Kamino odszedł w końcu i wrócił do domu, gdzie przygotował kolację. Po jakimś czasie stanął przed nią z posiłkiem.

— Jesteś bardzo uprzejmy — podziękowała.

— Grabarze dorabiają sobie na boku gotowaniem.

— Założę się, że nikt nie siedzi przy grobach tak długo, żebyś musiał częstować go kolacją.

— To prawda, ale dusze zmarłych często są wygłodniałe.

— Z a d a j e s z s i ę z e z m a r ł y m i ?

Kamino ujrzał przed sobą małą szczelinę, przez którą — być może — wedrze się do życia dziewczyny.

— Owszem. Mógłbym nawet przywołać ducha twojego ojca, jeśli zechcesz.

I tak się stało. Za pomocą *jailangkung* — tak jak uczyli go przodkowie — przywołał duszę Mualimina i pozwolił starymu partyzantowi posiąść swe ciało. Stał się Mualiminem, mówił jego głosem i w jego własnym imieniu stanął twarzą w twarz z córką, Faridą, która ucieszyła się niepomierne, słysząc ojcowski głos, jak każdej wcześniejszej nocy, kiedy rozmawiali po zjedzonej razem kolacji przed pójściem do łóżka. Teraz, posiliwszy się przyniesionym przez Kamina posiłkiem, znów gawędziła z tatą, jakby śmierć nie istniała! Opamiętała się jednak i zawołała:

— Ale ty nie żyjesz, tatusiu!

— Nie bądź zazdrosna — odpowiedział Mualimin. — I na ciebie przyjdzie kolej.

Rozmowa ta bardzo ją zmęczyła — tym bardziej że klęczała na cmentarzu od wczesnego popołudnia — więc zasnęła przy grobie. Kamino pożegnał *jailangkung* i poszedł po koc, którym otulił dziewczynę najtroskliwiej niczym zakochany. Następnie stanął nad nią i przyglądał się jej twarzy, która wyłaniała się i znikła w ciemności, a potem znów wyłaniała w filującym od wiatru płomieniu lampy. Upewniwszy się, że nie zmarznie i że paliwa w lampie wystarczy do rana, wrócił do domu i próbował zasnąć, ale myślał o dziewczynie przez całą noc i zdrzemnął się dopiero nad ranem, kiedy pierwsze promienie słońca przedarły się przez liście plumerii.

O wpół do jedenastej obudził go zapach przypraw. Mając jeszcze zamęt w głowie po nieprzespanej nocy, wstał z łóżka i poszedł na tył domu. Przetarł oczy i ujrzał dziewczynę niosącą parującą miskę, którą postawiła na stole jadalnym.

— Ugotowałam ci śniadanie.

Od razu ją rozpoznał. To Farida! Był zdumiony.

— Ale najpierw się wykąp — powiedziała. — Albo choć umyj twarz. Zjemy razem.

Jak zahipnotyzowany ruszył do łazienki. Wciąż był półprzytomny i niemal zapomniał zabrać ręcznika, ale wykapał się najszybciej jak umiał. Zastał dziewczynę przy stole: czekała na niego. Ryż był jeszcze ciepły. A w półmisku kapusta, marchewka i zupa z makaronem. Na jednym talerzu leżała smażona soja *tempeh*, na drugim posiekana i pysznie usmażona latająca ryba.

— To wszystko było w kuchni.

Kamino kiwnął głową. Doświadczał cudu — od lat nie jadł w towarzystwie innej osoby, nie siedział z nikim przy stole od śmierci ojca i matki. Teraz obok niego była młoda kobieta, w której zakochał się potajemnie poprzedniego dnia. Serce waliło mu jak szalone i nadal bał się, nawet przy jedzeniu, spojrzeć jej w oczy. Zerkali na siebie tylko co jakiś czas, a gdy spotykały się ich spojrzenia, uśmiechali się nieśmiało jak dwoje przyłapanych na cudzołóstwie grzeszników. Siedzieli naprzeciw siebie przy stole i wyglądali jak nowożeńcy.

Tę miłosną historię przerwało burzliwe popołudnie. W starciu pomiędzy

komunistami i antykomunistami zginęło pięć osób. Czterech komunistów i jeden antykomunista. Kamino musiał ich wszystkich pochować. Zdał sobie sprawę, że na cmentarz zaczną zwozić kolejne ciała i dni, które nadejdą, będą nieuniknionym końcem Partii Komunistycznej. Poznał to po liczbie zabitych po każdej ze stron konfliktu. Wykopał pięć nowych grobów: cztery w jednym rogu cmentarza dla komunistów i jeden w innym rogu, tam gdzie chowano zwykłych ludzi. Pięciu zmarłych — każdy z rodziną płaczącą nad grobem i krótką przemową wygłoszoną przez przywódców partii — zajęło mu czas aż do wieczora. Ale Farida nigdzie nie odeszła, kiedy wykonywał swą pracę. Siedziała nad grobem ojca, tak jak poprzedniego dnia.

— Jestem gotów się założyć — zwrócił się do niej Kamino po pracy, gdy wracał do domu, żeby się umyć — że jutro zginie dziesięciu następnych komunistów.

— Jeśli ich będzie za dużo — odpowiedziała Farida — pochowaj ich w jednym wspólnym grobie. Bo siódmego dnia przyjdzie ci chować dziewięciuset martwych komunistów, a nie ma sposobu, żebyś wykopał jednego dnia tyle grobów.

— Mam nadzieję, że ich dzieci nie są tak uparte jak ty — odrzekł Kamino. — Bo musiałbym wydać ucztę, żeby ich wykarmić.

— A mnie zaprosisz w gościnę?

Pytanie to zaskoczyło Kamina, więc kiwnął tylko głową. Farida ugotowała obiad, a po posiłku znów przywołali ducha: oczywiście Mualimina, bo kogóż by innego, i córka po raz drugi porozmawiała ze zmarłym ojcem. Rozmowa ta trwała do dziewiątej wieczorem, kiedy nadeszła pora udania się na spoczynek. Kamino oddał Faridzie pokój należący kiedyś do jego rodziców, a sam położył się w izbie, którą zajmował od dziecka.

Następnego dnia sprawdziły się przewidywania Kamina i Faridy: wczesnym rankiem zginęło dwunastu komunistów. Tym razem nikt nie wygłaszał mów pogrzebowych, bo sytuacja stawała się trudna. Mówiło się, że D.N. Aidit i inni przywódcy Partii Komunistycznej rzeczywiście zostali zastrzeleni. Dwanaście ciał komunistów zrzucano na cmentarzu bez żadnych ceregieli. Grabarz nie znał nawet imion zmarłych. A choć wykopał tylko jeden wspólny grób dla tych dwunastu ciał, miał mnóstwo pracy, bo w południe przyjechała wojskowa ciężarówka, z której zrzucano osiem kolejnych trupów. Nad wieczorem dowieziono siedem następnych.

Farida siedziała nad grobem ojca, a gdy zapadł zmierzch, została w gościnie u Kamina, który wciąż był zajęty przy zwożonych ciałach. Powtarzało się to aż do dnia siódmego.

Choć część sympatyków Partii Komunistycznej zbiegła, na końcu Jalan Meredeka wciąż broniło się ponad tysiąc komunistów, walczących z naporem antykomunistów i wojska. Większość z nich miała starą broń, do której brakowało amunicji. Oblegani przez jeden dzień i jedną noc, byli głodni, ale nie myśleli o kapitulacji. Wszystkie sklepy w okolicy zostały zniszczone, a mieszkańcy uciekli. Z każdej

strony otaczali komunistów ciężkozbrojni żołnierze, których dowódca wzywał obrońców do poddania się i rozejścia, krzycząc przy tym piskliwym głosem, że partia wydała na siebie wyrok w chwili zamachu. Ale ponad tysiąc komunistów nie chciało go słuchać.

Gdy zapadł zmrok, zaczęli strzelać do żołnierzy, ale żaden nie trafił. Dowódca wojska stracił w końcu cierpliwość i wydał rozkaz do ostrzału. W krzyżowym ogniu z wszystkich stron komuniści padali na ulicę. Ci, których jeszcze nie zabito, uciekali w ślepej panice, tratując się nawzajem i czekając na kule, które ich dosięgły jednego po drugim. Tego popołudnia w jednej krótkiej masakrze zginęło tysiąc dwustu trzydziestu dwóch komunistów, co położyło kres działaniu Partii Komunistycznej w tym mieście i w całym kraju.

Trupy wrzucano na ciężarówki, pakowano jednego po drugim jak połcie w transporcie z rzeźni, a cały konwój wypełnionych zwłokami ciężarówek ruszył pod dom Kamina. Ten dzień okazał się dlań najpracowitszy w życiu. Musiał wykopać olbrzymi dół, który nie był gotowy nawet o północy; wczesnym rankiem pomagali mu go skończyć żołnierze. Miał nadzieję, że komuniści się poddadzą, nie będzie już więcej trupów, a on sam w końcu odpocznie. Farida towarzyszyła mu przez cały ten czas, czekając na niego w domu, gotując mu posiłki, a w wolnych chwilach siedząc przy grobie ojca.

Tamtego ranka, gdy na ciężarówkach odjechało wojsko, a tysiąc dwustu trzydziestu dwóch komunistów spoczęło we wspólnej mogile, Kamino, który mimo niewyspania tryskał energią, podszedł do towarzyszącej mu od tygodnia Faridy i powiedział:

— Pani moja, czy zechcesz ze mną zamieszkać i zostać moją żoną?

Farida wiedziała, że jej przeznaczeniem było przyjęcie oświadczyn tego mężczyzny. Więc jeszcze tego samego ranka, gdy się wykąпали i przebrali w najlepszą odzież, poszli do naczelnika wioski i poprosili o udzielenie im ślubu. Zostali mężem i żoną, a na miesiąc miodowy przenieśli się do starego domu Faridy.

To oznaczało, że dnia zaślubin grabarz nie pełnił dyżuru na cmentarzu, ale nikomu to nie przeszkadzało, bowiem wojsko miało już dosyć zwożenia komunistycznych trupów na cmentarz i pomagania przy kopaniu wspólnych grobów. A poza tym to nie wojsko zabijało większość komunistów, ale antykomunistyczne bojówki, uzbrojone w maczety, szable, sierpy i inne służące do zabijania przedmioty, a bojówki zostawiały trupy przy drogach, żeby zgniły. Halimunda była teraz wypełniona zwłokami, rozciągniętymi w kanałach nawadniających, na przedmieściach, u stóp wzgórz, na brzegach rzeki, na środku mostów oraz pod krzakami. Większość z nich zabito podczas ucieczki.

Jednak nie wszystkich komunistów uśmiercono. Część z nich poddała się i trafiła do lokalnych aresztów i wojskowego więzienia, skąd wysyłano ich do Bloedenkamp, najstraszniejszego obozu karnego w delcie. Przesłuchania ciągnęły

się godzinami i kończyły obietnicą, że będą kontynuowane następnego dnia. Niektórzy umierali z wycieńczenia, inni z głodu, jeszcze innych zatłuczono na śmierć. Komuniści przebywający na wolności byli zaciekle ścigani, nawet w głębi dżungli.

A towarzysz Kliwon był najbardziej poszukiwany ze wszystkich.

Szodanco stworzył specjalny oddział pościgowy, który miał go pojmać żywego bądź martwego.

Gdy oddział wyruszył na poszukiwania, towarzysz Kliwon siedział jak zwykle na werandzie komitetu partii w towarzystwie Adindy, czekając cierpliwie na gazetę. Żołnierze, klęć się na Boga, nie zauważyli tych dwojga. Wpadli do komitetu i rozbili wszystko, co było w środku, zrywając ze ścian portret Karola Marksa i paląc go na poboczu drogi wraz z flagą komunistyczną, sierpem i młotem oraz książkami z biblioteki, z wyjątkiem tych, które mówiły o *silat*, indonezyjskiej sztuce walki, które dla własnej przyjemności ocalił Szodanco. Stał on na czele ataku na komitet i zebrał dwa kartony książek o *silat*, które natychmiast ukrył w dziupie. Wszystko to działo się na oczach towarzysza Kliwona i Adindy, którzy byli wstrząśnięci tym, że nikt ich nie zauważył.

Oddział pościgowy wyruszył na cmentarz, gdyż ktoś doniósł, że towarzysz Kliwon właśnie tam się ukrywa, ale na cmentarzu nikogo nie znaleziono, nawet grabarza. Oddział po następnym doniesieniu przeniósł się szybko do domu Myny, która upierała się przez całe długie przesłuchanie, że nie widziała towarzysza Kliwona od poprzedniego tygodnia.

Kiedy żołnierze odeszli, Mina powiedziała do siebie:

— Ten głupi chłopak powinien był wiedzieć, że wszyscy komuniści kończą przed plutonem egzekucyjnym.

Jakiś człowiek przybiegł do Szodanco, mówiąc, że widział towarzysza Kliwona uciekającego na morze z młodą dziewczyną. Coraz bardziej poirytowany Szodanco, który miał tylko jedno niezaspokojone pragnienie — zemsty — rozkazał przeczesywanie otwartego morza. Żołnierze ścigali Kliwona motorówkami, ale znaleźli tylko pustą porzuconą łódź, kołyszącą się na falach. Mając nadzieję ujrzeć jego trupa, Szodanco posłał nurków w głąbiny, ale ci wrócili na powierzchnię z pustymi rękami.

By dać upust złości, Szodanco przesłuchiwał kilku ważnych działaczy partyjnych, których zdołał pojmać. Każdy z nich mówił, że gdy widział towarzysza Kliwona po raz ostatni, ten siedział w komitecie na werandzie i czekał na gazety. Szodanco wziął tę opowieść za drwinę i wyprowadził działaczy za więzienie, gdzie zabił ich osobiście ze służbowego pistoletu.

Krążyły plotki, że towarzysz Kliwon ma nadprzyrodzone moce — potrafi się przebrać za kogo chce, dzieli się lub mnoży i pojawia jednocześnie w wielu miejscach naraz. Jednak w końcu został pojmany. Szodanco cofał się po własnych

śladach i poprowadził żołnierzy z powrotem do komitetu u wylotu Jalan Belanda, gdzie wreszcie go ujrzał siedzącego na werandzie w towarzystwie szwagierki — dokładnie tak, jak mówili przed śmiercią rozstrzelani przez niego działacze. Szodanczo był zbyt zakłopotany, by pytać, gdzie spędził cały dzień, bo sprawa była całkiem oczywista, a wygląd towarzysza Kliwona wskazywał, że przez cały czas siedział na werandzie komitetu.

— Jesteś aresztowany, towarzyszu — oznajmił Szodanczo. — A ty, moja droga Adindo, lepiej wracaj do domu.

— Za co mnie aresztujesz? — zapytał towarzysz Kliwon.

— Za czekanie na gazety, które nigdy nie nadejdą — odrzekł Szodanczo, wykazując się cierpkim poczuciem humoru.

Kliwon wyciągnął przed siebie ręce, a Szodanczo go skuł.

— Szodanczo — odezwała się zapłakana Adinda. — Pozwól mi się z nim pożegnać, bo obawiam się, że go zabijecie, kiedy tylko trafi do więzienia.

Szodanczo kiwnął głową, a ona pożegnała się z towarzyszem Kliwonem, całując go zwyczajnie w usta.

Wieść o pojmaniu Kliwona obiegła wkrótce całe miasto, a wzdłuż drogi z komitetu partii do wojskowego więzienia szybko zebrały się tłumy, wśród których stali ludzie z krwią na rękach. Większość jednak dobrze wspominała Kliwona i czekała na jego przejście.

Bo towarzysz Kliwon odmówił jazdy wojskowym dżipem i szedł przez całą drogę w eskorcie żołnierzy, zachowując resztki godności. Adinda siedziała w dżipie z Szodanczo i jechali bardzo wolno za idącym Kliwonem, a ludzie stali wzdłuż ulicy po prawej i lewej stronie, zachowując uroczyste milczenie. Przyglądali się z mieszanymi uczuciami temu człowiekowi, który szedł na pewną śmierć w ulubionym kaszkiecie. Wielu z nich znało go z czasów szkolnych i ci zastanawiali się, jak to możliwe, że najmądrzejszy i najprzystojniejszy chłopak w mieście stał się zaślepionym komunistą. Stały tam również kobiety, z którymi się spotykał, oraz te, które marzyły o spotkaniu z nim, i wpatrywały się w niego zażwawionymi oczami, wiedząc, że ich jedyna prawdziwa miłość odchodzi na zawsze.

Wszystkim mijał gniew, kiedy na niego patrzyli. Szedł wyprostowany, zdecydowanym krokiem, i wcale nie robił wrażenia pokonanego. Wyglądał jak dowódca, pewny, że niedługo wygra wszystkie kolejne wojny. A ludzie, którzy na niego patrzyli, wspominali całe dobro, jakie od niego zaznali, zapominając o tym, co złe. Był mądry, przystojny, pilny i uprzejmy i nikt już nie pamiętał, że kiedyś zaśląnął jako awanturnik oszukujący prostytutki albo że spalił kutry.

Na kaszkiecie miał naszytą czerwoną gwiazdę. Włożył uszytą przez matkę koszulę i spodnie z czasów, kiedy studiował w stolicy. Pożyczył skórzane buty.

Odwrocił głowę, mając nadzieję, że ujrzy Adindę, ale nie dostrzegł jej w głębi

dżipa. Rozglądał się także po twarzach w tłumie, wypatrując Alamandy, ale nigdzie jej nie było. Uznawszy, że wśród zgromadzonych nie ma nikogo ważnego, maszerował spokojnie do więzienia za dowództwem okręgu, gdzie Szodanczo oznajmił mu, że bez procesu zostanie zgładzony następnego ranka o piątej.

Niedługo po tym przemarszu w więzieniu pojawiła się Adinda, a ponieważ odwiedziny u więźniów zostały zakazane, zostawiła tylko ubranie na zmianę i poprosiła Szodanczo, aby podał Kliwonowi tacę z jedzeniem.

— Obiecay mi, Szodanczo — powiedziała — że dopilnujesz, żeby wszystko zjadł. Nic nie je, odkąd przestały przychodzić gazety.

Szodanczo zaniósł to wszystko osobiście do celi, w której towarzysz Kliwon leżał na prycy z rękami za głową, gapiąc się w sufit.

— Zdaje się, że wciąż cieszysz się wielką sławą wśród kobiet, towarzyszu — powiedział Szodanczo. — Jedna z nich przesyła ci ubranie na zmianę i tacę z jedzeniem.

— Wiem która. Twoja własna szwagierka.

Wypowiedziawszy te słowa, umilkł, nie zmieniając pozycji. Szodanczo uśmiechnął się w półmroku celi i delektował swoją małą zemstą. Oto człowiek, który odebrał mi piękną żonę — mówił do siebie w duchu — i rzucił klątwę na dwójkę mych dzieci.

— Dopilnuję, żeby cię jutro zgładzono.

Nie miał zamiaru dać mu satysfakcji w postaci szybkiej i bezbolesnej śmierci jak kula w łeb. Chciał, żeby Kliwon umierał powoli, żeby wrywano mu jeden po drugim paznokcie, żeby mu zdjęto skalp, wydłubano oczy i wyrwano język. Uśmiechnął się okrutnie na myśl o jego męczarniach.

Ale towarzysz Kliwon nie zareagował. Jakby w ogóle się tym nie przejmował, co było raczej niewiarygodne i naprawdę rozzłościło Szodanczo. Od tego leżącego na prycy żywego trupa biły autorytet i samozadowolenie, jakby miał umrzeć jako męczennik, zdumiony życiem, które wybrał i którego nigdy nie żałował, choć doprowadziło go do tak nieszczęsnego końca. Była między nimi olbrzymia przepaść — między człowiekiem władnym wysyłać ludzi na śmierć a tym, który liczył godziny do śmierci. Pierwszego niepokoiła własna władza, drugi spokojnie przyjmował swój los.

Szczerze mówiąc, towarzysz Kliwon w ogóle nie myślał o Szodanczo, lecz pozwalał się nieść nostalgii i wspomnieniom ku miastu, które wkrótce opuści na zawsze. Jakże męcząca jest rewolucja, myślał. A jedyne, co go uszczęśliwiało, to świadomość, że może zostawić to wszystko za sobą bez obawy, że stał się reakcjonistą lub co gorsza kontrewolucjonistą.

Towarzysz Kliwon uznał, że powinien być wdzięczny tym — kimkolwiek byli — którzy przeprowadzili zamach. Bowiem umrze następnego dnia i zostawi wyczerpującą rewolucję innym. Nie martwił się za bardzo o matkę — jest silną

kobietą i potrafi o siebie zadbać. Ta myśl sprawiła, że jeszcze bardziej zapragnął umrzeć i poczuł się nawet szczęśliwy. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiezek, który niepomiarowo rozeźlił Szodanczo.

— Przyjdą po ciebie za dziesięć piąta, punktualnie o piątej rozpocznie się egzekucja. Teraz zaś możesz mi powiedzieć, jakie jest twoje ostatnie życzenie — oznajmił.

— Oto moje ostatnie życzenie: robotnicy wszystkich krajów, łączcie się! — odrzekł towarzysz Kliwon.

Szodanczo wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

1. Równość i solidarność. [↔](#)

WIELU MŁODYCH BIERZE ŚLUB w porze deszczowej. Tłumy wieśniaków chodzą z wesela na wesele, a przy niemal każdym skrzyżowaniu sterczą z płotów złote słupy *janur kuning*, oznaczające dom weselny i zwieszające się nad ulicami złociste lampiony. Ci mężczyźni, którzy nie są jeszcze żonaci, zaglądają do burdeli, kochankowie spotykają się częściej i spółkują potajemnie, a długoletnie małżeństwa przeżywają w porze deszczowej na nowo swój miesiąc miodowy, dzięki czemu Bóg stwarza wiele maleńkich zarodków.

Ludzie kochali się, kiedy tylko mogli, nawet podczas masakry komunistów, szczególnie podczas ulew. Ale coś takiego nie przydarzyło się, przynajmniej chwilowo, Szodanczo i Alamandzie. Nie przydarzyło się również Maman Gendengowi i Mai Dewi, którzy odgrywali wciąż to samo przedstawienie, występując w nim od dnia ślubu przed pięcioma laty.

Ale Maman Gendeng i tak był szczęśliwy: miał coś, co można nazwać domem, coś, o czym marzył z dawien dawna, odkąd tylko zakochał się w Nasi i przekonał, że Nasia kocha innego. Przez lata marzył o tak kochającym spojrzeniu jak spojrzenie Nasi, o rodzinie i domu, a czas ten był pełen rozpacz i zwątpienia, czy jego marzenie kiedykolwiek się spełni, przede wszystkim dlatego, że wszyscy uważali go za awanturnika i łajdaka.

Teraz, kiedy wracał do domu z dworca, po trwających całe popołudnie pogawędkach i nicnierobieniu albo graniu w karty z Szodanczo, żona czekała na niego przy stole jadalnym lub spieszyła przygotować mu kąpiel. Każdego wieczoru pogrążał się w nieopisanym szczęściu i uważał się obecnie za kulturalnego człowieka, gdyż miał czyste ubrania jak jego sąsiedzi, jadał jak oni przy stole w jadalni i sypiał na przykrytym kocem materacu — dokładnie tak samo jak oni.

Maja Dewi bardzo dbała o męża, podobnie jak o prowadzenie gospodarstwa domowego czy odrabianie lekcji. Maman Gendeng natomiast nie tknął żadnej innej kobiety, tak jak obiecał Dewi Ayu, choć jeszcze nie było mu dane spać z własną żoną. Mijał rok za rokiem, a mała dziewczynka zmieniała się w nastolatkę. Była już znacznie wyższa, jej ciało się wypełniło, a piersi pięknie rozwinęły. Ale Maman Gendeng wciąż widział w niej tę samą uczennicę, którą zawsze była. Dotrzymywał jej towarzystwa, palił papierosy, gdy odrabiała lekcje, i otulał ją kołdrą przed snem, ale nigdy nie położył się obok niej.

Bił zdumiewający rekord seksualnej abstynencji. Niekiedy, gdy owładnęła nim chuć, przeprowadzał w łazience pewne eksperymenty, żeby się uspokoić, a w tych sprawach Szodanczo okazał się najlepszym kumplem, jakiego tylko mógł mieć. Choć wywodzili się z zupełnie innych środowisk, los połączył ich pogłębiającą się

przyjaźnią, a Szodanczo już nie tylko w skrytości ducha lamentował nad ewentualnością, że jego żona nadal kocha towarzysza Kliwona, ale omawiał też rodzinne problemy z zaufanym przyjacielem.

Po grze w karety, po odejściu od stołu pozostałych graczy i po rozstrzygnięciu najpilniejszych spraw miasta, rozmawiali o kłopotach osobistych. A wtedy nie byli już tylko przyjaciółmi, ale braćmi, lamentującymi i wzdychającymi nad niesprawiedliwościami, jakie ich spotkały. Któregoś dnia Szodanczo podzielił się z Maman Gendengiem tajemnicą żelaznego pasa cnoty Alamandy.

— Jedyne klucze, który go otwiera, to mantra, a zna ją tylko moja żona.

— Ale słyszałem, że była w ciąży!

Wówczas Szodanczo wybuchnął nagle płaczem i łkając, powiedział:

— Była w ciąży dwukrotnie. Dałem córeczkom na imię Nurul Aini, ale obie znikły z jej łona!

— Żadna kobieta nie zachodzi w ciążę, jeśli się jej nie wypierdoli, chyba że wierzysz w niepokalane poczęcie.

Szodanczo zachłusnął się i wytłumaczył:

— No... zgwałciłem ją dwa razy, gdy nie zdążyła założyć tych żelaznych majtek.

Maman Gendeng pocieszył go, mówiąc, że i on nie tknął jeszcze swojej żony.

— I dałem słowo, Szodanczo, że nie będę zachodził do burdeli, więc zabawiam się tylko w łazience. To dosyć skuteczne i przynosi ulgę od szajby oraz zapobiega napadom złości. Powinieneś regularnie opróżniać zawartość jaj.

— Ależ robię to, robię — przyznał Szodanczo.

Nie pozostało im zatem nic innego, jak tylko pogodzić się z myślą, że kluczem do małżeńskiego szczęścia jest w ich wypadku upływ czasu, choć czas ten płynie cholernie powoli, z czym muszą się jednak wspaniałomyślnie godzić. Maman Gendeng musi żyć w oczekiwaniu na osiągnięcie dojrzałości przez żonę, żeby móc się z nią kochać.

— Nie wiem, kiedy to nastąpi, Szodanczo. A ty też, powiadam ci, potrzebujesz czasu, żeby się przed nią wystarczająco długo płaszczyć, bo każdą kobietę da się zdobyć przez upór i wytrwałość.

Tak przynajmniej mówili mędrcy, którzy byli z wieloma kobietami.

— Dlatego jeśli będziesz cierpliwy — kontynuował Maman Gendeng — twój upór przyniesie owoce. Kropla drąży skałę, więc twoja żona przestanie się wygłupiać i pewnie nawet cię pokocha. Nie będziesz musiał namawiać jej ani przekonywać, ani uwodzić, żeby otworzyła przed tobą pas cnoty, bo pewnej nocy zrobi to z własnej woli. Wierz mi, że tak się stanie, Szodanczo, bo nie ma takiej kobiety... ani mężczyzny, skoro już o tym mowa... którzy wytrwaliby w uporze aż do śmierci.

Te przedziwne, choć mądre słowa z ust Maman Gendenga — którego Szodanczo w skrytości ducha nadal trochę nienawidził — przyniosły mu prawdziwą pociechę

i przez moment przestał zadrećzać się myślą o tym, jak wspaniale byłoby przespać się z własną żoną (bo wciąż nie mógł zapomnieć tej najsłodszej chwili, gdy zgwałcił ją w partyzanckiej chacie).

W przeciwieństwie do Szodanco Maman Gendengowi nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby zgwałcić własną żonę. Być może gdyby poprosił, Maja Dewi rozebrałaby się do naga, położyła na łóżku i czekała, aż wskoczy na nią — również nagi. Ale nie, nie potrafili by potraktować tej dziewczyny o niewinnych oczach w tak okrutny sposób. Najsłodszej, najmłodszej córki, jak nazywał Maję Dewi, gdy był jeszcze kochankiem Dewi Ayu. Uważał, że najważniejszym zadaniem męża jest zapewnienie żonie szczęścia i stworzenia jej warunków do nauki, jak stać się dobrą towarzyszką życia.

— Mogę być tylko dumny ze swojej małej żonki — powtarzał zawsze przyjaciołom. — Miała dwanaście lat, kiedy ją poślubiłem, a już umiała doskonale gotować, szyć, sprzątać i układać kwiaty. Teraz, kiedy wraca ze szkoły, piecze ciasteczka dla całej okolicy.

Pieczenie ciast i ciastek okazało się tak intratne, że Maja Dewi zatrudniła pomocnice: dwie mniej więcej dwunastoletnie sieroty, które przygarnęła. Przez cały dzień krzątały się przy cieście, piecu i dekorowaniu wypieków.

Ale szkoła i pieczenie ciast nie przeszkadzały jej w dbaniu o męża i właśnie z tej przyczyny Maman Gendeng był tak szczęśliwy. Ale wciąż jej nie tknął, nie chcąc niszczyć jej radosnego dzieciństwa, bo choć zrodziła się z najsłynniejszej kurwy w mieście i spędziła z nią dwanaście lat życia, mogła wcale nie myśleć o seksie ani niczym takim. Gdy usłyszał o tym, co się stało z dwójką nienarodzonych dzieci Szodanco, nabrał pewności, że zmuszanie kobiety do czegokolwiek nie jest właściwą drogą. Nawet jeśli ta kobieta jest naszą własną żoną.

Maman Gendeng był bardzo dumny ze swojej cierpliwości i z tego, że przez lata nie kochał się z nikim, jeśli nie liczyć własnej dłoni w łazience. Jego kontakt fizyczny z żoną ograniczał się do pocałunku w czoło przed snem i przed jej wyjściem do szkoły; czasem też siadywali objęci w kinie, a niekiedy zanosił ją do łóżka, gdy zasnęła na sofie. Nigdy nie widział jej nagiej. Wyrzekał się tego z tajemniczą cierpliwością człowieka, który był rycerzem nomadą i przyglądał się w spokojnym oczekiwaniu mijającym jedna po drugiej porom roku.

Ale nagle, któregoś dnia, gdy Maja Dewi miała już niemal siedemnaście lat, zaskoczyła Maman Gendenga, mówiąc:

— Mam zamiar rzucić szkołę.

Przedstawiła dosyć stanowczo swoje argumenty, twierdząc, że chce się lepiej zająć domem i mężem.

Choć Maman Gendeng mógłby się sprzeciwić i powiedzieć, że do tej pory jemu samemu i domowi niczego nie brakowało — w istocie mieszkali się o wiele lepiej od jakiegokolwiek męża czy domu w całym mieście, zważywszy na to, ilu mężów

ucieka do burdelu Mamy Kalong — widząc niewzruszone postanowienie w oczach żony, przystał na to, co zadecydowała.

Późnym wieczorem poszedł jak zwykle do żoninej sypialni, żeby ucałować Maję Dewi na dobranoc i otulić ją kołdrą. Zastał ją nagą na łóżku, na różowym prześcieradle, w łagodnym świetle lampy: uśmiechnęła się do niego, a wokół unosił się zapach róż. Powiedziała:

— Mój ukochany, jestem twoją żoną i jestem już na tyle dorosła, żeby przyjmować cię w tym łóżku. Przytul mnie teraz i kochaj się ze mną. To będzie najpiękniejsza noc, jaka nam się przydarzy, nasza pierwsza wspólna noc, na którą czekaliśmy przez pięć długich lat.

Maja Dewi była wprost cudowna, zresztą urodę odziedziczyła po matce. Leżała z rozrzuconymi na poduszce włosami, a on napawał się widokiem jej zadartych piersi i kształtnych, silnych ud. Wstrzymał oddech. Był gotów przysiąc, że nie zdawał sobie sprawy, że w nagrodę za pięcioletnie oczekiwanie spotka go takie nadzwyczajne błogosławieństwo, jakby przebył daleką drogę, by u jej końca znaleźć najcenniejszy klejnot na świecie.

I wtedy, jakby popychany nieznaną siłą, zbliżył się do niej i wyciągnął ku niej rękę, by poznać ciało żony najczulszymi pieścizotami, od których wyginała grzbiet, wiła się i wzdychała szeptem. Niespiesznie, ze spokojem, wykutym latami oczekiwania, wspiał się na łóżko i powąchał z miłością czoło żony, zasypując jej policzki i wargi długimi żarliwymi pocałunkami. Maja Dewi rozebrała go tak zgrabnie, że nawet nie zauważył, iż jest nagi.

Stopili się w jedno podczas najwspanialszej nocy poślubnej, która trwała tygodniami. Jak prawdziwa młoda para niemal nie wychodzili z domu, kochając się od zmroku do świtu, a potem od rana do popołudnia. Opuszczali łóżko tylko po to, żeby jeść, pić, iść do łazienki czy odetchnąć świeżym powietrzem. Byli w połowie niezwykłego miesiąca miodowego, gdy na początku deszczowego października w Halimundzie połała się krew, o czym zupełnie nie wiedzieli.

Alamanda dowiedziała się jako ostatnia o pojmaniu towarzysza Kliwona i zaplanowanej na piątą rano egzekucji. Wieść tę przyniósł jej wiatr, który wpadał przez okno, gdy leżała u siebie, czekając na powrót męża. Odkąd Szodanco zajął się na początku października niecierpiącymi zwłoki, osobliwymi wypadkami, niemal nie wychodziła z domu. Teraz zadrzała na myśl, że mężczyzna, którego wciąż potajemnie kochała, umrze o świcie — może przed plutonem egzekucyjnym, może powieszony, utopiony albo wrzucony do kojca *ajaków*.

Otulona kołdrą, usiadła na krawędzi łóżka i wbiła wzrok w ścienny zegar, wpatrując się w dużą wskazówkę, sunącą wolno, lecz nieuchronnie ku chwili śmierci kochanka na rozkaz jej męża. Niewykluczone, że Szodanco sam przeprowadzi egzekucję. Czuła się opuszczona, wyobcowana, samotna i załkała,

pragnąc niespodziewanie znaleźć się w męskich ramionach. Mężczyzna, którego poślubiła, porzucił ją, zajęty zamieszkami, a ona nie była w stanie pomóc temu, którego chciałyby mieć w łóżku.

Nie była jedyną osobą, która nie godziła się ze śmiercią towarzysza Kliwona: dla niej i wielu innych spalenie przez niego trzech kutrów, należących do jej męża, czy wtrącenie nastolatków do więzienia za śpiewanie rock and rolla nie miało większego znaczenia, bo Kliwon był Halimundą i na odwrót. Zbudował pozytywny obraz miasta, który zastąpił dawny — niesławny: jaskini prostytutek, bandytów i starych partyzantów.

Każda dziewczyna w Halimundzie, w tym Alamanda, będzie wyobrażała sobie tego mężczyznę za każdym razem, kiedy pomyśli o mieście. Ale o świcie on umrze, więc nad miasto zaczęły wzlatywać modlitwy, wypowiedane przez tych, którzy nie byli w stanie zapobiec jego śmierci. Jedyną osobą, która mogła wstrzymać egzekucję, była Alamanda — klucz spoczywał w jej rękach.

Szodanczo pojawił się wreszcie w domu za kwadrans piąta. Chciał odetchnąć chwilę przed egzekucją swego najzagorzalszego wroga. Rzucił na łóżko rewolwer, którym zabije tego oszalałego komunistę, a potem, wyczerpany, położył się obok broni i właśnie wtedy ujrzał Alamandę. Siedziała w kącie materaca, drżąc na całym ciele.

— Powiedz mi, Szodanczo... ma umrzeć o piątej tego ranka, prawda? — zapytała z ciemności Alamanda.

— Owszem.

— Wyrecytuję mantrę i obdarzę cię swoją miłością, jeśli dasz mi słowo, że ten człowiek przeżyje. — W głosie kobiety dała się słyszeć determinacja.

Szodanczo podniósł się i usiadł naprzeciw Alamandy w półmroku, rozpoczynając najdziwniejszą transakcję, do jakiej kiedykolwiek doszło między mężem a żoną.

— Mówię poważnie, Szodanczo.

— To uczciwa umowa — powiedział — choć napełnia moje serce zazdrością.

Nic więcej nie dodał. Wstał, podniósł rewolwer i wyszedł z pokoju dziarskim krokiem. Poszedł do dowództwa okręgu, gdzie pluton egzekucyjny z dumą czyścił broń. Za pół godziny żołnierze mieli bowiem rozstrzelać chyba najważniejszego więźnia w swojej wojskowej karierze, prawdziwą grubą rybę.

Szodanczo odszukał dowódcę plutonu i wydał rozkazy. Nikomu nie wolno zabić towarzysza Kliwona i nikomu nie wolno pytać dlaczego. Cała sprawa otarła się o dowódców ze sztabu generalnego, którzy polecili mu dopilnować wszystkiego osobiście. Jeśli ktoś zabije tego człowieka, on, Szodanczo, nie zawaha się zastrzelić zabójcę z własnego rewolweru (tak powiedział, wymachując bronią), razem z jego żoną, dziećmi, rodzicami i teściami, starszym rodzeństwem, siostrzeńcami i siostrzenicami, bratankami i bratanicami, kuzynami i kuzynkami, stryjami, wujami

i ciotkami.

Powiedział to z taką stanowczością, że nikt nie śmiał z nim dyskutować, choć wszyscy zastanawiali się, co zaszło. Szodanczo odwrócił się i ruszył w drogę powrotną do domu, ale przy bramie zerknął jeszcze na żołnierzy, którzy nie spali całą noc, czekając na egzekucję. Powiedział im na odchodne:

— Możecie skopać mu tyłek, ale powtarzam, nie zabijajcie go! O siódmej rano ma być wolny.

Po tych słowach oddalił się szybko.

Gdy wrócił do domu, naga żona leżała na łóżku dokładnie w takiej pozie, w jakiej Maman Gendeng zastał Maję Dewi. W sypialni było ciepło, lecz rześko, mimo że pora deszczowa temu nie sprzyjała. W słabym świetle nocnej lampki widział ciało, które tak dobrze znał, zapamiętawszy każdą jego wypukłość, każde wgłębienie i zakamarek. Alamanda miała teraz dwadzieścia jeden lat, była dojrzała i kusząca.

Po chwili Szodanczo uświadomił sobie, że sypialnia została udekorowana jak pokój państwa młodych. Wszystko miało złocistą barwę — kolor ten podobał się Alamandzie — od pościeli po moskitierę. W wazonie na stole stały orchidee i tuberozy. Wszystko przypominało cudowną ofiarę nocy poślubnej, spóźnionej o pięć lat.

Szodanczo przyjął nieśmiałą postawę pana młodego, nie spieszył się, jak miał to w zwyczaju, ale powoli zdejmował ubranie. A potem rozpoczęła się noc poślubna, po której nastąpił niezwykle romantyczny i ciepły miesiąc miodowy. Tej pierwszej nocy kochali się zapamiętale i dziko, stoczyli się, nawet tego nie zauważywszy, ze złotej pościeli na podłogę, a potem kochali się dalej w łazience i skończyli na sofie, gdy przez okno wpadły pierwsze promienie słońca.

Zamknęli drzwi domu, zakazali służącym wychodzić z kuchni i zrobili to jeszcze raz w salonie od frontu, czytając przy tym na głos pornograficzne powieści. Potem wrócili do łazienki, a służące w kuchni i sąsiedzi ze zdziwieniem słuchali jęków Alamandy i pochrząkiwań Szodanczo. Tej nocy spuścił się trzy razy, ale poczuł się w pełni usatysfakcjonowany dopiero po jedenastym razie następnego dnia: byli doprawdy wygłodniałą parą wrogów, czekających na siebie przez pięć lat.

Podobnie jak Maman Gendeng i Maja Dewi nie wychodzili z domu całymi tygodniami. Nie dbali już o nic, co działo się na zewnątrz.

Wiele miesięcy później Szodanczo dowiedział się, że żona Maman Gendenga jest w ciąży. Wydano małe przyjęcie, a wszyscy *premani* upili się za domem, nie zważając na krzyki Maman Gendenga, który zabronił komukolwiek uchlać się pod swoim dachem; niektórym urwał się nawet film, a Maman Gendeng musiał wyciągać ich jednego po drugim na ulicę.

W końcu siadł na krześle na werandzie i przyglądał się swoim przyjaciołom, z których część leżała pijana na poboczu, a część wracała chwiejnym krokiem na

ławki na dworcu autobusowym; przyglądał się im z zawrotnej perspektywy człowieka gotowego prowadzić normalne życie wszystkich innych normalnych mężczyzn, a jednocześnie człowieka, który latami solidaryzował się z przyjaciółmi mieszkającymi pod gołym niebem.

Wciąż był mężczyzną z dwóch różnych światów — złym facetem poza domem i najlepszym mężem w domu — kiedy przyszło na świat dziecko. Nazwał córkę Rengganis, tak jak obiecywał. Ale ludzie mówili na nią Piękna Rengganis ze względu na jej niezwykłą urodę.

Właśnie wtedy pojawił się Szodanczo, szczerze uradowany na widok przyjaciela, który został ojcem córki tak pięknej jak jej matka i babka. Podśmiewywał się też ze szwagra, gratulując mu sprawnego instrumentu po wymuszonej pięcioletniej przerwie, jeśli nie liczyć eksperymentów w łazience. Słyszając to, Maman Gendeng — zazwyczaj dość drażliwy na swoim punkcie i okrutny — zaczerwienił się wstydliwie i zapytał, co słyhać u Szodanczo.

Ten wyszczerzył zęby.

— Spójrz na mnie, drogi przyjacielu. Poszcęściło się nam obu, a nasza cierpliwość przyniosła w końcu owoce. Moja żona również jest w ciąży i ma okrągły, pełny brzuch. Och, przyjacielu, nie patrz tak na mnie: tym razem nie musiałem się uciekać do tych samych sposobów co uprzednio! To prawda, że straciłem za karę dwie słodkie dziewczynki, ale teraz, jak wierzę, mój srogi los się odwróci. Mam nadzieję, że moja żona urodzi najprawdziwsze zdrowe dziecko i klnę się na Boga, że nasza córka nie będzie brzydsza od twojej. Kochaliśmy się jak młoda para, trochę nieśmiało na początku, ale żarliwie, namiętnie i szczerze... z miłości!

Po chwili dodał:

— Jesteś zapewne zaskoczony tym, co mówię. I ja byłem zaskoczony, kiedy pewnej nocy, przed świtem, zastałem żonę nagą i gotową mnie przyjąć. Powiedziała, że chce, żebym ją posiadał, i nie będzie się temu sprzeciwiać, a przez wiele następnych tygodni przeżyliśmy wspólnie najpiękniejsze noce miesiąca miodowego. Moja historia niczym się nie różni od twojej, przyjacielu, bo świat zgotował nam taki sam los.

Obaj zachichotali.

Szodanczo nie wspomniał — czując, że nie ma takiej potrzeby — że zyskał miłość żony darowaniem życia towarzyszowi Kliwonowi.

Wielce uradowani, pili do siebie za domem nad stawem z rybami. Gawędzili o wielu sprawach, w tym o strategii gry w karety, i przyrzekli sobie, że znów zasiądą razem przy stole do kart po długiej nieobecności spowodowanej niekończącymi się miesiącami miodowymi.

Sześć miesięcy po narodzinach córki Maman Gendeng usłyszał, że Alamanda jest już w połogu, więc zabrał żonę i Rengganis do domu Szodanczo. Przybyli akurat

wtedy, gdy noworodek zapłakał po raz pierwszy — w tej samej chwili Maman Gendeng uściskał rękę Szodanczo. Świeżo upieczony ojciec wpadł w ekstazę na widok dziecka — krwi z jego krwi, kości z jego kości — najpiękniejszego na świecie. Noworodkiem była dziewczynka — jak się okazało — równie piękna jak córka drogiego przyjaciela i wroga Szodanczo.

— Gratuluję, Szodanczo — powiedział Maman Gendeng. — Mam nadzieję, że te cioteczne siostry zostaną najlepszymi przyjaciółkami. Czy wybrałeś już imię dla córki?

— Będzie się nazywać jak jej dwie starsze siostry, które zniknęły — odrzekł Szodanczo. — Dam jej na imię Nurul Aini. — Ale wszyscy nazywali ją później zdrobnieniem Ai.

I tak brzmi opowieść o dwóch ojcach, którzy czekali latami na swoje pociechy; obaj kochali córki tak bardzo, że kiedy znów zaczęli się spotykać przy stole do kart ze sprzedawcą sardynek i rzeźnikiem, często zabierali je ze sobą. Dziewczynki wychowywały się razem. Ojcowie pozwalali im tasować karty w połowie gry albo rzucać żetonami, a przyjaźń Szodanczo i Maman Gendenga zacieśniała się dzięki córkom.

Tymczasem dwanaście dni po narodzinach Nurul Aini przyszło na świat trzecie dziecko: kuzyn, syn Adindy, któremu ojciec dał na imię Krisan. Ale to jest zupełnie inna historia i inna rodzina, zmierzająca ku innemu przeznaczeniu. Rozpoczęło się ono w dniu, w którym towarzysz Kliwon miał ponieść śmierć o świat, ale został ocalony przez Alamandę, która wykupiła jego życie, oddając się Szodanczo. W tamtym czasie nikt jeszcze nie mógł przypuszczać, że narodziny trójki kuzynów, wnucząt Dewi Ayu, doprowadzą po latach do najstraszniejszej tragedii, o jakiej kiedykolwiek słyszano.

Na cmentarzu tymczasem Kamino i Farida wiedli ciche, spokojne i pełne radości życie. Kamino — uszczęśliwiony znalezieniem po latach samotności dziewczyny, która zechciała zostać żoną grabarza — nie przejmował się tym, że żona powtarzała mu bez przerwy, iż poślubiła go tylko dlatego, że mieszkał blisko grobu ojca.

— Nie ma sensu być zazdrosnym o zmarłego — odpowiadał jej Kamino.

Nadal często bawili się *jailangkung* i przyzywali ducha Mualimina. Zmarły wydawał się uszczęśliwiony, że Farida znalazła sobie męża grabarza.

— Nikt na świecie nie jest bardziej uprzejmy od grabarzy — powtarzał zmarły. — Służą wspaniałomyślnie ludziom, którym niepotrzebna jest już żadna posługa.

Małżeństwo stało się jeszcze bardziej szczęśliwe, gdy Farida zaszła w ciążę.

— Jeśli urodzi się chłopiec, na świat przyjdzie kolejne pokolenie grabarzy — powiedziała Farida do męża. — Ale jeśli urodzi się dziewczynka, to w mieście nie będzie chętnych do chowania zmarłych.

Tak wyglądało ich wspólne życie. Spędzali czas na rozmowach — ze sobą, z duchem ojca albo z żałobnikami odprowadzającymi zmarłych na cmentarz — a czasem, bardzo rzadko, odwiedzali sąsiadów za plantacjami kakao i kokosów.

Ich życie można by uznać za dostatnie. Mieli dom przyznany przez miasto, a w domu tym nigdy nie brakowało pieniędzy, bo niemal każdego dnia żałobnicy wsuwali w dłoń Kamina jeden czy dwa banknoty. Groby odwiedzano po siedmiu dniach od czyjejs śmierci, a potem po czterdziestu i znów po upływie stu dni i tysiąca. Groby odwiedzano także na początku miesiąca postu, ramadanu oraz po święcie Eid. A ponieważ na cmentarzu leżało mnóstwo zmarłych, niemal każdego dnia ktoś się zjawiał, zatem Farida i Kamino stale mieli gości i rozrywkę.

Jedynym kłopotem były niepokoje wzniecane przez duchy. Duchy nie są złe, są natomiast psotne. Często straszyły ludzi zmuszonych do przejścia obok cmentarza, wydając przerażające odgłosy albo stając przed nimi w postaci bezgłowego sprzedawcy batatów. W nocy wszyscy omijali to miejsce, ale Kamino i Farida nic sobie nie robili z duchów albo zwyczajnie je przepędzali, tak jak przepędza się zabłąkane w kuchni kury. Co jakiś czas, dla zabawy, sami straszili istoty z zaświatów.

W południe, gdy nie było nic innego do roboty, Farida nadal siadała samotnie nad grobem ojca. Postawiła przy mogile krzesło, ale gdy urósł jej brzuch, siedzenie na nim stało się męczące, więc rozkładała plecioną matę pod drzewem i leżała w cieniu liści plumerii w tumanach piasku, wzniecanych przez wiejący od morza wiatr. W końcu Kamino splótł dla niej ze sznura hamak, który przywiązał do jednej i drugiej plumerii, żeby żona, zamknąwszy oczy, mogła w nim leżeć, kołysana delikatnymi podmuchami morskiej bryzy.

Ale któregoś dnia wydarzyła się tragedia. Farida była już w szóstym miesiącu ciąży, gdy zasnęła w hamaku i przyśnił się jej straszliwy koszmar. Obudziła się przerażona i zerwała gwałtownie z hamaka, po czym spadła na ziemię. Doznała wewnętrznego krwotoku i zanim Kamino — który usłyszał głuchy odgłos uderzającego o ziemię ciała — zdążył do niej dobiec, zmarła.

Kamino pograżył się w nieopisanym smutku: stracił żonę i nienarodzone dziecko. Znów przyjdzie mu żyć w samotności, w której trwał przez tyle lat, ale tym razem będzie znacznie gorzej, bo wcześniej zaznał szczęścia.

Osobiście zajął się pochówkiem żony, powiadomił o tym, co się wydarzyło, tylko najbliższych sąsiadów, gdyż za bardzo cierpiał, aby rozgłaszać tę wieść. Obmył jej ciało z miłością, targany wyrzutami sumienia, gdyż obwinał siebie za to, że zawiesił dla niej hamak. Pomodlił się nad jej zwłokami, a ponieważ w domu mieli mnóstwo całunów, sam owinał jej ciało w kir. Po południu zaczął kopać grób dla żony tuż obok grobu Mualimina, bo wiedział, że tego życzyłaby sobie Farida. Kiedy zapadła noc, grób był już gotów. Ze łzami spływającymi po policzkach zaniósł ciało żony na miejsce spoczynku i ułożył je w niewielkim wgłębieniu na

dnie dołu. Przykrył je deseczkami, a gdy zaczął napełniać dół ziemią, łkanie przerodziło się w konwulsje.

Nie spał tej nocy. Tak jak Farida po śmierci ojca, siedział nad grobem żony z kamienną twarzą. Był brudny od ziemi, a obok stał wbity w piach szpadel. Nagle usłyszał cichy płacz. Płacz dziecka... nie, niemowlęcia! Rozejrzał się wokół, ale nikogo nie zauważył. Pomyślał, że któryś z cmentarnych duchów pewnie chce mu dopiec, ale płacz stawał się coraz donośniejszy. Wiedział już, że dobiega z grobu żony.

Rozkopywał świeżo zasypany dół jak opętany. Zdjął z ciała ochronne deseczki. Zwłoki leżały sztywno w całunie, ale w ich kroczu coś się poruszało. Kamino odwinął szybko całun i ujrzał dziecko urodzone w połowie, ściśnięte udami zmarłej żony. Wyjął spomiędzy nich noworodka, który był zdrowy i płakał głośno, i przegryzł pępowinę.

To był chłopiec, syn Kamina. Urodził się w grobie przed terminem, ale sądząc z wyglądu, niczego mu nie brakowało. To było błogosławieństwo w czasie żałoby, dar miłości od ukochanej. Sam wychowywał to dziecko, hołubił je i dał mu na imię Kinkin.

Rankiem w dniu egzekucji Adinda przyszła pod dowództwo okręgu i znalazła pobitego i posiniaczonego towarzysza Kliwona na polu za wojskowym aresztem. Miał na sobie — tak jak chciała — czyste, stosowne do okoliczności ubranie, które mu posłała (splamione teraz krwią), bowiem o wpół do piątej tego dnia wykapał się spokojnie, a potem popatrzył na siebie w lustrze, mając nadzieję, że aniołowi śmierci spodoba się jego wygląd.

— Boisz się, towarzyszu? — zapytał go któryś ze strażników tuż przed egzekucją.

— Tylko żołnierzy przepęlnia strach — odrzekł towarzysz Kliwon. — Gdyby było inaczej, po cóż nosiliby broń?

Punktualnie o piątej przybył po niego zastęp żołnierzy. Byli bardzo źli, bo Szodanco odwołał rozkaz wykonania wyroku śmierci. Ich gniew stał się jeszcze większy, gdy ujrzeni spokój skazańca.

— Sam trafię do grobu — oznajmił towarzysz Kliwon.

— Pozwól, że cię tam zaciągniemy — odpowiedzieli, chwycili go pod pachy i pociągnęli za sobą z wyprostowanymi nogami. Kopali go, ciągnąc korytarzem, nie pozwalając mu otworzyć ust i zaprotestować. Potem rzucili na małe pole, gdzie miał być rozstrzelany, rozświetlone jaskrawym reflektorem, przed którym mrużył oczy, próbując wstać. Od żołnierskich kopniaków bolało go całe ciało. Choć stał w obliczu śmierci, miał nadzieję, że nic mu nie połamano.

Wstał, czując krew spływającą po plecach, gdy zaczął iść chwiejnym krokiem pod mur, pod którym mieli go rozstrzelać. Żołnierze znów go opadli, okładając

wprawnymi pięściami i kopiąc podkutymi butami, uderzając kolbami karabinów.

— Nigdy mnie tak nie zabijecie! — zawołał towarzysz Kliwon.

Po następnym kopniaku stracił przytomność. Wtedy przerwano tortury. Żołnierze przewrócili go tylko na plecy czubkami butów. Nikt nie ośmielił się tknąć nieprzytomnego, gdyż bali się, że umrze. Szodanczo pozwolił im go stłuc, ale zakazał zabijać, więc wyciągnęli go nieprzytomnego za areszt. Jeśli rozerwą go psy, nie będą niczemu winni.

Gdy Kliwon odzyskał przytomność, stwierdził, że leży na szpitalnym łóżku, a jego zeszywniałe ciało spowijają bandaże. Obok łóżka siedziała zatroskana Adinda. Gdy ujrzała, że odzyskuje przytomność, jej twarz rozjaśnił radosny, choć pełen współczucia uśmiech.

— Ta młoda dama wyciągnęła cię na ulicę i przywiozła tu riksą *becak*. Byłeś nieprzytomny przez dwa dni i dwie noce, a ona czuwała przy tobie przez cały czas — powiedział stojący nad nim lekarz.

Towarzysz Kliwon wymruczał niesłyszalne podziękowania — bo nawet usta przesłaniał mu bandaż — a Adinda domyśliła się z jego oczu, co mówi, i kiwnęła głową, życząc mu jak najszybszego powrotu do zdrowia.

Miała przed sobą człowieka, który stał na czele tyłu strajków, który stał na czele ponad tysiąca komunistów w Halimundzie i teraz wszystko stracił: towarzyszy, a nawet miasto, podążające ku nowemu światu — światu bez komunistów.

Leżał w izolatce przez tydzień, a Adinda przy nim czuwała, natomiast Mina odwiedzała go każdego dnia. Czasem tracił przytomność i przywoływał w malignie towarzyszy, ale wszyscy oni byli już martwi i prawdopodobnie poszli do piekła. Innym razem znów pytał o gazetę, ciągle przekonany, że zamieszki były skutkiem braku codziennej prasy. Gdy majaczenia się nasilały, Adinda przykładła mu chłodny kompres do rozpalonego gorączką czoła, a on zasypiał.

— Czy powinienem zalecić umieszczenie go w szpitalu psychiatrycznym? — pytał Adinę lekarz.

— To nie będzie konieczne — odrzekła. — W gruncie rzeczy jest zupełnie normalny, to tylko świat oszalał.

Po wyjściu ze szpitala podleczony mniej więcej towarzysz Kliwon wrócił do domu Miny. Z nikim się nie spotykał, zajął się krawiectwem Miny i unikał innych ludzi. Stracił kontakt z rzeczywistością miasta, wpatrywał się zapadniętymi oczami w ruchy igły. Kiedy brakowało klientów, szył rozmaite rzeczy, od chusteczek do poszew na poduszki, a gdy brakowało materiału, zaczął zbierać resztki i zszywał z nich narzuty i kołdry.

Ponieważ nie chciał z nikim rozmawiać i nigdy nie wychodził z domu, ludzie zachowywali się, jakby go nie było, ignorowali go, choć czasem ten i ów rzucił: „Doprawdy, byłoby lepiej, gdyby go zabili”.

— Zachowujesz się, jakbyś umarł za życia — mówiła Adinda, która bezskutecznie próbowała wyrwać go z samotni. — Może naprawdę p o w i n n a m cię wysłać do szpitala psychiatrycznego. — Nie odpowiadał, a kobieta straciła nadzieję, że go odzyska.

Ale pewnego dnia, schludnie ubrany, opuścił dom, czym zaskoczył matkę, która widziała, jak kroczył korytarzem i wychodził na zewnątrz. Wieść o tym, że t e n towarzysz Kliwon pokazał się w mieście, rozeszła się lotem błyskawicy i wkrótce ulice wypełniły się ludźmi. Przyglądali mu się, jak pokonywał Jalan Pramuka, Jalan Rengganis, Jalan Kidang, Jalan Belanda, Jalan Merdeka i wiele innych ulic, tak jak wcześniej przyglądali się jego przemarszowi w eskorcie żołnierzy na śmierć do więzienia. I tak jak wtedy, tak i dziś przemierzał miasto z nadzwyczajną obojętnością. Coraz większą liczbę gapiów wokół siebie brał za jarmark, przez który się przedzierał.

— Czy mogę zapytać, dokąd idziesz? — zwrócił się do niego nieznajomy.

— Do końca ulicy.

Było to pierwsze zdanie wypowiedziane przez towarzysza Kliwona od wyjścia ze szpitala, a dla tych, którzy je słyszeli, stało się ono taką sensacją, jakby odezwał się do nich rozumnie orangutan. Wielu przypuszczało, że pójdzie do komitetu, który popadł teraz w ruinę, i ogłosi powrót Partii Komunistycznej. Inni uważali, że chce popełnić samobójstwo i rzucić się do morza. Nikt nie wiedział na pewno, co zamierza, więc szli za nim, jakby biegli za cyrkiem.

Przykuł uwagę wszystkich, gdy — przechodząc przez miejski plac — zerwał nagle różę i spokojnie delektował się jej zapachem, od czego dziewczęta dostawały zawrotów głowy. Po miesiącu zamknięcia w domu nabrał trochę ciała i nie był tak wychudzony jak wtedy, gdy stał na czele partii, a kiedy dziewczęta ujrzały, jak wacha różę, dostrzegły dawny błysk w jego oku, od którego mdlały dawniej kobiety. Każdej wydawało się, że zmierza do jej domu, żeby przeżyć na nowo romans, który kiedyś kwitł albo czekał na rozkwitnięcie.

— Czy mogę zapytać, dla kogo jest ten kwiat, towarzyszu Kliwon? — zwróciła się do niego jakaś dziewczyna, drżąc z przejęcia.

— Dla psa.

I rzucił różę zdziczałemu psu, który przemykał w pobliżu.

Kobietom pękało serce, gdy się okazało, że zmierza do Adindy — obecnie dwudziestoletniej — która także odziedziczyła po matce niezwykłą urodę. Dewi Ayu, zaskoczona przybyciem towarzysza Kliwona, zaprosiła go do domu, a setki ciekawskich tłoczyły się na ulicy albo przystawiały uszy do szyb, żeby podsłuchiwać, co się wydarzy. Nawet Szodanco i Alamanda, którzy nie widzieli Dewi Ayu od lat, pojawili się przed jej domem i stali tam wraz z innymi, zapominając na chwilę o swoim namiętym i żarliwym miesiącu miodowym. Wszyscy zastanawiali się, czy towarzysz Kliwon przyszedł tu do Adindy, czy do

Dewi Ayu, gdyż bez wątpienia pozostał tym samym rozchwytywanym przez kobiety uwodzicielem, i wszyscy głowili się nad tym, w jakim dramacie teraz występuje. Odegrał już rolę najbardziej ukochanego mężczyzny w mieście, a jednocześnie najbardziej wzgardzonego.

— Dobry wieczór pani — przywitał się towarzysz Kliwon.

— Dobry wieczór. Zastanawiałam się, dlaczego cię nie stracono — powitała go Dewi Ayu.

— Wiedzieli, że śmierć sprawiłaby mi przyjemność.

Dewi Ayu zachichotała na ten gorzki żart.

— Napijesz się kawy, zaparzonej przez moją córkę, towarzyszu? Słyszałam, że staliście się sobie bliscy w ostatnich latach.

— Którą córkę ma pani na myśli?

— Została tylko jedna: Adinda.

— Tak, dziękuję pani. Przyszedłem prosić o jej rękę.

Na dworze dał się słyszeć gromki rwetes — wyraz zaskoczenia wydobywający się z gardeł zgromadzonych ludzi, wstrząśniętych tymi oświadczeniami. Wszystkie dziewczęta były, rzecz jasna, załamane. Nawet Alamanda uroniła łzę, słysząc o oświadczeniach: była poruszona, jakby Kliwon prosił o jej rękę, ale jednocześnie zazdrosna o błogosławieństwo, które przypadło w udziale siostrze. Adinda, która podsłuchiwała za ścianą, była zaskoczona najbardziej ze wszystkich, usłyszawszy niespodziewane oświadczenia towarzysza Kliwona. Niosła na tacy dwie filiżanki kawy, ale stanęła jak wryta za ścianą, dziękując Bogu, że serwis do kawy nie spadł jej na podłogę.

Została tam, zupełnie zdezorientowana, zaskoczona i radosna. Dewi Ayu, jak zawsze opanowana i nauczona przez pełne trudności życie, żeby niczemu się nie dziwić, uśmiechnęła się uprzejmie.

— No cóż, będę musiała zapytać córkę, co o tym sądzi.

Poszła w głąb domu. Adinda ze wstydu bała się pokazać twarz, szczególnie tłumowi otaczającemu dom. Ale kiwnęła pewnie głową na pytanie matki. Dewi Ayu wróciła do towarzysza Kliwona, niosąc tacę z kawą, i usiadła naprzeciw niego.

— Skinęła głową — oznajmiła towarzyszowi Kliwonowi i znów zachichotała. — Więc zostaniesz moim zięciem. Jedyńm, który ze mną nie spał.

— Cóż, przed laty bardzo mi na tym zależało, proszę pani — odpowiedział, odwracając wstydliwie głowę.

— Domyślam się.

Towarzysz Kliwon poślubił ostatecznie Adindę pod koniec listopada tego samego roku. Dewi Ayu wyprawiła im huczne wesele. Zarznięto na ucztę dwie tłuste krowy, cztery kozy i setki kur. Podano Bóg wie ile kilogramów ryżu, ziemniaków, fasoli, klusek i jajek. Początkowo towarzysz Kliwon nalegał na proste i jak najskromniejsze wesele, ponieważ nie miał za dużo pieniędzy — jedynie niewielkie

oszczędności z czasów, gdy łowił ryby. Ale Dewi Ayu uparła się przy wystawnym przyjęciu, bo Adinda była jej ostatnią córką, która pozostała w domu.

Towarzysz Kliwon podarował Adindzie pierścionek kupiony w Dżakarcie. Zapłacił za niego pieniędzmi, które zarobił jako fotograf. Pierścionek ten, szczerze mówiąc, był przeznaczony dla Alamandy. Adinda знаła historię narzeczeńskiego podarunku, ale nie była zazdrosna, o co kiedyś oskarżała ją Alamanda. Nosiała pierścionek z prawdziwą dumą. Młoda para spędziła miodowy miesiąc w hotelu nad zatoką, dokąd wysłała ich Dewi Ayu.

Kupiła im nawet dom na tym samym osiedlu, na którym stał dom Szodanczo — byli teraz niemal sąsiadami. Natomiast towarzysz Kliwon nabył ziemię i zaczął samodzielnie ją uprawiać. Wykopał staw na końcu pola i wpuścił do niego kijanki, które karmił co rano sieczką oraz liśćmi manioku i papai. Adinda musiała się wiele nauczyć jako żona rolnika, gdyż wcześniej nawet nie ubłociła sobie stóp na ryżowym polu, ale była, rzecz jasna, bardzo zadowolona.

Towarzysz Kliwon, jak każdy rolnik, wychodził z domu wczesnym rankiem. Sprawdzał nawodnienie gleby, wyrывał chwasty, karmił ryby i sadił orzechy i fasolę. Adinda zajmowała się domem, a w południe, gdy już wszystkiego dopilnowała, zabierała kosz z jedzeniem i szła do męża. Jedli razem w małej, otwartej na przestrzał chacie, którą towarzysz Kliwon wznosił na miedzy, a gdy wracali razem do domu, nieśli w koszu liście manioku i bataty.

W styczniu Adinda pojechała do szpitala, gdzie potwierdzono, że jest w ciąży. Wszyscy, którzy znali młode małżeństwo, cieszyli się ich radością. Alamanda pogratulowała siostrze jako pierwsza. Sama była wówczas w ciąży, a Nurul Aini jeszcze się nie urodziła. Przyszła do ich domu, kiedy odpoczywali na werandzie, zapatrzeni w pięknie kwitnące kwiaty, zasadzone przez Adinę. Byli nieco zaskoczeni jej odwiedzinami, bo choć mieszkali po sąsiedzku, Alamanda nigdy nie przyszła ich powitać, a i oni nigdy nie zapukali do jej drzwi.

Towarzysz Kliwon był nieco zbity z tropu, ale Adinda natychmiast uściskała starszą siostrę. Ucałowały się w policzki.

— Co powiedział doktor? — spytała Alamanda.

— Powiedział tak: „Jeśli to dziewczynka, mam nadzieję, że nie zostanie kurwą jak jej babka. A jeśli to chłopiec, mam nadzieję, że nie zostanie komunistą jak ojciec”.

Alamanda się roześmiała.

— A co doktor powiedział o twoim brzuchu? — zapytała Adinda.

— Wiesz, że mój brzuch oszukał nas już dwa razy, więc niczego nie mogę być pewna.

— Alamando — odezwał się nagle towarzysz Kliwon. Obróciły ku niemu głowy. Wpatrywał się w brzuch Alamandy, która pobladła jak kreda, pamiętając, że dwa razy mówił, iż ma w brzuchu tylko powietrze i wiatr, jak puste naczynie. — Mogę ci

przysiąc, że twój brzuch nie jest pusty jak wcześniej — oznajmił.

Alamanda wbiła w niego wzrok, chciała, żeby powtórzył te słowa, a on kiwnął głową, żeby ją uspokoić.

— To piękna mała dziewczynka. Jeszcze piękniejsza od matki, doskonale piękna, o kruczoczarnych włosach i przenikliwym spojrzeniu ojca. Urodzi się dwanaście dni przed moim dzieckiem. Możesz dać jej na imię Nurul Aini jak jej dwóm starszym siostram, ale ona, wierz mi, przeżyje i wyrośnie na piękną młodą kobietę.

— Dobry Boże, jeśli ten towarzysz się nie myli, przysięgam, że dam jej na imię Nurul Aini — powiedział tego wieczoru Szodanczo.

Zaczął rozmawiać wraz z Alamandą, że stracili dwie córeczki nie z powodu klątwy, ale z braku miłości. Alamanda, tak jak obiecała, błagając o życie dla Kliwona, pokochała Szodanczo szczerą i prawdziwą miłością, a miłość ta przyniosła teraz owoc i mogła przynieść im wszystko, czego tylko chcieli.

Towarzysz Kliwon natomiast, zdając sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności, rosnącej wraz z brzuchem żony, zaczął się rozglądać za inną pracą niż uprawa ryżowego pola. Gdy stał na czele komitetu miejskiego Partii Komunistycznej, gromadził książki dla dzieci, które przychodziły w niedziele czytać nie tylko literaturę partyjną. Większość z tych książek przepadła, spalona przez ludzi Szodanczo i antykomunistów, którzy podłożyli ogień pod komitet. Ale Szodanczo ocalił książki o sztukach walki i trochę tanich powieści, bez żadnej wartości agitacyjnej. Przewiózł te tomy do dowództwa okręgu dla siebie i żołnierzy. Następnego dnia po odwiedzinach Alamandy zwrócił je w dwóch kartonach. Towarzysz Kliwon mógł otworzyć skromny interes: małą bibliotekę przed domem. Do biblioteki przychodzili głównie uczniowie, ale Adinda miała co robić i oboje byli uszczęśliwieni.

W końcu urodziła się Nurul Aini. Szodanczo był pod wrażeniem, gdy Maman Gendeng zwrócił się do niego:

— Gratuluję, Szodanczo. Mam nadzieję, że te cioteczne siostry zostaną najlepszymi przyjaciółkami.

To był doskonały pomysł — pozwolić obu dziewczynkom dorastać w przyjaźni, która usunie niewidzialną przepaść, rozwierającą się od tak dawna między ojcami. Szodanczo zgodził się i dodał ze swej strony, że kiedy przyjdzie pora, powinni zapisać córki, Piękną Rengganis i Nurul Aini, do tego samego przedszkola.

Z kolei gdy Adinda urodziła syna dwanaście dni po przyjściu na świat Nurul Aini — tak jak przewidział towarzysz Kliwon — Szodanczo powtórzył pokojowy, niosący nadzieję gest Maman Gendenga i zwrócił się do Kliwona podobnymi słowami:

— Gratuluję, towarzyszu. Mam nadzieję, że inaczej niż my, twój syn i moja córka zostaną przyjaciółmi, a może nawet zakochają się w sobie.

Ojciec dał synowi na imię Krisan. Kto wie, może Krisan był rzeczywiście

przeznaczony Nurul Aini, ale życie, jak to życie, toczy się tak, jak chce, i między Krisanem a Nurul Aini stanęła Piękna Rengganis.

W 1976 ROKU HALIMUNDA była pełna uraz, a mściwe, uwięzione w otchłani duchy nie mogły zaznać spokoju. Czuli to wszyscy mieszkańcy miasta, podobnie jak para holenderskich turystów, którzy właśnie wysiedli z pociągu. Wyglądali na męża i żonę po siedemdziesiątce. Mimo podeszłego wieku mężczyzna zarzucił na ramię wielki plecak pełen rozmaitych rzeczy, a kobieta niosła tylko małą torbę i parasol. Gdy zeszli z peronu, aż ich odrzuciło od gęstego jak zupa powietrza, cuchnącego zgnilizną i wypełnionego migoczącymi czerwono-czerwonymi cieniami.

— Wchodzi się tu jak do nawiedzonego domu — skomentowała żona, kręcąc głową.

— Nie — mruknął mąż. — Wchodzi się tu jak do miejsca, gdzie rozegrała się masakra.

Rikszarz *becak*, który ich wiozł do hotelu, opowiedział im o duchach. Są potężne, tłumaczył, więc trzeba się modlić, żeby nie przewróciły *becaka* na środku ulicy.

— Często zdarzają się takie rzeczy? — zapytał rikszarza mąż.

— Bardzo rzadko się nie zdarzają — odrzekł rikszarz. I opowiedział im o samochodzie, który przebił betonową barierkę na drodze i wpadł do oceanu. Wszyscy pasażerowie zginęli, a całe miasto uznało, że to sprawa duchów, które nie mogą zaznać spokoju. Opowiedział im także o wielkim pożarze na targowisku przed dwoma laty. I w tym wypadku wszyscy byli pewni, że ogień podłożyły duchy.

— Ile macie tych duchów? — zapytała żona.

— Wie pani, jeszcze nie znalazł się taki głupi, który by je policzył.

Potem dowiedzieli się, że nie tak znowu dawno w mieście zabito w najbardziej przerażającej masakrze ponad tysiąc komunistów. Choć wszyscy nienawidzili komunistów, ludzie mówili, że nigdy nie doszło tu do straszniejszej rzezi, i modlili się, żeby już nigdy coś takiego się nie wydarzyło. Tak, zabito wtedy ponad tysiąc osób. Większość z nich pochowano we wspólnym grobie na cmentarzu komunalnym Budi Dharma. Pozostali zgnili w przydrożnych rowach, póki nie pochowali ich ci, którzy nie mogli już tego znieść, ale nawet wtedy przypominało to zakopywanie gówna po nasraniach w bananowym sadzie.

Dwoje holenderskich turystów wynajęło pokój w dość dobrym hotelu nad zatoką. Żona szepnęła wówczas do męża:

— Kochaliśmy się tutaj. Przyłapał nas papa i wtedy widzieliśmy go po raz ostatni.

Mąż kiwnął głową. Podeszli do recepcji, gdzie przywitał ich młody człowiek w białej liberii i z tak dokładnie zawiązaną muszką, że wyglądał sztywno i nienaturalnie. Uśmiechnął się i podsunął im książkę meldunkową. Mężczyzna wpisał do niej elegancką staromodną kursywą ich imiona i nazwisko: Henri i Aneu

Stammler.

Przez cały dzień odpoczywali w hotelu, który — jak zauważyła Aneu — bardzo się zmienił od czasów kolonialnych.

— Jestem gotowa się założyć, że obecny właściciel jest tubylcem.

Na następny dzień zaplanowali małą wycieczkę, ale wcale im się nie spieszyło, jakby zamierzali zostać w tym mieście przez dłuższy czas, może kilka miesięcy czy nawet lat. Wielu holenderskich turystów tak właśnie robiło — z tęsknoty za przeszłością, kiedy tu mieszkali, zanim wypędziła ich z wyspy wojna.

Zapukał chłopiec hotelowy. Przyniósł im posiłek i wiadomość:

— Podczas pobytu w mieście muszą państwo uważać na duchy komunistów.

— Karol Marks ostrzegał nas przed tym już w pierwszym zdaniu *Manifestu komunistycznego* — odrzekł ze śmiechem Henri Stammler, po czym zjedli obiad, który przypomniał im dawno zapomniane tropikalne smaki.

Lecz zanim zasiedli do posiłku i odszedł hotelowy chłopiec, Henri zadał mu pytanie:

— Czy znasz kobietę, która ma na imię Dewi Ayu? Może mieć jakieś pięćdziesiąt dwa lata.

— Oczywiście, że znam! — odpowiedział chłopak. — Cała Halimunda ją zna.

Henri Stammler i jego żona aż podskoczyli z niewypowiedzianej radości. Przelecieli niemal przez pół świata, żeby dotrzeć do tego miasta i odnaleźć córkę, którą kiedyś zostawili na progu ojcowskiego domu. Oboje wpatrywali się w chłopaka oszołomieni, jakby nie mogli uwierzyć we własne szczęście.

— Czy jest w połowie biała?

— Ta. W tym mieście nie ma innej Dewi Ayu.

— Więc jeszcze żyje? — zapytała Aneu Stammler ze łzami w oczach.

— Nie, proszę pani — odpowiedział chłopiec. — Zmarła nie tak dawno.

— Na co umarła?

— Umarła, bo chciała. — Zbierał się do odejścia, ale zanim zniknął, rzucił jeszcze z progu: — Ale w mieście zostało mnóstwo innych kurew, gdybyście jakiej potrzebowali.

Tym sposobem dowiedzieli się, że Dewi Ayu była prostytutką. Chłopak powiedział im, że ich córka była miejscową legendą, najbardziej cenioną kurwą w mieście, co zresztą nie zrobiło wrażenia na Henrim i Aneu Stammlerach.

— Wszyscy tutejsi mężczyźni chcieli się z nią przespać. Dwaj z jej trzech zięciów poszli z nią do łóżka. To była niewiarygodnie piękna kurwa.

— Więc ma trzy córki? — zapytała Aneu Stammler.

— Cztery. Najmłodsza urodziła się dwanaście dni przed jej śmiercią.

Chłopak podał im adres, pod którym znajdą najmłodszą wnuczkę, będącą pod opieką niemej służącej o imieniu Rosina i nazwanej przez matkę Piękna.

— Ale jest brzydka jak potwór — ostrzegł ich chłopak.

Przekonali się o tym na własne oczy, gdy następnego dnia odwiedzili dom zmarłej córki. Oboje o mało nie zemdleli, nie mogąc uwierzyć, że mają taką wnuczkę.

— Jak przypalone ciasto — stwierdziła Aneu Stammler, opadając na krzesło.

Rosina położyła małą Piękną do kolebki z kawałka materiału i zawiesiła ją w drzwiach, po czym poczęstowała gości dwoma szklankami zimnej lemoniady.

Dewi Ayu znudziły się ładne córki, więc modliła się o brzydką i taką dostała — pokazała im Rosina na migi.

Henri i Aneu Stammler w ogóle jej nie zrozumieli, a nic bardziej nie złościło Rosiny niż rozmowa z ludźmi, którzy nie znali jej języka gestów. Ale była uprzejmą dziewczyną, więc poszła po zeszyt i napisała im to, co właśnie powiedziała.

— A co z pozostałymi córkami? — zapytał Henri.

„Ich noga tu nie powstała, odkąd odkryły, że mężczyźni mają kutasy” — napisała Rosina, powtarzając słowa usłyszane od Dewi Ayu.

Małżeństwo rozejrzało się po domu, przyglądając się wiszącym na ścianie fotografiom. Było wśród nich zdjęcie Teda i Marietje Stammlerów, które doprowadziło ich do łez, co z kolei sprawiło, że Rosina zaczęła kręcić głową nad głupotą tych sentymentalnych staruszków. Gdy sobie popłakali, roześmiali się w głos, widząc we frontowym pokoju własne zdjęcie jako nastolatków.

Założę się, że dopiero co wyszli z domu wariatów — pokazała Rosina na migi dziecku w kołysce.

Henri i Aneu Stammlerowie z zachwytem przyglądali się zdjęciom, na których była Dewi Ayu. Na jednym z nich jeszcze mała, a na drugim sfotografowano ją jako nastolatkę. Z powodu wojny nikt nie robił jej zdjęć jako dwudziestolatce, ale dalej wisały fotografie Dewi Ayu w późniejszym wieku, a jedna ukazywała ją jako pięćdziesięciolatkę. Starsi państwo aż zaniemówili, przekonawszy się, że w każdym wieku ich córka była uderzająco piękna. Co tłumaczyło trochę to, że została prostytutką — boginią mężczyzn.

Na ścianie wisały też fotografie innych pięknych młodych kobiet.

„Ta z bladą twarzą i małymi oczkami jak u Japonki ma na imię Alamanda — pisała Rosina w zeszycie, tłumacząc turystom zawłości rodzinne niczym przewodniczka wycieczki. — Jest żoną żołnierza Szodanco i ma córkę o imieniu Nurul Aini. Ta najbardziej podobna do Dewi Ayu to Adinda, druga córka — żona starego komunisty towarzysza Kliwona, z którym ma syna o imieniu Krisan. Trzecia córka, która wygląda bardziej na Indo niż na autochtonkę, najpiękniejsza z wszystkich, to Maja Dewi. Gdy miała dwanaście lat, poślubiła najbardziej znienawidzonego kryminalistę w mieście, Maman Gendenga, a po pięciu latach małżeńskiego dziewictwa urodziła mu córkę, Piękną Rengganis”. — Rosina nigdy nie spotkała córek swojej pani, ale Dewi Ayu opowiedziała jej wszystko.

Nagle, ale to całkiem niespodziewanie uderzyła w nich jakaś potworna

niewidzialna siła, jakby ktoś wyssał powietrze z pokoju albo jakby powietrze stężało na ich skórze. Włosy stanęły im dęba.

— O mój Boże! — zawołał Henri. — Co to za złowroga moc?

„Nie wiem, ale dom jest nawiedzony. Duch nie jest specjalnie groźny, ale z pewnością żywi jakąś urazę”.

— To duch komunisty? — zapytała Aneu Stammler, chowając się za mężem.

„Duchy komunistów błakają się po ulicach, a nie w domach”.

Fotografie na ścianach zakołysały się jak od wiatru. Zeszyt w rękach Rosiny zamknął się i otworzył. Kołyska małej Pięknej poruszyła się w drzwiach. Potem w kuchni pękł talerz, a rondel spadł z hukiem na podłogę.

— Czy to duch Dewi Ayu? — zapytała Aneu.

„Nie jestem pewna — napisała Rosina. — Dewi Ayu mówiła mi kiedyś, że prześladowa ją duch Ma Gedika. Bała się go, ale do tej pory nie zrobił nikomu krzywdy”.

— A kim był Ma Gedik? — zapytał Henri.

„Dewi Ayu mówiła, że był kiedyś jej mężem”.

Gdy nadprzyrodzone zjawiska ustały, a fotografie znów zawisły prosto na wbitych w ścianę gwoździach, Henri Stammler oznajmił:

— W tym mieście jest za dużo duchów. — Żeby się uspokoić, wypił całą szklankę zimnej lemoniady. — Nie widzę tu żadnych zdjęć mężczyzny, który mógłby być tym Ma Gedikiem.

„Ja też go nie widziałam” — napisała Rosina.

Zanim na świat przyszła Piękna, Rosina i Dewi Ayu siadały na ławeczce przed kuchennym piecem i opowiadały sobie różne historie. Kiedyś Dewi Ayu opowiedziała Rosinie o Ma Gediku. Wyszła za niego za mąż, właściwie zmusiła go, żeby się z nią ożenił, bo bardzo go kochała. Nigdy nie pokochała żadnego innego mężczyzny tak bardzo jak tego starca.

— Choć od początku było jasne, że moja miłość pozostanie nieodwzajemniona. Prawdę mówiąc, Ma Gedik brał mnie za złą wiedźmę — tłumaczyła jej ze śmiechem Dewi Ayu. Pokochała go, zanim go ujrzała, bo bardzo kochała go matka jej matki.

— Nieszczęśni kochankowie: Ma Gedik i moja babka Ma Iyang. Ich miłość i ich życie zniszczyła nieokiełznana chciwość i chuć Holendra — mówiła Dewi Ayu. — Ale najtragiczniejsze jest to, że tym chciwym i chutliwym Holendrem był mój własny dziadek.

Dewi Ayu pokochała Ma Gedika, odkąd poznała jego tragiczne dzieje. Opowiedzieli jej o nim służący albo sąsiedzi. Stwierdziła, że się zabije, jeśli nie będzie mogła go poślubić, więc kazała go porwać, a potem wyszła za niego za mąż wbrew jego woli, ale małżeństwo to nigdy nie zostało skonsumowane.

— Uciekł na szczyt wzgórze i rzucił się z niego w przepaść.

Od tamtej pory jego duch towarzyszył jej wszędzie.

Stammlerowie znali oczywiście historię Ma Iyang i Ma Gedika, ale nie mieli pojęcia, że Dewi Ayu poślubiła tego Ma Gedika.

„Tak właśnie żyła Dewi Ayu z duchem męża, aż skończyła pięćdziesiąt dwa lata” — napisała Rosina.

— Ale dlaczego została prostytutką? — zapytała Aneu.

Rosina opisała im, co spotkało Dewi Ayu podczas wojny. Powtórzyła też to, co usłyszała od pani: że po wojnie Dewi Ayu pozostała przy prostytutce nie tylko dlatego, żeby spłacić dług zaciągnięty u Mamy Kalong, ale po to, by historia Ma Iyang i Ma Gedika nie przydarzyła się innym zakochanym parom.

„Gdy mężczyzna może pójść do prostytutki, nie musi brać sobie konkubiny — tłumaczyła. — Za każdym razem gdy mężczyzna bierze konkubinę, łamie serce jej ukochanego. Niszczy miłość i rozrywa żywoty. Gdy pójdzie do prostytutki, sprawia tylko przykrość żonie, która już ma męża i bez wątpienia ma też swoje za uszami, bo w przeciwnym razie jej mąż nie chodziłby do burdelu. I dlatego została prostytutką — napisała Rosina. — Mam wrażenie, że piszę biografię mej pani”. — Zachichotała.

— Jak to możliwe, że nasza córka stała się tak nikczemna? — zapytała męża Aneu.

— Nie myśl źle o naszym dziecku — odrzekł Henri. — Nie jesteśmy od niej lepsi. Nie zapominaj, że jesteśmy rodzeństwem, które wzięło ślub.

Nikt o tym nie zapomniał, nawet Rosina, która znała ich historię z opowieści Dewi Ayu.

I wtedy znów pojawił się duch, przewracając stół, a wraz z nim szklanki z zimną lemoniadą.

Ale nikt nie cierpiał z powodu duchów tak bardzo jak Szodanco. Przez lata po masakrze doświadczał straszliwej bezsenności, a gdy przypadkiem udało mu się zasnąć, zaczynał lunatykować. Duchy komunistów prześladowały go przez cały czas, sabotowały nawet jego grę w karety i doprowadzały do tego, że bez przerwy przegrywał. Nieustanne, wywoływane przez nie utrapienia doprowadzały go do szaleństwa: często wkładał mundur na lewą stronę albo wychodził z domu w samych gatkach, albo też wracał do cudzego domu. Śniło mu się, że kocha się z żoną, a kiedy się budził, gwałcił dziurę w ścianie. Woda w wannie zamieniała się w lepłą kałużę krwi, a potem okazywało się, że cała woda w domu — nawet w czajniczku do herbaty i termosie — zgęstniała nagle w ciemnoczerwoną posokę.

Wszyscy w mieście wyczuwali obecność tych duchów i byli przerażeni, ale najbardziej bał się Szodanco.

Duchy pojawiały się niespodziewanie w oknie sypialni, z dziur w ich czołach wylewała się krew, jęczały, jakby chciały coś powiedzieć — wykrzyzczyć coś, czego

wykrzyczeń nie mogły. Krzyczał za to Szodanczo, kiedy je widział: wrzeszczał i kulił się z pobladłą twarzą, a Alamanda starała się go uspokoić.

— Pomyśl, to tylko duchy jakichś komunistów — mówiła, ale Szodanczo nie znajdował w jej słowach pociechy, więc musiała przepędzać natrętne zjawy. Czasem duchy nie dawały się wygonić i nadal jęczały, jakby o coś prosząc, więc częstowała je jedzeniem i pićm, a one posilały się i piły, jakby nie jadły od trzech lat i przeszły przez pustynię, potem zaś znikwały, ku wielkiej uldze Szodanczo.

Najpierw nie przejmował się duchami. Gdy zobaczył przed sobą ducha komunisty z ranami od kul, śpiewającego do tego bezgłośnie *Międzynarodówkę*, wyjmował z kabury rewolwer i strzelał do zjawy. Początkowo duchy znikwały po pierwszym strzale, ale po jakimś czasie uodporniły się na kule. Postrzelił tyle duchów w tyłu zakątkach miasta, że widma stały się kuloodporne. Przestały znikać, a strzały Szodanczo otwierały w nich nowe rany, z których tryskała krew. Stały przed nim albo się zbliżały, zmuszając go do ucieczki. I właśnie wtedy zaczął się naprawdę bać.

Przez to wszystko, przez co musiał przechodzić, sprawiał wrażenie człowieka niespełna rozumu, ale nie miał halucynacji. Inni widzieli to samo i bali się tego samego. Różnica polegała na tym, że Szodanczo bał się bardziej od innych, a już na pewno bardziej od żony, która po pewnym czasie przywykła do tego, że otaczają ich mary, i uważała, że kiedyś znudzi im się straszenie.

Szodanczo wyznał, że zabił wielu komunistów, więc nie byłby zdziwiony, gdyby chcieli się na nim zemścić. Zachowywał wobec nich daleko posuniętą ostrożność, lecz nawet wtedy, gdy duchy się nie pojawiały, nękał go nieustanny strach, zamieniający jego życie w koszmar.

Najgorsze było jednak to, że coś niepokoiło także jego córkę, dziesięcioletnią obecnie Ai, Nurul Aini, która bez przerwy skarżyła się, że w gardle uwięzła jej pestka słodkiego śliwca. Biegała zapłakana za ojcem i prosiła go, żeby wyjął jej pestkę. Szodanczo tłumaczył, że nie ma żadnej pestki, a wszystkiemu winne są duchy, a Ai mu wierzyła. Tylko matka wiedziała, że dziewczynka chce w ten sposób zwrócić na siebie uwagę ojca, który nękany własnymi demonami, bardzo się od niej oddalił.

Strach doprowadzał Szodanczo do przeróżnych irracjonalnych działań. Kiedyś był świadkiem, jak pewien pomyłony żebrak okładał psa kijem. Wszyscy wiedzieli, że Szodanczo uwielbia psy, hoduje je, a podczas lat walki partyzanckiej oswajał *ajaki*. Dlatego gdy zobaczył, jak ten pomyłony żebrak katuje zwierzę, wpadł w taką wściekłość, że stłukł go do nieprzytomności, a potem wtrącił do aresztu. Wtrącenie bez sądu do wojskowego aresztu pomyłonego żebraka tylko dlatego, że uderzył psa, wprawiło wszystkich w osłupienie. Nawet Alamandę, która zbita z tropu, zapytała męża:

— Co się naprawdę stało?

— Ten bezdomny był opętany przez ducha komunisty.

Później pewien pijany rybak darł się na całe gardło w samym środku nocy, budząc śpiących mieszkańców miasta, w tym i Szodanczo, który dopiero co zmrużył oczy, pokonawszy na chwilę dręczącą go bezsenność. Natychmiast wybiegł na ulicę z pistoletem w ręku i postrzelił pijaka w nogę, a potem zaciągnął go do więzienia.

— Oszalałeś? — pytała go Alamanda. — Pakujesz kogoś do więzienia tylko dlatego, że się upił?

— Był opętany przez komunistę.

Powtarzało się to raz za razem i Szodanczo każdego, kto postąpił nie po jego myśli oskarżał, o komunistyczne opętanie. Przepadł gdzieś na dobre stary, zrównoważony, ceniący medytację Szodanczo.

Wreszcie w 1976 roku Alamanda zawiozła go do Dżakarty, ponieważ w Halimundzie nie było szpitala dla psychicznie chorych. Wróciła po tygodniu, powierzwszy Szodanczo opiece pielęgniarzy, bo bez względu na wszystko miała przecież córkę na wychowaniu.

Szodanczo zniknął na pewien czas z Halimundy. Po jego wyjeździe nie zniknęły natomiast duchy, choć nie straszyły już okaleczonymi ciałami i nie przyprawiały ludzi o drzenie, wyjąc z bólu. A Szodanczo, który w dowolnej chwili mógł bezkarnie oskarżyć każdego, kto mu się nie podobał, o opętanie przez komunistyczne duchy i torturować go lub wrzucić na nieskończenie długo do więzienia, wydał się nagle mieszkańcom miasta o wiele bardziej przerażający od duchów, więc jego nieobecność sprawiła wszystkim ulgę.

Ale Szodanczo wrócił po pewnym czasie.

— Cholera! — przywitał się po powrocie. — Ci lekarze myśleli, że oszalałem, więc zastrzeliłem któregoś z nich i wróciłem do domu.

— Z całą pewnością nie jesteś szalony — odpowiedziała Alamanda. — Jesteś tylko nie całkiem zdrowy.

— Tato, w gardle uwięzła mi pestka słodkiego śliwca — poskarżyła się Ai.

— Otwórz buzię, a zastrzelę tego wstrętnego komunistę!

— Zabiję cię, jeśli to zrobisz — zagroziła Alamanda.

Szodanczo nie strzelił w pestkę słodkiego śliwca, choć Ai otworzyła szeroko usta.

Powrót do domu do Halimundy oznaczał dla Szodanczo konieczność zmierzenia się z demonami — musiał w końcu usunąć przyczynę wszystkich swoich nieszczęść. Próbował używać psów do płoszenia duchów, co ograniczyło do pewnego stopnia ich najścia, ale z czasem duchy przechytrzały psy, wznosząc się na dach i przechodząc przez sufit. Szodanczo krzyczał i wrzeszczał w łóżku, a Alamanda

podawała zjawom jedzenie i picie, bo jak się zdaje, niczego innego nie chciały.

— Tylko towarzysz Kliwon może przywołać je do porządku — narzekał Szodanczo.

— Cóż, wielka szkoda, że zesłałeś go na Wyspę Buru po narodzinach Krisana — odrzekła cierpko Alamanda.

To była prawda, a Szodanczo bardzo tego żałował. Choć nie dlatego, że żona złościła się na niego za złamanie obietnicy, bo przecież żadnej nie złamał: w końcu obiecał Alamandzie tylko tyle, że pozwoli towarzyszowi Kliwonowi żyć, i rzeczywiście go oszczędził, nie miał już natomiast wpływu na decyzje naczelnego dowództwa, które doszło do wniosku, że towarzysz Kliwon zalicza się do twardogłowych komunistów, a wszystkich ich należy zesłać na Buru. Więc żałował tylko tego, że nie ma pod ręką towarzysza Kliwona, żeby przemówił komunistycznym duchom do rozsądku. Potrzebował tego człowieka i uznał, że musi go jakoś sprowadzić do Halimundy, bo w przeciwnym razie samemu przyjdzie mu udać się na zesłanie.

Wybrał jednak zesłanie.

Nadeszły doniesienia o wojskowej okupacji Timoru Wschodniego, gdzie siły partyzanckie sprawiały dużo kłopotów Narodowym Siłom Zbrojnym. Szodanczo zgłosił się na ochotnika. Postanowił, że powie duchom *sayonara* i wyjedzie do Wschodniego Timoru, nawet jeśli miałyby to oznaczać rozstanie z żoną i córką. Wszyscy generałowie znali jego dokonania i wiedzieli, że jego doświadczenie w wojnie partyzanckiej może się okazać niezwykle przydatne w okupowanych regionach.

Plan wyjazdu Szodanczo z miasta szybko stał się tematem rozmów. Podczas ceremonii pożegnalnej na placu Niepodległości grała orkiestra wojskowa. Potem Szodanczo w mundurze galowym przejechał przez miasto w otwartym dżipie, machając do miejscowej ludności i uśmiechając się pogardliwie do niespokojnych znękanymi duchów. Przejechał wraz ze sztabem granice miasta i zniknął.

Zapomniał pożegnać się z żoną i córką.

— Nie wyjął mi z gardła pestki słodkiego śliwca — poskarżyła się Ai.

— Uwierz mi, że długo tam nie wytrzyma — pocieszała ją Alamanda. — Był wspaniałym partyzantem w Halimundzie, ale Timor Wschodni to nie Halimunda.

I miała rację. Przed upływem sześciu miesięcy odesłano Szodanczo do domu z kulą w goleni. Wyglądało na to, że mieszkańcy miasta nigdy się go nie pozbędą.

Narzekał przy żonie na trudy prowadzenia wojny na tej głównianej wyspie, ale to przed sobą próbował się usprawiedliwić z szybkiego powrotu z pola walki.

— Nie wiem, czego szukamy na tak jałowym kawałku ziemi.

Alamanda nakłaniała go do pójścia do szpitala, żeby wyjęli mu kulę z nogi, ale nie chciał o tym słyszeć. Twierdził, że nic go już nie boli, chociaż trochę kuleje. Chciał mieć kulę w goleni jako gorzką pamiątkę.

— Bo ten, który mnie postrzelił, zanim wycelował, śpiewał *Międzynarodówkę*. Okazuje się, że komunistyczne szumowiny są wszędzie.

Po pewnym czasie zamknięto bibliotekę towarzysza Kliwona. Rozeszła się pogłoska, że książki zatruwają umysły szkolnej dziatwy, zmuszanej do czytania ponadprogramowych bzdur, które wiązano z dawną działalnością legendarnego komunisty. Towarzysz Kliwon wpadł w gniew, słysząc te kłamliwe pomówienia, ale Adinda zdołała go uspokoić. W końcu zamknął bibliotekę i zmagazynował książki, przysięgając, że kiedy jego dziecko dorośnie, każe mu przeczytać wszystkie zgromadzone dzieła, żeby ludzie mogli się przekonać, czy jego morale ucierpi.

— Nie chodzi o to, że nie chcę oferować im ponadprogramowych bzdur, problem polega na tym, że spalili wszystkie ponadprogramowe bzdury, jakie miałem — mówił.

Szodanczo właśnie otworzył wytwórnię lodu, korzystając z kapitału pozostającego w cieniu współnika. Wiedząc, w jakiej sytuacji znalazł się towarzysz Kliwon po przymusowym zamknięciu biblioteki, zaproponował mu prowadzenie fabryki, a praktycznie zostanie udziałowcem. Był to oczywiście bardzo obiecujący interes. W Halimundzie nadal działali zwykli rybacy, choć — co warte odnotowania — po upadku Partii Komunistycznej (i rozwiązaniu Związku Rybaków) na przybrzeżnych wodach pływało coraz więcej dużych kutrów rybackich, a wszyscy oni potrzebowali lodu. Ale towarzysz Kliwon nie był zainteresowany tą propozycją. Nie podał powodów — być może były to powody ideologiczne, a może po dniu zaplanowanej egzekucji nie czuł się najlepiej z przyjmowaniem pomocy od Szodanczo i jego żony — i zamiast tego został zbieraczem ptasich gniazd. Ptasie gniazda sprzedawało się za wysoką cenę chińskim kupcom, którzy następnie eksportowali je do zagranicznych miast. Towarzysz Kliwon nie dbał o to, kto jada ptasie gniazda, zresztą według niego nie smakowały lepiej od zwykłego makaronu. Mówiono, że gniazda zlepione są ptasią śliną, ale towarzysz Kliwon nie przejąłby się, nawet gdyby ptaki kleiły je własnym gównem, bo interesowało go tylko zdobycie gniazd i sprzedanie ich chińskim pośrednikom. Przystąpił więc do grupy czterech zbieraczy.

Nadmorski, porośnięty dżunglą przylądek kończył się stromymi klifami, w których obrębie znajdowały się jaskinie — małe i duże, wysokie i niskie; te położone najniżej były widoczne tylko podczas odpływu. W jaskiniach zaś wily gniazda śliczne czarne ptaszki, nieustannie wlatujące i wylatujące z jaskiń, żeby mknąć ponad spienionymi wodami.

Zbieracze pracowali zazwyczaj nocą, wyposażeni w klatki, pożywienie, latarki i surowicę przeciwko ukąszeniom węży, gdyż ptaki dzieliły z nimi jaskinie. Czterej mężczyźni podpływali do klifu w ciszy łodzią wiosłową, bez silnika. Musieli być bardzo ostrożni podczas nawigowania po kapryśnych falach, które czasem były

pomocne, a czasem zamykały wejścia do jaskiń, i stale uważać na zmieniające się prądy, które mogły zalać jaskinię bez ostrzeżenia i uwięzić ich w niej na zawsze. Czasem rzucali kotwicę na rafie koralowej, brali liny i wspinali się do położonych wyżej jaskiń, ryzykując przy tym życiem. Była to bardzo wyczerpująca praca, a przy złej pogodzie wymagała wielkiej cierpliwości. Ale zyski ze sprzedaży gniazd zapewniały całej czwórce dobrobyt. Towarzysz Kliwon zarabiał więcej niż na polu ryżowym czy w bibliotece.

Pracował jako zbieracz gniazd od mniej więcej miesiąca, a Adinda i nowo narodzony Krisan czekali na niego z niepokojem w domu. Którejś nocy jeden ze zbieraczy poślizgnął się, spadł z klifu i uderzył o rafę. Zginął na miejscu, wszelka pomoc czy szpital były zbędne. Tamtej nocy zebrali już wiele jaskółczych gniazd, które nagle wydały się im bezwartościowe, bo razem z nimi nieśli do domu zwłoki kompana. Wszystko, co zarobili na sprzedaży gniazd, oddali rodzinie ofiary, a towarzysz Kliwon i dwaj pozostali wycofali się z interesu. Pojawią się oczywiście inni zbieracze i następne ofiary, bo ptaki nie zaprzestaną budowy gniazd, ale towarzysz Kliwon postanowił zapomnieć o tym niebezpiecznym przedsięwzięciu, bo zdał sobie sprawę, że gdyby zginął, osierociłby syna i żonę. A tego nie chciał.

Głowił się nad znalezieniem innego interesu. W tamtym czasie Halimunda była już nadmorskim kurortem. Prawdę mówiąc, była nim od czasów kolonialnych ze względu na dwie przepiękne zatoki, uformowane przez porośniętą dżunglą, wrzynający się w morze przylądek, ale na początku epoki nowych rządów miasto zaczęło promować się jako miejsce plażowego wypoczynku. W bocznych uliczkach poupychano nowe hotele i nowe kioski z pamiątkami. Zwykłe stragany z jedzeniem zamieniły się w restauracje z owocami morza, a koleiny na drogach zalano asfaltem. Coraz liczniej przybywali turyści, także zagraniczni, a większość z nich przyjeżdżała plażować nad pięknym oceanem. Ich ulubionym miejscem była zatoka od strony zachodniej, wschodnia zatoka pozostała portem i rybnym targowiskiem. Towarzysz Kliwon długo się zastanawiał, czego najbardziej potrzebują przyjeżdżający popływać turyści i co mógłby im zaoferować. I znalazł odpowiedź.

— Będę szył kąpielówki — poinformował Adindę.

Pomysł ten nawet Adindzie wydał się głupi. Ale Kliwon się tym nie przejmował. Kupił sobie maszynę do szycia Singera. Chciał sprzedawać kąpielówki najtaniej jak się da, gdyż turyści używają kąpielówek do pływania przez kilka dni, a potem je wyrzucają. Żeby kąpielówki były tanie, należało je uszyć z najtańszych materiałów. Towarzysz Kliwon poszedł zapytać o nie mamę.

— Juta na worki do ryżu i mąki — poradziła mu Mina. — Używam jej do szycia kieszeni w spodniach.

Towarzysz Kliwon przestudiował najpierw techniki wybielania worków, żeby usunąć z nich stempel kupca, a następnie zabrał się do krojenia kąpielówek z wybielonego materiału. Prawdę mówiąc, jego kąpielowe szorty nie różniły się

niczym od spodenek noszonych na polach przez rolników, ale szył je z juty pokrytej sitodrukowymi wzorami. Sam projektował te wzory z talentem średniej klasy malarza, a były to najczęściej jaskrawe ryby, których nazw nie znał, albo palmy kokosowe, przesłaniające liśćmi pomarańczowe zachodzące słońce. Na dole przy każdym obrazku dodawał wielkimi literami podpis „Halimunda”. Jeśli turyści zechcą, będą mogli zabrać kąpielówki do domu, żeby przypominały im o wakacyjnym kurorcie.

Porozwoził kąpielówki po zwykłych, stojących wzdłuż plaży straganach z bambusa i brezentu, po czym okazało się, że szorty mają nadzwyczajne wzięcie wśród turystów. Może dlatego, że były tanie, może ze względu na ciekawy projekt, ale już z całą pewnością z tej przyczyny, że turyści po prostu potrzebowali ich do kąpieli. Kioski domagały się coraz większej liczby kąpielówek, a towarzysz Kliwon nie nadążał z produkcją. Adinda nie szyła zbyt wprawnie, więc zazwyczaj zajmowała się księgowością i oczywiście małym Krisanem. Gdy pojawiało się zbyt wiele zamówień, towarzysz Kliwon zlecał szycie matce. Po miesiącu Mina była tak zarzucona robotą, że Kliwon kupił trzy nowe maszyny do szycia i wynajął trzy krawcowe oraz drukarza do sitodruku, sam natomiast nadal projektował wzory. Interes szedł znakomicie, a Kliwon przekonał się, że wcale nie przeszkadza mu bycie drobnym kapitalistą.

Być może zapominał powoli o przeszłości, ale cieszył się dobrobytem, przyjemną pracą, piękną żoną i zdrowym synkiem. Pojawiła się oczywiście konkurencja, z Chin i Padangu, ale szorty towarzysza Kliwona nadal były ulubionymi kąpielówkami w Halimundzie, a on sam stał się ucieleśnieniem szczęśliwego przedsiębiorcy.

Ale to szczęście nie trwało długo. Zniszczył je plan burmistrza. Towarzysz Kliwon znów stał się tym towarzyszem Kliwonem — s t a r y m komunistą.

Halimunda rozkwitała jako nadmorski kurort, a chciwy burmistrz chytrze wymyślił, że sprzeda ziemię wzdłuż wybrzeża przedsiębiorcom budowlanym, żeby stawiali wielkie hotele, restauracje, bary, dyskoteki i kasyna, a może nawet burdele lepsze od lupanaru Mamy Kalong. Ziemia ta należała w większości do rybaków. Wzdłuż graniczącej z ulicą plaży rozciągały się tereny, które oficjalnie nie były niczyją własnością, a stały na nich skromne kioski z pamiątkami. Urzędnicy w pierwszej kolejności zwrócili się do rybaków, pytając ich uprzejmie, czy sprzedadzą ziemię, a następnie łagodnie zachęcali właścicieli kiosków do przeniesienia interesu na nowoczesny rynek z rzemiosłem, który wkrótce zostanie otwarty. Ale większość rybaków nie zgodziła się sprzedać ziemi przodków, gdzie ich rodziny żyły od pokoleń. Nie mogli się przenieść w głąb lądu, bo musieli wdychać słone morskie powietrze. Właściciele kiosków również nie zamierzali się

stamtąd ewakuować, szczególnie że nowoczesny rzemieślniczy rynek miał być usytuowany daleko od tłumnej plaży.

Zjawili się zatem wspierani przez *premanów* żołnierze, żeby zastraszyć niepokornych. Ale nie myślcie sobie, że rybaków łatwo jest zastraszyć — każdej nocy stoją w obliczu śmierci na otwartym morzu — a właściciele kiosków, widząc determinację rybaków, również trwali przy swoim. Gdy nie powiodło się zastraszanie, przyszedł czas na siłę i przymus. Ziemia między oceanem a ulicą nie jest ziemią niczyją, tylko należy do państwa, twierdził burmistrz, który przyszedł na plażę i wygłosił przemowę. Buldożery wkrótce zburzą wszystkie kioski.

Towarzysz Kliwon nie mógł pozwolić, by taka niesprawiedliwość działa się na jego oczach, więc stał się s t a r y m komunistą, choć nikt do końca nie wiedział, czy rzeczywiście kieruje się solidarnością z pokrzywdzonymi, czy tym razem po prostu zagrożono jego interesom. Zorganizował masową demonstrację rybaków i właścicieli kiosków oraz ich sympatyków — największą od czasu upadku Partii Komunistycznej. Demonstranci zablokowali drogi buldożerom, wysłanym, by zrównać z ziemią ich byle jak sklecone kioski, aż w końcu nadeszła armia. Towarzysz Kliwon ani drgnął, stojąc na czele obrońców.

Tajniacy wysłani na przeszpiegi wśród demonstrantów z zadaniem wywęszania wśród nich komunistów od razu rozpoznali towarzysza Kliwona. Sprawdzono i zweryfikowano meldunki, po czym potwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że człowiek ten jest p r a w d z i w y m komunistą. Po naleganiach generałów Szodanco był zmuszony aresztować towarzysza Kliwona, którego oskarżył w złości o skrajną głupotę.

— Jestem komunistą, a każdy komunista postąpiłby tak samo — odrzekł towarzysz Kliwon.

Zesłano go w końcu do Bloedenkamp, gdzie spotkał kilku starych towarzyszy, przetrzymywanych w obozie bezterminowo. Byli zdziwieni, że Kliwon jeszcze żyje, i jeszcze bardziej zdziwieni tym, że trafił do Bloedenkamp po tak długim czasie. Obecność tylu towarzyszy przyniosła mu pociechę, choć wszyscy oni byli w pożałowania godnym stanie — wygłodniali, niemal goli, pozbawieni jakiegokolwiek kontaktu ze światem. Całymi dniami byli przesłuchiwanii i torturowani przez żołnierzy i strażników. Zważywszy na sławę towarzysza Kliwona, i on nie mógł się spodziewać niczego innego, a przesłuchania i tortury były w jego wypadku jeszcze surowsze i bardziej sadystyczne.

— On przetrwa, wierz mi — mówił Szodanco, uspokajając wściekłą żonę. — A nawet jeśli umrze, to i tak wróci na ten świat jako duch, o czym wiesz równie dobrze jak ja.

— Powiedz to Adindzie i jego synkowi! — wrzasnęła Alamanda.

Ale wkrótce wszyscy komunistyczni więźniowie polityczni zostali zesłani z Bloedenkamp na Wyspę Buru. Wszyscy co do jednego. Nikt nie wiedział, co się

z nimi stanie. Może Buru przypominała Boven-Digoel z czasów kolonialnych albo nazistowski obóz koncentracyjny? Sami więźniowie spodziewali się niewolniczej pracy i jeszcze straszniejszych tortur niż te, których już doświadczyli. Towarzysz Kliwon nie zdołał pożegnać się z matką, żoną ani dzieckiem. Powiedział tylko „do widzenia” Szodanczo, bo ten dzięki swoim wpływom odwiedził go na chwilę przed odpłynięciem okrętu wojennego, który miał zabrać wszystkich więźniów na odległą wyspę we wschodnim krańcu Archipelagu Indonezyjskiego.

— Będę się opiekował twoją żoną i dzieckiem — obiecał mu Szodanczo.

— Popatrz tylko! Teraz wysłali go na Wyspę Buru — gderała Alamanda, gdy Szodanczo wrócił do domu. — Pewnie każą mu rąbać drzewa i zagłodzą go na śmierć.

— Pomyśl przez chwilę! Sam ściągnął sobie na głowę te nieszczęścia. Komunista zawsze zostanie komunistą: zjadłym furiatem. Nie jestem prezydentem i nie mogę go ułaskawić, nie jestem już głównodowodzącym, jestem tylko *shodancho* niewielkiego okręgu wojskowego.

— I wciąż nie poszedłeś do Adindy, żeby jej o wszystkim powiedzieć.

Więc Szodanczo wybrał się w końcu z wizytą do Adindy i przyznał, że żałuje z całego serca tego, co się stało, ale nic nie mógł zrobić, żeby nie zesłano towarzysza Kliwona do Bloedenkamp, a potem na Wyspę Buru. I że to jest skomplikowana sprawa polityczna.

— Powiedz mi przynajmniej, Szodanczo, jak długo będą go tam trzymać?

— Nie wiem — odparł Szodanczo. — Może do następnego przewrotu.

Więc Krisan nie znał ojca, bo kiedy zesłano towarzysza Kliwona do Bloedenkamp i na Buru, był jeszcze niemowlęciem. Dowiedział się o ojcu dzięki opowieściom matki, a także Alamandy i Szodanczo. Ale w roku 1979 Kliwon wrócił, jako jeden z ostatnich zesłańców z Wyspy Buru. Adinda była uradowana z powrotu męża, ale Krisan nie dzielił jej radości. Miał już trzynaście lat i traktował ojca jak nieznanego, który nagłe wprowadził się do ich domu.

Przyglądał mu się bacznie, szczególnie gdy siedział naprzeciw niego podczas posiłków. Postać, którą miał przed sobą, była o wiele chudsza od mężczyzny, którego kojarzył z pokazywanych przez matkę fotografii. Kiedyś twarz nieznanego była gładko wygolona, teraz porastały ją wąsy, bokobrody i broda, a na kark spadały mu falami długie włosy. Krisan był zaskoczony, że pierwszą rzeczą, której szukał ojciec po powrocie do domu, był wiszący w szafie wytarty kaszkiet — tak wyblakły, że trudno było orzec, czy jest czarny, bury, czy szary. Poklepał czapkę, ale nie założył jej na głowę, tylko odłożył na miejsce.

Po powrocie ze zsyłki towarzysz Kliwon nie odzywał się za wiele. Krisan zastanawiał się, czy to prawda, że ojciec zasłynął niegdyś jako elokwentny mówca na olbrzymich wiecach. Może rozmawiał z matką, kiedy zapadała noc i kładli się

oboje do łóżka, ale z Krisanem prawie nie gadał. Pytał tylko:

— Jak się miewasz, mój synu?

Albo:

— Ile masz teraz lat?

Zadawał te pytania raz po raz — tak często, że Krisan obawiał się, czy ojciec nie postradał zmysłów. Może ma już sklerozę, choć nie skończył jeszcze pięćdziesięciu lat? Nie miał pojęcia, ile lat ma ojciec. Może czterdzieści? Ale wyglądał staro, był kruchy i zaniedbany, i zawsze chodził w łachmanach. To przygnębiało Krisana.

Niewykluczone, że towarzysz Kliwon również czuł się nieswojo, bo gdy Krisan mu się przyglądał, on wpatrywał się długo w syna, jakby chcąc wydedukować, o czym ten myśli.

Towarzysz Kliwon nie opuszczał domu przez wiele dni i nikt go też nie odwiedzał, gdyż wrócił z zesłania potajemnie, a Adinda i Krisan nikomu o tym nie powiedzieli. Chcieli zapewnić mu spokój, chcieli, aby pozostał w ukryciu, dopóki sam nie będzie gotów wyjść. Nawet Szodanczo i jego żona nie wiedzieli o powrocie Kliwona. Nie wiedziała też Mina.

— Jak tam jest? — zapytał kiedyś Krisan przy obiedzie. — Na Wyspie Buru.

— Najlepsze jedzenie można znaleźć w kiblu — odpowiedział ojciec.

Atmosfera przy stole stała się ciężka. Adinda spojrzała wymownie na Krisana i na tym rozmowa się skończyła. Towarzysz Kliwon nie chciał opowiadać o Wyspie Buru, a Adinda i Krisan nie śmieli więcej pytać.

Nie wychodząc z domu i nie prowadząc żadnych rozmów, towarzysz Kliwon sposepniał jeszcze bardziej. Może czuł się wyobcowany w miejscu, które opuścił przed tak wielu laty, a może zdawał sobie sprawę z towarzystwa mnóstwa komunistycznych duchów, jakie krążyły po mieście, i to też nie polepszało mu samopoczucia. Pewnego dnia ktoś zapukał do drzwi, które poszedł otworzyć Krisan. Za progiem stał mężczyzna w łachmanach z raną od kuli w piersi, z której ciekła krew. Krisan o mało nie wrzasnął, ale tuż obok niego stanął ojciec, który spokojnie powitał gościa:

— Jak się miewasz, Karmin?

— Potwornie, towarzyszu — odrzekł ranny. — Zabili mnie.

Krisan pobladł i cofnął się pod ścianę. Towarzysz Kliwon przyniósł wiadro wody i gąbkę, podszedł do ducha i z wielką troską i uwagą przemył mu ranę, z której przestała płynąć krew.

— Czy wypijesz filiżankę kawy? — zapytał towarzysz Kliwon. — Choć nie ma gazet.

Pili razem kawę, a Krisan nie mógł uwierzyć własnym oczom, że ojciec jest w takiej komitywie z przerażającą zjawą. Rozmawiali o straconych latach, uśmiechając się pod nosem. Gdy dopili kawę, duch zaczął zbierać się do odejścia.

— Dokąd wracasz? — zapytał towarzysz Kliwon.

— Do krainy umarłych.

Duch wyszedł, a Krisan zemdłał i osunął się na podłogę.

Po każdej następnej wizycie jakiegoś komunistycznego ducha towarzysz Kliwon posepniał jeszcze bardziej. Może z żalu i współczucia dla duchów, a może z innej przyczyny. Krisan, który przez trzynaście lat nie widział ojca, zaczął być zazdrosny o duchy. Chciał, żeby ojciec rozmawiał raczej z nim niż ze zjawami, ale po incydencie przy obiedzie nie ośmielił się już o nic pytać ani prosić.

Pewnego dnia towarzysz Kliwon zapytał żonę:

— Jak się miewa Szodanczo?

— Postradał zupełnie zmysły z powodu tych komunistycznych duchów.

— Chcę złożyć mu wizytę.

— Powinieneś — zgodziła się Adinda. — Dla własnego dobra.

Było ciepłe popołudnie, a znad wzgórz wiał ciepły wiatr. Gdy towarzysz Kliwon znalazł się na ulicy, ujrzało go wielu sąsiadów, których zdumiał jego powrót. Dom Szodanczo był widoczny z ich domu, więc dojście do furtki zabrało mu minutę. Drzwi otworzyła Alamanda, która — tak jak sąsiedzi — wpadła w osłupienie na jego widok.

— Nie jesteś duchem, prawda? — tak go zapytała.

— Cóż, i tak jestem dość przerażający, jeśli ktoś boi się żywych komunistów.

— Więc wróciłeś do domu.

— Puścili mnie.

— Wejdz.

Towarzysz Kliwon usiadł na krześle w salonie od frontu, a Alamanda poszła po coś do picia. Kiedy wróciła, zapytał ją o Szodanczo.

— Albo strzela do duchów komunistów w jakimś odległym zakątku miasta — odpowiedziała — albo siedzi na targu przy kartach.

Zapadło milczenie. Towarzysz Kliwon zastanawiał się, co słyhać u Nurul Aini, Alamanda zaś spoglądała na niego łagodnie, a w jej oczach kryło się współczucie albo coś innego. Nie wiedział skąd i od jak dawna, ale znał to spojrzenie, które teraz sprawiło, że zapomniał o małej dziewczynce. Może poszła się gdzieś pobawić albo wyszła do Pięknej Rengganis, ale to nie miało znaczenia, bo jedyne, o czym marzył, to spojrzeć w oczy kobiety, która przed nim siedziała — oczy, które znał tak dobrze przed wielu, wielu laty.

Podczas długiej zsyłki poprzestawiało mu się w głowie i miał spore problemy z pojmowaniem rzeczywistości. Ale przypomniał sobie i pojął. Tak, to prawda, znał to spojrzenie — w ten sam pełen miłości sposób spoglądała na niego lekko skośnymi oczyma dawno temu. Spojrzenie to było tak łagodne jak pieśczość kociego grzbietu — pełne czułości, a teraz pałające tęsknotą. Rozpoznał je i stwierdził, że jest głupcem, skoro kiedykolwiek o nim zapomniał. Więc odwzajemnił to spojrzenie pełnym namiętności wzrokiem i nagle przeistoczył się

z posępnego starca w mężczyznę, który odkrył dawno utraconą miłość.

W ten sposób wydarzyło się to, co poniżej:

Wstali i bez słowa rzucili się sobie w ramiona, płakali, ale niezbyt długo, bo zaraz połączyli się w długim żarliwym pocałunku, tak jak pod migdałowcem na stacji. Pocałunek ten sprowadził ich na sofę, gdzie szybko się rozebrali i kochali szaleńczo i dziko.

A gdy wszystko dobiegło końca, nie żalowali tego ani trochę.

Kiedy towarzysz Kliwon wrócił do domu, w progu czekała na niego żona. Chciał ukryć swą radość i przybrać posępną minę, ale Adindy nie dało się oszukać.

— Duchy o wszystkim mi powiedziały — oznajmiła. — Wiem, co robiłeś w domu Szodanczo. Ale nie mam nic przeciwko temu, jeśli poczułeś się szczęśliwy.

Te słowa wytrąciły go z równowagi. Nie żałował tego, co zrobił, ale nagle poczuł wstyd, poczuł się mały i brudny w obliczu żony, mówiącej: „Nie mam nic przeciwko temu, jeśli poczułeś się szczęśliwy”. Żony, która czekała na niego przez tyle lat i którą zdradził od razu po swoim niespodziewanym powrocie.

Nie odezwał się ani słowem, poszedł prosto do gościnnej sypialni, zamknął się w niej i nie wyszedł nawet następnego dnia, choć Adinda i Krisan pukali do drzwi i zachęcali go, by zszedł na obiad. Kolejnego ranka, w porze śniadania, Adinda i Krisan pukali do drzwi na zmianę, ale towarzysz Kliwon milczał, więc kierowani troską i złymi przeczuciami, załomotali do drzwi, jednak nie doczekali się odpowiedzi.

W końcu Krisan poszedł do kuchni i przyniósł siekierę, którą rąbał drewno na drzazgi, używane do majstrowania gołębników, i na oczach Adindy porąbał drzwi sypialni. Porąbał je na środku, a potem jeszcze po bokach, aż powstał otwór na tyle duży, że mógł włożyć do niego dłoń i przekręcić klucz. Znaleźli towarzysza Kliwona wiszącego na zwiniętym prześcieradle, przywiązany do stropowej belki. Był martwy. Krisan chwycił w ramiona matkę, która zemdląca.

Wieść o pojawieniu się towarzysza Kliwona — widzianego przez sąsiadów — szybko obiegła miasto. Ale ciekawscy się spóźnili. Ujrzeni tylko kondukt żałobny, otaczający niesioną na cmentarz trumnę. Spóźnili się, tak jak Krisan, który na zawsze stracił szansę poznania ojca. Byli ze sobą bardzo krótko, niecały tydzień, a to nie wystarczy, żeby się poznać jak ojciec z synem. Krisan — bardziej niż ktokolwiek inny — był skonsternowany śmiercią towarzysza Kliwona. Odziedziczył po nim wytarty kaszkiet, noszony przez ojca na starych fotografiach. Teraz sam często go zakładał, żeby się pocieszyć i poczuć bliżej zmarłego.

W mieście pojawił się jeszcze jeden duch komunisty, ale dzięki Bogu, nikogo już nie straszył.

PEWNEGO RANKA, gdy Piękna Rengganis porodziła syna, mieszkańcy Halimundy porzucili codzienne obowiązki i zbiegli się pod jej domem, by zobaczyć dziecko. Istniało wiele powodów, dla których w jednym momencie zrezygnowali z karmienia kur czy zmywania brudnych naczyń. Po pierwsze, Piękna Rengganis była sławna w Halimundzie, odkąd wybrano ją na Plażową Księżniczką Roku. Po drugie, była córką Maman Gendenga, który także cieszył się pewną sławą, choć sława ta była złowroga. Po trzecie i najważniejsze, w długiej historii miasta nigdy nie doszło do tego, żeby dziewczyna powiła dziecię po tym, jak została zgwałcona przez psa.

Gdy akuszerka ogłosiła, że z łona Pięknej zrodziło się prawdziwe ludzkie dziecko, ludzie zaczęli wałkować na nowo starą plotkę, głoszącą, że Rengganis zgwałcił bury pies o czarnym pysku — taki, jakie wszędzie widuje się w Halimundzie, tak jak wszędzie na niebie widuje się gwiazdy. Do gwałtu doszło w szkolnej ubikacji przed mniej więcej dziewięcioma miesiącami, krótko po dzwonku na przerwę.

Wszystko zaczęło się od brzydkiego, odziedziczonego po ojcu nawyku Pięknej, dla której dzień bez zakładu był dniem straconym. Niesforne przyjaciółki skłoniły ją do zawarcia zakładu, że nie wypije pięciu butelek lemoniady z rzędu, tak żeby na dnie nie została ani jedna kropla. Jeśli wypije, mówiły, one zapłacą za trunek. Wypiła, ale kiedy zadzwonił dzwonek, okrutnie się to na niej zemściło, bo czuła, że zaraz się zsika. Pora była najgorsza z możliwych, bo toalety okupowała liczna dziatwa, przeciągająca przerwę i skracająca sobie tym samym lekcje, zgodnie z tradycją przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Do ubikacji ustawiła się obrzydliwie długa kolejka i zanim trafiło się do kabiny, można było zsikać się w majtki albo na spódniczkę, ale ryzykowanie pójścia z tak pełnym pęcherzem na lekcję i zsikanie się na krzesło było jeszcze gorszym wyjściem, o czym wiedziała nawet niezbyt rozbawiona Piękna Rengganis, więc uciekła od rozchichotanych złośliwie przyjaciółek z jadalni i ustawiła się szybko w tej strasznej kolejce.

Za szkolnym budynkiem stało czternaście toalet, przed trzynastoma warował przynajmniej jeden uczeń, planujący raczej puścić sobie dymka z dala od dyrektorskich oczu, niż sikać. Ostatnia, czternasta toaleta była nieużywana od lat. Jedna z plotek głosiła, że zabiła się w niej kiedyś uczennica; druga, że jakaś dziewczyna urodziła w tej ubikacji dziecko, po czym udusiła bękarta. Niczego nie dało się potwierdzić, pewne było jedynie to, że ubikacja bardziej przypominała nawiedzoną klatkę niż cokolwiek innego.

Szkołę — wybudowaną w czasach kolonialnych obok plantacji kakao i kokosów

— prowadziły niegdyś franciszkanki. Po odejściu Holendrów przejęło ją miasto, a najrozsądniejszym wytłumaczeniem istnienia czternastej nieczynnej toalety było to, że kiedyś jej dach przebiła kakaowa lub kokosowa gałąź, a władze nie miały pieniędzy, żeby wszystko od razu naprawić. Z czasem przez dziurę w dachu zaczęły wpadać do toalety liście kakaowca, zamokły, spleśniały, zagnieździły się w nich jaszczurki, a nad detrytusem pająki utkały sieci. Woda w zbiorniku zarośla się od larw komarów, zarosła glonami i chwastami, ktoś pewnie tu sikał, nie ciągnąc za sznurek, więc ubikacja stała się miejscem strasznym i teraz nikt nawet nie ośmielał się przed nią stawać.

Nie używano jej od lat — do czasu, aż do środka weszła Piękna Rengganis. Pięć butelek lemoniady w jej pęcherzu wystarczyło, żeby zbliżyła się do przeklętej toalety, zajrzała do środka i zobaczyła psa, obwąchującego liście kakaowca w poszukiwaniu śladów kota, który wpadł do ubikacji i czmychnął na zewnątrz przez dziurę w dachu. Pies pochodził z tej okolicy, był krzyżówką ajaka o burej sierści i czarnym pysku, a Piękna Rengganis nie miała czasu go przepędzić, weszła do środka, zamknęła drzwi na haczyk i nagle — uwięziona w kabine ubikacji z tym psem — znieruchomiała, a z jej wnętrza trysnął mocz (niewątpliwie było tego więcej niż marne pięć butelek lemoniady), i to trysnął tak gwałtownie, że nie miała czasu ściągnąć majtek. Ciepło spływało jej po udach i łydkach, mocząc skarpetki i pantofle.

W dalszej kolejności wywołała spore zamieszanie — jedno z wielu, jakie udało jej się wywołać przez szesnaście lat życia głuptaski — pojawiając się w klasie goła jak ją Pan Bóg stworzył. Wszyscy uczniowie zamarli, wypuścili podręczniki z rąk, przewrócili krzesła, i nawet stary nauczyciel matematyki, który miał właśnie zamiar poskarżyć się na brudną tablicę, nagle zdał sobie sprawę, że impotencja, na którą cierpiał od wielu lat, została cudownie uleczona, a dzida stanęła mu sztywno i pręźnie. Wszyscy wiedzieli, że ta pannica jest najpiękniejszą dziewczyną w mieście i wywodzi się w prostej linii od księżniczki Rengganis, halimundzkiej bogini urody, ale ujrzenie jej nagiego ciała — które w swej urodzie niczym nie ustępowało twarzy, lecz było przeważnie zakryte — wprowadziło wszystkich obecnych w klasie w osłupienie.

— W szkolnej toalecie zgwałcił mnie pies!

To prawda, jeśli wierzyć temu, co mówiła o wydarzeniach, które nastąpiły po tym, jak zsiakała się w majtki, gdy była w ubikacji sam na sam z psem: mówiła mianowicie, że przez pięć pierwszych minut stała nieruchomo, wpatrując się bezsilnie w spódniczkę, skarpetki i pantofle — wszystko to było mokre i śmierdziało szczynami. Nie słyszała już krzyków dzieci na zewnątrz, ale wciąż nie mogła się ruszyć, oplakując swoje nieszczęście. Jej mózgowica — kierująca się logiką małego dziecka — kazała jej zdjąć wszystko, co mokre, a także bluzkę i biustonosz; uczyniła to jak w transie. Powiesiła mokrą odzież na zardzewiałych

gwoździach, mając nadzieję, że wysuszą ją szybko przedzierające się przez dziurawy dach promienie słońca, i stanęła naga przed psem, niczym podróżny przed automatem pralniczym, a pies się natychmiast podniecił. I właśnie wtedy, mówiła, doszło do gwałtu.

— A później zabrał z gwoździa wszystkie moje rzeczy.

Tak czy inaczej, prawdą było to, że jej tajemnicza uroda w połączeniu z niewinnością nadawały jej zmysłowy wygląd. To pewne, że każdy mężczyzna, który natknąłby się na nią nagą albo dałby się z nią zamknąć w szkolnej toalecie, wykorzystałby sytuację. Miała w sobie powab, który sprawiał, że wszyscy chcieli się do niej zbliżyć — w sposób powszechnie aprobowany bądź nie. To, że pozostała dziewicą do dnia, kiedy zgwałcił ją pies, zawdzięczała ojcu, który — o czym wiedzieli wszyscy mieszkańcy miasta — był mściwym, złym i przerażającym człowiekiem.

Maman Gendeng nie zawahałaby się zamordować żadnego mężczyzny, który ośmieliłby się tknąć jego jedyne dziecko, chociaż uroda dziewczyny od dawna stanowiła groźną i nieodpartą prowokację. Czasem, gdy stała przy drodze, czekając na autobus, jak to dziecko bawiła się z roztargnieniem rąbkiem spódniczki, który zadzierała i gryzła. A gdy wiał bezlitosny gorący wiatr, rozpiniała górne guziki bluzki. Widywało się wtedy jej gładką skórę na łydkach i udach (taką, która mogła należeć tylko do nimfy) i zarys kształtnych piersi (takich, jakie mają tylko szesnastolatki). Wszakże lepiej było nie delektować się zbyt długo tymi cudami, bo prędzej czy później Maman Gendeng — potężniejszy od każdego dukuna czy złego czarownika — dowiadywał się o tych, którzy spojrzeli pożądliwie na jego córkę. Rekonwalescencja tych nieszczęśników w szpitalu trwała najkrócej pół roku.

W takich sytuacjach jej najlepszą opiekunką była córka innego anioła, Nurul Aini, przyjaciółka Pięknej od niemowlęctwa. Opuszczała szybko spódniczkę Rengganis i zapinała jej bluzkę.

— Nie rób tego, moja droga — powtarzała. — To nie uchodzi.

A gdy Piękna Rengganis stanęła nago przed klasą — w całej swej mierzącej metr czterdzieści i ważącej czterdzieści kilo okazałości, zupełnie spokojna, nieświadoma uroku dojrzewającego ciała, z długimi czarnymi jak rzeka atramentu włosami, najpiękniejsza Indo w Halimundzie, dziedziczka matczynej urody z przykuwającymi uwagę pozostałościami holenderskiego pochodzenia, z lśniącymi niebieskimi oczyma, spoglądającymi ze smutkiem na całą milczącą klasę, jakby zdziwiona tym, że nagle wszystkim opadły szczęki jak u krokodyla czekającego tygodniami na ofiarę — Ai, jak zwykle gotowa radzić sobie z najdziwniejszymi pomysłami, które Pięknej strzelały do głowy, wstała z krzesła, pobiegła między ławkami i zerwała obrus z biurka nauczyciela (tłukąc przy tym szklanę, ciskając czarną skórzaną teczką matematyka o tablicę i rozsypując jej zawartość oraz z impetem zrzucając z biurka wazon z kwiatami i książki). Owinęła tym obrusem Piękna, która

wyglądała teraz jak dziewczynka w za dużym kąpielowym ręczniku.

Być może Ai odziedziczyła zdecydowanie po ojcu, Szodanczo, bo nie musiała nic mówić, spojrzała tylko, a chłopcy i stary matematyk natychmiast wyszli z klasy. Wychodząc, pochrząkiwali z rozczarowaniem i wymieniali między sobą pełne żalu uwagi:

— Cholera, pies? Jakby żaden z nas nie mógł jej zgwałcić!

Parę dziewcząt pobiegło do sali gimnastycznej, szukać szkolnego stroju do piłki nożnej, którym można by zastąpić spowijający ciało Pięknej obrus.

Mniej więcej w tym samym czasie Mai Dewi, matce Pięknej i żonie Maman Gendenga, coś się przytrafiło; właściwie był to drobny, ale bardzo niepokojący incydent. Sprzątała pokój, gdy jaszczurka przycupnięta na lampie pod sufitem oddała kał, a kał ten spadł na ramię Mai Dewi. Nie przejęła się ani zapachem, ani brudem, ale czymś zupełnie innym: spadająca z góry kupa jaszczurki zawsze zapowiada katastrofę — to zły omen.

Maja Dewi — w przeciwieństwie do męża — była osobą powszechnie szanowaną. Nikt nie przejmował się tym, że jest córką Dewi Ayu, znanej kurwy. Maja Dewi była kobietą spokojną, uprzejmą, a nawet pobożną, a ci, którzy ją widzieli, wybacжали jej infantylizm córki i krwawe instynkty męża. W czwartkowe wieczory chodziła na modlitewne spotkania, a w niedzielne popołudnia uczestniczyła w towarzyskiej loteryjce *arisan*, spotykając się z przyjaciółkami i dokładając pieniądze do loteryjnej puli. Dzięki niej jej rodzina uchodziła za w miarę przyzwoitą, po trosze dlatego, że Maja Dewi zarabiała na życie wypiekaniem ciastek, w czym pomagały jej dwie dziewczyny z gór.

Chwilę po tym, gdy strząsnęła z ramienia jaszczurcze gówienko i poleciała jednej z dziewcząt kontynuowanie zmiatania środkowego pokoju, jej twarz, na której wciąż było widać jej holenderskie korzenie, pobladła jak oblicze dwudniowego trupa. Usiadła na werandzie i zaczęła się zamartwiać o to, czy co złego nie stało się mężowi albo córce. Oczywiście im obojgu przydarzało się niemal każdego dnia wiele drobnych nieszczęść, a działo się to tak często, że już w ogóle o nich nie myślała, ale miała przeczucie, że prędzej czy później spotka ich jakaś niewiadoma tragedia. Mogła się tylko zamartwiać. Tym cholernym jaszczurczym gówienkiem.

O tej porze dnia Maman Gendeng siedział zazwyczaj na dworcu autobusowym. Musiał zabić człowieka, żeby zapewnić sobie fotel na dworcu, i Maja Dewi stale się obawiała, że kiedyś zjawi się jakiś rywal, który zabije jej męża, żeby zająć fotel, a choć Maman Gendeng był złym człowiekiem, kochała go tak bardzo, jak bardzo oboje kochali córkę, i nie chciała, żeby przytrafiło mu się coś niedobrego. Miała nadzieję, że Maman Gendeng jest niepokonany i odporny na każdą broń, jak głosiła legenda w Halimundzie.

Ponure myśli przerwało jej przybycie rikszy *becak*, która stanęła przed domem.

Wysiadły z niej dwie dziewczyny i od razu poznała w jednej z nich córkę Szodanczo, a w drugiej własną. Zastanawiała się, dlaczego wróciły do domu tak wcześniej i dlaczego Piękna Rengganis ma na sobie strój do piłki nożnej zamiast szkolnego mundurka. Wstała z miną zatroskanej kwoki, a dziewczęta wkroczyły na dziedziniec i podeszły do niej. Maja Dewi spojrzała na Nurul Aini i chciała ją zapytać, co zaszło, ale twarz dziewczyny była blada jak u trzydniowego trupa. Ai zbierało się na płacz, a Maja Dewi nie zdążyła jej o nic zapytać, bo odezwała się Piękna:

— Mamusiu, w szkolnej ubikacji zgwałcił mnie pies — oznajmiła spokojnie i rzeczowo. — Może zajdę w ciążę.

Maja Dewi opadła na krzesło, a jej twarz pobladła jak oblicze czterodniowego trupa. Należała do matek, które nigdy nie wpadały w szal, więc spojrzała bezradnie na córkę, a potem zapytała:

— Jaki pies?

Wkrótce do miasta dotarły złe wieści o zapowiadany na następny rok całkowitym zaćmieniu słońca. Wróżbici wieszczili, że będzie to rok pełen nieszczęść, więc jeśli Piękna Rengganis rzeczywiście została zgwałcona przez psa, seria katastrof już się zaczęła. Wieść o tym rozniosła się jak zaraza i wszyscy w Halimundzie wiedzieli już o nieszczęściu, z wyjątkiem ojca Pięknej, biednego Maman Gendenga. Mieszkańcy miasta po raz pierwszy spoglądali na niego ze współczuciem i litością.

Przez cały miesiąc nikt nie odważył się powiedzieć nieszczęśnikowi prawdy, aż pewnego dnia stanął przed nim niechlujny, przysadzisty, niezdarny i śmiesznie wyglądający uczeń mniej więcej w wieku jego córki. Miał na imię Kinkin. Przyszedł w przyciasnym swetrze, wyblakłych brązowych sztruksach, brudnych białych tenisówkach i okrągłych okularkach, w których wyglądał jak bohater komiksu. To, że w ogóle ośmielił się zbliżyć do zbira, który przysypiał w świętym, podniszczonym, starym bujanym fotelu, wypiwszy szklanę piwa, smakującego jak końskie szczyny, wywołało niemałe zamieszanie. Niektórzy go znali i wiedzieli, że jest jedynym synem grabarza Kamina, ale nie zdążyli zapobiec zbudzeniu *premana* ze snu.

Maman Gendeng niechętnie przetaił oczy, odstawił szklanę z piwem i spojrzał z irytacją na stojącego przed nim sztywno chłopca, który zwijał i rozwijał rąbek koszuli, póki Maman Gendeng nie stracił cierpliwości.

— Powiedz mi, czego chcesz, i wynoś się stąd! — warknął.

Minęła minuta, a chłopak wciąż nie zdołał wykrztusić choćby słowa, więc rozdrażniony zbir chwycił szklanę i wylał mu resztkę piwa na głowę.

— Gadaj albo wytarżam cię w krowim gnoju!

— Chcę się ożenić z twoją córką, Piękną Rengganis — wyrzucił z siebie Kinkin.

— Nigdy cię nie poślubi — orzekł Maman Gendeng, bardziej rozbawiony niż zły. — Może wyjść za kogo zechce, ale z pewnością nie wyjdzie za ciebie. A poza tym jesteś za młody, żeby myśleć o małżeństwie.

Kinkin i Piękna Rengganis chodzili do tej samej klasy, a jak wyjaśnił chłopak, pokochał ją od pierwszego wejrzenia: drżał na całym ciele za każdym razem, gdy ją ujrzał, a drżał jeszcze bardziej z tęsknoty, gdy tracił ją z oczu. Cierpiał na gorączkę, bezsenność i brak tchu, a wszystko z miłości. Potajemnie podrzucał do zeszytów Pięknej miłosne wiersze, a kiedyś wsunął tam list napisany na perfumowanym papierze, ale nie doczekał się odpowiedzi, więc był już ze wszech miar martwy od środka. Zapewnił zbirą, że kocha Rengganis tak, jak Romeo kochał Julię, a Rama Site.

— Musi skończyć szkołę, bo zostanie dentystką jak ta bogata pani z tej ulicy, więc nawet jeśli się kochacie, nie ma powodu, żeby od razu brać ślub.

— Ale pańska córka jest w ciąży i ktoś musi się z nią ożenić — wypalił chłopak.

Maman Gendeng uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ktoś musiałby ją zgwałcić, żeby była w ciąży, a to stałoby się po moim trupie.

— Zgwałcił ją pies w szkolnej ubikacji.

To rozbawiło Maman Gendenga jeszcze bardziej i odesłał natrętnego, oczadziałego z miłości chłopaka do wszystkich diabłów, udzielając mu na pożegnanie rady, że jeśli naprawdę kocha jego córkę, w żadnym razie nie wolno mu się poddawać.

Po południu, gdy wrócił do domu, zapomniał o całej sprawie. Piękna Rengganis nie zająknęła się o niczym ani słowem, podobnie jak jej matka, więc uznał, że wszystko jest w najlepszym porządku, i uciął sobie drzemkę. O siódmej żona obudziła go na obiad i zapaliła kadzidełko, żeby odstraszyć owady, a on przypomniał sobie Kinkina i zaczął się głośno zastanawiać, czy rzeczywiście spotkał chłopaka, który powiedział, że Piękną Rengganis zgwałcił pies w szkolnej toalecie, czy tylko mu się przyśniło.

— Nasza córka powiedziała mi to samo przed paroma tygodniami — oznajmiła Maja Dewi.

— Dlaczego mi nic nie mówiłaś?

— Pies musiałby najpierw zagryźć nas oboje, zanim ośmieliłby się tknąć naszą córkę.

Przez kilka następnych tygodni ta pogłoska nie dawała im spokoju. Szczerze mówiąc, nikt nie wierzył słowom Pięknej Rengganis, gdyż tłumaczono je sobie tym, że chce zwrócić na siebie uwagę albo fantazjuje, ale tak czy inaczej, ze względu na godny pozałowania stan jej umysłu pobożne kobiety kładły sobie rękę na sercu i modliły się o jej zdrowie.

— Nikt nie śmie jej tknąć — powtarzał zwięźle *preman* — póki my żyjemy.

Dał córce imię po miejscowej bogini piękności, ale dopiero teraz przypomniał

sobie, że według legendy księżniczka Rengganis poślubiła psa.

— Piękna nie jest w ciąży — mówił z naciskiem — ale jeśli się okaże, że jest, zabiję każdego psa w tym mieście.

Rodzina żyła jak dotąd, starając się nie myśleć o plotce. Pominąwszy już wszystko inne, Pięknej Rengganis nie raz i nie dwa zdarzało się wywoływać powszechne poruszenie. Kiedyś wrzuciła ślicznego małego kotka do wrzącego oleju, a innym razem przerwała cyrkowe przedstawienie, gdy z ciekawości wstała z ławki, podeszła do błazna i ściągnęła mu maskę. Maja Dewi wróciła do kierowania pracą dwóch wiejskich dziewczyn, a Maman Gendeng na swój posterunek i do popołudniowej gry w karty z Szodanczo.

Przez wiele lat zabijał nudę, grając w karety z Szodanczo oraz zmieniającą się kamarylę sprzedawców sardynek i warzyw, kulisów i riksarzy. Gdy Szodanczo popłynął na Timor Wschodni, by wojować przez pół roku, przestali rżnąć w karty, a Maman Gendeng znalazł sobie nowe hobby: jazdę na motorowerze bez tłumika wczesnym popołudniem. Huk motoroweru, podobny do łomotu ryżowej młockarni, stał się tak znany, że każdy zbir w mieście stawał na baczność, nawet jeśli spał.

Szodanczo był chudszy i niższy od większości żołnierzy, ale miał wspaniały mundur — nakrapiany uniform polowy, a do tego podkute buciory ze skóry aligatora, pistolet i drewnianą, wiszącą u boku pałkę — ubiór tuszujący jego mizerną posturę. Miał śniadą karnację i siwiejące lekko wąsy. Nikt nie pamiętał jego prawdziwego imienia, zapamiętano tylko, że dowodził *shodanem* w czasach rewolucji przeciw Japończykom.

W czwartkowe popołudnie przy stoliku do kart zasiedli rzeźniczy czeladnik i sprzedawca ryb, a Szodanczo rozpoczął rytuał od ciśnięcia na blat paczki białych amerykańskich papierosów. Wszyscy czterej rzucili się na karty, zanim je potasowano, a papierosowy dym przegonił ostry smród solonej ryby i gnijących warzyw.

— O, mam dzokera — powiedział Szodanczo. — A co u twoich?

Kruche braterstwo tych dwóch umocniło się dzięki przyjaźni kwitnącej między ich córkami. Gdy Piękna Rengganis i Nurul Aini były jeszcze małe i sikały w majtki, ojcowie przy stole do kart wciskali im w pulchne paluszki dwa dzokery, by mogły udawać, że uczestniczą w grze, i żeby nie przeszkadzały. Dzokery nie są potrzebne do gry w karety, ale od tamtej pory już zawsze kojarzyły się im z córkami.

— Przyszedł do mnie raz jakiś zasmarkany chłopak, żeby prosić o rękę Pięknej — odrzekł Maman Gendeng.

W Halimundzie roiło się od pyskaczy i plotkarzy, więc Szodanczo już o wszystkim wiedział, podobnie zresztą jak o zamieszaniu w klasie. Ale nic nie powiedział.

— Nie umiem sobie wyobrazić, że wyjdzie za mąż, urodzi dziecko, a ja zostanę dziadkiem. — Maman Gendeng rozejrzał się po twarzach trzech kompanów, a szczególnie przyglądał się obliczu Szodanczo, żeby zmiarkować jego reakcję. — Ma dopiero szesnaście lat.

— Jak mój dzoker.

W mieście mówiono, że Szodanczo planuje przejść za rok w stan spoczynku. Rana, którą odniósł na Wschodnim Timorze, nigdy się do końca nie zagoiła i wciąż miał kulkę w goleni. Przejście w stan spoczynku w randze pułkownika szybko położyłoby kres pogłoskom o kurczowym trzymaniu się przez Szodanczo stołka i sprawowaniu bezwzględnej kontroli nad okręgiem wojskowym Halimundy. Stanowisko to było zresztą o wiele poniżej jego możliwości — stał przecież na czele buntu w halimundzkim *daidanie* i zniszczył japońskie koszary na pół roku przed uzyskaniem niepodległości, co stawiało go w pierwszym szeregu tych, którzy zasłużyli na rangę głównodowodzącego. Ale nigdy nie opuścił Halimundy i nigdy nie dowodził armią. Awansował do stopnia pułkownika, gdy wypędził aliantów, a później nigdy nie aspirował wyżej. Gdy wykończył wszystkich komunistów, odmówił przyjęcia stanowiska adiutanta prezydenta republiki. Miał ukochaną żonę i dziecko i nie było powodu, żeby wyjeżdżał z miasta, ale teraz był gotów przejść w stan spoczynku.

— Słyszałem, że Piękna Rengganis została zgwałcona przez psa — rzucił mimochodem.

— W Halimundzie jest o wiele za dużo psów — mruknął Maman Gendeng.

To stwierdzenie zaskoczyło Szodanczo: w mieście istotnie było dużo psów, ale nigdy nie słyszał, żeby ktoś się na to skarżył.

— A jeśli to, co wydarzyło się w szkolnej ubikacji, okaże się prawdą, cóż, mam mnóstwo trutki na psy — ciągnął lodowatym tonem zbir. — Została mi z czasów, gdy była tu wścieklizna. Zdaje się, że dwa lata temu. Zresztą bez względu na to, co przytrafiło się mojej córce, jest dość powodów, żeby wysłać wszystkie kundle na przemiał do kuchni na Sumatrze.

Choć nie zwracał się do nikogo w szczególności, kumple od kart doskonale wiedzieli, że mówi do Szodanczo. Większość psów w Halimundzie była krzyżówkami *ajaków*, udomowionych i hodowanych od czasu polowań na świnie urządzanych przez Szodanczo. Dawno temu, gdy do spowitej mgłą dżungli, którą kiedyś była Halimunda, przybyła księżniczka Rengganis, towarzyszył jej tylko pies, o czym wszyscy wiedzieli. Ale nikt nie hodował tutaj psów do czasów Szodanczo.

— Mam nadzieję, że to tylko plotki — odpowiedział w końcu Szodanczo.

— Albo kolejny wymysł mojej córki — dodał oschle zbir. Przypomniawszy sobie tych wszystkich *dunkunów*, których odwiedzili, żeby zrobili z Rengganis normalną dziewczynę. Niektórzy z nich mówili, że jest opętana przez złego ducha, inni utrzymywali, że jej duch zwyczajnie nie chce dorosnąć: wciąż była sześciolatkiem

dzieckiem w ciele szesnastoletniej pannicy. Ale pominąwszy to, co mówili, żaden z nich n i e m ó g ł nic z tym zrobić. — Wiesz przecież, że aby przyjęli ją do szkoły, musiałem dać po ryju trzem różnym nauczycielom. — Wpadł w dziwny nastrój, zaczął się nad sobą rozczulać i stracił ochotę do gry, więc zapytał: — Wy też będziecie z niej drwić?

— Zawsze śmiejemy się z dzokerów — odrzekł Szodanco.

Maman Gendeng odszedł od stołu i powędrował do domu w wiejącym od wzgórz wietrze i wśród szumu rozbijających się o brzeg morskich fal. Stado nietoperzy usiłowało lecieć pod wiatr, niczym banda pijaków, a niebo miało pomarańczową barwę. Z nadmorskich chat wychodzili rybacy z wioślami, sieciami i bańkami z lodem, a z przeciwnej strony nadchodzili rolnicy, wracający do domów z sierpami i pustymi workami. Zachmurzone niebo wzbudzało w nim niepokój.

Ale widząc rosnącą przed domem karambolę, kwitnącą werbenę i cienistą pigwicę, poczuł się znacznie lepiej. Dom zawsze ratował go przed najgorszymi zmorami, tym razem jednak zastał żonę siedzącą przed miską z praniem i zalewającą się łzami.

— Boję się, że jest w ciąży — powiedziała wściekle tak łagodna zazwyczaj Maja Dewi. — Minał już miesiąc, a ja wciąż nie znalazłam poplamionej bielizny. — Po tych słowach przewróciła miednicę, wylewając pranie na podłogę.

Zbir obracał to w głowie.

— Jeśli to prawda, nie mógł jej zgwałcić pies — oznajmił pewnym tonem. — A jeśli już ktoś miał kogoś gwałcić, to raczej nasza córka psa, a nie na odwrót.

Po nieudanych oświadczeniach na dworcu autobusowym Kinkin oddał się swojemu nowemu hobby, a mianowicie tropieniu psów na cmentarzu i uśmiercaniu ich śrutem z wiatrówki. Był jedyną osobą, która wierzyła, że Piękną Rengganis zgwałcił pies, i szalejąc z zazdrości, nie mógł pozwolić, by w jego dobrach przetrwał choćby jeden kundel. Jeśli na cmentarzu nie było akurat psów, kupował sprzedawane na rynku plakaty z czworonogami, wieszał je na gałęziach plumerii i strzelał do nich, siekając je na strzępy. Tylko ojciec wiedział o tym dziwnym zachowaniu i bardzo się tym przejął.

— Co ci dolega, synu? — pytał. — Jedynym grzechem psów jest to, że za dużo szczekają.

— Psy są psami, tato — odpowiedział ojcu lodowatym tonem, nawet nie odwracając głowy i nie przestając celować do plakatu, kołyszącego się po ostatniej kulce. — A jeden z nich zgwałcił kobietę, którą kocham.

— Nigdy nie słyszałem o tym, żeby pies zgwałcił kobietę. Chyba że zakochałeś się w suce.

— Dość tych bzdur! — zawołał Kinkin. — Wracaj do domu, tato. Ta ostatnia kulka jest dla psa, a nie dla ciebie.

Zakochanie całkowicie zniszczyło otaczającą Kinkina aurę tajemniczości — tak przynajmniej widzieli to jego koledzy z klasy. Nikt nigdy nie chciał się z nim bawić, podobnie jak on nie chciał się bawić z nikim innym. Jego najbliżsi przyjaciele należeli do bandy, z którą żadne dziecko nie chciało mieć nic wspólnego: duchów *jailangkung*. Nikt nie chciał z nim siedzieć w jednej ławce, bo jego szkolny mundurak cuchnął kadzidłem, a nauczyciele nigdy nie wywoływali go do odpowiedzi, bo często recytował lekcje głosami zmarłych. A choć dzieciaki wiedziały, że oszukuje podczas odpowiedzi, bo podpowiadają mu *jailangkung*, nikt nie odważył się na niego naskarżyć ani prosić o pomoc. Był jak pępek: wszyscy wiedzieli, że jest, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Tak było, zanim ujrzał Piękną.

A ujrzał ją już pierwszego dnia, gdy pojawiła się w nowej szkole: po dziewięciu nudnych szkolnych latach w pokoju nauczycielskim doszło do awantury i wszystkie dzieciaki pobiegły sprawdzić, co się stało. Kinkin pobiegł jako ostatni i zobaczył jakiegoś mężczyznę, który przygwoździł do ziemi trzech nauczycieli, bo — jak mówiono — odmówili przyjęcia do szkoły jego córki i zaproponowali mu szkołę specjalną dla dzieci opóźnionych w rozwoju, małych idiotów i imbecyli, czemu ojciec musiał się sprzeciwić, gdyż jak twierdził, jego córka jest zupełnie normalna.

— Jedyne, co ją różni, to jej niezwykła uroda: jest najpiękniejsza w całym mieście, a może nawet we wszechświecie — oznajmił, piorunując wzrokiem trzech rozciągniętych na ziemi nauczycieli oraz drżącego za biurkiem dyrektora.

Dziewczyna stała za ojcem, miała na sobie nowy biało-szary szkolny mundurak, pachnący smarem maszyny do szycia, i plisowaną spódniczkę o mocno zaprasowanych fałdach. Splotła długie włosy w dwa warkocze, wiszące po prawej i lewej stronie jej talii i związane czerwoną i białą wstążką na znak szacunku dla narodowej flagi. Do tego wymagane czarne półbuty i krótkie białe skarpetki zakończone kwiatuśkami z koronki, lecz jej gołe łydki bardziej przykuwały uwagę od tego, co miała na sobie. Niewątpliwie nie była idiotką — wszyscy to widzieli, nawet Kinkin, który wpatrywał się w nią przez okno w ścianie pokoju nauczycielskiego. Była ni mniej, ni więcej, tylko aniołem, zagubionym na tym strasnym świecie, a od tamtej pory Kinkina ogarnęła niedająca się opanować gorączka miłości. Chociaż nigdy nie rozmawiał z innymi uczniami w szkole, podszedł do dziewczyny i trafiony strzałą kupidyna, zapytał ją o imię. Dziewczyna, nieco zdezorientowana, wskazała na mały napis wyhaftowany na jej bluzce nad prawą piersią:

— Możesz tu przeczytać: Rengganis.

Wszyscy uczniowie mieli tabliczki z imionami przypięte do mundurków, ale Kinkin nie mógł się skupić na odczytywaniu liter, które wskazała koniuszkiem szczupłego palca, bo wbijał wzrok w jej piersi. Cały drżał przez resztę lekcji, cierpiąc w samotności w kącie klasy.

Cierpiał tym bardziej, że czuł na sobie spojrzenia innych uczniów, którzy byli wstrząśnięci, że przemówił po raz pierwszy od podstawówki. Nie odważyli się jednak z niego naigrywać, bo panicznie się bali, że ten dziwny chłopak zrobi im krzywdę czarami albo czarną magią. Tylko jedna dziewczyna — która trafiła do klasy jako opiekunka Pięknej Rengganis — miała odwagę do niego podejść.

— Słuchaj, Chłoptasiu Jailangkung — zaczęła groźnie. — Jeśli będziesz niepokoił moją przyjaciółkę, posiekam ci chuja na kawałki jak marchewkę.

Odwróciła się i usiadła obok Pięknej, zostawiając Kinkina niemal we łzach, gdyż wyobraził sobie właśnie wszystkie trudności, jakie będzie musiał pokonać, by zasłużyć na miłość, której tak pożądał. W jego oczach Ai stała się najbardziej irytującym stworzeniem na całej planecie. Każdego dnia łudził się, że zdoła odprowadzić Piękną do domu, gdyż spacer z nią był największą ekstazą, jaką mógł sobie wyobrazić każdy zakochany uczeń, lecz Ai zawsze była pierwsza. Był tak na nią zły, że któregoś dnia zwrócił się do dziewczyny:

— Ktoś powinien cię zamordować.

— Sam byś to zrobił, gdybyś nie był takim pedałem.

Ale się nie odważył. Tracił po kolei wszystkie okazje do odprowadzenia Pięknej do domu po szkole i tylko w klasie zaznawał odrobiny szczęścia, gdy odwracał głowę i wpatrywał się w jej piękną twarz do woli. Stał się najgorszym uczniem w szkole, bo nie zwracał już uwagi na nauczycieli ani naukę. Tylko *jailangkung* pomagało mu w zdawaniu testów na dobre oceny. Wychudł także jak szczapa, bo nie mógł ani jeść, ani spać, dręczony miłością.

— Wyglądasz gorzej ode mnie — powiedziała mu kiedyś Piękna. — Jak p r a w d z i w y idiota.

Zabrali ją do szpitala, gdzie lekarz stwierdził z absolutną pewnością, że Rengganis jest w siódmym tygodniu ciąży. Zarówno Maman Gendeng, jak i Maja Dewi nie chcieli mu uwierzyć, ale pięciu innych doktorów powiedziało to samo po zbadaniu dziewczyny. To samo powtórzył *dukun*.

Mając już pewność, ojciec postanowił zamknąć ją w pokoju, żeby zapobiec dalszym plotkom. Maja Dewi przez całe swoje życie starała się uciec od przeszłości — matki kurwy, która rodziła kolejne dzieci, nie dbając o ślub ani męża — ale teraz wyglądało na to, że przeszłość położyła się długim cieniem na Pięknej Rengganis i to, co ją spotkało, potwierdzało, że klątwa przenosi się z pokolenia na pokolenie wraz z krwią. Ludzie będą mówić, że w zdeprawowanej rodzinie zawsze będą rodzić się równie zdeprawowane dzieci. Więc Maja Dewi i Maman Gendeng doszli do wniosku, że trzeba zamknąć dziewczynę na tak długo, aż ludzie zapomną o istnieniu ciężarnej nastolatki.

Pokój Rengganis był na piętrze — za wysoko, żeby wyskoczyć przez okno — a drzwi do niego zostały starannie zamknięte od zewnątrz. Jedyńm towarzysztem

dziewczyny był pluszowy miś, kilka tanich romansów i radio. Maja Dewi osobiście zajmowała się jej potrzebami, przynosiła śniadanie, lunch, obiad i nocnik oraz wiadra wody, żeby się mogła wykąpać. Choć Piękna marudziła, że chce wrócić do szkoły, matka stanowczo odpowiedziała „nie”.

— Obiecuję, że będę bardziej uważać na psy — błagała ją żałośnie córka.

Maja Dewi wybuchnęła płaczem i wykrztusiła pomiędzy szlochami:

— Nie, najdroższa, nie wyjdiesz stąd, póki nie powiesz, kto cię zgwałcił w szkolnej ubikacji!

Pytali ją o to raz po raz, ale to nic nie dało, bo dziewczyna ze zdumiewającym uporem zawsze odpowiadała, że zgwałcił ją pies o burej sierści i czarnym pysku. Takie psy mieszkaly w każdym zakątku Halimundy, więc nie było sposobu, żeby znaleźć winowajcę. Nie uzyskawszy od córki żadnego sensownego wyjaśnienia, Maja Dewi zamykała ją i zostawiała samą, a Piękna Rengganis płakała i krzyczała, błagając, żeby ją wypuścili i pozwolili wrócić do szkoły. Jej krzyki łamały wszystkim serce, bo były rzecz jasna donośne niczym wrzask niemowlęcia, któremu nie zmieniono pieluchy. Słyszając jej przenikliwy krzyk, sąsiedzi wychodzili na ulicę i zadzierali głowy, wpatrując się w okno na piętrze, a piesi przystawali i poszeptywali między sobą. Maman Gendeng wpadł na pomysł, żeby ją gdzieś wysłać, ale Maja Dewi była temu przeciwna i upierała się przy trzymaniu córki w zamknięciu.

— Lepiej umrzeć ze wstydu, niż stracić córkę — mówiła.

Ale w końcu poddali się i pozwolili Pięknej wrócić do szkoły. Nie było to łatwe, bo na lekcje nie mogły przychodzić ciężarne uczennice. Dyrekcja szkoły twierdziła, że zły przykład może wpłynąć niekorzystnie na inne dziewczęta. Więc Maman Gendeng pojawił się w szkole po raz drugi i znów wszedł bez pukania do pokoju dyrektora, by uzyskać przyrzeczenie, że córka nie zostanie wydalona. Nieszczęsny dyrektor miał prawdziwe zmartwienie. Z jednej strony musiał uporać się z rodzicami pozostałych uczennic, troszczącymi się o własne córki, gdyż to, co przydarzyło się Pięknej Rengganis, dowodziło, że dziewczęta nie są w szkole bezpieczne, a z drugiej strony miał przed sobą zbira, któremu nikt nie śmiał się sprzeciwić. Otarł zimny pot z czoła i karku.

— Dobrze, przyjacielu, niech zostanie w szkole do absolutorium — oznajmił. — Ale musisz mi pomóc znaleźć tego, kto zgwałcił twoją córkę, żebym mógł uspokoić pozostałych rodziców. I jeszcze jedno: ubierajcie ją w jakieś luźne rzeczy.

To przypomniało Maman Gendengowi o chłopaku o imieniu Kinkin. Po południu wymówił się od kart i poszedł do domu grabarza Kamina, żeby znaleźć chłopca. Kinkin, tak jak przez wszystkie ostatnie dni, był zajęty mściwym strzelaniem do plakatów psów. Maman Gendeng podziwiał przez chwilę celność jego strzałów, choć zachodził w głowę, skąd u dzieciaka takie dziwne hobby. Kinkin wystrzelał cały magazynek, a zdjęcie psa spadło w strzępach na ziemię,

wtedy odwrócił się i bez najmniejszego zdziwienia podszedł do *premana*.

— Sam pan widzi, co robię, nie? — zapytał z dumą w głosie. *Preman* nic nie rozumiał, ale kiwnął głową, a chłopak wyjaśnił: — Strzelam do wszystkich psów, a nawet do zdjęć psów. Nienawidzę psów i im zazdroszczę, bo pies zgwałcił pana córkę, a wie pan, jak strasznie ją kocham.

Kamino przyglądał się temu sprzed domu. Coś mu się nie podobało w tej wizycie najgroźniejszego przestępcy w mieście u jego małoletniego syna, więc podszedł do nich i najserdeczniej jak umiał zaprosił zbira na kawę. Maman Gendeng i Kinkin zasiedli w salonie od frontu, wypełnionym najdziwniejszymi rzeczami, które zostały po zmarłych. Stary Kamino podał kawę i zostawił ich samych, a Maman Gendeng zwrócił się do chłopaka:

— Powiedz mi, kto zgwałcił Piękną Rengganis.

Dzieciak spojrział na niego zdezorientowany.

— Przecież sam pan wie: pies w szkolnej ubikacji — odrzekł z przekonaniem. To nie była odpowiedź, którą chciał usłyszeć Maman Gendeng. Szczerze mówiąc, ta odpowiedź nieco go zirytowała, ale było jasne, że dzieciak wie tyle samo, co inni, i tylko Piękna Rengganis oraz Pan Bóg widzieli, co wydarzyło się w szkolnej toalecie. Upił łyk kawy, żeby się uspokoić.

Wyglądało na to, że ma przed sobą nierozwiązywalną zagadkę. Zdecydowanie wolałby teraz stać naprzeciw śmiertelnego wroga i toczyć z nim walkę na śmierć i życie, niż zachodzić w głowę, kto zgwałcił mu córkę. Siedział przed chłopakiem i milczał, aż w końcu zdał sobie sprawę, że zrobiło się bardzo późno. Nie chciał wracać do domu, nie uzyskawszy satysfakcjonującej go odpowiedzi, ale wstał i przerwał milczenie, odzywając się schrypniętym głosem:

— Cóż, nic nie wymyślimy. Jeśli faktycznie zgwałcił ją pies, to pies się z nią ożeni.

Usłyszawszy te słowa, Kinkin nie mógł zasnąć i było mu jeszcze gorzej niż przez poprzednie wieczory. Ojciec nie mógł przez niego zasnąć całą noc, podobnie jak duchy na cmentarzu, które nie mogły przez niego zaznać spoczynku. Gdy nadszedł ranek, umył się szybko i wcześniej niż zwykle pobiegł do szkoły, zahaczając o dom Pięknej Rengganis, której ojciec był bardzo niezadowolony, że budzą go o świcie.

— Nie może poślubić psa! — wyrzucił z siebie bez tchu, głosem umierającego. — Ja się z nią ożenię!

Tak było o wiele lepiej i zbir o tym wiedział. Spojrział na chłopaka i przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie na dworcu autobusowym. Żałował, że nie przyjął wtedy oświadczyn Kinkina, zanim problem urósł do takich rozmiarów. Kiwnął głową i zapytał, dlaczego chce to zrobić.

— Bo to nie pies ją zgwałcił, tylko ja!

To wystarczyło, żeby wciągnąć chłopaka na podwórko i zatłuc na śmierć, choć już pierwszy cios posłał go na ogrodzenie z rozkwaszonym nosem. Dzieciak nie

bronił się, a nawet gdyby to robił, byłby bezsilny. Maja Dewi wybiegła z domu, żeby powstrzymać męża, zanim zabije dziecko. Musiała odciągać go zębami i pazurami, bo Maman Gendeng nie znał litości, choć chłopak leżał już zwinięty z bólu na brzegu małego stawu. Żył jeszcze, ale bardzo cierpiał i jęczał jak na mękach.

— Oczywiście, że cię nie zabiję — zawołał Maman Gendeng do Kinkina, gdy żona odciągnęła go od chłopca. — Musisz zachować życie, żeby ożenić się z moją córką.

Po południu, nasłuchawszy się w szkole przechwałek Kinkina o jego małżeńskich planach, które ziszczą się, gdy tylko Piękna Rengganis urodzi dziecko, Ai postanowiła pojechać na cmentarz, żeby się z nim spotkać, a pojechała na tylnym siodełku motorynki, prowadzonej przez swego kuzyna Krisana.

— Wiem, że to nie ty byłeś tamtego dnia w ubikacji — rzuciła gniewnie.

Chłopak uśmiechnął się do gości i nie zaprzeczył, ale zaprosił do środka i podziękował im, bo po raz pierwszy odwiedzali go w domu szkolni koledzy. Dom nie był przyjemnym miejscem — był stary i brakowało w nim kobiecej ręki, rzadko tu zamiatano, a rzeczy po zmarłych rzucone były na wywołujące ciarki, zakurzone sterty, niczym materiały z wykopalisk w grobowcu mumii.

Kinkin przyniósł im z kuchni po szklance lemoniady i powiedział, że jego mama zmarła dawno temu, w chwili gdy się urodził, chcąc ich w ten sposób poniekąd przeprosić za opłakany stan domu i zapewne próbując zmienić temat rozmowy. Ale Ai nie dała się zwieść, miała groźną minę i czekała tylko na okazję, żeby mu dopiec jeszcze bardziej.

— Ty podstępny pedale! Nie mogłeś jej zgwałcić! — wykrzyknęła.

— Oczywiście, że nie mógłbym postąpić tak okrutnie — odpowiedział spokojnie Kinkin. — Jeśli się kogoś kocha, nie robi się takich rzeczy, nawet gdy pojawi się po temu sposobność. Oświadczyłem się jej, tak jak trzeba, i ożenię się z nią, ponieważ ją kocham.

Odziedziczy po ojcu fach i dom na cmentarzu. Takie rzeczy przechodzą z pokolenia na pokolenie tylko z jednego powodu: nikt inny nie chciałby wykonywać tej pracy. Wszyscy mieszkańcy miasta uważali, że cmentarz roi się od złych duchów i zjaw, i tylko rodzina grabarza może mieszkać w takim miejscu bez szkody przez całe lata. Rodzina przekazywała sobie również wiedzę tajemną o wywoływaniu duchów zmarłych za pomocą *jailangkung*. Kinkin, który nie miał rodzeństwa, był jedynym prawowitym dziedzicem tego wszystkiego. Ale jego koledzy i koleżanki nie bali się go dlatego, że był synem grabarza i umiał używać *jailangkung*, lecz z tej przyczyny, że miał zimne oblicze i emanował stęchlizną, która wydobywała się z jego ciała, jakby rzeczywiście nosił na ramieniu jakiegoś złego ducha. To wystarczyło, aby uczniom włosy stawały dęba, i pewnie z tego

powodu Krisan prawie się nie odzywał. Tak naprawdę wcale nie chciał jechać na cmentarz, a zrobił to tylko dlatego, że zmusiła go cioteczna siostra.

— Nie myśl sobie, że jak znasz czarną magię, to wszystko ujdzie ci na sucho — nacierała dalej Ai.

— Czarna magia jest do niczego — zaprotestował Kinkin, machając ręką. — Zapewnia pseudopotęgę, która jest kłamliwa, sztuczna i rzecz jasna zła. Wiem z własnego doświadczenia, że miłość jest potężniejsza niż cokolwiek innego.

Miłość najwyraźniej uczyniła go dosyć upartym i Ai się tego domyślała. Nie chciała mu zabraniać miłości do Rengganis, pragnęła tylko chronić Piękną, ale wyczuwała, że w tych małżeńskich planach jest coś nie w porządku. Wstała i wyciągnęła rękę do Krisana, lecz przed odejściem zmierzyła Kinkina wzrokiem i wymamrotała:

— Kochaj Piękną całym sercem — co zabrzmiało jak rada teściowej dla zięcia w dniu ślubu.

Kinkin kiwnął z przekonaniem głową.

— Oczywiście, że tak.

— Ale jeśli się okaże, że twoja miłość jest jak klaskanie jedną dłonią albo że moja piękna kuzynka cię nie chce, nie dopuszczę do tego ślubu — zagroziła Ai. — Moim przeznaczeniem jest ją chronić, żeby zawsze była szczęśliwa.

Ta pewność siebie sprawiała, że inni często nie byli w stanie wytrzymać jej spojrzenia i Kinkin opuścił głowę.

— Tak, ale... — zawiesił głos — ...jej ojciec przyjął już moje oświadczenia.

— I co z tego?

Ai nie dała mu szansy na udzielenie odpowiedzi. Szarpnęła dłoń Krisana, a chłopak poszedł za nią szybkim krokiem do motorynki. Dziewczyna usiadła za nim i pojechali do domu Piękną, gdzie panował wielki zamęt, a z góry dobiegało wycie Rengganis. W salonie zastali Maję Dewi, płaczącą bezgłośnie w rogu sofy, a dwie dziewczyny z gór stały w progu kuchni, nie wiedząc co począć. Krisan usiadł przed ciotką, Ai obok niej. Sięgnęła po rękę zapłakanej kobiety ze zmartwioną i dezorientowaną miną.

— Co się stało, ciociu?

Maja Dewi otarła łzy mankietem. Spróbowała się uśmiechnąć do siostrzenicy i siostrzeńca, jakby chciała ich uspokoić, po czym wytłumaczyła:

— Dostała ataku szału, kiedy się dowiedziała, że ma wyjść za Kinkina.

— Przechwalał się tym w szkole — dodała Ai.

— Nieszczęsny chłopak chce się ożenić z dziewczyną, którą splugawił ktoś inny — westchnęła Maja Dewi. — Tak bardzo ją kocha.

— Guzik mnie obchodzi, czy ją kocha, czy nie — oznajmiła Ai. — Rengganis nie wyjdzie za mąż za kogoś, kogo nie kocha.

Wycie Piękną nagle ustało. Zamarli zaniepokojeni, ale dziewczyna zbiegła po

schodach z twarzą tak zaczerwienioną i opuchniętą, jakby moczyła ją w wodzie z lodem. Miała na sobie tylko przewiewną pizamkę. Usiadła obok matki, nawet nie wycierając łez.

— Jeśli nie kochasz syna grabarza i nie chcesz go poślubić, powiedz mi... — odezwała się błagalnie nieszczęsna matka — ...powiedz mi, proszę, kim jest ten, którego kochasz i za którego chcesz wyjść?

— Nikogo nie lubię — odpowiedziała Piękna. — Ale jeśli muszę wyjść za mąż, poślubię gwałciciela.

— Więc kim on jest?

— Wyjdę za psa.

Jej ciąża była już dobrze widoczna, a ona sama, jak wszystkie ciężarne kobiety, stała się jeszcze bardziej promienna. Miało się wrażenie, że kruczoczarne włosy, sięgające bioder, gdyż nie ścinała ich od lat, wzięły się z dna tajemniczej ciemności. Jej karnacja przypominała skórkę świeżo upieczonego chleba, ciepłego, dopiero co wyjętego z pieca. Odkąd przyszła na świat, wszyscy wiedzieli, że jest najpiękniejsza w mieście. Jej rodzice byli dumni z takiego błogosławieństwa, ale zawsze martwiła ich cena, którą przyszło za to zapłacić: jej prostoduszność. Zawsze pomagali jej wyglądać jak najlepiej, każdego ranka przed szkołą matka zmagiała się z jej warkoczami. Na corocznym Konkursie na Księżniczkę Plaży zaprezentował ją ojciec, choć widać było, że wcale nie umie tańczyć i śpiewa, tragicznie fałszując, lecz uroda dziewczyny olśniła każdego członka jury do tego stopnia, że zdobyła tytuł Księżniczki.

— A wiesz chociaż którego? — zapytała Ai.

Rengganis pokręciła z żalem głową.

— Każdy pies wydaje mi się taki sam — odrzekła. — Może przyjdzie do mnie, kiedy urodzę mu dziecko.

— A skąd będzie wiedział, że urodziłaś?

— Moje dziecko zaszczeka, a on to usłyszy.

Nikt nie miał pojęcia, skąd brały się w jej głowie te brednie, ale była tak uszczęśliwiona, wyobrażając sobie ten obraz, że aż zapłonęły jej policzki, i nikt nie śmiał odezwać się choćby słowem. Nie zmuszając jej już do dalszego umysłowego wysiłku, matka objęła córkę i pogłaskała po długich włosach, mówiąc:

— Wiesz, twoja mama zaszła w ciążę, gdy była w tym samym wieku co ty.

Gdy zapadła noc, opowiedziała mężowi o wszystkim, co zaszło, pokazując mu pozostałości po ataku szału Pięknej. Maman Gendeng usiadł na schodach ze zboląłą miną.

— Wszyscy wiedzą, że tamtego dnia Kinkin nie siedział w ubikacji — powiedziała. — A Rengganis nie chce za niego wyjść.

— Jeśli tak jest w istocie, trzeba ją zmusić do wyznania prawdy.

— A jeśli nie powie ani słowa?

— Jeśli nie powie, to wyjdzie za mąż za tego, kto zechce się z nią ożenić — zawyrokował Maman Gendeng. — O ile nie jest psem.

Okazało się, że Piękna zamierza milczeć. Oczywiście wielu mężczyzn chciało się z nią ożenić, lecz tylko jeden miał dosyć odwagi, żeby się oświadczyć, Kinkin. Więc mimo sprzeciwu Pięknej Rengganis rozpoczęli przygotowania do wesela, gdyż zbliżał się czas rozwiązania. Rengganis wiedziała oczywiście o tych planach, ale niespodziewanie przyjęła je ze spokojem, mówiąc, że w ostatecznym rozrachunku to Kinkin będzie żałował i płakał.

Ai była w samym środku tego dramatu.

— Jeśli zmusimy ją do ślubu, zrobi coś strasznego — powiedziała. Znała dobrze Piękną Rengganis. Jej ojciec i matka także dobrze ją znali, ale najwyraźniej nie dbali już o nic. Wystarczyło im, że Maja Dewi była nieślubnym, pozbawionym ojca dzieckiem Dewi Ayu, tak jak jej starsze siostry, i nie chcieli, żeby Piękną spotkał podobny los jak jej babkę. Nawet Maman Gendeng, który nigdy nie wiódł przykładowego żywota, był wielce zasmucony — ktoś zgwałcił jego córkę, a on, mężczyzna budzący największy postrach w mieście, nic nie mógł z tym zrobić. Miał wrażenie, że spotkał najgroźniejszego wroga w życiu.

— Dałem jej na imię Rengganis — stwierdził ze smutkiem — a jak wszyscy wiedzą, księżniczka Rengganis wyszła za psa.

Dzień ślubu zbliżał się nieuchronnie, więc Maman Gendeng skontaktował się z odpowiednią firmą, by zarezerwować krzesła na wesele. Na ulicy przed domem zagra *orkes melayu*. Robił to wszystko, bo nie miał pojęcia, czym mógłby się zająć.

— To nie jest w porządku, wuju — mówiła Ai. — Ona nie chce tego wesela. Powiedz mi, dlaczego dziewczyna w ciąży musi wychodzić za mąż?

Nie zamierzał wdawać się w jałowe kłótnie, miał dosyć własnych zgryzot i dalej przygotowywał wesele, jakby sam się żenił. Doktor potwierdził termin rozwiązania i narodzin rosnącego w brzuchu Pięknej dziecka, więc zaplanowali ślub od razu następnego dnia. Gdy dziecko przyszło na świat przy pomocy akuszerki, Piękna Rengganis nie dała za wygraną i nadal upierała się, że to potomek psa, a rodzice zmuszają ją do tego, żeby stanęła na ślubnym kobiercu. W rezultacie zniknęła wraz z dzieckiem nocą przed zawarciem małżeństwa.

— Musiała pójść do Ai — stwierdził ojciec. Wszyscy jej tam szukali, ale nawet Ai nie wiedziała, co się z nią stało. Wpadli w panikę. Wrócili do domu, mając nadzieję, że tam ją zastaną, ale znaleźli tylko krótki list, napisany na skrawku papieru: „Poszłam poślubić psa”.

WYZNANIE: To Krisan wykopał Ai z grobu i ukrył jej ciało pod łóżkiem.

Kiedyś każdego ranka stawał w oknie sypialni i wpatrywał się w tylną werandę domu Szodanczo. Oczywiście Ai jeszcze wtedy żyła, a on stał w oknie, czekając, aż się pojawi zaspana, żeby obmyć twarz nad kranem przy stawie z rybami. Każdego popołudnia stał w tym samym miejscu i przyglądał się, jak Ai gawędzi z matką, siekając kurczaka albo szpinak na obiad, ale tamtego popołudnia Ai nie pojawiła się za domem, bo Ai już nie żyła, a jej ciało leżało pod łóżkiem Krisana.

Wyobrażał sobie, że wszyscy już wiedzą o zbezczeszczonym grobie i wyobrażał sobie, jak Szodanczo — który zaczynał się starzeć, ale nadal trzymał się dowództwa okręgu wojskowego Halimundy — dowiaduje się, że grób rozkopały psy. Rzecz jasna, nie uwierzy, że psy mogły rozkopać grób jego trzeciej córki, bo grób był głęboki, a ciało obłożono grubymi deskami.

„Tylko człowiek mógł to zrobić — powie być może Szodanczo. — A jedynym człowiekiem zdolnym do czegoś takiego jest Maman Gendeng”.

Krisan był uszczęśliwiony, że wszystkich przechytrzy. Wiedział, że Szodanczo żywi zadawnioną urazę do *premana* Maman Gendenga, który nigdy nie poważyłby się rozkopać grobu Ai, bo głowę zaprzętała mu jedynie myśl o odnalezieniu zbiegłej córki, Pięknej Rengganis. Więc powtórzmy: to Krisan rozkopał ten grób, ciało Ai leżało obecnie starannie ukryte pod łóżkiem, a on sam był zdumiony, że nikt nie podejrzewa go o ten czyn.

Żeby nie skłamać, zrobił to tak, jak zrobiłyby to psy, bo wykoncypował sobie, że Ai wcale nie byłaby z tego powodu zła, przeciwnie, rozbawiłby ją ten pomysł. Krisan rozkopał grób Ai własnymi rękoma i nogami, rozgrzebując świeży jeszcze i miękki kopczyk, mimo że pochowano ją tydzień wcześniej. Kopał przez całą noc bez przerwy. Żeby uszczęśliwić Ai, przyprowadził ze sobą bezańskiego kundla, który przyglądał się wszystkiemu w milczeniu, przywiązany do pnia plumerii. Ślady kundla każą ludziom przypuszczać, że zrobiły to psy, a Krisan zatrze starannie odciski swoich stóp.

Rozkopywanie grobu własnymi rękami i stopami nie było łatwe, ale czy psy postąpiłyby inaczej? Udając, że jest psem, wywalił nawet język, a gdy kopał, chował go i wystawiał na przemian, wierząc, że Ai będzie zadowolona, przypatrując mu się z nieba. Gdy zachciało mu się pić w samym środku kopania, pobiegł na czworaka do kanału, przepływającego obok cmentarza, i chłęptał wodę. Pracując w ten sposób, o trzeciej nad ranem dokopał się w końcu do desek, a zaczął kopanie o wpół do ósmej wieczorem.

Deski ułożono na skos w rzędzie. Wystarczyło, że wyjął kilka, żeby wyciągnąć ze

szczeliny w ziemi spowite całunem ciało Ai. Była lekka, a serce Krisana załomotało ze skrywanej radości. W końcu mógł ją przytulić tak mocno, jak zawsze chciał, i wcale mu nie przeszkadzało, że jest martwa. Spod całunu wydobywał się dziwny zapach, jak z różanego ogrodu. Nie był to oczywiście zapach kwiatów, ale woń ciała dziewczyny.

Krisan uwolnił psa i przerzucił ciało Ai przez ramię. Ruszył pospiesznie do domu, rozglądając się na wszystkie strony, gdyż o tej porze mieszkańcy miasta już się budzili, aby zdążyć do meczetu. Sprzedawcy warzyw zmierzali na targ, żeby otworzyć stragany, a niektórzy szli nad stawy niedaleko cmentarza na obrzeżach miasta, żeby się zwyczajnie wysrać.

Dotarł bezpiecznie do domu, nikt go nie zauważył, ani mama, ani babcia (która po śmierci ojca zamieszkała z nimi, żeby zajmować się szyciem), choć obie należały do rannych ptaszków. Wszedł kuchennymi drzwiami, przemknął na palcach do pokoju i ukrył ciało Ai pod łóżkiem. Potem cofnął się po własnych śladach, żeby zetrzeć błoto, którego mógł nanieść: umył starannie podłogę jak szkolny woźny. W końcu nadszedł czas, by zająć się ciałem. Wyciągnął je spod łóżka i rozwinął całun.

W nozdrza od razu uderzył go mocny aromat. Krisan przyglądał się ciału, które było jak żywe. Jakby leżała na podłodze, zdrzemnąwszy się na chwilę. Wcale go to nie zaskoczyło, był przekonany, że ciało Ai nigdy się nie rozłoży, choćby leżało w ziemi całe lata, a nawet stulecia. Zerknął na jej policzki — wciąż lekko pąsowe, jak wtedy, gdy żyła.

Nagle się zawstydził, że ogląda ją nagą. Przykrył szybko ciało całunem, odsłaniając tylko twarz Ai, żeby mógł dalej podziwiać jej urodę. A potem się rozplakał, zasmucony jej śmiercią i tym, że został już całkiem sam na świecie. Po chwili jego łzy stały się wyrazem wdzięczności dla Ai — dziękował jej, że choć umarła, nie miała zamiaru szczeznąć. Zachowała wieczną urodę — dla niego, głęboko w to wierzył. I zanim zdążył się pohamować, obsypał pocałunkami policzki zmarłej.

Zakochał się w Ai dawno temu i był pewny, że także Ai kochała go od dawna, może nawet od czasu, gdy spali w jednej kołysce. Była jego cioteczną siostrą, tak jak Piękna Rengganis. Urodziła się dwanaście dni przed Krisanem, jej twarz była pierwszym obliczem, jakie ujrzał, leżąc w ramionach matki, gdy Szodanczo, Alamanda i ojciec stali przy niej w oczekiwaniu na koniec połogu. Kto wie, może noworodkom również przydarza się miłość od pierwszego wejrzenia? Sam Szodanczo powiedział coś takiego: „Mam nadzieję, że nasze dzieci zakochają się w sobie”. Krisan musiał to usłyszeć, gdy przyszedł na świat, wierzył więc, że byli sobie przeznaczeni. Od tamtej pory zawsze byli razem, razem płakali, sikali w majtki, chodzili do tego samego przedszkola i szkoły, aż Krisan uświadomił sobie, że zawsze kochał Ai.

Ale wyznanie jej tej miłości nie było łatwe, bo Ai była nie tylko jego cioteczną siostrą, ale i przyjaciółką. Takie wyznanie mogło zniszczyć ich piękną przyjaźń, ale gdyby nic jej nie powiedział, mogłaby się nie domyślić, że będzie ją kochał do końca życia, a on miałby się z pyszna, gdyby wybrała innego. Tego obawiał się najbardziej: wolałby się powiesić, niż znosić taką rozpacz.

Był jeszcze jeden problem: oprócz Pięknej Rengganis i Ai Krisan nie miał innych przyjaciół, z którymi mógłby porozmawiać. Nie mógł o tym porozmawiać z babką ani z matką, a już na pewno nie z wujami czy ciotkami. Nie mógł nawet napisać o tym w pamiętniku, bo Ai z pewnością by go znalazła bez względu na to, gdzie by go schował. To nie byłoby żadnym problemem, gdyby miał pewność, że go kocha, ale takiej pewności nie miał, przypuszczał tylko, że może tak być, i bał się, że wyobraża sobie zbyt wiele. Gdyby Ai dowiedziała się, że ją kocha, i nie mogła odwzajemnić tej miłości, byłoby to straszne. Cała ta sprawa była bardzo skomplikowana i często przeklinał własny los, i zastanawiał się, dlaczego musiał urodzić się akurat jako jej cioteczny brat. Gdy ten chłopak od *jailangkung* poprosił Maman Gendenga o rękę Pięknej Rengganis na dworcu autobusowym, Krisan wpadł w przerażenie. Ktoś ogłosił przed całym światem, że kocha Piękną, i wkrótce ktoś inny przyjdzie do Szodanczo, żeby prosić o rękę Nurul Aini. Krisan był zdecydowany: musi ją dostać, zanim ubiegają go inni.

Planował to wyznanie miłości całymi tygodniami — całymi tygodniami wypełnionymi rozdzierającym bólem.

Zaczął pisać listy miłosne i za każdym razem, kiedy miał napisać imię Ai, celowo zostawiał puste miejsce, nie stawiał tych dwóch liter. Napisał dziesięć długich miłosnych listów, a każdy z nich był jak opowiadanie, ale żadnego nie wysłał, schował je pod czystą bielizną w szafie. Nie dlatego, że był zboczony, ale dlatego, że było to najbezpieczniejsze miejsce. Ai bez przerwy do niego przychodziła i wszędzie zaglądała, biorąc wszystko, co wpadło jej w ręce, a szczególnie książki towarzysza Kliwona o sztukach walki. Między nimi trojgiem — Krisanem, Ai i Piękną Rengganis — istniała taka niepisana umowa, że wszystko, co należy do jednego z nich, należy do wszystkich. Z wyjątkiem bielizny. Ai nigdy nie tknęła jego bielizny, więc dowód jego niewypowiedzianej namiętności był na półce bezpieczny.

Doszedł do wniosku, że pisanie listów jest niemądre. Powie jej zwyczajnie, że ją kocha — bardziej niż cioteczną siostrę, tak jak mężczyzna kocha kobietę. Prześladowało go przeświadczenie, że choć są tak blisko, a ich przyjaźń jest tak ciepła i wielka, że choć los przeznaczył ich sobie na męża i żonę, życie okaże się inne i nie będzie im sprzyjać, póki nie zdradzi swoich prawdziwych uczuć.

Przez całe dni ćwiczył wyznanie przed lustrem i wyobrażał sobie stojącą obok dziewczynę. Może będą patrzyli na opadające na powierzchnię oceanu mewy? Może wybiorą się na plażę, on wypowie jej imię, a potem specjalnie zawiesi głos, żeby na

niego popatrzyła albo przynajmniej nadstawiła ucha. A potem znacznie zdecydowanym głosem, który przebija się ponad kakofonię tłukących o brzeg fal i wiatru szeleszczącego liśćmi palm kokosowych i krzaków pandanu. „Czy wiesz, że cię kocham?”

Tylko jedno zdanie, jedno krótkie pytanie. Wierzył, że zdoła je zadać, i wyobrażał sobie, jak Ai się czerwieni — tak będzie, choć przecież od dawna wiedziała, że Krisan kocha się w niej potajemnie. Może na niego nie spojrzy, bo jest dosyć wstydliva, więc tylko opuści głowę, bojąc się okazać nadmierną radość. Ale potem, nie podnosząc głowy, wyzna, że też go kocha.

To, co wydarzy się później, było już łatwiejsze do wyobrażenia. Weźmie ją za rękę i będą już zawsze szczęśliwi, biorąc ślub, płodząc dzieci, doglądając wnuków i umierając razem po upływie wielu dziesiątków lat. Wszystko to było tak piękne, że Krisan znów tracił wiarę, więc ćwiczył z jeszcze większym przekonaniem, powtarzając w kółko to jedno krótkie pytanie: w łazience, w łóżku, wszędzie.

Któregoś popołudnia postanowił nawet przećwiczyć je na babce. Mina szła jak zawsze na werandzie, a on siedział obok i odezwał się nagle:

— Babciu... — I tak jak ćwiczył, zawiesił znacząco głos.

Mina oderwała się od pracy i odwróciła ku niemu głowę, patrząc nań pytająco zza grubych szkieł okularów, domyślając się, że chłopak chce pożyczyć od niej pieniądze, żeby kupić sobie takie czy inne głupstwo, którego nie potrzebuje. Jak zwykle. Ale jakże była wstrząśnięta, gdy usłyszała od wnuka:

— Babciu, czy ty wiesz, jak bardzo cię kocham?

Oczy Mina zasły łzami, natychmiast odłożyła szycie, przysunęła krzesło i objęła Krisana, a łzy spływały jej po policzkach coraz mocniej i mocniej.

— Jesteś najukochańszym chłopcem na świecie. Nawet ten szalony towarzysz, mój syn, nigdy nie powiedział mi czegoś takiego.

Ale za każdym razem, gdy zostawał z Ai sam na sam, co zdarzało się bardzo rzadko, bo Piękna Rengganis nie mogła się bez nich obejść, wszystko, co sobie ułożył w myślach, gdzieś ulatywało. Przysięgał, że wyzna jej miłość następnym razem, a potem znów miał pustkę w głowie. Ai zawsze robiła z niego osła. Jakby przekłująca w nim wszystko, oprócz serca, które płonęło żywym ogniem.

Aż pewnego dnia wydarzyło się coś takiego: Piękna Rengganis urodziła dziecko i uciekła z domu. Osobą, która najbardziej się tym przejęła — może nawet bardziej od rodziców Pięknej Rengganis, Mai Dewi i Maman Gendenga — była Ai. Wszyscy wiedzieli, że Ai uważa się za opiekunkę Rengganis, a odkąd ta zaszła w ciążę, nie wiedząc nawet, kto jej to zrobił (choć powtarzała, że był to pies) i urodziła dziecko, Ai była zdruzgotana. Rozchorowała się tego samego dnia, dostała wysokiej gorączki i przywoływała Rengganis w malignie. To zupełnie zrozumiałe, choć Krisan i tak był zazdrosny. Wiedział, że dziewczyny są sobie bardzo bliskie, znacznie bardziej, niż którakolwiek z nich była bliska jemu — może dlatego, że

były dziewczynami.

Gorączka utrzymywał się przez wiele dni i żaden lekarz nie wiedział, co jej jest. Wszystkie badania dowodziły, że cieszy się doskonałym zdrowiem.

— Opętał ją duch komunisty — stwierdził Szodanczo.

— Zamknij gębę! — wrzasnęła Alamanda.

Po południu, po powrocie ze szkoły, Krisan był jej najwierniejszym towarzyszem, siedział przy łóżku i wpatrywał się w nią. Była osłabiona, patrzyła przed siebie pustym wzrokiem i drżała na całym ciele. Nie był to oczywiście właściwy moment, żeby wyznać jej miłość: mieli wówczas oboje po siedemnaście lat.

Ai zawsze pojawiała się w pokoju Krisana niespodziewanie. Czasem wbiegała, otwórz drzwi, ale równie często wskakiwała przez otwarte okno — nawet tuż przed tym, jak się rozchorowała. Pewnego wieczoru, koło siódmej, znów się pojawiła, wpadając jak burza przez okno z chytrym uśmiechem na twarzy, jakby miała jakiś niecny plan. Była taka piękna, taka słodka, taka zdrowa. Miała na sobie same koronki — białe, przezyste — jakby wystroiła się na święto Eid. Twarz i ciało Ai były rozpromienione, a proste ciemne włosy opadały jej na plecy. Lśniły jej przenikliwe oczy, różowe policzki wyglądały prześlicznie, a ten niegrzeczny uśmiešek podkreślał linię jej pięknych, kuszących warg. Krisan położył się na chwilę po obiedzie i był zaskoczony tą niespodziewaną wizytą.

— To ty! — zawołał, siadając na łóżku. — Wyzdrowiałaś?

— Jestem zdrowa jak olimpijski lekkoatleta! — zawołała, chichocząc, i uniosła ręce, żeby napiąć bicepsy jak kulturysta.

A potem, niczym schwytni na łące przez dojmującą tęsknotę, podeszli do siebie i przytulili się mocno, nawet mocniej niż Adinda do towarzysza Kliwona, gdy przed laty gonił ją wściekły pies. Nie wiedząc, które z nich zaczęło, pocałowali się i całowali nawet żarliwiej niż Alamanda i towarzysz Kliwon pod migdałowcem. A potem opadli na łóżko.

— Ai — odezwał się w końcu Krisan. — Czy ty wiesz, że cię kocham?

Ai odpowiedziała mu zniewalającym uśmiechem, który sprawił, że Krisan jak pijany upajał się tą miłością i znów ją pocałował. Ściągnęli z siebie ubrania, poganiani przez niedającą się opanować nastoletnią żądzą, kochali się bardziej szaleńczo niż Alamanda i Szodanczo tamtego ranka, gdy nie doszło do egzekucji towarzysza Kliwona, i bardziej dziko niż Maman Gendeng i Maja Dewi po pięcioletnim małżeńskim poście, poświęcając całą noc na miłosną grę, w którą grali z młodzieńczym entuzjazmem i nadzwyczajną ciekawością, właściwą tylko parze nastolatków.

Potem Ai włożyła białe koronki, wyskoczyła przez okno i pomachała mu na pożegnanie.

— Muszę wracać do domu — zawołała. — Do domu... do domu...

Jej ostatnie słowa znikwały w oddali, gdy Krisana obudziło nagłe szarpnięcie w kroczu. Nie było przy nim Ai. Okno sypialni pozostało zaryglowane. Przyśniła mu się. To nie była jego pierwsza nocna polucja, ale z pewnością najpiękniejsza i pierwsza z Ai, więc czuł się szczęśliwy.

Gdy pierwsze promienie słońca przedarły się przez treliąz za oknem, otworzył je i wyjrzał na tylną werandę domu Szodanczo. Tłoczyły się tam dzikie tłumy, nawet jego matka tam poszła. Coś w nim pękło. Wskoczył przez okno i nie umywszy choćby twarzy, pobiegł bosy do domu Szodanczo i przedarł się przez zwartą ciżbę. Wpadł do pokoju, w którym leżała Ai, i ujrzał zapłakaną Alamandę, siedzącą na łóżku. Ujrzawszy Krisana, wstała szybko i objęła chłopca, nie przestając płakać i szarpać się za włosy. I nim zdążył zapytać, co się stało, wykrzyknęła:

— Twoja ukochana odeszła!

Teraz, gdy rozkopał jej grób i przyniósł ciało do domu, płakał nad nią, wspominając tamten sen. Może rozpacział nad tym, że do samej śmierci nie zdołał wyznać jej miłości? A może płakał dlatego, że przed samą śmiercią znalazła dla niego czas i odwiedziła go, nawet jeśli tylko we śnie. Przyszła wysłuchać wyznania miłości, przyszła, aby oddać mu dziewictwo, przyszła, żeby się z nim kochać, zanim trafiła do domu, z którego nie ma powrotu. Może płakał z żalu i tęsknoty, na poły nieżywy z bólu, bo bez względu na to, jak piękny jest trup, nigdy nie będzie tym samym, co żywa dziewczyna.

Wyznanie drugie: To Krisan zamordował Piękną Rengganis i wrzucił jej ciało do oceanu.

Tydzień po tym, jak wykopał Ai z grobu, ktoś zastukał lekko w okiennicę w sypialni. Krisan wstał i otworzył okno, i oto ujrzał przed sobą Piękną Rengganis w opłakanym stanie. Miała potargane włosy i przemoczone ubranie, ale nawet to nie przesłaniało jej niezziemskiej urody. Krisan też musiał to przyznać: Piękna Rengganis była urodziwsza od Ai, co nawet sama Ai wielokrotnie podkreślała.

— O mój Boże, co ty tu robisz? — zapytał.

— Marznę.

— To oczywiste, ty idiotko!

Krisan wychylił się przez parapet i mając nadzieję, że nikt ich nie widzi, chwycił Piękną za rękę i pociągnął do góry, pomagając jej wskoczyć do środka. Wyglądała tak, jakby wpadła do błotnistej kałuży czy czegoś w tym rodzaju, i niewątpliwie umierała z głodu.

— Przebierz się — rzucił Krisan, sprawdzając, czy dobrze zamknął okno.

Piękna Rengganis zajrzała do szafy Krisana, wydając z niej koszulkę i dzinsy, a także majtki chłopaka. Potem — na jego oczach, bez wstydu — zdjęła mokre

rzeczy jedną po drugiej, aż została bez niczego. Widok jej lśniącego od wody ciała zaparł mu dech w piersiach. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, poczuł erekcję, ale choć miał wielką ochotę zgwałcić stojącą przed nim, niezwykle podniecającą, wręcz zjawiskową dziewczynę, nawet się nie poruszył. Ciągle siedział na łóżku, gdy Piękna Rengganis z cudowną nonszalancją zaczęła się wycierać ręczniczkiem, który znalazła na drzwiach.

Miała idealne piersi, jak u dorosłej kobiety, a Krisan przyglądał się im przez dłuższą chwilę, wyobrażając sobie, że je pieści, całuje, szczypie niezbyt czule w sutki. Od piersi do bioder prowadziło doskonałe wycięcie, jakby wytyczone cyrklem, idealnie symetryczne po prawej i lewej stronie. A pośrodku jej krocza, za gęstwiną włosów, coś wystawało lekko, niczym młody kokos, ale bardziej miękkie. Stał się jeszcze twardszy i tym bardziej chciał zeskoczyć z łóżka, pociągnąć cioteczną siostrę na materac i zgwałcić. Ale nie zrobił tego. Nie mógł, bo ciało Ai leżało pod łóżkiem.

Jego męczarnie wkrótce dobiegły końca. Piękna Rengganis włożyła majtki Krisana, nie przejmując się wcale, że to męska bielizna. Potem wciągnęła jego dzinsy, a jej piersi zniknęły pod należącą do niego koszulką. Ale Krisan nie zbliżał się do niej, bo wciąż widział sutki sterczące pod materiałem.

— Jak wyglądam, Psie? — zapytała Piękna Rengganis.

— Nie nazywaj mnie Psem, mam na imię Krisan.

— W porządku, Krisan. — Piękna Rengganis usiadła na krawędzi łóżka obok chłopca. — Jestem głodna.

Poszedł do kuchni i przyniósł talerz ryżu z gotowanym szpinakiem i usmażoną rybą. Tylko to znalazł w kredensie. Podał to wszystkim dziewczynie ze szklanką wody, a ona posilała się łapczywie, a gdy zjadła, poprosiła o dokładkę. Krisan wrócił do kuchni i nałożył podobną porcję, a Piękna pochłonęła ją z taką samą żarłocznością, jakby nigdy nie uczono jej zachowania przy stole. Dziękował Bogu, że po dokładce nie domagała się więcej, bo następnego ranka matka nie uwierzyłaby, że zjadł w nocy trzy talerze ryżu.

— A teraz powiedz mi — zaczął Krisan, gdy Piękna suszyła włosy — gdzie masz dziecko?

— Pożarły je *ajaki*.

— Kurwa! — zaklął Krisan. — Ale chwała Bogu. Powiedz mi, co się stało.

Piękna Rengganis opowiedziała mu wszystko. Tamtej nocy, gdy uciekła z dzieckiem z domu, pobiegła do partyzanckiej chaty, którą Szodanczo wznosił w sercu dżungli. Przez długi czas chata służyła za klub Pięknej Rengganis, Ai i Krisanowi. Jak już o niej usłyszeli, postanowili ją za wszelką cenę odnaleźć i odwiedzili dla żartu podczas wycieczki. Tamtej nocy Rengganis uciekła do chaty z dzieckiem, wiedząc, że to najlepsza kryjówka. Dziecko głośno płakało, próbowała je karmić, ale płakało dalej. Nic na sobie nie miało, otuliła je tylko

kołderką i ogrzewała własnym ciałem.

W normalnych warunkach do partyzanckiej chaty szło się pieszo osiem godzin. Ale zanim do niej dotarła Piękna Rengganis, minęły dzień i noc. Zgubiła się w lesie, chodziła to tu, to tam, i przemieszczała się bardzo wolno, bo miała dziecko na ręku, a poza tym nie zabrała ze sobą, jak jakaś idiotka, nic do jedzenia. Więc kiedy doszła do chaty, oboje byli wyłodniali.

— Nie było tam nic do jedzenia — stwierdziła Piękna Rengganis.

Poza tym była dziewczyną z miasta i nie miała pojęcia, co w dżungli jest jadalne, ale po jakimś czasie głód zmusił ją do szukania jakiegokolwiek pożywienia. Z drzew pospadały jakieś orzechy o bardzo twardej — ku jej zaskoczeniu — skorupie, którą rozbijała kamieniem i wyjadała to, co było w środku. Orzechy okazały się dobre, więc zebrała ich bardzo dużo i posiliła się nimi na obiad pierwszego wieczoru. Woda nie była problemem, bo obok chaty płynął czysty strumyk.

Wielkim problemem było natomiast niemowlę. Ciągłe płakało. Przez całą drogę zatykała mu buzię rogiem kołderki, żeby nikt ich nie znalazł. W mieście unikała ruchliwych ulic i przemykała się w cieniu drzew, idąc na skróty przez bananowe sady i pola manioku. Lecz nawet wtedy musiała zachować najwyższą ostrożność, bo nocą wielu rolników wychodzi pilnować pól, są też stróże i ci, którzy łowią węgorze i łapią szarańczę. Kołderka dobrze tłumiała płacz dziecka, lecz o mało go nie zadusiła. Gdy znalazła się na pierwszym pagórku w dżungli, ośmieliła się wyjąć knebel z ust noworodka, przypuszczając, że nikt inny nie chodzi po lesie w samym środku nocy, po czym skryła się w gęstwinie z wyjącem bez ustanku dzieckiem.

W partyzanckiej chacie niemowlę ciągle płakało, choć w końcu je nakarmiła. Tylko że później, w ostatnich dniach życia, nie chciało już jeść. Sikało, a otulająca je kołderka była cała mokra, ale Piękna Rengganis nie miała innej, więc przekładała ją tak, żeby dziecko miało sucho w środku. Mimo to płakało bez ustanku, choć coraz słabszym i słabszym głosikiem. Dopiero wtedy do niej dotarło, że dziecko ma gorączkę. Z jego ust wylatywało gorące powietrze i całe drżało. Nie wiedziała, co z tym począć, więc przyglądała się tylko, jak cierpi.

— A potem trzeciego dnia umarło — powiedziała.

I znów nie wiedziała, co począć. Wyjęła dziecko z kołderki, wyniosła je z partyzanckiej chaty i położyła na głazie, który przed wieloma laty był używany przez Szodanczo i partyzantów jako stół. Przez cały dzień wpatrywała się w trupka noworodka, niezdolna do myślenia. Było już dobrze po południu, gdy przyszło jej do głowy, żeby wrzucić ciało do oceanu, ale właśnie wtedy pojawiła się sfera *ajaków*, zwabiona zapachem truchła, i zaczęła krążyć wokół niej i dziecka. Piękna Rengganis popatrzyła na psy i przekonała się, że mają wielką ochotę dobrać się do trupka, więc nie zastanawiając się wiele, rzuciła im truchełko. Od razu zaczęły o nie walczyć, a potem zaciągnęły je w głąb dżungli, a inne pobiegły za nimi.

— Jesteś potworniejsza od szatana — powiedział Krisan, wzdrygając się.

— Ale to było prostsze od kopania grobu.

Umilkli, wyobrażając sobie, jak psy rozszarpywały to nieszczęsne truchelko. Krisan nie miał pojęcia, co zrobi Maman Gendeng, kiedy się dowie, jaki los spotkał jego wnuka. Może wpadnie w szał i spali całe miasto, wybijając wszystkie *ajaki*, a pewnie i wszystkich ludzi. Szukanie szczątków dziecka nie miało już najmniejszego sensu. *Ajaki* nic z niego nie zostawiły, bo nawet małe kosteczki nadawały się do pożarcia. Krisan o mało nie zwymiotował, wyobrażając sobie psa połykającego główkę dziecka w całości.

— A ty nie przyszedłeś — rzuciła Piękna Rengganis, patrząc na Krisana z wyrzutem, złością i rozczarowaniem. — Czekałam aż do wczorajszego popołudnia, jedząc same orzechy.

— Nie mogłem przyjść.

— Jesteś niedobry.

— Nie mogłem przyjść — powtórzył Krisan, nakazując Pięknej Rengganis gestem, by nie mówiła tak głośno, gdyż bał się, że przyłapią ich matka albo babka. — Bo Ai się rozchorowała i umarła.

— Co?

— Ai się rozchorowała i umarła.

— To niemożliwe.

Krisan zeskoczył z łóżka, sięgnął po ciało pod materacem, wyciągnął je i pokazał Pięknej Rengganis. Ai leżała na podłodze owinięta w całun w takim samym stanie, w jakim ją znalazł: zupełnie świeża i taka ładna.

— Ona tylko śpi — powiedziała Piękna Rengganis, zeskakując z łóżka, żeby przyjrzeć się twarzy Ai. Szturchnęła ją. — Wstawaj! — Potrząsała nią, otwierała jej oczy, szczypała w nos, a w końcu usiadła i zaszlochała, oplakując śmierć dziewczyny, która była jej najbliższą przyjaciółką przez całe życie i która zawsze była przy niej, gdy jej potrzebowała. Pożałowała nagle, że nie powiedziała Ai o swoim planie ucieczki, że nie zabrała jej ze sobą do partyzanckiej chaty. Wpadłaby w jeszcze większą rozpacz, wiedząc, że Ai umarła ze zgryzoty po jej zniknięciu. Tymczasem Krisan siedział nieruchomo, martwiąc się głównie tym, że coraz głośniejsze szlochy Pięknej obudzą matkę lub babkę. Po chwili dziewczyna zapytała:

— Dlaczego ona jest tutaj?

— Wykopałem ją z grobu — odpowiedział Krisan.

— Dlaczego wykopałeś ją z grobu?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył na nią w milczeniu, lekko zawstydzony, a potem przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł — dokładnie wtedy, gdy najbardziej go potrzebował.

— Żeby była świadkiem na naszym ślubie.

To wytłumaczenie zadowoliło Piękną Rengganis.

— A kiedy weźmiemy ślub?

Pytanie zirytowało Krisana. Siedział na krawędzi łóżka, zerkając na Piękną Rengganis i wpatrując się w leżącą poniżej twarz trupa Ai, potem przeniósł wzrok na rzeczy wiszące na drzwiach, przyjrzał się stercie książek o sztukach walki, spojrzął na poduszkę i odwrócił wzrok ku dziewczynie, zapatrzonej w niego wyczekująco.

— Tej nocy — odpowiedział.

— Gdzie?

— Właśnie się nad tym zastanawiam.

Gdy już wiedział, natychmiast powiedział o tym Pięknej Rengganis. Odwinęli szybko ciało Ai z całunu i odziali je w rzeczy z szafy Krisana, męskie rzeczy, jak te, które miała na sobie Piękna: męskie majtki, dżinsy i koszulkę. Trup wyglądał teraz jak każda inna ubrana swobodnie dziewczyna, która leży akurat na podłodze. Krisan otworzył drzwi sypialni i wyjrzał, chcąc się upewnić, że matka i babka poszły już spać. Wyprowadził po cichu motorynkę na tylne podwórko, i udało mu się tego dokonać niemal bezszelestnie. Potem wrócił do sypialni, zarzucił ciało Ai na ramię i wyszedł z pokoju wraz z Piękną Rengganis, zamykając za sobą drzwi. Przeszli na palcach przez kuchnię na tyły domu. Piękna Rengganis usiadła z tyłu motorynki, mając przed sobą trupa Ai, którego przyciskała do piersi najmocniej jak tylko mogła, a Krisan prowadził. Nacisnął pedał, motorynka wyjechała z podwórka i w samym środku nocy popędziła pod latarniami w kierunku oceanu.

Mieli szczęście, że widziało ich niewielu mieszkańców miasta. Minęli jednego czy dwóch, ale nie wzbudzili niczyich podejrzeń, tak jak nie wzbudziłyby ich żaden siedemnastolatek, odwożący na motorynce dwie koleżanki do domu, być może po jakimś przyjęciu.

Krisan zatrzymał się przy betonowym falochronie, oddzielającym ocean od wybrzeża. Nadchodził świt, część łodzi wróciła już do portu. Wschodnia strona nieba zabarwiła się na różowo. Bardzo podejrzana pora, pomyślał.

— Zaczekaj tu, pójdę rąbnąć jakąś łódź — polecił Krisan.

Piękną Rengganis usiadła pod ścianą obok motorynki, przyciskając do siebie ciało Ai, żeby się nie przewróciło, i czekała na Krisana.

Chłopak przypłynął czyjaś łodzią. A może łódź nie należała już do nikogo, bo była w fatalnym stanie, choć nie przeciekała. Krisan podpłynął do falochronu, na którym siedziała Piękna.

— Rzuć mi ciało — polecił.

Piękną Rengganis wrzuciła trupa Ai na dziób łodzi, która zakołysała się odrobinę. Ai leżała teraz na dnie. Rengganis wskoczyła do środka i usiadła, a Krisan zaczął wiosłować, odpływając od plaży i zmierzając ku otwartemu morzu, gdzie, jak obiecał, weźmie z nią ślub.

Omijał z daleka rybackie łodzie, wracające na plażę, i nie martwił się dużymi kutrami, pływającymi daleko od brzegu. Za Wzgórzem Ma Iyang wstawało słońce, a jego fosforyzujące promienie przypominały długie proste linie, przebijające powierzchnię oceanu. Znad horyzontu znikła czerwona poświata, nad ich głowami fruwały mewy i jaskółki. Gdy zrobiło się jaśniej, Krisan widział lepiej wracające rybackie łodzie i omijał je szerokim łukiem, jeśli znalazły się zbyt blisko.

Wiosłował, zataczając coraz większe koła w poszukiwaniu spokojnego miejsca na oceanie, gdzie nie pływały żadne łodzie. Znalazł je nad granatową głębią. Wiedział na pewno, że to głębia i dlatego nikt do niej nie pod pływa, bo w takim miejscu jest niewiele ryb. Oczywiście ani Piękna Rengganis, ani Krisan nie mogli wiedzieć, że przed wielu laty towarzysz Kliwon porwał łodzią Alamandę i popłynął z nią na tę samą głębinę.

Nadszedł przecudny ranek.

— Więc kiedy weźmiemy ślub?

— Nie spiesz się nam, poopalaj się trochę na początek — odrzekł Krisan.

Sam położył się na rufie i zapatrzył w niebo. Piękna Rengganis zrobiła to samo na dziobie. Krisan zmarszczył czoło, miał posępną minę, przecudny przejrzysty poranek wcale nie sprawiał mu przyjemności. Piękna Rengganis zaczęła się niecierpliwic, nie mogła doczekać się ślubu. W końcu usiadła zniecierpliwiona i zapytała:

— Jak mamy wziąć ten ślub?

— To będzie niespodzianka.

Podszedł do niej, przestępując przez ciało Ai.

— Odwróć się — polecił.

Piękna Rengganis odwróciła się i zapatrzyła w horyzont, siedząc tyłem do Krisana. Czekala. I w końcu poczuła dłonie Krisana obejmujące szybkim ruchem jej szyję i zanim się zorientowała, o co chodzi, chłopak zaczął ją dusić. Owinął jej wokół szyi chustę i mocno zacisnął rogi. Piękna Rengganis walczyła, żeby się uwolnić, kopała, odrywała palcami chustkę od szyi, ale Krisan był znacznie silniejszy. Zmagali się tak przez jakieś pięć minut, a Piękna Rengganis przegrała tę walkę i osunęła się martwa na dno łodzi obok ciała ciotecznej siostry.

Krisan spojrział na nią, a oczy zaszły mu łzami. Dyszał szybko i chrapliwie. Z wysiłku drżały mu ręce, ale podniósł ciało Rengganis i wrzucił je do oceanu, i patrzył, jak tonie. Oparł się o nadburcie i zapłakał jak ckliwa nastolatka, jak nowo narodzone dziecko, a z jego oczu płynęły łzy rozpacz. Pomiedzy szlochami mówił głośno, chociaż nikt go nie słyszał.

— Zabiłem cię — powiedział i znów zaszlochał — bo kochałem tylko Ai.

Po tych słowach płakał jeszcze przez pół godziny.

Trzecie wyznanie: To Krisan zgwałcił Piękną Rengganis w szkolnej ubikacji i nie wziął za to odpowiedzialności.

To najtrudniejsza do opowiedzenia część tej historii, ale to prawda.

Pewnego dnia, gdy wraz z Ai odwiedzali po szkole Piękną Rengganis w domu, Krisan usiadł na sofie i zabrał się do przeglądania starego czasopisma. Dziewczyny poszły na górę do pokoju Pięknej. Nagle usłyszał na schodach szybkie kroki. Odłożył czasopismo i ujrzał przed sobą Piękną Rengganis, tylko w staniku i majtkach. Widywał ją półnagą wcześniej, widywał ją nawet nagą, ale wtedy byli jeszcze dziećmi. Teraz mieli już piętnaście lat, a Krisanowi od jakiegoś czasu przydarzały się nocne polucje.

Jak większość mężczyzn zachwycał się ciałem Pięknej Rengganis, które było nie tylko wspaniałe, ale i kuszące. Przepyszne — to jedyne słowo, którym można je opisać. Często wyobrażał sobie jej jędrne okrągłe piersi i łagodnie wygięte biodra, a teraz widział niemal wszystko. Stanik, który miała na sobie, niczego nie zakrywał, więc Krisan podziwiał kształt piersi; wysoko wycięte majtki zakrywały tylko mały, miękki wzgórek. Jego kutas ożył i stwardniał jak stalowy pręt. Musiał poprawić spodnie w kroku, bo wybrzuszały się i było mu niewygodnie. Pięknej Rengganis w ogóle nie przeszkadzała obecność Krisana ani to, że na nią patrzy, w zasadzie była zadowolona z jego pełnego podziwu spojrzenia. Zeszła ze schodów majestatycznym krokiem, podeszła do deski do prasowania, zdjęła z niej jakieś rzeczy i założyła je. Ekscytująca chwila minęła, ale Krisan nigdy jej nie zapomniał.

Mężczyźni kochają dwa rodzaje kobiet: kobiety, które hołubią i wielbią, oraz kobiety, które pieprzą. Krisan miał wrażenie, że poznał oba te gatunki: Ai należała do pierwszego z nich, a Rengganis do drugiego. Chciał się ożenić z Ai, ale zawsze marzył o tym, że pewnego dnia odbędzie z Piękną stosunek płciowy, choć nigdy nie zdołał wyznać miłości Ai i nie wiedział, jak dobrać się do Rengganis bez narażania się na wielkie kłopoty.

Kiedy byli mali, znaleźli sobie we troje wspaniałą kryjówkę: pole, które kupił towarzysz Kliwon. Szodanczo wybudował im domek na gałęzi starego figowca przy krawędzi sadu. Ich matki i ojcowie nie martwili się wcale, że chłopak i dziewczyna hasają sami po polu, bo umieli się sobą nawzajem opiekować. Bawili się razem od zawsze, jeszcze przed wybudowaniem domku, i mieli to robić jeszcze długo potem. Ale gdy zaczęli spędzać większość czasu w domku na drzewie, ich ulubioną zabawą stał się ślub. Piękna Rengganis zawsze chciała być panną młodą, a ponieważ jedynym chłopcem w tym towarzystwie był Krisan, to on zawsze odgrywał rolę pana młodego. Ai za to przypadały wszystkie inne: świadków, naczelnika wioski i zaproszonych gości. Bardzo lubili tę zabawę, chociaż Krisan czuł się zmuszany do odgrywania roli, bo owszem, chciał być panem młodym, ale

z Ai.

Głowę Pięknej Rengganis zdobiła korona z liści chlebowca, a głowę Krisana wieniec. Siadali pod figowcem obok siebie, Ai klękała przed nimi i pytała:

— Czy chcecie się poślubić?

— Tak — odpowiedzieli Krisan i Piękna Rengganis.

— Więc udzielam wam ślubu — stwierdziła Ai. — Pocałujcie się.

Piękna Rengganis całowała Krisana w usta przez kilka sekund, a on najbardziej lubił właśnie tę chwilę.

Gdy kończyli zabawę, Piękna Rengganis nadal traktowała Krisana jako narzeczonego.

To go złościło, ale nic nie mógł z tym zrobić, bo podobnie jak Ai wiedział, jaka jest Piękna: rozpuszczona, uparta, infantylna, prostacka, przewrażliwiona na swoim punkcie, zmienna — opisywało ją także wiele innych słów, a każde z nich tłumaczyło, że wściekanie się na nią nie ma sensu. Irytująca była natomiast postawa Ai wobec Pięknej. Krisan chciał namówić ją do wspólnych działań przeciwko Rengganis, żeby ją nieco utemperować, ale Ai lojalnie stawiała w obronie Pięknej po każdym kolejnym wywołanym przez nią skandalu.

W tamtym czasie Krisan nie był jeszcze tak napalony na Piękną Rengganis, choć wiedział, że jest prześliczna i bardzo kusząca. Wolał spokojniejsze dziewczyny o poważnych buziach, które jednak umiały się też porządnie wściec — właśnie takie jak Ai. Piękna wcale nie śniła mu się po nocach, uważał ją nawet za piątą koło u wozu. A skłonność Ai do bronienia jej przy każdej okazji wywoływała w nim zazdrość.

Ale było coś jeszcze, co wzmagало tę zazdrość: psy. Córka Szodanczo miała po ojcu hopla na ich punkcie. Krisan zawsze łudził się, że jeśli Ai nie przebywa akurat z Piękną, będzie mógł zostać z nią sam na sam, ale gdy Ai nie spędzała czasu z kuzynką, zajmowała się psami i nie przestawała nimi zajmować mimo próśb Krisana.

— Czy muszę stać się psem, żebyś zaczęła zwracać na mnie uwagę? — zapytał ją kiedyś, rozzłoszczony do granic.

— Niekoniecznie — odpowiedziała Ai. — Bądź prawdziwym mężczyzną, a będę cię lubić.

Te zagadkowe słowa były trudne do pojęcia, więc poskarżył się Pięknej Rengganis:

— Żałuję, że nie jestem psem.

— To dobrze — oznajmiła Piękna. — Często wyobrażałam sobie psa bez ogona. Nie dało się z nią poważnie rozmawiać.

Żeby zwrócić na siebie uwagę Ai, zaczął się zachowywać jak pies. Gdy spacerowali we troje, wracając na przykład ze szkoły albo będąc na popołudniowej przechadzce, Krisan wypatrywał psów, a gdy jakiegoś dostrzegł, zaczynał szczekać.

Niekiedy udawał też małego skarconego szczeniaczka albo dzikiego *ajaka*, wyjącego w środku nocy.

— Masz przynajmniej głos psa — skomentowała to Piękna Rengganis. — Od tego wycia *ajaka* dostałam gęsiej skórki.

— Ale suka się w nim nie zakocha — stwierdziła Ai.

Drwiła z jego infantylnych zachowań, ale Krisan wcale się tym nie przejmował i dalej odgrywał psa — nawet całkiem dobrze, i nawet wtedy, gdy zostawał sam. Sikał w ubikacji, podnosząc nogę, oblizywał się przez cały czas.

— Nawet gdybyś chodził na czworaka, nigdy nie będziesz psem — mówiła Ai, która uważała, że zachowuje się zupełnie idiotycznie. — Uważaj, żebyś nie dostał małego rozumu.

Może miała rację, może to jego rozum zmieniał się nie w rozum mały, ale psa. Gdy Ai umarła, rozkopał jej grób, tak jak zrobiłby to pies, szukający zakopanej przez siebie kości. Ponieważ Ai lubiła psy, stał się psem — a przynajmniej tak szczeakał, wywalał język, chłeptał wodę z kałuży i rozkopał grób własnymi łapami jak pies.

A wcześniej był jeszcze psem, gdy zgwałcił Piękną Rengganis w szkolnej ubikacji.

Po raz pierwszy pomyślał o uprawianiu z nią seksu podczas tamtego dnia, gdy siedział na sofie, a Piękna Rengganis zeszła wolno po schodach, mając na sobie tylko stanik i majtki. Zaczął jej pożądać i zapomniał o wszystkich problemach wywoływanych przez jej niedojrzałość i chimeryczność. Nieruchomiał, gdy niespodziewanie obejmowała go od tyłu, zasłaniała mu oczy i pytała: „Zgadnij kto?”. Zawsze wiedział, że to ona, bo nikt inny tak mocno się nie przyciskał. Czuł na sobie jej piersi i trwał zeszywniały przez dłuższy czas, udając, że zgaduje, kto mu zakrył oczy, żeby cieszyć się aksamitnym dotykiem jej dłoni.

Gdy wybierali się gdzieś we troje, Piękna Rengganis zawsze szła w środku. A Ai zawsze trzymała ją za rękę. Idący nieco z tyłu Krisan również trzymał ją za rękę, żeby czuć gładkość jej skóry w swojej dłoni.

Ai i Krisan zawsze odprowadzali ją pierwszą do domu, bo ich domy stały blisko siebie. Na do widzenia Rengganis zawsze całowała Ai w policzek, a Ai odwzajemniała ten pocałunek. Na początku Krisan starannie tego unikał, uważając, że to dziecinada, ale po spotkaniu na schodach spodobało mu się ciepło jej warg na policzku i całowanie jej ciepłego policzka ustami.

Gdy zapadała noc, fantazjował już nie tylko o przyszłym małżeństwie z Ai, ale i o nadzwyczajnym pierdoleniu Pięknej.

Potrzebował tylko okazji.

Kiedyś, gdy Ai gdzieś zniknęła, a Krisan i Piękna zostali sami na dziedzińcu

przed domem Szodanczo, objął ją, a ona odwzajemniła uścisk. Nikomu by to nie przeszkadzało, nawet Ai. Byli we troje jak rodzeństwo, nawet jak trojaczki, a nie kuzynostwo. Co więcej, Piękna Rengganis uwielbiała się tulić i być przytulana. A wtedy Krisan zaczął ją uwodzić.

— Czy chciałabyś wyjść za mnie naprawdę któregoś dnia? — zapytał żartobliwie. Odpowiedziała mu całkiem poważnie:

— Tak. W moim życiu nie ma innego mężczyzny oprócz ciebie, Krisan, więc m u s i s z się ze mną ożenić.

— Małżeństwa uprawiają seks.

— My też będziemy.

— Zrobimy to któregoś dnia.

— Tak, kiedyś.

Wypuścił ją z objęć, ona natomiast wciąż trzymała mu rękę na ramieniu, gdy pojawiła się Ai z koszyczkiem pełnym gujawy, nożem i moździerzem z *sambal luti*s. Zorganizowali sobie piknik i poparzyli języki ostrą pastą chili, a Krisan czuł ten żar aż w sercu, wyobrażając sobie dzień, kiedy zdobędzie Piękną Rengganis.

I nadszedł dzień, gdy Piękna Rengganis wygrała zakład w picu lemoniady. Krisan palił papierosa za ubikacjami, kiedy ją zobaczył. Piękna weszła do ostatniej toalety, siedliska zjaw i demonów, a on zdał sobie sprawę, że nadeszła wyczekiwana okazja. Zostawił szybko kolegów i w osłoniętym zakątku szkolnego dziedzińca przeskoczył dwumetrowy płot plantacji kakao. Wiedział, że dach nawiedzonego kibla jest dziurawy i ruszył w tamtą stronę, po czym znów wspiął się na płot po gałęzi kakaowca i zajrzał od góry do ubikacji, podglądając Piękną Rengganis, która kucnąwszy, sikała.

— Hej-hej — zawołał do niej cicho.

Podniosła głowę i przestraszyła się, widząc Krisana na dachu.

— Co ty tam robisz? — zapytała. — Uważaj, bo się zabijesz.

— Czekam na ciebie.

— Chcesz, żebym tam weszła?

— Nie. Czekam, aż będziemy się kochać.

— A jak stamtąd zejdziesz? — zapytała.

— Spokojna głowa.

Chwycił nadgniłą belkę i wsunął się przez dziurę w dachu do ubikacji. Byli razem, zamknięci. Piękna Rengganis stała z majtkami zsuniętymi do kolan. W kiblu śmierdziało i nie było za ładnie. Ale Krisanowi to nie przeszkadzało, bo owładnęła nim chęć.

— Chodź, będziemy się pieprzyć — szepnął.

— Nie wiem jak — odpowiedziała mu szeptem.

— Nauczę cię.

Ściągnął jej powoli majtki z kolan i powiesił je na zardzewiałym gwoździu

wbitym w ścianę. Potem, z takim samym opanowaniem, rozpiął guziczki jej szkolnego mundurka, jeden po drugim, by mógł nacieszyć się widokiem jej wolno odsłaniającego się ciała. Bluzkę także na zardzewiałym gwoździu. Następnie zdjął jej spódniczkę i jak oczarowany zapatrzył się w czerń w jej kroczu. Ręce mu drżały, gdy pospiesznie zdejmował jej stanik. Ale gdy tylko ujrzał piersi, których tak pragnął, uspokoił się. I sam się rozebrał. Zdjął najpierw koszulę, potem spodnie, wreszcie majtki. Jego wstyd stał wyprężony, twardy, skierowany do góry, chwycił go i pokazał Pięknej Rengganis. Zaśmiała się niepewnie z jego kształtu.

Potem nie było już spokojnie. Ujął jej piersi, pieszcząc i ściskając je pożądliwie, od czego wiła się i dyszała. Przytuliła go mocno do siebie. Krisan oparł ją o ścianę ubikacji i przycisnął się do niej całym ciałem. Zaczął całować jej usta, których pragnął od tak dawna, lecz których nie zaznał od czasu zabawy w ślub. Uniósł ręce do jej piersi, a ona drapała go po plecach. Jego wstyd zaczął na nią nacierać gwałtownie, usiłując w nią wejść, ale stali tak, że trafiał tylko w gładką skórę na udzie, na którym się wyginał. Jedyne, co mógł zrobić, to ocierać się nim między jej udami.

— Oprzyj nogę o umywalkę — szepnęła.

Piękna Rengganis tak właśnie zrobiła, otwierając przed nim szeroko pochwę. Krisan wszedł w nią bez najmniejszego problemu, bo w ubikacji było wilgotno i ciepło, a ich kołysanie się we dwoje trochę hałasowało i chrzęściło, jakby szli po ścieżce wyłożonej kamieniami. Bardzo im się to podobało, choć jak wszyscy początkujący skończyli raz-dwa.

Tak to wyglądało naprawdę.

— A jeśli zajdę w ciążę? — zapytała Piękna Rengganis po tym krótkim akcie.

Krisan był nieco zaskoczony, że w ogóle wiedziała, że seks prowadzi do ciąży. Nagle przestraszył się i do głowy przyszedł mu najgłupszy pomysł.

— Możesz powiedzieć, że zgwałcił cię pies.

— Ale nie zgwałcił mnie pies.

— No a czy ja nie jestem psem? — zapytał. — Przecież widziałaś, jak wywałam język i szczekam, nie?

— Widziałam.

— Więc powiedz, że zgwałcił cię pies. Bury pies z czarnym pyskiem.

— Bury pies z czarnym pyskiem.

— I nie mieszaj mnie do tego. Nigdy!

— Ale weźmiesz ze mną ślub, prawda?

— Jasne. Jeśli się okaże, że jesteś w ciąży, zaplanujemy ślub.

Krisan ubrał się szybko i wyszedł przez tę samą dziurę w dachu, którą wszedł. Wpadł przy tym na pomysł, żeby zabrać szkolny mundurek Pięknej Rengganis i wyrzucić go gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie. A Piękna Rengganis, goła jak ją

Pan Bóg stworzył, nawet bez butów i skarpetek, wyszła z ubikacji i wróciła na lekcję. Krisan nie widział wywołanego przez nią zamieszania, bo chodził do innej klasy.

Potem, kiedy się okazało, że naprawdę jest w ciąży, zaczęli planować ucieczkę: ukryją się w partyzanckiej chacie i wezmą tam p r a w d z i w y ślub. Ale tak się nie stało. Przez dziewięć miesięcy Krisana paraliżował strach, że inni, a szczególnie Maman Gendeng i Maja Dewi, a także jego matka, dowiedzą się, że to on zbałamucił Piękną Rengganis. Chciał ją zabić w partyzanckiej chacie, żeby ukryć prawdę, ale skończyło się tak, że zabił ją w łodzi i wrzucił ciało do oceanu.

MAMAN GENDENG ZMARTWYCHWSTAŁ trzeciego dnia po tym, jak wstąpił do nieba w mokszy ¹. Przyszedł się oczywiście pożegnać. Z Mają Dewi, bo z kimże!

Stało się tak, mimo że trzy dni wcześniej Maja Dewi pochowała niemal zupełnie nierozpoznawalne szczątki, rozerwane na strzępy przez *ajaki*, napoczęte przez czerwie i tak rojące się od much, że kiedy niesiono je do domu, owady leciały za nimi jak ogon komety.

— To nie byłem ja — pocieszył ją Maman Gendeng. Maja Dewi przez trzy dni była pogrążona w żałobie, głębokiej żałobie, bo straciła Maman Gendenga po tym, jak oboje stracili córkę, Piękną Rengganis. Ale choć chodziła w czerni, okłamywała się przez te trzy dni, wmawiając sobie, że jej najbliżsi wciąż żyją.

Przypominała sobie, że podobny los spotkał jej dwie starsze siostry. Alamanda straciła Ai, a Szodanczo zniknął, wyruszywszy na poszukiwania ciała córki, które wykradziono z mogiły. Adinda straciła towarzysza Kliwona, który się powiesił, ale miała jeszcze Krisana.

Myśl o tym wszystkim nie przyniosła jej pociechy. Każdego ranka przygotowywała śniadanie — talerze ryżu, warzywa, dodatki — dla siebie, Maman Gendenga i Piękną Rengganis, tak jak zawsze. Oczywiście jadła sama, a gdy skończyła, wyrzucała dwie nietknięte porcje do śmieci. Tak samo przez trzy dni robiła przy obiedzie.

Gdy Maman Gendeng jeszcze żył, zanim odszedł, odgrywali we dwoje ten rytuał, oszukując się i łudząc, że Piękna Rengganis wciąż jest w domu. Spotykali się przy obiedzie, a obok stała porcja przygotowana jak zwykle dla córki — wyrzucali jedzenie po skończonym posiłku. Teraz musiała robić to sama.

Całkiem sama.

Ale trzeciego dnia po śmierci Maman Gendenga już nie była sama. Miała z kim jeść. Tak jak przez dwa poprzednie wieczory i trzy ranki usiadła samotnie przy stole w ciemnej sukni, a obok stały dwie porcje jedzenia: dla męża i dla córki. Nie przełknęła jeszcze pierwszych ziaren ryżu, gdy otworzyły się drzwi sypialni i stanął w nich mężczyzna, który zaraz potem usiadł jak zwykle na swoim krześle. Maja Dewi nie przerwała nabierania ryżu prawą ręką, a mężczyzna mieszał sos. Oboje jedli jak zwykle ze smakiem, nie rozmawiając ze sobą. Tylko jedna porcja ryżu pozostała nietknięta i tylko jedno krzesło było puste, ale Maja Dewi nadal wyobrażała sobie, że Piękna Rengganis siedzi na swoim miejscu, tak jak wyobrażona przez nią — jak sądziła — postać Maman Gendenga, która siedziała na krześle i jadła. Dopiero po obiedzie uświadomiła sobie, że mężczyzna jest całkiem rzeczywisty. Talerz męża był pusty, a na talerzu Piękną wciąż leżał ryż. Spojrzała

z niedowierzaniem na męża. Przyglądali się sobie przez długi czas, zanim zdobyła się na wypowiedziane szeptem pytanie:

— Czy to ty?

— Przyszedłem się pożegnać.

Maja Dewi podeszła do męża i dotknęła go z wielką ostrożnością, jakby był z wosku i mógł się z łatwością stopić. Przesunęła dłoń ku jego czołu, dotknęła palcami nosa, ust, podbródka, a po tej pełnej niedowierzania pieśczoście spojrzała na niego z ciekawością dziecka. Gdy poczuła jego ciepło i zrozumiała, że żyje, zbliżyła się i przytuliła go. Maman Gendeng odwzajemnił jej uścisk i pozwolił kobiecie wypłakać mu się na ramieniu, głaskał ją po włosach i z uwielbieniem wachał czubek jej głowy.

— Przyszedłeś się pożegnać? — powtórzyła niespodziewanie, patrząc mu prosto w oczy.

— Przyszedłem się pożegnać.

— Znów odchodzisz?

— Bo już nie żyję. Wstąpiłem do nieba.

— A co z n i ą?

— Będę jej pilnował. Tutaj.

Pogłaskał żonę po policzku i pocałował ją w drugi, a potem wstał i wszedł do pokoju, z którego wcześniej wyszedł, i zamknął za sobą drzwi. Maja Dewi wpatrywała się zdumiona w te drzwi, a potem przeniosła wzrok na pusty talerz Maman Gendenga, a z tego talerza na talerz wciąż wypełniony ryżem, którego nie zjadła Piękna Rengganis, a potem znów spojrzała na drzwi do sypialni. Zdjęta strachem, podbiegła do tych drzwi, ale nikogo za nimi nie znalazła.

Szukała go dalej. Upewniła się, że okno w sypialni jest zamknięte, tak jak po południu. Zajrzała pod łóżko, ale znalazła tam tylko popiół z kadzidła i domowe pantofle, które wkładała przed modlitwą. Nigdzie indziej nie mógł się ukryć. Nie mógł schować się w szafie z wielkim lustrem, bo szafa była podzielona na części i półki, i wypełniona ubraniami, ale i tak otworzyła drzwi szafy i od razu je zamknęła. Sprawdziła kapę na łóżku, toaletkę, mając nadzieję, że znajdzie tam jakiś ślad, ale wszystko na próżno. Wyszła z sypialni i znów spojrzała na stół w jadalni.

Zabrała się do sprzątnięcia. Uporządkowała stół, schowała do spiżarni ryż, warzywa i dodatki. Resztki zjedzą dwie młode wieśniaczki z gór, pomagające jej przy wypieku ciast. Zniosła brudne naczynia do zlewu, a ryż, którego nie zjadła Piękna Rengganis, wyrzuciła do śmieci. Umyła ręce, nie chciało się jej zmywać naczyń, co zwykle robiła, a potem wróciła do sypialni, rozejrzała się po pustym pokoju i zadała pytanie, jakby Maman Gendeng wciąż tu był:

— Jeśli wstąpiłeś do nieba w mokszy — zaczęła — to kogo pochowałam przed trzema dniami?

To jest opowieść o zdradzie, która zaczęła się, gdy byli świeżo po ślubie, a przed nocą poślubną, na którą czekali przez pięć lat, i przed narodzinami Pięknej Rengganis.

Pewnego upalnego niedzielnego popołudnia na dworzec autobusowy przyszedł łyсы mężczyzna z odgryzionym uchem. Rozpychał ludzi, w większości turystów spieszących się do autobusów po weekendzie spędzonym w mieście. Wpadał na każdego, kto stanął mu na drodze, rozrzucał towar sprzedawcom papierosów i szedł po stary, zniszczony, mahoniowy, bujany fotel, który należał teraz do Maman Gendenga, bo ten odebrał go Ediemu Idiocie, zabiwszy go pierwaj.

Odkąd objął władzę w mieście, musiał stawić czoło wielu pretendentom do bujanego fotela — symbolu panowania — i pokonał ich wszystkich, ale ciągle przybywali nowi, tak jak teraz, gdy zbliżał się ten nieznajomy. Kumple Maman Gendenga przyglądali się mu, odkąd wszedł na dworzec, i wiedzieli bez pytania, czego chce. Maman Gendeng także wiedział, ale zachował spokój, siedząc ze skrzyżowanymi nogami, kołysząc się w tył i w przód i paląc papierosa. Nikt jeszcze nie znał imienia przybysza ani miejsca, z którego pochodził, ani skąd się dowiedział o panowaniu Maman Gendenga, ale człowiek ten z pewnością nie pochodził z Halimundy, bo gdyby był ambitnym mieszkańcem miasta, wyzwąłby Maman Gendenga na pojedynek o fotel dawno temu.

W tamtym czasie Maman Gendeng wciąż trzymał pieniądze w glinianych dzbanach, przechowywanych przez brzydką kobietę o imieniu Moyang, której ufał niemal tak samo jak żonie. Odkładał pieniądze, żeby sprawić żonie niespodziankę, choć jeszcze nie wiedział jaką. Moyang, podobnie jak on, przychodziła każdego dnia na dworzec. Sprzedawała napoje i papierosy do wieczora, a nocami chędożyli ją ci, którym nie przeszkadzała jej brzydka twarz (bo jaka jest różnica między twarzą ładną a brzydką, gdy chędoży się kogoś w nocy za krzakami?), oraz ci, którzy nie chcieli wydawać pieniędzy na kurwy, bo Moyang nigdy nie domagała się zapłaty. Maman Gendeng nigdy jej nie przeleciał i nie chciał tego robić, ale odkładał pieniądze w jej dzbanach, które trzymała pod łóżkiem w chacie, w której mieszkała. Wszyscy znajomi Maman Gendenga wiedzieli, gdzie są te pieniądze, ale żaden nie ośmielił się ich ukraść czy choćby na nie spojrzeć.

Na dworcu autobusowym często dochodziło do bójek, bo przychodzili tam uczniowie, którzy chcieli się bić, ale Maman Gendeng w ogóle w tym nie uczestniczył. Teraz jednak zbliżał się do niego łyсы facet, żeby go wyzwąć, i wszyscy czekali na to, co się stanie i co z tego wyniknie. Nikt nie mógł mieć pewności, że obcy dostanie to, czego chce. Po tylu latach ludzie z dworca zaczęli wierzyć, że nikt nie pokona Maman Gendenga, o ile republika nie zdecyduje się nasać na niego całej armii, choć nawet wtedy wynik starcia nie mógł być przesądzony, jeśli prawdą było to, co o nim mówiono — że jest odporny na każdą broń. Ale tak czy inaczej zawsze czekano na jego walki.

Wcześniej tego samego ranka, gdy Maja Dewi wykladała na kapę łóżka czyste i świeżo uprasowane ubranie dla męża, poprosiła go, żeby nie wracał do domu utyłany i umorusany, co często mu się zdarzało. Czasem był brudny od smaru albo oleju, bo pomagał kierowcom i konduktorom autobusów naprawiać odmawiające posłuszeństwa maszyny, ale najczęściej wracał utyłany sadzą, która zalegała warstwami na ścianach dworca. Nie chodzi o to, że smar czy sadza są trudne do sprania, tłumaczyła Maja Dewi, ale o to, że w brudnych łachach nie wygląda przystojnie i elegancko. Tego dnia miał na sobie kremową koszulę, na której od razu widać brud, więc obiecał żonie, że się nie usmaruje bez względu na wszystko.

Tego upalnego niedzielnego popołudnia odpoczywał w niesławnym fotelu, wciągając powoli w płuca dym z papierosa, a potem powoli go wydmuchując, i wtedy ujrzał wchodzącego na dworzec mężczyznę. Wiedział jak wszyscy, że dojdzie do konfrontacji. Łysy już przed nim stał, lecz zanim zdążył otworzyć usta, Maman Gendeng podniósł się i oznajmił:

— Jeśli chcesz ten fotel, spocznij na nim, proszę, albo go sobie zabierz, wedle uznania.

Ludzie nie wierzyli własnym uszom, nawet Łysy im nie wierzył i milczał przez chwilę, wpatrując się w pusty fotel.

— To nie takie proste — odezwał się w końcu. — Chcę ten fotel i wszystko, co z nim związane.

— Rozumiem cię doskonale, więc spocznij, proszę, a zaraz wszystko dostaniesz. — Maman Gendeng kiwnął głową i pstryknął niedopałkiem papierosa.

— Niepokonany *preman* nagle oddaje władzę bez mrugnięcia — dziwił się Łysy. — Nie znam innego wytłumaczenia, jak to, że chce porzucić dotychczasowe życie i zostać dobrym mężem.

Maman Gendeng kiwnął z uśmiechem głową i wskazał gościowi miejsce. Łysy bez wahania podszedł do fotela — symbolu wielkiej władzy, odwagi i zwycięstwa — lecz nim jego tyłek dotknął siedziska, Maman Gendeng zadał mu pięścią cios w kark — cios tak mocny, że ludziom się zdawało, że słyszą chrzęst pogruchootanych kości, gdy Łysy padał obok fotela na ziemię. Maman Gendeng rzeczywiście nie pobrudził sobie nawet mankietów przy koszuli. Ktoś wyciągnął Łysego na chodnik, a Maman Gendeng usiadł na powrót w fotelu i zapalił nowego papierosa.

Od tamtej pory Łysy łąził po terminalu, stając się zaufanym człowiekiem zbira. Kazał na siebie mówić Romeo. Być może czytał Szekspira albo nie, ale tak kazał na siebie mówić i wszyscy tak go nazywali, choć czuli przez skórę, że to dziwne imię dla wielkiego łysego faceta bez połowy ucha i z rozszarpaną resztką małżowiny. Romeo stał się członkiem wspólnoty, mieszkał wśród nich i respektował władzę Maman Gendenga. Nadal nikt nie znał jego losów ani nie wiedział, skąd pochodzi, ale nikomu to nie przeszkadzało, bo większość z nich wołała o tym milczeć.

Romeo, jak reszta, bzykał się co pewien czas z Moyang, aż któregoś dnia stanął przed Maman Gendengiem i powiedział:

— Chcę się z nią ożenić.

— Więc idź do niej i się oświadcz — powiedział przestępca. — Dowiesz się, czy chce być twoją żoną.

Moyang chciała za niego wyjść, więc po miesiącu wzięli ślub, a Maman Gendeng zapłacił za ich skromne wesele. Zamieszkali w chacie, w której Moyang żyła do tej pory sama.

— Klnę się na Boga — mawiał nieco skonsternowany Maman Gendeng — że Romeo ożenił się z kobietą, która uwielbia się bzykać na prawo i lewo.

Ich miesiąc miodowy wzbudził zazdrość wielu mężczyzn. Oboje przychodzili na dworzec dosyć późno, bo kochali się przez całą noc, a w południe znikali czasem ze straganu Moyang, żeby kochać się za krzakami niedaleko dworca, nieopodal plantacji kakao. Ale po pewnym czasie wątpliwości Maman Gendenga okazały się uzasadnione, bo nocami, gdy Romea akurat nie było, a stragan był już nieczynny, Moyang szła w krzaki z innymi mężczyznami — czasem z riksarzem, czasem z konduktorem z autobusu, a raz nawet z nimi dwoma i pieprzyli ją wspólnie.

— Nie można zabraniać kobiecie robić tego, co lubi — mówił Romeo. — Nawet żonie.

— Powinieneś zostać filozofem — zadrwił Maman Gendeng — o ile kompletnie nie oszalałeś!

— Ale ona sama daje mi pieniądze — ciągnął Romeo, siadając obok mahoniowego bujanego fotela, o którym kiedyś marzył — żebym chodził na kurwy do burdelu.

Dworzec autobusowy był od lat dumą tej społeczności — od czasów, gdy w mieście panował Edi Idiota, aż do epoki Maman Gendenga. Dworzec nie był za duży, bo z miasta wychodziła tylko jedna droga na wschód i północ, natomiast na zachód prowadził zwykły trakt, który kończył się po minięciu dwóch małych miasteczek. Nie wszyscy *premani* zbierali się na dworcu, w zasadzie zbierała się tam ich garstka, ale ponieważ na dworcu zawsze urzędował Maman Gendeng, który przyglądał się ludziom z mahoniowego fotela, dworzec był ważnym miejscem dla wszystkich. Wszyscy członkowie tej wspólnoty wydawali się szczęśliwi, bo choć Moyang wyszła za Romea, mogli ją przelecieć, kiedy tylko chcieli, i nie musieli jej płacić, o ile była w nastroju.

Ale to szczęście skończyło się pewnego spokojnego dnia, który powinien być nudny jak inne. Moyang otworzyła stragan, ale niczego nie sprzedawała, czekała tylko na Maman Gendenga, który jeszcze nie przyszedł. Gdy się w końcu pojawił — a wyglądał niemal wytwornie, do czego kumple przywykli, odkąd się ożenił — Moyang od razu do niego podeszła i zapłakała. Płakała płaczem porzuconej żony, więc Maman Gendeng domyślił się, że Romeo ją zostawił. Ale z drugiej strony nie

był przekonany, czy Moyang naprawdę go kochała, bo przecież nie była mu wierna, więc zapytał:

— Co się dzieje?

— Romeo odszedł.

— Myślałem, że wcale go nie kochałaś.

Wytarła łzy skrawkiem bluzki, ukazując przy okazji brzuch z fałdami tłuszczu, i powiedziała:

— Uciekł z dzbanami z twoimi pieniędzmi.

Romeo nie mógł uciec autobusem, bo musiałby przejść przez dworzec, nie mógł też uciec koleją, bo o tak wczesnej porze nie było jeszcze pociągów. Więc uciekł zapewne do dżungli albo ktoś, kto miał samochód, pomógł mu w ucieczce. Nieważne, jak uciekł: Maman Gendeng był wściekły i miał zamiar go złapać żywego lub umarłego. Więc zebrał wszystkich swoich ludzi i posłał ich we wszystkie strony, nawet do sąsiednich miast, gdzie mieli się skontaktować z lokalnymi zbirami. Przykazał im, żeby nie wracali bez Romea, jeśli nie chcą zasłużyć na porządne lanie. Więc wszyscy *premani* wyjechali z miasta, a w Halimundzie zapanował niezwykły spokój. Tylko Maman Gendeng został na miejscu i szalał z wściekłości. Od dawna marzyło mu się spokojne rodzinne życie, na które chciał uczciwie zarabiać. Chciał mieć rodzinę, taką jak inne rodziny, i oszczędzał pieniądze, żeby zrealizować to piękne marzenie. Chciał coś kupić, może kuter, i utrzymywać się z łowienia ryb. Myślał też o ciężarówce i wożeniu warzyw. Albo o kilku hektarach ziemi, żeby mógł zająć się jej uprawą. Nie zdecydował jeszcze, co kupi i kim się stanie, ale teraz ktoś ukradł mu wszystkie pieniądze. Był naprawdę wściekły. Czekał niecierpliwie przez trzy dni, nie mówiąc o niczym żonie, zaskoczony jego poruszeniem, a na dworcu był bardzo opryskliwy, więc wszyscy konduktorzy i kierowcy autobusów omijali go z daleka.

Ale czwartego dnia dwóch ludzi *premana* przywiozło mu Romea. Znaleźli go w małym odległym miasteczku na skraju dżungli na zachód od Halimundy, gdzie kiedyś partyzanci toczyli najbardziej zażarte walki. Na szczęście odzyskali też pieniądze Maman Gendenga, uszczuplone jedynie o koszt kubka alkoholu *tuak*, lemoniady i paczki papierosów. Złapali Romea, zanim zdążył wydać pieniądze, ale wściekłość Maman Gendenga i tak nie miała granic.

Zanim go przywieźli, stłukli go, aż zsiniał, ale Maman Gendeng był tak rozeźlony, że musiał się na nim wyładować, i pobił go jeszcze bardziej dotkliwie na oczach ludzi stojących w kręgu jak podczas walk kogutów. Romeo wył żałośnie, błagał o litość, przysięgał, że już nigdy nie zrobi czegoś równie potwornego, ale doświadczenie nauczyło Maman Gendenga, by nigdy nie ufać zdrajcy. Zbierało się coraz więcej ludzi. Ci, którzy byli najbliżej, usiedli, reszta stała. Nie mogli się oprzeć pokusie i przestać przyglądać się torturom. Policjanci, którzy patrolowali okolice dworca, zamknęli oczy i trwali na posterunkach.

Nad dworcem krążyły żywiące się padliną sępy, do których wysoko na niebie dotarł niesiony oceanicznym wiatrem zapach nieuniknionej śmierci. Ale Romeo jeszcze żył. Choć nie dlatego, że okazał się wytrzymały, ale z tej przyczyny, że Maman Gendeng przedłużał jego mękę. Chciał, by ta śmierć była naprawdę udręką i posłużyła za nauczkę dla innych: żeby się przekonali, jaki los spotyka zdrajcę. I było mu naprawdę żal tych żywiących się padliną sępów, choć nie dlatego, że śmierć ofiary tak bardzo się odwlekała — bo wybijał mu powoli zęby, łamał palce, zdierał paznokcie, rozbierał do naga i wrywał jeden po drugim włosy łonowe oraz ozdabiał całe jego mocno już okaleczone ciało petami palących się papierosów — nie, było mu żal tych sępów, bo nie miał zamiaru dzielić z nimi swego szczęścia. Nie miał zamiaru rzucić im ścierwa Romea, chciał go spalić żywcem w ostatnim ataku furii.

Miał już gotową bańkę z benzyną i zapalniczkę, gdy nagle przez tłum przedarła się ta szkaradna kobieta i stanęła przed nim. Moyang błagała o litość dla męża, obiecując, że jeśli Maman Gendeng go oszczędzi, zajmie się nim i zmieni go w godnego zaufania człowieka.

— Proszę cię, wyświadczyć mi tę łaskę, mój przyjacielu — nalegała. — Nieważne, kim się stał, wciąż jest moim mężem.

Jej błagania poruszyły Maman Gendenga, który nagle odzyskał serce. Wyrzucił bańkę z benzyną do śmieci i oznajmił wszystkim obecnym, że daje temu człowiekowi drugą szansę, ale każdy, kto go zdradzi, takiej szansy już nie dostanie. I w ten sposób Romeo, mąż Moyang, nie stał się pożywką dla ognia ani wieczerzą dla sępów, przeżył i stał się najlepszym przyjacielem i najwierniejszym ze wszystkich zbirów Maman Gendenga. A on sam oddał wszystkie pieniądze Mai Dewi, która dobrze je wykorzystwała, zakładając interes z pieczeniem ciast.

— Pochowałaś tego mężczyznę — powiedział Maman Gendeng. — Romea.

Maja Dewi o niczym, rzecz jasna, nie wiedziała.

Nie знаła żadnego Romea i nie miała pojęcia o jakichkolwiek kłopotach męża na dworcu autobusowym, a wszystkie jej problemy zaczęły się wtedy, gdy Piękna Rengganis uciekła z domu razem z dzieckiem, które dopiero urodziła, „żeby poślubić psa”.

Był początek grudnia, miesiąca nieprzewidywalnej pogody, i miasto zapełniło się turystami spędzającymi tu koniec świąt, więc łatwo było się zgubić w tłumie. O tej porze roku w mieście panował duży zamęt, a ludzie nie zwracali na siebie uwagi, bo interesy szły pełną parą. Kioski z pamiątkami wciąż trzymały się mocno, odkąd towarzysz Kliwon zapobiegł zrównaniu ich z ziemią. Wszędzie było pełno zagubionych dzieci, zagubionych starców i młodych kobiet, które zniknęły nagle w samym środku zaaferowanego tłumu, więc wszędzie rozlepiano plakaty

z wizerunkami zaginionych i szukano ich, wygłaszając komunikaty przez stojące wzdłuż plaży megafony.

Ale Piękna Rengganis nie zgubiła się tak jak inni. Zaginieni turyści gubili się tylko na chwilę, a po krótkich poszukiwaniach odnajdywali się i przyłączali na powrót do swojej grupy. Piękna Rengganis uciekła z domu i szukała jej cała rodzina. Maman Gendeng i Maja Dewi wypytywali o nią wszędzie, a ich ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, tak jak kiedyś, gdy szukali Romea, mimo to nie znaleźli dziewczyny. Szodanco, który martwił się o swoją córkę Ai, bo ta po zaginięciu Pięknej Rengganis dostała wysokiej gorączki, wysłał żołnierzy na poszukiwania jej kuzynki, ale zapomniał o partyzanckiej chacie, bo nie zdawał sobie sprawy, że dzieci o niej wiedzą.

Poszukiwania trwały dzień i noc, wstrzymano przygotowania do planowanego wesela, zdjęto ozdoby i zwrócono wypożyczone krzesła i stoły. Ten chłopak Kinkin zupełnie od tego wszystkiego oszalał i przemierzał samotnie miasto, zaglądając w każdy kąt i zakamarek i strzelając z wiatrówki do każdego napotkanego psa. Pytał o Piękną zmarłych za pomocą *jailangkung*, ale żaden z nich nic o niej nie wiedział.

— Chroni ją jakiś zły duch — powtarzał na głos.

— Umrze za parę dni — skarżyła się z płaczem Maja Dewi. — Nie wie, co można jeść, a czego nie można, i nie ma przy sobie pieniędzy, nawet złamanego grosza.

— Nie wiem, dlaczego miałyby umrzeć — pocieszał żonę Maman Gendeng. — Jeśli zgłodnieje, może zjeść dziecko.

Ci, którzy jej szukali, zaczęli wracać jeden po drugim do domu. Szukali jej bez powodzenia, nigdzie nie było śladu po Pięknej Rengganis ani żadnej wskazówki.

— Nie mogła zostać wniebowzięta — mówił Maman Gendeng. — Nie mogła osiągnąć mokszy, bo nie medytowała.

Więc zaczęto jej szukać jeszcze raz, krzak po krzaku, w zaułkach i slumsach, ale wciąż bez skutku. Maja Dewi odwiedzała wszystkie szkolne przyjaciółki córki, ale tylko Ai i Krisan byli z nią naprawdę blisko. Stała się strzępkiem nerwów i wyrzucała sobie, że nie siedziała przy córce tamtej nocy, gdy Piękna uciekła.

Po Nowym Roku miasto jeszcze bardziej zatłoczyło się od turystów. Kilka osób utopiło się w oceanie, jak donosili robotnicy, a Maman Gendeng i Maja Dewi oglądali każde wyłowione ciało. Większość topielców stanowili turyści, którzy zlekceważyli flagi ostrzegawcze, ale wśród nich znaleźli w końcu Piękną Rengganis. Od razu ją rozpoznali, bo nawet morska woda nie zatarła jej urody. Nikt nie wiedział, kiedy się utopiła, zanim fale wyrzuciły jej ciało na brzeg, ale od razu poinformowano Maman Gendenga i Maję Dewi o odkryciu. Leżała na plecach w niemal zupełnie zniszczonym ubraniu. Jej twarz pozostała piękna, a włosy pływały po powierzchni wody, unoszone przez fale. Szybko zauważyli, że nie miała napuchniętego brzucha, jak większość topielców, i że na jej szyi widać zasinienia.

Ktoś ją zabił przed wrzuceniem ciała do oceanu. Maja Dewi rozszlochała się rozpaczliwie.

— Bez względu na to, co się stało, trzeba ją pochować — powiedział Maman Gendeng, opanowując furję. — A potem znajdziemy tego skurwiela.

— Nie mógł przecież udusić jej pies — powiedziała Maja Dewi, opierając się półprzytomna na ramieniu męża.

Maman Gendeng sam zaniósł ciało Pięknej Rengganis do domu. Znalaziono ją na najodleglejszym skrawku plaży w Halimundzie blisko miesiąc po ucieczce. Maja Dewi szła za mężem ze spuchniętymi oczyma, z których nieustannie płynęły łzy, a za nią ciągnęła się kawalkada pełnych współczucia ciekawskich.

Tego samego popołudnia, po odprawieniu wszystkich rytuałów pogrzebowych, trumna z Piękną Rengganis przejechała przez miasto ku cmentarzowi Budi Dharma. Kinkin, który o mało nie zemdłał, przekonawszy się, że będą chować dziewczynę, którą kochał, przyłączył się do pogrążonego w największej rozpacz ojca przy kopaniu grobu. Pomógł nawet przy opuszczaniu trumny wraz z Maman Gendengiem i Kamino. A gdy Maman Gendeng sypnął garść ziemi na trumnę, Kinkin towarzyszył mu przy zakopywaniu ukochanej, a potem z miłością ustawił na ziemi tablicę.

— Dowiem się, kto ją zabił — oznajmił pełnym nienawiści głosem — i pomszczę jej śmierć.

— Zrób tak — powiedział Maman Gendeng. — A jeśli go złapiesz, pozwolę ci go zabić.

Tej nocy spotkali się przy grobie Pięknej Rengganis. Kinkin wywoływał jej ducha, a Maman Gendeng patrzył. Rozpoczął się seans *jailangkung*, ale duch Pięknej Rengganis się nie pojawił. Kinkin wywoływał inne duchy, żeby zapytać je, kto zabił dziewczynę, ale żaden z nich nie znał odpowiedzi, tak jak poprzednio, gdy pytał, dokąd uciekła.

— Nie damy rady — stwierdził Kinkin, poddając się i kończąc seans *jailangkung*. — Potężny zły duch niweczy moje wysiłki od samego początku.

— Jeśli to konieczne, przeniosę się do świata duchów i stoczę z nim walkę w zaświatach — oznajmił Maman Gendeng. — Chcę wiedzieć, kto ją zabił!

Właśnie wtedy zaczęli wraz z Mają Dewi oszukiwać sami siebie, udając, że Piękna Rengganis ciągle żyje. Zostawiali dla niej miejsce przy śniadaniu i obiedzie, nakładali jedzenie na jej talerz, choć Maja Dewi musiała je później wyrzucać. Natomiast policja przeprowadziła ekshumację Pięknej Rengganis, żeby zbadać jej ciało, które następnie pochowano ponownie. Maman Gendeng chciał wierzyć, że policja znajdzie mordercę, ale nie znalazła go ani przez tydzień, ani przez następny miesiąc — nikt nie rozwiązał tej zagadki, nie wpadł na żaden trop. Przesłuchiowano wiele osób: wzywano je na komisariat i zadawano pytania, Maman Gendeng i Maja Dewi byli na komisariacie pięć razy, a inni tyle samo, ale wszystko to nie

doprowadziło do wykrycia mordercy Pięknej Rengganis. Wyczerpany przesłuchaniami Maman Gendeng przestał ufać policji. Wyrzucił z domu ostatniego gliniarza, który przyszedł zadawać pytania.

— W tym domu nie znajdziecie mordercy — rzucił mu poirytowany na pożegnanie. — I jesteście głupi, jeśli tak uważacie.

W tym samym momencie, jakby dostąpiwszy boskiego objawienia, *preman* pojawił się, co powinien zrobić.

— Jeśli nikt nie wie, kto ją zabił — powiedział z wielką pewnością w głosie — to całe miasto jest odpowiedzialne za jej śmierć.

W następnym poniedziałek, z trzydziestoma ludźmi u boku, zabrał się do dzieła. Działał brutalnie i metodycznie, a mieszkańcy miasta zapamiętali ten czas jako jeden z najbardziej przerażających w jego historii. Rozpoczęli od komisariatu policji, niszcząc na nim wszystko, co wpadło im w ręce, i stawiając czoło każdemu policjantowi, który usiłował ich powstrzymać. Maman Gendeng zakończył wizytę na komisariacie, paląc go do szczytu, by dać upust swojej złości na niekompetencję policji.

Miasto było wstrząśnięte. Dym z płonącego komisariatu unosił się wysoko do nieba i nawet straż pożarna nie zdołała go ugasić. Nikt nie odważył się przybiec i przyglądać się jak zwykle pożarowi, gdy po mieście rozeszła się wieść, że Maman Gendeng i jego banda zbirów wpadli w morderczy szal. Wszyscy siedzieli cicho, przekazując sobie wieści z ust do ust i drżąc na samą myśl o tym, co jeszcze może zrobić ten straszny człowiek.

Choć Maman Gendeng nie był już młody i przeżył ponad pół wieku, wszyscy wiedzieli, że nikt nie dorówna mu siłą. A teraz stracił ukochaną córkę w najgorszy możliwy sposób: ktoś ją zamordował i wrzucił ciało do oceanu, a on nie wiedział kto. Żałował, że nie zrobił czegoś od razu, gdy mu powiedziała, że zgwałcił ją pies w szkolnej ubikacji. Dlaczego od początku nie szukał tego psa albo dlaczego nie zarżnął wszystkich kundli w mieście, tak jak próbował tego po amatorsku Kinkin?

— *Mijn hond is weggelopen* — powiedział. Uciekł mi pies. Ale nikt nie wiedział, co przez to rozumie.

Po spaleniu komisariatu natknął się na pierwszego psa — kundla buszującego w śmietniku. Złapał go i skręcił mu kark, uśmiercając zwierzę.

— Co z tego, że mam władzę, jeśli nie zdołałem ustrzec własnej córki przed psem? — pytał. — Zabijmy wszystkie psy w mieście!

Zbiry rozeszły się po mieście w dużych grupach, uzbrojonych po zęby. Wielu miało wiatrówki, inni maczety, a jeszcze inni samurajskie miecze.

— Zrobię to, choć pewnie nie zaznam spokoju — westchnął Maman Gendeng.

— A nie możesz zrobić sobie drugiego dziecka? — To głupie pytanie zadał Romeo.

— Nawet gdybym miał dziesięcioro innych dzieci, ktoś zabił mi córkę i z tego

powodu nie mogę się zatrzymać. — Zglądał w pokryte brukiem zaułki, wypatrując psów, i dodał ze smutkiem: — Miała tylko siedemnaście lat.

— Córka Szodanco też umarła — mruknął Romeo.

— Nie czuję się przez to lepiej.

Tak rozpoczęła się najbardziej przerażająca masakra psów, przypominająca masakrę komunistów sprzed osiemnastu lat. Kto wie, co by się stało, gdyby dowiedział się o niej Szodanco, bo psy w mieście były skrzyżowane z *ajakami*, które hodował, ale Szodanco nie było, bo szukał ciała córki. Zbiry bez trudu zarzynały psy wałęsające się po ulicach i ćwiartowały je na kawałki jak mięso na *satay*. Ociekające krwią głowy kundli wieszali na narożnikach ulic, niczym ostrzeżenie dla pozostałych, żeby trzymały się z dala od miasta. Po wybiściu ulicznych mieszańców zaczęli się rozglądać za psami domowymi, przewracali ogrodzenia posesji i zabijali zwierzęta w kojcach. Wdzierali się również do domów, tłukąc okna i mordując leżących spokojnie na poduszkach pupili, obcinając im głowy i wrzucając je do kuchennych woków.

Ludzie się oburzali, ale Maman Gendeng miał to gdzieś.

— Jeśli to prawda, że pies zgwałcił moją córkę — mówił — to psy nauczyły się zła od ludzi. — Rozkazał więc podwładnym, żeby niszczyli posesje właścicieli psów.

— Będziemy musieli zmierzyć się z wojskiem, jeśli nie skończymy z tą rozpierduchą — ostrzegał Romeo mocno przestraszonym głosem.

— Już kiedyś się z nim mierzyliśmy.

Romeo spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Co jeszcze twoim zdaniem może zrobić ojciec, doprowadzony do ostateczności zamordowaniem córki? — zapytał Maman Gendeng. — Wiem, że ci ludzie niczemu nie zawinili, ale jestem u granic.

Rzeczywiście był wściekły na każdego mieszkańca miasta, z wyjątkiem swoich kumpli, ale śmierć córki posłużyła mu też za swego rodzaju wymówkę. Od dawna żywił urazę do współobywateli, wiedział bowiem doskonale, że gardzą nim i jego przyjaciółmi, traktując ich jak bezrobotnych goryli, którzy zabijają czas piciem piwa i wszczynaniem bójek. Żywił do nich urazę również dlatego, że uważali Piękną Rengganis za idiotkę, choć wodzili za nią pożądanym zбочonym wzrokiem. Miał więc powody, żeby czuć gniew.

— Uważają nas za społeczne wyrzutki — podsumował. — To prawda, ale większość z nas nigdy nie miała szansy na pójście do szkoły i zrobienie czegoś z własnym życiem, a oni trzaskają nam drzwiami przed nosem. A potem się dziwią, że zostajemy rabusiami, kieszonkowcami i marnujemy czas, szukając okazji do zemsty na tych, którzy nas do tego doprowadzili. Gdy widziałem dobrych ludzi ze szczęśliwymi rodzinami, czułem zazdrość. Chciałem coś takiego osiągnąć. W końcu zdołałem zdobyć to, czego dla siebie pragnąłem, a teraz, gdy

posmakowałem szczęścia, ktoś odebrał mi całą radość życia. I wszystkie stare urazy otwały się jak niezabliźnione rany.

To, czego obawiał się Romeo, wydarzyło się naprawdę. W mieście doszło do zamieszek. Niektórzy właściciele psów walczyli ze zbirami, a ci stawali się przez to jeszcze okrutniejsi, demolując wszystko po drodze. Niszczyli samochody, wyrywali uliczne znaki i rzucali nimi, podobnie jak rosnącymi wzdłuż ulic drzewami. Witryny sklepów wyłuskali w drobny mak. Spalili następne posterunki policji i zranili wielu ludzi. W mieście zapanował nadzwyczajny terror, aż w końcu naczelne dowództwo wydało rozkaz o stanie wyjątkowym. Do zaprowadzenia porządku wyznaczono Szodanco, który wiedział, że trzeba będzie wyróżnić wszystkich zbirów, jeśli się nie opamiętają.

— Od dawna uważałem, że tych łajdaków należy wykończyć, tak jak komunistów — powiedział Szodanco do żony, wróciwszy do domu po kolejnych bezowocnych poszukiwaniach ciała Ai.

— Rozprawiłeś się z towarzyszem Kliwonem, a teraz chcesz zabić Maman Gendenga? — zapytała żona (nigdy nie powiedziała Szodanco, że spała z towarzyszem dzień przed tym, gdy popełnił samobójstwo). — Chcesz, żeby wszystkie moje siostry zostały wdowami?

Szodanco popatrzył na nią zaskoczony.

— Jeśli go nie zabiję, to on pozabija wszystkich w tym mieście, więc co mam twoim zdaniem zrobić? — zapytał Szodanco. — Pomyśl sama: najpierw nie ochronił córki, którą ktoś zgwałcił, potem zmusił ją do ślubu z chłopakiem, za którego nie chciała wyjść, więc uciekła, gdy urodziła dziecko. A ponieważ uciekła, nasza córka, która była jej najbliższą przyjaciółką, rozchorowała się i umarła. A potem ktoś porwał jej ciało z grobu. Nic nie rozumiesz? Przywódca tej bandy rzezimieszków zabił naszą córkę, naszą Ai, trzecią Nurul Aini.

— Dlaczego nie winisz za to Ewy, która skusiła Adama, żeby skosztował jabłka, zmuszając nas do życia na tym przeklętym świecie! — zawołała z irytacją Alamanda.

Szodanco, jak się okazało, nie przywiązywał żadnej wagi do słów żony. Miał rozkazy z naczelnego dowództwa w sprawie zamieszek wywołanych przez bandytów, a do tego był wściekły z powodu śmierci Ai i nadal żywił urazę do Maman Gendenga, który wpadł kiedyś do dowództwa okręgu i ośmielił się mu grozić, bo Szodanco przespał się z Dewi Ayu. Nikt nigdy nie ważył się grozić Szodanco twarzą w twarz, ani Japończyk, ani Holender, tylko ten łachudra! Choć na własne oczy widział, co potrafi Maman Gendeng, sądził, że są sposoby, aby go unieszkodliwić, a on nie zawaha się ich użyć. Uchodził za przyjaciela Maman Gendenga przy stoliku do kart, ale jednocześnie marzył o tym, żeby go zabić. Teraz nadeszła odpowiednia pora, więc stał się głuchy na słowa Alamandy.

— Zrób to i nigdy tutaj nie wracaj! — wrzasnęła w końcu Alamanda. —

Wszystkie trzy zostaniemy wdowami i sprawiedliwości stanie się zadość.

— Adinda wciąż ma Krisana.

— Więc zabij tego chłopca, jeśli jesteś zazdrosny.

Szodanczo osobiście dowodził rozprawą ze zbirami. Postawił pod bronią wszystkich żołnierzy i ściągnął posiłki z najbliższych posterunków wojskowych. Zwołał naradę sztabu i przedstawił mapę działań zbirów oraz plan operacji przeciwko nim. Był już za stary na działania w polu — wciąż czekał na oficjalne przeniesienie w stan spoczynku — ale nie brakowało mu energii i odrobiny sprytu.

— Nie zrobimy tego tak jak wtedy, gdy zarzynaliśmy komunistów — powiedział.

— Tym razem każdego zabitego włożymy do worka.

Przyjechała ciężarówka wypełniona pustymi workami.

Operację przeprowadzono w nocy, żeby nie wywoływać masowej paniki. Żołnierze zajęli pozycje w mieście, byli uzbrojeni, ale ubrani po cywilnemu. Rozstawiono snajperów, mierzących do zbirów. Za zbira brano każdego, kto był wytatuowany, pił alkohol, wszczywał awantury albo zabijał psy, a wszystkich zbirów zabijano na miejscu i wkładano do worków, worki zaś rzucano do rowów nawadniających lub zostawiano przy drodze. Ci, którzy ich znajdą, zakopią ich w workach: było to bardziej praktyczne od owijania ich w całuny.

— Nie zasłużyli na całun — mówił Szodanczo. — Ani na miejsce na cmentarzu.

Rankiem pierwszego dnia z miasta zniknęła połowa przestępców — trafili do worków, które przewiązywano plastikowym sznurkiem. Worki znajdowano przy drogach, kołyszące się w rzece, wyrzucane przez fale na brzeg, w stertach za krzakami i w rowach irygacyjnych. Niektóre z nich szarpały psy, inne obsiadły muchy. Nikt nie ośmielił się tknąć żadnego worka przed nadejściem popołudnia. Ludzie byli uradowani, że — nie wiadomo skąd — nadeszła pomoc w rozprawie z awanturnikami. Oczywiście nadal pamiętali o masakrze komunistów oraz o trwającym latami terrorze komunistycznych duchów. Ale tak czy siak, zbiry były lepsze jako duchy niż jako awanturnicy z krwi i kości, niedający żyć spokojnym ludziom. Zostawiali więc trupy w workach, mając nadzieję, że czerwie i sępy zrobią swoje. Ale gdy z worków zaczął się wydobywać smród zgnilizny tak obrzydliwy, że nie dało się go znieść, zakopywali worki leżące najbliżej domów, a wraz z nimi trupy.

Ale nie mieli wrażeń, że zakopują trupy, bo przypominało to zakopywanie ludzkiego łajna w bananowym sadzie.

Masakra przeciągnęła się na drugą i trzecią noc, potem czwartą, piątą, szóstą i siódmą. Operacja była bardzo sprawna: wyróżniono niemal wszystkich zbirów w Halimundzie. Ale Szodanczo wciąż nie był usatysfakcjonowany, bo wśród trupów nie znalazło się ściervo Maman Gendenga.

Maman Gendeng nie wracał do domu przez cały tydzień. Maja Dewi bardzo się o niego martwiła, szczególnie gdy usłyszała, że ktoś zabija miejscowych zbirów

jednego po drugim przez siedem nocy z rzędu. Każdy zbior ginął od kuli w głowę albo w pierś. Choć nikt nie wiedział na pewno, wszyscy domyślali się, kto to robi, bo tylko wojsko mogło nosić pistolety i karabiny. Więc Maja Dewi poszła poszukać Szodanczo.

— Czy zamordowałaś mojego męża?

— Jeszcze nie — odrzekł ze smutkiem Szodanczo. — Zapytaj żołnierzy.

Więc pytała jednego po drugim, niemal wszystkich żołnierzy w mieście, a każdy z nich odpowiadał tak jak Szodanczo:

— Jeszcze nie.

Ale nie wierzyła im ani trochę. Szodanczo zesłał towarzysza Kliwona na Wyspę Buru, więc z pewnością był zdolny zabić Maman Gendenga. Miała nadzieję, że jej mąż jest rzeczywiście niezwyciężony, ale widząc tyle trupów na ulicach, nie mogła przestać go szukać, bo może któreś z tych ciał należało do niego.

Więc ta piękna kobieta w czerwonej chustce, chroniącej ją przed palącym słońcem, chodziła od jednego worka do drugiego i rozplątywała jeden po drugim plastikowe sznurki — nieporuszona atakującym jej nozdrza smrodem zgnilizny, lekceważąc współzawodniczące z nią muchy — i oglądała gnijące w workach ciała, porównując zniekształcone twarze z ukochanym obliczem męża, które nosiła w pamięci. Ani jeden z trupów nie był Maman Gendengiem, ale rozpoznała większość jego wiernych druhów, była więc pewna, że zginął wraz z nimi. Ta cała gadanina o niezwyciężonym Maman Gendengu to pewnie zwykłe bzdury. Musi go odnaleźć i jeśli rzeczywiście jest już martwy, wyprawić mu godny pogrzeb.

Żeby sprawdzić, czy ktoś z tych, którzy nie mogli znieść smrodu rozkładających się ciał, nie zakopał przypadkiem jej męża, podeszła do grupy dorywczych grabarzy i zapytała o Maman Gendenga.

— Sądząc po smrodzie, jeszcze go nie zakopaliśmy.

— A jak według was śmierdzi mój mąż?

— Musi śmierdzieć gorzej od tych wszystkich zbiorów, bo był najgorszy z nich.

Maja Dewi przyjęła do wiadomości prawdę zawartą w tych słowach i nie przestawała szukać. Goniła dwa worki z trupami, płynące rzeką i odpychane od brzegu przez nurt, ale gdy ostatkiem sił je dopadła, w żadnym nie znalazła męża. Zaglądała także do worków wyrzuconych na plażę, które wypłoszyły wszystkich turystów z Halimundy. Ale po całym dniu poszukiwań okazało się, że trudziła się na próżno, więc po zmroku wróciła do siebie, łudząc się, że tej nocy nie będzie już rzezi, a mąż wróci bezpiecznie do domu. Jej życzenie się nie spełniło, więc wraz z nastaniem ranka wznowiła poszukiwania, zaglądnąc do worków, których jeszcze nie sprawdziła.

Szukała wytrwale, aż spotkała dwóch mężczyzn, którzy powiedzieli jej, że widzieli, jak jej mąż i Romeo uciekli na przylądek do dżungli siódmego dnia masakry. Ale żołnierze też o tym wiedzieli, więc ścigała się z czasem, w nadziei, że

jeszcze nie zdążyli go zastrzelić. Zagłębiła się samotnie w las, mając klapki na nogach, a na głowie tę samą czerwoną chustkę, którą nosiła poprzedniego dnia. Szła, potykając się na nierównej od wystających korzeni ścieżce. Dżungla porastająca przylądek była pod ochroną od czasów kolonialnych i mieszkały w niej nie tylko małpy i dzikie świnie, ale też bawoły, a nawet jaguary, jednak Maja Dewi niczego się nie bała. Chciała tylko odnaleźć męża, żywego lub martwego.

Trafiła w lesie na czterech żołnierzy i zatrzymała ich.

— Zabiliście mojego męża?

— Tym razem tak, proszę pani — powiedział ich dowódca. — Proszę przyjąć nasze kondolencje.

— Co zrobiliście z jego ciałem?

— Musi pani przejść sto metrów i znajdzie pani trupa. Roi się nad nim od much, bo najpierw go ukrzyżowaliśmy na drzewie mango.

— Jest w worku?

— W worku — odrzekł żołnierz. — Zwinięty w kłębek jak dziecko.

— Żegnam.

— Do widzenia.

Maya Dewi poszła dalej i po pokonaniu stu metrów, tak jak mówił żołnierz, ujrzała worek, nad którym roiło się od much. Żywiące się padliną sępy już zaczynały go dziobać, a dwa *ajaki* szarpały za rogi. Maja Dewi przepędziła całe to towarzystwo, rozplątała sznurek i zajrzała do środka, żeby się upewnić, czy ten „zwinięty w kłębek jak dziecko” to rzeczywiście jej mąż. Twarz była niemal nierozpoznawalna, ale to był on. Nie zapłakała nad nim, nie wtedy w każdym razie. Z godnym podziwu opanowaniem związała worek plastikowym sznurkiem. A ponieważ nie miała siły, żeby zarzucić go sobie na plecy, wlokła worek za sobą przez całą drogę od miejsca, w którym go znalazła, aż do cmentarza komunalnego Budi Dharma, gdzie poprosiła, aby pochowano jej męża w godny sposób. Muchy roiły się nad workiem przez cały czas i ciągnęły się za nim jak ogon komety.

Rozpierzchły się dopiero wtedy, gdy Kamino obmył szczątki i skropił je perfumami. Trup leżał teraz sztywno z dziurą od kuli na czole i jeszcze jedną w piersi: zginął natychmiast od dwóch strzałów. Rana na piersi była tuż nad sercem. Maja Dewi zapłakała dopiero wtedy, gdy ujrzała tę ranę, a Kamino, chcąc oszczędzić jej bólu, owinął ciało całunem. Odmówił modlitwę za umarłych wraz z Kinkinem, który złożył pośmiertne uszanowanie niedoszłemu teściowi. Ciało Maman Gendenga pochowano tuż obok grobu córki, a Maja Dewi przez godzinę klęczała między dwoma mogiłami, czując się porzucona, zapomniana i samotna. Rozpoczęła żałobę, a trzeciego dnia Maman Gendeng powrócił z za grobu.

Jak już wielokrotnie dowiedziono, człowiek ten był prawdziwie niezwykły. Nie bał się masakry. Ale nie mógł znieść widoku trupów przyjaciół na ulicach, dlatego zwrócił się do wiernie towarzyszącego mu Romea:

— Ucieknijmy do dżungli.

Uciekli siódmego dnia masakry, przenosząc się wcześniej z jednej kryjówki do drugiej. To prawda: miasto już nie cieszyło *premana*. Nie mógł czuć dumy ze swej siły i niezwyciężoności, widząc tylu martwych, leżących pokodem przyjaciół.

— Wkrótce staną się duchami, a jeśli przeżyjemy, będziemy cierpieć wraz z nimi ich cierpienia — powiedział podczas ucieczki, przypominając sobie ostatnie dni życia towarzysza Kliwona, zdruzgotanego z rozpaczony z powodu coraz większych cierpień duchów partyjnych towarzyszy. Takie życie było nie do zniesienia i Maman Gendeng chciał tego uniknąć.

— Nie ma sposobu, żeby uciec przed duchami — stwierdził Romeo.

— To prawda, o ile sami się do nich nie przyłączymy, tak jak zrobił to, wieszając się, towarzysz Kliwon.

— Brakuje mi odwagi, żeby się zabić — wyznał Romeo.

— Ja też tego nie zrobię — mruknął *preman*. — Zastanawiam się nad jakimś innym rozwiązaniem.

Postanowił uciec na porośnięty dżunglą przylądek, ponieważ nikt na nim nie mieszkał. Las znajdował się pod państwową ochroną i z tego powodu nie wyrabali go rolnicy, ale był pilnowany przez leniwych strażników leśnych. Miał nadzieję, że chowając się w dżungli, zyska trochę czasu, zanim znajdą go żołnierze, którzy oczywiście nie zdołają go zabić, ale będą mu się naprzykrzać. Starał się podjąć jakąś decyzję.

— Nie ma mowy, żebym został przy życiu, wiedząc, że wszyscy moi kumple zginęli w masakrze — oznajmił zrozpaczony.

— Nie ma mowy, żebym zdecydował się umrzeć, gdy tylu ludzi cieszy się wspaniałym życiem — odrzekł oschle Romeo.

— A ja wciąż myślę o żonie. Będzie jej tak przykro, bo przecież niedawno straciliśmy córkę.

— Mnie żona nie obchodzi. Znajdzie sobie mnóstwo innych gości, z którymi będzie mogła się pieprzyć i którym nie przeszkadza jej szkaradna twarz — stwierdził Romeo. — Ale i tak wolałbym żyć.

Znaleźli się na niewielkim wzgórzu z wyżłobioną przez Japończyków jaskinią, która służyła im za obronny bunkier. Odpoczęli na szczycie wzgórza, a Maman Gendeng dalej rozważał, czy ma się zabić, czy też jednak nie zostawiać Mai Dewi całkiem samej na świecie. Zajrzał do tej japońskiej jaskini, ciemnej i wilgotnej, z wybetonowanymi kwadratowymi ścianami, przez co przypominała bardziej więzienną celę, a nie bunkier. Ale takie miejsce idealnie nadawało się do medytacji. Maman Gendeng miał zamiar medytować do osiągnięcia wyzwolenia i opuszczenia tego świata w mokszy, ale myśl o żonie wciąż nie dawała mu spokoju, więc powiedział w końcu:

— Cokolwiek się stanie, prędzej czy później nadejdzie śmierć. A Maja Dewi to

najsilniejsza kobieta, jaką znam.

Postanowił medytować w japońskim bunkrze i wszedł do środka. Rozkazał Romeo, żeby stanął na warcie na szczycie wzgórza na wypadek, gdyby żołnierze, idąc ich tropem, dotarli aż tutaj.

— Daj mi znać, jeśli ich zobaczysz — powiedział.

— Pozabijam ich wszystkich, zanim się tu pojawią — odrzekł chełpliwie Romeo.

— Nie słyszę aż takiej pewności w twoim głosie — powiedział Maman Gendeng — ale ufam ci.

Wszedł do bunkra, usiadł na wilgotnej posadzce i zaczął medytować. Nie minęło zbyt wiele czasu, a osiągnął mokszę: zniknął, rozplynał się w małych kulach światła. Nie zabił się, ale opuścił ten świat, zrzucając ciało, porzucając materię, która krępowała jego duszę, i stał się jednym roziskrzonym jak kryształ światłem, unoszącym się ku niebu. Ale zanim wstąpił do nieba, zobaczył czterech żołnierzy celujących z karabinów do Romea na szczycie wzgórza. Chciał mu pomóc i na chwilę odebrać żołnierzom wzrok, ale zanim to zrobił, usłyszał głos Romea:

— Nie zabijajcie mnie! Powiem wam, gdzie się ukrył Maman Gendeng.

— Dobra, powiedz — zgodził się jeden z żołnierzy.

— Medytuje w japońskim bunkrze.

Żołnierze zeszli po stoku i przeszukali japoński bunkier, ale rzecz jasna, nie znaleźli w nim Maman Gendenga. Romeo chciał skorzystać z szansy i uciec, ale Maman Gendeng nie miał zamiaru do tego dopuścić i przykuł go do polany, więc Romeo biegł jak szalony, stojąc w miejscu.

— Zdrajca zawsze pozostanie zdrajcą — powiedział Maman Gendeng, a Romeo, który go nie widział, usłyszał jego grzmiący niebiański głos.

Potem, zanim wrócili żołnierze, przekształcił twarz Romea w swoje ziemskie oblicze i zostawił go na pewną śmierć.

— A więc mamy cię wreszcie, Maman Gendeng! — zawołali żołnierze, celując z karabinów do Romea stojącego na szczycie wzgórza.

— Jestem Romeo! — zaprotestował zdrajca. — A nie Maman Gendeng.

Ale dwa strzały z karabinu zakończyły jego życie. Pierwsza kula trafiła go w czoło, druga w pierś. Właśnie tego trupa znalazła Maja Dewi, a Maman Gendeng wstąpił do nieba i odwiedził ją trzeciego dnia po osiągnięciu mokszy.

1. W hinduizmie: wyjście poza krąg samsary, reinkarnacji, i całkowite zjednoczenie się z bogiem. ↵

TEN POTĘŻNY ZŁY DUCH był wielce uradowany z wszystkich swoich triumfów: pomścił nienawiść i urazy, choć czekał na to tak długo.

— Odebrałem im tych, których kochali — powiedział Dewi Ayu — tak jak on odebrał mi tę, którą ukochałem.

„Odebrałem im tych, których kochali, tak jak on odebrał mi tę, którą ukochałem”, grzmiało echo jego głosu.

— Ale ja też cię kochałam! — zaprotestowała Dewi Ayu. — Wielką miłością z samego środka mojego jestestwa.

— Owszem, dlatego musiałem od ciebie uciec, wnuczko Stammlera!

„Owszem, dlatego musiałem od ciebie uciec, wnuczko Stammlera!”

Dewi Ayu nie mogła uwierzyć, jak głęboko zakorzeniło się w tym złym duchu pragnienie zemsty. Zawsze wyglądał na całkiem zwyczajnego ducha. Wiedziała, że ma jakieś złowrogie zamiary co do przyszłości, ale nigdy nie wyobrażała sobie, że zdoła wyrządzić tyle krzywd, ani nie domyślała się, że gorycz zakorzeniła się tak głęboko w jego sercu.

*

— Przypatrz się swoim córkom — mówił zły duch. — Wszystkie są teraz żałosnymi wdowami, a czwarta jest starą panną, której nikt nie pojmie za żonę!

„Przypatrz się swoim córkom. Wszystkie są teraz żałosnymi wdowami, a czwarta jest starą panną, której nikt nie pojmie za żonę!”

Powiedział to po zabiciu Szodanczo w partyzanckiej chacie, w której panował latami. Gdy Szodanczo pojawił się w niej niespodziewanie pewnego wczesnego ranka i przykucnął przed paleniskiem, Dewi Ayu, która nie żyła od wielu lat — a za życia nie widziała go równie długo — zapomniała, że jest jej zięciem. Powiedział, że od dawna — odkąd zmasakrował zbirów w Halimundzie — przeczesuje miasta i dżunglę w poszukiwaniu wykradzonego ciała córki. Był wyczerpany i wrócił do miasta jako nikt, kompletne zero. Nie odważył się wrócić do żony Alamandy, więc przyszedł do teściowej Dewi Ayu.

— Nie miałem postaci odpowiedniej do odegrania roli zabójcy Szodanczo — oznajmił zły duch. — Więc musiałem zrobić to sam.

„Nie miałem postaci odpowiedniej do odegrania roli zabójcy Szodanczo. Więc

musiałem zrobić to sam”.

— Od samego początku wiedziałam — odrzekła Dewi Ayu — że jesteś marnym komediantem.

Nie, nie zrobił tego osobiście, to znaczy własnymi rękami. Bo też żaden człowiek nie zabił Szodanczo. Jako porzucony i samotny stary człowiek, nie mając odwagi stanąć przed żoną, która posłała go do wszystkich diabłów, gdy doprowadził do tego, że jej młodsze siostry zostały wdowami, straciwszy ukochaną córkę, często znajdował chwile ukojenia, odwiedzając partyzancką chatę na porośniętym dżunglą przylądku. Chata była taka jak zawsze, choć nie tak już mocna jak kiedyś, ale wciąż mógł w niej dawać upust kojącej nostalgii.

Znalazł sobie zajęcie — znów hodował *ajaki* przy chacie. Był już stary i słaby, ale nadal umiał wybierać szczeniaki z nor. Aż któregoś dnia pojawiła się szukająca szczeniaków wadera.

Leżał na głazie, na którym zwykł jadać z partyzantami — na tym samym, na którym Piękna Rengganis złożyła trupka dziecka, nim rzuciła go psom — gdy na czele sfory nadbiegła ta suka. Nie czekała zbyt długo, widząc swojego oprawcę nieprzygotowanego do walki, rzuciła mu się prosto do krocza i wydarła kawał mięsa z uda. Szodanczo był już stary, miał stępiony instynkt i nie mógł skutecznie się bronić. Nie zdołał nawet wstać, gdy dwa inne *ajaki* doskoczyły do jego ramienia i łydki. Na całym ciele miał teraz otwarte rany, a jego starcza krew tryskała na kamień. Wykręcił się jakoś i zaczął kopać, to w jedną stronę, to w drugą, mając nadzieję, że strząśnie z siebie psy, ale odniósł już poważne obrażenia i tracił powoli siły. Uspokoił się, spojrział w niebo, zdawszy sobie sprawę, że śmierć jest nieuchronna i że nadeszła w postaci *ajaków*, o które dbał przez całe życie. Zginął, rozszarpany przez psy, pożarty za życia. Pamiętajcie jednak, że w rzeczywistości *ajaki* są dosyć leniwe i żywią się przeważnie padliną. Szodanczo był prawdopodobnie jedynym człowiekiem pożartym żywcem przez te zwierzęta.

Po upływie tygodnia Dewi Ayu zaczęła się martwić o Szodanczo, bo zazwyczaj nigdy nie zostawał tak długo w partyzanckiej chacie. Z pomocą dwóch starych żołnierzy, którzy służyli kiedyś pod jego rozkazami, zaczęła się przedzierać przez dżunglę na przylądku, szukając zięcia. Znaleźli przerażające i żałosne truchło. Twarz niemal całkiem wyżarły psy, więc jedyne, co dało się rozpoznać, to strzępy munduru. *Ajaki* nie odciągnęły zdobyczy, żarły ją na miejscu, dopóki była ciepła, a sępy wydziobały strzępy mięsa na kościach. Dewi Ayu przybyła na miejsce, zanim reszta zgniła.

Zanieśli Alamandzie to, co z niego zostało w czarnym plastikowym worku — takim, do jakiego strażacy wkładają trupy z pożaru i wiozą do kostnicy — położyli ten czarny plastikowy worek u jej stóp, a Dewi Ayu zwróciła się do córki:

— Dziecko, przynoszę ci szczątki twojego męża. Zagryzły go i pożarły *ajaki*.

— Miałam przeczucie, że tak się stanie, mamó, odkąd przyszedł do miasta z dziewięćdziesięcioma sześcioma *ajakami*, żeby polować na dzikie świnię — odpowiedziała Alamanda, która ani trochę nie wyglądała na zrozpaczoną.

— Okaż odrobinę smutku — doradziła jej matka. — Choćby dlatego, że nic ci nie zapisał w testamencie.

Alamanda pochowała te kości z kawałkami rozszarpanego mięsa, przypominające kości wołowe, rąbane i sprzedawane na zupę. Pogrzeb Szodanczo odbył się na cmentarzu bohaterów wojennych, z asystą wojska. Alamanda była wdzięczna i za to, bo bała się, że gdyby pochowano go na cmentarzu komunalnym, jego duch zmagałby się z duchem towarzysza Kliwona. Na cmentarzu bohaterów wojennych zazna spokoju w trumnie spowitej flagą narodową. Na jego cześć oddano salwę honorową z armat, a Alamanda wyobrażała sobie, że z armat wystrzelują w niebo ducha jej męża, żeby już nigdy nie wracał na ziemię, i myśl ta uradowała ją nieco.

Została prawdziwą wdową, tak jak jej dwie młodsze siostry.

*

— Po raz pierwszy domyśliłam się, że knujesz zemstę, gdy zmasakrowali komunistów, a ten towarzysz miał stanąć przed plutonem egzekucyjnym — powiedziała Dewi Ayu, kierując ponownie uwagę na złego ducha.

— Powinien wtedy umrzeć w mękach.

„Powinien wtedy umrzeć w mękach”.

— Ale miłość zwyciężyła śmierć — przerwała mu Dewi Ayu. — Alamanda ocaliła go przed samą śmiercią.

Zły duch zarechotał szyderczo.

— A po dziesięciu latach pieprzyła się z nim tuż przed jego śmiercią! Z własnej ręki. Z własnej ręki!!! Powiesił się! Cha, cha, cha.

„A po dziesięciu latach pieprzyła się z nim tuż przed jego śmiercią! Z własnej ręki. Z własnej ręki!!! Powiesił się! Cha, cha, cha”.

— A ja w końcu pojęłam, co się dzieje.

To prawda. Dewi Ayu zrozumiała wtedy, że zły duch knuje zemstę. Przypuszczała, że zabije miłość w jej rodzinie i potomków Teda Stammlera, tak jak Ted Stammler zabił miłość, która połączyła go z Ma Iyang, nie spodziewała się jednak, że jego zemsta będzie tak okrutna. Gdy ten zły duch wciąż stąpał po ziemi i był tylko mężczyzną, Dewi Ayu odczuwała jego niezgłębiony smutek we własnym sercu, chociaż go jeszcze nie знаła. To doprowadziło ją do ślepej miłości i skłoniło do małżeństwa. Chciała oddać mu miłość, której nigdy nie zaznał od jej babki Ma Iyang porwanej przez jej dziadka Teda Stammlera. Ale ten człowiek nie przyjął jej miłości — przeczystej, płynącej z głębin jej bytu. Wtedy zrozumiała, że jego miłość do Ma Iyang nie da się niczym zastąpić, i poczuła, jak cierpi coraz

mocniej i mocniej, gdy jego jedyna prawdziwa miłość została wyrwana z korzeniami. Więc kiedy zginął, domyślała się, że stanie się dokuczliwym, mściwym i tragicznym duchem, który nigdy nie zazna spokoju w świecie zmarłych. I to się sprawdziło. Duch podążał za nią wszędzie. Czuła jego obecność w Bloedenkamp, w burdelu i obu domach. Ale nie domyśliła się, że knuje straszliwą zemstę, aż do dnia, w którym kochany przez jej dwie córki, Alamandę i Adinę, towarzysz Kliwon miał stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

— Nie był jeszcze wtedy żonaty, a ja nie pozwoliłbym mu umrzeć bez ślubu z którąś z nich! Cha, cha, cha.

„Nie był jeszcze wtedy żonaty, a ja nie pozwoliłbym mu umrzeć bez ślubu z którąś z nich! Cha, cha, cha”.

Niedługo po śmierci Szodanczo Dewi Ayu z niezłomnym postanowieniem zakończenia jego wendety wezwała wreszcie złego ducha przy pomocy tego znajdującego się na *jailangkung* chłopaka, Kinkina. Zły duch stanął przed nią, tarzając się ze śmiechu, ukazując jej swą niezgłębioną złowrogą radość.

— To jest właśnie ten zły duch, który raz po raz nie pozwalał mi dowiedzieć się, kto zabił Piękną Rengganis — powiedział Kinkin.

— Owszem, odebrałem ci nawet t ę, którą k o c h a ł e ś. Cha, cha, cha.

„Owszem, odebrałem ci nawet t ę, którą k o c h a ł e ś. Cha, cha, cha”.

Dowiedziawszy się z szumu wiatru i wycia *ajaków* w głębi dżungli, że na prośbę Alamandy nie zgładzono towarzysza Kliwona, Dewi Ayu uwierzyła, że nie wszystko jeszcze stracone i miłość pokona mściwą klątwę ducha jej męża, choć nie miała pewności, że tak się stanie. Zastanawiała się nad tym przez niemal całe dorosłe życie — jak ocalić córki i ustrzec je przed nieszczęściem, uwolnić je od pełnej urazy klątwy złego ducha, który miał być jej towarzyszem i przeciwnikiem przez całe życie i później. Więc kiedy córki znalazły mężów, wygnała je z domu i zabroniła im wracać do siebie kiedykolwiek. Nie wygoniła tylko Mai Dewi i Maman Gendenga, ale postanowiła, że sama przeniesie się do nowego domu. Chciała oddalić potomstwo od ducha, choć nie wiedziała jeszcze, że ten szykuje straszną zemstę.

Zatroskała się znowu, gdy jakieś dziesięć lat po ślubie ostatniej córki znowu zaszła w ciążę. Hodowała w łonie świeżą ofiarę dla złego ducha. Postanowiła ocalić to dziecko wszelkimi sposobami. Wielokrotnie próbowała się go pozbyć, żeby nigdy nie przyszło na ten świat, nie doświadczyło klątw i zemsty. Ale dziecko było tak silne, że nie zdołała go zabić, ani dalej rosło w jej brzuchu. Jeśli to była dziewczynka, będzie piękna jak jej siostry, a jeśli chłopiec, stanie się

najprzystojniejszym mężczyzną na ziemi. Taka istota jest obsypywana miłością i ma jej tyle, że chętnie się nią dzieli, na co tylko czekał ten zły przyczajony duch, którego obecność nie dawała Dewi Ayu spokoju. Zniszczy każdą miłość, tak jak Ted Stammler zniszczył jego miłość do Ma Iyang.

Więc powiedziała Rosinie:

— Mam już dosyć rodzenia pięknych córek.

— Jeśli tak, niech się pani modli o brzydkie dziecko.

Była wdzięczna tej niemej dziewczynie, bo jej modlitwy zostały wysłuchane i po raz pierwszy urodziła szkaradną córeczkę, brzydszą od najbrzydszej kobiety na świecie. Z radości, ale też nie starając się nawet ukrywać ironii, postanowiła dać jej na imię Piękna. Żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie pokocha kogoś o takiej twarzy i takim ciele. Będzie wolna od klątwy złego ducha. Dewi Ayu była wdzięczna Rosinie.

— Ale teraz jest w ciąży! — ryknął zły duch. — Czy to nie dowodzi, że ktoś ją pokochał!

„Ale teraz jest w ciąży! Czy to nie dowodzi, że ktoś ją pokochał!”

Zły duch miał rację.

— Ale jeszcze go nie zabiłeś.

— Jeszcze go nie zabiłem.

„Jeszcze go nie zabiłem”.

Pewnej nocy, usłyszawszy ponownie te dziwne odgłosy przypominające chrząkanie i jęki kochającej się pary, Dewi Ayu wdarła się w końcu do sypialni, rąbiąc drzwi siekierą. Była szczerze rozczarowana, że ktoś kocha się z tą szkaradną Piękną. Ktoś ją pokochał, a właśnie tego sobie nie życzyła od chwili poczęcia tego dziecka. Rozżalona, chciała wiedzieć, kim jest ten idiota, który pokochał taką dziewczynę. Ale w sypialni nie było nikogo oprócz Pięknej, która bardzo się wystraszyła i całkiem naga skuliła w kącie pokoju.

— Z kim się kochałaś?! — wrzasnęła Dewi Ayu ze złością, zawodem i strachem w głosie.

— Nigdy ci nie powiem. To mój książę.

Ale Dewi Ayu coś zauważyła, jakiś rozmazany kształt zsuwający się z łóżka. Ruszyła ku nocnej lampce i dostrzegła ledwo widoczne odciski stóp na podłodze, wilgotne jak od potu ślady, nieco wyraźniejsze, gdy zapaliła lampkę. Niewidzialna postać odsunęła pospiesznie zasłonę, otworzyła okno i — jakżeby inaczej — wyskoczyła na dwór. Dewi Ayu przyszło wówczas do głowy, że z Piękną kochał się duch, choć nie miała pojęcia dlaczego.

— Nie, to nie byłem ja — uspokoił ją urażony zły duch.

„Nie, to nie byłem ja”.

— Nie pozwoliłeś mi zobaczyć, kto to jest!

— To prawda. Cha, cha, cha.

„To prawda. Cha, cha, cha”.

Wyglądało na to, że jego zemsta powiodła się w całej rozciągłości, bez najmniejszego uchybienia, a jego klątwa będzie dalej niszczyła to, co zostało z jej rodziny. Alamanda straciła Szodanczo, i choć nigdy tak naprawdę go nie kochała, a przynajmniej nie za bardzo, bo przeważnie go nienawdziła, ale zdarzały się między nimi takie chwile, gdy rzeczywiście jej na nim zależało. Po stracie dwóch córek straciła i trzecią Nurul Aini, Ai, która umarła w tak młodym wieku. A Maja Dewi straciła Piękną Rengganis w jeszcze tragiczniejszych okolicznościach: ktoś zabił jej córkę i wrzucił ją do oceanu, a nikt nie wiedział kto. Potem jej mąż dostąpił mokszy i zniknął po wyrznięciu przez Szodanczo wszystkich zbirów. Średnia córka Dewi Ayu, Adinda, ujrzała martwego męża, gdy towarzysz Kliwon powiesił się w sypialni. Ale wciąż miała Krisana. A Piękna, jak się okazało, znalazła sobie kochanka. Dewi Ayu musi ocalić tych, którzy przeżyli, przed złym duchem. Nie pozwoli, żeby Adindzie zabrano Krisana, i nie dopuści, żeby Piękna straciła kochanka, kimkolwiek jest. Zrobi wszystko, by pokonać złego ducha.

— Muszę cię powstrzymać — zwróciła się do niego.

— Przed czym? — zapytał zły duch.

„Przed czym?”

— Przed zniszczeniem mojej rodziny.

— Cha, cha, cha. Los twojej rodziny jest z dawna przesądzony. Teraz już nic nie powstrzyma mojej zemsty.

„Cha, cha, cha. Los twojej rodziny jest z dawna przesądzony. Teraz już nic nie powstrzyma mojej zemsty”.

— Nie zdołałeś rozdzielić Henriego i Aneu Stammlerów — zauważyła Dewi Ayu.

— Bo jedno z nich jest krwią z krwi i kością z kości mojej ukochanej.

„Bo jedno z nich jest krwią z krwi i kością z kości mojej ukochanej”.

— A ja jestem wnuczką Ma Iyang.

— To za dalekie pokrewieństwo.

„To za dalekie pokrewieństwo”.

Dewi Ayu wysunęła spod poły sukni sztylet. Ostrze przypominało używany przez żołnierzy bagnet, ostry i lśniący.

— Znalazłam go u Szodanczo — oznajmiła.

Kinkin wpatrywał się z przerażeniem w nóż (rozgniewana kobieta z nożem w ręku!), ale zły duch tylko uśmiechnął się pogardliwie.

— Zabiję cię tym sztyletem.

— Cha, cha, cha. Żaden człowiek nie może mnie zabić — odpowiedział zły duch. „Cha, cha, cha. Żaden człowiek nie może mnie zabić”.

— Czy mogłabym chociaż spróbować? — zapytała Dewi Ayu.

— Nie krępuj się, masz wolną rękę.

„Nie krępuj się, masz wolną rękę”.

Dewi Ayu zbliżyła się do niego, a zły duch uśmiechnął się jeszcze obrzydliwiej, z jeszcze większą pogardą i pewnością siebie. Kinkin, który nie mógł znieść myśli, że będzie świadkiem morderstwa, ukrył twarz w dłoniach. Dewi Ayu zniosła spojrzenie złego ducha, sama spiorunowała go nienawistnym wzrokiem i przebiła dawnego męża z siłą rozwścieczonej do granic kobiety — z siłą dorównującą w ostatecznym rozrachunku potędze złego ducha. Trysnęła krew, a ona znów wbiła weń ostrze i krew trysnęła ponownie, uderzyła po raz trzeci, czwarty i piąty, a każde z tych pchnięć było silniejsze od poprzedniego.

Złych duch zwałił się na podłogę, jęcząc i przyciskając ręce do piersi.

— Jak to możliwe — wykrztusił — że zdołałaś mnie zabić?

„Jak to możliwe, że zdołałaś mnie zabić?”

— Umarłam, mając pięćdziesiąt dwa lata, siłą własnej woli, z nadzieją, że pewnego dnia zdołam okiełznać i powstrzymać moc twej złowrogiej duszy — powiedziała Dewi Ayu. — Dziś przyszedłam po ciebie. Myślisz, że zwykły śmiertelnik wstałby z grobu po dwudziestu jeden latach gnicia? Nie jestem już człowiekiem i dlatego mogłam cię zabić.

— Może i tak, ale pamiętaj, że moja klątwa będzie trwała.

„Może i tak, ale pamiętaj, że moja klątwa będzie trwała”.

I wtedy zły duch umarł, rozpląnął się w gęstej chmurze czarnego dymu i zniknął, pochłonięty przez ziemską atmosferę. Dewi Ayu zaś popatrzyła na Kinkina.

— Spełniłam swój obowiązek i mogę teraz wrócić do świata zmarłych — powiedziała. — Żegnaj, moje dziecko. Dziękuję ci za pomoc.

I znikła, zamieniając się w pięknego motyla, który wyleciał przez otwarte okno i pofrunął na dziedziniec.

Ten mężczyzna pojawiał się znikąd, ale ponieważ pojawiał się tak często, Pięknej nie zaskakiwała już jego obecność. Pokazywał się w taki sposób od jej najmłodszych lat, zapraszając ją do rozmowy. Pokazywał się też przy Rosinie, ale Rosina nie mogła go zobaczyć, w przeciwieństwie do niej. Rosina nigdy też nie słyszała jego głosu, choć Piękna słyszała go doskonale. Od niego nauczyła się mówić. Był stary, tak stary, że miał posiwiałe brwi. Ciemną skórę spiekło słońce, a mocne mięśnie wykuły lata ciężkiej pracy. Nauczyła się od niego wszystkiego.

Gdy Rosina usiłowała zapisać ją do szkoły, a dyrektor jej nie chciał i ona sama nie chciała tam pójść, mężczyzna powiedział:

— Nauczę cię pisać, choć sam pisać nie umiem.

„Nauczę cię pisać, choć sam pisać nie umiem”.

I dodał jeszcze:

— I nauczę cię czytać, choć sam czytać nie umiem.

„I nauczę cię czytać, choć sam czytać nie umiem”.

Miała, jak się wydawało, wszystko, czego zapragnęła, i nigdy nie potrzebowała niczego innego, bo była szczęśliwa, mogąc się z nim przyjaźnić. Inni ludzie nie chcieli mieć z nią nic wspólnego, bo była brzydka. Ale ten mężczyzna zaprzyjaźnił się z nią i nie zwracał uwagi na jej szpetotę. Inni nie chcieli nawet spojrzeć na nią z daleka, a on poświęcał jej czas. Często bawili się razem, a Rosina bywała zaskoczona wybuchami radości dziewczynki, które pojawiały się nagle i bez żadnego wyraźnego powodu.

Mała Piękna była taka szczęśliwa, że nauczyła się czytać i pisać! Znalazła wszystkie książki po mamie i przeczytała niemal każdą z nich, a potem, ucząc się pisać, przepisywała ich fragmenty. Ale Rosina przyglądała się jej zdezorientowana.

— Jakby anioł wszystkiego cię uczył — napisała do Pięknej.

— Tak, u c z y mnie anioł.

Anioł nie odwiedzał jej każdego dnia, ale Piękna była pewna, że pojawi się o właściwej porze, kiedy będzie miał na to ochotę, i nauczy ją czegoś nowego. Nie potrzebowała żadnych innych przyjaciół, którzy jej nie chcieli, bo była paskudą. Nie musiała wychodzić z domu, żeby się pobawić, bo mogła bawić się w domu. Nie chciała nikogo niepokoić swoim wyglądem, więc nikt nie niepokoił jej, przychodząc w odwiedziny. W domu czuła się szczęśliwa i spełniona, bo mieszkał w nim dobry anioł, który stał się jej drogim towarzyszem.

— Mogę cię nawet nauczyć gotowania, choć sam gotować nie umiem.

„Mogę cię nawet nauczyć gotowania, choć sam gotować nie umiem”.

Więc nauczyła się gotować i niebawem po mistrzowsku mieszała przyprawy. Lecz to nie wszystko, bo wkrótce zaczęła robić na drutach, szyć, haftować, a kto wie, czy nie zdołałaby naprawić samochodu albo zaorać pola, gdyby tylko dano jej taką szansę. Wszystkiego nauczyła się od tego dobrego anioła, który był cierpliwym i wyrozumiałym nauczycielem.

— Jeśli sam nigdy nie nauczyłeś się tego wszystkiego, to jakim cudem tyle umiesz i uczysz jeszcze innych? — zapytała Piękna.

— Kradnę tę wiedzę od ludzi, którzy się na tym znają.

„Kradnę tę wiedzę od ludzi, którzy się na tym znają”.

— A co umiesz robić bez okradania innych?

— Ciągnąć wózek.

„Ciągnąć wózek”.

*

I tak dorastała w tym domu z Rosiną, która wkrótce przyzwyczała się do wszystkich dziwnych zachowań i nadprzyrodzonych umiejętności dziewczynki. Piękna dostała po matce całkiem spory spadek, a Rosina dbała tylko o to, żeby ten spadek wystarczył im na wspólne życie. Każdego dnia szła na targowisko po potrzebne rzeczy, a Piękna zostawała w domu. W domu był duch, tak jak mówiła kiedyś Dewi Ayu, ale ten duch nikomu nie przeszkadzał. Jeśli w istocie nauczył Piękna wszystkiego, co umiała, to rzeczywiście musiał być dobrym duchem. Więc Rosina o nic się nie martwiła, zostawiając dziewczynkę samą.

O nic nie musiały się też martwić dzieciaki, które z ciekawości zaglądały niekiedy strachliwie za furtkę. Piękna nigdy się im nie pokazywała, była bowiem grzeczną dziewczynką i wiedziała, że jej widok śmiertelnie by je przeraził. Pokazywała się tylko Rosinie, która znała ją od urodzenia. Była tak grzeczna i uprzejma, że poświęcała się i poświęcała własne pragnienie prowadzenia takiego życia, jakim cieszy się większość ludzi. Jej życie ograniczało się do domu: sypialni, jadalni, łazienki, kuchni i podwórka, na które wychodziła czasem po ciemku. Była tak grzeczna i uprzejma, że się poświęcała, ba, karała siebie, prowadząc monotonne i niewypowiedzianie nudne życie, z którego jednak była całkiem zadowolona.

— Teraz przedstawię ci księcia — powiedział dobry anioł.

„Teraz przedstawię ci księcia”.

Stała się młodą damą i naturalną koleją rzeczy pragnęła poznać mężczyznę, który się w niej zakocha i którego uczucie mogłaby odwzajemnić. To pragnienie bardzo ją przygnębiało, gdyż była pewna, że żaden mężczyzna nigdy jej nie pokocha. Nie została stworzona do miłości. Była ohydną dziewczyną z nosem jak gniazdko elektryczne i skórą koloru sadzy. Była przerażającą dziewczyną, na której widok ludzie dostawali mdłości i mdleli ze strachu, szczali w majtki i uciekali jak opętani, lecz z całą pewnością nie zakochiwali się od pierwszego wejrzenia.

— To nieprawda. Będiesz miała własnego księcia.

„To nieprawda. Będiesz miała własnego księcia”.

To niemożliwe. Nikt jej nigdy nie widział, więc nikt jej nie znał, a nie ma sposobu, żeby zakochać się w kimś, kogo się nawet nie zna.

— Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

„Czy kiedykolwiek cię okłamałem?”

Nie.

— Czekaj na werandzie o zmroku, a twój książę nadejdzie.

„Czekaj na werandzie o zmroku, a twój książę nadejdzie”.

Często siadała na werandzie, gdy zapadała noc, i wdychała świeże powietrze, nie martwiąc się tym, że widok jej parszywej twarzy sprawi komuś przykrość. W ciemności czuła się bezpiecznie, a noc była jej najlepszą przyjaciółką. Czasem wstawała na długo przed świtem, nim słońce rozpało świat blaskiem, i siadała na dworze, by wpatrywać się w różowawą gwiazdę, którą anioł nazywał Wenus. Kochała ją za jej piękno. Takie jak w jej imieniu.

Teraz siadywała na werandzie, żeby czekać na obiecane księcia. Nie wiedziała, kiedy ani jak się pojawi, może przyfrunie na smoku z Wenus, a może wyrośnie spod ziemi, wyskoczy z niej niespodziewanie. Nie wiedziała, jak przybędzie, ale chciała na niego czekać. Tej pierwszej nocy obok domu nie przeszedł żaden książę, nie przeszedł nawet żebrak.

Ale wierzyła, że anioł nie kłamie, więc czekała i drugiej nocy. Obok domu przeszedł kondukt pogrzebowy, ale nie książę. Przeszedł też sprzedawca gorącego kakao *bajigur*, ale nie zatrzymał się, żeby się przywitać, nie odwrócił nawet głowy, żeby na nią spojrzeć. Nie było żadnego księcia, więc w końcu zasnęła zmęczona na fotelu, a Rosina wzięła ją na ręce, wniosła do domu i położyła do łóżka.

Trzeciej nocy też nikt nie przyszedł. Rosina pytała ją, dlaczego każdej nocy siedzi na werandzie, a Piękna odpowiadała:

— Czekam na księcia z bajki.

Rosina pojęła, że Piękna weszła w okres dojrzewania. Wiedziała już, że dziewczyna ma miesiączki, a teraz zapragnęła mieć kochanka. Siedziała na werandzie w nadziei, że ktoś ją zobaczy i zakocha się w niej. Zrobiło się jej smutno, gdy o tym myślała, więc poszła do swojego pokoju i zapłakała nad losem nieszczęsnej brzydkiej Pięknej, która nie zdawała sobie sprawy, że nikt jej nie pokocha, może nawet przez całe życie. Nie ma dla niej księcia.

Ale Piękna czekała i czwartej nocy, potem piątej i szóstej. Siódmej nocy zza krzaków rosnących wzdłuż krawędzi dziedzińca wyłonił się jakiś mężczyzna i przestraszył ją. Był dosyć przystojny, a ona natychmiast nabrała pewności, że to książę. Miał około trzydziestu lat, łagodne spojrzenie, schludnie zaczesane do tyłu włosy i ciemne oficjalne ubranie. Trzymał w ręku różę, podszedł do niej i podał jej z wahaniem kwiat, jakby się bał, że go nie przyjmie.

— To dla ciebie — powiedział — Piękna.

Przyjęła różę rozanieloną, a mężczyzna zniknął. Pojawił się następnej nocy, przynosząc drugą różę, i znów zniknął. Dopiero trzeciej nocy, gdy podał jej trzecią

różę, którą Piękna przyjęła, odezwał się:

— Jutrzejszej nocy zapukam do okna twojej sypialni.

Przez cały dzień czekała na nadejście nocy i pojawienie się księcia pod oknem sypialni — czekała ochoczo, jak każda dziewczyna na pierwszą randkę. Zastanawiała się, jaką założyć sukienkę, i grymasiła w lustrze na swój wygląd. Zapomniała o szkaradnej twarzy i ozdabiała się wszystkim, co wpadło jej w ręce na starej matczynej komodzie, pożyczyła nawet jakieś drobiazgi z toaletki Rosiny. Ta nic nie wiedziała o odwiedzinach mężczyzny i za każdym razem, kiedy Piękna wracała z różą, przypuszczała, że dziewczyna zerwała ją sama. Ale wpadła w konsternację i smutek, obserwując, jak Piękna szykuje się przez cały dzień.

„Jak żaba strojąca miny do księcia”, pomyślała, ocierając łzy.

Piękna miała nadzieję, że spotka jeszcze tego starca, tego dobrego anioła, który pojawiał się znikąd, ale przestał już ją odwiedzać — nie pojawił się od nadejścia księcia, choć miała mnóstwo pytań, na przykład jak dziewczyna powinna wyglądać na pierwszej randce, co powinna mówić i robić, jeśli księżę zechce ją uwieść, czy powinna otwierać mu okno, gdy w nie zastuka, a jeśli będą rozmawiać, to o czym... Chciała omówić to wszystko ze swoim dobrym aniołem, ale starzec już się nie pojawił.

Ostatecznie założyła zwykłą codzienną sukienkę, a gdy zaczęło zmierzchać, czekała na wybranka niecierpliwie. Już nie na werandzie, ale w swoim pokoju. Usiadła na krawędzi łóżka, wyraźnie podenerwowana, i nadstawiła ucha jak dziewczyna ubiegająca się o pracę, czekająca niepewnie, aż wywołają jej nazwisko, bo bała się, że nie usłyszy pukania, które może być ciche i nieśmiałe. Wstawała co chwilę i wyglądała za okno, ale za zasłoną było to, co zwykle: dziedzińiec i krzewy pogrążone w ciemności, więc siadała na powrót na krawędzi łóżka, równie niespokojna jak przedtem.

Wreszcie usłyszała pukanie, tak ciche, że musiała wyteńczyć słuch, a potem jeszcze raz i znowu — zapukał trzy razy. Nie wiedząc, jak się zachować, to zrywając się do biegu, to przystając, dotarła w końcu do okna i otworzyła je.

Za oknem stał jej księżę, który przyniósł jej jak zwykle różę.

— Czy mogę wejść? — zapytał.

Piękna kiwnęła wstydliwie głową.

Podał jej różę i wskoczył przez okno do sypialni. Stał przez chwilę, rozglądając się dookoła, a potem przeszedł się z jednego rogu pokoju do drugiego, po czym odwrócił się i spojrzał na Piękną, która właśnie przymknęła okno, nie przekręcając gałki. Księżę usiadł na brzegu łóżka i wskazał Pięknej miejsce obok siebie. Usiadła posłusznie i przez chwilę milczeli.

— Od tak dawna chciałem cię poznać — odezwał się w końcu księżę.

Bardzo jej to pochlebiało, więc nie zapytała, skąd wie o jej istnieniu.

— Od tak dawna pragnąłem poznać cię lepiej — mówił dalej księżę — i od tak

dawna marzyłem, żeby cię dotknąć.

Od tych słów załomotało jej serce. Nie odważyła się spojrzeć mu w oczy, a jej ciało ogarnął nagle chłód, gdy książę ujął ją za rękę i delikatnie przytrzymał.

— Czy mogę pocałować cię w dłoń? — zapytał książę.

Piękna nie zdążyła albo nie mogła odpowiedzieć, bo książę ucałował jej prawą dłoń.

Podczas pierwszego spotkania książę wiele mówił, a Piękna przeważnie milczała, zawstydzona i zakłopotana, kiwając lub kręcąc od czasu do czasu głową, a potem ją odwracając, znów w zakłopotaniu albo zawstydzeniu. Spędzili w taki sposób półtorej godziny, aż nadszedł czas rozstania. Wyszedł tą samą drogą, którą przyszedł: przez okno. Lecz zanim ją opuścił, powiedział:

— Czekaj na mnie, tak jak na mnie czekałaś, w najbliższą niedzielę.

Piękna przyrzekła sobie, że w tę niedzielę zacznie mówić. Nie będzie już niema, nie będzie tylko kręcić albo kiwać głową, zawstydzona i zakłopotana. Musi mówić i robić co trzeba, żeby książę się nią nie znudził. Starzec już nie przychodził, ale przestało jej na nim zależeć. Znalazła zastępstwo — kogoś przystojniejszego, miłszego, bardziej czarującego, kogoś, kto ją uwodził, bo być może ją kochał. Serce było jej przyspieszonym rytmem w oczekiwaniu na niedzielę.

Książę przyszedł do niej w niedzielę, tak jak obiecał, i przyniósł następną różę. Wszedł przez okno i usiadł na brzegu łóżka obok Pięknej. Wówczas, przejmując inicjatywę, zapytała go bardzo nieśmiałym głosem:

— Skąd masz tę różę?

— Z twojego ogrodu.

— Doprawdy?

— Brakuje mi gotówki.

Oboje zachichotali.

Potem książę znów ujął dłoń Pięknej, a ona tym razem odwzajemniła uścisk. Nie pytając już o pozwolenie, ucałował jej dłoń, co sprawiło, że stała się jak poprzednio zawstydzona i zakłopotana. Zdała sobie sprawę, że zaczął głaskać jej rękę, tak delikatnie i uspokajająco, że poczuła się błogo jak ktoś zapadający powoli w sen. Potem nagle znalazł się tuż przed nią, jego twarz pojawiła się przed jej twarzą, a serce łomotało jej coraz mocniej i mocniej. Nie wiedziała, co się dzieje, ta twarz zbliżała się do niej i poczuła na wargach dotyk ust księcia, a po chwili zmiądzzył wargami jej wargi, od czego te stały się bardzo wilgotne. Chciała odwzajemnić jego pocałunki i zorientowała się, że całują się już nie tylko wargami, ale i językami, które poczynały sobie dosyć swobodnie. Całowali się bardzo długo, niemal pół godziny, aż w końcu książę przeprosił ją i zniknął.

— Będę czekała na ciebie w następną niedzielę. — Tym razem to Piękna wyznaczyła spotkanie, a książę tylko uśmiechnął się czarująco.

Pocałunki zrobili na niej ogromne wrażenie i Piękna modliła się, by niedziela

nadeszła jak najszybciej, niczym natrętna mucha, która siada, odlatuje i znów siada. Czuła ich żar jeszcze następnego dnia i wciąż go czuła, gdy nadszedł kolejny dzień. Przypominała sobie krok po kroku, jak doszli do pocałunku, a serce drżało jej za każdym razem, gdy o tym myślała.

I stało się tak — podczas następnego spotkania — że pocałunki były pierwszą rzeczą, do jakiej się zabrali. Zaczęli się całować już przy parapecie, gdy Piękna stała w sypialni, a księżę wciąż był na dworze. W końcu wszedł przez okno, a ona zamknęła okiennice, lecz nawet na chwilę nie przestali się całować. Pocałunki trwały w sypialni: Piękna oparła się o ścianę, a księżę przywarł do niej — szalony i pożądamy jej całym sobą.

Niespieszne, acz niesforne dłonie księcia wsunęły się pod jej sukienkę, a w pokoju zrobiło się nagle gorąco. Rozebrali się powoli, rzucając części garderoby na podłogę, aż stanęli przed sobą nadsy, a księżę objął Piękną i zaniósł ją do łóżka.

— Nauczę cię, jak się kocha — powiedział księżę.

— Tak, naucz mnie — odpowiedziała Piękna.

Więc zaczęli. Piękna była jeszcze dziewicą i jęczała, czując równocześnie ból i przyjemność. Krzyczała tak głośno, że skonsternowana Rosina stanęła pod jej drzwiami. Otworzyła je (Piękna zapomniała przekręcić klucz) i zobaczyła gołą dziewczynę podskakującą w górę i w dół na materacu. Pokręciła głową z powagą i smutkiem, zamknęła ostrożnie drzwi i zostawiła ją samą. Natomiast księżę nie przestawał deflorować krocza Pięknę, która krwawiła, ale też czuła prawdziwą rozkosz.

Jej księżę zawsze przychodził przez okno, a Piękna zawsze czekała na niego na werandzie, bo wiedziona okrutną tęsknotą, pragnęła widzieć, jak nadchodzi. Kochali się podczas każdego spotkania, czasem nawet dwukrotnie, i czuli, że są najszczęśliwszą parą na świecie. Piękna nie zastanawiała się, dlaczego Rosina nie widzi księcia, albo dlaczego Dewi Ayu wstała z grobu, wróciła do domu i zniszczyła drzwi siekierą. Matka też nie widziała księcia. W tym domu regularnie zdarzały się cuda, więc nikt nie przywiązywał do nich specjalnej wagi. Przecież Rosina nie widziała też starego anioła, choć regularnie nauczał Piękną.

A potem Piękna zaszła w ciążę.

Lecz nawet gdy już o tym wiedziała, czekała na nadejście księcia, żeby się z nim kochać. Nie powiedziała mu, że jest w ciąży, gdyż bała się, że zrujnuje w ten sposób ich szczęście.

Aż pewnej nocy, niedługo po tym, jak Dewi Ayu przepadła na powrót w zaświatach, Piękna leżała nago w łóżku, mając obok siebie księcia, gdy do sypialni wpadł jakiś mężczyzna, ściskający w ręku wiatrówkę. Był niski i przysadzisty i krył w sobie jakiś smutek. Zadrżał lekko z przerażenia, widząc oblicze Pięknę, ale szybko przeniósł wzrok na księcia, a na jego twarzy pojawił się

grymas gniewu.

— Ty! — zawołał. — Morderco Pięknej Rengganis! Przyszedłem pomścić jej śmierć!

Książę nawet się nie poruszył, gdy padł strzał, a po mistrzowsku wymierzona kula utkwiała w samym środku jego czoła. Opadł w agonii na łóżko. Obcy z wiatrówką przeładował broń i strzelił do księcia po raz drugi. Wpakował w niego z nienawiścią aż pięć kul, a Piękna nie mogła przestać krzyczeć.

Ludzie dowiedzieli się tylko, że zginął podczas odwiedzin w domu babki.

W pogrzebie Krisana wzięła udział cała rodzina, a Adinda rozpacziała najbardziej. Koło się zamknęło: Alamanda straciła Szodanco i Ai, Maja Dewi Maman Gendenga i Piękną Rengganis, a Adinda straciła teraz Krisana, straciwszy pierwszej towarzysza Kliwona. Wszyscy stracili tych, których kochali.

Trzy siostry szły za trumną Krisana, zmierzając na cmentarz Budi Dharma, a po drodze Alamanda i Maja Dewi pocieszały Adinę.

— Jesteśmy jak przeklęte — łkała Adinda.

— Nie jesteśmy j a k przeklęte — poprawiła ją Alamanda. — Jesteśmy prawdziwie i nieodwołanie przeklęte.

Stary Kamino kopał grób dla Krisana obok grobu ojca, tak jak prosiła Adinda. Zarezerwowała już sąsiednią kwaterę dla siebie.

Kobiety zazwyczaj nie chodzą na cmentarz. Pojawiają się tam tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy nie mogą znieść rozdzielenia z umarłym, tak jak Farida przed wielu laty. Ale na pogrzeb Krisana przyszły same kobiety — trzy siostry — jeśli nie liczyć sześciu sąsiadów, którzy nieśli trumnę, oraz imama z meczetu, który modlił się za zmarłego.

Oprócz nich nie było nikogo, a trzy siostry w ciemnych sukniach stały pod parasolem, który miał je chronić przed Bóg wie czym, bo po południu nie było już słońca, ale też nie padało. Były tylko we trzy, ale po długiej chwili w pewnej odległości pojawiły się dwa ciemne kształty. Zbliżyły się coraz bardziej, a gdy znalazły się całkiem blisko, okazało się, że to również kobiety w żałobnych szatach.

Co dziwne, kobiety te przyszły pożegnać Krisana i stanęły nad grobem, gdy opuszczano trumnę, którą pochłaniała ziemia. Trzy siostry były wstrząśnięte nie tyle obecnością dwóch obcych, ile szkaradnym obliczem jednej z nich — obliczem, które wzięły początkowo za maskę cmentarnego ducha. Ale zaraz przypomniały sobie plotki o czwartej, nigdy przez nie niewidzianej córce Dewi Ayu, która, jak mówiono, była brzydka jak potwór. Ta odpychająca kobieta wydawała się zrozpaczona śmiercią Krisana. Płakała rozdzierająco i spoglądała raz po raz na spowite całunem i znikające w ziemi ciało, jakby nie chciała pozwolić mu odejść. Rozpacziała jeszcze bardziej od Adindy.

To Alamanda odważyła się zapytać:

— Czy ty jesteś Piękna?

Piękna kiwnęła głową.

— Wiem, że ty jesteś Alamanda, a to Adinda i Maja Dewi.

— Wszystkie jesteśmy córkami Dewi Ayu — oznajmiła Alamanda i objęła Piękną, nie zważając na jej przerażające oblicze.

— Przyjmijcie, proszę — odezwała się Piękna — wyrazy mojego współczucia z powodu śmierci jedyne go, którego miałyście.

Gdy pogrzeb dobiegł końca, poszły wszystkie do domu Dewi Ayu, w którym mieszkała Piękna wraz z Rosiną. Obeszły wewnątrz domu, oglądając swoje fotografie z dzieciństwa, podziwiając zdjęcia Dewi Ayu i płacząc nad bolesną przeszłością. Były jak porzucone sieroty. Miały tylko siebie i postanowiły, że już nigdy się nie rozłączą.

— Mama wróciła na krótko i znów odeszła tuż przed śmiercią Krisana — powiedziała Piękna.

— Właśnie tacy są zmarli — mruknęła Maja Dewi. — Mój mąż też zmartwychwstał trzeciego dnia po śmierci.

Po tym spotkaniu każda wróciła do siebie i wszystkie prowadziły własne spokojne żywoty, ale odwiedzały się dla rozrywki. Po pierwszym wyjściu na pogrzeb Piękna coraz częściej zaczęła opuszczać dom i odwiedzała starsze siostry. Nie przejmowała się już spojrzeniami obcych. Nosila długie suknie i welon, zasłaniający niemal całą twarz. Kobiety cieszyły się swoim nowym życiem, próbując zapomnieć wszystkie nieszczęścia, które je spotkały — kochały się nawzajem i radowały tą miłością.

I tak to trwało, aż się zestarzały, a ludzie, plotkując o nich, nazywali je „bandą wdów”, gdy się razem pokazywały.

Ale były szczęśliwe i kochały się bardzo.

Piękna zaczęła rodzić w szóstym miesiącu ciąży, a jej dziecko umarło, nawet nie zapłakawszy. Starsze siostry pochowały je w ogrodzie za domem przy pomocy niemej Rosiny.

— Czy dałaś mu jakoś na imię? — zapytała Alamanda.

— Gdyby miało imię, cierpiałabym jeszcze bardziej.

— Jeśli wolno spytać, czyje w samej rzeczy było to dziecko? — spytała Adinda.

— Moje i mojego księcia.

Oczywiście wciąż ukrywały przed sobą wiele tajemnic. Więc nie zmuszały Piękną do wyznania, kim był ojciec dziecka, mężczyzna, którego nazywała księciem.

Dziecko pochowano, a one żyły dalej, kochając się nawzajem i strzegąc swych sekretów.

Gdy znaleziono ciało Piękną Rengganis, Krisan cierpiał męki, bojąc się, że ktoś

w końcu odkryje, że to on zamordował kuzynkę. Jego strach był tym większy, że pod łóżkiem miał ciało Ai, a Szodanczo wytrwale szukał córki.

Zastanawiał się nad odniesieniem ciała na cmentarz, ale bał się, że ktoś go na tym przyłapie, bo od czasu, gdy Szodanczo przekonał się, że ktoś odkopał grób i zabrał ciało jego dziecka, cmentarz był strzeżony przez wojsko. Zatem zakopanie Ai na powrót na cmentarzu nie byłoby mądrym posunięciem i Krisan odchodził od zmysłów, łamiąc sobie głowę, jak pozbyć się ciała spod łóżka, zanim ktoś je tam znajdzie.

Uwięził się we własnym pokoju, do którego wiecznie zamykał drzwi, bojąc się, że matka albo babka wejdą do środka, żeby sprawdzić, co tak pięknie pachnie, a zapach dolatywał spod łóżka. Sam zamiatał i ścierał kurze, byle tylko matka lub babka nie przychodziły sprzątać.

Próbował nawet porąbać ciało ukochanej na małe kawałki, żeby łatwiej się ich pozbyć. Może przerobienie jej na karmę dla psów byłoby łatwiejsze niż odniesienie jej do grobu, bo w ten sposób nie zostanie po niej nawet ślad. Ale patrząc na tę piękną twarz — oblicze, które nie szeszło nawet po śmierci, które wyglądało tak, jakby spała i miała się zaraz obudzić, i przetrzeć zaspane oczy — nie mógł tego zrobić. Za bardzo ją kochał i płakał rzewnymi łzami, wyobrażając sobie, jak rąbie ją na kawałki, więc nie miał nawet siły unieść tasaka, który trzymał w pogotowiu, i wsunął spowitą w całun Nurul Aini z powrotem pod łóżko.

Był w rozpacz, miał już zamiar wyznać wszystkie swoje grzechy, kiedy wpadł mu do głowy genialny pomysł. Zrobi to i pożegna się z Ai.

Tak jak wtedy, gdy wybierał się na morze z Piękną Rengganis i ciałem Ai, przyodział zmarłą w swoje rzeczy. W nocy, przed świtem, zarzucił sobie zwłoki na plecy i pojechał z nimi motorynką na wybrzeże. Ukradł tę samą łódź co poprzednio. Wypłynął z ciałem Ai na środek oceanu. I nie tylko z jej ciałem, ale i dwoma wielkimi kamieniami — niemal dwa razy większymi od jej głowy.

Dopłynął do miejsca, w którym zabił Piękną Rengganis tuż przed świtem. Ta część oceanu była bardzo głęboka, nawet rekiny jej tutaj nie znajdują. Przywiązał do ciała dziewczyny — ze łzami spływającymi po policzkach, ale nie miał wyjścia — dwa kamienie tak mocno, żeby nawet żaglice nie zdołały przeciąć sznura. Obciążone takim ciężarem ciało Ai, gdy je wyrzucił za burtę, szybko opadło w głąb oceanu i zniknęło na wieki. Szodanczo nigdy jej nie znajdzie, choćby szukał i przez tysiąc lat.

Popłynął do brzegu z ciężkim sercem, ale już bez lęku. Po drodze minął łódź z samotnym rybakim, a rybak zaczął zadawać mu pytania.

— Co tu robisz sam na oceanie bez choćby jednej rybki w łodzi?
„Co tu robisz sam na oceanie bez choćby jednej rybki w łodzi?”

— Pozbywam się trupa — odrzekł Krisan, drżąc jeszcze od tamtego głosu, odbijającego się gromkim echem od Bóg wie czego.

*

— Zrozpaczony po stracie pięknej ukochanej? Cha, cha, cha. Dam ci radę, chłopcze. Poszukaj sobie brzyduli. Taka nigdy cię nie zrani.

„Zrozpaczony po stracie pięknej ukochanej? Cha, cha, cha. Dam ci radę, chłopcze. Poszukaj sobie brzyduli. Taka nigdy cię nie zrani”.

I odpłynął, zmierzając na pełne morze, ale jego rada nie dawała Krisanowi spokoju. A kiedy dotarł do miejsca, w którym zostawił motorynkę, powiedział sobie: „Może to i racja, że powinienem poszukać brzyduli. Najbrzydszej na świecie”.

Wkrótce po tym, jak Dewi Ayu zabiła potężnego złego ducha, Kinkin bawił się swoim *jailangkung* na grobie Pięknej Rengganis. Był pewny, że tym razem mu się powiedzie, gdyż ten złoczyńca, który mu przeszkadzał, został pokonany. Wbił w kopczyk na grobie figurkę w kształcie drewnianej lalki — lalka ta stanie się medium dla ducha Pięknej Rengganis, którego przywoła, recytując mantry. Lalka zadrżała na znak, że pojawił się duch, a potem zatrzęsała się gwałtownie na znak, że duch jest rozgniewany, aż wreszcie się przewróciła. Kinkin próbował ją uspokoić, ale duch Pięknej Rengganis zbeształ go:

— Co robisz, idioto?

— Wywołuję twój duch.

— No tak, oczywiście — odpowiedziała Piękna Rengganis. — Ale posłuchaj mnie: nieważne, co zrobisz, i tak za ciebie nie wyjdę.

— Chcę tylko wiedzieć, kto cię zabił. Pozwól mi, proszę, pomścić twoją śmierć i moją niespełnioną miłość — błagał Kinkin, padając przed drewnianą lalką na twarz.

Drewniana lalka, czyli Piękna Rengganis, odpowiedziała:

— Nawet gdybyś mnie błagał przez tysiąc lat, i tak ci nie powiem.

— Dlaczego? Nie chcesz, żebym pomścił twoją śmierć?

— Nie, bo wciąż go kocham.

— W porządku, więc zabiję go i spotkacie się w zaświatach.

— Gówno prawda. Chcesz mnie nabrać.

I Piękna Rengganis znikła.

Ale w końcu poznał prawdę, choć nie od ducha Pięknej Rengganis, ale od innego, takiego, którego nie znał. Wywoływał duchy na chybił trafił, wierząc, że teraz nikt nie przeszkodzi im mówić prawdę, oraz wierząc i w to, że każdy duch wie więcej od przeciętnego człowieka. Przywołał ducha, który wyglądał na bardzo starego i zmęczonego, choć z głosem jak dzwon.

— Cha, cha, cha. Nie jestem taki potężny jak kiedyś, ale wróciłem, chłopaku!

„Cha, cha, cha. Nie jestem taki potężny jak kiedyś, ale wróciłem, chłopaku!”

— Czy wiesz, kto zabił Piękną Rengganis? — zapytał Kinkin.

— A jakże! To Krisan zabił Piękną Rengganis, więc zastrzel go, jeśliś ją kochał i jeśli masz jaja! Cha, cha, cha!

„A jakże! To Krisan zabił Piękną Rengganis, więc zastrzel go, jeśliś ją kochał i jeśli masz jaja! Cha, cha, cha!”

I właśnie dlatego zabił Krisana w sypialni Piękną pięcioma dobrze wymierzonymi strzałami z wiatrówki.

Przez siedem lat gnął za to w więzieniu, zdany na łaskę wszystkich więziennych zbirów. Sodomizowali go mniej więcej raz w tygodniu, bili niemal każdego dnia, zmuszali do dzielenia się połową porcji przy każdym posiłku i zabrali mu wszystko, czego nie oddał Kamino na czas odsiadki wyroku. Ale pośród tych wszystkich więziennych cierpień i mąk był szczęśliwy, bo trafił tam, wypełniając prawdziwą miłosną misję: mszcząc się za śmierć kobiety, którą uwielbiał, odkąd ujrzał ją po raz pierwszy.

Za dobre sprawowanie darowano mu rok odsiadki i wyszedł z więzienia. Pojawił się w świecie za murami w łachmanach, wyniszczony, z długimi kołtunami na głowie, z twarzą jak u wysuszonego trupa, z wystającymi brwiami i żuchwą. Wyglądał jak żywy szkielet, ale wciągał w płuca powietrze wolności i czuł się świetnie.

Choć dano mu jakieś ubranie i trochę pieniędzy na jedzenie i autobus, szedł pieszo z miejskiego więzienia i nie przebrał się, wolał swoje łachmany, w których przypominał włóczkę. Ubranie, które mu dali, niósł w rękę, a pieniądze schował do kieszeni. Nie chciał się nigdzie zatrzymać i marnować czasu. Pragnął wrócić do domu i upewnić się, że tamten został pochowany.

Odnalazł grób Krisana obok mogiły towarzysza Kliwona. Na tablicy nagrobnej widniało wyraźnie jego imię, więc nie było mowy o pomyłce. Zabrał się do sporządzania nowej tablicy. Wyrzucił starą z imieniem Krisana i zastąpił ją nową.

Teraz widniało na niej imię: P I E S (1966–1997).

Krisan przez lata rozważał radę o kochance brzyduli. „Co jest nie tak z brzydkimi kobietami? — pytał sam siebie. — Można je pieprzyć tak jak te piękne”. I przypomniał sobie krążące po mieście plotki o córce Dewi Ayu, która — jak mówiono — jest brzydka, może najohydniejsza na tej ziemi. Wiedział, że Dewi Ayu jest jego babką, co oznaczało, że brzydula, która miała na imię Piękna, jest jego ciotką, ale nie dbał o to. Pieprzył własną kuzynkę, więc cóż może być złego w przeleceniu ciotki?

I tak którejś nocy zakradł się pod dom babki i zobaczył dziewczynę siedzącą na werandzie, jakby na kogoś czekała. Nie bardzo wiedział, jak się do niej zbliżyć, więc przez kilka dni tylko ją obserwował z oddali, po czym wracał zmęczony do domu. Dopiero siódmego dnia przedarł się przez żywopłot z boku dziedzińca. Zerwał rosnącą tam różę, podszedł do niej i podał jej kwiat.

— Dla ciebie — powiedział — Piękna.

Po pierwszym spotkaniu wszystko poszło dobrze i w końcu zaczęli się pieprzyć. I pieprzyli się. I pieprzyli. I nie przestawali. Nie było żadnej różnicy, wszystko było tak samo. Pieprzenie Pięknej Rengganis i pieprzenie szkaradnej Pięknej nie różniło się ani trochę. Wszystko szło tym samym torem i prowadziło do wytrysku. uprawiał seks z tą kobietą. „Pieprzył ją”, jak tłumaczył. A potem przekonał się, że dziewczyna jest w ciąży, ale wcale się tym nie przejął i „pierdolił ją dalej”.

Aż któregoś dnia Piękna zapytała:

— Dlaczego mnie wybrałeś?

Odpowiedział jej, nie wiedząc, czy mówi prawdę, czy nie:

— Bo cię kocham.

— Kochasz szkaradną kobietę?

— Jasne.

— Dlaczego?

Ponieważ odpowiedź na pytanie „dlaczego?” nigdy nie jest łatwa, nie odpowiedział jej. Mógł tylko odpowiedzieć na pytanie „jak?”, bo to było łatwe. By okazać swą miłość, pieścił ją dalej, nie dbając o to, jak bardzo jest brzydka, jak odrażająca, jak wreszcie potworna. Wszystko było w porządku, a on odkrył radość nieporównywalną z niczym, czego doświadczył w życiu. Ale Piękna prześladowała go dalej i za każdym razem, kiedy się spotykali i kochali, pytała „dlaczego?”. Krisan milczał. Choć znał odpowiedź, nie miał zamiaru jej udzielić. Ale uczynił to w końcu w wigilię swojej śmierci.

Jego czwarte wyznanie:

— Bo piękno to bolesna rana.

„Bo piękno to bolesna rana”.

Table of Contents

Strona tytułowa	
Strona redakcyjna	
Motto	
[1]	
[2]	
[3]	
[4]	
[5]	
[6]	
[7]	
[8]	
[9]	
[10]	
[11]	
[12]	
[13]	
[14]	
[15]	
[16]	
[17]	
[18]	